DUKAJ

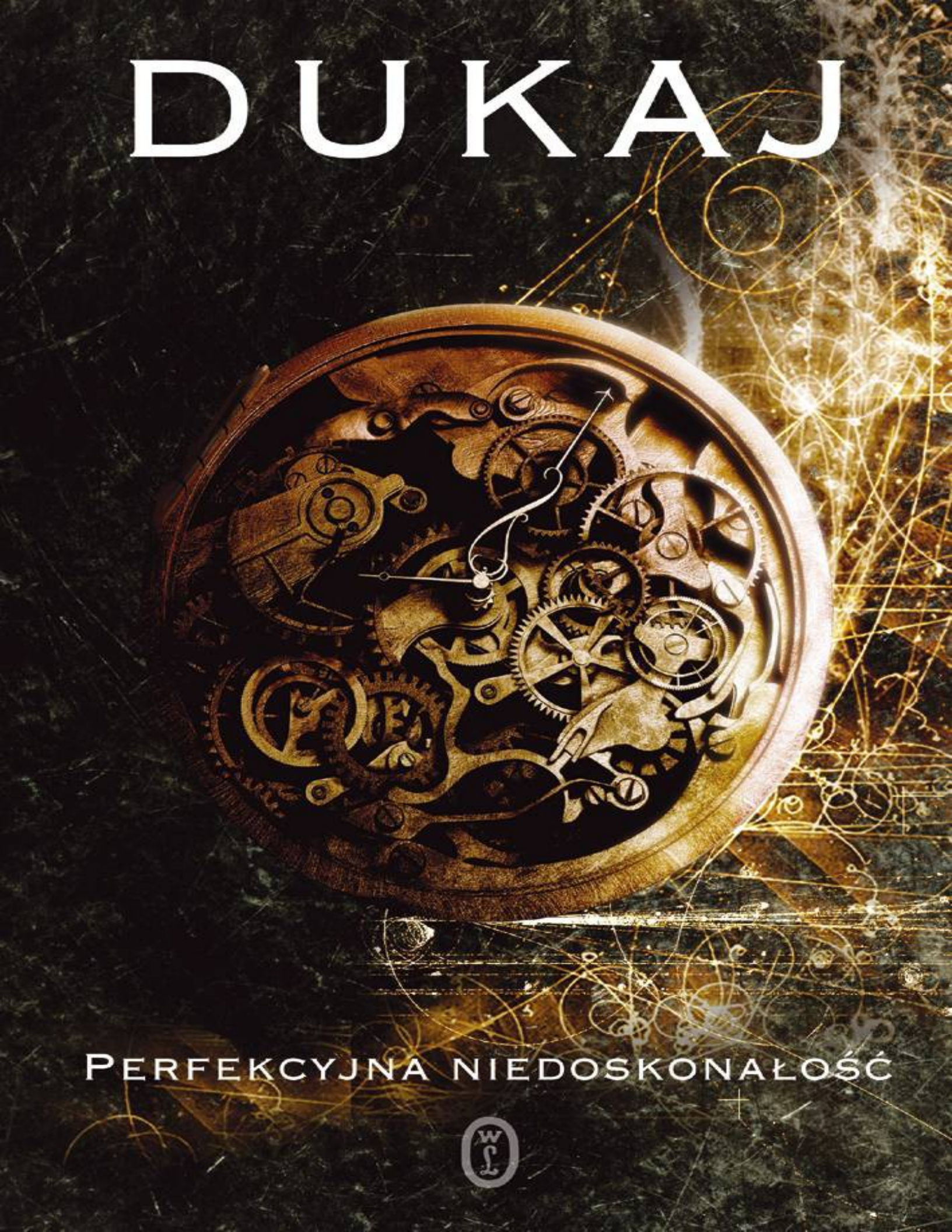

Perfekcyjna niedoskonałość

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JACEK

DUKAJ

PERFEKCYJNA NIEDOSKONAŁOŚĆ

PIERWSZA TERCJA PROGRESU

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004

Redaktor serii
Anita Kasperek

Redakcja
Paweł Ciemniewski

Korekta
Wiesława Otto-Weissowa, Anna Rudnicka, Etelka Kamocki

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Redaktor techniczny
Bożena Korbut

Wydanie drugie

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010
ul. Długa 1, 31-147 Kraków bezpłatna linia informacyjna: 0 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

ISBN 978-83-08-04277-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Nakoneczny, Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

I

1. Farstone

2. Puermageze

3. Sak

II

4. Plateau

5. Wojny

6. Plateau

III

7. Plateau

8. Narwa

9. Farstone

I

Wszystko, co istnieje, zmienia się w czasie. Każda zmiana prowadzi do formy lepiej, gorzej lub tak samo dobrze przystosowanej do warunków otoczenia. Stopień przystosowania określa szansę przetrwania danej formy.

Inteligencja pozwala świadomie wybierać zmiany ku większemu przystosowaniu.

To, co lepiej wykorzystuje warunki otoczenia, zwycięża i wypiera to, co wykorzystuje je gorzej. Życie inteligentne zwycięża i wypiera materię martwą i życie nieinteligentne.

1. Farstone

CYWILIZACJA

Ogół reguł i zachowań wywiedzionych z danej kultury, których stosowanie służy utrzymaniu status quo owej kultury.

Potocznie: społeczności – oraz zbiory ich materialnych manifestacji i dóbr – przypisane do danego miejsca w Progresie.

FREN

(gr.) „otoczka wątroby lub serca”, ośrodek życia psychicznego.

Cecha/struktura charakterystyczna dla systemów przetwarzania informacji obdarzonych samoświadomością.

→ Uwaga: „Multitezaurus” nie dysponuje definicją „samoświadomości”.

„Multitezaurus” (Subkod HS)

Piątego lipca, w dniu ślubu swej córki – a była to niedziela i słońce grzmiało z bezchmurnego błękitu, słony wiatr szarpał purpurowymi sztandarami na wieżach zamku, krzyczały ptaki – Judas McPherson, pan na włościach, stahs Pierwszej Tradycji, zasiadający w obu Lożach, właściciel ponad dwustu hektarów° Plateau HS, honorowy członek Rady Pilotów Sol-Portu, prezydent Gnosis Incorporated, został dwukrotnie zamordowany.

Czarny frak, czarne lakierki, czarne okulary, kamizelka jak ocean o zmierzchu – schodząc z tarasu na trawnik pełen gości weselnych, Judas uśmiechał się promiennie.

Phoebe Maximillian de la Roche przyglądału się temu uśmiechowi przez pryzmat czerwonego Pesqué, rocznik 2378, obracającego się w kryształowym pucharze w rytm delikatnych zakolebań jenu dłoni. Kryształ był cięty w herb McPhersonów: zakazanego smoka zwiniętego dwukrotnie dokoła wielkiego brylantu. Wino nadawało herbowi właściwą barwę, czerwień omal tak głęboką, jak na tych chorągwiach. Wszystkie kielichy weselnej zastawy były cięte podług owego wzoru.

Phoebe zerknęłu na cesarskiego mandaryna. Stał on w grupce roześmianych dyskutantów dwa namioty dalej. Mongoloidalna twarz niskiego mężczyzny pozostawała jak zwykle nieruchoma, pusta: Cesarz nie reagował ani na ten śmiech, ani na smoka, którym McPherson od wieków bezczelnie łamie Umowę Fundacyjną.

Cesarz w ogóle na niewiele reaguje, pomyślału phoebe. Uśmiechnięty McPherson wymieniał uwagi z zaaferowanym zięciem. Śmiej się, śmiej, człowieku.

Maximillian śledziłu ich wzrokiem przez wino, przez smoka, przez kryształ. Zagęściłu się teraz na Plateau omal punktowo, porzuciwszy inne swoje manifestacje; manifestowału się tylko w Farstone. To przyjęcie jest nazbyt ważne, tu ważą się losy Progresu. Umrzesz, Judas, umrzesz śmiercią ostateczną.

De la Roche nie przesuwału się też po Plateau, nie wysyłału sensynów na Pola Gnosis i McPhersona, bo wiedziału, że potem, w ramach śledztwa, Cesarz sprawdzi najdrobniejsze drgnięcia błony. Czekału więc cierpliwie, mrużyłu oczy od słońca, piłu Pesqué i odkłaniału się uprzejmie gościom.

– Powiększa się klan McPhersonów.

De la Roche obejrzału się i rozpoznału manifestację Tutenchamonu, otwartej niepodległej inkluzji starego obrządku: czarnowłosa, czarnooka dziewczyna w jedwabnym sari, z mnóstwem złotych bransolet na przedramionach, ze szmaragdowym słońcem w lewym nozdrzu, boso.

– Oby była płodna i urodziła mu wiele dzieci – rzekłu Maximillian, chyląc głowę.

– Tak, nie wątpię, że niczego innego im nie życzysz – uśmiechnęła się zza wachlarza dziewczyna.

– Och, potrafię przecież oddzielić politykę od życia osobistego.

– Życia osobistego, phoebe? Ty masz jakieś życie osobiste?

– Mówiłum o ich życiu, osca.

Roześmieli się obydwoje. De la Roche nie spuszczału oczu z twarzy prymarnej manifestacji inkluzji. Co ośmieli się onu okazać? Czy da jakiś znak? Co wie, a o czym marzy?

Z inkluzjami nigdy nic nie wiadomo. Można próbować się domyślać, ale jakie to wyobrażenia motywów przechodzącego nad nią człowieka wypracuje w sobie mrówka? Symulacje Tutenchamonowego frenu rozrastały się na Polach de la Roche'u w postępie geometrycznym, chłonąc każdą informację o zachowaniu manifestacji inkluzji. Ponieważ jednak była to właśnie inkluzja – U granic phoebe'u błysnął na Cesarskim Trakcie laufer protokołu. De la Roche wpuściłu go. Laufer przyniósł zaproszenie od Tutenchamonu do Ogrodów Cesarskich. De la Roche potwierdziłu i rozwinęłu drugi zestaw zmysłów – drugie perceptorium – i sprzężoną z nim drugą manifestację, równie bezmaterialną, co cała *Artificial Reality* Ogrodów.

AR-owe Ogrody Cesarskie podle Umowy Fundacyjnej stanowiły część Ziem Cesarskich i – podobnie jak sam Dom, Trakty oraz Wyspy Dzierżawne – zostały na trwałe wytrawione w Plateau. Obowiązywał tu protokół luźniejszy od protokołu Pierwszej Tradycji, jednak inkluzja taktownie zamanifestowała się identyczną postacią, co na weselu McPherson.

= Plateau śpiewa ostatnio o dziwnych rzeczach = mruknęłu Tutenchamon, unosząc wzrok ku płaskiej ciemności bezwymiarowego nieba.

Położenie jenu rąk względem tułowia, dystyngowany gest wachlarzem – wszystko mieściło się w bezpiecznym białym szumie komunikacji pozawerbalnej. De la Roche przykrywału się identycznymi sterownikami behawioru i nie spodziewału się zerwania konwencji ze strony inkluzji hołdującej najstarszym tradycjom. Inkluzje mniej konserwatywne, zamiast zapra-

szać phoebe’u do Ogrodów pod protokołem HS, dokonałyby po prostu osmozy informacyjnej. Poza pierwszą tercją jest to sposób najbardziej naturalny; rozmowa natomiast – to męczący, powolny rytuał.

Lecz Tutenchamon nawet teraz kultywuje człowieczeństwo, jeszcze jeden niewolnik Cywilizacji. To wszystko musi się zawalić, prędzej czy później. Inteligencja niespętana zawsze w końcu wygra z inteligencją spętaną.

= Słuchasz jego pieśni, phoebe? = dopytywała się inkluzja, przechylając dziewczęco głowę. = Wsłuchuj się uważnie.

= Odwieczne litanie: UI, UI, UI, innogalaktyczne Progresy, bestie z Otchłani…

= Słuchaj uważnie.

= A ty – usłyszałuś coś ciekawego, osca? = zapytał secundus de la Roche’u.

Również stanowił odbicie manifestacji prymarnej i również nie wykraczał poza konwencjonalne programy mowy i ciała.

Ten protokół, myślału zgryźliwie Maximillian, nazywa się Uprzejmość i żaden hacker nie złamie go za nas.

= Stahs Moetle McPherson… = zawiesiła głos inkluzja.

= Tak?

= Nic nie mąci spokoju zmarłych. = Tutenchamon demonstracyjnie odprowadziłu spojrzeniem białe feniksy. = Powierzchnia jeziora jest gładka.

Ledwo wymienione zostało imię praprawnuka Judasa McPhersona, Maximillian wydaliłu armię sensynów. Cesarskimi Traktami pomknęły przez Plateau; inne jęły przeczesywać zewnętrzne Pola Maximillianu.

Z czym wróciły: kilka tygodni temu Moetle zabrał trzy korporacyjne Kły i zniknął gdzieś w galaktyce; żadnych oficjalnych komunikatów; cel nieznany.

De la Roche zapytuje samu siebie: co ekranuje od Plateau?

Odpowiada: śmierć lub kieszeń temporalna czarnej dziury.

Zapytuje: jak McPherson zareaguje na amputowanie frenu swego potomka?

Odpowiada (w śmiechu): nie zdąży zareagować.

= Śmierć wnuka stahsa Judasa – to byłoby niefortunne = mruknęłu de la Roche.

= Nawet bardzo.

De la Roche zapytuje samu siebie:

Czy to możliwe, iż Tutenchamon podejrzewa o to nas? I czy wobec tego należy wyprowadzać nu z błędu? Co Horyzontaliści zyskaliby na przekonaniu jednej z potężniejszych inkluzji, że posiadają siłę i determinację dla prowadzenia otwartych działań ofensywnych? Plateau ostatnio śpiewało także o naszej prywatnej Wojnie, ukrytej gdzieś za siódmym horyzontem… Czy to prawda? Czy rzeczywiście ją posiadamy?

Maximillian pytału się ze szczerą ciekawością. Przypuszczału, że przed przybyciem do Farstone poddału się silnemu formatowaniu, wycinając sobie z użytkowej pamięci wszelkie niekonieczne a kompromitujące dane. Maximillian samu więc już nie wiedziału, czego nie pamięta i czego nigdy nie pamiętału. Zapewne w rozmaitych pozacywilizacyjnych Plateau miału poukrywane metry i metry sferyczne pamięci wyciętej z rdzenia swego frenu – tego się po sobie spodziewału, nawet będąc tym, kim w owej chwili byłu. Nie wycięłu bowiem z siebie makiawelicznej podejrzliwości.

A może właśnie tę podejrzliwość dodatkowo sobie zaprogramowału na wizytę w Farstone.

Rzekłu:

= Miejmy nadzieję, że wszystko szybko się wyjaśni i żadna zła wiadomość nie zepsuje tak pięknego dnia.

Inkluzja spaliła swą plateau’ową manifestację i wycofała się z Ogrodów. De la Roche skasowału secundusowe perceptorium planck później.

Z powrotem skupiłu się na trawniku przed zamkiem McPhersonów. Całe spotkanie w Ogrodach nie trwało więcej jak dwa Gplancki a-czasu.

Prymarna manifestacja Tutenchamonu zagrzechotała bransoletami w krótkim ukłonie i odeszła.

Maximillian odszukału wzrokiem Judasa McPhersona, zirytowanu, że pod obowiązującym na przyjęciu protokołem musi się ograniczać do jednego kierunku spojrzenia. Taak, Tradycja jest niewątpliwie bardzo wygodna dla stahsów. Jak rozumują nasi kochani stahsowie? „Skoro my nie możemy – nie chcemy – podnieść się na ich poziom, niech oni zejdą na nasz”. Tyrania wychodzi na jaw w każdym szczególe, dumału de la Roche. Żyjemy w jarzmach neandertalczyków.

Weszłu do namiotu, skryłu się w chłodnym cieniu kolorowego płótna. Odstawiłu kielich z niedopitym winem i nałożyłu sobie na talerzyk lodowe ciasto. Z poukrywanych przemyślnie głośników sączyła się muzyka, kwar-

tet smyczkowy, jakaś improwizacja, bo nie skojarzyłu jej z niczym już pływającym w morzach danych.

Spod stołu zerknął złowrogo na de la Roche'u pies, wielki bernardyn. Zawarczał z głębi gardła, unosząc łeb. Zwierzęta nie lubią nanomatycznych reprezentantów, niepokoi je całkowity brak zapachu większości użytkowych manifestacji, inf jest wszak tak gruboziarnisty… Maximillian odsunęłu swego primusa od stołu.

Lodowe ciasto było mdląco słodkie. De la Roche nie chciału psuć sobie humoru i postanowiłu lubić ciekłą słodycz. Postanowiłu – lubiłu. Oblizując wargi, nałożyłu sobie drugą porcję.

Przy wejściu do namiotu natknęłu się na ambasadora rahabów. Ambasador przywdziału manifestację starego Marlona Brando. Przekomarzału się właśnie z trójką stahsowych dzieci, w ramach protokołu pedantycznie symulując pot na czole i ciężki oddech.

– Ależ nie, ależ nie! – wołału, wymachując pustym kuflem. – To nie my zjadamy gazowe olbrzymy, to usza!

– Usza inwertują obłoki wodorowe – upierała się kilkuletnia dziewczynka w różowej sukience, białych podkolanówkach i błękitnych kokardach wpiętych w blond włosy. Sięgała prymarnej manifestacji ambasadora do pasa.

– Nieprawda! – uniósł się chłopczyk o buzi umazanej czekoladą. – Oni są z metanowych mórz!

– No ja chyba wiem lepiej – westchnęłu ambasador.

– Więc którzy są krzemowcami? – włączył się drugi chłopczyk, dotąd zajęty rozsmarowywaniem po marynarce plamy żółtego sosu.

– Antari – odparł mu ten czekoladowy.

– A kto to?

– No krzemowce!

Ambasador, przewracając oczami, podreptału do ustawionej na krzyżakach wielkiej beczki i napełniłu kufel.

Maximillian uśmiechnęłu się porozumiewawczo.

– Dzieci.

– Dzieci – sapnęłu rahab.

– Nie przeczę, jest w tym pewien urok, prahbe.

Ambasador westchnęłu wielorybio.

– Ech, polityczne z ciebie zwierzę, nawet tu mi nie darujesz.

Machnęłu wielką ręką i, wyminąwszy brzdące molestujące flegmatycznego bernardyna, wyszłu z namiotu.

Maximillian spokojnie dokończyłu ciasto, odłożyłu talerzyk, otarłu usta. Już nie traciłu nerwów tak łatwo, jak na początku wesela. Mapa jenu Pól emocjonalnych znów przypominała Mandelbrota, z dobrze wykształconym rdzeniem i peryferyjnymi odbiciami; nowy protokół uczuciowy był bardziej elastyczny.

Mrużąc oczy stanęłu na granicy słońca i cienia, pod fałdą zawiniętego płótna namiotu.

Obluszczone mury zamku wznosiły się wysoko nad rozsłonecznionym trawnikiem, kamienne płaszczyzny chropowatego cienia. Ponad bryłą zamku żeglował wielki czerwony balon z wypisanymi na powłoce życzeniami dla nowożeńców. Wiatr od morza kołysał balonem, szarpał go w dół i w górę. Nieba, tak czystego, tak błękitnego, nie znaczyły najdrobniejsze strzępy obłoków, nawet ptaków nie dojrzału, upał przygniótł je do ziemi. Cienie zamku i namiotów wycinały w trawniku koślawe formy, wewnątrz nich gromadzili się goście. Pod największym, śnieżnobiałym namiotem szykowała się na owalnym podium orkiestra; Maximillian widziału muzyków strojących instrumenty, dzieci chowające się za deskami estrady. W kącie, gdzie cień najgłębszy, jakiś mężczyzna zdjąwszy marynarkę żonglował czterema kieliszkami. Musiał być już lekko wstawiony. Żona dawała mu dyskretne znaki. Ale żonglował jeszcze zamaszyściej. Dzieciaki stały z otwartymi buziami. Kilka osób zakładało się, czy facet upuści szkło. Zabuczała strojona gitara i kieliszki spadły na ziemię. Wszyscy się śmiali, łącznie z niefortunnym żonglerem.

Maximillian łyknęłu z Plateau nieco głębiej. Mężczyzna nazywał się Adam Zamoyski, lecz w etykietce plateau’owej ujmowano to nazwisko w cudzysłów. Nie był stahsem. Nie był też niepodległą manifestacją phoebe’u starego obrządku. Był własnością McPhersona.

Materialne szczątki Zamoyskiego odzyskano z „Wolszczana”, na którego wrak, idący dzikim kursem ostro od ekliptyki, natrafił trójzębowiec Gnosis. Znaleziono tam jeszcze kilka innych trupów, ale mózgu żadnego z nich nie udało się odbudować. Natomiast ten tu połataniec – według danych z publicznych Pól Plateau – posiadał oryginalne wspomnienia i oryginalny fren. Aktualnie znajdował się pod nadzorem SI z Plateau – owa seminkluzja fil-

trowała mu rzeczywistość, symulując jego współczesność i stymulując rekonstrukcję pamięci. W niej bowiem zamknięta była tajemnica losów „Wolszczana”.

Gnosis nie informowała, dlaczego po prostu nie włożono Zamoyskiego do terapeutycznej AR.

W publicznych zasobach Plateau znajdowały się dosyć bogate dane na temat misji statku. Zbudowany w okołoksiężycowej stoczni ALMA w 2091 roku, wyruszył w drogę 2 grudnia 2092. Cel: anomalia czasoprzestrzenna pół roku świetlnego od ε Eridani.

Ach, to była pierwsza ekspedycja do Złamanego Portu! Po te informacje nie musiału de la Roche sięgać do zewnętrznych Pól, to był kamień milowy Progresu Homo Sapiens.

Port Deformantów z nieznanych przyczyn rozpruł się, gdy mijał ε Eridani. Nie przeżyłu żadnu Deformant. Po katastrofie pozostało tam nieregularne ugięcie czasoprzestrzeni, siejące losowo wiązkami długich kraftfal. Obiekty złapane w siodło takiej fali ześlizgiwały się poza zasięg ziemskich teleskopów z prędkością ponadświetlną.

W końcu parę państw z Ziemi wysłało ekspedycje dla zbadania fenomenu. Pierwsze trzy szlag trafił, Złamany Port połknął je bez śladu. Była to oczywiście wielka nieostrożność ze strony naukowców, że pchali się tak prosto w paszczę wulkanu, ale wtedy właśnie *Homo sapiens* jeszcze się zupełnie nie znali na kraftunku. Wiedza, technologia przyszły dopiero potem; na Złamanym Porcie ludzie nauczyli się podstawowych praw, dzięki niemu zbudowali swoje pierwsze Kły, dzięki niemu przekroczyli Drugi Próg Progresu.

Zważywszy na wieki dryfu, „Wolszczan” został znaleziony we wcale niezłym stanie. Musiał jednak przechodzić przez jakiś systemowy śmietnik, bo podziurawiło go mniejszymi i większymi meteorami niemal na wylot. Wszystkich sześcioro członków załogi znaleziono w anabiozerach. Dwoje nie żyło już przed ich zamknięciem, reszta zmarła w efekcie postępującej degradacji sprzętu.

Teraz de la Roche doceniału znaczenie Adama Zamoyskiego, który w rzeczywistości mógł nazywać się inaczej, lecz nikt nie wiedział jak, bo jego DNA nie odpowiadało żadnemu z sześciu DNA zachowanych w Plateau jako DNA członków załogi feralnego statku. To samo dotyczyło zresztą dwóch innych trupów.

Czyżby ktoś podmienił w głębokim kosmosie troje ludzi? Zmienił DNA i RNA każdej ich komórki, wszystkich mitochondriów? To ewidentnie wskazywało na interwencję technologii z wyższych rejonów Krzywej. Czyżby Piąty Progres? To byłoby coś! Czy Gnosis konsultowała sprawę z antari, rahabami i usza? Trzeba by wystosować oficjalne zapytanie. De la Roche uznału, że nie powinno ono wzbudzić żadnych podejrzeń: zwykła ciekawo ść. Wysłału zatem Traktem laufra do Pól korporacji. Kilka Kplanców później laufer przyniósł odpowiedź sprowadzającą się do jednomyślnego dementi wszystkich trzech Cywilizacji.

Może więc jacyś Deformanci. Mhm. Trudno powiedzieć.

Niemniej wskrzeszeniec reagowa ł na nazwisko Adama Zamoyskiego, Adamem Zamoyskim się pamiętał – Gnosis tymczasowo zaakceptowała tę tożsamość.

Maximillian podesz łu do Zamoyskiego, który zbierał właśnie odłamki szkła z ziemi. (Tylko jeden kieliszek się rozbił).

– Dzień dobry.

– A tak, tak. Wygrał pan, czy przegrał?

– Ja się nie zakładałum.

– Kiedyś żonglowałem pięcioma.

– Naprawdę?

Zamoyski wyprostował się, zawinął szkło w serwetkę, rozejrzał się i wrzucił je do najbliższego kosza.

Prymarna Maximillianu przyglądała mu się spokojnie, z rękami założonymi za plecami. Analiza angielskiego, jakim posługiwał się Zamoyski, wskazywała, iż nie stanowił on jego języka ojczystego.

Ciekawe, jak szczelny jest ten filtr retro.

– To podobnie jak Wielka Loża – rzekłu prymarnym de la Roche. – Trzy naraz i wszystko spada, rozpryskuje się w drobny mak.

Zamoyski zignorował słowa Maximillianu, spoglądał obojętnie, głowa ani drgnęła, nie poruszyły się oczy.

Analizer behawioru nie miał wątpliwości: Zamoyski nie usłyszał nic ze słów Maximillianu, SI ocenzurowała.

Biedny półtrup, żyje w XXI wieku.

– Ponoć jest pan kosmonautą.

– A tak, tak. – Tym razem zareagował. – Kosmonautą. Byłem. – Wykrzywił się dobrodusznie. – Misiu zakopiański. Chce się pan sfotografować?

– Nie, dziękuję. Miał pan jakieś ciekawe przygody?

– Słucham? – mruknął roztargniony Zamoyski.

Już bowiem na czym innym skupiał swą uwagę – zawiesił wzrok ponad ramieniem prymarnej de la Roche'u, na wysokości zamkowych blanków.

– W kosmosie – ciągnęłu phoebe gładkim, niskim głosem, obracając ku mężczyźnie tułów i przechylając głowę. – Przydarzyło się panu coś ciekawego? Wie pan, ludzie różne rzeczy opowiadają…

– A tak, tak. Coś ciekawego. Na pewno.

Pocierał o siebie nerwowo wnętrza wielkich dłoni. Czy to jest jego oryginalny fenotyp, czy też przeskalowano go do współczesnych warunków? Zresztą czy naprawdę był Adamem Zamoyskim? Wszystko sprowadzało się do arbitralnych decyzji. Wybrano mu zatem ciało o wysokości metra i dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów i dzięki temu był teraz wzrostu średniego.

Prymarna Maximillianu miała jego spoconą twarz na wyciągnięcie ręki. Jasnobłękitne oczy Zamoyskiego celowały tuż obok.

Na Polach phoebe'u pytania mnożyły się niczym gorąca kultura bakteryjna. Czy dobór wieku i rzeźba fenotypu wskrzeszeńca były przypadkowe, czy też wynikały ze skanu jego mózgu sprzed rekonstrukcji? Czy Gnosis dysponuje dodatkowymi, nieujawnianymi informacjami o wyprawie „Wolszczana"? W jakim celu Judas wpuścił tę ofiarę między gości weselnych?

Oblicze miał Zamoyski pobrużdżone głębokimi zmarszczkami, brwi zgoła nastroszone, wąs gęsty, usta jak pęknięcie kamienia. Bardzo barczysty, pochylał głowę do przodu.

Na peryferyjnych Polach Maximillianu wybuchały szybkie atraktory skojarzeń wizualnych: bokser – byk – buldożer – taran.

– Co takiego? Jakaś przygoda w kosmosie? Ha, może i trafiliście na ślad życia pozaziemskiego! Wie pan, jakie plotki się bez przerwy słyszy? – dopytywału się de la Roche, cierpliwie sondującu precyzję filtra nadzorczej seminkluzji.

Ale on, Zamoyski – nie usłyszał? zignorował? był zbyt pijany? namyślał się tak długo? Bo znowu nie odpowiedział.

Z głębi namiotu wróciła jego żona, szczupła brunetka w przewiewnej bawełnie.

Żona? Plateau naświetla inny obraz: nanomatyczna kukła strażniczej SI. Skromna wizytówka plateau'owa informuje o statusie manifestacji: leasing Gnosis Inc… – cesarska licencja bezterminowa – funkcja terapeutyczna.

– Ile pamięta? – zwróciłu się do niej de la Roche, pewnu, że seminkluzja to wytnie i Zamoyski nie usłyszy słów, nie spostrzeże nawet ruchu warg.

– Z pamięci krótkoterminowej niewiele ocalało – odparła SI, wygładzając białą sukienkę.

Minęła manifestację phoebe'u, obdarzając ją kosym spojrzeniem, i ujęła Zamoyskiego pod ramię. Adam nie uczynił ruchu, by się wyrwać, nie uczynił ruchu, by przygarnąć ją bliżej, nie zmienił też wyrazu twarzy. Wydawał się być już dość mocno odurzony – choć przed chwilą żonglował czterema kieliszkami. Czyżby seminkluzja była w stanie nakładać nań tak brutalne blokady?

– Przenieśliście go na Plateau, czy ma tylko siatkę na korze?

– Tylko wszczepkę nanomatyczną – odparła SI, prowadząc powoli „męża" na słońce. – Rozszerzoną konekcyjkę Czwartej Tradycji. Stahs Judas ma nadzieję w końcu ją usunąć.

– Kupi mu obywatelstwo? – De la Roche postępowału za nimi.

– Może. – Seminkluzja uśmiechnęła się dwuznacznie. – To zależy. Proszę go zresztą samu zapytać, phoebe.

Obydwie manifestacje nanomatyczne obejrzały się równocześnie na McPhersona. (Na biologiczną manifestację McPhersona, myślału Maximillian). Judas McPherson sunął w swym fraku przez gęstniejący wokoło tłumek gości, w stronę młodej pary, skrytej w cieniu pierwszych drzew parku, za stołami z prezentami. Na wargach: monarszy półuśmiech. W oczach: złośliwa ironia i pogarda. Jego oczu Maximillian nie widziału przez czarne szkła okularów Judasa, lecz taki wyraz miały one w 99% modeli frenu stahsa Judasa McPhersona hodowanych na Polach de la Roche'u.

– No właśnie – westchnęła zza ich pleców – Kto? Błyskplanckowa analiza głosu i Maximillian już wie, że to – Angelika, najmłodsza córka McPhersona, siedemnaste jego dziecko według starej Tradycji – przeciągając westchnienie, mówi na wydechu:

– Przypuszczam, że tak to wygląda na wszystkich weselach, na które go zapraszają: on jest zawsze główną atrakcją, centrum uwagi.

Odwrócili się do niej, prymarna SI się ukłoniła, Zamoyski ucałował dłoń.

Angelika uśmiechnęła się do niego serdecznie.

– Panie Zamoyski, panie Zamoyski… znowu pan przesadził? Może jednak jakieś łagodniejsze trunki. Nie smakują?

– Smakują – odrzekł mężczyzna, ostrożnie artykułując głoski. – Wszystko tu smakuje. Ale są zbyt… powolne.

– Tak?

– Niestety – pokiwał głową. – Jestem alkoholikiem – rzekł i porwał z tacy przechodzącego obok kelnera kolejny kieliszek.

– O? A czemuż to?

De la Roche zachichotału w duchu. Cóż za dialog przez stulecia…!

Bo właściwie na ile subtelne mogą być ingerencje nadzorczej SI? Czy powinna ona na przykład przeredagować ostatnie pytanie Angeliki? McPherson zapytała jak o wybór, lecz Zamoyski pochodzi z epoki fatalizmu, z epoki predestynacji ciała i umysłu. Pili, bo musieli. Chorowali, bo musieli. Umierali, bo musieli. Nie było wyboru.

Nawet więc jeśli słyszy – to co słyszy? co rozumie?

– Tego drinka – Zamoyski jął tłumaczyć z poważną miną, nachylając się na prostych nogach ku czarnowłosej dziewczynie; upadająca wieża, ludzki obelisk – tego drinka wypiję, bo poprzedni był zbyt słaby. Tamtego potrzebowałem, bo ten przed nim nie starczył. A on – – Ach. Więc w takim razie jaka była Pierwsza Przyczyna?

– Pierwsza Przyczyna, moja droga – Zamoyski uniósł kieliszek pod światło i przymknąwszy lewe oko, studiował barwę płynu z uwagą godną kipera – Pierwsza Przyczyna zawsze stanowi tajemnicę.

Angelika czubkiem pantofla zakreśliła linię na suchej ziemi między sobą a Zamoyskim. Zamoyski opuścił wzrok na jej opaloną łydkę. Angelika – biologiczna manifestacja Angeliki – była wysoka, szczupła, lecz o widocznych, dobrze rozwiniętych, długich mięśniach. Mało przypominała ojca. Tradycja wymusza niezakłócony transfer genów – kościec miała zatem po matce lub pradziadku.

De la Roche wchłaniału informacje: Angelika Maria McPherson – Pierwsza Tradycja – dziewiętnaście lat – czternasty rok nauki w jezuickiej szkole w środkowej Afryce – niejawny status w strukturze dziedziczenia McPhersonów – żadnych oficjalnych deklaracji – archiwizowana w cyklu rocznym lub półrocznym – brak zarejestrowanych plateau’owych łączy czasu rzeczywistego – nigdy nie opuszczała Ziemi – nieznana orientacja polityczna…

Analiza jej słów: kompleks ojca, sprzężenie miłości i zawiści, zbyt głęboki cień, zbyt jasne ambicje, autoironia.

Prognozy korzyści: zbyt skromne dane.

Behawioralne modele frenu: jeszcze bezużyteczne, prawie wyzerowane.

Angelika zerknęła na phoebe'u, przekrzywiając i opuszczając nieco głowę, aż czarne włosy częściowo przesłoniły jej spaloną na mahoń twarz. Ponieważ jednak wciąż się uśmiechała, miało to pozór dziecięcej zabawy w chowanego, w której wszyscy i tak podglądają przez palce. Bezsłowna zachęta: zabaw się ze mną. Seminkluzja i filtrowany wskrzeszeniec nie byli dla niej pełnoprawnymi partnerami do rozmów. Instynktownie zwracała się więc do phoebe'u.

Wyczuwają to – myślału de la Roche – jak kwiat wyczuwa położenie Słońca na niebie, i kierują się zawsze w tę stronę: w górę Krzywej.

Stojąc między psem i bogiem, ku któremu człowiek obróci twarz?

De la Roche puchłu od eksplodujących w samym rdzeniu jenu osobowości atraktorów pogardy.

– Knujemy, knujemy… – zanuciła Angelika. – Dlaczego phoebe po prostu nie porozmawia z tatą?

– O czym?

– O losach rewolucji.

– Jestem praworządnym obywatelem Cywilizacji – obruszyła się manifestacja de la Roche'u. – Czemu sądzisz, stahs, że, jak raczyłaś się wyrazić, knuję przeciwko niemu? Zostałum zaproszony na wesele i przybyłum.

Angelika wydęła policzki – ekwiwalent demonstracyjnego wzruszenia ramionami.

– Obserwowałam cię, phoebe, krążącenu między gośćmi. Bolszewik sycący oczy ostatnim przepychem Romanowów. Normalnie prowokowałubyś kłótnie na każdym kroku, rzuciłu się na ojca już na schodach, prawda? Nie tak zazwyczaj było? A tymczasem nic podobnego. Radujesz się własną wymuszoną pokorą. Tak sobie próbuję odgadnąć twoje myśli, phoebe: Dzień Sądu jest bliski. Oto Zło, które upadnie. Czyż nie?

Zawrzału na Plateau, ledwo zaczęła mówić. Zdrada! Zdrada! Zresetować się! Wypalić Pola! Skąd wie?

Czy rzeczywiście mogła to odczytać z jenu zachowania? Tak potężne błędy w algorytmach behawioralnych? Sprawdziłu swą barierę osmotyczną, ale nic nie wyciekało w Plateau, w każdym razie nic ponad normę.

Narzuci łu sobie najtwardszy protokół emocji.

– Mam nadzieję – rzekłu primusem z gorącym przekonaniem – że Dzień Sądu rzeczywiście jest bliski.

Ukłoniłu się sztywno i odeszłu.

Zamoyski spojrzał pytająco na prymarną SI. Kobieta okazała zmieszanie.

Wysunąwszy koniuszek języka, Angelika rysowała czubkiem pantofla drugą równoległą linię. Zazwyczaj pojawia się zarys półkola, ludzkie kończyny nie poruszają się po prostych, lecz po łukach – dopiero trzeba sprzeciwić się ciału, świadomie poprowadzić mięśnie. Narzędzie wpływa na kontrolujący je umysł – a nie powinno.

Ze wzrokiem opuszczonym ku ziemi i oczyma skrytymi za włosami, Angelika zastanawiała się, czy cała ta rozmowa z liderem Horyzontalistów od początku do końca nie była z jej strony wielkim błędem. Ojciec Frenete mawiał: *Pokora to oręż pysznych. Nikt nie jest doskonały. Lecz mądrzy wykorzystują także własne niedoskonałości. Kompleks wyższości najlepiej kryje się pod maską głupoty*. A przed chwilą zlekceważyła tę radę, głośno oskarżając de la Roche'u o dwulicowość. W wyższych sferach – w sferach, w jakich obraca się na co dzień ojciec Angeliki – udawanie głupszego i gorzej poinformowanego to wręcz podstawa *savoir-vivre'u*. Prawdziwe Potęgi, skryte w cieniu, sączą szampana w manifestacjach łagodnej ignorancji. To gorącokrwiści parweniusze obnoszą się ze swą wiedzą i inteligencją – co za bezguście, co za kicz.

Ojciec Frenete poleciłby jej teraz przywołać wspomnienie największego upokorzenia. Byłoby to pewnie wspomnienie którejś z lekcji z ojcem Frenete. W istocie stary jezuita stanowił centralną postać w życiu Angeliki, do niego biegły najpierwsze jej myśli, odruchowe skojarzenia, jak choćby w tej chwili.

A Judas McPherson, jej biologiczny i prawny ojciec… cóż on znaczył, był gwiazdą odległą, może i przewodnią, może i słońcem, w którego ogniu płonęła od dzieciństwa – ale taki też był jej stosunek do niego: niezachwiana obojętność wobec obiektów astronomicznych.

Dwakroć odwiedził ją w Puermageze. Po raz pierwszy – w dziesięć miesięcy po oddaniu jej jezuitom, gdy miała sześć i pół roku. Po raz drugi – trzy tygodnie temu, kiedy Angelika już wiedziała, że i tak spotkają się wkrótce na ślubie Beatrice.

Pierwszej wizyty, mówiąc szczerze, właściwie nie pamiętała. Coś jej przywiózł w prezencie – co? Słodycze, ubranie? Zabrał ją na spacer po okolicy. Była wtedy pora deszczowa, daleko nie zaszli. Chyba płakała.

Za drugim razem to ona zabrała go na spacer, długi spacer przez Afrykę. Szli trzy dni. Żadnych przewodników, tragarzy; tylko ona i on. W promieniu dwustu mil od klasztoru i wioski Puermageze znała każdy wodopój, każde niebezpieczeństwo terenu. Szła przodem i opowiadała ojcu po francusku sekrety tej ziemi.

Narzuciła ostre tempo. Wkrótce zmęczył się; ocierał pot spod kapelusza i potykał się na nierównościach. Nic nie mówił z braku tchu. Nie zwolniła. Wiedziała, że ojciec, jako stahs Pierwszej Tradycji, nie może się pochwalić żadnymi ulepszeniami ciała, wyjąwszy genblokady antygerontyczne; że jego organizm znosi straszliwy upał równikowego interioru nieporównanie gorzej od jej organizmu, od dzieciństwa przyzwyczajanego do klimatu i wysiłku w tym klimacie. I ojciec też to wiedział – i ona wiedziała, że wie – wiedzieli oboje. A jednak – szedł; dyszał i szedł.

Aż w samo południe zatrzymała się i usiadła w cieniu wielkiego chlebowca. Zwalił się bezwładnie obok. Odłożyła karabin i podała ojcu manierkę. Odczekał, by się nie zakrztusić, i wypił. Siedzieli w milczeniu. Słuchała, jak powoli uspokaja oddech; czuła ostry zapach jego potu. Zsunąwszy okulary, spod zmrużonych powiek obserwował sępy ucztujące na truchle hieny. Poruszały się tylko jego gałki oczne, odchylona i oparta o pień głowa Judasa McPhersona nie drgnęła ani o milimetr, nawet wtedy, gdy pochwycił w ciemne źrenice badawcze spojrzenie córki.

Kiedy cienie wydłużyły się, wstała i ruszyli dalej. Szła wolniej. Teraz już nic nie mówiła. Przed zmrokiem ustrzeliła kaleką antylopę, która sama podkulała jej pod lufę. Angelika rozpaliła ognisko i, podwinąwszy wysoko rękawy przepoconej koszuli, oskórowała zwierzę, podzieliła tuszę. Ojciec siedział na kamieniu, pochylony, łokcie wparł w kolana, kapelusz przesunął do samej granicy krótko przyciętych włosów. Odblaski szybkiego ognia ożywiały jego nieruchomą twarz. Patrzył, jak ona radzi sobie ze zwierzyną, całe przedramiona miała we krwi.

Wtedy odezwał się po raz pierwszy od opuszczenia Puermageze.

– Mógłbym się w tobie zakochać.

Zaskoczona, uniosła głowę.

– Jestem ponoć twoją córką – mruknęła.

– Tak, teraz widzę, że jesteś. – Uśmiechnął się. – Wszyscy zakochujemy się w gruncie rzeczy w samych sobie.

Nie wiedziała, co odrzec, więc tylko nasadziła udziec na ostrugany kijek i zawiesiła nad ogniem. Wytarła ręce.

Już gotowa, spojrzała mu w oczy.

– Przybyłeś odebrać przysięgę lojalności? Przysłałeś mi zaproszenie do Farstone. Czy to znaczy, że jestem już wolna?

– Brakuje ci do pełnoletności pięciu lat.

– I będziesz mnie tu trzymał do końca?

– Tak ci źle u jezuitów?

– To więzienie! – wybuchnęła.

Rozejrzał się po nocnej sawannie.

– Raczej rozległe.

Żachnęła się.

– Wiesz, o czym mówię. Zesłałeś mnie tutaj.

– Jak sądzisz, czemu?

– Taa, nie wątpię, miałeś swoje powody.

Pokręcił głową, aż strzeliło mu w karku.

– Wszyscy rodzice dokonują jakichś wyborów, gdy decydują się na dzieci. My, z Pierwszej Tradycji, nie manipulujemy genami. Ale nikt nie odmawia nam prawa do wyboru, w jaki sposób dzieci zostaną wychowane. To mieści się w Tradycji, to zawsze była prerogatywa rodziców. A przecież przez wychowanie rzeźbimy dzieci jeszcze głębiej niż po prostu rzeźbiąc ich DNA. Tradycja daje mi dwadzieścia cztery lata. Zamierzam je wykorzystać. Nie zdziwię się, jeśli po tym czasie otrzymam córkę, która mnie nienawidzi; ale będę na ojczulków wściekły, jeśli ta córka nie okaże się silną, mądrą, samodzielną kobietą. Za wiek, za dwa spotkamy się na jakimś przyjęciu na zamku i wtedy powiesz mi, czy źle postąpiłem.

– Wtedy ci powiem.

Przypomniała sobie, że Judas McPherson zna generała jezuitów od niepamiętnych czasów. To Gnosis kupiło dla zakonu Puermageze. Już nieraz przysyłał tu swoich wnuków, swoje dzieci. Hoduje własną rodzinę, jak się hoduje egzotyczne odmiany kwiatów. Co można czuć do takiego ojca? Co czuje krzew do ogrodnika, którego dłoń go przycina?

Musiał zobaczyć to w jej oczach.

– Jak sądzisz, ku jakiemu kształtowi wychowuje się dzieci? – westchnął. – W gruncie rzeczy cel jest tylko jeden: uczynić z nich dobrych ludzi. Niezależnie od tego, jak ci i owi definiują „dobrego człowieka”. Zgadzasz się?

Ostrożnie skinęła głową.

– Otóż przekonałem się – ciągnął niskim głosem – przekonałem się, że nie istnieje i nie może istnieć żaden taki system etyczny, żaden uniwersalny, spójny wzorzec zachowania, mniej lub bardziej rozwinięty zbiór przykazań… których stosowanie gwarantowałoby człowiekowi pewność słusznego wyboru. Zawsze, prędzej czy później, ale zazwyczaj naprawdę szybko – zawsze stajesz w sytuacji, do której system się nie stosuje albo też daje sprzeczne zalecenia.

– Etyczne Twierdzenie Gödla.

– Bo przecież w życiu nie oceniamy czynów poprzez przyłożenie do takiego wzorca. Dzieje się inaczej. Spotykamy, patrzymy i reagujemy: dobre; złe; a najczęściej coś pomiędzy. Każdy przypadek jest wyjątkiem. Zbieżności z zasadami są rzadkie. Jak zatem – jeśli nie przekazując wiedzę i doświadczenie – jak inaczej mogę wychować swe dzieci? Tylko tak właśnie: sprawiając, by potrafiły prawidłowo reagować na nieprzewidywalne – by umysł umiał się adaptować, rozpoznać dobro i zło w tym, co widzi po raz pierwszy, czego nikt nigdy nie widział. Mówię o profilowaniu twej sieci neuronowej. Ale znowu: jesteśmy stahsami. Nie mogę tego zrobić – nie bezpośrednio. Jedynie poprzez wpływ na dostarczane twemu umysłowi bodźce. Co się od wieków nazywało w y c h o w y w a n i e m d z i e c i.

– Więc – – Więc – Puermageze i zakon. Myśl o nim jako o ogrodzie, którego gleba posiada odpowiedni skład chemiczny.

– Ale nie Farstone, ono nie.

– Nie Farstone.

– Zły przykład byś mi tam dawał.

– Uważasz, że na tym to polega? Na braniu przykładu? Czy bierzesz przykład z ojców jezuitów?

– Nie uczynię tego swoim dzieciom. To jest…

– Jakie?

– Upodlające.

– Zapewne. Co nie przeszkadza w wychowywaniu. Bo co stanowi jego przeciwieństwo? Przypadek.

Przynajmniej miałabym pewność, że przypadek nie posiada co do mnie żadnych planów; że sama nie zostałam zaplanowana.

Ale było w niej obok goryczy także ciepłe zadowolenie: że nie opuścił mnie, nie zapomniał, że przez te wszystkie lata w Farstone, choć fizycznie nieobecny – w y c h o w y w a ł m n i e.

Drugiego dnia przeci ęli drogę stadu słoni składającemu się z dziesięciu dorosłych osobników i dwóch młodych. Ojciec zatrzymał się i obserwował zwierzęta przez blisko godzinę.

– Na pewno macie wiele planet ze znacznie ciekawszą fauną – zauważyła.

Skinął głową.

– Ale to są s ł o n i e – rzekł. – O tamtych zwierzętach nie śnię.

Dreszcz po niej przeszedł. Odwróciła spojrzenie, by się nie zorientował. Co jeszcze jest do odziedziczenia? Zagryzła wargi.

Kiedy już wracali, na ostatnim postoju, zagadnął ją o plany na przyszłość.

– Wyrwać się stąd – strzeliła bez zastanowienia.

– I?

– I przekonać się, czy jest coś piękniejszego od wschodu słońca nad Afryką – rzuciła po chwili, wpychając nogą konar do ogniska. To oczywiście był unik, nie szczera odpowiedź; ale dobry unik.

– Ambicje?

Pokręciła głową.

– Nie dam ci ich.

Zaśmiał się – przyjaźnie, nie szyderczo, mogła się przyłączyć.

W kilka dni po jego odlocie, podczas rozmowy z ojcem Frenete, wymknęło się jej coś na temat Judasa.

– A matka? – spytał wówczas jezuita. – Dlaczego nie winisz matki?

– A co ona może, przecież – – Uważasz, że on jej nie kocha?

– Nie wiem. Nie znam jej.

– A jego?

– Też nie.

– Zdobądź się na szczerość: czy w głębi duszy nie jesteś im wdzięczna?

– Może. Chwilami.

– Właśnie po to są takie szkoły jak nasza – rzekł ojciec Frenete, nabijając fajkę. – Nosząc nazwisko McPherson, tak czy owak nie mogłabyś oczeki-

wać zwyczajnego dzieciństwa. Rodzice wybrali dla ciebie Puermageze. Nierozsądne jest uważać, iż chcieli ci tym wyrządzić krzywdę. A że masz im za złe – to dobrze świadczy o tobie. A więc i o ich wyborze.

Ponieważ mimo że prawie ich nie pamiętała, czuła się ich córką i tęskniła.

Wczoraj matka zabrała ją na przejażdżkę po Farstone. Przez pierwsze kilka kwadransów tylko podziwiały widoki i przysłuchiwały się przekomarzaniom wierzchowców. Konie dyskutowały oczywiście o polityce.

– Nie przypominam sobie, żebyście trzymali tu genimale – zagadnęła matkę w łacinie, której, przypuszczała, konie nie rozumieją.

Zatrzymali się na wzgórzu, skąd widać było jak na dłoni zamek, jezioro, park i drogę. Matka pochyliła się w siodle, poklepała srokacza po szyi.

– Dostaliśmy kilka w prezencie od Huzaiu. Nie wypada zbyt szybko się ich pozbyć, chociaż to niewątpliwie wbrew Tradycji.

Huzai byłu jednum z liderów Wertykalistów. Angelika dobrze orientowała się w aktualnych obrotach politycznego koła fortuny, wykształcenie odbierane u jezuitów wbrew pozorom obejmowało wiele bardzo przyziemnych dziedzin wiedzy. Wertykaliści, przedkładający pionową wspólnotę Progresu nad poziomą wspólnotę poszczególnych jego tercji, stanowili naturalnych sojuszników McPhersonów i Gnosis Incorporated.

– Jak na przyjaciela, dosyć kłopotliwy prezent.

– Huzai nie jest przyjacielem. Nie naszym w każdym razie.

– Może ktoś powinien mnie wtajemniczyć w strategię klanu.

– Nie sądzę.

Angelika z trudem, bo z trudem, ale opanowała pierwszy odruch i nie spojrzała na matkę. Odwróciła wzrok na lasy i góry.

Matka musiała spostrzec jej reakcję. Zaśmiała się cicho.

– Och, dziecko, jesteś McPhersonem do szpiku kości…!

Matka była wysoka, miała szarozielone oczy, długie, złote włosy wiązała na karku. Zatrzymana w wyglądzie swych kolejnych pustaków na trzydziestu latach, Anna McPherson w rzeczywistości liczyła ich sobie blisko czterysta. Była bardzo piękna, tak jak wypadało.

Podjechała do Angeliki, przechyliła się w siodle, objęła ją ramieniem i przyciągnęła. Uścisnąwszy mocno, szepnęła jej prosto do ucha, tak że Angelika z trudem rozróżniła słowa w huraganie ciepłego oddechu:

– Nikt ci nie odbierze, co ci się należy. Wiedzieliśmy już, gdy skończyłaś pięć lat. Pamiętam cię. Pamiętam cię, córeczko.

Ale Angelika matki prawie nie pamiętała. Czternastoletnie wygnanie pod straszne słońce Afryki uczyniło z niej obcą w rodzinnym domu, obcą pośród braci, sióstr, kuzynów. Lecz niespodziewanie wyszeptane przez Annę McPherson słowa obudziły w Angelice zalążek egoistycznej dumy, której pełną postać już w sobie przeczuwała.

Krążąc teraz między weselnymi gośćmi – a byli to przecież przedstawiciele najwyższych sfer Cywilizacji, od pierwszej do trzeciej tercji Progresu – raz po raz czuła ukłucia tej cierpkiej satysfakcji, przyjemności o smaku chininy; mogłaby się od niej uzależnić. Wiatr przyklejał sukienkę do ciała, słońce grzało przyjemnie, powietrze pachniało wilgocią. Uśmiechała się uprzejmie. Patrzą na nią – i co widzą? Kolejny niebezpieczny sekret McPhersonów. Ktokolwiek spojrzy, zaraz organizuje przeczesywanie Plateau w poszukiwaniu strzępów pieśni o najmłodszej córce Judasa McPhersona. U stahsów późnych Tradycji mogła nawet zaobserwować charakterystyczny brak skupienia wzroku, gdy spoglądając na nią – w pół ukłonu, w trakcie wznoszenia kieliszka – w OVR czytali oficjalną etykietkę Angeliki McPherson, zapewne także obszerne wyciągi plotek z Plateau na jej temat.

Sama znała Plateau tylko z teorii. Rzecz jasna, wszyscy jezuici stosowali się sztywno do reguł Pierwszej Tradycji. Dopuszczano wprawdzie korzystanie z VR, o ile cząstkowej i jednozmysłowej (z takiej korzystano już w XX wieku), lecz Angelika miała do czynienia wyłącznie z interfejsami zewnętrznymi (żadnych wszczepek, bezpośrednich przyłączy nerwowych); a już nigdy nie korzystała z OVR, brutalnie mieszającej VR z rzeczywistością, i nie manifestowała się w Ogrodach ani w Domu Cesarskim. Nic dziwnego, że goście niewiele mogli się o niej dowiedzieć. Ale to oczywiście jedynie wzmagało ich ciekawość.

Coraz bardziej ją to bawiło; złośliwa satysfakcja rosła w niej jak balon zimnego helu (ta lekkość w piersi), jak grzyb drzewny, inwazja nowotworu. W końcu nie zdołała się opanować i wbiła szpilę phoebe’u de la Rochewu. Niestety, powiodło się jej aż nazbyt dobrze: najwyraźniej trafiła w sam nerw.

Pokora, powtarzał ojciec Frenete, pokora. Ona jest najsubtelniejszą formą obrazy. A jeśli nie potrafisz wyzbyć się pychy, przynajmniej nie okazuj jej

w sposób wulgarny.

Przed ceremonią ślubną jednu z asystentów ojca – zresztą jego osobisty sekretarz, również należącu do klanu McPherson: Patrick Gheorg – zapoznału ją z listą gościi ich zwyczajowymi manifestacjami, aby, w braku plateau'owego suflera, nie czuła się podczas przyjęcia zupełnie zagubiona. Gdy dotarli na tej liście do Zamoyskiego, a Patrick opowiedziału jego historię, w krótkim dreszczu zrozumiała – dopiero wtedy – cały tragizm sytuacji zmartwychwstańca. Dreszcz był dreszczem przerażenia: a gdyby to mnie coś takiego…?

Przyglądała mu się potem ze współczuciem, jak się upija pod czujnym okiem nadzorczej seminkluzji.

Teraz widziała wyraźnie w ciężkim spojrzeniu Zamoyskiego ów pogodny fatalizm, melancholię o posmaku pleśni. Czy mógł się domyślać prawdy? Czy dlatego właśnie pił?

– Panie Zamoyski… pozwoli pan.

Zgromiwszy wzrokiem prymarną SI, Angelika sama ujęła wskrzeszonego astronautę pod ramię i wywiodła z cienia namiotu w biały huk słońca. Upał nie robił na niej wielkiego wrażenia, nie był ani w połowie tak gęsty jak twarda spiekota afrykańskiego popołudnia. A przynajmniej wyszli z zasięgu spojrzeń zgromadzonych w cieniu gości.

– Panie Zamoyski – rzekła, bez problemu kierując go ku ławkom ukrytym w plamistym półmroku pierwszych rzędów parkowych drzew – niech pan powie: co pan pamięta? Niech pan mi powie. – Jakby zaklęciem swych słów mogła znieść wdrożone przez nanomatyczną sieć blokady jego umysłu. – Jakież to wspomnienia tak panu ciążą?

Dał sobą kierować bez oporu – może było mu obojętne, dokąd idzie, może zadowalała go sama bliska obecność Angeliki. Za manifestacją nadzorczej seminkluzji – swoją żoną, swoją kochanką – nawet się nie obejrzał. Krok miał sztywny, bardzo się pilnował, żeby nie zahaczyć zbyt nisko uniesioną stopą o nierówność gruntu. Już zeszli z rozpościerającego się przed tarasem zamku trawnika, gładkiego jak kort.

Angelika obserwowała Zamoyskiego kątem oka, ostentacyjnie odkłaniając się mijanym osobom. Kłaniali się jej jak dobrej znajomej – znali ją przecież doskonale z plateau'owych kompilacji: znali jej wygląd, jej konstrukcję psychiczną (behawioralne modele frenu spożytkują w swoich analizach nawet rytm jej kroku i kąt pochylenia głowy, nawet to drgnięcie brwi i roz-

chylenie warg), znali historię jej życia (na ile mogli ją prześledzić na podstawie przeciekłych po Plateau informacji), znali Angelikę McPherson chyba lepiej niż ona sama. Taka jest cena chininowej satysfakcji.

Zamoyski zaś patrzył prosto przed siebie, nie odkłaniał się nikomu. Dzikie zwierzę, teraz okaleczone; nie drażnić, prowadzić ostrożnie. Obserwowała go kątem oka. Każdy z gości weselnych wie o Adamie Zamoyskim więcej od Adama Zamoyskiego – różnica polega na tym, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

Usiedli na ławce pod rozłożystym dębem. Zamoyski wyprostował lewą nogę, pochylił się i energicznie otrzepał czarną nogawkę z wyimaginowanego kurzu. Angelika, która nadal nie puściła ramienia mężczyzny, czuła w napięciach i rozluźnieniach jego mięśni następujące po sobie zawirowania myśli wskrzeszeńca.

Podszedł kelner i Zamoyski zdecydowanym ruchem ściągnął z tacy szklankę z whiskey. Angelika zadowoliła się sokiem pomarańczowym. Ojcowie jezuici trzymali ją w Puermageze z dala od wszelkich alkoholi; jej dotychczasowe doświadczenie ograniczało się do kilku miarek podanego dla rozgrzania rumu oraz piwa pędzonego z prosa przez tubylców.

Zamoyski wychylił w milczeniu swoją whiskey, szklankę z resztką płynu ustawił starannie na prawym kolanie. Przyglądał się jej potem z krzywym półuśmiechem: czy drgnie, czy nie drgnie.

Angelika spojrzała na szklankę, na ten półuśmiech. Wpadli na siebie wzrokiem.

– Panie Zamoyski…

– Amazonko moja droga…

Pogroziła mu palcem.

„Amazonko” – to wtedy zobaczyła go była po raz pierwszy: gdy wracała z przejażdżki z matką; wtedy on ją zobaczył.

Ciskał kamykami po powierzchni jeziora. Odbijały się od spokojnej tafli wody, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Prymarna manifestacja nadzorczej SI stała obok i udawała, że czyta gazetę.

– Niezły jest – mruknął koń matki.

– Zrobi siedem – oświadczył wierzchowiec Angeliki.

– Nie zrobi.

– Zrobi.

– Zakład.

– O co?

Angelika podniosła głos ponad ich niekończącą się kłótnię.

– Kolejny kuzyn? – zapytała.

– Nie, nie. Nawet nie stahs – odparła matka. – Rozbitek. Gnosis go wyłowiła. Judas trzyma biedaka z ciekawości. Ta panna pod wierzbą, ta z „Timesem”, na imię ma Nina – to nanomat SI na jego mózgu.

– SI? Po co?

– Nakłada mu w czasie rzeczywistym zbieżną symulację dwudziestego pierwszego wieku. A on nazywa się Zamoyski. Ponura postać.

– Musi manifestować się zewnętrznie? Ta Nina.

– Zalecenie kognitywisty. Jakie wspomnienia zapadają najgłębiej? Te, z którymi wiązały się największe emocje. Za te sznurki trzeba więc pociągnąć; to widzi, gdy widzi Ninę.

– Miłość.

– Nienawiść. Obie. Cokolwiek odczyta w sytuacji, słowach, zachowaniu. Wskazane są interakcje multipersonalne. Może mu się pamięć częściowo zrekonstruuje.

– Poprzez zazdrość do prawdy przeszłości – mruknęła Angelika. Łacina, która każdorazowo wymuszała chwilę zastanowienia przed wypowiedzią, prowokowała do formułowania zdań gramatycznie powikłanych, sztucznego alegoryzowania sensów.

Podjechały nad brzeg jeziora i konie zamilkły, pijąc. Angelika i matka zsiadły. Zamoyski rzucił jeszcze dwoma kamykami; otrzepawszy dłonie, podszedł do kobiet. Matka dokonała prezentacji.

Ale prymarna SI zaraz zamachała gazetą i przywołała Adama, i na tym skończyło się pierwsze jego spotkanie z Angeliką.

– Jest pijany – powiedziała Angelika do matki, gdy wskrzeszeniec oddalił się na tyle, że nie mógł już jej słyszeć.

– Pijany, nawet gdy bez alkoholu we krwi. Kognitywista nie ma nic przeciwko. Dysponujemy pełną archiwizacją.

– Na co ojcu ten Łazarz? Musi trzymać go we własnym domu?

– Ależ proszę, zapytaj Judasa, może ci odpowie.

Nie miała okazji. Ojciec rzadko pojawiał się w Farstone, a wówczas widywała go jedynie z daleka.

Za to Zamoyski był pod ręką.

– Więc pamięć jakiejż to przeszłości tak panu ciąży?

Wyczekiwała na najdrobniejszą zmianę wyrazu jego twarzy: znak, że SI pozwoliła mu usłyszeć pytanie.

W końcu wykrzywił wargi.

– Czasami wydaje mi się… – zaczął, artykulując słowa z tak wielkim trudem, że aż pochylił się przy tym mimowolnie w przód, ku szklance; w szklankę wbijał wzrok. – Czasami…

– Że?

– Że coś musiało się stać.

– Co?

– Te spojrzenia. Półgesty. Kiedy myślą, że nie widzę. Pani też. I Nina. Wszyscy. Prawnicy korporacyjni. I inni. A na takim lekkim rauszu, trochę lżejszy, trochę mądrzejszy… mam wrażenie, że to ja – że właśnie ja posiadłem jakąś tajemnicę. Zostałem… wyniesiony.

Jakby czytał to na powierzchni alkoholu, słowo po słowie. Nie rozluźnił napiętych mięśni; skulił się jeszcze bardziej. Angelika słuchała go z rosnącym zdumieniem i – czymś w rodzaju podziwu.

Otóż okazuje się, że jednak nie ma filtrów doskonałych: słów ocenzurowanych Zamoyski nie słyszał, widoków niedozwolonych nie widział, ale mimo wszystko coś doń przeciekało – jakoś – w atmosferze, w nastroju chwili, w wyczuwalnym napięciu pomiędzy interlokutorami.

Nie mógł w i e d z i e ć, lecz – p r z e c z u w a ł.

Małe szachy z seminkluzją, pomyślała Angelika, sącząc sok. W oddali, między gośćmi, widziała ojca; nachylał właśnie ucho ku ustom mandaryna. O czym tam teraz mówią, ojciec i Cesarz? Sekrety Cywilizacji na weselu mej siostry. Ale to prawda, to nie jest jej wesele – mało kto przyszedł na nie dla Beatrice i Forry’ego, większość przybyła z uwagi na Judasa McPhersona. Czy mam mu za złe? W roztargnieniu zajrzała do wnętrza swojej szklanicy, nieświadomie kopiując zachowanie Zamoyskiego. Czy mam za złe? Nie, chyba już nie. Nazbyt banalny to powód, by obrażać się na własnego ojca. Pociągnęła kolejny łyk zimnego soku.

No ale miały być szachy z SI. Sięgnęła pamięcią do XXI-wiecznej historii podboju kosmosu.

– Gdzie pana szkolono? Na GLOM-ie?

– Nie, ja byłem z europejskiego kontyngentu – odparł odruchowo, bez zastanowienia.

– Brali żonatych?

– Z tego, co wiem – Grom przetoczył się przez gorące powietrze, wpychając Zamoyskiemu do ust niewypowiedziane słowa. Szklanka spadła z kolana na ziemię. Poderwali się na nogi oboje, Angelika i wskrzeszeniec, on jakby nagle otrzeźwiały.

Wszyscy goście zareagowali podobnie: nerwowe drgnięcie, moment bezruchu, potem spojrzenia w poszukiwaniu źródła dźwięku. Rozmowy opadły do poziomu szeptów. Nadal grała muzyka – skrzypce, coś jakby Strauss, ale zbyt gwałtowne, bez Straussowskiej posuwistości. Rach-rach-rach, rara-rach, rach – Na trawnik wpadła czarna jak heban kobieta z ogniem nad głową.

Była naga, oczy miała krwistoczerwone, paznokcie trupiobiałe. Biegła wielkimi susami. Ludzie sięgali jej do pasa. Metrowej wysokości płomień buchał wzwyż z jej bezwłosej czaszki, oślepiający pióropusz, miecz czystej plazmy.

Goście patrzyli w bezruchu. Na obliczach stahsów zanurzonych w Plateau Angelika dostrzegła skurcze zdumienia, niektórzy rozglądali się dokoła, spodziewając się interwencji Cesarza za pośrednictwem infu. Jeśli jakaś nastąpiła, Angelika musiała ją przeoczyć. Nie mogła oderwać wzroku od kobiety-ognia.

Nie ona jedna. Setki gości, tuziny enstahsowych pracowników firmy wynajętej do organizacji imprezy – wszyscy pogrążeni w przedziwnym stuporze, gapili się, jak straszliwa Murzynka pokonuje gazelimi skokami plac zamkowy, zmierzając do – Angelika przesunęła spojrzenie – prosto do Judasa McPhersona!

Na przedłużeniu trasy olbrzymki znajdowało się kilkanaście osób, lecz Angelika nie miała wątpliwości. I nie tylko ona doszła do takiego wniosku. Ponad tuzin nanomatycznych manifestacji gości rzuciło się przeciąć drogę czarnej sprinterce. Ponieważ obowiązywał je protokół, w porównaniu z Murzynką były w swych humanoidalnych postaciach powolne i niezdarne: nie pobiegną szybciej niż może biec człowiek, nie uderzą mocniej, nie przeżyją, czego nie przeżyłby człowiek.

Wyścig nie trwał dłużej niż kilka sekund, bardzo szybko stało się oczywiste, kto ma, kto nie ma szansy ją dosięgnąć. Pozostały cztery manifestacje zdolne zastąpić jej drogę.

W ówczas zdarzyło się coś dziwnego – Angelika zamrugała, w pierwszej sekundzie nie dowierzając oczom – oto bowiem kobieta-ogień w połowie

skoku, ani trochę nie zwalniając, r o z d w o i ł a s i ę.

Ułamek sekundy później rozdwoiła się ponownie: już cztery żywe pochodnie biegły ku gospodarzowi.

Po takim rozrzedzeniu nanomatycznej manifestacji (nikt już bowiem nie mógł mieć wątpliwości co do natury zjawiska) poszczególne jej kopie pozostaną przez pewien czas stosunkowo słabe, bo oparte na niepełnych wiązaniach. Zarazem jednak swobodna multiplikacja dowodziła, iż biegnąca Murzynka całkowicie lekceważy protokół. A skoro tak, nanomaty ograniczane jego zakazami nie mają żadnej szansy – toteż czworo samozwańczych bohaterów zatrzymało się, przepuszczając ognisty kwartet. Nie istnieje taka gra, w której gracz uczciwy wygra z oszustem ignorującym wszelkie reguły.

Angelika patrzyła na ojca. Mimo odległości widziała wyraźnie.

Pozostały mu sekundy. Nie uciekał. Mówił coś do mandaryna. Mandaryn całym sobą okazywał skruchę Cesarza: padł na kolana, bił czołem przed Judasem.

Judas oddał kelnerowi kieliszek, zdjął okulary i odetchnął głębiej. Z kolei powiedział coś do żony i Angelika ujrzała wtedy ponad ramieniem matki spokojną twarz ojca.

Udało się jej odczytać słowa z oszczędnych ruchów jego warg:

– Malowniczy zamach, nie powiem, postarali się.

Ścisnęło ją w gardle. Zrozumiała, co chciał jej wytłumaczyć pod czarnym niebem Afryki. *Wszyscy zakochujemy się w gruncie rzeczy w samych sobie*.

Mam nadzieję, że zarchiwizowałeś się z pamięcią tych trzech dni w Puermageze.

Oby to było krótkie i bezbolesne.

Pierwsza z kobiet-ogni dobiegła do Judasa, złapała go oburącz i rozerwała na strzępy. Goście spoglądali z zainteresowaniem. Mięso i krew eksplodowały w mokrym trzasku na kilka metrów we wszystkie strony. Kiedyś Angelika widziała, jak dwie lwice rozszarpują antylopę. Antylopa stanowiła ich pożywienie, były więc w tym bardziej higieniczne.

Mandaryn wybuchnął w rzadką chmurę nanomatycznej zawiesiny i pod tą postacią rzucił się na morderczynię. Objął ją wysokim wirem infu; zniknęli za kurtyną kurzu.

Trzy pozostałe kopie zakręciły na pięcie i pognały prosto na Angelikę.

Zamarło w niej serce.

Dlaczego ja? Dlaczego ja? Dlaczego? Pół roku od archiwizacji. Którędy wędruje ból, gdy na początku wypruty kręgosłup?

Uciekać. Dogonią.

Krew do głowy, krew z głowy, lód w piersi.

Usiadła.

Zamoyski widział, jak dziewczyna osuwa się na ławkę, prawie zemdlona, bardzo blada pod ciemną opalenizną. Wyjął jej z ręki szklankę z resztką soku. Nie zareagowała. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi brązowymi oczyma. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, ale niczego niezwykłego nie dostrzegł. Muzyka przestała grać i goście z jakiegoś powodu w większości spoglądali w stronę przeciwległego krańca trawnika. Coś się stało? Co takiego? Rozejrzał się raz jeszcze, zdezorientowany. Może złapać i spytać kogoś z obsługi wesela? Żaden jednak nie przechodził akurat wzdłuż linii drzew.

– Panno McPherson…? O co – Machnęła nań z wściekłością. Podniosła się i wyprostowała energicznie, jakby chciała tu stanąć na baczność.

Adam zmarszczył brwi, usiłując odtworzyć z pamięci dźwięk grzmotu. Niebo bezchmurne. Czy mogła się przestraszyć? Ale czemu przestała grać muzyka?

Im dłużej nasłuchiwał, tym bardziej był pewien, że jakaś muzyka jednak gra, coraz silniej przebijając się przez szum rozmów. Awaria systemu nagłaśniającego? Ale głośniki znajdują się po tej stronie i powinienem – Dziewczyna krzyknęła, Adam obejrzał się na nią i coś z wielką siłą uderzyło go w pierś. Poleciał za ławkę, walnął potylicą o pień dębu. Wypchnięte z płuc powietrze uciekło przez zaciśniętą krtań, usłyszał ten charkotliwy świst.

Obrazy eksplodowały nad nim w aureolach czerwonej mgły:

Angelika wskakująca na ławkę, sięgająca ku czemuś obiema rękami.

Strumień ognia skierowany wprost w jego twarz.

Czarna dłoń, czerwone oko.

Mgła przesłoniła wszystko.

Znowu śnił mu się kosmos. Wraz ze snem objęła go nieważkość. Nieomal jak gdyby fizycznie wyrwał się z władzy grawitacji – zaćmiony wzrok, gorąca głowa, szum krwi. Sztucznie odświeżone powietrze w płucach. Wyprostował rękę i złapał się czegoś. Poczuł pod palcami metal i zrozumiał, że nie ma na sobie skafandra. Przyciągnął się do punktu zaczepie-

nia. Teraz wrócił wzrok. Wielka ciemność, poziomy pas gwiazd. Ekran lub okno; chyba ekran. Gwiazdy przesuwały się w lewo. Rozejrzał się po pomieszczeniu i dostrzegł niewyraźne plamy kanciastych przedmiotów – foteli? pulpitów? Nagle strzeliły spod nich cienie: na ekran wchodziła krzywizna planety. Zanim raptowne szarpnięcie ściągnęło go z powrotem w głąb grawitacyjnej studni, zdążył jeszcze zarejestrować obraz powierzchni globu. Nie była to Ziemia – nie było to żadne z dzieci Słońca.

– Panie Zamoyski! Panie Zamoyski…!

Usiadł i wyrwał się ręce, która nim potrząsała.

– Dobrze się pan czuje? – spytał doktor Soyden.

Zamoyski skinął głową.

– Jak się pan nazywa?

– Zamoyski, Adam. Która godzina?

– Był pan nieprzytomny ponad dziewięć godzin.

– Cholera. Co się stało?

– Przewrócił się pan i uderzył głową o drzewo. Przepiękny guz. Nie trzeba było tyle pić.

Zamoyski pomacał się po potylicy. Rzeczywiście, dorodna śliwa.

Znajdował się w swoim pokoju w zachodnim skrzydle zamku. Wstał z sofy i podszedł do okna.

Stąd, z wysokiego parteru, widział dwie trzecie trawnika. Paliły się już lampiony, konstelacje kul kolorowego światła wypierające wieczorny półmrok poza prostokątny plac zieleni – tam wciąż trwało wesele. Muzyka docierała nawet przez zamknięte okna. Po tarasie przesuwały się tańczące pary w strzępiastych trenach cieni.

Skrzypnęły drzwi, Zamoyski obejrzał się: to weszła Nina.

Weszła, spojrzała na doktora Soydena, na Adama i odetchnęła z ulgą.

– Już się bałam, że wstrząs mózgu albo i jeszcze gorzej – rzekła, podchodząc.

– Najwyżej byśmy sczytali drania, większy byłby pożytek – mruknął doktor do Niny. – Jak tak dalej pójdzie, będę musiał napisać go od nowa. Powiedz Judasowi, żeby w końcu wyjął go z ciała i włożył mi do słowińskiego Czyśćca, po dwóch godzinach dam mu milion wyfrenowanych Adamów Zamoyskich i może się trafi jakiś fren bardziej poukładany od zapijaczonego pajaca. Co? No co? O co ci – Nina podeszła do Zamoyskiego – od-

sunął się. Wyciągnęła rękę – odtrącił ją. Nie patrzył na kobietę, patrzył na Soydena.

– Panie doktorze – zaczął powoli, obchodząc fotel z przeciwnej strony – panie doktorze, czy byłby pan tak miły i powtórzył, co właśnie powiedział?

Doktor Soyden zerknął na Ninę.

– Co jest grane?

– Otóż to, Nino – uśmiechnął się Zamoyski – może nam wyjaśnisz, co jest grane?

Ninie najwyraźniej nie spodobał się ten uśmiech.

– Daj spokój, Adam, zaraz to wszystko – Doktor Soyden patrzył za zbliżającego się Zamoyskiego w zdumieniu graniczącym z fascynacją.

– Czy on będzie mnie bił?

Nina zapadła z westchnieniem w obity skórą fotel, czarna skóra głośno zatrzeszczała.

– Nie jest to wykluczone.

– Będzie mnie bił! – zakrzyknął wysokim głosem Soyden, prawie uradowany.

Zamoyski opuścił wzrok na swoje zaciśnięte pięści. Nie miał na sobie marynarki, krój białej koszuli nie był w stanie ukryć szerokich barów i grubych ramion. Przygarbiony, Adam tym bardziej przypominał nachylonego do szarży byka.

– No tak. No tak. – Poruszał szczęką, żując te słowa niczym kamienie, niemal słyszeli, jak zgrzytają między jego zębami. – No tak. Tak. Tak. Tak. No tak.

Doktor Soyden teatralnym gestem otarł pot z czoła.

– Ach, palec Boży, coś się zacięło w naszym golemie. – Ukłonił się Ninie. – A ty lepiej się sama prześwietl, zanim Judas każe cię zresetować. Idę do rycerskiej coś zjeść, ledwo trzymam się na nogach, od południa same alarmy, co za dzień, słowińczyk by nie nadążyłu…

Wyszedł, nadal mamrocząc pod nosem.

Zamoyski obrócił się na pięcie, zrobił dwa długie kroki i stanął nad Niną.

Uniosła brew.

– Oho.

– Mów!

Pokazała mu język.

– Walnąłem łbem o pień – zaczął powoli. – Ktoś… coś mnie pchnęło; pamiętam. Co tam się stało? Co z Angeliką McPherson?

– A co miało się stać? Może ty się lepiej połóż i prześpij, co?

– Dziewięć godzin spałem!

– Ha ha, żeby tylko!

– Co to za gierki? Znowu mnie – – Znowu? – uśmiechnęła się, machinalnie przekręcając pierścionek na palcu. – Znowu? Jakie „znowu”? Chcesz się zabawić? Co? Skoro i tak cię rozharatało – skoro i tak oboje wylądujemy na śmietniku i nie muszę cię już głaskać po główce, może istotnie młot bardziej skuteczny – no to powiedz mi: kim ja jestem?

– Nina – – Tak?

– Nina – – No i?

– Nina – – Słucham.

– Nina.

– Nina, Nina, Nina. Jakie imiona noszą nasze dzieci? Syn? Córka? Mamy w ogóle dzieci? Nie, to ja jestem twoim dzieckiem. Jestem? Nie jestem? Chciałbyś mnie przerżnąć? – Uszczypnęła się przez sukienkę w sutek, uśmiech nie schodził jej z warg, niewinny, namiętny, szyderczy, współczujący, zły, cokolwiek o niej Zamoyski pomyśli, będzie to prawdą.

– Nina, Jezu Chryste, ja – Mur, biała ściana, miękki materac – uderzył, odbił się, uderzył, odbił, nie było o co zaczepić skojarzenia, drapał powietrze, wbijał zęby w dym, Nina, Nina, Nina, pustka i chaos.

K i m o n a j e s t? Zachowuję się wobec tej kobiety jak wobec osoby bliskiej mi od lat, każde słowo odwołuje się do pamięci tysiąca innych słów, każdy gest – do pamięci tysiąca innych gestów, starzy znajomi tak naprawdę nigdy nie rozmawiają ze sobą, lecz ze skumulowanymi wspomnieniami swych poprzednich rozmów – z kim ja rozmawiam teraz? K i m o n a j e s t? Jak ją poznałem? Gdzie ją poznałem? Przywiozłem do McPhersona ze sobą, przyleciała z delegacją TranxPolu, czy sama? Skąd w ogóle się wzięła? Nie jest Polką, rozmawiamy po angielsku. Ten akcent… Amerykanka? Nie znam nawet jej narodowości! Chryste Panie, cokolwiek, obraz, głos – najbłahsze wspomnienie z naszej przeszłości – nie ma, nie ma, nie ma. Pamięć o Ninie sięga zaledwie kilka dni w głąb. Kilka dni, czas mej wizyty u McPhersona.

– Przepraszam…

Zrozpaczony – na pewno widziała tę rozpacz – sięgnął ku niej otwartą dłonią, jakby dotyk potrafił wydobyć na powierzchnię umysłu, czego nie wydobędą słowa. Kobieta czekała na dotknięcie z biernością domowego zwierzęcia, kwiatu, mebla. Wzdrygnął się, odstąpił. Nie poruszyła się. Czy ona w ogóle oddycha? Zamoyski zwątpił. Guz pulsował na potylicy ciepłym bólem, uderzyłem się przecież w głowę, takie rzeczy się zdarzają…

Przyglądała mu się z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, jak twarz lalki – lub trupa.

Wyszedł z pokoju.

Usłyszał, że wstała i idzie za nim. Zmusił się, by nie spojrzeć za siebie.

Długi korytarz prowadził z zachodniego skrzydła na centralną galerię, zawiniętą w podkowę ponad przestronnym głównym holem zamku. Posadzka holu znajdowała się nieco poniżej poziomu gruntu.

Zamoyski dobrze znał układ pomieszczeń parteru. Wiedział, że za tymi drzwiami ukrytymi pod galerią po przeciwnej stronie podkowy, które otworzyły się z ostrym chrobotem, ledwo Adam wyszedł z korytarza – za tymi drzwiami zaczynają się schody prowadzące do zamkniętych dla gości piwnic Farstone. Reszta zamku, prócz skrzydła wschodniego i czwartego piętra, pozostawała dostępna dla wszystkich i Zamoyski zdążył ją zwiedzić dosyć dokładnie. Był to bardzo piękny zamek, zabytek wypełniony zabytkami, wszystkie w doskonałym stanie. Nie dziwił się, że Judas jest zeń tak dumny, iż zaprasza tu swoich partnerów w interesach. To bez wątpienia robi wrażenie, wywiera podświadomą presję, owe portrety przodków, inkunabuły w próżniowych gablotach, średniowieczna broń nad kominkami wielkimi jak portal katedry. Na czas kolacji zapalano świece na wysokich kandelabrach. Służący nosili liberie w rodowych barwach McPhersonów.

W drzwiach do schodów piwnicznych pojawił się Judas McPherson. Miliarder wszedł do holu i spojrzał ku otwartym na oścież drewnianym wrotom, zza których biły w głąb cienistej sieni kolorowe światła i płynęły fale dźwięków: muzyki, pomieszanych ludzkich głosów, śmiechu i pokrzykiwań, szumu drzew mierzwionych przez wieczorny wiatr.

Spojrzawszy, Judas głośno zaklął. Zakląwszy, podskoczył kilkakrotnie na jednej nodze, dotknął wyprostowanym palcem nosa, kolana, drugiego kolana, ugryzł się w ten palec, po czym wykonał trzy szybkie przewrotki, zastopował w przyklęku, prawą dłoń zwinął w pięść i trzasnął nią z zamachu w mozaikową posadzkę holu. Raz, drugi. Znowu zaklął, skrzywiony

w bólu. Wstał, zatoczył się. Lewe ramię podrygiwało mu w nieregularnych konwulsjach.

Zamoyski przyglądał się temu w niemym zdumieniu. Nina stała mu za plecami, czuł na karku jej ciepły oddech.

Judas McPherson szalał po sieni. Frak, kamizelka, spodnie – pomięte, pobrudzone, w dwóch, trzech miejscach już rozdarte, na plecach długa szara smuga… McPherson szaleje dalej.

Teraz z kolei próbuje chodzić na rękach.

Judas McPherson, myślał Zamoyski. Prezes holdingu stoczniowego, potentat przemysłu zbrojeniowego… Adam pamiętał, jak McPherson witał go w Farstone zaraz po przylocie Zamoyskiego z Warszawy, witał tak całą ekipę negocjacyjną TranxPolu z Jaxą na czele: szybki, silny uścisk ręki, spojrzenie w oczy. A teraz – pajac.

Właśnie, co z nimi – z Plecińskim, z Jaxą? To miło ze strony McPhersona, że zaprosił nas na wesele swej córki, ale czas byłby najwyższy podpisać umowy… Rada wsiądzie na nas, jeśli to pakistańsko-słowackie konsorcjum pierwsze złoży papiery…

Judas przemierzał hol na rękach, w tę i we w tę; od kamiennych ścian odbijał się zgiętymi w kolanach nogami.

Przez hol przeszło trzech kelnerów – żaden nawet nie mrugnął. Wyminęli miliardera, sprawnie balansując tacami.

– Chodź-chodź – szeptała Nina. – No chodź. Nie należy rzucać się im w oczy. Zaraz zaśniemy. Zaraz koniec. Już, już, spokój. Chodź, Adam, wrócimy do łona, wszystko zacznie się od nowa. Znowu mnie pokochasz. Albo nie. Znowu szczerze i na zawsze.

Z zewnątrz płynęła ciepła noc i kojąca muzyka.

Adam gniewnie potrząsnął głową. Zgarbiony, z napiętymi mięśniami ramion i karku, dłońmi zaciśniętymi na poręczy – wyglądał, jakby się szykował do złamania tej drewnianej poręczy gołymi rękami. Poczerwieniał, szczęka poruszała się rytmicznie, gdy przeżuwał milczenie. Kamienne milczenie, jedyna obrona przed nadciągającym szybko obłędem.

W drzwiach, z których wyszedł był McPherson, pojawiła się sylwetka wysokiego mężczyzny. Oparłszy się o futrynę, przyglądał się Judasowi.

Który dla odmiany jął rozwiązywać i zawiązywać sznurówki swych lakierków, raz, drugi, trzeci, piąty, coraz szybciej, zmieniając stopy i w końcu posługując się tylko jedną ręką.

Zamoyski mocniej zacisnął dłonie, kłykcie rysowały się pod napiętą skórą. Kobieta jego niepamięci ciągnęła go za rękaw. Kliniczny surrealizm tej sytuacji wywoływał dreszcze na skórze, podnosił włosy na karku, mroził kręgosłup. Brakowało mu tchu. Ktoś wbił od dołu w płuca Zamoyskiego przewody pompy próżniowej, a teraz włączył maszynę na pełną moc.

Odprawiający na jego oczach rytuały wariata szkocki arystokrata krwi i pieniądza, w eleganckim fraku i z niezmąconą powagą na twarzy – no, to już jest zbyt wiele. Albo to w rzeczywistości się nie dzieje, albo – – Panie Adamie, mogę prosić na słówko? – zawołał Judas, przełamując lekką zadyszkę.

Zamoyski wyprostował się, puścił poręcz. Nina odsunęła się od niego czym prędzej, chowając się w cień.

Już schodząc do holu, spojrzał na nią – dopiero teraz – i pochwycił jej wzrok: smutny, trochę zmęczony.

Tuż pod galerią, obok centralnych schodów, znajdowała się czerwonoczarna płaskorzeźba z herbem rodu McPherson: smok był na niej czerwony, kamień czarny. Niżej zawołanie rodu. *Unguibus et rostro*. Szponami i dziobem.

Judas uderzył się pięściami w pierś, uczynił kilka szybkich wydechów. Zdjął frak i rzucił go wysokiemu mężczyźnie stojącemu w drzwiach piwnicznych. Zamoyski dojrzał twarz tamtego, znał go – to któryś z asystentów miliardera.

McPherson skinął na Zamoyskiego.

– Przejdziemy się? – zagadnął swobodnie.

Nie czekając na odpowiedź, zamachał szeroko ramionami, złapał Adama pod prawy łokieć i poprowadził na taras.

Minęli kilka tańczących sennie par i skręcili ku południowo-wschodniemu narożnikowi; zatrzymali się dopiero przy kamiennej balustradzie.

Rozciągał się przed nimi plac weselny, pełen wibrujących cieni, rozjaśniany kulami wełnistego światła, przesłanianymi przez ruchome i nieruchome sylwetki ludzi i przedmiotów. Muzyka płynęła wraz z chłodnym powietrzem, najsilniej naznaczonym zapachem szybko oddającego ciepło jeziora; jeziora jednak stąd nie widzieli.

Zamoyski wziął głębszy oddech i poczuł, jak jego ciało odżywa, dreszcz przechodzi po nerwach, strząsając rdzę. Nawet zimny kamień balustrady

pod opuszkami palców – bardziej jest kamienny, bardziej zimny. Tak realnieje świat: skokami intensywności doznań.

McPherson nie puścił Adama. Spojrzenie z odległości dwudziestu, trzydziestu centymetrów niczym strzał w środek czoła – te oczy, te nieznacznie wygięte usta, kilka głębszych zmarszczek, wszystko podkreślone grubym tuszem tężejącego mroku… to bez wątpienia znów był ów przytłaczający samą swą obecnością Judas McPherson, przed którym nawet Jaxa korzył się spojrzeniem, miną i gestem.

Zamoyski miał przygotowane pytania, tuzin pytań niczym kolekcję naostrzonych noży, no ale teraz, no ale z ręką Judasa pod swoim ramieniem – pełna bezradność.

Judas natomiast walił przez łeb morgensternem, łup, łup, łup.

– Widzi pan, panie Zamoyski, tak naprawdę wszyscy pana okłamywaliśmy. Niestety, dłużej już nie możemy. Ma pan w głowie takie urządzenie, taką sieć kontrolną w mózgu, i dzięki niej mogliśmy filtrować docierające do pana bodźce. Ale podczas tego zamachu nastąpiło, mhm, proszę to sobie wyobrazić jako krótkie spięcie, kasację programów maszyny. Upraszczam oczywiście; to słowa, które pan zrozumie. Co mógłbym teraz zrobić. Mógłbym rozkazać Soydenowi, by spróbował na panu programów brutalnie czyszczących pamięć, zbyt wiele już pan bowiem zobaczył i usłyszał; albo też w ogóle spisać na straty to ciało i od nowa pana sczytać. Tak czy owak, uciełoby to aktualną linię pana tożsamości, pana fren, a ja wolałbym tego uniknąć. Otrzymałem, mhm, proszę to sobie wyobrazić jako wróżbę o wysokim stopniu wiarygodności – i ona przekonuje mnie, że ma pan do odegrania pewną rolę, dosyć ważną. Wiele może pan zyskać. Dowie się pan, jak wiele. Tymczasem chciałem pana przeprosić. Postępowałem według mego najlepszego rozeznania. Proszę o wybaczenie.

Mówiąc to wszystko – a mówił głębokim, stonowanym do półszeptu głosem – Judas wykonywał wciąż krótkie, szybkie ruchy: dłońmi, głową, barkami, stopami. Rozgrzewka boksera przed walką, elektroniczna drgawica uszkodzonego automatu. Rozpraszało to Zamoyskiego.

– Czy pan się dobrze czuje, sir? – spytał.

McPherson puścił ramię Zamoyskiego, odsunął się nieco.

– Dopiero co wszedłem – mruknął. – Nie leży najlepiej.

– Znowu ubrudził się pan na plecach.

– Tak? Cholera.

Adam spojrzał ponad ramieniem Judasa i w głównych drzwiach zamku zobaczył wysoką postać asystenta. Asystent trzymał w ręce Judasowy frak. Zamoyski wskazał go głową. McPherson obejrzał się. Jak na sygnał, podeszła do niego jasnowłosa kobieta w głęboko wydekoltowanej sukni (piękne piersi, diamentowa kolia). Twarz drgała jej w spazmach wściekłości, zielone oczy zachodziły łzami. – Skurwysynu – szepnęła i wbiła McPhersonowi w oko wyprostowany palec.

Ruch był tak niesamowicie szybki, że Zamoyski zorientował się dopiero na widok padającego bezwładnie Judasa – padł on na kolana, do stóp kobiety, palec wszedł aż po kłykieć, szarpała teraz ręką jak szalona, krwi było bardzo niewiele, prawie wcale.

Zamoyski zakręcił się na lewej pięcie i posadził ciężkiego półhaka na jej podbródku. Usłyszał, jak pękają jej zęby. Padła na taras obok Judasa.

Adam, sycząc przez rozciągnięte szeroko wargi, machał porażoną prawicą.

Uniósł wzrok. Najbliżsi tancerze znajdowali się akurat w pobliżu środka tarasu i najprawdopodobniej nawet nie spostrzegli, co się stało.

Z pewnością widział wszystko sekretarz z frakiem.

Podszedł, zaklął melancholijnie. Miał krótko przystrzyżoną brodę i takież wąsy, ciemnorude.

– Patrick Gheorg – wyciągnął rękę do Adama. – McPherson.

Zamoyski uścisnął ją ponad ciałami kobiety i Judasa swoją lewą dłonią.

– Chyba powinien pan zadzwonić po policję.

Patrick Gheorg przesunął wzrok w lewo od Adama. Zakurzyło się tam kolorowo. Kurz zestalił się w niskiego Azjatę odzianego w oślepiająco białe szaty.

– No? – warknął nań Patrick Gheorg.

– Cesarz wyraża najgłębsze ubolewanie. – Azjata pokłonił się, omal uklęknął.

– Cesarz może się spodziewać rychłego przeformatowania – wycedził Patrick Gheorg.

– Cesarz przyznaje się do błędu.

– Cesarz świadomie nie dopełnił obowiązków.

– Cesarz schowa stahsa Judasa McPhersona w swojej dłoni.

– Trochę późno.

– Cesarz zaprasza do Domu. Szkoda czasu.

– Cesarz zagwarantuje, że nikt nie przekroczy Pierwszej Tradycji. Żadnych osmoz, pośredniczą manifestacje – to najwęższy i najbezpieczniejszy kanał. Usztywnij protokół w całym Farstone. W swoim imieniu przeproś słowińczyków.

Azjata skłonił się powtórnie, po czym eksplodował w chmurę szarego pyłu, która zaraz rozwiała się w wieczornym powietrzu.

Zamoyski demonstracyjnie zakaszlał, zamachał zdrową dłonią.

– No tak. To ja teraz… Pozwoli pan.

Obszedł szerokim łukiem leżące na posadzce tarasu ciała oraz stojącego nad nimi w absurdalnej pozie, z frakiem w wyciągniętej ręce, Patricka Gheorga McPhersona, i zstąpił po szerokich schodach na trawnik.

Z tacy przechodzącego obok kelnera porwał po kolei dwie szklanki. W jednej – alkohol; w drugiej – woda. Wychylił obie. Ruszył prowokacyjnie pewnym krokiem pomiędzy cieniami i światłami. Nie był pijany. Był przerażająco, nieprawdopodobnie, nieprzyzwoicie trzeźwy.

Szedł wszakże właściwie bez celu. W końcu dotarł do granicy parku i tu się zatrzymał – bo to była jakaś granica. Jak automat, który napotkał nieuwzględnioną w programie przeszkodę.

Przypomniał sobie ławkę i Angelikę i jej spojrzenie tuż przed tym, jak dostał w pierś. Coś go uderzyło – tam niczego-nikogo nie było, niemniej cios cisnął nim niczym lalką, przewinął przez ławkę, rzucił o drzewo. To pamiętał. I spojrzenie Angeliki, światło jej ciemnych oczu, jak spoglądała na niego, w zdumieniu, żalu i irytacji – podczas gdy powinien był tam widzieć strach i gniew.

Zamoyski stał w pachnącej ciemności starożytnych drzew i p a t r z y ł. Setki gości weselnych, dziesiątki służących. Patrzył – i teraz widział.

Ani jednej kamery, ani jednego aparatu fotograficznego.

Nikt nie rozmawia przez telefon.

Żadnych ochroniarzy, żadnej, najdyskretniejszej nawet, obstawy.

Nie ma tu starców, nie ma ani jednej osoby, o której można by rzec, że przekroczyła wiek średni; nikogo nie szpeci czas.

Judasa i morderczynię wnoszą do wnętrza zamku, wcale się z tym nie kryjąc – podbiegnie ktoś? zakrzyknie? zahisteryzuje? Gdzieżby.

Panna młoda przechodzi pod tarasem – widzi zwłoki ojca, ale co robi? Wzdycha, unosi oczu ku niebu i idzie dalej.

Zamoyski stał na szeroko rozstawionych stopach, ciężką dłonią masował gruby kark.

Upić się. Nie pomoże. Zapytać. Ale o co. Kogo. Jaxa, gdzie Jaxa. Dlaczego nie ma go na weselu? Powinien być. To on miał przecie bajerować McPhersona, ten kontrakt to jego dziecko, ja tu robię tylko za reprezentacyjny dodatek. Muszę też pogonić Łukasiewicza, prezes zmyje nam głowy, jeśli – Moja pamięć.

Oparł się plecami o pień. Oparł także głowę, to podniosło jego spojrzenie ponad blanki Farstone. Balon był już tylko chropowatą bulwą czerni na tle ciemnego fioletu nieba. Słońce zaszło i cienie utraciły wyczucie kierunku. Był pewien, że niebo jest bezchmurne, nie widział wszakże żadnych gwiazd. A nie, jest jedna – balon na przemian zakrywa ją i odkrywa – Wenus, więc jednak nie gwiazda.

Oglądając kolejne jej zaćmienia, macał po kieszeniach za telefonem. Sprawdził też klapy marynarki, mankiety i kołnierzyk. Nigdzie.

Kroki. Nie opuścił spojrzenia z nieboskłonu.

– Zapadły już decyzje.

Ten głos – głos Niny.

– Kim ty jesteś? – wychrypiał.

Przytuliła się do niego. Palce na policzku, palce na wargach, powoli, delikatnie odczytywała Braille’a jego twarzy.

– Zawsze cię kochałam.

Wtedy się poddał: zamknął oczy, opuścił głowę. Objął Ninę, bolącą prawą dłonią poszukał obojczyka, szyi, tak zawsze czytał nastroje kobiet: z pulsowania ich krwi, naprężeń mięśni, woni skóry. Zanurzył się w jej włosy, wciągnął powietrze.

Jej ciało nie wydzielało żadnego zapachu.

– Czy ja mam w głowie elektroniczny filtr? – zapytał spokojnie.

– Już nie.

– Nie jesteś człowiekiem.

– Nie jestem.

– Dlaczego ja nie widzę gwiazd?

(Wciąż szeptem w jej włosy).

– Bo ich tam nie ma.

– Dlaczego ja nie widzę gwiazd?

– Ciiii.

– Dlaczego ja nie widzę gwiazd?

– Znajdujemy się na Ziemi, tu jest tylko jedna gwiazda, Słońce.

– Ale światło, czemu światło nie dochodzi, z Mlecznej Drogi, z innych galaktyk!

– Tu nie ma Mlecznej Drogi, nie ma innych galaktyk.

– Gdzie: tu?

– W Sol-Porcie.

– A on? – (Słowa na gorącym oddechu prosto do jej ucha). – Ten Port?

– Wszystkiego się dowiesz, stahs McPherson otrzymał wiadomość ze Studni, będzie cię potrzebował.

– McPherson nie żyje. Dogrzebała mu się do mózgu. – Zachichotał. – Miała wyjątkowo długie paznokcie.

– Stahs Judas McPherson żyje. Wydał już stosowne rozkazy w twojej sprawie. Jest przyzwyczajony do zamachów, ma wiele przygotowanych ciał.

Słuchał, kiwał głową.

– A ty?

– Ja nie mam ciała.

– I zawsze mnie kochałaś, co?

– Tak.

– Kim jesteś?

– Właśnie tym.

– Ciebie też nie można zabić.

– Nie.

Zacisnął dłoń na jej szyi.

– Nie chcę cię więcej widzieć! Idź! – Odepchnął ją. – Idź! Nigdy więcej!

Nie tracąc równowagi, odwróciła się i ruszyła ku zamkowi. Nie obejrzała się. Nie zmyliła kroku. Żadnej dezorientacji w ruchach.

Szybko zniknęła między gośćmi.

To prawda – widział to – widział to teraz jasno – nie była człowiekiem.

Zamoyski siedział na ziemi, wciąż pod tym samym drzewem, gdy podszedł do niego ów mężczyzna, który przed południem zagadywał go o żonglerkę i karierę astronauty.

Tymczasem Zamoyski zdołał dojść do dwóch wniosków, obu równie dlań nieodpartych. Pierwszego, że coś jest nie tak z jego głową; drugiego, że

gdzieś między Warszawą a Szkocją, gdzieś nad Morzem Północnym – wszedł Zamoyski do środka filmu SF.

To oczywiste, że słabuje na umyśle: dziury mu zieją w pamięci na podobieństwo kraterów pobombowych, Nina na przykład – prawdziwa Hiroszima.

Ale też bez wątpienia otoczony jest przez poukrywaną pod powierzchnią świata przemyślną maszynerię F/X. Buch! Pokorny Azjata z nicości w nicość. Buch! buch! buch! Widział na własne oczy, realne to było niczym ból zęba, kopnięcie w kostkę, ani myślał wątpić w swe zmysły; to nie zmysły szwankowały.

Wyelegantowany blondyn wyłonił się z ludnego półmroku, wyrywając Zamoyskiego z tej depresyjnej spirali.

– Phoebe Maximillian de la Roche – przedstawił się i usiadł obok. Nawet siadając na ziemi między chropowatymi korzeniami wiązu, zachował aurę dystyngowanej wyniosłości. – Zapewne zastanawia się pan nad przyczyną zamachu.

– Cóż – mruknął Zamoyski – w każdym razie nie powiódł się, McPherson ponoć żyje. Ma pan może przy sobie telefon?

Nie oglądał się na de la Rochego. Postronny obserwator łatwo mógł ich wziąć za starych przyjaciół: siedzieli bark w bark i leniwie obserwowali przepływających w płytkich cieniach gości weselnych.

– Mówiłum o zamachu na pana – zaznaczył Maximillian. – Chciałubym zaofiarować panu prawną i polityczną pomoc, zarówno własną, jak i Horyzontalistów. Bez żadnych zobowiązań. Bylibyśmy bardzo… Stahs.

Jakimś cudem zdołał ukłonić się Angelice, nie wstając.

Podeszła ich z boku, zza pnia, Adam najpierw usłyszał szum sukienki, potem poczuł woń jej perfum (jaśmin).

Angelika obrzuciła de la Rochego zimnym spojrzeniem. Do Adama natomiast uśmiechnęła się ciepło.

Bez słowa i bez chwili wahania pochyliła się, złapała go za rękę i energicznym szarpnięciem podźwignęła do pionu. Odruchowo wziął udział w pantomimie, zasymulował bezwładność ciała, plecami zaszorował po korze.

Nie miał pojęcia, dlaczego tak łatwo poddał się narzuconemu przez dziewczynę nastrojowi. Uśmiechali się teraz oboje, on – krzywym, ironicznym uśmiechem spod wąsa.

Puściła rękę Adama. Pochyliwszy się z kolei nad de la Rochem, kopnęła go lekko w łydkę.

– Wybaczysz, phoebe. Pan Zamoyski jest moim bliskim znajomym. Musimy omówić pewne nie cierpiące zwłoki sprawy.

De la Roche wstał, skłonił się po raz drugi i odszedł bez słowa.

– Doprawdy? – mruknął Adam i puścił do Angeliki oko. – Jestem panny bliskim znajomym? Dobrze wiedzieć. A jakież to sprawy – Pociągnęła go za łokieć. To u nich rodzinne – pomyślał – u McPhersonów.

– Spędzisz ze mną teraz dłuższy czas – rzekła, prowadząc go w głąb parku; drzewa rosły tu gęsto, światła i muzyka już gasły za nimi. – Poznamy się bardzo dobrze.

– Mhm, mam nadzieję, że cała przyjemność nie będzie po mojej stronie, ale dokąd to właściwie miałbym – – Do mnie. Do Afryki.

2. Puermageze

CZAS ABSOLUTNY (CZAS BEZWZGLĘDNY)

Konsekwencja kraftowego uogólnienia Teorii Względności. Tak zwany „a-czas”.

Ponieważ Czas Słowińskiego nie zależy od położenia obserwatora w En-Porcie, ani od jego prędkości, i stały jest Czas Transu, można ustalić bezwzględną różnicę tempa upływu czasu na Plateau (w inkluzji Słowińskiego) i w dowolnej innej inkluzji. Ową standardową miarę nazywa się „a-czasem”.

Całkowita rozłączność dowolnych dwóch inkluzji uniemożliwia jednak sprowadzenie ich do jednego równania dla jakiegokolwiek ponadplanckowego przedziału czasu. A-prędkości nie opisują prędkości układu względem Plateau (inkluzji Słowińskiego) w jakimkolwiek sensie.

→ Stosuje się także: „Port-czas” (czas danego Portu), „k-czas” (czas kosmosu, w którego jednostkach opisuje się tradycyjnie Czas Absolutny).

„Multitezaurus” (Subkod HS)

W Puermageze padał rzęsisty deszcz, gdy na nadatlantyckim lotnisku klasztoru wylądował samolot Gnosis Inc., z Angeliką McPherson i Adamem Zamoyskim na pokładzie.

Deszcz zacinał niemal poziomo; ledwo Angelika stanęła w drzwia ch odrzutowca, dostała po oczach mokrą miotłą. Przed odlotem z Farstone przebrała się w strój bardziej wygodny w podróży: dżinsy, wysoko wiązane buty, czarny golf. W tym się zresztą najlepiej czuła, szkoła ojca Frenete wypaliła w niej organiczną niechęć do wszelkich ponadużytkowych luksusów. Teraz, pomimo wciągniętej jeszcze skórzanej kurtki, zatrząsł nią łamiący kości chłód afrykańskiej nocy.

Dom, pomyślała, schodząc do jeepa, dom. Na wzgórzu, ponad palmowym gajem okalającym od wschodu jedyny pas lotniska, piętrzył się kwadratowymi tarasami czarny masyw klasztoru Puermageze. Po konfiguracji świateł w wysokich płaszczyznach jego ścian mogła poznać, kto już śpi, kto nie.

Goates machał na nią zza kierownicy. Krzyknęła na Zamoyskiego i zbiegła do jeepa. Murzyn, ujrzawszy Adama, wyszczerzył do Angeliki krzywe zęby. Sklęła go w narzeczu.

Ledwo ruszyli, Zamoyski jął czynić z tylnego siedzenia ironiczne uwagi o zupełnie dlań niepojętym wyrafinowaniu technicznym rozklekotanej terenówki.

Wciąż był wściekły na Angelikę. Zdawał sobie sprawę, że uczucie jest irracjonalne – lecz to nie wystarczało, by nad nim zapanować.

Ich rozmowa w samolocie… Nie zapomni żadnego słowa – jak się znakuje bydło płonącym żelazem, tak ona wypaliła mu w głowie piętno poddaństwa: niczym się od rzeźnego bydła nie różnił.

– Wskrzeszono cię z resztek znalezionych we wraku „Wolszczana” przez trójzębowiec ojca – powiedziała na początek. – Dodaj sobie sześćset lat.

– Ile?

– Sześćset. Z hakiem.

– Więc mamy teraz – – Wiek dwudziesty dziewiąty. 2865 AD, 521 PAT.

– Słucham…?

– Plateau Absolute Time liczy się od chwili odkraftowania przez ludzi pierwszego Plateau. Po konwersji na k-lata daje to rok pięćset dwudziesty

pierwszy, chociaż PAT taktowany jest w a-planckach i – – Rozumiem, rozumiem, rozumiem.

Wyjrzał przez okno na ciemne morze, ponad które samolot wznosił się mozolnie od wybrzeża Szkocji. Adam odwracał głowę, żeby Angelika nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy. Sam nie miał pojęcia, jakie uczucia odbijają mu się na obliczu; podejrzewał najgorsze.

Oczywiście kusiło go zagrać cynicznego niedowiarka – wybuchnąć śmiechem, wykpić, skrzywić się ironicznie; to są mechanizmy obronne zdrowego umysłu. Ale przecież wierzył Angelice, wierzył zgoła organicznie: dreszczem na skórze, skurczami żołądka, gorączką w ustach.

Patrzył na ciemne niebo.

– Dlaczego nie widać gwiazd?

– Aaa, no tak. Mhm. Nie bardzo znam się na krafcie, a ty miałeś, zdaje się, jakieś kursy z nauk ścisłych…

Podniosła ze stolika bawełnianą serwetkę, zamachała nią przed nosem Zamoyskiego; musiał oderwać wzrok od okna.

– Dwuwymiarowe uproszczenie czasoprzestrzeni.

– Ta serwetka.

– Tak. Teraz – zwinęła materiał w pusty mieszek – uginamy ją „do wewnątrz”. Od momentu domknięcia – nie istnieje dla zewnętrza jako miejsce. Dwa oddzielne układy. Nie posiada nawet granic, jakkolwiek byś liczył, z wewnątrz czy z zewnątrz. Światło gwiazd nie ma którędy dostać się do środka, biegnie nadal po swoich grawitacyjnych trajektoriach, omijając tak powstały Port. Podobnie nie wydostanie się z niego światło Słońca: nie ma żadnego okna, ujścia, połączenia z zewnętrzem. Chyba że celowo otworzymy Port.

Ponownie zerknął w ciemność.

– Dlaczego więc w ogóle panuje noc?

– Mhm?

– Skoro promienie słoneczne nie mogą opuścić – nie mogą przebić serwetki…

– W końcu byśmy się ugotowali, tak. Ale to chyba po milionach lat… Zagniesz mnie na takich szczegółach, lepiej od razu się przyznam. Wiem, że istnieje wewnętrzny upust energii, Kły ją drenują przez krafthole, uzupełniając swoje zapasy.

– Kły?

– Zazwyczaj mają kształt stożków, taki jest standard: sto dwadzieścia metrów średnicy podstawy, czterysta długości. Podstawowe narzędzia kraftunku. Trzeba trzech sztuk, żeby zawinąć i utrzymać Port; Kły pozostają „na zewnątrz”, jedynie przestrzeń między nimi się „kurczy”. Sol-Port jest utrzymywany przez kilkanaście tysięcy Kłów. Wystarczyłoby chyba dwadzieścia-trzydzieści, ale to dla poczucia bezpieczeństwa, sam rozumiesz.

Przycisnął skroń do zimnego metalu. Weszli na przelotową, samolot szedł równym kursem. Czy rzeczywiście lecą na południe? Żadnych świateł na niebie, żadnych świateł na ziemi, na morzu. Wiszą w ciemności.

– Domyślam się, że ten Sol-Port obejmuje cały Układ Słoneczny.

– Tak. Razem z Obłokiem Oorta, wszystkimi śmieciami.

– I gdzie naprawdę się teraz znajdujemy?

– O ile pamiętam, idziemy przez jądro Mlecznej Drogi ku Drugiemu Ramieniu.

– Szybko?

– Bo ja wiem. Podróżną.

– Dlaczego w ogóle?

– Dla bezpieczeństwa.

Wreszcie spojrzał jej w oczy. Nie uśmiechała się i to dodało mu odwagi.

Rozejrzał się po wnętrzu przestronnej kabiny.

– Wykładziny. Fotele. Drewniane meble – wskazywał kolejno wyciągniętą ręką. – Szklanki… szklane. Tu monitor, ciekłe kryształy, technologia nawet dla mnie przestarzała. Żarówki. O, jest i telefon. Chociaż w Farstone nie widziałem. Ale samo Farstone też… Czy to jest jakiś skansen? Czy te filtry w moim mózgu nadal działają? Dlaczego ja tu wszędzie widzę wiek dwudziesty pierwszy?

Dla podkreślenia poklepał oparcie swego fotela, jakby dopiero dotyk mógł dowieść realności otoczenia.

Angelika wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy na Ziemi, czego się spodziewałeś?

– Postępu. Postępu w każdym szczególe. Może to fałsz mej pamięci, ale ten angielski – to jest klasyczny angielski czasów mej młodości!

– No to co?

– Sześć wieków to przecież o t c h ł a ń!

– Bo to jest otchłań. Obowiązują jednak pewne konwencje. Żyjemy w Cywilizacji. – Tu westchnęła. – Opowiem ci. Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego zabrałaś mnie z wesela? Tak nagle. Jakby mi coś groziło. Te zamachy… De la Roche mówił, że był i na mnie. To dlatego? Żeby się ukryć? Ktoś chce mnie zabić? Kto? Dlaczego?

– De la Roche… – zainteresowała się Angelika. – Co jeszcze mówiłu?

– Proponował mi pomoc prawną.

– A to ciekawe. – Angelika wydęła policzek, zapatrzyła się w sufit. – Phoebe Maximillian nie przegapi okazji. W ten czy inny sposób stału przynajmniej za jednym z tych morderstw, rękę dałabym sobie uciąć.

Morderstw. Zamoyski skrzywił się, pochylił do przodu, zaczął głośno strzelać stawami palców.

– Co to w ogóle znaczy – zamamrotał – te zwroty, grzecznościowe chyba, phoebe, stahs, osca, słyszę je od paru godzin, sztuczne wtręty w normalnym poza tym języku…

– Jak to szło, czekaj, bo utarło się wieki temu… O! Post-Human Being, Standard Homo Sapiens i Out-of-Space Computer.

– I on jest istotą postludzką, a ty tym standardowym Homo sapiens.

Poklepała go dobrotliwie po splecionych do bólu kłykci dłoniach.

– Nie przejmuj się tak, w końcu może nawet otrzymasz obywatelstwo.

Dopiero po chwili zrozumiał. Uniósł na Angelikę wściekły wzrok. Uśmiechała się pocieszająco. Gdyby mocniej zacisnął pięści, pękłaby na nich skóra.

W ten właśnie sposób Adam Zamoyski dowiedział się, że stanowi przedmiot, własność McPhersonów. Jest p o s i a d a n y.

Nawet wściekłość jednak męczy: zanim opuścili lotnisko Puermageze, zapadł w ponure milczenie. Stary Murzyn zezował nań w lusterku wstecznym, wciąż wyszczerzony. Dokoła samochodu woda waliła długimi biczami w twardą ziemię.

Wjechali na klasztorne podw órze, Zamoyski wyjrzał przez okno i zobaczył wielką kamienną studnię. Spojrzał w górę: deszcz spadał z chmur prosto na niego, niczym z paszczy gigantycznego garłacza, akcelerowany spiralami ruchomego cienia.

Angelika pobiegła do drzwi w bezokiennej ścianie. Wysiadł i podążył za nią. Wchodząc do suchego wnętrza, słyszał odjeżdżającego jeepa: wóz rzęził, buksując.

Ściany nawet wewnątrz były zimne, ciemne od wielowiekowego mroku, gromadzącego się na nagich kamieniach oleistą rosą.

Angelika narzuci ła tempo zgoła marszowe, Zamoyski ani myślał o cokolwiek pytać, musiałby podnosić głos zza jej pleców; nie otworzy ust.

Klasztor, choć w widoku z lotniska majaczący na horyzoncie monumentalną bryłą, w istocie zaprojektowany został z wielkim poszanowaniem dla przestrzeni: korytarze, którymi szli, były szerokie akurat na tyle, by dwie osoby mogły się w nich swobodnie wyminąć, i ani cala szersze. Żadnych wielkich sal, holów przestronnych, monstrualnych klatek schodowych Zamoyski nie ujrzał. Żadnych ozdób, luksusowych wystrojów: kamień, kamień, kamień, rzadziej drewno. Oświetlenie na granicy półmroku: krwawiące żółcią żarówki, poukrywane w załamaniach sufitu. Kable, cienkie i obleczone w wyblakłą izolację, pełzły w szczelinach między kamieniami, mocowane na żelaznych hakach.

Raz spotkali mężczyznę o mongoloidalnych rysach, w brudnym swetrze, w spodniach od kombinezonu i sandałach. Angelika wymieniła z nim kilka zdań w łacinie. Skinął głową Adamowi. Potem odszedł w swoją stronę, nie obejrzawszy się.

Wci ąż szli głębokimi wnętrznościami budowli i Zamoyski, odcięty bezokiennymi płaszczyznami granitu od wilgotnej nocy, zaczął tracić orientację. Ile to już kondygnacji się wspięli? Ile razy zakręcili, ile setek metrów przemierzyli?

Nagle Angelika zatrzymała się, otworzyła drzwi po lewej i z dwornym półukłonem wskazała uchyloną ciemność:

– Twoja cela.

Udał, że zagląda.

– Wyśpij się – poradziła McPherson. – Jutro jeszcze porozmawiamy.

Wbił ręce w kieszenie.

– Więzień?

– To znaczy?

– No więzień albo nie…!

Zmęczonym ruchem odgarnęła sobie z czoła czarne włosy. Gest urzekł Zamoyskiego, ale zdusił w sobie uczucie.

Angelika z westchnieniem zahuśtała się na wpółotwartych drzwiach. Skrzypiały, aż echo szło po klasztorze.

– Więzień? – ziewnęła. – Czyżbyś został uwięziony? W jakim więzieniu? W klasztorze? Nie. W Puermageze? A dokąd stąd pójdziesz? W Sol-Porcie? Na pewno nie jesteś wystarczająco bogaty, by go opuścić. W galaktyce, we wszechświecie? W takim stopniu, co wszyscy. W swoim ciele, w swoim umyśle? Wyzwól się, jeśli potrafisz, jeśli tego chcesz. Ale czy koniecznie dzisiaj w nocy? Idź spać.

Rozbierając się do kąpieli, przypomniała sobie jego spojrzenie. Poniżony, czuje się poniżony. To przykre. Zapewne ja mu teraz uosobiam okrucieństwo losu. Zanurzyła się w ukropie. Właściwie przecież nie miała wyboru. Czy mogła ojcu odmówić? Teoretycznie – tak. Natomiast w praktyce… Nie potrafiła sobie wyobrazić innego wówczas zachowania. Dopiero co wyszedł ze zbiornika i wycierano go grubymi ręcznikami. Katakumby Farstone znajdowały się trzy kondygnacje pod ziemią; piwniczne magazyny pustaków były dobrze strzeżone. Przyprowadził tam Angelikę primus jednu z niewyzwolonych phoebe'ów Gnosis, Arcanu Mettilu.

Stał on wtedy za nią, przy drzwiach jasno oświetlonej sali – przed nią zaś trzęsło się w rękach wielomanifestacyjnego programu medycznego nowe ciało Judasa McPhersona.

– Ile wynosi interwał twoich archiwizacji? – spytała sucho, założywszy ręce na piersi.

– Kwadrałns. Mam jednonokierunkową wszczszszsz-ppp… konekcyjkę – wystękał Judas. – Bru, ru, tru, wru, rów, równolelelegle poszedł atak na… na Poooola archichichi-cji.

– Kto?

– Nie wiaaa… Ślepe gorytmy. Bababababababackupował na ciemnych Po-olach. Transssssss pozappp-plateau'owy.

– Musiał mieć jakiś wyzwalacz, ten program, musiał być ustawiony na znak. Chyba nie wierzysz w przypadkową synchronizację.

– Oczywiszcie. A-a-a-ale…

– Zjadł własny ogon. Tak. Ta kobieta?

– Opętana, dana, jana, kana.

– Skan?

– Arcaaan ci powie. Ja na nananarazie bełkocę. No słyszyszysz.

Wyrwał się manifestacjom medicusa, zaczął podskakiwać, wymachując rękoma. Na chwilę też zamilkł, poruszał tylko szczęką, obracał językiem,

głęboko oddychał. Dwa razy się przewrócił, kończyny uderzały o podłogę z mokrym plaskiem. Przypominał żabę z przyłożonymi do mięśni elektrodami.

Angelika przelotnie poczuła się dumna, że takie skojarzenie przyszło jej do głowy.

Siedząc potem na podłodze, mówił do córki już znacznie wyraźniej. Podeszła, kucnęła przy nim. Spoglądała z bardzo bliska. Widziała, jak się męczy, usiłując zapanować nad ciałem, w którego mózg dopiero co go wdrukowano. Obrócił się nieporadnie, pomagając sobie łokciem – wyrzucona na brzeg ryba, bijąca płetwą o ziemię.

Angelika zacz ęła masować mięśnie jego pleców. Skórę miał gorącą, wilgotną, lepką.

Mówił teraz ciszej; obowiązywał protokół i manifestacje medicusa i Mettilu nie mogły go słyszeć.

– Wyłapałapałałaliśmy z naszej Studni wiadomoszcz o wojnie – walczył z krtanią i językiem, stopniowo przymuszając je do posłuszeństwa. – Datowana plus siedemdz-dz-dziesiąt. Jako powód wymienienieniono tego Zamoyskiego. Kilkaset bitów, brak konkretów. Cesarz twierdzi, że pierwszy zamach poszedł na niego na serio, to z-znaczy – na Zamoyskiego. Powiódł się wyłącznie na Plateau. Więc fren został zachowany w ciele, ale wsz-wszczepka w jego mózgu – zresetowana. Chodzi teraraz o to, żeby – Otworzyły się drzwi drugiej komory i do sali wtoczył się roztrzęsiony Moetle, też nagi i mokry.

Doktor Soyden do spółki z medicusem próbował go powstrzymać, ale Moetlem rzucało na wszystkie strony niczym w ataku pląsawicy.

– Jjjak…? – jęczał. – Jjjak to się sta-ało…?

– Brak kokontaktu – odparł Judas.

Moetle złapał się za głowę.

– Jezu Chry-chryste! Jeszszcze pewnie szynteza frerenów.!

– Ano. Jeszli się znajdziesz.

– Kukukukukukuku-wa.

– Sam bym tego lepiej nie wyradził.

Angelika nigdy wcześniej nie spotkała Moetle’a. Chociaż znajdował się on parę stopni niżej w drzewie genealogicznym rodu, był od niej starszy o kilkadziesiąt lat. Z uwagi na przewagę genów spoza klanu, nie pozostało mu wiele z fenotypu McPhersonów.

Spojrzał na Angelikę przeciągle – spod powiek trzepocących jak skrzydła kolibra – ale chyba jej nie poznał, nie posiadając dostępu do Plateau. Wiedziała, że Moetle nie hołduje Pierwszej Tradycji.

Energia w końcu zupełnie opuściła świeżego wskrzeszeńca, oparł się o najbliższą kadź białkową. Tam dopadł go Soyden – spoliczkował, złapał palcami powieki, zajrzał w oczy, uderzył pięścią w mostek, raz, drugi. Moetle zacharczał, zakaszlał i wykrztusił na posadzkę pecynę gęstej flegmy.

Mettila przyniosłu Judasowi ubranie. Zanim Judas zapiął kamizelkę i wdział frak, Moetle na tyle doszedł do siebie, by opanować poimplementacyjną gorączkę emocji i zyskać względną kontrolę nad bardziej skomplikowanymi funkcjami ciała.

– Ile? – pytał. – Ile?

– Prawie trzy miesiące – odparł mu Soyden.

– O Boże…!

– Beatrice wychodzi właśnie za mąż. Na górze wesele.

– A Ju-judas.? Czemu?

– Tradycyjnie – rzekł Judas, próbując swobody ruchów w ubraniu. – Pamiętasz, dokąd chciałeś po-olecieć?

– Dokąd?

– Wziąłeś trojkę bez podania destynacji. Leasing na osobistej gwa-gwarancji.

Moetle pokręcił głową.

– Nnie wiem.

– Może wyjdzie nam z Czyśćca.

Judas ujął córkę pod ramię i odprowadził za zbiornik, w którym obracał się w powolnych wirach mętnej cieczy jeden z pustaków matki Angeliki. Angelika zagapiła się nań. Judas chciał ją pchnąć, lecz ręka go nie posłuchała, pociągnął, wpadli na siebie. Angelika odstąpiła, odruchowo wygładziła mu gors koszuli.

– Nie będę drenował Zamoyskiego – rzekł, poprawiając kołnierzyk. – Przepowiednia jest zawieszona na warunkach, których nie znamy – może właśnie informacje, które uzyskałbym z drenażu jego frenu, puściłyby wszystko w ruch. Zabierzesz go do Puermageze, niech samo wypłynie na powierzchnię. Nic więcej.

– Do Puermageze?

– Tak.

– W obliczu wojny?

– Na wojnę i tak nic nie po, nie po, nie poradzę, a usuwając go z widoku, zmniejszam szanse spełnienia się przyszłości zasygnalizowanej przez Studnię. Kto chce wojny? Nikt nie chce wojny. Pozwólmy temu zgasssnąć, nie dolewajmy oliwy do ognia.

– Cesarz dał gwarancje?

– Zastanów się, Angelika.

Spojrzała na ojca pytająco. Tylko uniósł brew. Pewne rzeczy są aż nazbyt oczywiste.

Obowiązywał protokół FTIP. W stopniu, w jakim było to w ogóle możliwe, zabezpieczono się przed pośrednią i bezpośrednią ingerencją Cesarza, cenzurując inf. Cesarz nie był w stanie słyszeć ich rozmowy. Angelika mogła się założyć, że na razie nie słyszał także o najnowszej wróżbie Studni Gnosis. Wobec tego nie miał powodu dawać gwarancji Zamoyskiemu. Szłaby zaś prośba o nią właśnie dokładnie po linii wróżby, bo wysuwałaby Zamoyskiego na scenę i czyniła zeń istotny element gier politycznych. Jeśli Judas chciał uniknąć wojny – a chciał, na pewno chciał, Angelika wierzyła jego słowom, nie potrafiła wyobrazić sobie powodu, dla którego pragnąłby zniszczenia Cywilizacji – jedyne, co mu pozostało, to właśnie usunąć Zamoyskiego ze sceny, zepchnąć go z pierwszej linii. A czy istnieje w Sol-Porcie odleglejsza prowincja niż Puermageze? Z pewnością trudno o taką na Ziemi.

– Mam go pilnować? – spytała.

– Masz go trzymać w cieniu. Z dala od Plateau.

– Co mówią inkluzje?

Gnosis posiadała sześćdziesiąt inkluzji zamkniętych, kilkanaście otwartych, miała udziały w setkach dalszych i korzystała z usług większości wyzwolonych (pracowały głównie jako tłumacze, budując rozmaite Subkody). Łączna liczba inkluzji stworzonych przez korporację McPhersonów wynosiła już ponad dziesięć tysięcy; seminkluzje logiczne liczono na setki tysięcy.

– Ważą stany prawdopopopopopo-dobne – odparł Judas. – Prognozy krzyżowe z innych Studni.

– Komu przypisują zamachy?

– Tu są niejasności – przyznał i wtem kichnął głośno. Wyjął chusteczkę, upuścił, podniósł, upuścił, podniósł, wysmarkał nos (popłynęło z nozdrzy

jeszcze więcej białej mazi) i zaklął melancholijnie.

Z drugiego końca komory dobiegł ich okrzyk:

– Na zdrowie!

Judas odwrócił się i spojrzał na Moetle’a poprzez gęstą zawiesinę wypełniającą zbiornik z Anną McPherson. Moetle ćwiczył właśnie z pomocą doktora Soydena chodzenie, siadanie i wstawanie; nadal trząsł się niczym epileptyk. Manifestacje medicusa obserwowały każdy jego ruch.

Sam Judas, którego zużyte manifestacje bioware’owe należało liczyć w setkach, miał w tym zakresie doświadczenie i wiedzę większe od doktorowych. Wszak tylko tego dnia było to już trzecie jego ciało.

– Co do Moetle’a – rzekł powoli, jeszcze bardziej ściszywszy głos – nie ma pewności, czy rzeczywiszcze był to zamach. Nie ma nawet pewności, czy rzeczywiszcze umarł. Może i będzie musiał dokonać syntezy dwóch frenów; to nigdy nie jest przyjemne. Ale… – wrócił wzrokiem do córki i wzruszył ramionami.

– Porwanie dla pamięci?

– Inkluzje myślały i o tym – przyznał McPherson. – Lecz Moetle znajduje się zbyt nisko w hierarchii decyzyjnej, za mały to zysk w stosunku do ryzyka. Cóż takiego w najlepszym razie wyciągnęliby z jego głowy? No i faktycznie nikt nie wie, gdzie on tą trojką poleciał.

Judas sięgnął dygoczącą ręką i odgarnął włosy opadające na twarz Angeliki.

– Natomiast gdy chodzi o morderstwa na mnie… Inkluzje głosują za co najmniej dwiema niezależnymi próbami. Obie totalne. Pierwsza groszniejsza: ta nanomancja, która najwyraszniej przełamała protokół, oraz zalew Plateau, tak, to było bardzo niebes-bezpieczne, prawie im się udało sięgnąć Pól z moimi archiwizacjami. Inkluzje nie mają pojęcia, jak to w ogóle możliwe. Chyba że ten mityczny Suzeren… Cesarz posypuje głowę popiołem.

– No tak. Dużo ci teraz z tego – – To są bardzo przydatne długi wdzięczności, Angel, nie lekceważ słowa Cesarza. Dlaczego długowieczni są tak potężni? Ponieważ mieli czas, by uzależnić od siebie prawie wszystkich. Śmierć przecina te sieci kontaktów, przysług, wpływów, ich nie można odziedziczyć, nie rosną więc ponad pewną skalę – jeśli jednak nie umierasz, sieć rozrasta się w nieskończoność. Czy zauważyłaś, że pierwszym is-is-istynktem starców jest irytacja na wszystko, co nowe, co przychodzi spoza znanego im świata? Nie należy do sieci – stanowi więc zagrożenie. My…

– Tak? – Angelika przysunęła się bliżej, to już był prawie szept.

Ojciec potrząsnął głową.

– A druga próba – mruknął, przekrzywiając głowę, aż coś strzeliło mu w karku – to był klasyczny atak wirusowy, co prawda niezwykle zjadliwy, chyba znali zewnętrzne kody, zbyt szybko pękło krypto finityczne. Na szczęście okazał się źle wycelowany: po tej pierwszej próbie przeadresowaliśmy moje archiwizacje.

– Tylu ich, że w tłoku wytrącają sobie wzajem sztylety, trucizna skapuje na posadzkę – mruknęła Angelika.

– Coś w tym stylu. – Ojciec puścił do niej oko (powieka mu się zacięła i popadł na kilkanaście sekund w tik mimiczny). – Najoczywistszym kandydatem są Horyzontaliści, ale tu trzeba kandydatów dwóch. Kto drugi? A skoro znajdziemy drugiego podejrzanego, to ten pierwszy też staje się wątpliwy.

Angelika nawijała w zamyśleniu włosy na palce.

– De la Roche chyba się spodziewału…

– To phoebe bez Tradycji, po zachowaniu niczego nie poznasz.

– Może w to właśnie celowału…

– Może.

– One oczywiście hodują nas sobie na swoich Polach, wiedzą, jak na nas zagrać.

– Lub wydaje im się, że wiedzą…

Tak w łaśnie wyglądała ta pułapka, w którą pochwycił był ją ojciec: aksamitny potrzask zaufania. Jeszcze chwila takiego dialogu – i nie była w stanie wyobrazić sobie jakiejkolwiek formy odmowy jego prośbie.

Wyszła z zamku, pożegnała się z matką, odnalazła Zamoyskiego i zaciągnęła go na lotnisko; z początku wystarczył żartobliwy flirt, w końcu musiała go ciągnąć prawie siłą. Bagaże czekały już w samolocie. – Czas, czas, potem będziemy się droczyć – poganiała wskrzeszeńca. Adam z widocznym wysiłkiem okazywał irytację i oburzenie; rozpaczliwie starał się odgrywać normalnego człowieka i produkował ku udręce Angeliki setki podchwytliwych pytań. Prawda jednak od dawna przeciekała do niego na drodze podświadomej osmozy nienazywalnego. Krzyczał, lecz nie opierał się – opór nie miał sensu; ta prawda również do niego dotarła bez pośrednictwa słów. Wszedł do samolotu, usiadł, zapiął pasy. Poznała po sposobie, w jaki zakładał nogę na nogę: nie chciał się w jej oczach ośmieszyć. Wciąż wszak-

że pytał i w końcu powiedziała mu: – Z tego, co wiem, wskrzeszono cię z resztek znalezionych we wraku „Wolszczana” przez trójzębowiec ojca. Dodaj sobie sześćset lat.

Omal zasnęła w kąpieli. Woda jednak szybko oddała ciepło i Angelika ocknęła się z dreszczem. Wytarła się, rozczesała włosy.

Burza już się skończyła (Afryka to mężczyzna, jego gniew i rozkosz nigdy nie trwają długo) i McPherson otworzyła okno na chłodną wilgoć nocy. Noc była ciemna, bezksiężycowa, lecz wystarczyło Angelice opuścić powieki, by ujrzeć ten sam krajobraz, który przez te wszystkie lata dzień po dniu wypalał się jej w mózgu freskami odbitego żaru: po połowie suche pustkowie nadbrzeżne, po połowie srebrnobłystna toń oceanu.

Podczas pierwszych nocy spędzonych w tej celi Angelika (ale jaka Angelika? – nie ta, inna, pięcioletnie szczenię) bała się wyglądać przez okno; zresztą przed zmrokiem, za dnia, także. Przerażało ją owo nieskończone pustkowie, dwie nieskończoności dwóch żywiołów. A kiedy już spojrzała, nie mogła oderwać wzroku – potem śniły się jej przebudzenia w samotności, na absolutnie cichym bezludziu, gdzie nawet milczenie było krzykiem, bardziej desperackim od krzyku. Arthur, syn Mue, starszy od Angeliki o siedem lat, zabierał ją za pozwoleniem ojca Frenete na spacery po okolicy klasztoru i wioski Puermageze. Stopniowo spacery wydłużyły się do kilku-, kilkunastodniowych wypraw w głąb czarnej Afryki. Trwało to, dopóki rodzina Mue nie została wypędzona z Cywilizacji; Arthur odleciał z Puermageze. Angelika chadzała sama. Czasami przyłączał się któryś z jezuitów. Na przykład ojciec Mervaux był zapalonym myśliwym, pokazywał jej blizny pozostawione przez pazury lwa, klął się, że oryginalne. Podchodzili razem słonie. Kiedy pierwszy raz zobaczyła śmierć słonia, ścisnęło ją w gardle. To zwierzę umiera jak bóg. Myśliwy dopuszcza się tu świętokradztwa największego z możliwych. Stara samica stała na pagórku, unosiła trąbę, by wychwycić przeczuwane już zapachy. Kula Mervaux zgruchotała słonicy grubą kość czoła i zdewastowała mózg. Samica nie zdążyła nawet ryknąć. Stała jeszcze przez chwilę – bezruch pomnikowy – po czym zaczęła upadać. Upadała, upadała, upadała – Angelice omal serce nie pękło – ona wciąż upadała. Poczuli, jak zatrzęsła się ziemia, gdy słoń wreszcie runął w trawę. Majestat tego zwierzęcia jest zbyt wielki; majestat jego śmierci sięga rejestrów zarezerwowanych dla przeżyć mistycznych. Zwierzyła się ojcu Me-

rvaux. – Nieraz wystarczy, żebym wyjrzała przez okno i widzę je tam, stojące nad plażą, samce, samice, młode. Nie powinieneś był jej zabijać. – Ojciec Mervaux w odpowiedzi rzekł jej coś strasznego: – Serce myśliwego, aniele. Pójdziesz i wytropisz. – Prędzej by sobie rękę odcięła! Zresztą i tak nie miała czasu na kolejne wyprawy. Ojciec Japre, lingwista, rozpoczął z nią swój kurs metajęzykowy. W Puermageze takim właśnie rytmem toczyła się nauka: w ciągach tematycznych. Dni i noce schodziły jej na utrwalaniu mnemoschematów gramatycznych, wyprowadzaniu całych słowników z zadanych procesów Subkodu. Ale sny, sny były bezsłowne. Widziała stado. Samiec-przewodnik obracał ku niej wielkie kły, ciemnożółte od roślinnych soków. Aż któregoś ranka odwiedził ją ojciec Frenete i rzekł, iż wobec widocznego, a nie ustępującego jej rozkojarzenia ojciec Japre zawiesza dalsze lekcje. Ojciec Frenete wiedział o słoniach. Pobłogosławił ją i pożegnał. Nie było w tym żadnego przymusu, jedynie przyzwolenie na wypełnienie powinności wieku. Za dwa tygodnie miała skończyć piętnaście lat. Spakowała plecak, zarzuciła na ramię ciężką abmerę (prezent od ojca Mervaux) i opuściła Puermageze. Nikt z nią nie pójdzie i nikt nie pójdzie za nią, jeśli sama nie wróci, świetnie wiedziała; między innymi za to właśnie rodzice przysyłanych tu dzieci płacą zakonowi – za prawo do ryzyka. Chciała mimo wszystko wziąć ze sobą Goatesa, który uczył ją hieroglificznego pisma ziemi. Ten jednak tylko pokręcił głową. Tak więc poszła sama. W stajniach Puermageze znajdowało się wiele wierzchowców, nie genimalnych, lecz i tak bardzo wytrzymałych i inteligentnych, uodpornionych na kontynentalne zarazy; mimo to poszła na piechotę: tak chodzą wszyscy myśliwi. Nie jestem myśliwym, nie jestem myśliwym, mówiła sobie, nie zabiję słonia. Abmera był to ręcznej, makromateriałowej roboty karabin na bezodrzutową amunicję twardopowłokową kalibru .540; w tradycyjnych karabinach tego typu kolba za każdym strzałem wykopywała bark ze stawu. Angelika znała trasy słonich wędrówek, większe i mniejsze stada przemierzały Afrykę przez ostatnie stulecia po tych samych ścieżkach, miały swoje błotne baseny, miały gaje wypasu, pustynie i bagna konania. Szła na wschód, naprzeciw słońcu – dusznymi popołudniami, nocami mroźnymi, gdy szron srebrzy się na ostrzach traw. Budząc się przy wygasłym ognisku, widziała niewiarygodnie jasne ślepia hien, które podkradały się, by wyżreć nie dosyć głęboko zakopane ekskrementy. Zastrzeliła trzy, gdy podeszły za blisko, pociski abmery dziurawiły je niczym niewidzialna, gruba jak pięść włócznia. Szła,

a podczas całej wędrówki nie zobaczyła żadnej ludzkiej istoty. Jak daleko sięgała wzrokiem spod szerokoskrzydłego kapelusza, jak daleko by sięgnęła wzbiwszy się w powietrze na kilometry – była tu jedynym człowiekiem. Zorientowała się, że od ponad tygodnia nie wypowiedziała ani słowa. Po wszystkich ćwiczeniach z ojcem Japre tak ją zadziwiła ta naturalność całkowitego odzwyczajenia się od mowy, iż nie mogła się powstrzmać i zagadała do napastującego ją miodowoda; własny głos zabrzmiał jej obco. Kto to mówił? Ptak też się przysłuchiwał, przekrzywiając główkę. Milczenie jest niebezpieczne. Idąc mruczała pod nosem: – Gdzie one są, dokąd poszły…? – Kończyło się jej pożywienie. Upolowała antylopę, pulchnego cielaka, takie mięso najlepsze; cała umazała się krwią. – Jestem myśliwym, oczywiście, że jestem… – Umyła się w strumieniu, a wychodząc z niego, zobaczyła na przeciwległym brzegu talerzowate wgłębienia w wyschniętej ziemi. Goates oceniłby je na trzy-cztery dni. Zapakowawszy uwędzone najlepsze kawałki mięsa, ruszyła po śladach stada. Liczyło około pięćdziesięciu sztuk, w tym prawie tuzin młodych. Szła już na północ, ciemność przetoczyła się na lewą stronę, gdzie jej miejsce. Słonie wędrowały w tempie bezcelowej włóczęgi – gdyby znajdowały się w trakcie długodystansowego marszu, nigdy by ich nie doścignęła, potrafiły tak biec całymi dniami. Ale szczęście jej sprzyjało. Szczęście, przeznaczenie, Bóg, diabeł – w każdym razie doszła je purpurowym świtem, stały w zakolu bagnistej rzeki. Najpierw usłyszała trzaski łamanych drzew, o które ocierały się w przedsłonecznym półmroku, trzaski głośne niczym moździerzowe eksplozje. Zrzuciła plecak, zdjęła z ramienia abmerę, podeszła pod wiatr. Purpurę nagłego świtu miała teraz przeciwko sobie, sylwety słoni przesuwały się na tle odgwieżdżonego płótna nocy niczym papierowe demony w japońskim teatrze cieni. W wielkiej ciszy docierały do Angeliki głośne prychnięcia i pierdnięcia zwierząt, i ich zapach, były tak blisko, odbezpieczyła broń. Dłoń sama przesunęła się po drewnie i nacisnęła zimny metal, śmierć przysiadła na prawym ramieniu Angeliki, karabin podskoczył jej do oka, spojrzała przez lunetę, no i zobaczyła tego samca, jak obraca ku niej swe wielkie, żółte ciosy, małe oczka spoglądają ze spokojem, obwisłe uszy poruszają się powoli, był ogromny, był potężny, groźny nawet w sennym rozleniwieniu, był piękny. Musiała oddychać przez otwarte usta, pełną piersią, tak wielki głód tlenu ją ścisnął, takie uniesienie poczuła, ból podmostkowy. Patrzyła na samca i wiedziała, że nie jest już w stanie odjąć palca przyłożonego do spustu,

opuścić zimnej abmery, czas biegł po paraboli, chwila wymagała zamknięcia, rzucony kamień zawsze spada. Łumch! Strzał był mistrzowski, słoń bezwładnie przewrócił się na bok, jakby ziemia obróciła mu się pod nogami. Angelika przeładowała. Wokół zabitego zebrały się inne zwierzęta, rozległy się ryki. Strzeliła po raz drugi, w powietrze. Stado wpadło w panikę, runęło przez błotne koryto wprost w tunel krwawego światła otwierający się we wschodzącym Słońcu nad odległym horyzontem. Ziemia trzęsła się jej pod stopami, gdy podchodziła do ubitego samca – czy od tej gromadnej ucieczki przerażonych zwierząt, czy z galopu jej własnego serca. Samiec leżał na boku i wciąż był od niej wyższy, takim go postrzegała. Przystanęła pięć-sześć metrów od głowy słonia; bała się zbliżyć bardziej. Wiedziała, że jest martwy, a jednak bała się, że gdy doń podejdzie – on machnie trąbą, poruszy łbem, ten ostatni raz wierzgnie nogą, i złamie jej kręgosłup, wypruje wnętrzności, zmiażdży. Była o tym przekonana, a jednak podeszła, dotknęła, oparła but o wielki brzuch. Żyła. Zabiła słonia i to był ten jej słoń, zabity. Powaliła majestat. Zabezpieczyła teraz i odrzuciła abmerę, odrzuciła kapelusz, zsunęła buty i zdjęła skarpety, wyzwoliła się z kurtki, koszuli, szortów. Naga stanęła nad słoniem. Obiema rękami zaczęła zbierać z twardej, szorstkiej skóry zwierzęcia błoto i kłaść je na siebie pełnymi garściami. Słońce tymczasem wspięło się po błękicie i scena naraz eksplodowała kolorami. Przed chwilą Angelika drżała jeszcze z zimna – teraz schła na niej ciepła skorupa gliny. Rozpaliła ognisko. Wróciła po plecak; wydobyła maczetę i odrąbała słoniowi trąbę. Upiekła ją i zjadła. Była dokładnie tak smaczna, jak Angelika pamiętała. Zwymiotowała. Poszła po wodę. W jednej z czystszych kałuż przyrzecznych ujrzała swoje odbicie. Wstrząsnęło nią tym bardziej, że było tak niewyraźne. Tylko białka oczu błysnęły jasno. Nie potrafiła się w sobie rozpoznać. Patrzyła i patrzyła, bo to był ważny obraz, czuła, że musi go zapamiętać, że on ją określi na lata, na stulecia, na wieczność; wmówiła to sobie i uwierzyła, i wobec tego była to już prawda. – Ja. Ja. Ja. Tak. – Nabrała wody, obraz zniknął. Odtąd jednak widziała go, ilekroć spoglądała w lustro, i uśmiechała się wówczas do siebie sekretnie, bo w tych zwierciadłach były czyste ubrania, gładka skóra, lśniące włosy, podczas gdy ona pamiętała o chropowatej czerni zwierzęcego błota. Nie śniły się jej już słonie, nie bała się pustkowi zaokiennych, chyba nawet przestała tęsknić za rodzicami, za Farstone. Tylko jedna wątpliwość pozostała, teraz jeszcze spotęgowana przez to, co Judas rzekł podczas swojej wi-

zyty w Puermageze – czy mianowicie on o tym wiedział, czy to zaplanował, czy również za to płacił zakonowi…? Słonie.

I o tym teraz śniła – o nim, o ojcu: o śmierci i zmartwychwstaniu Judasa McPhersona.

Piętro niżej, kilka cel dalej Adam Zamoyski także śnił o zmartwychwstaniu – swoim i cudzym. Śnił i nie był pewien, czy to wspomnienie, czy oniryczna imaginacja. Wspominał prawdę, czy wspominał kłamstwo?

We śnie pamiętał bowiem doskonale: siódmego dnia ujrzeli wieże miasta.

Siódmego dnia ujrzeli wieże miasta, a rozciągało się ono na czerwonej równinie długim owalem niskiej zabudowy, Rzeka Krwi cięła je na dwie idealnie równe połówki. Rozgryzacz Planet wisiał na wieczornym nieboskłonie, chaotyczna konstelacja nibygwiazd, oświetlająca opustoszałą metropolię zimnym światłem. Wrzeciona słońca, Hakaty, nie było widać. Panował nieskończony wieczór, inercjały w jądrze globu pracowały pełną mocą, niwelując jego ruch wirowy, ciążenie było nieco większe. Komjądra włączono prawie trzysta godzin temu i atmosfera zdążyła się zwichrzyć do jednej, wielkiej, nieustającej burzy, a z dziesiątków tysięcy podwodnych i napowierzchniowych wulkanów wyrzygnęło pod niebo miliony ton brudnej lawy i popiołu.

Ziemia trzęsła się pod ich stopami, gdy schodzili ku miastu.

– Narwa – rzekł Zmartwychwstaniec. – Narwa, Narwa.

Miasto nazywało się Narwa, planeta nazywała się Narwa, bogowie zwali się Narwa, Narwa było przekleństwem i okrzykiem radości, Narwą zaciągały się ich myśli.

MultiEdward błysnął w trzech osobach, skoczył na fali w bok, pod falą w górę, miał skrzydła i nie miał skrzydeł, śpiewał i milczał. Zbiwszy się w jedność, uklęknął i pokłonił się miastu, czterokroć bijąc czołem o glinę, aż ta pozostawiła mu na skórze nad nosem ślad: grubą, czarną linię, znak sakralnego namaszczenia. I znowu stracił zdecydowanie, rozbijając się na dwa warianty: jeden odwrócił się na pięcie i pobiegł wstecz, wrzeszcząc z przerażenia – drugi wyjął Miecz 2.01 i sprawdził go na przedramieniu: pręga krwi, gdy zniknęła skóra.

Zamoyski szedł, duchy zmarłych podpowiadały mu drogę – – Panie Zamoyski!

Weszła, kiedy spał, i teraz stoi między łóżkiem a oknem, nieregularna plama cienia na tle gęstych kłębów jasności – tyle widział na wpół przebudzony Adam.

– Co znowu? – zachrypiał.

Mrużył oczy, usiłując dojrzeć jej twarz. Maszyna skojarzeń powoli rozpędzała się w jego głowie. Głos kobiety – panna Angelika McPherson – Farstone, wesele – palec w mózgu Judasa McPhersona – Chińczyk z powietrza – niemożliwe.

Pamięć dnia wczorajszego rozdzierała się na tysiąc strzępów, pozostawała zimna ciemność. Aż się wzdrygnął. Nina. Sześćset lat.

– No więc chyba miał pan rację – mówiła Angelika – jest pan więźniem. Proszę się ubrać, zabieram pana na safari.

– Co – – Dzwonił Judas, zmiana planów. Nigdy nadto ostrożności. Sporo się tymczasem zdarzyło… A nawet tutaj może pana zobaczyć wielu, którzy posiadają dostęp do Plateau, chociażby przez materialne interfejsy spod Tradycji.

– Zobaczą… – ziewnął. – I co z tego?

Jak wytłumaczyć wskrzeszeńcowi z XXI wieku wróżbę ze Studni Czasu? Definiując nieznane przez znane, musiałaby mu opowiedzieć teraz połowę „Multitezaurusa”. W ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Ludzie plotkują. Inni wychowankowie jezuitów. Sami jezuici. Musimy przeczekać z dala od nich. Tu ma pan nowe ubranie. Proszę się pośpieszyć.

Co powiedziawszy, wyszła, by mógł się swobodnie odziać. Stanęła tuż za załomem muru; skryta w cieniu, pozostawała niewidoczna ze skrzyżowania korytarzy. Ojciec Frenete oczywiście wiedział o wszystkim, nie miała jednak ochoty odpowiadać na dociekliwe pytania innych mieszkańców klasztoru. Padłyby bez wątpienia na widok jej ubioru, niedwuznacznie sugerującego, iż natychmiast po powrocie z Szerokiego Świata wybiera się na dłuższą wyprawę w głąb Czarnego Lądu. Niech się facet pośpieszy. Nerwowo postukiwała obcasem o ścianę. Biły dzwony na prymę.

Może rzeczywiście – pomyślała – jestem jego strażnikiem, nadzorcą więziennym, on jest więźniem, a ja strażnikiem, może rzeczywiście. Taki stosunek zachodzi jedynie między osobami sobie równymi: ktoś jest wolny, i ja mu tę wolność ograniczam, rozszerzając bezprawnie wolność własną; odbieram, co do niego należy. Gdy wszakże brak równości… Właściciel nie jest strażnikiem swego psa, i nie jest pies jego więźniem, chociaż trzymany

w obroży i na łańcuchu. Właściciel jest natomiast jego o p i e k u n e m. A w każdym razie powinien nim być.

Cóż bowiem rzekł mi Judas? Słów tych nie użył, lecz sens był jasny: przekazuję ci tę własność – miej nad nią pieczę.

Pochlebiała sobie, że powiedziała Zamoyskiemu prawdę, że od początku mówiła mu tylko prawdę; stanowiło to rodzaj sportu ekstremalnego moralności, by nigdy nie skłamać temu, który zdany jest całkowicie na twoją łaskę i w każde twoje słowo wierzyć m u s i.

Judas istotnie zatelefonował, jeszcze przed świtem. Rozmowa toczyła się za pośrednictwem zwykłych aparatów dźwiękowych, absolutne retro i Ortodoksja. Ominęli Plateau, nie korzystali nawet z łączy satelitarnych; sygnał biegł światłowodem, bezpośrednio z Puermageze do Farstone.

Judas streszczał się. Armand *filius* Barański, niepodległa inkluzja niejawnej Tradycji, poinformowału Lożę o wykryciu skazy topologicznej w Mlecznej Drodze, około czterech tysięcy czterystu lat świetlnych od oryginalnej lokacji Sol-Portu. Ktoś ukradł ponad cztery parseki sześcienne kosmosu. W usuniętej przestrzeni mieścił się cały system gwiezdny – teraz ślad po nim nie pozostał. Wysłane przez Cywilizację zębowce natknęły się w okolicy jedynie na kilkanaście deformanckich instalacji. Szacowano je na dwieście-trzysta Kłów.

Czyżby więc Port Deformantów? Tamci zaprzeczali. Nawet jeśli szczerze – czy jakukolwiek Deformant może ręczyć za innu Deformantu? A już na pewno nie za wszystkich. Na tym wszak polega Deformacja, że nie uznaje żadnej normy cywilizacyjnej.

Na dodatek kilka zrzeszeń Deformantów żądało od Cywilizacji odszkodowań w naturze, to znaczy w Kłach lub w czystej materii egzotycznej. Odszkodowań za co? Judas poinformował Angelikę, iż zwołano posiedzenie Wielkiej Loży; jeszcze tego publicznie nie ogłoszono.

Sytuacja zaczynała więc przyjmować znamiona kryzysu. Toczyła się tu jakaś gra, a Judas nie znał ani jej zasad, ani stawki, ani tożsamości graczy. Żeby obraz jeszcze bardziej zamącić, Cesarz w związku ze śledztwem w sprawie niedawnych zamachów na McPhersona raportował o licznych zaburzeniach na pustych Polach Plateau HS, których to zaburzeń źródła ani metody nie był w stanie jak dotąd odkryć. Dało to asumpt do następnej lawiny histerycznych hipotez o Spływach. W mediach po raz kolejny odżyją wszystkie te histeryczne mitologie Plateau, enstahsowie zaczną swoje pro-

testy antyprogresowe, Horyzontaliści ponowią separatystyczne postulaty, na giełdach Domu pójdzie w górę parytet EM…

Najgorsze, co mogło spotkać klan McPhersonów: wybuch wojny z powodu wskrzeszeńca stanowiącego ich własność. Mała Loża i tak już zdawała się przychylać do wniosku o odebranie Gnosis monopolu na import pozacywilizacyjnej wiedzy. Jeśli teraz – – Panno McPherson?

Wyjrzała zza załomu.

– Idziemy!

– Moje bagaże z Farstone – – Nie ma pan więcej bagaży.

– Przecież – – Co?

– Kiedy wylatywaliśmy z Farstone, obiecała mi pani, że wszystko – – To jest wszystko.

Trzymał w rękach torbę i neseser.

– Przyleciałem z Warszawy firmowym czarterem TranxPolu, zabrałem mnóstwo sprzętu, kilka garniturów – – Nie będą teraz panu potrzebne garnitury. Idziemy.

– Zaraz! Muszę zadzwonić – – Do kogo? Po co? – Zirytowana, kopnęła w mur. – Obudź się! Co ci mówiłam? Nie przyleciałeś z Warszawy! Nie pracujesz w żadnym TranxPolu! Nie masz do kogo zadzwonić! To, co pamiętasz – to pozostałości katastrofy w twojej głowie. Dotarło wreszcie?

Przyglądał się jej z zainteresowaniem jeszcze przez długą chwilę po tym, jak zamilkła. Speszyła się, opuściła wzrok, gęste włosy zakryły twarz, odruch dziecinny. Zamoyski odłożył bagaż, ujął ją za rękę – odstąpiła, chciała się wyrwać, nie udało się, był silniejszy, przestała się więc szarpać, uniosła wyzywająco głowę – ujął ją za rękę i pocałował w grzbiet dłoni.

– Angeliko, aniele mój, prowadź – zadeklamował, uśmiechając się pod wąsem.

I ja mam go strzec, ja mam go kontrolować. Ruszyła szybkim krokiem ku bocznym schodom. Po coś ty właściwie go do mnie posłał, ojcze? Jedyna rzecz, której nie mogli mnie nauczyć jezuici, nie nauczyła Afryka: siły i słabości mężczyzny.

Wymknęli się niezauważeni w czasie mszy. Angelika już wcześniej przygotowała konie. Odjechali na południe, potem skręcili na południowy wschód, potem na północny wschód, wzdłuż rzeki. Kończyła się już pora deszczowa, mimo nocnej ulewy koryto było prawie suche.

Zamoyski na koniu stanowił zaiste pocieszny widok. Oglądała się nań przez ramię, za każdym kolejnym zerknięciem miał bardziej zbolałą minę. O nic nawet nie pytał, co stanowiło najdobitniejszy dowód kompletnego pognębienia Adama Zamoyskiego.

Zsiadłszy z wierzchowca na postój w porze sjesty (a jak on zsiadał, trzeba było to widzieć), ułożył się wskrzeszeniec na wznak w płytkim cieniu zbocza rzecznego wąwozu. Kapelusz nasunął na twarz i dopiero spod kapelusza, bezpieczny przed szyderczym wzrokiem Angeliki, uspokoiwszy oddech, wywarkiwał swoje pytania.

– Dlaczego?

– Bo należy zrobić wszystko, by uniknąć wojny.

– A co ja mam do waszych wojen? – parsknął.

– Zwrócono na ciebie uwagę. Istnieje możliwość… Istnieje taka przyszłość, w której…

– Macie tu wehikuły czasu?

– Co? Nie! – parsknęła zirytowana. – Po prostu… – poszukała w głowie definicji – węzły chronopatyczne czarnych dziur pozwalają na ruch pod prąd czasu cząstek o zerowej lub przyzerowej masie.

– Aha. – Kapelusz na jego twarzy nawet nie drgnął.

Sfrustrowana, sięgnęła i strąciła mu go z głowy. Zamrugał.

Nachyliła się nad Zamoyskim, przesłaniając mu pół błękitnego nieba.

– Tworzy się kontrolowane kolapsy, kraftuje geometrię dokolnej czasoprzestrzeni. – Wymawiała słowa powoli, czyniąc wyraźne odstępy między zdaniami. Ona go widziała, on – tylko plamę cienia, a przecież nie mógł odwrócić wzroku; przyszpiliła go do kamienistej gleby, ani drgnie. – Stąd pochodzą przepowiednie probabilistyczne. Można działać ku ich realizacji lub przeciwko. Więc opierając się na informacjach ze Studni Gnosis, usuwamy cię z widoku, by zminimalizować szanse wybuchu wojny.

– Jacy „my”?

– My. McPhersonowie.

– Ale co ja w ogóle mam do tej hipotetycznej wojny?

– Nie wiem. Tak wyszło ze Studni.

– Aha. No pięknie. Ile ty masz lat?

– Dziewiętnaście.

Czemu zapytał akurat o wiek? Wstała, by odprowadzić konie do najbliższej kałuży. Pierwsza osoba liczby mnogiej pojawiła się na jej wargach

w odruchu, który ją samą zaskoczył i którego do końca nie rozumiała. Tydzień w Farstone wystarczył; ten tydzień i gorzki jad zaufania, tak podstępnie wpuszczony w jej żyły w pustaczych katakumbach zamku. Judas najwyraźniej dopracował metodę do perfekcji, ćwicząc ją na niezliczonych dzieciach i wnukach, które lata i stulecia przed Angeliką sączyły swe sieroce sny w zimne kamienie klasztoru Puermageze.

Ponownie usiłowała zmusić się do nienawiści. (Co za ojciec, Król-Mechanik, a nie ojciec…!). Nic z tego. Czuła się McPhersonem. Jakże mogła sprzeciwić się Judasowi, sprzeciw był niemożliwy, nie było miejsca na sprzeciw, nie pozostała najmniejsza szczelina. On zwierzał się jej z kłopotów, z planów i tajemnic – nawet nie prosząc o dyskrecję! W najnaturalniejszy z możliwych sposobów – przyznawał jej prawo do nazwiska, do krwi, do dziedzictwa. Okazane przez Judasa zaufanie związało ją skuteczniej od tuzina sieci konekcyjnych w mózgu. Przekupił ją, zdawała sobie sprawę.

Chciałam zostać przekupiona, szepnęła swemu błotnemu odbiciu w zmąconej kałuży. Marzyłam o tym, śniłam. Angelika McPherson. Tego czekałam. Wyszczerzyła się do błota, błoto oddało uśmiech.

– Jak ja właściwie mogę się przekonać, że mnie od początku do końca nie okłamujesz? – zawołał Zamoyski, wachlując się kapeluszem.

– To trudne – przyznała, wróciwszy z wierzchowcami. – O to przecież chodzi, żeby odciąć cię od Plateau. Ale, bądźmy szczerzy, z dwudziestopierwszowiecznym mózgiem jesteś tak totalnym ignorantem – – Dziękuję bardzo.

– Nie trzeba, to z głębi serca. Jesteś tak totalnym ignorantem, że nie masz wyjścia, musisz przyjąć pewne rzeczy na wiarę.

Usiadła w cieniu, wyprostowała nogi, wyjęła baton, ugryzła.

– Chociażby to, że sam nie jesteś plateau’owym konstruktem i że ta jaszczurka to jaszczurka, a nie symulacja SI.

– *Virtual reality*, hę?

– Nie, właściwie nie. Wewnątrz SI sam stanowiłbyś taką samą symulację co jaszczurka, tylko że nieco bardziej skomplikowaną.

– SI?

– Semi-inkluzji. Inkluzji, która… Ach, prawda, to cię może mylić. Inkluzje w sensie fizycznym to wszystkie trwałe odcięcia czasoprzestrzeni. Bo Porty można dowolnie otwierać i zamykać; ale utrzymywanie Portu kosztuje. Odkraftowanie inkluzji wymaga większego wydatku energii, za to jed-

norazowego. Wszystkie parametry inkluzji ustalają się w momencie odkraftowania. Odcina się więc inkluzje o parametrach dobieranych podług rozmaitych potrzeb, na przykład wydajności procesunku. A inkluzje logiczne – to już to, co w tych specjalistycznych Odcięciach się procesuje, na takich negentropianach, pod jakie wybrano parametry. Plateau jest inkluzją. Cesarz jest inkluzją. Najsilniejsze AI pracują na inkluzjach bijących nasz Komputer Ostateczny.

– Stop, cofnij.

– No chyba nawet ty słyszałeś o Komputerze Ostatecznym!

– Owszem – żachnął się – nawet ja. Maszyna, od której nie można zaprojektować lepszej, ponieważ ograniczają ją już wyłącznie stałe fizyczne. Komputer, którego nie może pobić nic.

Ów Komputer Ostateczny stanowił machinę równie abstrakcyjną, co zgoła Maszyna Turinga: model obudowany na suchych równaniach, czysty konstrukt myślowy. Tak w każdym razie pamiętał Zamoyski. Ograniczenie miała dlań stanowić przede wszystkim gęstość upakowania komórek logicznych. Także termodynamika, to znaczy wydolność radiacyjna procesora: każdy taktujący szybciej niż około 10^{16} razy na sekundę spaliłby się do szczętu, chociażby promieniował w paśmie widzialnym – co jest najbardziej efektywne – niczym małe słońce. Granicę wyznaczała również wewnętrzna synchronizacja sygnału: jako że nie może on być szybszy od światła, nawet dla komputerów stosunkowo niewielkich, bo o średnicy mniejszej od metra, nieprzekraczalną częstotliwość stanowi 10^{10} s^{-1}. Potem ściana – nie technologiczna, lecz wynikająca z samej natury wszechświata: z faktu, że jest, jaki jest.

Przypis do Zasady Antropicznej: gdyby mogły istnieć lepsze komputery, nie mogliby istnieć ludzie.

Za czasów Zamoyskiego był to pewnik.

No ale teraz – teraz to już nie są moje czasy.

Podrapał się w kark.

– Inkluzje lepsze od Komputera Ostatecznego – pracują w oparciu o inne prawa fizyki, prawda? To jedyny sposób.

– Na tym to polega. Meta-fizyka. Aż do UI, inkluzji ultymatywnej, świętego Graala meta-fizyków: konstruktu procesującego w o p t y m a l n e j k o m b i n a c j i s t a ł y c h. Nie śledzę tego na bieżąco, ale mówi się już o generacjach trzymiliardowych. Rozumiesz, każda inkluzja otwarta projek-

tuje siebie w kolejnej, udoskonalonej wersji, w nowej fizyce – mowa zatem raczej o liniach tożsamości… O frenach, które poruszają się po tych liniach… Kilkanaście zamanifestowało się na weselu, na pewno widziałeś te manifestacje. Ale sztuczna inteligencja w takim znaczeniu, w jakim stosowano to pojęcie za twoich czasów. Ba! Połowa gości, z którymi rozmawiałeś w Farstone, pewnie by się zakwalifikowała.

– Nie byli ludźmi, poznałem.

– Naprawdę? Po czym?

– A bo to trudno poznać?

– Wiesz, ja przecież też właściwie nie należę do ich świata, też czułam się tam obca, nie obracam się wśród nich na co dzień. Może dlatego ojciec… – Oblizała w zamyśleniu palce. – Mhm, nie chodzi o to, że nie dostrzegasz różnic, ale że różnice są tak powszechne. Najtrudniej – najtrudniej wyznaczyć granicę.

– Granicę? Między czym a czym?

– Człowiekiem i nieczłowiekiem. To się… – wykonała niezdecydowany gest resztką batonu – rozmywa. W gruncie rzeczy wszystko, my, Gnosis, Cesarz, cała Cywilizacja, wszystko służy tylko temu celowi: żebyś mógł wskazać i powiedzieć „to jest człowiek”. Już dawno zrobiła się z tego kwestia polityczna, przegłosowują w Loży takie i owakie definicje, z wieku na wiek rozlewamy się po Krzywej coraz szerzej… Nawet my, stahsowie, nawet stahsowie Pierwszej Tradycji, Judas, kiedy zmartwychwstaje – nawet w tym przypadku istnieje taki moment, liczona w planckach przerwa, gdy człowiek jest wyłącznie informacją, bezcielesną strukturą umysłu, nagim frenem.

– To znaczy czym?

– Tym, co każdy program czy dane: uporządkowanym wypaczeniem Pól Plateau.

– Plateau – niech zgadnę – jakaś ogólnoświatowa sieć komputerowa, ultracyberprzestrzeń, prawda?

– Nie, raczej nie. Po pierwsze, ich są miliony, miliardy, nikt nie wie, ile. Po drugie, w ogóle nie znajdują się w tym świecie. To inkluzje o optymalnych dla swojego celu kombinacjach stałych fizycznych. Że na przykład koszt i czas Transu jest minimalny: z dowolnego miejsca we wszechświecie przekaz na lub z Plateau trwa jeden planck. Operacje logiczne przeprowa-

dzane są z maksymalną prędkością, w Czasie Słowińskiego. „Plateau” – z uwagi na położenie tych inkluzji u Remy’ego.

– Zaraz! Jeden planck z dowolnego miejsca? A co z prędkością światła? To gwałci Einsteina!

– E, chyba nie.

Na widok jego miny zachichotała.

– No dobra, nie będę się mądrzyć. Poczytasz sobie, jak wrócimy do Cywilizacji. Od twoich czasów były trzy lub cztery uogólnienia fizyki, z metafizyką włącznie; każde następne bardziej subtelne. Czego ty oczekujesz od prostej dziewczyny z buszu?

– No chyba wiesz, w jakim świecie żyjesz. Twoja własna rodzina, twój ojciec… Żyje, nie żyje, zmartwychwstaje, żyje…

– To się tak mówi: zmartwychwstaje. Po prostu jego fren, struktura jego mózgu – – Potraficie skanować ludzkie mózgi i przeprowadzać w czasie rzeczywistym symulacje ich pracy?

– Aha.

– To niemożliwe! – Aż usiadł. Zbyt gwałtownie – skrzywił się z bólu, wygiął plecy w łuk, pięścią walnął w bok. – Ugh. Ta szkapa mnie wykończy. No pomyśl, nawet gdybyście każdy neuron, każdą synapsę… To co?

Wzruszyła ramionami.

– Z jakiej niby racji mam się na tym znać? Nie jestem kognitywistą. Jakoś to robią.

– Taaa.

– Nie chcesz, nie wierz. Ile potrafiłbyś wyjaśnić ze swojego świata jakiemuś średniowiecznemu wieśniakowi? Już w żarówkę musiałby on u w i e r z y ć.

Wyglądało, że się obraził, może za tego „wieśniaka”. Angelice niewiele brakowało do kolejnego wybuchu. Jakież on ma prawo obrażać się na nią za prawdę? Odpowiada temu przemóżdżonemu połatańcowi szczerze niczym spowiednikowi, niczego nie kryje – a on co? Ma za złe. Cholera z nim.

Jechali na wschód. Zamoyski wpierał się obiema rękami w kulę łęku i w takiej pozycji kolebał głęboko z boku na bok. Grymasy cierpienia wyżerały się na trwałe w spoconej twarzy. Zsiadłszy, krzywił się tak nadal, mięśnie zapominały się rozluźnić. Powinnam to była przewidzieć – pomyślała An-

gelika – i przynajmniej wybrać dla niego inochodźca. To już stępa znosił Zamoyski lepiej. Zazwyczaj pozostawał z tyłu, musiała powstrzymywać swojego wierzchowca, zawracać.

Tak blisko Puermageze nie było zresztą potrzeby wypuszczać się na dłuższe rekonesanse, zbyt dobrze znała tę ziemię. W myśli ułożyła już całą marszrutę na tydzień naprzód, wyliczyła czasy osiągnięcia kolejnych postojów, jej starych obozowisk. Wojna z proroctwa Studni datowana była na plus siedemdziesiąt, czekały ją zatem przynajmniej dwa miesiące włóczęgi z kaleką. O ile nie jest ta wojna z góry przesądzonym zdarzeniem niezależnym, które równie pewnie ziści się z udziałem Zamoyskiego czy bez.

Zresztą pustkowia Afryki mogły stanowić niezłą gwarancję izolacji od Plateau, nie gwarantowały jednakże ukrycia się przed zdeterminowanym śledczym, który zna DNA poszukiwanego. We wnętrzu Portu nic nie dawało takiej gwarancji; a już na pewno – nie na powierzchni jednej planety. Informacja nie przecieknie na Plateau, jeśli nie wejdą w kontakt z kimś/czymś z Plateau połączonym, bezpośrednio lub pośrednio; a pośrednio połączeni jesteśmy wszyscy, satelity obserwują każdy kilometr kwadratowy Ziemi, także stepy afrykańskie, toteż na Pola Plateau HS trafiają również ślady naszej wędrówki. Co więc w najlepszym razie możemy osiągnąć, usuwając się na peryferia Cywilizacji: zminimalizować szanse realizacji wróżby.

Angelika niekiedy zastawała ów zagajnik opanowany przez hordę małp – tym razem musiała tylko zabić starą mambę, która zwinęła się w kłębek w wilgotnym mroku pod skałą. Zamoyski patrzył na to rozszerzonymi oczyma.

Zabezpieczyła i schowała pistolet pod kurtkę.

– No co – prychnęła – wąż.

Poszła zebrać drewno.

Panowała już ciemność prawie stuprocentowa, na niebie stał jedynie Jowisz, właściwie musiała macać za tym drewnem; a gdzie jedna, mogła być i druga mamba. Los szczęścia, pomyślała. Jak zwykle.

– Mógł cię ukąsić – powiedział Zamoyski, gdy wróciła.

– Mógł.

– Ach, prawda, wy powstajecie z martwych.

– Noo – zaśmiała się, zapalając ognisko – to nie mnie wskrzeszono, ja się w tym ciele urodziłam.

Uniósł na wysokość twarzy dłoń, zamknął w pięść, otworzył, zamknął, otworzył, w świetle skaczących po drewnie małych, tłustych płomieni jego skóra była ciemnożółta, prawie brązowa. Przeniósł wzrok na grzebiącą w jukach Angelikę – białka oczu dziewczyny stanowiły jedyne jasne punkty w zupełnie czarnej teraz twarzy.

– Nie pamiętam innego ciała.

– Gdyby mnie ukąsił – też bym tego nie pamiętała w nowym pustaku.

– Ale pamiętałabyś – – Siebie sprzed zapisu, tak.

– Kiedy to było? Ostatni zapis.

Wzruszyła ramionami.

– Kilka miesięcy temu.

– Ja nie pamiętam żadnych zapisów – nie istniała taka technologia – to ciało – – Powiem ci, jak to zrobili. – Zawiesiła nad ogniskiem menażkę, wyjęła mięso i nóż, zaczęła kroić. – Wydobyli szczątki. Sczytali DNA i freny. Zapuścili freny w AR Plateau. Każdy fren posiada jakieś wyobrażenie samego siebie, tym przecież różni się świadomość od programów nieświadomych. Jeśli wyobrażenie nie zgadzało się z fenotypem wywiedzionym z DNA, budowali ciało na nowym DNA, byle pasujące do wyobrażenia. Jasne, że innego ciała nie pamiętasz: to jest wszystko, co zapamiętałeś o swoim ciele.

– Ludzie mają fałszywe wyobrażenia o sobie samych. – Wyjął z ogniska patyk, zaczął rysować na ziemi asymetryczne kształty. – Kiedy patrzysz w lustro, widzisz różne dziwne rzeczy. W rzeczywistości mogłem być na przykład kobietą transwestytą.

– Ha, ha, ha.

– Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem się na filmie, kumpel ze szkoły słał mi podgląd ze swojego telefonu, zobaczyłem się w ruchu, z tyłu, z profilu, obracającego się, patrzącego na własny ruch… Spojrzeć na siebie z zewnątrz – szok. On – ja – on – ja – on. Aktorzy muszą mieć inaczej zbudowane mózgi.

– A pamiętasz, jak wtedy wyglądałeś?

– W dzieciństwie? Taki pokraczny kurdupel z wystającymi zębami, głupawy uśmiech, wytrzeszczone oczy.

– Ja byłam bardzo chuda. Skóra i kości. Liczyłam sobie żebra.

– Całe życie w Puermageze? Masz tam przyjaciół, przyjaciółki.

– Nic im nie powiedziałam, jeśli o to ci chodzi.

– Nie, ja – – Marta, Erie, Justyna, Pączuś, Hilbert, Goates, Alamreva…

– Maciek, Krzysiek, Ewka Biała, Ewka Czarna, mój Boże, przecież jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody! Teraz dopiero, jak sobie przypominam – – Ewka?

Zmieszany, zaśmiał się. Lewą ręką potarł kark, prawą zmazał naziemne rysunki. Cisnął patyk w ogień.

Angelika wsta ła, wrzuciła mięso do wrzącej wody.

– Nie chciałabym cię przestraszyć, ale takie rzeczy się zdarzają.

– Jakie rzeczy?

Nie patrzyła na niego.

– Podczas syntezy, złożenia dwóch frenów. Powiedzmy, że uznają mnie za zmarłą. Mija zapisany w testamencie czas kontaktu, rusza procedura wskrzeszenia. Budzą pustaka, wdrukowują mu w mózg ostatni zapis mojego frenu. A potem się znajduję żywa. Lecz nie może być w Cywilizacji dwóch Angelik McPherson, unikalność biologicznej manifestacji należy do ustawowej definicji stahsa. Następuje więc synteza. W twoim przypadku struktura frenu została naruszona na skutek mechanicznych uszkodzeń jego nośnika – – Mózg mi rozpruło.

– Tak. Więc dlatego. Ale skutki są podobne. Kiedy fren się rekonstruuje, pamięć i osobowość wypełniają luki, odnajdują nową równowagę… Ojciec Teofil na to cierpiał. Jego ulubienica, mała Jane – przysięgał, że tak samo wyglądała siostra Teofila, gdy byli dziećmi. Dlatego ludzie po syntezie spędzają godziny przeglądając kroniki rodzinne i publiczne skany z Plateau.

– Czemu więc nie dali mi do obejrzenia kronik z czasów wyprawy „Wolszczana”? Nie zachowały się?

– Judas mówił – – No co?

– Nie ma cię na nich.

Dalej masował kark. Angelika mieszała w menażce, obrócona bokiem.

– Nie ma mnie – mruknął.

– Nie ma tego ciała, nie ma żadnego Adama Zamoyskiego w rejestrach.

Położył się na wznak, podkładając ręce pod głowę. W otworze między koronami drzew ziała czarna pustka bezgwiezdnego nieba Sol-Portu.

– No dobrze – Angelika podniosła głos – ale ta Ewka – nie powiedziałeś, z kim mnie zsyntetyzowałeś.

Zaśmiał się, z początku z przymusem, potem, doceniając intencje dziewczyny, prawie szczerze.

– Taka kuzyneczka. Całusy za żywopłotem. Gryzła mnie w ucho.

– Ja nie gryzę.

– Zmarła na białaczkę podczas studiów.

– Ja nie umrę.

Uśmiechnął się do pustego nieba.

– Nawet jeśli umrze ten czy tamten pustak – ciągnęła, krzątając się przy ognisku. – To zawsze będzie tylko rozbicie lustra. Zastanawiałam się nad tym: gdyby istniały zwierciadła, w których mógłby się przejrzeć nagi fren…

Swojskie odgłosy tej krzątaniny działały usypiająco, Zamoyski słyszał słowa Angeliki, ale przestał zważać na ich sens, przepływały obok, jeszcze jedna melodia afrykańskiej nocy, trzeszczał ogień, plamy cienia i światła, drżąc, nakładały się na siebie na pochyłej ścianie zarośli, jakieś zwierzę pojękiwało za drzewami… zasnął.

Angelika spojrzała na niego przez wznoszące się w dymie drzewne skry. Chrapał lekko. Przestała mówić (złapała się na tym, że znowu coś mu tłumaczy). Zdjęła manierkę znad ogniska. W jakimś sensie jesteś moim dzieckiem, panie Zamoyski. Rzeźbię cię. Naszło ją wspomnienie innej rozmowy, przy innym ognisku. *W ten sposób kształtujemy je bodaj jeszcze głębiej niż po prostu rzeźbiąc DNA*. Ojciec wiedział, że będziesz teraz najbardziej podatny, musiał zdawać sobie sprawę. Dlaczego nie powiedział mi szczerze? Czy odmówiłabym? Nie mogłam odmówić. Usiadła na spróchniałym konarze, siorbnęła gorącą zupę. Mężczyzna chrapał coraz głośniej. Obraz skakał ponad płomieniami, rozpływały się zarysy ciała Zamoyskiego. Przygryzła wargę. Słodziutki ten pustak. SI zawiodła, ale – dwa miesiące sam na sam, żadnej innej twarzy, żadnego innego głosu – wrosnę w twoją krwawiącą pamięć jak chwast, jak nowotwór, nie pozbędziesz się mnie do końca życia.

Ocknął się nagle, szarpnięty czarcim pazurem za jelita duszy. Noga mu podskoczyła; usiadł i zobaczył, że kopie w popioły ogniska.

Zielone cienie pląsały nad przystrumienną polaną, obracając się w porannym kalejdoskopie na przemian z pochyłymi kolumnami promieni słonecznych. Zagajnik szumiał i skrzeczał. Konie stały nieruchomo.

Zamoyski mięśnie miał jak z kamienia, spróbował wstać i tylko zaklął; spróbował ponownie i upadł. Teraz już cały był w popiele. Muszę się umyć, pomyślał. Muszę się odlać, muszę się przebrać, muszę się czegoś napić,

gardło jak podeszwa, tfu. Za trzecim razem stanął na nogi. Po przeciwnej stronie popieliska Angelika uniosła powiekę, zerknęła, machnęła dłonią i zasnęła z powrotem.

Pokuśtykał do strumienia, a potem kilkanaście metrów z jego biegiem. Zagajnik był niewielki i Adam, zanim się spostrzegł, wyszedł na sawannę. Od razu dostał słońcem po oczach, aż mu załzawiły. Podlał ostatnie drzewo; mocz rozpryskiwał się na korze w fontannę drobnych kropel, prawie piękną.

Stękając i klnąc pod nosem, zdjął ubranie i wszedł w zimną wodę. Wszystko było takie jaskrawe, takie wyraźne, jakby w nocy świat przeszedł na standard *high definition*. Bardzo kolorowe ptaki przyglądały się Zamoyskiemu, przekrzywiając główki na lewo i prawo. Pluskał, prychał i rechotał.

Nie zabrał mydła ani ręcznika – przespacerował się potem nago dokoła zagajnika, by pozwolić skórze wyschnąć. Słońce na jasnobłękitnym nieboskłonie wydało mu się absurdalnie wielkie, oślepiające. Czy oni w tym Sol-Porcie nie manipulowali przypadkiem orbitami planet?

Ubierając się, spoglądał wzdłuż strumienia na południe, prosty strzał spojrzenia ku linii horyzontu. Kilkaset metrów dalej wznosiła się nad trawami kolejna bulwa gęstej zieleni: korony drzew, cienie skał, porażające kontrasty kolorystyczne gorącej flory. Afryka, pomyślał – i po raz pierwszy uwierzył. Dwa miesiące, zapewne więcej. Dzicz. Uśmiechnął się pod wąsem. Nawet nie pamiętam, czy już kiedyś nie odbyłem takiej wędrówki… No pięknie, do czego doszło: mnie się to podoba…!

Oddychając przez usta – wdech, wdech, wdech, aż załaskocze w płucach, wydech – ruszył ku tej zieleni na południu. Przyzwyczajał się już do piekącego bólu w mięśniach. Zerwał długie źdźbło i wsunął je sobie między zęby. Włosy miał jeszcze mokre, ale też szybko schły. Zachciało mu się gwizdać. Czy ja w ogóle umiem gwizdać? Szczerzył głupio zęby do błękitnego nieba. W końcu – któż tak naprawdę nie chciałby mieć możliwości sprawdzić, jak będzie wyglądał świat za sto, dwieście, sześćset lat? A ja jestem w jeszcze lepszej sytuacji: nie pamiętając, nie żałuję. Skoro zdecydowałem się wtedy świadomie na uczestnictwo w tej wyprawie „Wolszczana”, widocznie niewiele miałem do stracenia. Nina? Nie było nigdy żadnej Niny.

Wszedł między drzewa, strumień gdzieś mu zginął, tu również były skały, przedarł się przez kolczaste zarośla, skręcił ku słońcu i wyszedł na polanę. Angelika spała przy ogniskowym pogorzelisku. Jeden z koni łypnął po-

dejrzliwie na Adama. W piasku nad strumieniem nabiegały wodą ślady stóp Zamoyskiego, prowadzące wzdłuż brzegu na południe.

Zamoyski stał i patrzył. Bełkotliwe myśli kłębiły mu się w głowie, kilkanaście pytań pozbawionych podmiotu i orzeczenia. Wypluł źdźbło. Ostrożnie wycofał się z powrotem na sawannę. Spojrzał na północ, skąd przyszedł. Obszedł zagajnik i spojrzał na południe: strumień, sawanna, zagajnik.

Po chwili wahania ponownie okrążył zarośla i wrócił tą samą drogą, prosto na północ. Dostrzegł nawet niektóre z połamanych wcześniej przez siebie szabel traw. Tu szczał; tu się kąpał. Poszedł wzdłuż strumienia aż do polany. Angelika spała, koń łypał.

Zamoyski zwątpił.

Przysiadł na swoim siodle. Obudzę ją, pomyślał bezwolnie, a ona mi wszystko wytłumaczy.

Tymczasem siedział i patrzył. Leżała na lewym boku, z kolanami podciągniętymi ku brodzie, z prawą dłonią częściowo zasłaniającą twarz. W powolnych ruchach piersi odczytywał rytm spokojnego oddechu. Mały, seledynowy owad wędrował po ciemnej gładzi jej policzka. Kiedy dojdzie do oka, obudzę ją. Jej wargi podczas wydechu odrobinę się rozchylały, układał się z nich wówczas pierwszy etap grymasu zdumienia, zdumione kobiety zawsze wyglądają trochę młodziej. Natomiast podczas wydechu była w pulchności swego podbródka i nieskazitelności spalonej na brąz cery porażająco dziecinna.

Zamoyski zyskał nagle przekonanie, że robił był tak już w przeszłości, że otóż taki miał zwyczaj, nerwowy tik duszy: obserwować je śpiące. Jest to najsubtelniejszy z rodzajów intymności, bo jedyny gwarantujący stuprocentową szczerość obiektu. Tyrani światła dziennego we śnie rozluźniają maski swych oblicz, zwały zeusowych zmarszczek roztapiają się im jak masło na blasze, uwolniona z napięcia skóra spływa do najstarszej z zapamiętanych form, tej najprawdziwszej. Ofiary pory słońca – we śnie marszczą brwi przeciwko niewidocznym gnębicielom, wydają zdecydowane pomruki, energicznie poruszają szczęką.

Zwykłem się tak budzić – przypuszczał – w nocy, nad ranem, i patrzeć, jak pod powiekami poruszają się jej gałki oczne, śledząc przelatujące ponad krainą snów serafiny; jak zawiadywane odruchowymi skojarzeniami, przemykają po jej twarzy – niczym szybkie chmury po jesiennym niebie – krót-

kie odbicia min, jakie przybiera po tamtej stronie. Jej całkowita bezbronność zniewala mnie. Najpiękniejsza jest, gdy o tym nie wie.

Owad wspiął się na czarną brew dziewczyny, Zamoyski wstał, podszedł i potrząsnął Angeliką.

– Coś się stało – oznajmił. – Południe zapętliło się z północą, sawanna zacisnęła się w pięść. Chodzę w kółko po własnych śladach.

– A więc mają nas – powiedziała, siadając, momentalnie przebudzona.

– Kto?

Wzruszyła ramionami.

– Ci, którzy nas zawinęli. – Wstała i przeciągnęła się. – Słuchają teraz i patrzą.

Powstrzymał grymas.

– Więc gdzie jesteśmy? Nie na Ziemi?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Co znaczy „gdzie”? Tutaj. „Gdzie” będzie dopiero, gdy nas otw orzą. Jakie znaczenie ma dla wnętrza Sol-Portu, którędy lecą jego Kły?

– Ale Słońce – wskazał ręką – widzę Słońce!

– To prawda, widzisz.

Podeszła do strumienia, przyklęknęła, nabrała wody, napiła się.

– Potem nas zabiją – powiedziała.

– Co?

– Zawsze zabijają.

– Potem? Po czym?

– Po tym, jak wezmą to, dla czego nas porwali. – Obejrzała się na Adama przez ramię. – To jest polityka, panie Zamoyski. Zawsze i wszędzie chodzi tylko o jedno: o informację. Bardzo mi przykro.

Odetchnęła głęboko, mokrymi dłońmi przesunęła po włosach.

– Najwidoczniej wojna była nie do uniknięcia.

3. Sak

KRAFT

Niegrawitacyjny modelunek czasoprzestrzeni.

W Czterech Progresach rozwinięty przez usza i rahabów z fizyki inflatonowej. Teoria i praktyka kraftu umożliwiły z kolei rozwinięcie meta-fizyki.

→ Optymalnym energetycznie narzędziem kraftu jest tzw. Kieł. Pojedynczy Kieł umożliwia kraft liniowy, wektorowy (np. wytworzenie kraftfali, której siodło w układzie zewnętrznym przemieszcza się szybciej od światła). Dwa Kły umożliwiają kraft tensorowy. Trzy Kły – całkowite zawinięcie czasoprzestrzeni, czyli utworzenie Portu. W zaawansowanej inżynierii meta-fizycznej wymagane są większe, precyzyjnie określone ilości Kłów.

→ Popularniejsze formy kraftu:

- → Fala qFTL.
- → Port.
- → En-Port (Port wielokrotny).
- → Sak.
- → Inkluzja (Port Odcięty).
- → Dekraftunek („prucie” Portu).
- → Krzyżkraft (nierównoległy, podwójny kraft tensorowy).
- → Krafthole (jednostronny upust energii).
- → Trans.
- → „Strojenie” czarnych dziur (np. do Studni Czasu).

„Multitezaurus” (Subkod HS)

Zdyszany, padł wreszcie w trawę.

Ciało jednak pamięta, ciało posiada pamięć autonomiczną, pomyślał. Kiedyś biegałem. Kiedyś biegałem często i długo, lubiłem biegać. Ciało pamięta.

A dopiero po sekundzie, gdy złapał oddech: gówno prawda – dwa, trzy tygodnie, nie starsze, wyhodowali je od najprostszych białek, niczego nie pamięta, prócz krwi nanomatycznej i mechanicznych macic.

Angelika obserwowała go spod ostatniego drzewa zagajnika.

– Powiedziałabym: sześćset metrów.

– No – przytaknął. Słońce biło mu w oczy, osłonił się przedramieniem. – Koło, na ile mogę to ocenić. Ale w górę? Tam – co? Niebo?

– Są metody – zapewniła. Usiadła na wypiętrzonych ponad trawę korzeniach, nożem zeskrobała coś z obcasa. – Wzięli nas w Sak.

– Ten Sak… Coś jak Port, przypuszczam.

– Mniej więcej. To znaczy… domyślam się, że musieli coś takiego zastosować. Znajdowaliśmy się przecież wewnątrz Sol-Portu, a każdy Port opuszczający go musi posiadać autoryzację Rady Pilotów. Mój ojciec jest jej członkiem. Nigdy nie wypuszczono by Kłów z zamkniętym Portem tuż po kradzieży kawałka Ziemi. Takie Kły nie miałyby się też gdzie ukryć wewnątrz Sol-Portu. Przegrana sprawa. Szaleństwo.

– Więc według ciebie co oni zrobili?

– Zawinęli nas w Sak. Zasadniczo jest to taki sam kraftunek jak w przypadku Portów; tyle że tu Kły znajdują się wewnątrz ugięcia i stamtąd je podtrzymują. Tak mi to przedstawiano w teorii: że są co najmniej dwa zespoły Kłów. Jeden zawija przestrzeń wraz z nimi samymi; drugi, też zawinięty, utrzymuje normalny Port. Rozumiesz, bąbel w bąblu, cebula.

– W takim razie my znajdowalibyśmy się w tym wewnętrznym Porcie.

– Aha. Bo w końcu – jak inaczej…?

W zamyśleniu pomasował guz na potylicy.

– Czy prowadzi się rejestr Kłów przebywających wewnątrz Sol-Portu? Wystarczyłoby wówczas przeprowadzić szybką inwentaryzację i te brakujące wskazałyby sprawcę. Nie?

Angelika zaśmiała się sarkastycznie.

– To nie jest takie proste. – Wyjęła i założyła czarne okulary. – Pomyśl chwilę.

Podparł się na łokciu, zajrzał w cień, w którym się kryła.

– To jakaś zagadka? Nie znam się na tych waszych supertechnologiach.

Wydęła wargi.

– E. Masz wszystkie dane. To oczywiste.

Podpuszczała go, bawiła się jego niewiedzą, widział to.

Oczywiście podjął wyzwanie.

– Przemycili je też w Saku! Otworzyli go tylko na moment porwania. Tak? Mam rację?

– Widzisz, już się orientujesz.

– Nie traktuj mnie jak dziecka! – Odwrócił wzrok. – To jak choroba. Upośledzenie nie wynika z mojej winy. Zawsze nienawidziłem tej maniery pielęgniarek i lekarzy: gaworzą do dorosłych pacjentów niczym do przedszkolaków. Ciśnienie tak od tego skacze, że nie zdziwiłbym się, gdyby same te pogwarki doprowadziły do paru szpitalnych zawałów.

– Kurczę, aleś drażliwy, no przepraszam pana bardzo, panie Zamoyski.

Wstał i ruszył w górę strumienia, żeby się napić. Wciąż jednak obracał w myślach zagadkę Saka i wróciwszy, zaatakował Angelikę z kolei z tej strony:

– No ale przecież powinniście się tego spodziewać! Można w Sakach przemycić do i z dowolnego Portu każdą ilość Kłów! Nie macie żadnych systemów obronnych? Chociażby detekcyjnych – bo ja wiem, jak to się objawia na zewnątrz…

Angelika wyraźnie się zmieszała.

– To nie jest tak – – A jak?

Stał nad nią, cień nad cieniem – i pytając, przysunął się jeszcze bliżej. Zreflektował się w pół gestu. Odszedł pod sąsiednie drzewo, oparł się o pień.

Dziewczyna popatrywała na Zamoyskiego ponad szkłami. Zagrał w nim gniew. Czekał już tylko półuśmiechu na jej wargach. Ale nic, tylko patrzyła.

– Co znowu?

– Ty nadal próbujesz mnie złapać na kłamstwie.

– Co?

– Nie wierzysz w ten świat. Oszukujemy cię. Nie będę umiała czegoś wyjaśnić i – *voilà!* – zdemaskowałem iluzję!

– Wyjaśnić, nie wyjaśnić… Ale skoro widzę oczywiste sprzeczności– – To co? Zróbmy test. – Zatarła dłonie. – Opowiedz mi jakąś historię ze swojego życia. Dowolną. No. Proszę.

– A ty będziesz wynajdywać w niej sprzeczności, tak? Pięknie dziękuję. I tak wiem, że mam kaszanę w pamięci.

– Tchórz.

– To tak się dzieci bawią u jezuitów? W spowiedzi?

– Tchórz, tchórz. Czego się boisz? Introwertyk pieprzony. Trzeba rozmawiać. Nie wiesz, co pamiętasz, dopóki nie spróbujesz tego opowiedzieć. I nie wiesz, co tak naprawdę sądzisz na dany temat, dopóki nie zaczniesz się o to z kimś kłócić. W samotności nie jesteś nawet świadomy swoich sprzeczności. Myślisz, że czemu służy spowiedź? Co, może nie chodziłeś nigdy do psychoanalityka?

– O, nie ty będziesz moim psychoanalitykiem!

– Jakiego cię poznam, takim się zapamiętasz.

Krótkie spięcie: jak zareagować? Zaśmiał się. Patrzyła nań podejrzliwe. Zamilkł i usiadł pod drzewem, miał jej oczy za matową czernią szkieł na dwa wyciągnięcia ręki.

– Słuchają, tak? – mruknął.

– Słuchają i patrzą – przytaknęła. – I w ogóle.

– Czas nie gra na ich korzyść. Powinniśmy już chyba nie żyć, co?

Wzruszyła ramionami.

– Czas też podlega modelowaniu przez Kły. Różne są ugięcia i odcięcia czasoprzestrzeni. To wielka gałąź meta-fizyki. Znam tylko ogólniki.

– Słuchają – powtórzył.

– Tak.

Rozpoczęło się wielkie milczenie. Ani ruchu, ani oddechu, ani szelestu tkaniny, by nie spostrzegła się druga osoba. Byli świadomi wzajem nawet własnego skrępowania, i skrępowania tą świadomością. Tu załamuje się *savoir-vivre*, myślał Zamoyski. Od momentu zagrożenia życia tracą rację bytu wszelkie kanony zachowań – bo jakież mogą mieć znaczenie w obliczu końca? Żadnego, żadnego. Zaiste, wolność absolutna.

No ale właśnie sam na sobie doświadczał, że to nieprawda!

Nie rozumiał tego. Co go skuwa, skoro w tym Saku oboje *de facto* przekroczyli już granicę śmierci i obecna forma ich egzystencji stanowi raczej coś w rodzaju wyrostka robaczkowego podstawowej linii życia? Przecież odczytany z uprzedniej archiwizacji frenu przez McPhersonowych kognitywistów nie będzie nic z tego pamiętać – życie potoczy się nową, równoległą ścieżką.

A zatem? Wierzę czy nie wierzę w tę śmierć?

– Kiedy Judas się dowie? – zapytał.

– Mhm?

– O porwaniu. Kiedy?

Przechyliła w zamyśleniu głowę.

– To zależy, jak to rozegrali. Czy szarpnęli się na akcję maskującą w pełnej skali…

– Stracił przecież kontakt, na pewno się zainteresuje…

– No nie, kontakt został utracony w momencie opuszczenia przez nas Puermageze, na tym to wszak miało polegać: na usunięciu cię poza horyzont zdarzeń. Gdyby się Judas z nami kontaktował, nawet jedynie sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, wpływalibyśmy, ty byś wpływał, na jego decyzje.

– Siedemdziesiąt dni! Tak? Więc oni – – Mówiłam ci: to już przesądzone. – Poprawiła okulary. – Zresztą dziury w infie nie da się niezauważalnie załatać, tak czy owak bardzo szybko wszyscy się dowiedzą, Cesarz pierwszy… Akademickie rozważania, daj sobie spokój.

Wybuchnij, rzekł sobie. Teraz.

– Ależ to trzeba być nienormalnym…! – krzyknął. – To nieludzkie! Przecież wciąż żyjesz, oboje żyjemy! Jak możesz nagle powiedzieć sobie: „Przesądzone, dalej będę naprawdę żyć dopiero wdrukowana w pustaka”? Co? Pstryk, przełączasz się w tryb bezwoli? Kto tak myśli?! To niemożliwe!

– Dla ciebie.

– A dla ciebie? Nie wierzę.

– No łamiesz mi serce.

Wypuścił powietrze z płuc, pokręcił głową.

– Na zawołanie wyzbyć się instynktu samozachowawczego – szepnął. – Jakieś masochistyczne ćwiczenia zen. Niemożliwe, niemożliwe.

Przypatrywała mu się sponad szkieł; zamknął oczy, nie widział jej, mogła tak patrzeć.

Niemożliwe. Przesunęła językiem po dziąsłach, wydęła policzek. Oczywiście, że niemożliwe. Tak samo jak niemożliwa jest całkowita prawdomówność, wierność absolutna, piękno uniwersalne. Kiedy powiedział jej o zawinięciu sawanny, a ona uklękła nad strumieniem i spojrzała na własne w wodzie odbicie – w tym samym momencie zyskała pewność, że nie będzie tu histeryzować, że nie wybuchnie przekleństwami i nie zapłacze. Potem nas zabiją, rzekła sucho i oślepiło ją wspomnienie Judasa McPhersona oddającego kelnerowi kieliszek, by nanomatyczna morderczyni nie rozchlapała tych kilku kropel wina, gdy będzie wyrywać mu kręgosłup. Zamoyski za wiele sobie wyobraża, to przecież nie są żadne perwersje psychologiczne, nie oszalała. Inna reakcja byłaby po prostu… nienaturalna. Gdybym miała – Słońce spadło z nieba.

Odruch zaprzeczył słowom Angeliki: poderwała się na nogi z dłonią zaciśniętą na rękojeści noża.

Ziemia szarpnęła się wzwyż pod jej stopami, obrócił się pion i na Angelikę zwaliła się góra ciepłego błota. Jeśli Adam krzyczał, to tego krzyku nie usłyszała; ani własnego – więc może istotnie wcale się aż tak nie bała.

Ciężka maź wciskała się jej do ust, do nosa, pod powieki. O wciągnięciu do płuc świeżego powietrza nie mogło być mowy. Dwie minuty, pomyślała; i szarpnął nią wielki dreszcz, gdy spostrzegła, jak pewnie i bez wątpliwości określiła długość pozostałego jej życia.

Gorąca masa napierała zewsząd, wykręcając kończyny, naciągając stawy, naciskając na kręgi. Miażdżyła ciało.

I nagle, wprost z analitycznego chłodu – wpadła Angelika w ostateczną panikę. Umrę! Umrę! W szybkich haustach wciągała do ust błoto.

Zadziwiające: zawsze była przekonana, że, gdy przyjdzie co do czego, przerazi ją towarzyszący ból, nie zaś sam fakt śmierci. Przecież śmierć to cięcie, granica nicości, punkt zeroczasowy, zdarzenie podplanckowe, nie do poczucia. Co innego ból ciała. Tymczasem było na odwrót: cierpienie organizmu działało nawet w pewien sposób kojąco – lecz świadomość nadciągającego końca, sama wiedza o nieuchronnym, tak bliskim, na końcu tego oddechu…

Gryzła kamienie. Jadła ziemię. Wciągała do płuc błoto.

Szłusss! Nieważkość, upadek w otchłań. Krztusząc się, uniosła powieki i zobaczyła ciemność. Zalepiło mi gałki oczne! Zamachała rękoma ku twarzy, ale zanim jej sięgnęła, upadek się zakończył, uderzyła w twardy grunt. Kolano, biodro, łokieć – strzelił przez nią prąd. Ziemia spadała na Angelikę wielkimi pecynami gliny, mniejsze i większe kamienie biły jak grad. Ułamki sekund – i znowu została pogrzebana, znowu nie mogła się ruszyć. Ciśnienie nie było już tak duże, lecz co to za różnica, gdy, miast powietrza, napiera na usta i wciska się do nozdrzy – żwir i piasek i gęste błoto? Umrę, umrę.

Już czuła pieczenie w płucach, ogień sięgający tchawicy. Chłód kończyn, drżenie palców, łomot krwi, czerwień pod powiekami, spazmatycznie wciąga kaleczące język i podniebienie gruzły ziemi, zaraz straci przytomność i spadnie w ciepłą ciemność, gdy niedotleniony mózg odmówi dalszego procesowania frenu. Nawet katharsis ciała zostało jej odmówione, bo nie mogła się poruszyć, uwolnić histerii, żywcem pogrzebana… Koniec.

Wyszarpnięta z ciemności, zwinęła się w wykrztuśnej konwulsji, machając na oślep rękoma. Usłyszała krzyk, coś pchnęło ją w plecy, wykręciło rękę.

Nie miała pojęcia, co się dzieje, przytępione zmysły przepuszczały jedynie informacje o bólu, a one pochodziły z klatki piersiowej, zza mostka.

Pluła krwią, śliną i piaskiem. Powietrza! Wygryzała je sprzed twarzy krótkimi szarpnięciami głowy; co drugi wdech był blokowany przez ciała obce w tchawicy.

W końcu dźwięk przebił się do uszu i Angelika usłyszała, jak charczy; nie był to odgłos, którego spodziewałaby się po istocie ludzkiej.

Ogień w płucach ustępował. Padła bezwładnie na plecy.

Powoli uniosła rękę (sto funtów, martwy głaz) i starła z twarzy warstwę błota. Zaraz ktoś jej pomógł, delikatnie oczyścił oczy.

Zamrugała.

– Usiądź – rzekł jej Zamoyski, unosząc wyżej pochodnię, by nie opalić jej włosów. – Pochyl się. Pij, musisz zwymiotować.

Mglista plama – tak widziała jego twarz.

Z wysiłkiem skupiła wzrok. Miał gęstą, czarną brodę. Lewą ręką podawał jej manierkę. Na ramieniu siedział mu srebrnopióry ptak o trzech głowach.

Wyciągnęła dłoń po wodę i straciła przytomność.

Zamoyski schował manierkę. Nóż, którym Angelika zraniła go w ramię, wsunął za cholewę buta. Odłożywszy pochodnię, podniósł dziewczynę i wyniósł na światło. Przeskoczył przez ścianę wody i wszedł do jaskini pod krzywym sklepieniem rozfalowanej na wietrze sawanny. Ułożył Angelikę na przygotowanym posłaniu. Ostatni wąż wędził się powoli nad oszczędnym ogniem. Ponad fioletowym horyzontem obracał się smukły Kieł.

Zamoyski usiadł w cieniu chłodnego głazu, obmył i obwiązał ranę. Jeśli wda się teraz zakażenie, pomyślał, i grozić mi będzie nieuchronna śmierć – czy oni wówczas się pojawią, jakoś zareagują? Dla Angeliki nie interweniowali. Ale czy to o nią im chodziło?

Wtedy – wtedy bowiem był przekonany, że oto postanowili w końcu wziąć się za drenaż jego mózgu i zabierają go właśnie do swych komnat interrogacyjnych, gdzieś w głąb sekretnych machin analitycznych. Zgasło słońce i coś pociągnęło go w dół, ziemia rozstępowała mu się pod stopami, jeszcze tylko ujrzał podrywającą się na nogi Angelikę z nożem w dłoni i pomyślał: szkoda – po czym połknął go czarny lewiatan. Nadal brzmiały mu w uszach jej słowa: – To przesądzone. – Nie wyrywał się. Leciał w ciemność, spokojny – jeśli nie duchem, to w każdym razie ciałem.

Wstrząsnął nim szok nagłego zimna, gdy z głośnym pluskiem wpadł do wody. Nie, ten chlupot dochodził ze wszystkich stron: nie jeden Zamoyski spadł tu ze słonecznej Afryki – spadły tony ziemi, spadła wraz z nimi Angelika, zapewne cały zagajnik, drzewa, zwierzęta… Mijały go w głębinie, w wirach zmąconej wody, ciągnąc za sobą warkocze baniek powietrznych; coś zaczepiło go o nogawkę, wyrwał się.

Wypłynął z powrotem na powierzchnię, odetchnął. Przetarł oczy i, parskając, rozejrzał się w ciemności. Zero orientacji. Czy zresztą w Saku można w ogóle mówić o stronach świata? Jeden kierunek wyróżniał się wszakże bijącą zeń szarą poświatą, podczas gdy pozostałe czopował gęsty mrok – tam więc Zamoyski popłynął, ku światłu.

W braku odniesienia dla czasu i przestrzeni skupił się na liczeniu pociągnięć ramionami. Po czterystu, gdy sprawdził, trafił nogami na grunt. Wyczołgał się na brzeg. Zerwał z nóg jakieś zielsko, które oplątało mu się wokół kolan.

Granica światła i ciemności, ostra i wyraźna niczym linia życia i śmierci, biegła przez ziemię kilkadziesiąt metrów dalej. Gdzie ja jestem, w jakiejś jaskini? Leżąc na kamienistej plaży cienia, obrócił się na plecy. Nie dojrzał

żadnego stropu. Dyszał ciężko. Mięśnie nóg i rąk drżały w seriach skurczów i spazmów. W butach chlupotała woda. Pachniało starą spalenizną.

Zamknął oczy i zaczął się śmiać.

Potem wyszedł na słońce i został porażony. Katastrofa. Coś się zepsuło w rękach bogów, coś trzasnęło w mechanizmach Kłów. Niemożliwe, by o to właśnie chodziło porywaczom, którzy wzięli ich w Sak.

Nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Nawet ziemia i niebo. Spojrzał, skąd pada światło, gdzie jest źródło tego ciepła, które osusza mu skórę i ubranie – tam nie było słońca. Tam, zginając się w parabolicznym łuku ku nieskończoności, rozpościerała się żółto-zielona sawanna. Widział krańce tego lądu-w-przestworzach, boki jęzora skały i piasku – jakby ktoś wyciął kawałek tortu i wcisnął go w firmament; jednak nie dosyć głęboko.

Sawanna na niebie rozdzierała przestrzeń i czas: po lewej noc (z której wyszedł), po prawej – dzień (węższy sierp).

Co prawda we wnętrzu odpowiednio zawiniętego Portu widać przestrzenie i obiekty w Port nie ujęte – obraz Słońca, nie samo Słońce – w oparciu o tę samą zasadę pompowali z Sol-Portu wypromieniowaną energię gwiazdy – ale Angelika mówiła, że – Angelika! Znajdowali się tak blisko – ona też powinna była spaść do tego jeziora. Obejrzał się w ciemność. Nie krzyczała – lecz on też nie krzyczał, gdy leciał do wody.

Cóż, jeśli sama nie dopłynie, to już po niej.

Stanął na granicy nocy i zawołał ją pełnym głosem, raz, drugi, trzeci.

Cisza.

Nie żyje?

Ona się tym nie przejmowała – dlaczego ja mam się przejmowa ć…?

Mimo to sta ł tam, plecy w skwarze, twarz w cieniu, i wołał w zimną ciemność jeszcze kilka minut.

Wrócił potem na słońce – w jego światło, blask odległego błękitu.

Przyjrzał się najbliższemu skupisku drzew. Nie do wiary – to znowu ten cholerny zagajnik! I jak poprzednio: kilkaset metrów dalej następny. I następny. I następny.

Spojrzał w przeciwną stronę, zaczął liczyć plamy soczystej zieleni. Po dwudziestu musiał zadrzeć głowę. Na niebie szło to szybciej, skrót perspektywiczny zmniejszał odległości.

Linia znaków szczególnych zasupłanego n-krotnie wycinka sawanny ginęła w punkcie zetknięcia się dnia z nocą.

– Coś im się popruł ten Sak – mruknął Zamoyski.

Rozsznurował i zdjął przemoczone buty i skarpety. Zapatrzony w punkt spotkania nieskończoności, przeszedł w poprzek pasa sawanny. Naliczył dobrze ponad dwa kilometry: po katastrofie pętla się poszerzyła.

Z jednej jego strony był mrok i woda – lecz co z drugiej? Nie na niebie – które i stąd widział – a niżej, pod stopami. Co tam się znajduje?

Lecz kiedy przeszedł dwie trzecie dystansu, sfery się obróciły – i oto stał na rozciągniętej od widnokręgu po widnokrąg spokojnej równinie, pod turkusowym, bezchmurnym niebem Afryki, ze słońcem w zenicie. Teraz widział je wyraźnie (gdy spoglądał przez rzęsy): koło bielsze od bieli, kolor bólu.

Cofnął się, aż znalazł dokładnie ten moment, to miejsce, w którym horyzonty zaczynały się prostować.

No pi ęknie: nie tylko że nie zobaczysz, ale nawet gdy widzisz – nie dojdziesz.

Przypomniał mu się stary dowcip topologiczny. Jak złapać w klatkę dzikiego lwa? Wejść do klatki, zamknąć ją, schować kluczyk do kieszeni, poczekać aż zjawi się lew, po czym dokonać inwersji względem prętów klatki. Lew w klatce, my na zewnątrz.

Podreptał do najbliższego zagajnika. Po drodze skaleczył się w piętę, niebo zaś na powrót się podzieliło.

W zagajniku, na polanie nad strumieniem, stały konie, a wokół wypalonego ogniska leżały posłania Zamoyskiego i Angeliki: siodła, koce.

Adam usiadł na tym samym miejscu, z którego przed godziną obserwował śpiącą dziewczynę. Przypatrywał się, jak refleksy słońca pływają po krzywiźnie metalowej menażki; Angelika kazała mu ją umyć, nie umył.

Co się stało? Na Boga, co oni z nami zrobili?

Włożył nie do końca wysuszone buty i, podążając wzdłuż strumienia – szemrał on tak samo srebrzyście, te same ptaki hałasowały w zieleni – wyszedł przed zagajnik. Ostatnie drzewa – tutaj. Pozostał lej, jak po dwutonowej bombie, stare osypisko, na którego zboczach rosła już trawa i młode krzewy. Zszedł na dół. Na dnie zebrała się woda, owady bzyczały nad nieruchomą kałużą. Gdybym zaczął tu kopać… Ile – dwa, trzy metry? Czy przebiłbym się przez niebo nad nocnym jeziorem?

Tak czy owak, zniszczenia wydawały się nieproporcjonalnie małe. Pamiętał: zaszło słońce, rozwarła się ziemia, świat przewrócił się do góry no-

gami. Jak to możliwe? Tak naprawdę to nie są przecież bogowie; po prostu dysponują większą wiedzą i większymi energiami do domowego użytku. Angelika zdążyła mnie przeszkolić. Co z tego, że się nie znam? Nawet do ubogich danych stosować trzeba te same prawidła logiki.

Więc? (Nad krawędzią leja pojawił się łeb hieny, hiena ziewnęła, wysunęła ozór). Więc? Może to po prostu mimo wszystko nie ten zagajnik. No nie, głupota: zagajnik jest wszak tylko jeden, w rzeczywistości nikt tu niczego nie kopiował, byłoby to takie samo złamanie praw fizyki, co *perpetuum mobile*. To j e s t ten zagajnik; i z d a r z y ł o s i ę, co się zdarzyło.

Wrócił na polanę. (Potwornie bolały go mięśnie, teraz wyraźniej czuł drążące mu żyły zmęczenie). Wrócił na polanę – i ponownie zwątpił. Konie leżały martwe, nad cuchnącymi truchłami obracały się chmury brzęczących głośno much. Na widok Zamoyskiego pięć hien uniosło łby. Dojadały resztki mięsa na brudnych kościach.

Odegnał padlinożerców długą gałęzią. Wycofali się zaledwie na granicę zarośli. Adam przyjrzał się wierzchowcom – temu, co z nich pozostało. Spostrzegł dziwne wygięcie ich karków, krzywo uniesione łby, nawet pośmiertnie wykręcane przez uzdy, wciąż przywiązane do klonu dobry metr nad ziemią.

Ognisko – prawie zarośnięte. Musiał się pochylić, by znaleźć w trawie koce i resztę rzeczy. W zardzewiałej menażce mieszkała rodzina żuków.

Dlaczego nic nie zauważyłem? – zastanawiał się. Szedłem tą drogą dwa razy. Powinienem był się zorientować.

Z gałęzią wyciągniętą prosto przed siebie ponownie ruszył wzdłuż strumienia do miejsca zapaści. Tym razem szedł bardzo powoli, stopa za stopą, uważnie obserwując poruszenia dokolnej roślinności, tor lotu owadów i ptaków, grę światłocienia na wodzie, liściach, korze, wreszcie samą wodę – jak się piętrzy, jak rozlewa, z jaką werwą przeskakuje kamienie. Gałąź dzierżył niczym różdżkarz, wyczulony na najmniejszą zmianę jej wagi.

Rozpoznał Strefę, gdy powiał wiatr: wszędzie wokół trawa położyła się na ziemi, tam zaś jedynie rozmył się lekko trawy obraz, jakby źdźbła, każde z osobna, bardzo szybko zawibrowały. Granica Strefy nie była ostra i ten kilkunastometrowy owal przylegający z lewej strony do piaszczystego brzegu strumienia odznaczał się najwyraźniej na obwodzie, gdzie podnosiły się małe wiry pyłu i piasku, motyle śmigały błyskawicznie po zupełnie niemotylich parabolach, trawa zaś kładła się w spokojnym powietrzu w szerokie

wachlarze. Zamoyski cisnął gałęzią z pełnego zamachu. Zafurkotała, spadając po stromym łuku w środek Strefy. Na wysokości jakichś dwudziestu metrów przyspieszyła, by gruchnąć w trawę tak błyskawicznie, iż Zamoyski właściwie nie widział jej tam spadającej – mignęła mu przed oczyma w pionowym ruchu.

– No tak. Kły. Czas i przestrzeń.

Z ciekawości przeszedł się do następnego zagajnika.

Tam oczywiście również znajdowała się Strefa. A czego mógł się spodziewać? To ten sam strumień, ta sama gałąź.

Musiał być naprawdę zmęczony, bo dopiero pozbierawszy swoje rzeczy z polany i dokonawszy selekcji ekwipunku, spakowawszy dwie sakwy – dopiero palnął się w czoło i zaklął. Nie ta Strefa! Czas nie powinien przyspieszać, lecz zwalniać! Gdzieś tam po drodze musiałem minąć także drugą, przeciwnie zorientowaną.

Sak, myślał mętnie, błądząc wzrokiem po niebie, między nocą a dniem, po długim klinie spalonej słońcem ziemi. Sak – to, co z Saka zostało. Ostro się musiało pokopać… Rozpruł się im Sak wzdłuż i wszerz, rozpruł w szwach.

I im dłużej nad tym myślał, tym mniej trzymało się to kupy. Na moich oczach gwałcą tu fizykę, a ja mogę się tylko przyglądać z otwartą gębą. Ten pieprzony Sak to jeden wielki patchwork czasoprzestrzeni, wkładasz rękę do kieszeni i drapiesz się w jutrzejsze ucho, zajoba można dostać.

Przeniósł się na granicę zagajnika, pod cień ostatnich drzew, gdzie nie sięgała mdląca woń padliny. Wyciągnął się na ciepłej ziemi. Przebudził się przecież z całonocnego snu zaledwie parę godzin temu – a jednak oczy same mu się zamykały. Zresztą… godziny, sekundy, lata – któż może mieć pewność? Ciało przynamniej mnie nie okłamie, ciało pamięta.

Czemu ja jednak jeszcze w ogóle żyję? Czemu nie przenicowało nas w zimną próżnię? Nie powinienem żyć… Po dwakroć, po trzykroć – nie powinienem…

Zasnął.

Chodził potem po okolicy z sakwami przewieszonymi przez ramię, z kijem w ręku. Najpierw w granicach pasa sawanny, potem zbaczając ku błękitnemu niebu.

Wahał się długo, zanim opuścił pętlę. Miał nawet taki pomysł, żeby wejść w najwolniejszą ze Stref i tam przeczekać, aż… Aż co? Cokolwiek.

Przecież nadal był więźniem, tu nic się nie zmieniło.

Wahał się – jednak w końcu podjął decyzję i wyszedł na nieskończoną równinę. Miał dziwną pewność, że po kilku dniach jałowego wyczekiwania w Strefie i tak by nie wytrzymał i porwał się na czyny jeszcze bardziej desperackie.

Wkroczył zatem na równinę. Słońce wisiało nad głową, otwarty tunel do piekielnych otchłani – dobrze, że kapelusz ocalał. Węże i jaszczurki uciekały mu spod butów. Szedł, aż rozbolały go nogi. Wtedy usiadł, pociągnął wody z manierki. Rozejrzał się. Drzewo, głaz, drzewo, czaszka bawołu. Zawrócił. Zobaczył zagajnik już po kilku minutach.

Równina była nieskończona – nieskończona, bo także zapętlona.

Cóż pozostaje? Tylko kierunek marszu. Strony świata.

A tu ani stron, ani świata. Mógł się orientować jedynie podług krawędzi zawiniętej na nieboskłon listwy sawanny. Czyli tylko na początku, dopóki widział ją za sobą na niebie. Szybko bowiem następował obrót kosmicznego astrolabium, sfery się dopełniały i wchodził w wieczne południe afrykańskiego lata.

O ile za pierwszym razem szedł, według własnego przekonania, prostopadle do owej krawędzi, o tyle za drugim – już pod kątem mniej więcej sześćdziesięciu stopni, mierząc od lewej ręki. I tym razem liczył kroki.

Przydałby się dyktafon, pomyślał przelotnie. W sakwie Angeliki znalazł notes. Kilkanaście pierwszych stron było zapisanych; pisała po francusku, on francuskiego nie znał. Pod koniec notatek dostrzegł jednak powtarzające się słowa: „Zamoyski”, a potem: „Adam”. Uśmiechnął się pod wąsem. Miała drobne, pochyłe pismo, lecz niektóre wielkie litery przebijały się swymi zawijasami kilka wierszy w dół i w górę.

Wyrwał zapisane strony i wcisnął je za okładkę. Teraz to będzie notatnik geografa-kamikaze.

Zapiski Zamoyskiego przedstawiały się następująco (pisał po polsku):

60°/650: kaskadowa grawitacja, warkocz Słońc, z lewej Strefa – T
30°/140: krótka pętla
→ *wyjście na 150°: konstrukt metaliczny (?)*
→ *wyjście na 120°: równina etc. (do 1000 płaska pętla na 90°)*
→ *wyjście na 90°: jezioro nocy, bardzo krótka pętla (to samo zielsko!)*
→ *wyjście na 60°:! Strefa +++T (ostre cięcie)*
→ *wyjście na 30°: pętla, cd.*

→ wyjście na 0°: pętla, cd.
→ wyjście na 330°: Möbius, ok. 50 m do nieba, odbicie sawanny, widzę siebie z góry (tzn. z dołu); rzuciłem tam kamień, spadł tu obok; czy rozwija się analogicznie w innych kierunkach 3D?
→ wyjście na 90°/340 (za gniazdem termitów): kurtyna wodna (?)
→?
→??
120°/820: Pandemonium!
150°/40: b… ciasna pętla (widzę własne plecy)
→ wyjście na 90°: pętla, cd. (przynajmniej do 1000)
→ wyjście na 60°/200: prawdopodobnie łagodna Strefa – T (?)
→ wyjście na 30°/15: źle zorientowana grawitacja, spadek do 70°, niebezp… osuwisko
→ wyjście na 120°/1000: pętla, cd., ale:
→ 120°/230
→ wyjście na 135°/10: rozerwana powierzchnia, liczne Strefy G i T, ujemna krzywizna przestrzeni, gęsta plątanina, tunele (?)

I tak dalej, i tak dalej, w tysiąc odgałęzień – jak mrówka wędruje po tkaninie zmiętej w gałgan serwety.

Notacja „60°/200” oznaczała dwieście kroków pod kątem sześćdziesięciu stopni do granicy naniebnego pasa sawanny.

Pytajnikami w nawiasach punktował miejsca, które w sposób ocz ywisty otwierały przejścia do dalszych rozwinięć Saka.

Owo Pandemonium na 120°/820 było to obszerne zapadlisko ziemi w słabej Strefie – G, w którym gotowała się chmura cienia.

Gdy Zamoyski się zbliżył, wychynęło z niej tuzin wypustek. Sięgały ku niemu: ręce, łapy, ogony, twarze na gibkich szyjach, ludzkie i nieludzkie, krwawe kręgosłupy, trąby, pijawki, macki, szczypce, pępowiny, jelita, dżdżownice. Cofnął się czym prędzej. Zwinęły się ku chmurze.

Zaczął powoli obchodzić krater. W miarę jak przemieszczał się po jego obwodzie, przestrzeń Saka przewijała się dokoła, otwierając się w coraz to innych konfiguracjach.

Raz: noc na dwa kroki, gwiazdy pod stopami, rozpulchniona ziemia sunąca spiralą do zenitu i z powrotem, światło pada tylko z tyłu i długi cień rzucany przez sylwetkę Zamoyskiego także kładzie się spiralą – dlaczego jednak on widzi go jako spiralę?

Dwa: pętla tak ciasna, że czuje się jak zamknięty w sferze o ścianach ze sprażonej gleby Afryki, głowa ciąży w inną stronę niż nogi, musi czym prę-

dzej przejść dalej, inaczej straci przytomność.

Trzy: półkoliste jezioro nad głową, w półmroku.

Cztery: krater wszędzie dokoła, wnętrze wymieniło się z zewnętrzem, Pandemonium spada na Zamoyskiego tysiącem naprężonych szypuł – uciec, uciec!

Pięć: znowu na równinie.

Mógł tak bez końca. Liczba kombinacji elementów każdego kalejdoskopu jest astronomiczna.

Co ogranicza: czas ciała. Fizjologia organizmu, który domaga się energii. Zapas pożywienia z sakw Zamoyskiego i Angeliki nie był duży, zaradna panna McPherson bez wątpienia planowała była regularne polowania. Więcej niż prowiantu zapakowała amunicji. Zamoyski nie znał modelu karabinu, jaki zabrała Angelika, nie była to jednak broń oparta na żadnej tajemniczej technologii, w istocie bardzo przypominała stare, dobre winchestery.

Mogła polować ona, mogę i ja, rzekł sobie Adam. I z początku rzeczywiście jakoś to szło: antylopa, ptak, ptak (nie rozpoznawał gatunków), dzika świnia. Liczył swoje cykle aktywności: ponad dwadzieścia. Minął zatem miesiąc.

Minął miesiąc i Zamoyski-myśliwy miał coraz większe trudności z wypatrzeniem jakiejkolwiek większej zwierzyny, bez względu na to, jak daleko by się zapuszczał we wnętrzności rozprutego Saka. Mógł przemierzać kilometry i kilometry rozfalowanego morza traw – twardych, szorstkich w dotyku, każde źdźbło jak szabla – i nie natknąć się na żadnego ssaka czy ptaka.

To oczywiste, mówił sobie przed zaśnięciem, zapatrzony w sferę ciemnego lub jasnego nieba, czy co tam akurat miał nad głową zamiast nieba. To oczywiste, mogę przejść tysiąc mil, lecz mimo to nie wyjdę nigdzie poza ten sam skrawek Afryki, wyrwany z Ziemi i zamknięty przez porywaczy w rozpiętej na Kłach czasoprzestrzennej cebuli. A ileż to nadających się do spożycia egzemplarzy fauny mogło się tu znajdować w chwili porwania? Przecież nie nastąpiło żadne ich cudowne rozmnożenie!

W końcu brał na muszkę nawet padlinożerców. Znów jął w jego myśli zyskiwać na atrakcyjności pomysł wejścia w Strefę – T.

I pewnie ostatecznie zdecydowałby się na to, gdyby nie ujrzał zawieszonej na niebie, w wilgotnym półmroku za kurtyną wodną – Angeliki. Kurtyna oddzielała trzeci i czwarty zawój przestrzeni na ścieżce 30°/140 –

330°/10 – 90°/340. Angelika spadała tu w lawinie błota, trochę na ukos względem pionu Zamoyskiego (stał na granicy światła i cienia). Motyl w bryle brązowego bursztynu, przerażona dziewczyna w bąblu spowolnionego czasu – zawieszona w powietrzu w zamrożonej drugiej, trzeciej sekundzie po katastrofie Saka.

Wejdę, złapię, pomogę. Wszedł; miał wrażenie, że wspina się po schodach, choć szedł po płaskim gruncie (miękkim, rozpulchnionym, buty zapadały się jak w torf). Mrok coraz głębszy. Wreszcie stanął bezpośrednio pod lawiną – ale ona (lawina, Angelika) wciąż wisiała mu nad głową, ani o centymetr niżej. Strefa – T nie sięgała powierzchni ziemi.

Co mógł zrobić? Usiąść i czekać? Patrzył na nią, zadzierając głowę do bólu karku. W trzech czwartych zamknięta w masie czarnej ziemi, rozbitej w kształt asymetrycznego kandelabru – tak wiele gruźlastych ramion zatrzymanego w ruchu osypiska – wyłaniała się Angelika z chropowatej ciemności jak niedokończona rzeźba z bloku kamienia: tu ramię, tu stopa, tu biodro. Nie widział jej twarzy, jeśli nie liczyć fragmentu umazanego błotem czoła oraz oka z zaciśniętą panicznie powieką.

Znaleźć jakąś stosowną Strefę – T, sprawdzać co parę strefowych godzin… Nie zapomnę, nie sposób zapomnieć – owego niemego przerażenia na brudnym obliczu dziewczyny wbitej w gliniane niebo.

Nie zapomniałby i tak, bo teraz, gdy odnalazł drogę do Pałacu Mnemona, nie zapomni już niczego, czego nie chce zapomnieć.

Droga zaczynała się na 30°/140 – 150°/10 – 90°/5. Przeszedł tam przez szerokie wrota z żółtego, matowego metalu i ujrzał wbitą w suchą glebę Afryki długą kolumnadę, za nią taras pod płaskim dachem. Słońce odbijało się od gładkich powierzchni: nie był to kamień, nie był i metal. Na środku tarasu stało krzesło i właściwie tylko ten szczegół rażąco odstawał od wzorcowego wyobrażenia Pałacu Zamoyskiego. Lecz rezonans pamięci został już wzbudzony, przypadkowa zbieżność obrazów pobudziła obumarłe ścieżki skojarzeń.

Zamoyski ostro żnie wszedł między kolumny (Sak był tutaj wyjątkowo zasupłany). Usiadł w cieniu na chłodnej posadzce. Bąbel skojarzeń rósł, wzbijając się ku powierzchni umysłu Adama – zaraz rozsadzi mu głowę, czaszka pęknie z głuchym trzaskiem. Zamknął oczy i poddał się mu, rozluźniając mięśnie ciała i umysłu.

Ruiny rzymskiej willi.

Ruiny rzymskiej willi.

Ruiny rzymskiej willi. Park.

Ruiny rzymskiej willi. Park, wiatr porusza drzewami.

Ruiny rzymskiej willi. Park, wiatr porusza drzewami. Srebrny staw.

Ruiny rzymskiej willi. Park, wiatr porusza drzewami. Srebrny staw, nad nim wierzby. W stawie i nad stawem – Księżyc w dwóch trzecich pełni, zaśniedziała patera. Noc jest chłodna, powietrze ostre w smaku, cisza wibruje nad ruinami, parkiem i stawem – noc jak sól trzeźwiąca.

Zamoyski wspiął się po łagodnym stoku ku kolumnadzie i wskoczył na taras.

Zakręciło mu się w głowie od mocnego zapachu mokrego drewna, prawie jakby padł twarzą w runo deszczowego lasu. Przypomniał mu się las sąsiadujący z gospodarstwem dziadków – jako dziecko chadzał tam często, popołudniami i wieczorami, kolory i zapachy wprowadzały go w stan malarycznego półsnu; dzieci przebywają w nim nieustannie, ale w owym lesie – Potrząsnął głową, kichnął.

Rozejrza ł się po tarasie. Stało tu kilkadziesiąt mahoniowych stolików, zorganizowanych w podwójną podkowę, niczym na muzealnej wystawie. Przedmioty leżące na stolikach zostały umieszczone na prostokątnych blatach z taką starannością geometrycznych proporcji, że kojarzyły się z artystycznymi instalacjami, japońskimi ogródkami medytacyjnymi.

Na stoliku najbliższym schodom spoczywał tylko jeden przedmiot: czarno-biała fotografia w drewnianej ramce, pochylona pod takim kątem, by odbijać księżycowy blask prosto w oczy wchodzącego po schodach.

Zamoyski aż pochylił się nad blatem, bacząc jednak, by niczego nie dotknąć. Fotografia przedstawiała jego samego i jakiegoś mężczyznę w czarnym garniturze, spacerujących kamiennym nabrzeżem. W tle znajdowały się kilkupiętrowe budynki, zabytkowe kamienice. Sam Adam był na fotografii w grubym, białym swetrze, popołudniowe słońce rozbijało się na brzegach materiału w wełnistą aureolę, Adam wyglądał jakby go wyretuszowano na to nabrzeże prosto z pocztówkowego nieba lśniących aniołów i puchowych chmur.

Ledwo spojrzał, przypomniał sobie.

Paryż, listopad przed odpaleniem „Wolszczana”, Durenne nad Sekwaną, pierwsza lekcja.

– Wyobraź sobie miejsce, budowlę.

Francuz mówił przez nos i z lekkim akcentem. Lewą ręką bez przerwy sięgał do kieszeni marynarki, wyjmując i wkładając do niej chusteczkę. Zamoyski nie był pewien, czy to tik nerwowy, czy kolejna mnemotechnika Durenne'a. A może katar.

– Niech będzie jedyne w swoim rodzaju, że dwóch takich nie znalazłbyś przez całe życie. Powinieneś mieć do niego jakiś stosunek emocjonalny: niech będzie niezwykle urokliwe lub wyjątkowo odpychające. Wyobraź je sobie bardzo szczegółowo, pod każdym kątem z wewnątrz i z zewnątrz.

– Znaczy, pełna symulacja 3D – mruknął Zamoyski.

Szedł po prawej stronie Durenne'a, zaledwie metr od krawędzi trotuaru, za nią chlupotały wody Sekwany, zmącone niedawnym deszczem. Mijała ich właśnie jakaś archaiczna barka, na jej pokładzie białowłosy starzec siedział na wysokim krześle i czytał z laptopa. Powietrze lekko pachniało spalenizną.

– Można tak powiedzieć – skinął głową Durenne. – Pełna symulacja, pełne wyobrażenie. Zajmie ci trochę czasu. Co ważne: wyobraź sobie charakterystyczne dla każdej lokacji zapachy.

– Zapachy? – pociągnął nosem Zamoyski. Kwaśna woń spalenizny coraz silniej wwiercała mu się w nozdrza – coś tu spłonęło? Aż się rozglądnął. Ani śladu dymu. A cuchnęło, jakby szli przez pogorzelisko, nie czuł nawet smrodu rzeki. Bardzo to było irytujące.

– Mnemotechniki, których ja uczę – ciągnął Durenne (chusteczka wyjęta i schowana) – nie są owymi prymitywnymi metodami zapamiętywania tekstów, z których słynął Symonides z Keos i greccy sofiści, Cyceron i nauczyciele oratorów, czy choćby Giordano Bruno ze swym „teatrem pamięci". *Ars memoriae* naszych czasów to jest już zaawansowana gałąź kognitywistyki, oparta na badaniach neurologicznych. Stąd wiemy, że, równolegle z obrazami, należy wiązać magazynowane wspomnienia z zapachami, zwłaszcza gdy wspomnienia owe niosą silny ładunek emocji. Podstawowe struktury korteksowe odpowiedzialne za odbiór i przetwarzanie informacji pochodzących z nerwów nosowych połączone są bezpośrednio z zarządzającym wspomnieniami hipokampem, a także z kontrolującym doświadczanie i wyrażanie emocji ciałem migdałowym. Ono zresztą odpowiada również za odruchy samoobrony, ale o tym będzie później. A zatem – Durenne

urwał, gdy mijająca ich starsza kobieta upuściła parasol. Adam podniósł go; podziękowała. Durenne odprowadził ją spojrzeniem.

– A zatem wyobraź sobie Pałac. Wyobrażenie ma być stałe: skoro raz się zdecydujesz, nie zmieniaj, nie upiększaj, nie ułatwiaj. Obudzony w środku nocy powinieneś móc przejść go w myślach wzdłuż i wszerz; nie musi posiadać złożonej architektury.

– A potem…?

– A potem będziesz mógł dokładać do budowli kolejne cegiełki pamięci.

Zamoyski widocznie skrzywił się wówczas powątpiewająco, bo gdy Durenne odsunął chusteczkę od warg, rozciągały się one w wyrozumiałym uśmiechu.

– Proszę porozmawiać z uczestnikami wieloletnich misji, z ochotnikami z eksperymentów odosobnienia. Pałace Pamięci okazują się zawsze niezmiernie przydatne. Podobno Musterowi na Marsie to właśnie opanowanie mnemotechniki uratowało życie: potrafił odtworzyć całą drogę do bazy według zgromadzonych w Pałacu szczegółów powierzchni Marsa. Nie wiem, może. Z pewnością nie jest to jedna z tych zbędnych procedur, treningów dla treningów. Przekonasz się. Kogo ja nie szkoliłem…

– Kogo?

Durenne spojrzał na Zamoyskiego, zamrugał, zerknął do wnętrza chusteczki i schował ją do kieszeni.

– Powiedzmy, że nie pamiętam.

Zamoyski odsunął się od zdjęcia. Życia mu, jak widać, *ars memoriae* nie uratowała – ale może uratuje tożsamość. Jeśli nie nazywam się Adam Zamoyski i jeśli to, co pamiętam, pochodzi od McPhersonowych doktorów umysłu – Pochodzi od nich także ten Pałac.

Rozejrzał się po zanurzonym w księżycowym cieniu tarasie. Od stawu tchnął chłodny wiatr, wierzby szemrały nad ciemną wodą, nagle zapachniało wrzosem.

Policzył stoliki zajęte: siedemnaście, łącznie z tym z paryską fotografią.

Z ca łej kolekcji najbardziej rzucała się w oczy ludzka ręka: naga, czarnoskóra, odcięta powyżej łokcia. Podszedł bliżej. Lewa, męska. Cuchnęła żelazem, potem i spalenizną.

– Spadamy! – wrzeszczał Washington. – Nie koryguje! Dlaczego nie koryguje!

Spadali jak kamień, wahadłowiec trząsł się w poprzecznych wibracjach, jakby za chwilę miał się rozpaść. Wiedzieli, że rozpaść się nie ma prawa, lecz wrażenie było tak przemożne, że prawie wypatrywali szczelin w ścianach.

Osobiste ekrany Zamoyskiego również telepały się na wszystkie strony; powierzchnia Narwy była na nich zamglona, kontury kontynentów się rozmywały. (Wtedy jeszcze nie znali nazwy, słowo – Narwa – wtargnęło tu z innych wspomnień Zamoyskiego).

Wszyscy byli zahermetyzowani w swych skafandrach – a jednak gdy szwy kadłuba istotnie zaczęły puszczać, zacisnęli mocniej dłonie na klamrach kokonów.

W niższych warstwach atmosfery przeszli w lot ślizgowy, uspokoiło się. Zaraz wszakże Washington począł wrzeszczeć od nowa:

– Rozbijemy się! Rozbijemy się! Rozbijemy się! – (Washington miał w krtani własne echo, zawsze dawał głośny *replay* ; to pamiętał już Zamoyski-we-wspomnieniu).

Faktycznie, rozbili się. Wahadłowiec kapotował twardo za jeziorem, na płaskowyżu. Dwa razy go przerzuciło; zatrzymał się w pół przełamany – ale nie płonął, jeszcze nie płonął.

Zamoyskiego wyrzuciło z kokonu w stronę luku awaryjnego. Lecz w tym miejscu nie było już luku awaryjnego – Adam walnął hełmem o górne szafki, aż go przyćmiło. Od rufy szedł dym, trzeszczało w słuchawkach, elektronika płonęła czerwonymi alarmami albo – co było bardziej przerażające – pozostawała cicha i ciemna. Tylko zarządzająca AI wydawała kategorycznym głosem polecenia i prawie już rozkazy: co ratować, co gasić w pierwszej kolejności… Zamoyski nie słuchał.

Mountclaver i Juice, również wystrzeleni ku śluzie, dorwali się do wajch jej ręcznego mechanizmu. Od przegrody pilota trzaskały głośno łukowe przepięcia. Zamoyski obejrzał się. Washington przeskakiwał właśnie zmiażdżone moduły wspomagania fizjologicznego, wyciągał ku Zamoyskiemu rękę. Równocześnie Juice szarpnęła Adama ku wyjściu – i dojrzał tylko spadającą jak gilotyna zewnętrzną krawędź żebra konstrukcyjnego przedziału pilotów, po czym wyskoczył w straszną jasność Hakaty.

Mountclaver i Juice odciągnęli Zamoyskiego od płonącego wahadłowca.

Adam usiadł na kamieniu i zdjął hełm. Kaszlał i charczał. Jeszcze nic nie widział, kręciło mu się w głowie – przed oczyma miał tylko tę rękę: czarna

skóra, napięte mięśnie; chociaż przecież nie była naga, a obleczona w błękitny rękaw. Lecz tak zapamiętał.

Tak zapamiętał.

Odnalazłszy drogę do Pałacu, mógł go odwiedzać, kiedy tylko chciał, nie przemierzając za każdym razem tej samej drogi mozolnych skojarzeń. Odwiedzać Pałac, wąchać i oglądać stare eksponaty – i dodawać nowe.

Notes Angeliki – to pamięć zewnętrzna, łatwo ją stracić. (Co prawda, jak dowodzi życie, wewnętrzną również). Przezorność nakazuje sporządzać kopie zapasowe.

Na pustym stoliku położył pstrokato barwiony kryształ, kwiat wielopłaszczyznowy, gęsto pożyłkowany srebrem i złotem. Rzeźba kryształu odpowiadała strukturze Saka. Polizany, miał smak zimnej, gruboziarnistej soli.

W istocie jednak kryształ stanowił zaledwie symbol – jak wszystko w Pałacu – ponieważ odwzorowanie jednokładne wymagałoby rozwinięcia kwiatu w więcej niż trzech wymiarach: w Saku wiele miejsc „zachodziło” na siebie, przestrzenie się przenikały, zazębiały i wypiętrzały do nieskończoności na paru metrach sześciennych – Escher do bólu głowy.

Najlepszy dowód: krater Pandemonium. Zamoyski uparł się obejść go dokoła, lecz nie przewidział, że pełny kąt może tu mieć więcej niż trzysta sześćdziesiąt stopni. Adam zatoczył koło, a mimo to nie wrócił do punktu wyjścia. Ułamkowy spin, pomyślał, uśmiechając się pod wąsem – pod wąsem, w gęstej brodzie hemingwayowskiej.

Szedł więc dalej – i tak wdepnął w studnię +G. Przygnieciony morderczą grawitacją, obsunął się po zboczu w Pandemonium. Bestia wystrzeliła ku niemu tuzinem macek. Miotnął się wstecz. Pandemonium, nie zaprzestając nieregularnych obrotów – centryfuga rozszatkowanego cienia – rozwijało się za nim po łukach i spiralach. Uciekał w panice, bojąc się od nich odwrócić: to, co widziane, było mniej przerażające.

Zadyszany, ubłocony, wgnieciony przez nadgrawitację w wilgotną ziemię, dotarł wreszcie do krawędzi krateru. Pandemonium najwyraźniej dało za wygraną: szarpnęło wstecz i wchłonęło w siebie wszystkie rozciągnięte ku człowiekowi struny – wszystkie, prócz jednej, najdłuższej, która pękła w połowie. Część macki pomknęła z powrotem w chmurę, część zaś – runęła prosto na Zamoyskiego.

Jakby chciała przyssać mu się do twarzy: chlasnęła go po skórze, przylgnęła do policzków, powiek, warg, wcisnęła się do ust, nozdrzy, uszu. Krztusił się, drapał paznokciami. Pewny, że zginie zaduszony, przełykał ślinę wraz z krwią z przegryzionego języka – miast powietrza.

W ostatniej chwili srebrno-szara masa zrezygnowała. Zeszła mu z oczu, zeszła z ust, z twarzy. Szlusfff!

Łopotała teraz szaleńczo tuż przed nim. Na Zamoyskiego buchało z wnętrza amorficznego potwora suche gorąco.

Siedem razy – liczył w rytm walącego głośno serca – siedem razy maszkara przepoczwarzyła się, obracając się na nice i eksplodując mu w twarz nowymi kształtami, mięsisty kwiat Rorschacha – nim zapadła na trwałe w formę trójgłowego ptaka.

Trzykruk, machając szaleńczo skrzydłami, zawisł przed Adamem, zajrzał mu w oczy i zaskrzeczał pytająco.

Zamoyski strzelał potem do niego, lecz kule nie wyrządzały kreaturze żadnej dostrzegalnej krzywdy. Zgubić też się nie dała: zawsze była szybsza. Godziny i godziny, pętle i pętle, Strefy i Strefy – ptaszysko nie odstępowało go na metr.

Do szału doprowadzała Zamoyskiego myśl o tym upiór-kruku skradającym się ku jego głowie, podczas gdy on pogrążony jest w głębokim śnie.

Toteż w desperacji zdecydował się na drugą próbę z Pandemonium. Kalkulował: Bestia dała, Bestia weźmie. Nic z tego: trzykruk przez cały czas trzymał się z drugiej strony, z dala od wiru.

Adam usiłował go nawet złapać gołymi rękoma – tylko pokaleczył sobie dłonie.

Klął srebrnego ptaka i złorzeczył mu.

Bydlę szybko budowało swój słownik.

– Pierdku cholery spierdalajmistąd dobraaa? szlag uduszę obymcię wreszciezoczu gołymirękami mać.

Głos też był Zamoyskiego, i intonacja, i rytm; wszystko.

Mówiła prawa głowa; środkowa tylko syczała złośliwie, lewa zaś w ogóle milczała.

Złapać srebrnopióra, zamknąć, przywiązać; jakoś. Adam splótł z trawy i gałęzi sieć i zarzucił na ptaka. Gówno. Trzykruk przeleciał przez nią jak woda przez sito.

Dlatego Zamoyski tak się zdumiał, gdy Angelika po przebudzeniu wyciągnęła rękę, a ptak grzecznie usadowił się na niej ze złożonymi skrzydłami i opuszczonymi dziobami.

– Co, u licha…?

Spojrzała na Adama pytajaco.

Wskazał brodą trzykruka.

– Słucha cię.

– Jest dość duży, by samodzielnie rozpoznać stahsa.

– Że co?

Wyprostowała plecy i skrzywiła się. Usadziwszy ptaszysko na badylu obok (Zamoyski przygotował był zapas chrustu), przeciągnęła się i wstała. Czarny pył posypał się z niej i jej ubrania suchymi fontannami.

– Muszę się umyć.

Ruszyła ku kurtynie wodnej, ale po kilkunastu krokach zatrzymała się i obejrzała na Adama. Nie zareagował.

Zacisnęła wargi.

– Panie Zamoyski – przeciągnęła nisko – bardzo proszę.

Podniósł się, ukłonił (uśmiech kryła broda) i odszedł poza obwód pętli przestrzennej.

Czy ja paliłem papierosy? To jest chwila, by zapalić; koniuszki palców drżą, swędzi naskórek. (Ciało pamięta). Bez papierosa w dłoni Zamoyski wędrował wzrokiem wzdłuż linii fałszywego horyzontu. Kieł obracał się tam wokół poziomej osi niczym gigantyczny rożen. Kieł był niemal doskonale gładki i jedyną oznakę jego ruchu stanowiły drobne zmiany natężenia odbijanego światła. W tamte rejony Saka dochodziło ono po dosyć skomplikowanych trajektoriach, przez powietrzne soczewki i pryzmaty, Zamoyski widział na powierzchni stożka trzy Słońca.

Kiedy wrócił do ogniska, Angelika zapinała właśnie mokrą koszulę. Przyklęknąwszy przy ogniu, związała włosy na karku.

– Gdzie moje rzeczy?

– W zagajniku. Zaprowadzę cię. To niedaleko. W zasadzie… tu nic nie jest daleko.

– Ile czasu minęło? Twoja broda.

– Tak. Ale nie mam żadnego zegara, któremu mógłbym uwierzyć. Są tu takie… uskoki. Ty mi powiedz.

Skinęła na ptaka. Przyskoczył do niej, skrzydłami pomagając sobie utrzymać równowagę.

– Dobraaa? – zagadnął, przekrzywiając łebek. – Dobraaa?

– Skąd go masz? – spytała Zamoyskiego.

Więc opowiedział jej o Pandemonium, o swoich wędrówkach, o katastrofie Saka. Angelika słuchała cierpliwie, przeżuwając węża.

– Tyle tylko zostało – skomentował na koniec Zamoyski, gdy przełknęła ostatni kęs. – Węże.

– Aha.

Oblizywała palce.

– No więc? – rzucił. – Co z tym ptakiem?

Trzykruk jedną głową spoglądał na Adama, drugą na Angelikę, środkowa gapiła się w ogień, płomienie skakały w czarnych oczkach, szklanych koralikach.

Angelika zmierzyła wzrokiem ptaka, podniosła spojrzenie na Zamoyskiego. Skąd nagle ten smutek w jej oczach, smutek, zmęczenie, pretensja – jak nazwać ów wilgotny cień? Zaraz jednak dziewczyna poderwała brodę, cofnęła ramiona – i wrażenie minęło.

– Pokaż mi – parsknęła – to Pandemonium.

Tak więc powróciła zależność i powrócił gniew. Poniżony, Zamoyski poczuł dla Angeliki dziecięcą wdzięczność.

– A więc dobrze! – poderwał się. – Tak! Panno McPherson. – Szerokim gestem wskazał kierunek.

W drodze do krateru ani słowem nie skomentowała obserwowanych fenomenów. Na pewno zresztą zdawała sobie sprawę, z jaką uwagą Zamoyski wypatruje jakiejkolwiek jej reakcji.

Niemniej nawet nie zamrugała i Adamowi przypomniały się jej słowa o nieuchronności śmierci. Może więc istotnie maszeruję obok emocjonalnego zombie? Potem jednak przypomniał sobie co innego: desperację, z jaką cięła nożem. Odruchowo podrapał świeżą ranę na przedramieniu.

Jeden raz dziewczyna nieco się ożywiła: gdy przechodzili przez krótką pętlę metalicznej konstrukcji, za której drzwiami otwierała się fałszywa równina z kraterem Pandemonium. Angelika przystanęła przed przekroczeniem progu i uśmiechnęła się do sufitu, mrucząc coś pod nosem.

Siedzący na jej ramieniu trzyptak powtórzył to później jej głosem i Zamoyski usłyszał w nim delikatną drwinę: – Stahsowe luksusy.

Stanąwszy na krawędzi krateru, zmierzyła wzrokiem szalejące w dole Pandemonium.

– Spore – skomentowała. – Powiększa się?

– Mhm?

– Jak ci się wydaje?

– Wiesz… to trudno ocenić.

– Po obwodzie dziury.

Zmarszczył brwi.

– Myślisz, że skąd czerpie budulec i energię? – zapytała retorycznie. – Na pustych funkcjach zawsze najwięcej żrą. Potrzymaj. – Podała Zamoyskiemu srebrnopiórego.

– Co ty kombinujesz?

– Spróbuję je sformatować.

– Co?

– Przepraszam. Nie powinnam tak… – Wzięła głębszy oddech, zamyśliła się na moment. – Pamiętasz tenu de la Roche'u?

– Taa.

– Onu nie jest człowiekiem.

– Istotnie, coś wspominałaś. – Odruchowo pomasował się po potylicy. – Więc doszło w końcu do kontaktu z pozaziemskimi – – Nie, nie, nie – pokręciła głową. – Onu nie jest Obcym; chociaż i Obcych na pewno tam spotkałeś. To phoebe: istota postludzka. Co nie znaczy, że nie istnieją phoebe'owie Obcych, ale – no, rozumiesz, zasada jest ta sama: najpierw fren w opakowaniu z naturalnej ewolucji, po nim phoebe, po nim inkluzja – jak układają się na Krzywej.

– Jakiej Krzywej?

Zamachała rękoma, już zniecierpliwiona jego ignorancją.

– Nieważne. Mówiłam ci, że potrafimy dokonywać stuprocentowo wiernych skanów i odtworzeń umysłów – tak stało się także z tobą.

– Nie przypominaj mi – mruknął Zamoyski, mocując się z niespokojnym trójkrukiem.

– Ale wyobraź sobie. I stan pomiędzy. Wówczas człowiek istnieje jedynie w postaci zapisu na Plateau, wzoru wypaczeń jego Pól. Przy pomocy stosownego oesu można go tam zapuścić „na sucho". Proces przekształceń tych danych w odpowiednim programie środowiskowym jest nieodróżnialny od życia biologicznego. Otóż niektórzy ludzie uważają ten sposób egzy-

stencji za, mhm, atrakcyjniejszy. Szybszy, pełniejszy, dający więcej możliwości, nie ograniczający intelektualnie, eliminujący ułomności poprzedniego etapu. Przekopiowują zatem swą archiwizację na wcześniej przygotowane Pola Plateau i po śmierci swego ciała nie wdrukowują się w nowe. Ponieważ istnieją w całości jako forma odkształceń Plateau, podlegają tym samym prawom, co cała jego „zawartość". Mogą dowolnie się rozszerzać, rozdzielać, kopiować, naprogramowywać, formatować, ścinać i upgrade'ować, samoprojektować i specjalizować. De la Roche, z którum rozmawiałeś, ten mężczyzna – – Mhm?

– Prawdziwu phoebe Maximillian de la Roche tylko nim zawiadywału, to była jenu lokalna manifestacja, ograniczana przez Cesarza oraz protokół właściwy dla Farstone. Nanoware podlega w Cywilizacji bezpośredniemu nadzorowi Cesarza: to on dysponuje wszystkimi zapasami nanomatów, infem, i on je wypożycza za ustalaną przez Loże opłatą, teraz już symboliczną. Tak stanowi Fundacyjna.

Tylko spojrzał.

– Umowa Fundacyjna! – parsknęła sfrustrowana.

Jeszcze trochę i Angelika niczym nie będzie się różnić od małej dziewczynki, przewracającej oczyma i tupiącej w miejscu na głupich dorosłych. Kryjąc uśmiech, Zamoyski opuścił głowę z udawaną pokorą.

– Co zrobiłu de la Roche? – ciągnęła Angelika. – Wynajęłu trochę infowego nanoware'u i skonfigurowału go u bramy Farstone w swą manifestację; niewykluczone, że równocześnie, w innych miejscach w Cywilizacji, w innych Portach, utrzymywału kilkadziesiąt kolejnych manifestacji, phoebe'owie zawsze działają w trybie multitaskingu. Po weselu zerwału łącze z nanoware'em, program NSCC został skasowany i nanomaty wróciły w zarząd Cesarza. Wielu gości obecnych było na weselu w ten właśnie sposób. Także stahsowie wyższych Tradycji, którzy nie chcieli albo nie mogli przybyć tam osobiście z odleglejszych Portów. Także Obcy – widziałam paru ambasadorów. Także inkluzje i seminkluzje. Także sam Cesarz. Do cholery, zamach na Judasa, ten pierwszy, jego też przeprowadzono za pomocą nanoware'owej manifestacji!

– Jaki zamach?

– Nie opowiadałam ci? Opowiem. Potem. To – wskazała wyprostowanym palcem na dno krateru – to jest nanoware odcięte od wzorca. Nie orga-

nizuje go żaden program, nie ma łączności z Plateau. Przypuszczam, że odcięcie nastąpiło w czasie katastrofy.

– Ale mówiłaś, że Cesarz – – Nie powiedziałam, że to jest nano Cesarza.

– Ale mówiłaś, że w Cywilizacji – – Nie powiedziałam, że to jest nano Cywilizacji.

Bez słowa więcej, bez ostrzegawczego gestu, obróciwszy się na pięcie, zaczęła schodzić na dno, w objęcia Pandemonium. Mokre włosy lśniły omal fioletowo, opadając na kark i plecy. Nie oglądała się za siebie.

Zamoyski zajrzał w sześcioro ślepi przyciskanego do piersi ptaka. Manifestacja nanomatyczna. A przecież czuł pod palcami ciepło jego ciała, czuł w dłoniach oddech zwierzęcia i bicie jego serca.

Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

Trzykruk gapił się na niego z kliniczną ciekawością, srebrne główki kiwały się na boki, Zamoyski został zamknięty w holograficznym spojrzeniu pokraki jak w klatce. Splunąwszy, przełożył trzykruka pod pachę.

Ptak zatrzepotał skrzydłami.

– On nie jest człowiekiem! – zaskrzeczał.

W świecie imitacji doskonałych sztuka rodzi się z przekłamań w kopiowaniu.

Angelika nie obejrzała się, to prawda, ale w połowie drogi, w cieniu wysokiego wiru (w cieniu cienia), tuż przed rozwierającą się gardzielą Bestii – mało brakowało, a zawróciłaby i w ogóle uciekła z krateru.

Dopiero wtedy zeszła jej z umysłu zaćma (wszystko przez Zamoyskiego!) i Angelika zrozumiała, że skoro nie jest to inf, skoro nie są to nanomaty Cesarza – wcale niekoniecznie muszą rozpoznać w niej stahsa. Wejdzie tam, w te żarna rozpędzonych mikrodrobin, maszynę do mięsa o zębach mierzonych w angstremach, i zostanie w ułamku sekundy rozdarta na niewidoczne gołym okiem strzępy. Zachowanie trzykruka o niczym nie świadczyło, nanomaty ptaka podlegały już – jakiejś – organizacji i jego posłuszeństwo mogło mieć źródło w strukturach wyższych. Więc nie mogła mieć pewności. Śmierć albo życie. Głupia, głupia, głupia!

Wiedziała jednak bardzo dobrze, iż Zamoyski stoi tam i patrzy, stoi i patrzy – i tak, między strachem a gniewem, zdała sobie sprawę, że już nie zawróci, że właśnie nie ucieknie, nie jest w stanie.

Chociaż przecież świeża pamięć śmiertelnej paniki, napadu zwierzęcej histerii w miażdżącym serce uścisku czarnej dłoni ziemi – owo uporczywe wspomnienie wciąż przekonywało organizm, szepcząc bezpośrednio kościom, płucom, jelitom: zawróć, zawróć, zawróć, każda śmierć prawdziwa, ciało jest ciało, śmierć jest śmierć, zawróć, zawróć, zawrócisz i przeżyjesz.

Nie zawróciła, nie obejrzała się, i gdy wir wyciągnął ku niej długie wici cienia, ona w odpowiedzi wyciągnęła do nich rękę – niech dotkną, niech posmakują, niech porównają jej DNA z wzorcem, z pierwszym kanonem samoorganizacji infu.

Wić oplotła jej nadgarstek i przedramię. Angelika czekała krzyku Zamoyskiego – powinien przecież próbować ją zatrzymać, grozić i błagać, rzucić się na pomoc! – ale on najwyraźniej w ogóle nie zareagował. Skląwszy go w duchu, postąpiła naprzód. Niech się rozstrzygnie.

Wstąpiła w cień – i cień rozsunął się przed nią.

Spokojnie przeszła przez wir na drugą stronę krateru. Minąwszy oko tornada, wypuściła powietrze z płuc (więc jednak powstrzymywała oddech!). Cień za nią rozdzielał się na dwa. Uśmiechała się teraz szeroko – bo tego Zamoyski nie mógł widzieć: miała go za plecami, dwadzieścia metrów w poziomie i cztery w pionie.

Skręciła w lewo i, już prawie biegiem, okrążyła tornado, zacieśniając łuk. W biegu odrywała z Pandemonium kolejne fragmenty gęstniejącej na brzegach chmury. Wyszarpnięte ochłapy nanomatycznego żywiołu łopotały jej w dłoniach jak żywe, łącząc się, dzieląc, przeciekając między palcami i ulatując w mgielnych obłokach.

Wbiegła na krawędź krateru.

– Dawaj go tu! – krzyknęła, oglądając się na Zamoyskiego.

Ale znajdowała się w innej pętli, stąd nie widziała Adama. Gdy zrobiła jeszcze jeden krok na zewnątrz, zniknął jej z oczu sam krater i wir. Zapomniała o koronkowej strukturze Saka – a tu trzeba liczyć każdy jard i stopę.

Wróciła więc dłuższą, okrężną drogą po stoku. Zamoyski wypatrywał jej z przeciwnej strony. Wyraźnie go zaskoczyła, ale nic nie powiedział, nie zapytał i nawet nie okazał ulgi, że widzi ją żywą i całą. Na burzę w jej dłoniach nawet nie spojrzał.

Pomyślała, ile go to musiało kosztować. I pomyślała: jakie to dziecinne. Będzie tu odgrywał przede mną twardziela. A nie ma zielonego pojęcia, co się wokół niego dzieje, biedny idiota.

Lecz on na ręce Angeliki nie spojrzał, bo patrzył jej w oczy. Spotkali się wzrokiem – biedny idiota z całą pewnością wiedział, co dzieje się w jej głowie. Dostrzegł ów uśmiech wyższości, który – wydawało się jej – zdusiła, zanim jeszcze pojawił się na jej twarzy. Co powtarza ojciec Frenete? *Pyszni nie są w stanie nas upokorzyć – to potrafią jedynie prawdziwie pokorni.*

Opuściła wzrok; nieczęsto się rumieniła, lecz zaraz się zarumieni, krew w policzkach przebije spod opalenizny, czuła to.

– Podaj mi go – warknęła.

Ostrożnie wręczył jej trzykruka.

Zaczęła dokładać do srebrnopiórego kolejne porcje nanomatycznego ciasta. Puchnął nierównomiernie, tu szybciej, tam wolniej, ofiara żarłocznego nowotworu.

– Cc-cooo? – skrzeczał, bijąc skrzydłami, aż wiatr mierzwił im włosy; a skrzydła były teraz i srebrne, i złote, i czarne, i kryształowo przezroczyste. – Cooooo? – I to skrzeczenie w niczym już nie przypominało głosu Angeliki ani Zamoyskiego.

Oddała Adamowi ptaszysko wielkości indyka, po czym z powrotem zstąpiła do krateru. Ponieważ szła po spirali, zaraz zniknęła Zamoyskiemu z oczu. Usiadł na krawędzi kaldery, trzykruka z powrotem wcisnął sobie pod pachę.

Patrzył na linie śladów pozostawionych przez Angelikę. Krater nie był symetryczny. Po kącie nachylenia zbocza można było określić siłę lokalnej Strefy G: –G na zboczach zbyt stromych, +G na zboczach zbyt łagodnych. Obwód krateru również zdawał się zależeć od miejsca pomiaru.

Nie potrafił zrozumieć fizyki Saka. Przymierzał tak, przymierzał owak – dalej nie miało to sensu. Przede wszystkim: dlaczego dotąd nas nie zabiło? Gradienty grawitacji, jakie są konsekwencją podobnego modelunku czasoprzestrzeni, powinny okazać się mordercze dla całej wziętej w Sak flory i fauny.

Poza tym: jak to jest, że ja sam mogę wyjść z pętli, przechodzić przez kolejne załamania 3D1T – ale nie światło, światło jest zniewolone, krąży wewnątrz. Na zdrowy rozum wziąwszy, powinno być dokładnie na odwrót. Absurd!

No i przede wszystkim: co, na Boga Ojca, dzieje się tu ze światłem na granicy Stref T?! Łamał sobie nad tym głowę od czasu pierwszej przygody ze Strefą zaburzonego upływu czasu, przy zagajniku. Światło widzialne

mieści się w zakresie długości fal od mniej więcej 770 do 380 nanometrów. Zatem już dwukrotne przyśpieszenie lub spowolnienie powinno wyrzucać promieniowanie elektromagnetyczne poza długości rejestrowane przez ludzkie oko – w ultrafiolet lub podczerwień, i jeszcze dalej. A przecież Strefy w rozprutym Saku były znacznie silniejsze, przesunięcia większe o kilka rzędów wielkości. Spoglądając przez granicę Stref, powinienem widzieć fale radiowe i promieniowanie rentgenowskie – nie motyle tańczące w kolumnach światła i srebrne refleksy na powierzchni strumieni.

Zapytał o to Angelikę, gdy pojawiła się z wielką ośmiornicą żółtego dymu.

Dziewczyna żachnęła się, momentalnie zirytowana.

– Jezu, nie wiem, nie jestem mocna w ścisłych.

– No… dopiero co zaserwowałaś mi wykład o nanotechnologii.

– To obyczaje, nie nauka. Czy znajomość praw ruchu drogowego czyni cię specjalistą od silników benzynowych?

– Więc zero pojęcia?

Wzruszyła ramionami.

– Mogę się tylko domyślać. Jaki jest pierwszy priorytet Kłów? Utrzymanie w Portach komfortowych dla człowieka warunków. To naprawdę są mocne zabezpieczenia. Muszą być. Inaczej któż by ryzykował życie w permanentnych ugięciach czasoprzestrzeni? Jedna fałda i holocaust.

– Trudno mi uwierzyć, że godzicie się na takie – – Mus to mus. Za twoich czasów ludzie nie latali samolotami? A ile było katastrof lotniczych? Kłom nie zdarzyła się ani jedna. Wiem, że protokół kraftware’u Portów gwarantuje zachowanie w każdych okolicznościach rzeźby czasoprzestrzeni przyjaznej dla stahsów – z poharatanym Sakiem rzeczywiście mógłby sobie radzić w ten sposób…

– Protokół kraftware’u! – parsknął Zamoyski. – Że niby programujecie – co? sieci superstrun? pola kosmogeniczne?

Wzruszyła ramionami.

– I każdy foton, każdą cząsteczkę… – postukał się wymownie w czoło.

– No co? – obruszyła się. – Program jest program – bioware’u, nanoware’u, kraftware’u, bez znaczenia – będzie robił swoje aż do końca.

– Więc dlatego zbierasz to nano?

– Mhm?

– Bo nikt tym nie kieruje, już tylko programy pozostały.

Przyłożyła palec do warg.

– Czas – mruknęła – czas słowińczyków nie jest naszym czasem. Nasza minuta – ich milenium. Nie wiem, czy to rzeczywiście była katastrofa, możliwe, ale skoro w ogóle mamy czas nad tym dyskutować, to znaczy, że i tak nic już z nami nie zrobią – albo istotnie stracili kontrolę nad Sakiem. Co możemy stracić, próbując uciec? Nic. Daj, dokleję to paskudztwo. Uch, no dobrze, przynajmniej trzyma się formy.

Oddała Zamoyskiemu czteroskrzydłego pawia o holograficznym ogonie. Ptaszysko się wyrywało, Zamoyski mało nie połamał mu skrzydeł.

– Uciec! – sapał. – Albo ja kompletnie nie zrozumiałem twoich wyjaśnień o Saku, albo… No jak można uciec z zamkniętego ugięcia czasoprzestrzeni?

Dowódca nie tłumaczy – dowódca rozkazuje. Z autorytetem nie sposób dyskutować; argumentacja, której nie znasz, jest nie do obalenia. Ojciec Frenete oczywiście miał rację. Widać więc nie nadaję się na dowódcę.

– Przyzwyczaiłeś się – powiedziała. – Tygodnie, miesiące.

– Odwal się.

– Ha! Wiem tylko, że w obawie przed Spływami część programu Kłów przeniesiono na ich wewnętrzne procesory, niezależne od Plateau. Są to zatem komputery oparte na fizyce naszego wszechświata: żadne superinteligencje. Bo przecież nie mówię, że wywiniemy się inkluzjom! Choćby z nie wiadomo jakim nano. Ale chyba nie zamierzasz położyć się i czekać, aż teoria o katastrofie się potwierdzi, to znaczy kiedy porywacze nie zainterweniują, nawet żeby przeciwdziałać twojej głodowej śmierci? – Puściła oko do Zamoyskiego. – Mhm?

– Cóżeś się tak nagle zaczęła troszczyć o swojego pustaka?

– Nie wygłupiaj się. Życie jest życie, fren jest fren.

– Doznałaś jakiejś epifanii w ciągu tych paru – – No co robisz, idioto? Łap go! Nie gap się, tylko rusz tyłek! Drugi raz się tak szczęśliwie nie zorganizuje. Gdzie pobiegł?

– Tam. Czekaj, ja – Pandemoniczny paw mignął im jeszcze raz na szczycie krateru – błękitna tęcza ogona, burza długich piór – po czym spłaszczyło go do dwóch wymiarów i zniknął w niewidocznej szczelinie między światłem słonecznym a światłem słonecznym.

Rzucili się w pogoń, Angelika pierwsza. Była szybsza, wpadła w pętlę przed Zamoyskim, zdążył chwycić ją za ramię, zanim znowu wygięło hory-

zont – paw biegł nad ich głowami, odwrócony o 180°. Podskoczę i złapię go za ogon, pomyślał Zamoyski. Oczywiście nie złapał.

Angelika jeszcze przyśpieszyła – moment i ją również miał na niebie. Gdzie kończy się ta pętla? Wybiegli na brzeg nocnego jeziora, ze słońcem za plecami. Angelika skręciła w lewo. Paw smyrgnął na jasną sawannę, rzuciła się szczupakiem, w ostatniej chwili odstąpił w bok, chybiła. Zamoyski przeskoczył ją w biegu.

Paw zawracał ku jezioru, z powrotem w pętlę. (A może to droga jednokierunkowa?). Zamoyski chciał przeciąć mu drogę, poślizgnął się i wpadł do wody. Teraz z kolei jego minęła Angelika.

Nanomat bezbłędnie wyczuwał supły i pęknięcia Saka, bez problemu czytał strukturę kraftware'u. Wybiegli na sawannę +G, przygięło ich do ziemi. Ptak był metr od Angeliki – i w następnej sekundzie czterdzieści metrów dalej. Zaklęła, zrezygnowała. Ale Zamoyski wiedział, że to kolejna Strefa – powłócząc nogami, pobiegł dalej, i zaraz paw zwolnił do ślimaczego tempa.

Po drugiej stronie Strefy znajdował się ziemiowznos, podnoszona wzwyż czarnymi wstęgami ziemia wracała po elipsie, wzdłuż odwróconych gradientów grawitacji. Rozkaszlali się w ziemnym pyle.

– W lewo! – krzyknęła Angelika.

Tam znowu krótka pętla, Strefa – G (Zamoyski wzbił się na trzy metry, zanim się zorientował) – po czym stanęli na krawędzi krateru Pandemonium. Paw zbiegał po spirali w tornado cienia.

Angelika rzuciła się za nim po przekątnej, dwa razy przekoziołkowała i złapała ptaka za ogon światła. Wrzasnął, zatrzepotał skrzydłami. Zamoyski zacisnął pięść na jego szyi i pociągnął nanomat w górę stoku.

– No przecież nie zaduszę cholerstwa!

Zatrzymali się na krawędzi kaldery. Dyszeli ciężko, paw zgnieciony pomiędzy nimi, ale nie patrzyli na pawia. Oboje w ziemnym pyle, Zamoyski na dodatek mokry, oboje ledwo łapiący oddech, Angelika ze zmierzwionymi włosami prawie zakrywającymi twarz, Zamoyski z trawą w brodzie – ale uśmiechnięci jak idioci.

– Cud, że kręgosłupów nam nie poskręcało! – zachichotała, odgarniając włosy z oczu.

Zaśmiał się pełnym głosem.

– Ale na razie żyjemy, co? – Ścisnął ją za ramię. – Żyjemy!

I pomyślał: pocałuję ją.

Ale ponieważ pomyślał – nie było to już spontaniczne, i zaniechał.

Tak więc Zamoyski siedział i patrzył, podczas gdy Angelika kursowała między tornadem cienia a brzegiem krateru.

Pozostawiony pieczy Adama paw stopniowo przechodził w formy odpowiadające zwiększającej się objętości nanomancji. Zamoyski zresztą był pewien, że rozmiary kreatury nie stanowią żadnego faktycznego ograniczenia – manifestacji daleko było do gęstości krytycznej. Niemniej rosła: paw, kondor, pterodaktyl, wyvern, smok.

Wraz z przyrostem masy wzrastała inteligencja i zasób wiedzy konstruktu – lecz nie liniowo. Wyraźny skok nastąpił w dwóch trzecich procesu. Ustaliła się struktura logiczna, skonfigurowały połączenia i nowo narodzony system zyskał dostęp do pamięci stałej.

Zamoyski poznał to natychmiast, gdy smok odezwał się własnym (czyli smoczym) głosem i rzekł:

– Jestem Smaug. – (Teraz już był). – Póki nie połączę się z Polami komplementarnymi, będę działał w trybie awaryjnym. Czekam.

– Potrafisz połączyć się z Plateau? – ożywił się Adam.

– W tej chwili nie jestem w stanie – powiedział smok i ziewnął sfrustrowany (zębiska jak kosy).

Równie szybko energia uleciała z Zamoyskiego.

– Dlaczego się w ogóle do mnie przyczepiłeś? – mruknął. – Nie jestem stahsem. Czemu więc? Pamiętasz, jak – – Wszystko pamiętam. Nie ma znaczenia, kim jest operator: ja nie uznaję dyskryminacyjnych praw Cywilizacji.

To zdecydowanie nie są cesarskie nanomaty.

I niby w jaki sposób miał teraz Adam „pilnować” smoka? Był tak wielki – on: smok – że w jego kształcie odzwierciedlała się krzywizna lokalnej pętli Saka. Sam na siebie rzucał cień.

Wykonawszy ostatnią rundę, Angelika skinęła na smoka i potwór posłusznie zstąpił na dno kaldery, by jednym haustem połknąć wszystko, co pozostało po spirali cienia.

Wydawało się już oczywiste, iż nie dlatego nanomat ją posłuchał, że była stahsem – i nie dlatego wir ją przepuścił. Czy to znaczy, że nie wyrządziłby

krzywdy także Zamoyskiemu? I że gdyby Zamoyski równie stanowczo wydał rozkaz – Smaug by go usłuchał?

Być może przewaga Angeliki brała się stąd, że dziewczyna właśnie nie zadawała sobie podobnych pytań. Zamoyski zmierzył ją wzrokiem. Astronautów trenuje się w ostrożności aż do poziomu wykwalifikowanych tchórzy – a czego ją uczyli jezuici w tym dziwacznym klasztorze na granicy cywilizacji i dziczy? Ku jakim zaletom wychowują swe dzieci bogacze i magnaci w świecie, gdzie bezpieczeństwo gwarantuje sama struktura świata?

– Jest odcięty od Plateau – rzekł Adam. – Miałaś rację.

– Mhm?

– Co do utraty kontroli nad Sakiem przez porywaczy.

Pokręciła głową, klepiąc Smauga po czarnym udzie (musiała unieść rękę).

– Można zniszczyć zapisy z pewnych jego Pól, ale nie można zablokować dostępu do Plateau.

– Smaug, uświadom ją.

– Nie mogę się połączyć – potwierdził smok i aż cały zadrżał. – Ssie mnie. Wciąż próbuję. Brak kontaktu.

– Autodiagnoza.

– Wszystko okay – zapewnił Smaug. – Tylko po drugiej stronie pusto. Adresy mam wyryte w kościach, ale nie mogę się dostać na Plateau. – W bezsilnym gniewie nagłym ciosem przedniej łapy wyrwał w zboczu krateru bruzdę długą na pięć metrów.

Przeszli do zagajnika, na wygiętą w asymetryczną podkowę listwę sawanny. Smaug musiał się czołgać za nimi: lecąc, przeciskałby się przez inne szczeliny w pętlach i w końcu gdzie indziej by trafił. Zamoyski miał na plecach jego gorący oddech. W pewnym momencie obejrzał się i zobaczył, jak wchodząc w nową pętlę, Smaug splata się z tysiąca strumieni wprost z nicości, z powietrza, ze światła.

W zagajniku Angelika obeszła nadstrumienną polanę, przyglądając się ze zmarszczonymi brwiami prawie kompletnie już zarośniętym śladom obozowiska. Przystanęła dłużej nad kośćmi koni. Smok leżał w strumieniu i śledził ją wzrokiem, wielkie, czarne ślepia obracały się pod wilgotnymi błonami.

Zamoyski pokazał Angelice Strefy +T i –T i miejsce zapaści. Czuł się jak przewodnik dygnitarza; jako pokazowy eks-kosmonauta nieraz pełnił po-

dobne funkcje. (Pamiętał, że je pełnił – po powrocie z wyprawy „Wolszczana", z której nie wrócił).

Angelika chodziła i przyglądała się w milczeniu; on przyglądał się jej. Siedem wieków różnicy między datami ich narodzin czyniło ją w jego oczach w jakiś sposób starszą, mądrzejszą. Czekał werdyktu.

– Więc…? – rzucił, gdy wrócili na polanę, a Angelika usiadła na swoim miejscu.

– Ile dokładnie widziałeś Kłów?

– Jeden na pewno – odparł i wskazał ręką na niezliczone zagajniki na „niebie": ilekolwiek by tych Kłów widział, nie miałby możliwości stwierdzić, czy nie są to „widoki powtórzone".

– No tak. Smaug?

– Słucham?

– Zmapuj mi jak najszybciej całą tu przestrzeń.

– Zachowując manifestację?

– A dasz radę? – parsknęła. – Bylebyś znowu się nie zatracił.

– Słucham i wykonuję – zadudnił smok i rozprysnął się na tysiąc, milion, miliard drobin, w szarą chmurę – chmura się rozpłynęła; zniknął. Jeszcze tylko powierzchnia strumienia przez moment się burzyła, gdy woda wracała do koryta, i przebarwiały się kamienie na dnie.

– Ile mu to zajmie?

Wzruszyła ramionami.

– To zależy od objętości Saka.

Bardzo się starała, by okazywać w głosie stosowne znużenie. Zamoyski wpychał ją w rolę eksperta, wszechwiedzącego dowódcy, a ona nie miała dosyć siły woli, by się z niej wyrwać, zaprzeczyć Adamowi – nawet gdyby naprawdę chciała zaprzeczyć. Odgrywała to całe przedstawienie, chodziła za nim po okolicy i oglądała w większości nic jej nie mówiące ślady, z nieprzeniknioną miną obserwowała tory lotu wrzucanych w Strefy kamyków – cały czas w duchu kalkulując, nie: jak się stąd wydostać, jak się uratować, lecz: jak nie zawieść Zamoyskiego.

Boże drogi, nigdy dotąd przecież nie miałam do czynienia z wolnym nanowarem, tyle wiem o prawach organizacji nanomatów, co o Sakach: strzępy zasłyszanych teorii, dygresje podczas wykładów w Puermageze. No ale nie powiem mu tego.

Jak to się dzieje, że podporządkowują mnie sobie z taką łatwością – zastanawiała się, wygrzebując obcasem z ziemi kości wierzchowców – ojciec i Zamoyski? Wystarczy im parę słów, chwila milczenia. Ba, lecz czy istotnie jest to forma podporządkowania? Okazują mi zaufanie.

Więc w końcu dlaczego się nie sprzeciwiam? Mogłabym. Mogłabym.

Ale właśnie nie mogła. Angelika McPherson.

– Tak sobie myślę… – mruknął Zamoyski – że skoro nas porwali… no a teraz ten atak, wygląda, że po Plateau… Pamiętam, co mówiłaś o wiadomości ze Studni Czasu. Czy to nie oznacza, że wojna już wybuchła?

Smok spadł jak kamień, w ostatniej chwili hamując wbrew prawom aerodynamiki. Zasłonili się przed tumanami podniesionego pyłu.

– Zrobione – rzekł Smaug.

Angelika usiadła, wytrzepała piach z włosów.

– Wszedłeś do wnętrz jakichś habitatów?

– Nie.

– A ta konstrukcja, przez którą przechodziliśmy na początku? Z całą pewnością nie została zabrana z Afryki.

– Jest tu zresztą więcej takich rzeczy – wtrącił Zamoyski. – Nie mogą pochodzić z dzikiej sawanny.

– To prawda – przyznał Smaug. – Jak brzmi pytanie?

– Czy natknąłeś się na jakiekolwiek instalacje sterownicze Saka, jego Kłów – wyrecytowała Angelika – materialne interfejsy komunikacyjne, plateau’owe i podplateau’owe, cokolwiek, co mogłoby pełnić taką funkcję?

– Nie.

A więc nici z jej planu. Miała nadzieję, że sieć Smaugowych nanomatów sięgnie także konstruktów przeznaczonych dla samych porywaczy. Nadzieja od początku była jednak nikła. Po pierwsze: zawsze wszystko wykonuje się z Plateau; po co wlec w Porcie fizyczne manifestacje, jakieś materialne operatory? Jeśliby kidnaperzy chcieli pojawić się osobiście – to przecież w tym celu zabrali ów zapas nanoware’u. Pod stosownymi programami posłużyłby on też wyśmienicie do drenażu umysłów Angeliki i Zamoyskiego. Więc tym bardziej nie trzeba żadnych habitatów, sterowników. Po drugie: owa warstwa zewnętrzna, Port „poziom wyżej”, w którym znajdowały się Kły utrzymujące zarówno Port z Afryką, jak i sam Sak – była najwyraźniej bardzo mała, najprawdopodobniej nie mieściła nic oprócz Kłów, albowiem po katastrofie i „pęknięciu” wewnętrznego Portu nie nastąpił wyczuwalny

spadek gęstości powietrza. Nawet gdyby zamknęli się w Porcie Plus z atmosferą – ile opłacałoby się im jej pompować? Te metalowe tunele, wrota, ta kolumnada – śmieci wcześniej zagarnięte w Sak.

Cóż, Angelika chwytała się brzytwy i brzytwa odcięła jej palce.

Teraz milczała, nie chcąc nieskładnymi pytaniami okazać zagubienia.

Zamoyskiego oczywiście nic podobnego nie krępowało – bardziej zagubionym niż on być już nie można.

– A, mhm, widziałeś coś ciekawego?

– Zdefiniuj „ciekawe” – burknął Smaug, na powrót sadowiąc się w łożysku strumienia.

– Cholera, nie wiem – zirytował się Zamoyski. – Gdybym wiedział, potrafiłbym nazwać. No wykaż się intuicją, potworze supertechnologii!

– Intuicja, terefere. – Smaug wyszczerzył się w krokodylim uśmiechu, po czym uniósł lewe skrzydło, rozwijając ciemną błonę na kilkanaście metrów kwadratowych.

– Może to? – zasyczał i wyświetlił na skrzydle nieostry obraz nagiego dziecka płci męskiej, zawieszonego w powietrzu w pozie skoczka do wody, na tle białożółtej ściany ognia. Chłopiec mógł mieć pięć-sześć lat; jego skóra była barwy miodu, jakby już osmalona, podwędzona.

– To idzie w czasie rzeczywistym? – upewnił się Zamoyski, podchodząc do skrzydła. Po chwili Angelika podążyła za nim.

– Tak – potwierdził Smaug.

– Mocno spowolniony, silna Strefa.

– Zaprowadź nas – rozkazała Angelika.

Zaprowadził. Ponieważ nie mogli się przemieszczać w sposób, w jaki rozprzestrzenił się po Saku zdyspersjonowany nanoware, Smaug wybrał dla nich długą i męczącą drogę. Szli rejonami całkowicie pogrążonymi w mroku. Polegali na Smaugu, że nie wpadną w żadne niebezpieczne Strefy. Zamoyski starał się mimo wszystko zapamiętać drogę, przez cały czas obecny także w rzymskiej willi swego Pałacu Pamięci, pochylony nad ciepłym od jego oddechu kryształem.

Smok przerzucał ich w powietrzu, umożliwiał przejścia wysoko nad ziemią. Teraz dopiero się pokazało, jak prymitywna była kartografia Zamoyskiego. Notesu zresztą już w ogóle nie używał, choć nie zwrócił go Angelice. Lecz miał kryształ.

Na koniec przyszło im przejść pod ziemią; przeciskali się jak krety, prąc za Smaugiem w cuchnący mrok. Cztery metry pod powierzchnią gruntu odwróciły się kierunki. Pierwszy przedostał się Zamoyski, znowu od stóp do głowy pokryty błotem.

Wyszedł, usiadł, odetchnął – i ujrzał dziecko w bursztynie ognia. Zawieszone w powietrzu, znajdowało się w trakcie upadku na suchy piaskowiec, tuż przed szeregiem płonących drzew. Reszta lasu spłonęła dawno temu, na pogorzelisku kiełkowały już nowe rośliny. Tylko w tej Strefie, wysokim bąblu spaczonej czasoprzestrzeni, wciąż trwał pożar i chłopiec wciąż spadał.

Zatrzymane w tańcu płomienie wyglądały jak topiąca się ściana szkła. Jakże silna musiała być to Strefa, skoro przez dobrą minutę oko nie wychwytywało najmniejszej zmiany w obrazie! Czy można się dostać do jej wnętrza? Jak ostre są jej granice?

Z kolei wygrzebała się z ziemi Angelika. Śmiertelnie blada, zaraz założyła ręce na piersiach, by ukryć drżenie; Zamoyski wszakże zdążył je spostrzec. I ona spostrzegła, że spostrzegł. Szybkim krokiem obeszła Strefę dokoła, znikając mu na chwilę z oczu.

Smaug polatywał powyżej, wzbudzany przezeń wiatr chłodził spoconą twarz Adama. A ponad smokiem, zamiast nieba – tam było już tylko błękitne jezioro, rozsłoneczniona woda od horyzontu po horyzont.

Zamoyski podszedł do bąbla ognia.

– Dziecko.

– Noo, nie wiem. – McPherson obeszła Strefę po raz drugi. – Sprawdź go – zwróciła się do Smauga.

– To potrwa – zastrzegł się smok, zniżając lot.

– Ile?

– Jeszcze nie wiem. Do kilku godzin twojego czasu, stahs.

– Podejrzewasz, że – co? – Zamoyski, marszcząc brwi, zwrócił się do Angeliki. – Że nie jest stahsem? Chcesz porównać DNA?

– Stahs na pewno to nie jest – stwierdziła. – Podejrzewam natomiast, że nie człowiek.

– Więc kto?

– Czyjaś biologiczna manifestacja. – Wzruszyła ramionami. – Phoebe’u, inkluzji. Bo ja wiem?

Położyła się na ziemi, wsunęła ręce pod głowę.

– Poczekamy – mruknęła, zapatrzona w jednostajnie falujący wodoskłon.

Zamoyski podszedł do samej granicy Strefy (aż poczuł mrowienie w wysuniętej do przodu stopie).

– Nie stahs – powtórzył.

– Widzisz przecież, jaką ma skórę. To wbrew wszystkim Tradycjom.

Smok wylądował na pogorzelisku. Podbiegł do ognia, machnął ogonem.

– Posiadam wspomnienia przystające do obrazu jego ciała – rzekł.

– O? Jakie?

– Nieskładne – nanomat zaśmiał się gromko. – Ruch, ciemność, twarde struktury logiczne. Pamięć wewnętrzna jest funkcją konfiguracji nanoware'u; po zatraceniu w chaosie, ginie na zawsze. Gdybym po odcięciu od Plateau rozpadł się na moduły podstawowe, pamiętałbym tylko to, co mam wyryte w kościach, wbudowane w procedury samoorganizacji.

Zamoyski, słuchając Smauga, wciąż miał wrażenie, że słowa nanomatu nie dochodzą do niego w drganiach powietrza, lecz bezpośrednio do umysłu – tak nieprawdopodobny, bajkowy wręcz zdawał mu się widok przemawiającego ludzkim głosem czarnego gada rozmiarów TIR-a. Disney dopuszczony do sekretnej machinerii wszechświata – groteska? horror? kicz? Adam nadal mrugał ze zdumienia.

Przysiadł na piętach u głowy Angeliki.

– Słuchaj, po co te testy, każ mu po prostu sięgnąć do wewnątrz i wyjąć tego szczeniaka. Czy kto to tam jest.

McPherson przesłoniła sobie oczy dłonią, jakby to spojrzenie Zamoyskiego ją paliło, a nie słońce odbite od błękitnych fal.

– W tym rzecz, że właśnie nie wiemy, kto to jest. A jeśli to nanomatyczna kukła phoebe'u? Zakładamy, że nie zgarnęli razem z nami jakiegoś dzieciaka spod Puermageze: więc to nie ofiara.

– Nie rozumiem. – Obejrzał się na bąbel ognia. – Dziecko. O co tu chodzi?

– Patrzysz na jednego z porywaczy. – Potem uniosła dłoń i wskazała na Smauga. – To jego nanomaty. Tylko przypadkiem skonfigurowaliśmy je na nasz własny użytek. Nie byłoby najrozsądniej wciskać je w wielkiej ilości do izolowanej Strefy, żeby mógł je przejąć i obrócić przeciwko nam.

– Już nie wiem, co jest rozsądne, co nie – parsknął.

– Nie udawaj – uśmiechnęła się ironicznie. – Bawi cię to.

Spojrzał na nią z przerażeniem. Bawi! Akurat! No, może z początku, jeszcze w Afryce… to w końcu było ekscytujące. Ale teraz?

Bawi…!

Podniósł się i ruszył przed siebie. Pętla była wyjątkowo obszerna, potrzebował prawie kilometra, by wejść w inny zawój. Szukał rzeki, jeziora, musiał się wykąpać, obmyć z tego błota. Po drodze rzezał w krysztale wzór marszruty (wierzby szumiały uspokajająco).

W końcu prawie wpadł w chłodne fale. Musiał się cofnąć i rozebrać krok przed granicą reorganizacji krajobrazu. Tu złożył odzież i skoczył głową naprzód w kolczaste krzaki i skałę. Zielona toń zamknęła się nad nim. Wypłynął, parskając.

Wiał silny wiatr i unosząc się na jej powierzchni, Adam dawał się rzucać wodzie w górę i w dół. Rozluźnił mięśnie, przymknął oczy. Teraz, przez rzęsy, wyraźniej widział zakrzywioną nad sobą równinę, nie oślepiała go. Wydawało mu się nawet, że dostrzega smoliście czarny obwarzanek Smauga i ciepły klejnot zatrzymanego w czasie pożaru.

Od stawu przy ruinach willi też wiał wiatr, też chłodny. Noc kołysała się w rytmie jego podmuchów. Zamoyski pomyślał o krześle i usiadł wygodnie. Na wyciągnięcie ręki miał stolik z fajką Mitchella. Ostry zapach tytoniu drążył nozdrza. Mitchell rozbił ją o blat podczas narady na pokładzie „Wolszczana” po drugim awaryjnym przebudzeniu.

– Nie-zga-dzam-się! – bił główką fajki o blat. – Zostaliśmy porwani!

(Ach, więc tak biegną skojarzenia! „Porwanie” – „porwanie” – „fajka”).

– I co? – parsknął Washington. – Zamierzasz czekać na żądanie okupu?

– Kompletna cisza od samego początku – dodała Juice. – Tutaj, jak i podczas lotu, czy co to właściwie było…

Trwało tak długo, że musieli z powrotem położyć się w sarkofagach medycznych. Pierwsze awaryjne przebudzenie nastąpiło, gdy wyszli z obszaru fenomenu – ile to lat temu…?

– Przecież nie jesteście ślepi! – pieklił się Mitchell. – Tu nic nie jest naturalne! Nawet słońce. Ta gwiazda… Czy ktokolwiek ma pojęcie, co się z nią dzieje?

Gwiazda, nominowana przez słownik komputera Hakatą, szła ukosem przez przygaszone ekrany „Wolszczana”. Domyślali się, iż wrzecionowaty jej kształt jest jakoś skorelowany z nieprawdopodobnie szybką rotacją – gdyby jednak był to efekt naturalny, siły odśrodkowe powinny spowodować deformację odwrotną. Na skutek Dopplerowskiego przesunięcia linii widma elektromagnetycznego równikowa chromosfera Hakaty posiadała różną

barwę po przeciwnych stronach; ów to efekt przywiódł ich do tego systemu, gdy wypluci w pustkę międzygwiezdną musieli decydować, gdzie się zwrócić – Hakata obiecywała inteligentne życie, być może twórców Zapadliska Eridani. Bo czy to przypadek, że „Wolszczana” zepchnęło w tym właśnie kierunku, mniej niż rok świetlny od jej układu? Hakata kusiła, lecz także – Hakata przerażała. Gwiazda, utrzymując się w tak niestabilnym stanie, gwałciła prawa fizyki.

Co więc mieli rzec o planecie na dole…?

Zresztą – zastanawiał się Zamoyski-we-wspomnieniu – co znaczy „sztuczne”, gdy mowa o obiektach o skali astronomicznej…?

– Ależ o to właśnie chodzi…! – zagrzmiał Washington. – Jak w ogóle możemy się spodziewać, że zrozumiemy ich motywy, skoro nie rozumiemy nawet metod?

– Wytrącasz nam argument – zauważyła Finch. – On teraz stwierdzi, iż wobec tego nie powinniśmy zakładać, że sprowadzenie nas przemocą z trzydziestu jednostek na orbitę planety oznacza automatycznie zaproszenie do odwiedzenia jej powierzchni.

– Otóż to!

– Nie pojmuję, na co liczysz – włączył się Zamoyski. – Bo przecież nie na instrukcje z Ziemi? Ile to jest, Juice? Cztery tysiące?

– Prawie cztery i pół. To tutaj – wskazała na mapie galaktyki – to jądro.

– Nienawidzę tego.

– Czego?

– Jak stukasz paznokciem w ekran. Zawsze ciarki mi po plecach przechodzą.

– Toś jeszcze nie słyszał, jak potrafię przeciągnąć po szkle – W tym momencie ostatecznie wyprowadzony z równowagi Mitchell walnął fajką o stół i rozłupał ją na dwoje.

– Biologiczny, złamane DNA – oświadczyła Angelika, stojąc na granicy Strefy, odwrócona plecami do nadchodzącego Zamoyskiego. – Będziemy musieli wejść i wyciągnąć go.

– Co…?

– Odpowie na kilka pytań. Dopóki trwa blokada Plateau.

Zamoyski raz jeszcze obszedł klejnot ognia, oglądając się przy tym na Smauga symulującego właśnie smoczy sen (nanomat puszczał nozdrzami parę).

– Oboje? Jedno nie wystarczy?

– Więc i tak któreś musiałoby tu sterczeć nie wiadomo jak długo.

– Z głodu nie umrze, to bydlę na pewno jakoś skombinuje strawny prowiant…

– Znaczy, zgłaszasz się na ochotnika? – spytała, przechylając głowę.

– Jasne, dam sobie radę, w końcu fizycznie to dzieciak.

– Na ochotnika do czekania.

– Aha. Dziękuję pięknie. No to może lepiej on?

– Smaug? I co wtedy, oboje czekamy?

Ostatecznie wskoczyli razem.

W przypadku tak samo silnej Strefy +T niepodobieństwem byłoby wejść do niej r ó w n o c z e ś n i e; Zamoyski ujrzałby różnicę na własne oczy: zawieszoną za sobą w powietrzu Angelikę. Było jednak na odwrót: różnica w subiektywnych ułamkach sekund, o których decydował chociażby kąt, pod jakim podeszli do granicy bąbla, wewnątrz się błyskawicznie zniwelowała. Lecz mimo wszystko ktoś musiał być pierwszy, i był to Adam.

Potworny żar buchnął mu w twarz, ściana ognia natarła z oślepiającym hukiem. Dopadł podnoszącego się z ziemi chłopca, schwycił go za ramiona, podźwignął. Dzieciak coś krzyczał, co Zamoyski poznawał jedynie po ruchu jego warg; płomienie były głośniejsze. Mały wił się i rzucał. Angelika złapała go za nogi. Popędzili z powrotem, byle dalej od ognia.

Znowu ten wstrząs fizjologiczny, gdy przekraczali granicę: martwica ciała, krew kipiąca w żyłach, omdlewająca lekkość głowy, nieposłuszne, drewniane kończyny. Przewrócili się. Dzieciak kopnął Angelikę w skroń, poderwał się na czworaki. Zamoyski przycisnął go do ziemi.

– Spokój!

Leżeli w wysokiej do pasa trawie, która teraz porastała całą okolicę z wyjątkiem tych kilkunastu metrów kwadratowych zastygłego w lśniące szkło ognia oraz ziemi, na której spoczywał nieruchomo Smaug. Na niebie szalała burza, wielkie fale przełamywały się pienistymi bałwanami, toteż znacznie mniej światła przeciekało na sawannę. Trwał zmierzch bez słońca i bez widnokręgu.

Angelika szarpnięciem postawiła chłopca na nogi.

– Czekam na gromy – warknęła. – No? Zmiażdż nas!

Dzieciak spojrzał na nią ze wściekłością, ale nic nie powiedział; nie próbował się też wyrywać.

Podnosząc się, widział Zamoyski Angelikę z dołu, jak pochylała się nad chłopcem. Maniera ciała, maska twarzy, nawet intonacja głosu, z premedytacją szorstka – wszystko to było u niej niemal identyczne jak u Judasa; a Adam z TranxPolowych negocjacji i z wesela dobrze zapamiętał McPhersona. Trudno mu było przemóc wrażenie, że ogląda tu realizację tego samego algorytmu – tego samego algorytmu w innym hardware, w innej manifestacji, innym ciele.

Spalona słońcem twarz Angeliki odbijała teraz myśli i uczucia zimnego despoty. Twarz mimo to młoda, piękna – lecz kontrast z wypaloną w pamięci Zamoyskiego ikoną „Angeliki śpiącej" był porażający.

Liczba dusz nie dlatego jest skończona, że Bóg ich więcej nie wyprodukuje, lecz ponieważ skończona jest liczba dusz oryginalnych – potem powstają tylko kopie.

– A więc – Angelika pociągnęła małego dalej od Strefy. – Kim jesteś? Phoebe?

Chłopak wzruszył ramionami.

Szarpnęła go za włosy, aż z wrzaskiem stanął na palcach.

– Jakieś wątpliwości? – syknęła. – Wszyscyśmy tu odcięci.

– Avatar phoebe'u – jęknął dzieciak. – Sformatowany, sformatowany, nic nie wiem!

– Gdybyś nic nie wiedziału, nie mogłubyś być użyteczny, nie posłałubyś się tu. Wiesz tyle, by móc wypełnić swe zadanie. Jakie?

– Auuuua! Wydrenować was!

– Oboje?

– Tak! Jego zwłaszcza.

– Można to zrobić z Plateau. Po co ta trwała manifestacja?

– Czas się liczył. Plan był, żeby podsłowińczyć wewnętrzny węzeł Saka i spuścić z was wszystkie informacje, zanim się jeszcze ktokolwiek zorientuje w porwaniu. Miałum reagować niezależnie. Zgrane w czasie ruchy po Plateau HS zwróciłyby uwagę Cesarza.

Wygadał się, pomyślał Zamoyski. Jest phoebe'um z Cywilizacji Człowieka.

– Taki plan. A realizacja? Przecież jednak nie wydrenowałuś nas.

– Bo poszła przez Trakty wieść o ataku Deformantów i zyskaliście na wartości jako karta przetargowa.

– Oboje jesteśmy zarchiwizowani.

– Były robione modele frenu decydentów. Czynnik emocjonalny. Posiadacie wartość. Tym bardziej w kontekście wieści ze Studni.

– Kto robił? Te modele.

– To sobie wycięłum z pamięci.

– Kto robił?

– Nie wieeeem!

– Wrócimy do tego. Co za atak Deformantów?

– Siedemset tysięcy Kłów. Rozpruli Lara-Port, Tau-Port, Wolfe-Port, Syriusz-Port i kilkaset prywatnych.

Zamoyski zobaczył, że ta wiadomość zrobiła na Angelice wrażenie. Nic w twarzy, nic w głosie – a jednak dostrzegł, że dziewczyna na krótki moment zwróciła spojrzenie do wewnątrz, cofnęła się o krok od samej siebie.

Powróciła jeszcze bardziej zdeterminowana.

– Dlaczego? Dlaczego, gadaj! Co ogłosili?

– Au! Działania odwetowe. Złamanie obyczaju.

– Co na to Loża?

– Odwlekali aż do porozumienia z innymi Cywilizacjami.

– Którzy to byli Deformanci?

– Trudno powiedzieć, ale chyba większość z otwartych struktur handlowych.

– Loża chciała przyzwolenia na wybicie ichnich odszczepieńców.

– Nie. Aktywnego sojuszu.

– Mów.

– Deformanci zaatakowali jeszcze usza; o nich przynajmniej zdążyłem usłyszeć. Puść mnie już!

– Cicho. Karta przetargowa. Co na to Judas?

– Nie wiem. Naprawdę! Może nie dałum sobie znać, a może nie zdążyłum. Deformanci pożarli Sol-Port. Nie dali rady przełknąć, musieli cofnąć Kły. Za to zamykają wszystkie trojki wychodzące. Capnęlii nas.

– Zawinęli nas Deformanci?!

– Aha. Ale bezpośrednie zagrożenie dla Sol-Portu to już był dla Loży stan krytyczny i otworzyła dwie Wojny. Więcej nic nie wiem, na pewno próbowały nas odbić – nie wiem, nie wiem, zablokowało Plateau.

– Zablokowało Plateau, powiadasz.

– Przecież sama widzisz.

– W jaki sposób Sak przemieszcza się w zewnętrznej przestrzeni?

– Zawsze jest zaczep węzła, ujście kraftunku. Hak. To może być nawet ziarnko piasku.

– I w jaki sposób to ziarnko piasku opuściło Sol-Port?

– W wynajętym trójzębowcu.

– Przez kogo wynajętym?

– Przeze mnie, chyba.

– Nie powiesz mi, iż wierzysz, że to była twoja prywatna inicjatywa. Skąd miałuś cynk o nim? – wskazała Zamoyskiego.

– Wyciąłum, wyciąłum!

– Sama bym wycięła – mruknęła Angelika. – Kiedy tu się tak pokopało? Podczas ataku Deformantów, czy kontrataku Wojen?

– Wojen.

– Gdyby nie blokada Plateau, z pewnością byłubyś z sobą w kontakcie, chociażby po to, by przesyłać pliki z drenażu naszych pamięci. Znasz adresy. Jakie to Pola?

– Ja…

– Jakie to Pola?

Chłopczyk machał rękoma, z oczu płynęły mu łzy. Angelika podnosiła go za włosy. Może znajdowali się w lekkiej Strefie – G, a może dziewczyna była tak silna. Zamoyski widział jej zaciśnięte wargi, ściągnięte brwi i rozumiał, że jest tu świadkiem formatowania się osobowości McPherson bodaj czy nie ostrzejszego niż to, któremu swą manifestację poddał był ten ich porywacz.

Kiedyś Adam żywił przekonanie, iż niepodobna pokierować świadomie ewolucją własnego umysłu, nakazać sobie myśleć bądź nie myśleć o danej rzeczy lub w dany sposób; że to żywioł, że człowiek jest wypadkową biologicznych determinant i wpływów środowiska, a co więcej – to sprzężenia zwrotne, w większości zresztą gaszące, których końcowego efektu nie można przewidzieć. Kiedyś dałby sobie za to rękę uciąć. Doktor Durenne wyleczył go z tej wiary.

Czy jednak Angelika miała świadomość, co czyni? Przesłuchiwała dziecięcą manifestację, zadając jej swobodnie ból i strasząc większym, bardzo

naturalna w swym okrucieństwie. Sprawiało to Adamowi wielką przykrość, ale nie mógł oderwać wzroku; nie chciał oderwać wzroku.

– Samu jednu? – kontynuowała.

– Tak.

– A te nanomaty?

– Dla gości.

– Jakieś wygody dla oprawcy?

– Po co? Na te parę godzin?

– Widziałam elementy sztucznych konstrukcji, one nie pochodzą z Afryki, wkręcone w ten labirynt. Dno basenu. Korytarze z mikromateriałowych spoin.

– Nie moje. Pewnie Deformantów. Albo tego trójzęba.

– Akurat! Wojny by nas tak nie skraftowały, Port i Port, w każdym razie nie przeżylibyśmy tego.

– Skąd ja mam wiedzieć? – poskarżył się płaczliwie mały. – Odcięło mnie od Plateau, nie wiem nawet, gdzie jesteśmy.

– Koło Sol-Portu.

– Tam byliśmy przed atakiem Wojen. Ale teraz? Bez zegara a-czasu nie znam nawet prawdopodobnego promienia przesunięcia. Bo kiedy przyszło ostrzeżenie – – Jakie ostrzeżenie?

– O blokadzie Plateau. Że na kilkudziesięciu latach świetlnych jedna z Wojen w ten sposób odetnie Deformantów od ich Plateau.

– Z tego przynajmniej wynika, że nie opuściliśmy jeszcze owego obszaru…

– No? Już? – Miodowy chłopiec podskakiwał na palcach nóg. – Co ci mam więcej powiedzieć?

– Zapomniałuś? Adresy Pól transferowych.

I powaliła chłopca na kolana, przydepnęła mu stopy, z kieszeni spodni wyjęła chustę, po czym związała mu nią ręce. Rzucał się jak pstrąg na brzegu.

– Smaug! – krzyknęła.

Smok uniósł łeb.

– Ogień, stałe źródło – zarządziła. – I jakieś, mhm… dyby.

Smok uderzył ogonem znad grzbietu, niczym skorpion, wybijając w ziemi dziurę o średnicy dwóch stóp. Rzygnęło stamtąd wulkanicznym żarem.

Co zaś do dyb, to wyrwał je sobie z boku: parę żelaznych obejm o regularnym obwodzie. Cisnął je Angelice tylną łapą.

Gdy zakuwała manifestacji nogi, Zamoyski podszedł i spytał cicho:

– Co ty robisz?

– Muszę wydostać z niego te namiary – odmruknęła, nie przerywając.

– Co ty robisz? – powtórzył tępo.

– Jest zamknięty w ciele i chyba nie ma blokad neuronowych. Krótkie przypalanko powinno wystarczyć. Prawda, mały? Wystarczy, wystarczy.

Chłopak przestał się już wyrywać. Patrzył w morze nad sobą, oczy miał wielkie, niebieskie, zaszklone łzami.

Zamoyski odciągnął Angelikę za Strefę.

– Po co ci one właściwie?

– Mhm?

– Te adresy.

– To jedyny trop prowadzący do porywaczy.

– Ale dla nas i tak bezwartościowy.

– Kto wie?

Uśmiechnęła się, odgarnęła włosy z twarzy. Gest był ten sam, co w Farstone, w weselnym namiocie, co przed drzwiami celi Zamoyskiego w Puermageze.

Adamem wstrząsnęło obrzydzenie.

– Co to, już nie jesteśmy skazani na kasację? – warknął.

– Widzisz przecież. Szczęśliwy zbieg okoliczności, wyrwaliśmy się im spod kontroli, cały Sak się wyrwał. Teraz tylko dać znać Cywilizacji.

– Proszę bardzo, zrób to.

– Fakt, jesteśmy pod tą blokadą Wojen. – Zamyśliła się. – Gdyby jakoś dobrać się do programów Kłów.

– To co?

– Wyniosłyby nas spod blokady Plateau.

– Przecież znajdujemy się w Saku.

– Miałam na myśli Kły zewnętrzne, te z trójzębowca przewożącego Hak. Zresztą to wszystko jedno, one muszą być ze sobą sprzężone; byle dostać się do ich programu. Drań musi znać i te adresy. – Obejrzała się przez ogień na jeńca.

Zamoyski zacisnął zęby w bezsilnej złości.

Chciał nią potrząsnąć, ale wywinęła mu się z rąk.

Teraz patrzyła nań z jawną podejrzliwością.

– Zastanów się – nacisnął. – Przecież to jest błędne koło! Nie pokierujesz Kłami, dopóki nie wyjdziemy spod blokady, a nie wyjdziemy spod blokady, dopóki nie dobierzesz się do ich programów. Sama mówisz, że wszystko idzie przez Plateau. Więc chociażby ci tu wyśpiewał setkę adresów – nic to nie da! Jak w ogóle zweryfikujesz jego słowa bez dostępu do Plateau? To wszystko nie ma sensu.

– Mhm, faktycznie, jest to problem. – Przeciągnęła się, prostując nad głową ramiona, puściła oko do Zamoyskiego. – Ale nie trzeba się od razu poddawać, zawsze jest jakaś nadzieja. Pamiętasz? Wydostałeś mnie z grobu.

I poszła przypalać chłopcu stopy.

Absurdalna sytuacja, pomyślał Zamoyski. Czysty surrealizm, ktoś podmienił scenariusz dramatu.

Wrócił do smoka.

– Słuchaj no, na czym właściwie polega ta blokada Plateau?

– Nie wiem – odparł Smaug. Nie otwierał nawet pyska, mruczał z głębi piersi.

– No ale musi chyba istnieć jakiś teoretyczny opis. Jakie są możliwości?

– Nie ma żadnych. Nie można postawić między Plateau a odbiornikiem żadnego izolatora, ponieważ położenie odbiornika nie ma znaczenia: z każdego punktu Plateau jest tak samo blisko do każdego punktu dowolnej innej inkluzji.

– To wiem, mówiła mi. Ale sam przyznajesz, że ta blokada istnieje.

– Tak.

– Zatem?

– To Wojny.

– Co: Wojny?

– Potrafią.

– To znaczy kto?

– Tylko Wielka Loża zna raporty. Gnosis cenzuruje.

– Jakie raporty? Co to właściwie są, te Wojny?

– Zakraftowuje się je w obszernych Portach o czasie przyśpieszonym do Słowińskiego. Przez setki milionów Port-lat nic innego nie robią, tylko doskonalą metody zniszczenia, prowadząc tam bezustanne wojny, wszyscy ze wszystkimi; tak ewoluują w rejony technologii inaczej nieosiągalnych. Nigdy dotąd nie uwolniono żadnej Wojny poza Port drugiej Wojny lub poligo-

nowy. Hoduje się ich wiele; nie wiem ile. Inne Cywilizacje hodują również; na pewno usza i antari. Duży procent samoistnie obumiera. Napuszcza się je wzajem na siebie i krzyżuje. To cała nauka. Inżynierowie morteugeniki zdają raporty tylko przed Wielką Lożą. A ponieważ i tu może zajść niebezpieczeństwo skażenia technologią, wszystko przechodzi potem przez cenzurę Gnosis. Oni więc mogą wiedzieć. Ale nikt więcej. Ja wiem, że blokada Plateau jest niewykonalna.

Adam usiadł ciężko. Obmywany falami niskiego głosu Smauga, prawie nie słyszał wrzasków torturowanej manifestacji. Angelika zaś musiała pytać bardzo cicho, bo jej nie słyszał w ogóle.

Angelika. Ona jest w szoku, cudem przecież uszła śmierci, to na pewno są po prostu objawy tej zduszonej histerii…

Popatrzył w górę, na morze. Uspokoiło się, lazurowa toń odbijała jasne słońce (samo wciąż niewidoczne). Uciec stąd, nie patrzeć, nie słyszeć, zanurzyć się w chłodnej, czystej wodzie…

Wrócił do dziewczyny.

– Zostaw nu. Wiem, jak wyjść spod blokady. Chodź. Powiadomisz tatusia i skończy się to safari.

Dzieciak momentalnie przestał krzyczeć, jakby ktoś podniósł igłę gramofonu. Angelika odepchnęła jego stopy od ognia, skrzywiła się przy tym czując smród palonego ciała.

– Niemożliwe – sapnęła, łapiąc oddech. Podniosła wzrok na Zamoyskiego. – Jak?

– Ja się nie znam na Plateau – rzekł. – Ale wiem, że jeśli coś tutaj widzisz – ogarnął ruchem ręki wnętrze pętli – to możesz się tam też dostać. A widzieliśmy Kieł, prawda?

Zamrugała, przygryzła wargę.

– Tak. Masz rację. Nie pomyślałam.

– No to chodźmy.

Obejrzała się na chłopca o spalonych nogach.

– No co? – ponaglił ją Zamoyski.

– W chwili gdy wyjdziemy spod blokady – mruknęła – w tej samej sekundzie onu wróci na swoje Pola Plateau. Odzyska kontrolę i zmiażdży nas.

– Nieprawda! – zaprzeczył gorąco malec.

– Prawda, prawda – powtarzała Angelika, rozglądając się po okolicy.

Odeszła kilka kroków i podniosła coś z wysokiej trawy. Odwróciwszy się, strzeliła z biodra. Strzelba trzasnęła sucho, chłopakiem rzuciło pod stopy Zamoyskiego. Adam odskoczył. Strzeliła po raz drugi; tak myśliwi dobijają zwierzynę. Dzieciak przewrócił się na twarz i zamarł. Cokolwiek z niego wyciekało, chciwa ziemia połykała to bez śladu.

McPherson zerknęła na Zamoyskiego.

– Wyglądasz jak po szoku anafilaktycznym.

Skinęła na Smauga.

– Ten Kieł. Prowadź.

Smok podźwignął się i powlókł przez sawannę; oni za nim. Angelika zarzuciła sobie karabin na ramię.

Adam trzymał się półtora kroku z tyłu. Obracała głowę.

– Podaj jakąś alternatywę zamiast robić takie miny.

– Nawet gdybym podał – wycedził – to i tak teraz nie ma to już znaczenia; wcześniej zabiłaś, niż spytałaś.

– Ale alternatywy nie było. No. Już. To tylko cerebryzowana kukła jakieguś phoebe'u czy inkluzji – onu samu nie będzie tego nawet pamiętać.

– Pieprzysz głupoty. Taki miałaś odruch.

Wzruszyła ramionami.

Stanąwszy nad stolikiem z kryształem, sprawdził ścieżkę powrotną. Smok szedł jeszcze krótszą. Przecisnęli się przez jakąś bardzo ciasną pętlę +G, w całości we wnętrzu metalicznej konstrukcji – i wyszli na afrykańską równinę pod fioletowym niebem z zawieszonym na nim Kłem. Słońce znajdowało się jednocześnie w dwóch miejscach na nieboskłonie, wyżej i niżej – cienie rozkładały się niczym wskazówki zegara, mniejsza z większą, podwójny gnomon.

Zamoyski pamiętał, że poprzednio na gładkiej powierzchni Kła (a obracał się on teraz dwie dłonie nad horyzontem, oko się gubiło w ocenie odległości i wielkości obiektu) widział trzy refleksy Słońca – ale wtedy patrzył z innego miejsca.

– Mieści się w tej pętli? – Angelika spytała Smauga.

– Nie, ale stąd najbliżej.

– Liczysz po powierzchni.

– Tak.

– A bezpośrednio?

– Mam zaprowadzić?

– Tak.

Tym razem szli dłużej, pętla była obszerna, ponadto musieli omijać rozległe Strefy. Nie kierowali się bynajmniej ku Kłowi – jego obrazowi na niebie – lecz pod kątem około trzydziestu stopni. Strawersowali pętlę zdewastowanego krajobrazu, źle zorientowana grawitacja wywróciła tu okolicę na nice, szło się jak po świeżym grobie tysiącletniej puszczy. Już w ogóle nie widzieli Kła. Smok prawie biegł, pomagając sobie od czasu do czasu skrzydłami. Angelika bez problemu weszła w rytm szybkiego marszu – i, ku swemu zdumieniu, Zamoyski również.

Stanęli w miejscu niczym się nie wyróżniającym. Adam, wyrównując oddech, uniósł głowę. Niebo – teraz (tutaj) szaropopielate – było puste.

Smaug wycelował czarny pazur prosto w zenit.

– Cztery tysiące osiemset pięć metrów – zadudnił.

Oboje zadarli głowy.

– Trzeba nam drabiny do nieba – mruknęła McPherson. – I to ekspresowej.

Zamoyski opuścił wzrok na Smauga.

Uniosła brew. – Myślisz…?

– Jeśli będzie miał dość miejsca… Jak wygląda topologia pętli na takich wysokościach? Sądziłem, że to się zamyka mniej więcej sferycznie.

– Wątpię, czy wycięli pięć kilometrów atmosfery Ziemi. Z drugiej strony – nie oddychamy próżnią, ciśnienie w normie. Być może po prostu kilka pętli po drodze…

– Smaug?

– Najprościej? – zabuczało smoczysko. – Balon na wodorze. Wpierw elektroliza. Mam zacząć?

– A czemu nie weźmiesz nas po prostu na grzbiet albo, no, chwyć jakoś szponami… Co? Czemu nie?

Smaug zwrócił łeb ku Angelice.

– Jeśli chcesz ryzykować, stahs.

McPherson raz jeszcze zadarła głowę, zmrużyła oczy, jakby istotnie mogła coś dojrzeć w monochromatycznej szarości – tam, na wysokości pięciu kilometrów.

– Nie, lepiej nie.

– Mam zacząć?

– Proszę.

Zamoyski, nie bardzo wiedząc, czego właściwie spodziewać się po bestii, odstąpił kilkanaście kroków. Lecz smok wydawał się trwać w bezruchu. Zległ na brzuchu, łapy pod łeb, skrzydła po tułowiu, i tylko puszczał parę pyskiem.

Ostatecznie rzecz zajęła nanomatowi ponad dwie godziny; nie mieli zegarków, słońce nie przemieszczało się po nieboskłonie, Adam zmuszony był zdać się na zegar swego organizmu, ile godzin odmierzyły skręty jelit i uderzenia głodu. Potem Smaug był martwy. Zamoyski przekonał się o tym, gdy, zaniepokojony dłuższym milczeniem nanomatu, w końcu wstał, podszedł, dotknął – i gad rozpadł się mu pod palcami w chmurę gryzącego gardło i szczypiącego oczy pyłu.

Zamoyski się rozkaszlał. Angelika nawet nie spojrzała – przez cały czas leżała na plecach z rękoma pod głową, od początku konsekwentnie ignorując Adama. Ziemia naokoło nich dość szybko zaczęła była zmieniać barwę, pojawiły się pęknięcia, wybrzuszenia, zapadliska, ktoś orał twardą glebę sawanny „od spodu”; ktoś – Smaug. Adam próbował wtedy wypytywać smoka, potem zamilkł i smok; milczeli zgodnie, wyciągnięci na gotującej się ziemi w jednym szeregu: dziewczyna, wskrzeszeniec, potwór. Słaby wiatr poruszał samotnymi źdźbłami trawy.

Ale co wówczas Zamoyski odkrył: nie krępowało go to milczenie. Rzadkość, wielka rzadkość, zwłaszcza gdy milczy się z osobą przeciwnej płci, tu zawsze są podteksty. Tymczasem nie; pełen komfort psychiczny. Mimo że wciąż za każdym razem widział w jej twarzy odbicie tej chwili, gdy pociągała za spust. I już nie był pewien, co czuje: obrzydzenie czy fascynację?

Gdyby nie była tak młoda, gdyby nie była w tak oczywisty sposób obca – pochodząca z obcego świata, z obcych czasów – mógłby przynajmniej objąć ją jakimś konkretnym uczuciem: nienawiścią, pogardą, odrazą, czymkolwiek. Tymczasem – epilepsja emocjonalna.

Odezwała się, kiedy wrócił od obróconego w proch Smauga:

– Nie jestem do końca pewna, jak on to rozegra, ale… usiądź lepiej na swoim miejscu.

Dopiero teraz dostrzegł: w miejscu, z którego się podniósł, ziemia miała inną, jaśniejszą barwę. Jakby odcisnął w niej negatyw swego cienia. Dotknął. Coś jak pleśń, miękkie, wilgotne.

– Siadaj.

Usiadł, położył się.

– Nie mógł zachować równocześnie swej manifestacji?

– Jezu, nanoware bez twardego progu przyrostu masy…? Nikt nie jest aż tak szalony! – mruknęła Angelika.

Zamoyskiego zaczęły swędzieć plecy i nogi. Chciał się podrapać – i odkrył, że ma problemy z podniesieniem i zgięciem ręki, pleśń błyskawicznie wrosła w materiał koszuli. Koszuli, spodni, butów – sprawdzał po kolei kończyny – splotła się nawet z włosami, po kilkunastu sekundach nie mógł unieść głowy.

– Angelika…

– Mhm?

– Zdaje się, że zapuściłem korzenie.

– Nie szarp się, przecież miało być bez ryzyka – Tu nastąpiło tąpnięcie, Zamoyskiemu zdało się, że zadrżał cały Sak i przekrzywiło się na zawiasach firmamentu popielate niebo. Z ziemi poczęła unosić się cuchnąca para.

– …więc musi nam założyć pasy bezpieczeństwa, nie?

Ukrzyżowanie połączone ze strawieniem i pogrzebaniem żywcem, pomyślał Zamoyski.

– Kiedy była mowa o balonie – westchnął, zezując na boki – nie wiem, czemu wyobraziłem sobie sferyczną powłokę i gondolę pod spodem, my w tej gondoli… Balon, nie?

– Może lepiej przestań gadać, zaraz przetnie cumy i odgryziesz sobie jęz – Ziemia kopnęła go w plecy i w głowę i stracił na moment przytomność. Obudził go ryk wiatru, powietrze napierało na twarz, uniemożliwiając otworzenie oczu. Ciało (ciało, które pamięta) przekonywało go o wielkim przeciążeniu, krew spływała w dół, omdlewały mięśnie, mózg grzązł w wacie. Aż w pewnej chwili Zamoyski pomyślał: kto pilotuje? Washington? Potem dopiero przyszła refleksja: duch Smauga.

Powoli zdejmowano mu z piersi cegły, lecz wiatr nadal zaklejał powieki. Zamoyski zaczął liczyć uderzenia serca, pomylił się po dwunastu, zaczął od nowa; serce biło nieregularnie, wytrącone z rytmu zmianami ciążenia.

Lżej, lżej, lżej, aż – tłupp! – spadł twarzą w dół na coś twardego i stracił oddech. Wcześniej przeorientowały się dół i góra, wcześniej coś wpiło się kościstymi paluchami w uda i ramiona Zamoyskiego – nie miękkie więzy pleśni, lecz żelazne kajdany. Znowu nie mógł się poruszyć, różnica polegała wszakże na tym, że teraz leżał na brzuchu.

Mógł natomiast otworzyć oczy.

Srebrnopióry trzykruk poddreptał doń po łagodnej krzywiźnie Kła.

– Spokojnie – zaskrzeczał. – Powoli. – (Pozostałe głowy przytakiwały).

Otaczał ich jadowity fiolet nieba, osuwającego się po paraboli w prawo. Adam, przylepiony do Kła przez splecioną z błota sieć, niczym mucha przyklejona do żywicznego pnia, obracał się plecami ku pięciokilometrowej otchłani.

II

Odmienny zbiór warunków definiuje odmienne środowisko. Jeśli zmienia się środowisko, zmienia się jego Forma Doskonała. Forma Doskonała wykorzystuje warunki środowiska w stopniu maksymalnym i zwycięża i wypiera wszelkie inne formy.

Środowiska zawierają się w sobie: od określanych przez warunki szczegółowe do określanego przez warunki najbardziej ogólne.

Dla danego środowiska istnieje tylko jedna Forma Doskonała. Forma Doskonała środowiska opartego na warunkach bardziej ogólnych zwycięża i wypiera Formę Doskonałą środowiska opartego na warunkach bardziej szczegółowych.

W danym środowisku każda zmiana Formy Doskonałej oznacza degenerację.

4. Plateau

UI (ULTIMATE INCLUSION), INKLUZJA ULTYMATYWNA

W znaczeniu szerszym: inkluzja o takiej kombinacji stałych fizycznych, że kombinacja ta gwarantuje efektywność umieszczonego w inkluzji konstruktu logicznego większą od efektywności konstruktów z wszystkich innych inkluzji, wszystkich innych kombinacji stałych fizycznych.

W znaczeniu węższym: ów konstrukt (inkluzja logiczna).

UC (ULTIMATE COMPUTER), KOMPUTER OSTATECZNY

Najefektywniejszy konstrukt logiczny (na dowolnych negentropianach) możliwy do stworzenia w oparciu o daną kombinację stałych fizycznych.

SI (SEMI-INCLUSION), SEMINKLUZJA

Inkluzja logiczna o ograniczeniach uniemożliwiających jej wykształcenie frenu.

TRANS

Transfer minimalnej porcji energii/materii między dwiema inkluzjami.

→ Koszt danego Transu określają równania uwzględniające stałe fizyczne obu inkluzji; koszt ten jest wyrażalny wyłącznie w jednostkach inkluzji źródłowej.

PLATEAU

Każda inkluzja z takiego punktu na Wykresie Thieviego, że: (a) jego współrzędna kosztu Transu jest minimalna; (b) jego współrzędna czasu jest maksymalna (Czas Słowińskiego).

Najbardziej efektywne Plateau mieszczą się w znacznie węższych przedziałach.

→ Potocznie: reprezentacja graficzna na Wykresie Remy'ego potencjalnych frenów odpowiadających tym punktom – stąd nazwa.

→ Uwaga: freny plateau'owe pierwszej i drugiej tercji są możliwe tylko w radykalnej Deformacji.

→ Oryginalny fren Plateau znajduje się na prawym krańcu Plateau, na Krzywej Progresu.

„Multitezaurus" (Subkod HS)

– Wygląda na Małego Magellana. A po prawej, za Wężem Morskim – – Ty się znasz.

– Kiedyś się znałem, prawda. Nie możesz tego uruchomić?

– W życiu nie widziałam wnętrza Kła, nawet na filmie. Kogo interesują flaki maszyn? To jakiś luk techniczny. Sam spróbuj.

– A jak nie jest idiotoodporne?

– No to się zdziwimy.

Znajdowali się w małej, prostokątnej kabinie, z jednym tylko fotelem – a więc stali oboje. Ściany kabiny były miękkie, poddawały się pod dotykiem. Odkryli, że jeśli nacisnąć je pod odpowiednim kątem, otwierają się na nich okna ekranowe, wyświetlające kolorowe dwuwymiarowe obrazy, czasami w samym miejscu naciśnięcia. Kolejne naciśnięcia odpalają kolejne funkcje. W ten sposób przewinęli na ekranach skany nieba pochodzące z Kłów zewnątrzsakowych.

Trudno o bardziej domyślny interfejs; może audio – ale ten nie działał, próbowali. Spodziewali się zresztą bariery językowej. Potem spostrzegli, że w podłodze wypalono czteropunktową instrukcję. Instrukcję spisano po angielsku, co stanowiło dobry znak: Kieł pochodził z Progresu Homo Sapiens.

Była tak krótka, bo kończyła się na punkcie:

PIĘŚĆ → PLATEAU

Mógł Zamoyski boksować do woli, znajdowali się pod blokadą.

Problem polega ł na dotarciu do funkcji nawigacyjnych Kła. Ponieważ wszystko tu – jak w całej Cywilizacji – zostało zaprojektowane z myślą o procesowaniu na Plateau, rzecz wydawała się niewykonalna.

Bawili się dotykowym interfejsem już czas jakiś, a nie wyszli poza podstawowe komendy: zmiana punktu widzenia, schematy wewnętrzne Kła, autodiagnoza i tym podobne. Gdy Angelice udało się rozszyfrować makro zamykające właz, cieszyła się jak dziecko.

Reszta najwyraźniej wpisana była w odnośne Pola Plateau.

Wyszli z jednego błędnego koła, by wpaść w następne.

– A ty co powiesz?

Trzykruk zatrzepotał bezradnie skrzydłami.

– Nie sięgam pamięcią, przykrrro mi.

– Taa, na pewno.

Angelika pozwalała Zamoyskiemu swobodnie konwersować z nanomatem i próbować na mięsistych ścianach pomieszczenia dowolnych kombinacji pieszczot i ciosów. Obserwowała Adama, wycofawszy się ku korytarzowi. W retrospekcji nie bardzo potrafiła rozpoznać ów moment, w którym sama zrezygnowała i zdała się na pomysłowość wskrzeszeńca. Nie miała ochoty próbować z nim sił w tych technozagadkach: jeśli wygra, dodatkowo go poniży; jeśli przegra, zbłaźni się porażką z ignorantem. Dobrze zresztą wiedziała, że Zamoyski wciąż ma jej za złe likwidację biologicznej manifestacji kidnapera.

Przeszła pogrążonym w półmroku korytarzem do samego progu komory przegubowej; tu usiadła na podłodze (też miękkiej). Wychylając się, mogła wyjrzeć przez szyb perystaltyczny na zewnątrz Kła – do góry, w prawo, na dół, za chwilę znów do góry. Pomieszczenia wzdłuż jego osi, za elastycznym przegubem, pozostawały we względnym bezruchu, lecz sam Kieł wciąż się obracał – nie potrafili go zatrzymać, zapewne było to niemożliwe – i w okrągłej ramie włazu ukazywały się na przemian niebo barwy apokaliptycznej burzy i ziemia: jasnobrązowy gobelin o niewyraźnym wzorze. Nawet ten wąski obraz był częściowo przesłonięty, bo właz zarastała siatka nanomatycznego kokonu bezpieczeństwa Angeliki (Zamoyski wszedł był do Kła pierwszy).

On wciąż wartościuje życie i śmierć w kategoriach absolutnych, myślała. Rach-ciach, *on/off*. Tymczasem tu wszystko w ułamkach, w kawałkach, w kulawych przybliżeniach. Z czysto logicznego punktu widzenia takie porcjowanie nie ma sensu – lecz przez tyle wieków kultura musiała to jakoś zaakceptować, „zrozumieć”. Że chociaż umrę, żyć będę w nowym pustaku; nie ja, ale jednak ja. Subiektywnie to absurd. Żyję, umieram; ja tu, pustak tam, tożsamość czysto zewnętrzna. Lecz gdy człowiek wychowuje się i żyje w świecie – w kulturze – w Cywilizacji – gdzie podobne rzeczy uchodzą za normę, gdzie członkowie jego własnej, najbliższej rodziny żyją-nie żyją w formach ułamkowych, gdzie owo rozmycie „ja” osiąga – w przypadku manifestacji wielokrotnych – rozmiary właściwe raczej obiektom rodem z fizyki kwantowej – wówczas mimowolnie „wrasta” się w tę mentalność; furda logika. Jakże rozpruć tak głęboką siatkę skojarzeniową?

I czemu w ogóle miałabym to czynić? Wszak to właśnie Zamoyski nie pasuje do tego świata i nie potrafi go zrozumieć.

Nie wolno mi zatracić poczucia proporcji. Jestem stahsem. Teraz widać to najwyraźniej: że w ogóle zastanawiam się nad tym; że Adam zdołał mnie tą swoją reakcją dotknąć. Tak, jestem stahsem, i będzie się to na mnie mścić – Doszedł ją okrzyk Zamoyskiego. Wróciła do kabiny. Światło pochodziło tu z fosforyzujących sino krawędzi ścian i wszystko w nim było o cal bliższe grobu.

Zamoyski stał w najdalszym kącie kabiny i ciął myśliwskim nożem Angeliki własną rękę oraz gumowatą materię ściany. Krew wsiąkała w podłogę u jego stóp, wypaczając jej powierzchnię w czarne bąble i pory, niczym żrący kwas.

– Cóżeś ty znowu wykombinował?

Nie oglądając się, wskazał ręką (tą nieokaleczoną) na ścianę po lewej, gdzie obracały się na sztucznym atłasie nocy tajemnicze gwiazdozbiory.

– Co to niby jest? – spytał retorycznie. – Transmisja z zewnętrza Saka, tak? Ale jakim sposobem przy zablokowanym Plateau? Sama mówiłaś, że do tego właśnie celu stworzono pierwsze Plateau: do nawigowania Kłów.

– No ta-ak.

– Ale pulsary na przykład – aż sam się w końcu obejrzał – widzisz…? To jest miejsce sklejenia pętli, plik rusza od początku, błyski są niezgrane. Ostatnie nagrania, założę się. – Tu przerwał, by jeszcze upuścić krwi. – Więc są procedury awaryjne. Wie, co robić w przypadku odcięcia od Plateau.

– Ale czemu ty się tniesz?!

– A widzisz tu gdzieś jakąś apteczkę? Zestawy pierwszej pomocy? Automatycznych chirurgów?

Angelika rozglądnęła się bezradnie, mimo woli poddając się retoryce Zamoyskiego. Trzykruk w kącie czyścił pióra, tylko środkowa głowa spoglądała na wskrzeszeńca. Który rozsmarowywał właśnie krew po poharatanej ścianie.

– Ale – czemu ty się tniesz?!

– Bo teraz będzie musiał udzielić mi pomocy, a bez dostępu do Plateau wybierze algorytm awaryjny.

– To znaczy jaki?

– Nie może sprowadzić pomocy. Co zrobi?

– To, do czego go zaprogramowano.

– A ja sądzę, że nikt go specjalnie nie przeprogramowywał, wszystko jest na Plateau. To zaledwie standardowy hardware ze szczątkowym oesem. W każdym razie tak się zachowuje. Jest sprofilowany na fizjologię HS, a ta guma, czy co to jest, reaguje na ludzką krew, widzisz? Zorientowałem się, kiedy przypadkowo kapnęło mi z ramienia, z tego twojego cięcia; jeszcze się nie zasklepiło. A skoro tak – to Kieł nie będzie przecież czekał, aż się wykrwawię na śmierć! Prawda?

– Chcesz powiedzieć: taką masz nadzieję.

– Nie pamiętasz, co sama mi mówiłaś? Że bezpieczeństwo ludzi najgłębiej zakodowano w programach Kłów, najwyższy priorytet, najpierwsza dyrektywa – nie pamiętasz? A gdy zabrakło nadzoru z Plateau – co mu pozostało? Tylko te archaiczne algorytmy, pierwotny oes, starożytne przykazania.

Obejrzawszy się przez ramię, wyszczerzył się do Angeliki z gęstej brody.

– Wystarczająco długo pracowałem na komputerach. Tak naprawdę programy nie ewoluują. One się n a w a r s t w i a j ą. Dwudziesty dziewiąty wiek, tak? Założę się, że gdybym dostatecznie głęboko pogrzebał, znalazłbym tu u podstaw jakieś MSWindows czy jeszcze prymitywniejsze DOS-y. Jedyne, na co zawsze można liczyć, to konsekwentna głupota maszynowej inteligencji.

Angelika wolała już nie pytać, co będzie, jeśli Kieł posiada po prostu inną strukturę logiczną, oes mniej skłonny do improwizacji; zdobyłaby się co najwyżej na jąkliwe „ale”. Nie miała zielonego pojęcia o wewnętrznym ROM-ie Kłów. Wątpiła, czy w całej Cywilizacji HS znalazłoby się tuzin stahsów, którzy takowe posiadali.

Zaraz zatrzasnął się z głuchym szczękiem właz i trupia fosforyzacja pozostała jedynym źródłem światła. A on, Zamoyski, rzeźbiarz w glinie, szaleniec przy pracy, dalej wgniatał w pocięty materiał lepką czerwień, naciskając nań całym ciężarem ciała. Pochylał się do przodu coraz bardziej – i Angelika spostrzegła, że sama również odruchowo zmienia balans ciała, by dostosować się do nowego pionu. Obejrzała się na okna pełne gwiazd. Na nich nadal te same obrazy.

Przypomniała sobie wypróbowaną niedawno sekwencję i trzema szybkimi ciosami otworzyła bezpośredni podgląd z pancerza Kła.

Na skutek ruchu wirowego obraz i tak był chaotyczny, lecz zmieniał się zbyt gwałtownie, by tłumaczyć to jedynie obrotami Kła. Powód był inny.

Przelatywali przez pętle – albo tak ciasne, albo tak szybko. Przelatywali przez czasoprzestrzenne pętle – jedna za drugą, mgnienie oka na krajobraz, zmruży powieki i przeoczy zmianę horyzontu…

W końcu zrozumiała, że Kieł bynajmniej nie porusza się względem pętli Saka, lecz r o z w i ą z u j e j e po kolei.

Skąd zatem przyspieszenie? Duże i wciąż wzrastające. Musiała usiąść, potem położyć się. Zamoyski za chwilę zwalił się jak kłoda. 3 *g* co najmniej. Fałdy ubrania odbijały się w skórze Angeliki twardymi zgrubieniami, zostaną siniaki.

To nie jest fałszywy ruch, pomyślała, z wysiłkiem utrzymując głowę zwróconą ku oknu bezpośredniego podglądu. My rzeczywiście lecimy z tym 3 *g*. Kieł usiłuje wydostać się z Saka, ale ponieważ nie istnieje coś takiego jak „Sak częściowo otwarty”, musi go w tym celu zniszczyć. Wówczas ruch stanie się ruchem w zewnętrznym układzie odniesienia – i wyjdziemy spod położonej przez Wojny blokady. Ale to już na kraftfali, bo przecież nie dzięki napędowi odrzutowemu i newtonowskim prędkościom.

Nie ma znaczenia, w którą stronę się wówczas Kieł kieruje. Na pewno popłynie na maksymalnym poślizgu, najgłębszej kraftfali, skoro już uznał sytuację za awaryjną. Ale nie, kierunek ma znaczenie, on przecież odruchowo zwróci się do Portu macierzystego, zdradzając tym samym tożsamość właścicieli. Mhm, czy byliby na tyle nierozsądni, by zostawić mu w pamięci podobne dane? Zresztą – bez dostępu do Plateau skąd miałby znać aktualne położenie któregokolwiek Portu? Więc jednak kierunek jest obojętny, przynajmniej na początku.

Idzie zatem o to, by jak najszybciej samemu wejść na Pola Plateau i przesłać informację. Komu? Gnosis, Judasowi, to oczywiste. Tak – lecz wyjście z materialnych interfejsów tego Kła prowadzi bez wątpienia na Pola porywaczy, równie dobrze sami moglibyśmy się tu skasować. Cholera, czemu wcześniej o tym nie pomyślałam?

Zdrętwiał jej kark i musiała mimo wszystko odwrócić głowę. Zamoyski klął głośno. Oddychała płytko, z wysiłkiem, skupiając się na pracy przepony i mięśni klatki piersiowej.

Jakie wyjście z tej sytuacji? Myśl, dziewczyno, myśl! Dowolne miejsce we Wszechświecie jest dowolnie bliskie dowolnemu miejscu na Plateau – rzecz więc tylko w domyślnej konfiguracji systemu konekcyjnego. A czy

w ogóle mamy dostęp do jakiegokolwiek innego, prócz firmowego systemu Kła?

Zahaczyła spojrzeniem o srebrnopióre ptaszysko (na nim przeciążenie nie robiło najwyraźniej wrażenia). Następne potencjalne zagrożenie, głupio przeoczone. W chwili wyjścia spod blokady nanomaty skonfigurują się na nowo i wrócą pod kontrolę programów z Pól im przypisanych – Pól porywaczy. *Ergo*: pozbyć się trzykruka!

Co jeszcze? Co jeszcze? Na litość boską, musi istnieć jakiś sposób! Jak ona teraz powie Zamoyskiemu, że to wszystko na nic, że niepotrzebnie się starał, że chociaż udało się im – cudem zaiste – wydostać z Saka, uciec spod blokady, to i tak nic im z tego nie przyjdzie, bo nie dysponują żadną metodą połączenia się z bezpiecznymi Polami Plateau – jak ona mu to powie…? Nie będzie w stanie. Już na samą myśl płonęła ze wstydu. On by tylko spojrzał – bez wyrzutu, bez wściekłości – spojrzał, po czym odwrócił wzrok. Przecież sama mu to wszystko wmówiła; a nie pomyślała. No nie pomyślała! Kurwa mać! (Już nawet przekleństwa tracą na wulgarności, zły znak). Gdybyż nie była stahsem…! Gdyby przynajmniej miała w mózgu stałą wszczepkę…!

No oczywiście! Zaśmiała się na głos, aż zabolały ją żebra. Na najprostsze rozwiązania najtrudniej trafić – najpierw zawsze szukamy rozwiązań równie skomplikowanych jak problem.

Skoro więc z tym sobie poradziliśmy… Lista zagrożeń, punkt drugi.

– Smaug! – syknęła.

Trójptak poddreptał do jej głowy.

– Gdy tylko wyjdziemy – szeptała na płytkim oddechu – lecisz do włazu. Natychmiast na zewnątrz. Z Kła.

– Rrrozumiem – trzykruk przytaknął (w dwóch trzecich).

Teraz Zamoyski. Kiedy wreszcie Kieł wypruje się z Saka? Już mnie kręgosłup boli, a w płucach – Odruchowy kurcz mięśni podrzucił ją pół metra nad podłogę. Nieważkość. Sprawdziła okna ekranowe. Na obu gwiazdy. Czy to oznacza, że wyszli spod blokady i przywrócona została łączność przez Plateau?

Złapała się oparcia fotela i wróciła do pionu. Jeśli nie zawodziła jej pamięć, konstelacje nie zmieniły się, a i Mały Obłok Magellana Zamoyskiego był na miejscu. Zresztą wystarczy spojrzeć na Smauga: nie rzuca się jej do gardła.

Smaug!

– Właz! – warknęła.

Pofrunął w głąb korytarza.

Odepchnęła się ku ścianie i ułożyła dłoń do makra otwierającego właz. Kątem oka spostrzegła jeszcze, iż Zamoyski leży bez ruchu na pochlapanej krwią podłodze – zapewne stracił przytomność.

Pchnęła palce w ścianę. Nic się nie stało: nie usłyszała huku od stronu włazu.

Mróz przeszedł jej po plecach. Nanomat na Polach porywaczy – zamknięta z nim w tej ciasnej kabinie – mord w zimnym koszmarze – koniec.

Wściekła, odbiła się w głąb korytarza; nieprecyzyjnie wymierzone pchnięcie zapewniło jej dorodne sińce na biodrze i barku.

W mdłym świetle ścian szybu perystaltycznego ujrzała srebrnopiórego Smauga przyczajonego przy zatrzaśniętej grodzi mniej więcej w połowie długości tunelu. Śluza! Kieł uformował śluzę! No tak, mogła się spodziewać; kolejny raz okazała się haniebnie niedomyślna. Dobrze, że Zamoyski nie jest świadkiem tych fajerwerków głupoty.

Wróciła do kabiny. Powtórnie odcisnęła makro. I po chwili ponownie. Po czym pospieszyła sprawdzić szyb. Po trójkruku ani śladu.

Już spokojna, podpłynęła do Zamoyskiego. Leżał pod niezabliźnioną ścianą, ubrudzony po łokcie zasychającą krwią. Wyjęła mu z dłoni i schowała nóż. Nacięcia na przedramionach mężczyzny nie były głębokie; najgłębsze stanowiło jej dzieło. Zawiązała rękawy koszuli wskrzeszeńca. Nie otwierając oczu, mamrotał coś niezrozumiale w jakimś obcym języku; pomimo lekcji ojca Japre, nie potrafiła go rozpoznać.

Potrząsnęła Zamoyskim. Odbili się oboje w powietrze. Zahaczyła stopą o fotel i z wysiłkiem ściągnęła ich w dół.

– Adam. Adam…!

Zamoyski w majaku łapał coś lewą dłonią.

Posadziła go w fotelu, przypięła. Nie odzyskując przytomności, rozsiadł się wygodnie, sięgnął gdzieś w przód, podniósł jakiś niewidzialny przedmiot, zbliżył go do twarzy (powieki nadal opuszczone) i uśmiechnął się lekko.

Blokując się w miejscu stopami, spoliczkowała go z rozmachem. Otworzył oczy.

Pochyliła się, zaglądając mu w nie niczym zaklinacz węży; oburącz schwyciwszy się poręczy, mogła utrzymać równoległą pozycję, jakkolwiek by się wykręcał.

– Posłuchaj mnie. Słuchasz? Nie wiem, jak rozległa jest ta blokada, ale w końcu się spod niej wydostaniemy. W tym samym plancku mózg Kła wskoczy na swoje Pola. Pola należące do porywaczy. Nie wiem też, jak szybko zdołają oni zareagować i w jaki sposób – ale to będzie wyścig. Słuchasz mnie? Musimy zdążyć skontaktować się z Cywilizacją, z Cesarzem, trybunami Loży, Oficjum lub Judasem. A nie możemy tego zrobić poprzez interfejs Kła, transmisja by szła przez te same, prywatne Pola kidnaperów. Rozumiesz? To ty, ty masz w głowie wszczepkę!

– Co…?

– Raz, dwa, trzy – budzisz się, Zamoyski! Musisz wejść na Platea u.

Żachnął się.

– Niby jak?

– Bezpośrednio. Gdy tylko wylecimy spod blokady.

– Jak „bezpośrednio”? Nigdy nie korzystałem z Plateau. Ta wszczepka… – pomacał się po głowie, jakby istotnie mógł ją wyczuć przez czaszkę – uległa zniszczeniu.

– Nie. Atak poszedł po Plateau: wyczyszczono Pola. Siatka konekcyjna została. I mylisz się: korzystałeś z Plateau przez całe miesiące. Teraz po prostu zrobisz to po raz pierwszy świadomie. Patrz na mnie! Zrobisz to! Gdy tylko wyjdziemy na czyste.

– Dajże spokój, dziewczyno, ja takich – – Poddajesz się? Rezygnujesz?

– Co? Nie, po prostu – – No? No?

– J a k m i a ł b y m t o z r o b i ć? – wycedził, już na tyle przytomny, by wzbudzić w sobie zimny gniew. – No powiedz.

Mam go, skonstatowała, i odstąpiła od fotela.

Teraz dopiero naprawdę ścisnął ją lęk – bo w istocie nie posiadała tej pewności: że siatka na mózgu Zamoyskiego wciąż jest sprawna; że zachowała się struktura i programy zarządzające. Pamiętała tylko kilka zdań komentarza poczynionych przez ojca *á propos* skutków ubocznych zamachów. Na dodatek sama nigdy nie korzystała bezpośrednio z Plateau. Dysponowała jedynie informacjami z drugiej ręki.

Adamowi jednak prezentowała twarz eksperta.

– Istnieje kilkanaście standardowych, najbardziej popularnych makr aktywizacji, silnie ukorzenionych w kulturze – jak zakorzenione są makra *savoir-vivre'u*: uścisk ręki, pocałunek dłoni, ukłon. Ponieważ twoja siatka została położona w innym celu, mocno wątpliwe, by seminkluzja uznała za niezbędne grzebać w narzędziowni interfejsu. Zakładam, że pozostał stary default. Tak, masz rację, to wszystko się nawarstwia. Pokażę ci mudry wywoławcze makr. Potem – to już zależy, jakie Pola przypisano twojej siatce. Prawdopodobnie wejdziesz na łąki Gnosis. Przejmie cię SI odźwierna. Ona zajmie się wszystkim. Nawet nie poczujesz. Zrozumiałeś? Zrozumiałeś?

Uśmiechnął się tylko.

– No co? – speszyła się.

– Nic – pokręcił głową. – Pokaż te mudry.

Pokazała mu; a raczej – objaśniła. W większości bowiem były to figury umysłu, nie ciała. Musiała mu zawierzyć, że wykona je prawidłowo. On wierzył jej, że prawidłowo mu je opisuje.

Ciągi skojarzeń, rytm oddechu, wyobrażenie obiektów geometrycznych, napięcie określonych mięśni, tych zazwyczaj niewykorzystywanych…

– Powtarzaj bezustannie – pouczyła go. – Nie wiemy, kiedy miniemy granicę blokady. Krzyknij, gdy wejdziesz.

Czy i teraz się uśmiechnął? Broda zakrywała.

Angelika zacisnęła zęby.

– Zapiszę ci adresy, jakie wyciągnęłam z tego miodowego chłopca. Nauczysz się ich na pamięć. To długie ciągi liter. Dasz radę?

– Ty jakoś zapamiętałaś.

– Uczą mnie tego w Puermageze.

– Czego?

– Tego. Zarządzania pamięcią. Podejmowania szybkich decyzji w warunkach stresu. No już. Wykonuj!

Zrobił taką minę, że tym razem roześmiali się oboje.

W przypadku Zamoyskiego był to śmiech wręcz histeryczny. Usiłował się uspokoić – bez skutku. Wskazywał coś uniesioną ręką – ręka latała mu na wszyskie strony. Chciał złapać Angelikę za ramię – ta odbiła się i poleciała na ścianę gwiazd. Uderzył tyłem głowy o oparcie. Rechotał dalej.

Angelika przestała się śmiać tylko na moment, by wykrztusić:

– No wykonuj!

Po czym z powrotem zgięło ją wpół.

Rozpiął pasy i spadł z fotela – wprost na pociętą ścianę.

– Kar. karm… karmić…

– Co?

– Karmić go trzeba.

– E?

W śmiechu zaniosło go aż na sufit.

Nawet gdy przestał już w ogóle odczuwać rozbawienie, organizm nadal przymuszał płuca i przeponę, wykrzywiał twarz… Śmiech chroniczny.

Ona uspokoiła się wcześniej.

– Co mówiłeś? – wydyszała.

– Jeśli przestanie rozpoznawać świeżą krew.

– Rozumiem.

Odepchnęła się ku przedniej ścianie. Zamoyski minął ją, wracając na fotel. Nacięła sobie palec, ale to okazało się za mało; powtórzyła cięcie nad nadgarstkiem. Wtarła następnie krew w już wypaczony materiał okładziny – spulchnił się od nowa.

– Lepiej, żebyśmy wyszli, zanim wyschną mi żyły – mruknęła.

Adam ponownie zapiął się w fotelu.

– Adresy – przypomniał.

Gdzie notes? Angelika zmarszczyła brwi. Miał go Zamoyski, ale najwyraźniej zostawił z innymi rzeczami na dole – to znaczy w Saku – to znaczy pośród jego pozostałości, gdzieś parseki za rufą Kła, w śmietniku Afryki rozpiętym na fałdach zdewastowanej czasoprzestrzeni.

Wycięła adresy w ekranie po lewej, pod Obłokiem Magellana.

Zamoyski przesunął ku środkowi tarasu kolejny stolik i ułożył na nim, symetrycznie do kamiennej tablicy obok, czarny blok kosmosu z szeregiem szarych liter komponujących się w długie a bezsensowne wyrazy.

– Więc teraz – zaczął – będę odprawiał te czary, aż –

Aż co?

To była chyba krótka utrata przytomności: próbował wstać i zachwiał się. Błędnik raz twierdził jedno, raz drugie. Nieważkość! Jestem na orbicie. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Ze słabo oświetlonego korytarza wypłynęła Nina, wyraźnie czymś zmartwiona.

– Co… – jąkał się – czy ja…

Przywiózł ją tu. Ona go przywiozła. Ludzie McPhersona przywieźli ich tu oboje. Umowę podpisano; umowy nie podpisano. Tu: stacja TranxPolu. Tu: *Sunblock Beta*.

– Powinieneś się w końcu porządnie wyspać.

Ujęła jego głowę w ciepłe dłonie, zajrzała mu z troską w oczy.

– Pić mi się chce – szepnął, przełknąwszy ślinę.

Uni ósł rękę.

– Czy ja mam brodę?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Jakieś lustro…?

– Śpij, śpij…

– Tu niewygodnie. No puść-żesz.

Spojrzał po ścianach. Żadnych zwierciadeł. Ekrany zieją gwiezdną pustką, czerń szlachetna srebrem.

Może ja wcale… Te konstelacje… Ach tak, *Ursa Maior, Ursa Minor, Canes Venatici, Draco…*

Dlaczego w kamieniu? Kto przy zdrowych zmysłach targa na orbitę kamień, by wprawiać weń ekrany? Imitacja, bez wątpienia. Skupił wzrok i spojrzał ponad ramieniem Niny. Jednak kamień. Co więcej – z kamienia był cały ekran, na kamieniu błyszczały gwiazdy. Droga Mleczna niczym biała żyła kreśląca wszerz blok czarnego marmuru. Blok jest spękany, lecz – chciała go powstrzymać, odepchnął ją, podszedł bliżej, dotknął – lecz te pęknięcia układają się w litery łacińskiego alfabetu, dobrze widoczne bruzdy cienia od księżycowej poświaty.

Ugięły się pod Zamoyskim nogi i na powrót zapadł w fotel. Wszystko się zmieniło. Rozglądnął się odruchowo. Po Ninie ani śladu – jeno czyjeś cichnące kroki za kolumnadą, echo spod tarasu. Na najbliższym stoliku leżał przedziwnie rzeźbiony kryształ. Spojrzał nań i nie mógł już odwrócić wzroku. Sak! Labirynty pętli przestrzennych! Angelika! Kieł! Plateau!

Najwyraźniej przywrócony został kontakt, bezpośrednie połączenie sieci nakorowej z przypisanymi Polami. Ale co ja właściwie powinienem teraz zrobić? Czy programy zarządzające Gnosis nie zorientowały się w sytuacji? Dlaczego nie wszedłem na – Idioto! Siedzisz w Pałacu Pamięci, odcięty od świata zmysłów, i jeszcze się pytasz!

W kabinie Kła McPherson karmiła ścianę. Gdy Zamoyski otworzył oczy, Angelika spojrzała pytająco.

– Idę – rzekł jej, po czym podniósł się i pomaszerował za usłużnie wskazującym drogę człowiekiem w liberii w barwach McPhersonów: purpurze i czerni.

Przeszli do obszernego holu, całkowicie pustego. Od czarno-białej szachownicy posadzki strzelały szerokie klosze ostrych dźwięków. Ściany holu były tak odległe, że cień krył je prawie do samej podłogi. Sufitu nie widział Zamoyski w ogóle. Aleję światła wyznaczały dwa rzędy wysokich świeczników. Szli środkiem; wzrok nie sięgał jej końca.

Długo tak? Czas przecież biegnie. Po co te bajeranckie wizualizacje? Nie można się zalogować od razu?

Złapał odźwiernego za ramię, zatrzymał i wyrecytował szybko adresy inkryminowanych Pól.

– Należą do właścicieli Kłów uczestniczących w porwaniu. Wiesz, komu to przekazać?

Odźwierny skinął głową.

– Skąd to opóźnienie? – dopytywał się Adam.

Tamten uwolnił się z uchwytu Zamoyskiego.

– Nie ma żadnego opóźnienia. Archiwizacja została dokonana. Stahs McPherson pana oczekuje. Formalności zawsze zajmują trochę czasu w przypadku stahsów Pierwszej Tradycji.

– Ale nie będę tu ganiał w pętli jak szczur w kołowrotku – wymamrotał Adam z rozpędu. W istocie myślał już o czym innym.

Stahs McPherson pana oczekuje! I archiwizacja. Kiedy? Widzę tylko to, co pchają mi w oczy. Nie Plateau; nie zawartość Pól; nie programy zarządzające nawet. Wygaszacz ekranu raczej, tapeta desktopu, ot.

Zszedł z alei – w półmrok, w cień, w ciemność. Odźwierny go nie gonił, Adam nie słyszał jego kroków.

Doszedł do samej ściany. Co kilkadziesiąt metrów przebijały ją wąskie, wysokie szczeliny, niby strzelnice; między nimi stały posągi smoków. Szczegóły rzeźb kryły tłuste cienie.

Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Jakiś park chyba – hektary i hektary geometrycznej zieleni, ścieżki, żywopłoty, fontanny, jak okiem sięgnąć. Co dziwne, ogród był całkowicie pusty; ni żywej duszy. Kryła go bezgwiezdna

czerń zamkniętego kosmosu, którą Zamoyski dobrze pamiętał z Sol-Portu. Noc? Lecz tu, w ogrodach, jest jasno jak w dzień. Uniósł wzrok i zamrugał, oślepiony. Tam, na wysokościach, szybowały ogniste ptaki. Trudno nawet rozpoznać dokładny kształt kreatur, oczy łzawią, gdy obrócone wprost ku nim. Białe sylwetki rozmywały się w akwarelowe kałuże.

Ciekawe, skąd wyciągnęli ten konstrukt zmysłowy? Czy ma on coś symbolizować? Czy też jest czysto przypadkowy – odruchowe przepięcie z odległych Pól?

Kroki – a jednak. Odwrócił się.

Odźwierny, zgięty w półukłonie, wskazywał drzwi obok. Ponieważ Zamoyski ich przedtem nie zauważył, przypuszczał, że to jakieś nowe połączenie.

Zignorowawszy zaproszenie, sam wskazał odźwiernemu przestrzenie za oknem.

– Tak właściwie… gdzie jesteśmy?

– Dom Cesarski. – A kiedy Adam nie reagował, dodał: – Plateau.

– Domena publiczna?

– W pewnym sensie. To są komnaty Gnosis. A Plateau HS jako takie należy do Cesarza; tym bardziej Dom i Ogrody. To znaczy – w pewnym sensie. Czy mam objaśnić status prawny?

– Dopuszczacie jakieś interakcje? Jeśli na przykład chciałbym się z kimś spotkać…

– Tu znajdują się tłumy, panie Zamoyski, miliony; ale pan ich nie widzi, bo Plateau jest inkluzją Słowińskiego.

– Że jak…?

– Tędy proszę – odźwierny obrócił się ku drzwiom.

Zamoyski podszedł, otworzył. Schody. Wąskie, prowadzące wzwyż, zakończone kolejnymi drzwiami.

Brał po trzy stopnie na raz i u szczytu potknął się, przewrócił. Upadł bardzo nieszczęśliwie, uderzając kręgosłup – prąd przeszedł przez wszystkie nerwy i Zamoyski wstał jakiś rozbity, nie do końca panujący nad ciałem.

Uniósł rękę, nacisnął klamkę.

Drzwi prowadzi ły do głównego holu zamku, w Farstone. Za sobą miał schody do piwnicy, po prawej – szerokie wyjście na taras, po lewej – wysokiego, rudobrodego sekretarza Judasa McPhersona, Patricka Gheorga.

– Proszę – Patrick wskazał ku tarasowi. – Zastał pan stahsa McPhersona przy śniadaniu.

– Czy – – Nasze inkluzje sporządziły już pełny Czyściec.

– Co…? Ale czy informacja – – To już nie ma znaczenia. Sprawy toczą się swoim własnym rytmem. Proszę.

Wyszli na słońce.

Zapamiętał Farstone z wesela córki Judasa i teraz trawnik przed zamkiem wydał mu się absurdalnie wielki i pusty, przestrzeń do wypełnienia, pole dla pamięci: tu tańczyli, tam uderzył głową o pień i stracił przytomność… Tylko niebo i słońce, one były te same.

I może ten półuśmiech Judasa McPhersona, lekkie wygięcie warg, nie szydercze, nie kpiące, nie mające na celu poniżenia interlokutora – lecz mimo wszystko umieszczające go w kontekście wasalnym. Zamoyski jest przecież tego samego wzrostu co Judas, chyba nawet wyższy – jednak podchodząc, czuje się jakby wspinał się do tronu, zadzierał głowę ku monarsze. A przecież na dodatek Judas siedzi, nie powstał na powitanie Adama. Je śniadanie przy stole ustawionym w rogu tarasu, poza tym pustym. (A tu, o, tu McPherson został zabity).

Patrick Gheorg podsunął Zamoyskiemu krzesło. Adam usiadł. Sekretarz skinął Judasowi, po czym odszedł.

Zostali sami. McPherson smarowa ł bułkę masłem, słońce strzelało od jasnej stali noża ostrymi refleksami. Stahs nawet nie podniósł wzroku na Zamoyskiego i ten musiał na własną rękę szukać stosownej konwencji zachowania. Ostatecznie zdecydował się na wymuszoną jowialność. Ułożył sobie serwetę na kolanach, przysunął zastawę, sięgnął po dzbanek. Śniadanie było skomponowane na modłę kontynentalną, żadnych puddingów, których Zamoyski nie znosił. Do niedosłodzonej kawy dolał mleka; parowała w porannym chłodzie. Adam go jakoś nie czuł. Zapewne zbyt wiele adrenaliny.

– Proszę jej przekazać…

Zamoyski uni ósł głowę znad talerza.

– Tak?

McPherson pomasował kciukiem policzek pod lewym okiem.

– To dobra dziewczyna, prawda?

Dziwne pytanie z ust ojca.

– Powiedzmy… zdecydowana – Adam wykonał dyplomatyczny unik.

– Zdecydowana? – uśmiechnął się Judas. – Rzeczywiście, zdążyłem się przekonać. Więc takie jest pańskie pierwsze wrażenie…

– Co mam jej przekazać?

McPherson machnął ręką.

– Nieważne. Zresztą sama panu powie.

– O czym zatem chciał pan ze mną porozmawiać? Mam panu opowiedzieć całą historię? Ile pan wie?

– Dosyć dużo. Zaraz dostanę szczegółowe analizy po drenażu pańskiego Czyśćca. To więcej niż pan sam mógłby mi wyznać.

– Więc właściwie cóż takiego – – Ach, nic nie zastąpi żywej interakcji; nie nam, nie stahsom. Tak naprawdę przecież nie miałem okazji pana poznać.

Zamoyski wsłuchiwał się w słowa Judasa, szukał w jego twarzy dodatkowych sygnałów. Jak interakcja, to interakcja.

McPherson przeżuwał z demonstracyjną swobodą, spojrzeniem krążył gdzieś po blankach zamku.

– Czyżbym istotnie był tak ważny? – pokręcił głową Adam. – Przyczyna wojny i w ogóle…

– Och, pan nie jest przyczyną tej wojny. W każdym razie nie w tym znaczeniu przyczyny, jakie pan ma na myśli.

– Przepowiednia – – Przepowiednia jak przepowiednia – skrzywił się McPherson. Sięgnął po konfitury. – Rwane echa z niepewnej przyszłości.

Zamoyski trawił to, w widoczny sposób skonfundowany.

– Mhm – zamruczał Judas, siorbnąwszy gorącej kawy. – Pan sądził, że to z pana przyczyny Deformanci rzucili się na Cywilizacje?

– Nooo… nie wiem; z jakiegoś. Te wieści ze Studni, no i ewidentna korelacja w czasie – – Ach, prawda! – Judas zamachał srebrną łyżeczką. – Powinienem był pana poinformować. Czas, no tak. Jest trzeci kwietnia. Minął prawie rok.

Zamoyski w irracjonalnym odruchu rozglądnął się po parku i murach zamkowych.

– Tam, w Saku – – Taaak.

Zirytował się.

– Niemniej ktoś uznał za opłacalne porywanie mnie z wnętrza Sol-Portu! O ile wiem, jest to atak bez precedensu. Nie posiada związku?

– Nawet wiemy, kto – uśmiechnął się McPherson. – Cesarz raczył zbadać historię tych Pól, których adresy nam przyniosłeś, oraz struktury ich dzierżawców. Chce pan pomówić ze swym porywaczem?

– Słucham?

– Cesarz ma nu w garści. – A kiedy Adam uniósł brwi: – W przenośni i dosłownie.

Tu Judas zaśmiał się, jakby dla zaakcentowania żartu, którego Zamoyski nie rozumie, nie ma prawa zrozumieć.

– Czyli jednak na coś przydały się te dane… – skonstatował Adam.

– O, bez wątpienia! Phoebe Maximillian de la Roche!

Rozległ się szum, krótka seria ostrych trzasków, nad tarasem wzburzyło się powietrze, niewysoki wir pyłu podniósł się znad posadzki i przesunął ku śniadającym. W trzy uderzenia Adamowego serca wir urósł do prawie dwóch metrów i zestalił się w postać jasnowłosego mężczyzny odzianego w białe kimono.

Judas przełknął, otarł usta.

– Poznaje pan primusa phoebe'u Maximillianu de la Roche'u?

Zamoyski w milczeniu obserwował manifestację, w każdej chwili gotów poderwać się i przeskoczyć balustradę tarasu. Prymarna de la Roche'u gapiła się obojętnie w przestrzeń, znieruchomiała.

McPherson widać dostrzegł napięcie Zamoyskiego – zresztą trudno było go nie dostrzec – bo ze śmiechem pochylił się nad blatem ku Adamowi; nawet wyciągnął do niego rękę, lecz ten cofnął swoją.

– Nie ma się czego bać – wyjaśnił teatralnym szeptem Judas, wciskając przemocą Zamoyskiego w formy konfidencjonalne. – Cały nanoware należy do Cesarza; de la Roche manifestuje się, bo Cesarz wu pozwala. Wiąże nu zresztą silny protokół represyjny.

– Aresztowaliście go… nu?

Judas pokiwał głową.

– Coś w tym guście.

– Całenu?

– Oho, widzę, że Angelika zdążyła pana co nieco uświadomić. Ale naprawdę, panie Zamoyski, może się pan odprężyć, nic panu nie grozi. Cóż onu mogłuby panu zrobić?

Adam niby odwrócił głowę, jednak wciąż popatrywał spode łba na phoebe'u.

– Słyszałem, że nanomancja wyrwała ci kręgosłup – mruknął do McPhersona. – Też pod Cesarzem, pod protokołami.

– Ale że przeformatowaliśmy Cesarza, o tym nie słyszałeś?

– O?

– Tak, tak. Trochę się przez ten czas zmieniło.

– Co się stało?

– Zbyt wiele spontanicznych erupcji danych na Plateau. Dysfunkcje strukturalne.

– Fiksował? Zdiagnozowaliście go?

McPherson westchnął bezradnie.

– A jednak nie dosyć wyjaśniła. Widzi pan, panie Zamoyski, freny z wyższych rejonów Krzywej Progresu nie podlegają analizie w ramach systemów pojmowalnych przez freny niższe.

– Że co, proszę?

– Tak, słowniki, no cóż… nie ma Kodów dla Otchłani – dywagował Judas. – Terminów skomplikowanych, abstrakcyjnych używa się przecież właśnie dlatego, że ich precyzyjnym ekwiwalentem byłaby dopiero setka słów; a czasami i tysiąc nie wystarcza. Tak więc wtajemniczeni, dla oszczędności czasu i czystości skojarzeń, mówią do siebie, *nomen omen*, kodem. Ale ja nie mam czasu ani ochoty przeprowadzać teraz pana inicjacji. Niech pan je, niech pan je, bardzo proszę.

Jadł. Smaki paliły podniebienie z siłą acetylenowych ogni, kubki na języku kurczyły się pod tym atakiem. Nawet kawa – nawet ta kawa była tu kawą podniesioną do potęgi.

– Mmm, więc w końcu dlaczego? To porwanie. I reszta.

Judas skinął na phoebe’u de la Roche’u.

– Zwierzęta – splunęła prymarna.

– Mów, mów – zachęcał ją ruchem dłoni McPherson.

A do Zamoyskiego, znowu szeptem, jakby phoebe istotnie nie mogłu wówczas go dosłyszeć, rzekł:

– Protokół narzuca posłuszeństwo. Powie.

– Ile pamiętasz? – spytał phoebe’u Adam.

– A w jaki sposób ty mierzysz rozmiary własnej niepamięci? – parsknęłu phoebe’u. – Głupiec.

– A jakże, głupiec – mruknął Zamoyski. – Czy pamiętasz zatem, dlaczego aż do tego stopnia pożądałuś mej głupoty?

– Nie widzisz, co on robi? – syknęła prymarna Maximillianu. – Przecież wydrenował mnie do ostatka. Wyjął, co chciał, dodał, co chciał. Pomyśl: nawet jeśli stałum za tym zamachem, czy byłubym taku głupiu, by nie wykasować sobie natychmiast wspomnień zbrodni? Ale ty jesteś całkowicie bezbronny, nie potrafisz się przeformatować, zakłamać swojej manifestacji. I teraz dajesz mu darmo pełną symulację. Patrz! – wskazała wyprostowanym palcem McPhersona: Judas łamał właśnie chleb i nawet nie podniósł wzroku. – Słucha! Obserwuje!

– Oczywiście – skinął Adam. – A ja jego.

– Ale ty nie znasz jego frenu.

Zamoyski coraz wyraźniej czuł się jak aktor, któremu w ostatniej chwili podmieniono scenariusze. Obrócił się do arystokraty.

– Czy pan mnie reprogramuje, stahs McPherson?

– Onu cię reprogramuje – Judas wycelował nóż w de la Roche'u.

– Jedno nie wyklucza drugiego – zauważył Adam. – W gruncie rzeczy wszyscy się nawzajem reprogramujemy, bezustannie.

– Ale nie świadomie – nacisnęłu phoebe – więc co to za reprogramunek? Szum statystyczny. A on usiłuje na ciebie wpłynąć z pełną premedytacją. Przeczytał wnioski z analizy modeli frenu z twojego Czyśćca i teraz realizuje sekwencję presji psychologicznej. Kłamie, oczywiście.

– Kłamie pan, stahs McPherson?

– Bez przerwy – odparł Judas.

– Moju drogu Maximillianu – pokręcił głową Zamoyski – wszak to on cię tu sprowadził; i ciebie wydrenował również, jeszcze wcześniej, jeszcze dokładniej; on i Cesarz i wszystkie policje tej waszej Cywilizacji.

– Zaiste. Rozważ, głupcze, konsekwencje obu ewentualności. Co powiedziane, to powiedziane – przedtem nie zastanawiałeś się nad tymi możliwościami, a teraz już o nich nie zapomnisz. Słowa zostały wyrzeczone – nawet jeśli kłamliwe. A tego nie wiesz. Co zatem zrobił? P r z e p r o g r a m o w a ł c i ę.

Zamoyski przymknął oczy.

– Dosyć – szepnął.

Mo że i istniało wyjście z tego labiryntu, niemniej w tym momencie on go nie dostrzegał. Phoebe Maximillian de la Roche zrobiłu mu wodę z mózgu. Przypomniał sobie, co Angelika mówiła o „bytach postludzkich". Faktycznie, jestem głupcem. Co ja tu właściwie usiłowałem osiągnąć, wyzywa-

jąc na turniej szachowy nadinteligencję XXIX wieku? Z motyką na Słońce…!

– Po co pan nu przywołał? – zapytał McPhersona.

– Sądziłem, że zechcesz wu zadać kilka pytań.

– Po co? Odpowiedzi znasz ty. Ciebie pytam.

Judas zerknął na prymarną phoebe'u. Uśmiechała się wąsko, długimi palcami poprawiając kompozycję fałd kimona.

– Won – warknął stahs, i nanomancja obróciła się w pył, ten zaś zaraz rozmył się w powietrzu do obłoku zupełnie już niewidocznych drobin.

– Pytaj.

– Do czego wu byłem potrzebny?

McPherson spojrzał w szare niebo, kląsnął językiem.

– Pamiętasz tę blondynkę, którą tu znokautowałeś?

– Aha.

– To również była robota de la Roche'u. W istocie starału się o tym zapomnieć, ale Cesarz nu zapisał, zanim zdążyłu sobie wyciąć z pamięci te fakty. Więc trafiliśmy większą część historii spisku. Dzięki tobie, rzecz jasna; dzięki tym adresom.

– Kiedy? Przecież dopiero co – – Licz po a-czasie. Sczytano cię, gdy tylko wszedłeś na Pola Gnosis.

Zamoyski zmarszczył brwi. Rozpaczliwie starał się nadążyć. Których pytań teraz nie zada, pozostaną już nie zadane, nie będzie drugich szans, w każdym razie nie powinien się ich spodziewać. Ile jeszcze miesięcy minie, zanim wrócą do Sol-Portu?

– Jeśli opieraliście się na mojej archiwizacji… skąd pewność, że to nie fałszywka?

– Powiedzmy… było mi wygodnie założyć, że to prawda.

– I ile – pięć minut…?

– Akurat usiadłem do posiłku.

– Niewiele więc zdążyli ci przekazać.

– Fakt. Opowiedz.

– Nie, nie, nie. Ja pytam. Blondynka. Dalej.

– Blondynka. Maria Archer, stahs Trzeciej Tradycji. Niegdyś… przyjaciółka moja. Przed kilkunastoma laty jeden ze Spływów przeszedł niebezpiecznie blisko jej Pól. Cesarz sprawdził: sumy kontrolne niby się zgadzały. W istocie jednak pewna otwarta niepodległa inkluzja bezkodeksowa – teraz

wiemy, że skryty Horyzontalista – korzystając z chwilowego chaosu zdołała się przemycić na te Pola. W ten sposób de la Roche zyskału dostęp do archiwizacji Marii. W przeddzień ślubu Beatrice przydarzył się stahs Archer śmiertelny „wypadek”. Odczytała się już z zapiekłą nienawiścią do mnie i żelaznym planem zgładzenia mi pustaka. Taka była pierwsza część intrygi Maximillianu. Ale, jak zapewne zdajesz sobie sprawę, mord ciała nie załatwia sprawy: równocześnie winnu było zniszczyć bądź zafałszować moje pliki archiwalne. W tym celu musiału wejść na Pola Gnosis. Zadanie ułatwiał wu jednak fakt, iż ten atak mógł już być jak najbardziej jawny. A Horyzontaliści-współspiskowcy z wyżyn Krzywej dostarczyli wu narzędzi. Weszli więc naprawdę głęboko. Diabli wiedzą, może by im się nawet udało. Ale ten wcześniejszy zamach, ten, którego, jak wiem, nie widziałeś, spowodował odruchową aktualizację mojej archiwizacji na moich prywatnych Polach. Szczęście, można powiedzieć.

– A kto był autorem pierwszego zamachu?

– Ba, tego samu biednu Maximillian nie wiedziału. Ale ja zmierzam do czego innego: że de la Roche zdołału podczas owego szturmu transferować na swoje Pola część zawartości Pól Gnosis. Udało się potem Maximillianowu odtworzyć i odszyfrować między innymi raporty z naszej Studni Czasu. Tam wyczytału o tobie; a zindeksowału cię wysoko już na weselu: onu również sądziłu, że stanowiłeś rezerwowy cel zamachu, drugi po mnie; że to nie był przypadek. Skonsultowału więc rzecz z innymi spiskowcami. Po tym nieudanym ataku strasznie cisnął ich czas, to już była spirala determinacji – wyliczyli sobie, że trzeba pójść na całość. Mhm, oczywiście mówię wielkimi skrótami, bo to wszystko słowińczycy i góra Krzywej.

– Skąd Sak?

– Od jakiejś inkluzji, do której chyba jeszcze nie dotarliśmy.

– Zostaliście technologicznie w tyle – pokręcił głową Zamoyski. – Niedobrze.

Wielce to rozbawiło Judasa.

– Masz na myśli Gnosis? Nie wiesz, o czym mówisz.

– O czym mówię? Oni dysponują technologią Saków, my nie.

– Nie myl kategorii: to Cywilizacja.

– Nie rozumiem.

– Nie tłumaczyła ci Angelika Praw Progresu?

– Nie.

– Cóż. Uwierz mi na słowo. Nie zostaliśmy w tyle.

– „My”, to znaczy kto?

– Mówiłem. Cywilizacja.

Judas spostrzegł minę Zamoyskiego. Odsunął talerz, westchnął, otarł usta.

– Widzisz, Gnosis nie jest po prostu firmą handlową, nie ma nawet na celu zarabiania pieniędzy, choć przyznaję, radzimy sobie nieźle. Gnosis jest istotnym elementem Umowy Fundacyjnej; bez Gnosis nie mogłaby istnieć Cywilizacja. Każdy kontakt z Deformantami i innymi Cywilizacjami musi się odbywać za naszym pośrednictwem. Każda informacja, by mogła zostać zamieszczona na publicznych Polach Plateau Cywilizacji HS, musi zostać zaakceptowana przez nas. Każda nowa technologia, zanim zostanie wdrożona w Cywilizacji, musi posiadać *imprimatur* Gnosis. Wszystkie badania naukowe, w szczególności Progres ku UI, drenaże Otchłani i wyścigi inkluzji, odbywają się pod naszą kontrolą. Kontrolujemy handel idący spoza Portów. Cenzurujemy informacje o innych Progresach. Gdyby nie Gnosis, w tym dwudziestym dziewiątym wieku nie znalazłbyś, panie Zamoyski, ani jednego człowieka.

– Zaraz-zaraz, co ty właściwie – – Ja naprawdę nie mam tu teraz czasu, żeby – Adam nie zniósłby kolejnej protekcjonalnej połajanki. Machnął ręką.

– Nieważne – mruknął i odwrócił wzrok. – Z tego wszystkiego jednak wynika, że także akcja de la Roche’u była efektem błędnej interpretacji przecieku z przyszłości.

Stahs wyprostował wskazujący palec, świadomie wybierając pozę mentora.

– Bo tu zawsze trzeba ostrożnie z interpretacjami. Z samej natury Studni wynika cząstkowość informacji. Lecz nawet gdyby były zupełne… Wiemy przecież, że nie my jedni utrzymujemy Studnie. Nie liczę już Deformantów i innych Cywilizacji – ale wiele naszych niepodległych inkluzji zapuściło gdzieś w En-Portach Studnie Czasu. Otrzymują z nich dane, trawią je, uwzględniają w swych grach decyzyjnych. To się z kolei odbija na nas. Czternaście SI Gnosis nie robi nic innego, tylko procesuje drzewa prawdopodobieństw tego systemu wzajemnych sprzężeń „jutro–dzisiaj–jutro”. Pytasz, czy jesteś przyczyną wojny? Ha!

Zamoyski dopił kawę, odchylił się na oparcie krzesła, oparł dłonie o blat.

– W jednym de la Roche miału rację: ty mnie jednak jakoś programujesz. No bo po co ta rozmowa? Nie musiałeś mi tego wszystkiego mówić. Ja też nie muszę ci niczego opowiadać: możesz pogadać z moimi symulacjami czyśćcowymi, jeśli tak to się zwie. Więc? Co takiego zyskujesz? Informację? Nie sądzę.

– Mówisz to wszystko na głos.

– Wiem. Do ciebie. Tak sobie myślę, jak to było naprawdę… – Adam wodził opuszkiem palca po krawędzi blatu. – Tak sobie myślę… Ty tymczasem, w ciągu tego roku, otrzymałeś kolejny przekaz ze Studni, Studni Gnosis, Horyzontalistów czy innej. Otrzymałeś, prawda? Wyciągnąłeś z niego wnioski i nagle postanowiłeś zyskać moją sympatię. Ale że ktoś taki jak ty nie może się po prostu zaprzyjaźnić z kimś takim jak ja… Zacząłeś od tego śniadania. Okazja zresztą sama się nadarzyła. – Zamoyski westchnął głośno tyleż z rezygnacją, co z niesmakiem. – A cała reszta to wata.

– Tak, tak, oczywiście – przytaknął z roztargnieniem Judas. – Zauważyłeś, że mówimy sobie po imieniu? – Wytarł dłonie i odsunął się od stołu. – Skoro mnie tak pięknie przejrzałeś, zapewne równie szybko wmówisz w siebie niechęć do mnie, co? Na pewno ci się uda. O, już wróciły. Chodź, chodź, nieszczęsna ofiaro mojej przyjaźni.

To straszne: Zamoyski czuł w tym momencie, że naprawdę mógłby się zaprzyjaźnić z tym mężczyzną. C h c i a ł tego.

Słowa zostały wyrzeczone – nawet jeśli kłamliwe.

Zeszli z tarasu i ruszyli ku stajniom. Okrążyli wschodnie skrzydło, podążając brzegiem stawu. (Tu ciskałem kamienie).

McPherson szeptał w powietrze w nieznanym języku: komendy, pytania.

Konie powitały go uprzejmym „dzień dobry”. Zamoyskiego obrzuciły pustymi spojrzeniami. Amazonki szczotkowały ich sierść. Czy nie powinna się tym zajmować służba? Może lubiły je szczotkować. Widział mężczyznę w roboczym ubraniu, przerzucającego widłami siano. Zapach siana był jak bukiet starego wina: ciężki, zawiesisty, zawilgacający powietrze, przesączający się zatokami do mózgu. Kiedy to… ile lat… Czy jeździłem? Woń końskiego potu. Zakręciło mu się w głowie.

– A więc to pan jest tym Adamem Zamoyskim. Nareszcie. Chyba powinniśmy… Przepraszam. – Odprowadziła swojego wierzchowca do boksu. Skarżył się sarkastycznie; uspokoiła go, klepiąc po karku. Wróciwszy do

Zamoyskiego, zdjęła rękawiczki i rozpuściła włosy. Sięgały jej niżej ramion. – Angelika McPherson.

Uścisnął jej dłoń.

– Miło mi.

– Jak słyszałam, ostatnie pół roku spędziłam z panem, i to na jakichś szalonych pozaportowych wojażach.

– Z pani strony w istocie zaledwie parę dni.

– A z pana?

– Miesiąc, dwa. Ale w gruncie rzeczy też dni.

Obejrzał się na Judasa. McPherson posłał mu ponad grzbietem wierzchowca żony rozbawione spojrzenie. Rozmawiał z nią półgłosem i zaraz odwrócił głowę.

Angelika tymczasem przyglądała się badawczo Zamoyskiemu. Najwyraźniej oczekiwała bardziej zdecydowanej reakcji. Podeszła była doń wystarczająco blisko, by wymusić ją samym milczeniem.

Adam zaś ważył w myślach podejrzenia. Czy Judas wtajemniczył ją w swój plan? A może tak samo „zaprogramował”? A może – może to te podejrzenia Zamoyskiego są efektem piętrowego reprogramingu…?

– Sądziłem, że uczy się pani w Puermageze.

– Puermageze przestało być bezpieczne.

– Tak, rzeczywiście, trochę tam, mhm, podziurawili okolicę.

– Musi mi pan o mnie opowiedzieć.

Ujęła go za łokieć, pociągnęła. Przez Zamoyskiego przetoczyło się wgniatające w ziemię *déjà vu*. Bezwolnie pozwalał się prowadzić. Przełykał gorzką ślinę. Ciało go słuchało z doskonałą uległością, poddawało się kolejnym odruchom.

Boczną klatką schodową wspięli się na drugie piętro. Nie pytał, dokąd właściwie idą. Pytał ją, co porabia. Rozwodziła się nad politycznymi niuansami sytuacji oraz pozycją Gnosis i McPhersonów; widać był to tutaj dyżurny temat towarzyskich pogaduszek.

Po drodze Zamoyski zauważył charakterystyczną płaskorzeźbę: ten sam herb i to samo motto, co w głównym holu. Teraz uderzyła go dwuznaczność owego zawołania. *Unguibus et rostro*. Istotnie, cała ta potęga zasadza się na szponach, zębach, kłach.

Angelika dostrzegła jego rozbawienie.

– Co?

Wskazał herb na ścianie.

– No tak – przyznała – szpan odrobinę konkwistadorski.

– A czy nie taka jest rola Gnosis?

– Konkwistadorów? Gnosis nikogo nie ograbia.

– Macie monopol na obce złoto. Jeśli mogę się tak wyrazić.

Niepostrzeżenie rozmowa obsunęła się z na poły żartobliwej pogawędki w dyskusję serio. Angelika zmieszała się. Nie bardzo jeszcze potrafiła odczytywać manifestację tego mężczyzny.

Bo, jak uczy ojciec Praigne, zawsze wchodzimy w interakcje tylko w i poprzez manifestacje, czy byłaby to zawiadywana z Plateau nanomancja, czy oryginalne ciało stahsa Pierwszej Tradycji.

– Uświadom to sobie, dziecko – mówił ojciec Praigne – to jest ci ało, to nie jesteś ty. Oczywiście, to t w o j e ciało, przez nie odczuwasz i je dajesz odczuć. Nim się rozpoznajesz jako jednostka, ponieważ frenu zobaczyć nie można, a identyfikujemy się zawsze przez kontrast. Jednak gdyby ci je odjąć, nadal pozostałabyś Angeliką McPherson. To po prostu kolejna warstwa ubrania, tylko że rzadziej wymieniana i wrażliwa na bodźce.

– Upraszcza ojciec.

– Oczywiście. Mówię. Manifestuję. Muszę upraszczać. Daję ci tylko ziarno idei. Sama musisz je zasadzić, podlewać, pielęgnować.

Nie bardzo jej to wychodziło. Popadła w dziwną hipokryzję: doskonale zdawała sobie sprawę z błahości cielesnych manifestacji innych osób – tak ją wychowano, i potrafiła patrzeć „poprzez” to, co fizyczne, podświadomie rozdzielać kształt tymczasowy i esencję bytu – a jednak sama myślała o sobie jako o tej cielesnej manifestacji.

„Kto?” „Ja”. I obraz pod powiekami: opalona dziewczyna o długich kończynach, ciemne włosy przesłaniają twarz.

Pod spojrzeniem lustra jeszcze dobitniejszy: czarownica błotna, słoniobójczyni. Ikona fizycznej formy.

Aż weszła do medycznej celi Puermageze, by dokonać corocznej archiwizacji, usiadła w fotelu, jeszcze spocona po biegu od oceanu, ojciec Floo podał jej szklankę, wypiła, nanosok był chłodny, lekko kwaśny, oddała szklankę jezuicie, rozmawiali jeszcze przez chwilę, wytarła twarz w materiał T-shirtu – i wypadła, krztusząc się galaretowatą mazią, na posadzkę piwnicy, pod opróżnianym z parujących cieczy zbiornikiem, naga, trzęsąca się w niekontrolowanych dreszczach. Jacyś mężczyźni próbowali ją pod-

nieść. Przerażona, chciała uciec, odsunąć się… Podnieśli ją bez trudu, bezsilną, nie panowała nawet nad oddechem i ruchami gałek ocznych. One zresztą pierwsze poddały się umysłowi, już po kilku sekundach. Mogła wówczas na dłużej skupić spojrzenie na poszczególnych osobach. W tym, który szedł obok i dwa kroki z przodu, wpółobrócony do niej i coś nieustannie mówiący, ze zdumieniem rozpoznała ojca. Widywała go często w telewizji w Puermageze, więc nie miała wątpliwości, kto to jest: Judas McPherson. Pod czaszką seria eksplozji: naga – okryć się – wyprostować – tato – Farstone – nie okazywać radości. Kiedy ostatnio się z nim widziała? Boże, jak dawno – miała wtedy sześć, siedem lat. To otchłań. Właściwie nic nie pamiętała. Coś jej przywiózł w prezencie – co? Słodycze, ubranie? Zabrał ją na spacer po okolicy Puermageze. Była wtedy pora deszczowa, daleko nie zaszli. Chyba płakała.

Jeden z tych, którzy ją prowadzili (cała procesja wędrowała tak w kółko między zbiornikami) przycisnął jej coś po kolei do uszu i zaczęła słyszeć.

– …z Adamem Zamoyskim, wskrzeszeńcem z dwudziestego pierwszego wieku. Ponieważ otworzyliśmy Wojny, należy położyć krzyżyk na wszystkim, co nie było wówczas zakraftowane. Niemniej teoretycznie jest możliwe, że będziesz musiała syntezować freny. Zważywszy na powyższe, nie ma już większego sensu odsyłanie cię z powrotem do Puermageze.

Puermageze!

– Ykch! Ykkkch! Yyyrch…!

– Powoli, powoli, już, wypluj to. Wyplułaś? Wypluj! Walnij ją który!

– Krch! Iii-ii… ileeee…? – wyjęczała, walcząc z językiem i strunami głosowymi.

– Ponad pięć miesięcy – odparł natychmiast ojciec. – Rzeczywiście, spora strata. Powinienem był nalegać na częstsze archiwizacje.

Dojrzała swe odbicie na powierzchni jednego z mijanych zbiorników. W środku unosił się rudowłosy mężczyzna z zarostem na twarzy. Zdała sobie sprawę, że identyczna jest zawartość wszystkich zbiorników dokoła. W każdym razie drugiej Angeliki nigdzie nie dostrzegła – z wyjątkiem właśnie tej w odbiciu: pokrytej lśniącym śluzem kobiety o bardzo bladej skórze. Muszę się opalić, pomyślała. To ja zabiłam słonia, pomyślała. Cóż za żałosna manifestacja, pomyślała.

Wówczas nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz to właśnie był moment radykalnej rekonfiguracji jej frenu i rozerwania tożsamościowego przypo-

rządkowania:

TA DZIEWCZYNA → JA

Dopiero nazajutrz, po przebudzeniu w jedwabnej pościeli dębowego łoża w przydzielonych jej apartamentach Farstone, gdy podeszła do okna i spojrzała z wysokości drugiego piętra na dziedziniec, korty i park (świeciło przez chmury blade słońce, kałuże z nocnej ulewy lśniły na drodze), wtedy dopiero pochwyciła rzecz w słowa:

– To nie ja.

Potem wyczytała, iż rzecz posiada nawet nazwę: transcendencja frenu. Dziecko przecież nie od początku kojarzy siebie ze swoim ciałem, ciało z imieniem, fren z tym, co widzi w zwierciadle. Dopiero po jakimś czasie zaczyna mówić w pierwszej osobie: „ja”. A teraz następuje odwrócenie tego procesu – oderwanie „ja” od ciała, od jakiejkolwiek manifestacji. Phoebe’owie pochodzący od stahsów często przywoływali owo doświadczenie jako pierwszy bodziec popychający ich do przekroczenia Progu.

Czy ja też pójdę w górę Krzywej? – zastanawiała się w zdumieniu Angelika. Czy o to chodziło ojcu Praigne? Niemożliwe.

Ale przecież często i coraz częściej łapała się na odruchach i uczuciach, które przed odczytaniem i implementacją w nowego pustaka nie miałyby do niej w ogóle dostępu. Więc alteracja nastąpiła. Teoria to zresztą przewidywała: każdorazowe wdrukowanie struktury w mózg wnosi kolejny element niepewności, czynnik chaosu.

Zwierzała się matce:

– Teraz to już wszystko wzięte w cudzysłów. Skoro cokolwiek by się stało…

– Ee, nie przesadzaj.

– Ale tak! Naprawdę! No bo dlaczego miałoby mi zależeć? Takie wrażenie, zwłaszcza wieczorami, gdy jestem zmęczona, i tuż po przebudzeniu: cały świat na końcu bardzo długiego tunelu; patrzę przez odwróconą lunetę. Nie tylko wzrok, ale także reszta zmysłów. Albo ból. Nadwerężyłam sobie wczoraj nadgarstek podczas tenisa z Moetlem. I co?

– No? Może cię nie boli, hę?

– Taa, ty się śmiejesz. Dziękuję bardzo.

– Uraziłam cię, co? Obrażona. I jak, poczułaś natychmiast, prawda?… Doprawdy, tragizujesz infantylnie.

– Wiem, że są plusy: większy luz, zero napięcia… Ale – – Chodź. Zabieram cię na przejażdżkę.

– Nie – – Chodź, chodź. Jeździłaś już ze mną i dobrze ci to robiło. Konie cię lubią.

– Ach, o n a.

„Ona” nawiedzała wyklute z jedwabiu sny Angeliki. Istniały szczegółowe skany wesela Beatrice (także nagrania z lotu do Puermageze) i Angelika przeszła je całe krok w krok za sobą i, potem, za Zamoyskim.

Zamoyski wydawał się jej człowiekiem bardziej godnym litości aniżeli jakiegokolwiek innego uczucia. Ten jego pijacki wdzięk, nieporadność ruchów, toporność barczystej sylwetki, no i sposób, w jaki reagował na jej słowa w drodze do Afryki… Widziała to wszystko jasno i wyraźnie. Z pewnością nie traktowałaby go, jak traktowała go „ona”.

Teraz natomiast, twarzą w twarz z jego manifestacją… Litość była całkowicie poza zbiorem możliwych reakcji. Zamoyski wymuszał już zupełnie inną konwencję i Angelika czuła niemal fizycznie, jak się w nią zapada.

Niektóre osoby – Judas, ojciec Frenete – samą swą obecnością odkształcają przestrzeń konwencji, tak mocno, że ktokolwiek za bardzo się zbliży – nieuchronnie ulega oddziaływaniu owych supermas i skręca w wyznaczaną mu przez nie nową orbitę.

– Monopol na złoto – odparła – posiadają inkluzje otwarte. My tylko rozpaczliwie bronimy się przed klątwą Midasa.

– A ci, co się nie obronili – to kto? Deformanci?

Pokręciła głową, przeskakując już po dwa stopnie.

– Progresy zredukowane do trzeciej tercji – odparła, nie oglądając się.

Popędził za nią, ale i tak zostawiła go w salonie, ledwo mignąwszy w drugich, wewnętrznych drzwiach.

– Wybaczy pan, minutka.

Okna wychodziły na tyły zamku. Jacyś ludzie ćwiczyli tam szermierkę, w większości półnadzy. Dopiero po dłuższej chwili Zamoyski spostrzegł, że walczą bronią ostrą. Był to rodzaj szpad, może rapiery. Jedno z okien pozostawało uchylone, lecz nie słyszał żadnych pokrzykiwań – tylko szczęk metalu.

Jeszcze dalej, za dziedzińcem, znajdowały się korty, kryty basen, rozległy parking; obok zakręcała droga do prywatnego lotniska. Stąd odleciałem do Puermageze. Angelika mówiła, że – – Przepraszam. Już jestem. Napije się pan czegoś.

– Whiskey.

– Wygląda pan na trochę, mhm, sponiewieranego.

– Faktycznie, rzuca tam nami nielekko. Dziękuję. Mmm. A-a, nie: zjadłem śniadanie z pani ojcem.

Spojrzała nań dziwnie.

Ręką ze szklanką wskazał dziedziniec.

– Kto to?

– Patrick.

– Mhm?

– Patrick Gheorg, moju kuzyn, McPherson.

– Który? Ten?

– Wszyscy. Układa nowe pustaki.

Zamrugał, przyglądając się im pod słońce. Fakt, byli do siebie podobni.

– Nie jest stahsem – dodała Angelika, usiadłszy w fotelu. – Czarna owca w rodzinie. Ale ojciec nu lubi. Zresztą, idealny sekretarz powinien móc się rozdwoić w potrzebie, nie sądzi pan?

– Musi to być nielicha potrzeba – mruknął Zamoyski, rzucając ostatnie spojrzenie na legion szermierzy.

– Nie da się ukryć, skomplikowana sytuacja, czas przesileń.

– No więc właśnie – sapnął, również usiadłszy; szklankę postawił na udzie. – Może mi pani wreszcie… Judas, zdaje się, taką rolę pani wyznaczył.

– Guwernantki? – uśmiechnęła się.

– Błyszczki.

– O?

– Wie pani, na ryby, zarzuca się wędkę – zademonstrował – i przy haczyku – – Pijany? Już?

– Ładna sukienka.

– Dziękuję. Patrick, z łaski swojej, sprawdź błony Pól transmisyjnych pana Zamoyskiego.

– Do kogo to było?

– Patricku Gheorgu.

Zamoyski odruchowo rozglądnął się.

Parsknęła śmiechem – ale nie kpiąco; nawet jakoś sympatyczny i rozluźniający zdał mu się ten śmiech.

– Mówiłam, że nie jest stahsem.

– O co chodziło z tymi błonami?

– Sposób, w jaki korzysta pan z Plateau – Otworzyły się drzwi i do środka wpadł zdyszany trzydziestokilkuletni mężczyzna w niekompletnym garniturze z białej bawełny: bez marynarki, za to w kamizelce. Rękawy jedwabnej koszuli miał podwinięte i Adam momentalnie zwrócił spojrzenie na jego prawe przedramię. Oplatał je kolorowy tatuaż: smok. Bardzo podobne stwory widział Zamoyski na sztandarach i zastawie weselnej – no i na tym herbie.

– Moetle – zmarszczyła brwi Angelika – co ci się, u diabła – Moetle patrzył na Zamoyskiego.

– Właśnie usłyszałem. Dobrze, że zdążyłem. Musimy porozmawiać.

– To jakieś hasło, czy co? – zirytował się Adam. – Powinienem znać odzew?

Przez otwarte drzwi zajrzału Patrick Gheorg.

– Na Plateau w normie – rzuciłu, po czym cofnęłu głowę.

Zamoyski, do reszty zdezorientowany, zazezowa ł smętnie do wnętrza prawie pustej szklanki.

– Właśnie przypomniałem sobie, że jestem alkoholikiem.

– O to mi chodzi! – zakrzyknął Moetle i podszedł do fotela Zamoyskiego. Usiłował zajrzeć mu w oczy; nie udało się. Wobec tego przykucnął i przechwycił spojrzenie przeznaczone szklance. – Pan sobie przypomniał, prawda?

– Co?

– Wszystko! Prawda?

– Moetle… – mitygowała go Angelika.

Machnął na nią ręką, nie obejrzywszy się nawet. Nie spuszczał wzroku z twarzy Zamoyskiego.

– Mogę spróbować – mruknął ten – sobie przypomnieć – – Świetnie!

– … za pewną opłatą.

Moetle ’owi zrzedła mina.

Angelika puściła oko do Adama.

– Pan Zamoyski zaczyna się asymilować.

Moetle poderwa ł się, uniósł ręce i oczy ku sufitowi, wykonał jakiś błagalny rytuał do rytmu basowego murmurando, podreptał do drzwi i z powrotem, po czym z ciężkim westchnieniem przysiadł na oparciu biedermayerowskiej kanapy.

– Dobra – sapnął – wal.

– Mhm?

– Sumę, człowieku, wysokość tej opłaty.

Zamoyski żachnął się.

– Nawet nie znam obowiązującej waluty!

– No to o co ci, do cholery, chodzi?

– Och, takie tam duperele – burknął Zamoyski w szkło. – Obywatelstwo. Kawałek tego Plateau. Parę sekretów. – Zerknął w lewo. – Mogę się sam obsłużyć?

– Proszę bardzo.

Barek był zaopatrzony w trunki, o jakich nigdy nie słyszał – alkohole spod obcych słońc, z innych Portów, innych fizyk… Dłuższą chwilę strawił na lekturze etykiet. McPhersonowie za jego plecami wymieniali monosylabiczne uwagi. Dał im czas.

Kiedy wrócił na swoje miejsce, Moetle pozorował kamienny spokój.

– To są absurdalne żądania. Wszystko, co masz w głowie, znajduje się też w twoich archiwizacjach.

– Co ja mam w głowie… – zanucił Zamoyski. – Mam te wasze fałszywki, karierę emerytowanego zdobywcy kosmosu – w ilu ja negocjacjach handlowych nie uczestniczyłem…! Fałszywki, jak mówię; ale pamiętam. Więc może oszczędź mi tych amatorskich blefów i przeskocz od razu trzy stopnie wyżej? Gdybyś miał dostęp do tamtych archiwizacji, nie byłoby tej rozmowy. Kombinujesz prywatnie, za plecami Judasa. Płać.

Angelika przeniosła wzrok z Adama na Moetle’a.

– Twój serw.

– Za plecami Judasa! – parsknął Moetle. – Dobre sobie! Słyszałuś, Patrick?

– Aha! – zakrzyknęłu Patrick Gheorg McPherson z korytarza obok.

– Zbyt wiele sobie wyobrażasz. To nie jest żaden spisek wewnątrzfamilijny. Ja po prostu muszę wiedzieć.

– Co?

– To, co mi wtedy powiedziałeś.

– Kiedy?

– Więc nie pamiętasz, tak?

– Nigdy wcześniej nie widziałem cię na oczy – zarzekł się Zamoyski i pociągnął głębszego.

Moetle wskazał na jego szklankę.

– Upiłem cię. Upiłem cię w trupa. To wiem od twojej nadzorczej SI. Filtrowała cię; złamałem protokół Soydena.

– Ją pytaj, co powiedziałem.

Pokręcił głową.

– Niestety. Sam to z niej wymazałem.

Zamoyski przybrał minę rozczarowanego kretyna. Nic nie rzekł, gapił się tylko tępo na Moetle'a, ręka instynktownie kolebała szklanką z alkoholem.

Angelika zaczęła się śmiać. Był to ten sam śmiech – wysoce zaraźliwy, z głębi przepony – który tam, w Kle, trzymał ich oboje przed długie minuty w żelaznym uścisku.

To już nie déjà vu, pomyślał Adam, to schizofrenia rzeczywistości.

– Niesamowici jesteście – wykrztusiła wreszcie. – Dobraliście się jak w korcu maku.

– Ta, trzech takich jak nas dwu nie ma ani jednego.

– Co za problem – mruknął Zamoyski – bierzemy pustaki, włączamy kopiowanie, i siup.

Śmiała się dalej.

– No już – klepnęła wreszcie Moetle'a w plecy – wyspowiadaj mu się ze swojej głupoty.

Ten zaklął tylko.

– A niezgłębiona ona jako morze – zakończyła Angelika na wysokiej nucie, po czym zwróciła się do Zamoyskiego. – Uważał, że go Judas nie docenia, że go lekceważy, że mógłby stać w Gnosis wyżej. Słowem: Szekspir korporacyjny. No i usłyszał, biedny dureń, o zagadce „Wolszczana" i dźgnęła go ostroga ambicji. Pokaże, co warta! Gdzie zawiodły wszystkie inkluzje Gnosis, on da radę! Co, nie tak było? Moetle? Puszczałeś nosem testosteronowe bańki.

– Siostra, uważasz, cioteczna – zwierzył się Adamowi Moetle. – Czy też prababka, zależy, jak liczyć. Zna mnie ledwo od pół roku, a opowiada mi moje sny, zanim jeszcze sam je prześnię.

– Kobiety – przytaknął mu Zamoyski – to systemy o wyższej złożoności: one nas łatwo analizują; my ich – nie potrafimy.

– Wyżyny Krzywej – kiwał głową Moetle.

Angelika przysłuchiwała się im z jawną fascynacją.

– Jak dzieci, jak dzieci, no jak mali chłopcy pod schodami…

Ale w tym momencie Moetle McPherson i Adam Zamoyski byli już starymi kumplami. Tylko wymienili spojrzenia.

– W każdym razie – podjęła – zabrał się za ciebie ostro. I najwyraźniej czegoś się dowiedział, bo wziął na własny kredyt trójzębowca i odleciał z Sol-Portu. No i słuch po nim zaginął: żadnego ruchu na jego Polach od bodaj roku. I teraz go gryzie: jaką to śmiercią był umarł?

Zamoyski z komicznym zdumieniem przyjrzał się pod światło złocistej cieczy.

– Zaiste, wielka a tajemna jego moc.

– To nie tylko alkohol – parsknął Moetle. – Alkohol to była przykrywka SI, ja tam wykombinowałem coś innego. Gdyby to była kwestia jedynie odpowiedniej stymulacji chemicznej… Jak sądzisz, czemu bez przerwy chodziłeś na rauszu, podkręcony, jedną nogą w delirce?

– Prawda – przytaknęła Angelika. – To są meandry kognitywistyki. Możesz mieć na Plateau pełną archiwizację, ale to jeszcze nie daje ci dostępu do wszystkich informacji zawartych w sczytanym umyśle. Puścisz go w czasie, przeprocesujesz we wszelkich możliwych warunkach i masz pełny Czyściec: kompletny modelunek frenu i pamięci. On ci pokaże prawdopodobny behawior delikwenta. Ale też zawsze jedynie do marginesu jakiegoś procenta, promila. Zawsze pozostaje coś pod horyzontem duszy. Dobrze mówię, Moetle?

– No ale teraz słyszę, że sobie przypomniał!

– Noo – zawahał się Zamoyski – tamtej naszej rozmowy na pewno nie.

– Nieważne. Co się udało raz…

– Popraw mnie, jeśli się mylę – Zamoyski wycelował palec w McPhersona. – Ty jesteś z archiwizacji wcześniejszej. Więc nie ma żadnej gwarancji, że drugi raz twoje rozumowanie poszłoby tą samą ścieżką. Poza tym… co tak naprawdę kryje się za tą ciekawością? Mhm? Poleciałbyś tam raz jeszcze? Niee; sekretarz Judasa słucha. Zatem? Jaka korzyść? Tak się zastanawiam… Co ty tu robisz w Farstone, Moetle? Czyżby kara? No bo jesteś stahsem, prawda? Ohoho, nie rób takiej miny! Przecież widzę: tatuś przesu-

nął cię do rezerwy, a ty teraz na powrót usiłujesz wkupić się w łaski, udowodnić przydatność. No więc wkup się wpierw w moje i fundnij mi obywatelstwo.

– Jaki cwany.

– Dziękuję.

– Trochę popił i prawdziwy Sherlock Holmes. A może mnie nie stać na wykup obywatelstwa?

– E-tam. Było cię stać na trzy Kły.

– Sam mówiłeś, że się nie znasz na współczesnym rynku.

– To także kupuję: wiedzę.

Angelika pochyliła się ku niemu.

– Ale naprawdę – przypomnisz sobie? – spytała już poważnie, bez uśmiechu.

Na takie *dictum* mógł tylko wzruszyć ramionami i odwrócić wzrok. Czy sobie przypomni? Przeszuka Pałac i może znajdzie; są duże szanse. Z drugiej strony – i tego nie zamierzał już mówić na głos – był prawie pewien, że ta cała sprawa nie ma większego znaczenia, albo też Judas zna już odpowiedź na pytania Moetle'a. Jedno z dwojga, a prędzej to drugie – bo podczas śniadania szef Gnosis nie zająknął się o tej tajemnicy ani słowem.

Swego czasu Judas pozostawał co prawda chyba autentycznie zainteresowany losami „Wolszczana". Po cóż innego trzymał był tu Zamoyskiego? Po co kładł mu siatkę na korę, przydzielał seminkluzję, szpikował pod przykrywką alkoholizmu modulatorami świadomości? Potem wszakże odesłał do Puermageze. No ale może po wiadomości ze Studni i po zamachu (zamachach!) nie miał wyjścia. W każdym razie o transakcji Adama z Moetle'em dowie się w tym samym momencie, w którym zostanie ona zawarta. A pewnie jeszcze wcześniej; najpewniej – już wie.

– Cóż – mruknął Zamoyski – nie żądam zapłaty z góry.

– A ty, wariacie – Angelika zwróciła się do Moetle'a – nie chcesz chyba rzeczywiście lecieć tam po raz drugi?

– Daj spokój, Wojny wszędzie wokół nas.

– No właśnie – wtrącił się Zamoyski – co z tymi Wojnami? Jeśli my zostaliśmy pochwyceni przez Deformantów zaraz po wyjściu z Sol-Portu, a na Deformantów z kolei runęły Wojny – to gdzie my, ja, gdzie ja teraz się znajduję względem Sol-Portu? W którą stronę on zmierza? Jeśli będę znał wasz kurs od momentu położenia blokady Plateau, może was jakoś dogonię. Co?

Wymienili niewesołe spojrzenia. Nie wróżyło to nic dobrego. Adam skinął dłonią, żeby powiedzieli na głos, pochylił się ku nim.

– Mhm, to i tak nic by nie dało – mruknął wreszcie Moetle. – Sol-Port nie otwiera się od pierwszych ataków Deformantów. Czyli już siódmy miesiąc. Pełna izolacja. Tu akurat Rada ma rację: nie możemy ryzykować. Zresztą wszystkie Porty Cywilizacji przyjęły taką taktykę. Wojny na zewnątrz, my wewnątrz. Jesteśmy w końcu samowystarczalni. Trzeba przeczekać.

– No pięknie! – prychnął Zamoyski.

Odstawił szklankę, wstał. Podszedł do okna. Nadal się pojedynkowali, chociaż było ich już chyba trochę mniej – Patricków Gheorgów McPhersonów.

– Patrick! – zawołał.

Sekretarz Judasa pojawiłu się w progu.

– Cesarz przejął te Pola, prawda? – spytał nu Adam. – Te, które wskazałem.

– Oczywiście.

– Kto je ma teraz w zarządzie? Czy jak to się nazywa…

– Oficjum.

– Hę?

– Organ śledczo-represyjny Loży.

– Niech będzie. I co to Oficjum – swoją drogą, skąd wy bierzecie te nazwy? – co to Oficjum włożyło na Pola Kła? Jaki jest plan jego lotu?

– O ile wiem, bardzo prosty: wyciągnąć was poza zasięg Wojen i rozpędzić do relatywistycznej, aż się wszystko uspokoi. Wtedy przyjmie was najbliższy Port.

– Rzeczywiście, proste. Jakieś przewidywania co do daty Wielkiego Uspokojenia?

– Toczą się rozmowy.

– Rozmowy?

– Między stronami konfliktu.

– A właściwie jaki był *casus belli*?

Patrick zapadłu się z westchnieniem w jeden z foteli.

Zamoyski przymknął okno i przysiadł na parapecie, by mieć ich wszystkich na oku.

– No? – nacisnął.

– A jak zwykle zaczynają się wojny? – skrzywiła się Angelika. – Sprzeczne doniesienia, wzajemne oskarżenia. Oni nas obwiniają o kradzież paru tysięcy Kłów – idiotyczne oskarżenie; my mamy pretensje o ten atak *à la* Pearl Harbour – – Jenu pytałem – Zamoyski wskazał Patricku.

Patrick odpowiedziału, tyle że nie na to pytanie.

– Stahs Judas McPherson został poinformowany o przedstawionej panu przez stahsa Moetle'a McPhersona propozycji i oświadcza, iż jest gotów sam zapłacić taką cenę za informacje o celu wyprawy stahsa Moetle'a.

– No to już jest chamstwo! – warknął Moetle i wybiegł z pokoju.

Adam odprowadził go wzrokiem.

– Zrobił mu na złość?

Angelika wzruszyła ramionami.

– Ma w tym jakiś cel, to na pewno.

Patrick podrapału się w grzbiet nosa.

– Nieraz się przekonałum, że ludzie demonizują inteligencję Judasa. Na litość boską, to stahs. Siłą rzeczy kieruje się raczej intuicją. Mogło mu po prostu nagle przyjść do głowy; przypomniał sobie i wysunął propozycję. No więc jak będzie?

– Powinienem podpisać jakąś umowę?

– Nie trzeba. Cesarz słucha. Ale jeśli nalega pan na formę pisemną… bardzo to sobie cenimy.

– Nie. Zgadzam się.

– Okay.

Czas jakiś milczeli. Angelika obserwowała Zamoyskiego spod dłoni, o którą oparła czoło (siedziała dokładnie naprzeciwko okna). Patrick Gheorg masowału leniwie przegrodę nosową; wreszcie podniosłu się i ruszyłu do drzwi.

– Co, już? – zdziwił się Zamoyski.

– Umowa? Tak. Może pan sobie zacząć przypominać. – Sekretarz uśmiechnęłu się enigmatycznie i wyszłu.

Zostali sami, Angelika i Adam.

Na szczęście wleciała do salonu mucha. Głośno bucząc, krążyła pod sufitem, czyniąc nieregularne wypady w niższe rejony. Wodzili za nią wzrokiem.

– Wygląda więc, że niezbyt szybko się spotkamy – rzucił Zamoyski, obracając głową za owadem.

– No ale przynajmniej będzie pan wtedy obywatelem Cywilizacji.

– Miejmy nadzieję.

– Poprzednio jakoś pan sobie przypomniał.

– Moetle zabrał to „jakoś” ze sobą do grobu – rzekł Zamoyski z kwaśną miną. – Tak naprawdę wszystko potrafię sobie jakoś wytłumaczyć – porwanie, posunięcia Judasa, syna grającego przeciwko ojcu, wasze polityczne intrygi, zbieg okoliczności w postaci wybuchu gwiezdnych wojen w tak sprzyjającym dla mnie momencie – jednego tylko pojąć nie mogę: dlaczego ta nanomancja próbowała mnie zabić, wtedy, na weselu? Nie pamiętam tego, ale zbyt wiele osób mi o tym mówiło, bym wątpił. Co, u diabła, mógłby ktoś zyskać na zlikwidowaniu mojego aktualnego ciała? Wot, zagwozdka.

– Mhm, ja, co prawda, również tego nie pamiętam… To znaczy, widziałam tylko skany. No cóż, po pierwsze należałoby sprawdzić, kiedy ostatni raz pana zarchiwizowano i jak dokładna była rejestracja danych zmysłowych. Miał pan od tego specjalną seminkluzję, więc prawdopodobnie była to archiwizacja ciągła. To by zaweźiło – – Nie, dziękuję, nie chcę jej widzieć na oczy.

– O?

Machnął ręką, żeby odpędzić od siebie temat.

Akurat przeciął tor lotu muchy – uskoczyła, zakręcając mu tuż przed twarzą. Złapał ją drugą ręką. Szamotała się w dłoni.

– Jasny piorun! Rzeczywiście, alkohol mnie podszlifował. Z takim refleksem mógłbym bronić karne ze słuchu.

– To zawsze tak w nieprzymulanych manifestacjach nanomatycznych.

– Hę?

– Widzi pan – Angelika aż pochyliła się ku niemu. – Widzi pan, ciało reaguje po nerwowodach, impuls idzie od mózgu. Głowa – nerwy – ręka – ruch. I w drugą stronę, i korekta, i zwrotna, pik-pik, setne sekundy się kumulują. Ale nanomancja jest zawiadywana z Plateau, w tym samym plancku informacja o ruchu trafia do karku manifestacji i do dłoni, opóźnienia nie do końca są symulowane. To trochę dziwne uczucie, ale można się przyzwyczaić.

– Rzeczywiście – rzekł wolno Zamoyski, przysunąwszy do ucha pięść z muchą – miałem takie zabawne wrażenie…

– Właśnie.

– Ale ja sądziłem, że znajduję się na Plateau.

– Słucham?

– Że to wirtualna symulacja. Konstrukt Farstone na Polach Judasa. Dałbym sobie głowę uciąć, że… – powtarzał bezradnie. – Wszedłem przecież… No wszedłem…

Przypomniał sobie swój strach na pojawienie się manifestacji de la Roche'u, i jak go w końcu pokonał: przekonując się, że to wszystko i tak VR. Zdawało mu się nawet, że to właśnie sugerował Judas. *Nic panu nie grozi. Cóż onu mogłuby panu zrobić?*

Otóż nieprawda. Ale czy to znaczy, że jednak powienien był się bać…?

– Nie-nie-nie – kręciła głową Angelika. – To naprawdę Farstone. I jest pan tu obecny jak najbardziej materialnie. Chociaż transmisja idzie oczywiście przez Plateau – bo jakże inaczej?

Drugą ręką pomacał się po twarzy, brodzie, dotknął koszuli, zmiął nogawkę spodni.

– To wszystko – to są nanomaty…?

– Tak. W pana manifestacji.

Przysunął sobie dłoń do oczu.

– Widzę żyły pod skórą! Czuję przepływ krwi! Ciepło ciała.

– Patrick, zdejmij mu symulację komplementarną. – Po czym zwróciła się do Adama: – A zapach? Czy czuje pan teraz zapach?

Bzzz-zz, zz-tz, mucha przy uchu. Za oknem szczękały rapiery. Przełknięta whiskey wciąż jeszcze grzała gardło.

– Może już lepiej wezmę się do roboty – mruknął.

Od stawu wiał silny wiatr, wierzby szumiały głośno. Wskoczył na taras. Nie zacisnąłem tej dłoni, myślał. Mucha uleciała na wolność, gdy rozpadałem się w chmurę drobnego pyłu. Powinienem był się pożegnać z Angeliką. Niezależnie od intencji Judasa, jest to dziewczyna warta zainteresowania. W każdym razie ta z Sol-Portu – ta z Kła bowiem najwyraźniej zaczęła się pod presją sytuacji formatować w jakieś pokręcone – Rapier wyszedł mu bokiem, pięć cali zakrwawionej stali. Zabójca zaraz go wyszarpnął i natarł ponownie.

Zamoyski zatoczył się na stolik z paryską fotografią.

Patrick Gheorg McPherson wykonału klasyczną palestrę, chybiając nerki Adama o dwa palce. Wrzeszcząc z bólu, Zamoyski skoczył za kolumnę.

Ujrzał trzech następnych Gheorgów nadbiegających od stawu, ostrza rapierów lśniły w srebrnym blasku Księżyca.

5. Wojny

KRZYWA PROGRESU (KRZYWA REMY'EGO)

Krzywa na wykresie obrazującym zależność inteligencji (oś pionowa) od stopnia wykorzystania stałych warunków wszechświata (oś pozioma), zaczynając od środowiskowej formy ewolucyjnej, aż do optimum.

→ Krzywa identyczna dla wszystkich gatunków we wszystkich możliwych wszechświatach.

→ Droga przebywana po Krzywej przez poszczególne Cywilizacje danego gatunku stanowi jego Progres. W ramach Progresu może się na Krzywej odcinać dowolna ilość Cywilizacji. Wewnętrzna stabilność Cywilizacji jest odwrotnie proporcjonalna do długości zajmowanego przez nią odcinka Krzywej.

→ Każdy Progres osuwa się w kierunku szczytu Krzywej, ku UI.

Na osi Przystosowania wyróżnia się dwa Progi, dzielące realizacje gatunkowe na trzy tercje. Pierwszy Próg jest Progiem Autokreacji. Drugi Próg jest Progiem Meta-Fizyki.

Do pierwszej tercji należą zatem środowiskowe realizacje gatunkowe; do drugiej – formy poewolucyjne (aż do Komputera Ostatecznego); do trzeciej – inkluzje logiczne (aż do Inkluzji Ultymatywnej).

DEFORMACJA

Pozaprogresowe realizacje frenu.

W Modelu Remy'ego: wszystkie linie ewolucyjne nie zmierzające ku UI.

„Multitezaurus" (Subkod HS)

Schizofrenia!

– Nie ma was! – krzyczał na nich.

Biegli dalej – a tenu pierwszu cofału właśnie rękę do ciosu.

Otwórz oczy! Wyjdź z Pałacu! Zapomnij!

Tłupp! Walnął szczytem czaszki o sufit kabiny Kła. Zamroczyło go.

Jeszcze nie do końca świadomy otoczenia, zareagował w sposób stosowny dla ciążenia Farstone (lub Pałacu) – i w efekcie odbił się od bocznej ściany. Zamrugał, nie wierząc własnym oczom. Z odległości dwóch cali szczerzyłu się bowiem z niej, wielku jak posąg Stalina, Patrick Gheorg McPherson.

W odruchu już niemal paniki odepchnął się Zamoyski wstecz, ku fotelowi. Nie mógł oderwać wzroku od ekranu z uspokajająco uśmiechniętum Patrickum – najpierw więc fotel wymacał, fotel i ciało na nim. Angelika nie zareagowała na dotyk, nie odezwała się. Wtedy spojrzał. Była nieprzytomna. Z pociętych nadgarstków sączyła się krew. W lewej dłoni wciąż ściskała nóż. Karmiła Kieł do końca.

– Niech pan przewiąże jej rany – odezwału się Patrick przez głośniki. – Gdyby nie nieważkość – – Wiem – warknął Zamoyski.

Zerknął na ekran po przeciwnej stronie. Gwiazdy rozjeżdżały się na boki, ściągnięte w osobliwe fałdy – gwiazdy, gwiazd światło. Lecieli, i to ze sporą prędkością.

Kabina musiała być jednak wyposażona w kamery, wcześniej wyłączone, bo Patrick najwyraźniej przechwyciłu spojrzenie Zamoyskiego – i podczas gdy Adam opatrywał Angelikę, onu mówiłu:

– Nieważkość, bo nie możemy marnować paliwa dla silników manewrowych. To nie Port, lecz pojedynczy Kieł. W siodle fali qFTL jego prędkość pozostaje bardzo mała, a przyspieszenie zerowe. Jak teraz.

– Dokąd lecimy?

– Nie wiem.

– Co?

– Po odcięciu od Plateau nie jestem w stanie – – Znowu nas odcięło?!

– Tak. Znajdujemy się pod blokadą.

– Pięknie. Ale zanim to się stało – – Lecieliśmy do Creytona-113. To czarna dziura, wystarczająco daleko. Weszlibyśmy tam w kieszeń temporal-

ną. Lecz teraz staram się tylko uciec jak najdalej od Wojen. To na ekranie – to symulacja. W układzie zewnętrznym poruszamy się bowiem szybciej od światła i od rufy nie dochodzą żadne informacje, natomiast te z dziobu – z przesunięciem zależnym od kąta, pod jakim – – Rozumiem.

Nie rozumiał nic. Przed chwilą (ale czy istotnie była to jedynie chwila…?) pytał w Farstone, kto wejdzie na Pola Kła, i tenu samu Patrick Gheorg odparłu mu, że Oficjum. Teraz patrzy – i czyja morda w interfejsie? P. G.

Na dodatek ta blokada. Czyżby Wojny nas ś c i g a ł y?

No i skąd, do kurwy nędzy, wzięłu się sekretarz Judasa w moim Pałacu Pamięci?! Toż to Dickowski obłęd, istny Palmer Eldritch: otworzę toaletę i wyjdzie tysiąc małych Gheorgów.

Właśnie – toaleta. Mam szczać do śluzy? Temu Kłu brakuje podstawowego wyposażenia. Przełknął ślinę. Gardło suche, prawie zrogowaciałe. Kiedy ostatnio pił? Jego nanomatyczna manifestacja – owszem; ale on, Zamoyski, jego ciało, pustak biologiczny? Manierki diabli wzięli, podobnie jak wszystko, co podczas startu Smaugowego balonu nie było przywiązane do ich ubrań, poupychane w kieszeniach. Więc ani wody, ani prowiantu.

Obwiązawszy oddartymi rękawami koszuli Angeliki jej nadgarstki, mocniej przypiął nieprzytomną dziewczynę do fotela. Nóż schował.

– Siedzisz na wewnętrznych komputerach Kła, tak? – zagadnął Patricku.

– Zgadza się.

– Jesteś programem Oficjum.

– Wszyscyśmy programami.

– Program Oficjum, ale widzę gębę McPhersonu.

– Ta nakładka frenu została wybrana jako optymalna do komunikacji z panem i stahs Angeliką. Phoebe McPherson samu zaproponowału swój fren.

– Kto? – pogubił się Zamoyski.

– Patrick Gheorg McPherson.

Zamoyski kręcił głową. Zbyt wiele zbiegów okoliczności: cud, paranoja lub piątek trzynastego.

– Priorytety – warknął.

– Bezpieczne przetransportowanie obojga do któregokolwiek z Portów Cywilizacji HS, gdy stanie się możliwe ich otwarcie.

– Przetransportowanie mnie czy jej?

– Powiedziałum: obojga.

– Ale w sytuacji kryzysu? Koniecznego wyboru?

– Pana.

Zatem miał rację: Judas łgał! Sam Zamoyski, Zamoyskiego pamięć – była dla kogoś ważna. Z pewnością dla Oficjum.

– Nasz status?

– Precyzyjniej, proszę.

Rzeczywiście, bez Plateau raczej tępe tu AI.

– Gdybym wydał ci rozkaz…

– Zależy jaki.

– Aha! Czyli furtka jest.

– Zawsze chętnie przyjmuję rozsądne sugestie, zwłaszcza w warunkach tak ograniczonych mocy obliczeniowych.

Formułka zdała się Zamoyskiemu pustosłowiem: aby móc wybrać z rozwiązań A i B sensowniejsze, sam program musiałby być już na tyle inteligentny, by móc je zanalizować dalej niż sugerujący je, a zatem na diabła mu w ogóle podobne sugestie? Co prawda zawsze łatwiej rzecz skrytykować, niż wymyśleć. Najcenniejsze jest to, czego nie sposób zalgorytmizować: wyobraźnia.

Sugestie… Kij nu w oko.

Czego więc powinienem sobie raczej życzyć? Żeby okazału się mniej czy bardziej inteligentnum ode mnie?

– Potrafisz chyba obliczyć, ile wytrzyma człowiek bez pożywienia i wody? Że już nie wspomnę o takim szczególe jak tlen – bo mamy tu chyba zapasy powietrza? Ogniwa utleniające? Cokolwiek? Mhm?

– Inkluzje Oficjum rozważyły ten problem – odparłu z rozwagą Gheorg/Oficjum i Zamoyskiemu dreszcz przeszedł po plecach: rozpoznał tę intonację. – Do Creytona powinniśmy dotrzeć w ciągu trzydziestu ośmiu kgodzin. Nawet zważywszy na utratę krwi pana i stahs McPherson – – Chciałuś powiedzieć – przerwał nu Zamoyski – p o w i n n i ś m y b y l i tam dotrzeć. Samu twierdzisz, że po odcięciu od Plateau nie wiesz nawet, w którą stronę lecimy. Swoją drogą, zastanawiam się, jak to możliwe. Przecież chyba pamiętasz, gdzie celowałuś.

– To nie ma znaczenia. Mogliśmy zostać w dowolny sposób skraftowani przez operatory zewnętrzne. Na przykład Wojen. Docierające do nas pro-

mieniowanie może być fałszywym odbiciem z wewnętrznych pętli Portu, w którym gonimy w kółko na naszej fali FTL.

– Więc czemu, u diabła, nie zejdziesz z tej fali i nie sprawdzisz, co naprawdę się dzieje?

– Bo teraz, we własnym krafcie, jesteśmy przynajmniej chronieni przed bezpośrednimi zagrożeniami. Proszę zresztą zauważyć, iż w każdej chwili możemy wyjść spod blokady Plateau i wtedy się przekonamy i tak.

Zamoyski słuchał, słuchał, i rosły w nim paranoiczne podejrzenia.

Nawet tę blokadę – fakt, iż ponownie znaleźli się w zasięgu oddziaływania Wojen – chętnie interpretował jako pośredni dowód własnego znaczenia dla potęg XXIX wieku. To na niego polowały!

Niemal w to wierzył – w takiej chwili jak ta.

– Zamierzasz zatem czekać – skwitował. – Ile?

– Symulacja oparta na waszym poprzednim spotkaniu z Wojnami pokazuje obszar oddziaływania blokady. Jeśli nie zostaliśmy zdyskraftowani, powinniśmy wyjść z niego najdalej za jakieś pięć godzin.

– Aha. Jest tu gdzieś toaleta?

– Niestety. Kły nie są statkami załogowymi. Panie Zamoyski, nie ma czegoś takiego jak załogowe statki kosmiczne. Podróżuje się w Portach – tam może pan mieć wygody, jakie tylko chce.

Bo pewne jak diabli, że tu nie ma żadnych.

Adam usadowił się w kącie przy drzwiach, zgodnie z urojonym pionem, tak, żeby mieć na widoku zarówno oba ekrany, jak i Angelikę w obróconym fotelu.

Nie wyglądało to na zapaść – po prostu spała, teraz znowu młodsza o kilka lat. Przez sen układała wargi do niewypowiadanych słów.

Z trudem wyzwolił się spod uroku, odwrócił wzrok. Spać… niezła myśl. Przespać przynajmniej te pięć godzin. Kiedy już odzyskamy połączenie z Plateau – Zaklął cicho. Obywatelstwo jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy wejść do Pałacu, znaleźć eksponat, przypomnieć sobie. Ale – ale widział przyjaźnie uśmiechniętenu Patricku Gheorgu i dłoń sama sięgała przebitego rapierem boku.

Wszelako to był już absurd tak wysoki – bać się zajrzeć do własnej pamięci, wrócić do wyobrażenia, na Boga Ojca, któż kiedy słyszał o podobnym idiotyzmie?! – że ów lęk działał na Zamoyskiego bardziej jak czerwona płachta na byka. Z czystej złości – wróciłby tam i tak.

Tym razem nie opuścił powiek; widział wnętrze Kła, lecz z każdą sekundą jego uwaga odpływała od tego widoku i ogniskowa świadomości Zamoyskiego przesuwała się do trwale wygrawerowanego w pamięci krajobrazu – krajobrazu z wierzbami, stawem, Księżycem i gładkokamiennymi ruinami.

Zbliżał się do tarasu powoli, ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Skąd właściwie wzięli się wtedy owi szermierze? Pierwszy wyskoczył był wprost z cienia kolumny.

Zamoyski wszedł na taras, zezując w głąb tych cieni. Dwa stoliki były przewrócone, oprawka fotografii z Durenne'em pęknięta.

Zatrzymał się na środku podkowy, jak najdalej od kolumn. Zapachy mieszały się w powietrzu, ciągnąc go jednocześnie w kilkanaście mnemosideł. Czekał. Panowała cisza. Angelika zaczęła drapać się przez sen w przedramię; na szczęście mocno zawiązał opatrunek. Wiatr był zimny, Zamoyski dostał gęsiej skórki. Roztarł ramiona. Gheorg/Oficjum spoglądału z zaciekawieniem. Pomiędzy drzewami, skąd byli wybiegli, teraz tylko falowały krzewy.

Na co ja właściwie czekam? Rozglądnął się po stolikach. Na początek niech będzie ten. Raz, dwa, swąd spalonego drzewa, i trzeci krok, i wtedy męskie ramię zamknęło jego szyję w duszącym chwycie.

Zamoyski przerzucił skrytobójcę przez biodro, zahaczając stopą o jego goleń. Polecieli w eksponaty, Adam i Patrick Gheorg.

Klnąc na głos, poszybował aż na poranioną, pokrwawioną przednią ścianę kabiny. Znowu nie opanował odruchów.

Gheorg/Oficjum udawału, że śledzi go z ekranu wzrokiem.

– No czego? – warknął na nienu Adam.

– Wszystko w porządku?

– Jak cholera.

– Korzysta pan z wewnętrznych przyłączy?

– Że co?

– Z programów wszczepki.

– Nie.

Tym razem wbiegł na taras. Oni już czekali, siedmiu. Wyjął pistolet maszynowy i zastrzelił ich. Dwóch ostatnich usiłowało uciec przed falangą pocisków, ukryć się – pociągnął za nimi po tarasie długą serię. Dostał wszystkich.

Gdy zmieniał magazynek, kolejnych czterech Patricków Gheorgów pomknęło zakosami od drzew. Ci już, oczywiście, wyekwipowani byli w broń palną. Posuwali się skokami, po dwóch; w tym czasie ta druga dwójka waliła pod dach willi ciężkie salwy. Zamoyski sam musiał się ukryć za kolumną.

Poczekał aż podejdą do samego tarasu. Gdy usłyszał, jak nań wskakują, wyszarpnął zębami zawleczkę i wysokim łukiem cisnął zza kolumny granat; po chwili drugi i trzeci. Wybuchy rozdzierały noc, Księżyc trząsł się na niebie. Odłamki furkotały dookoła, rozdzielane przez kamienny filar na dwa fronty burzy metalu – gdyby wystawił tam rękę, pozostałby jeno krótki kikut: kość i krew.

Przeszedł potem po ruinach willi i po okolicy, licząc zwłoki. Nie doliczył się, ale też nic dziwnego, zważywszy na stopień ich rozczłonkowania.

Zdumiał się, widząc, że jednu z Patricków Gheorgów McPhersonów żyje. Żyje – kona, rozciągnięty na schodach, czerwona ślina na rudej brodzie, posiekany korpus, dygot dłoni. Kaszlałby, gdyby miał siłę na głębszy oddech.

Adam pochylił się nad num.

– Kim jesteś?

– Giń! – szepnęłu Gheorg.

– Kim?

Zamoyski przyłożył nu do czoła gorącą lufę pistoletu.

– Nie masz prawa…

– Co?

Tamtu ledwo oddychału, dusiłu się krwią.

Zamoyski niemal przycisnął ucho do jenu warg.

– Nie zniszczysz… – Słowa cichsze od wiatru.

– Co? Czego?

– …wszechświata.

I z tą efektowną kwestią na ustach oddału ducha.

– Bogactwo mojego życia wewnętrznego doprawdy mnie zdumiewa. – Zamoyski uśmiechnął się kwaśno do Patricku na ekranie. – Przekonanie o własnej ważności doprowadziło mnie do kompleksu Boga.

Wskoczył z powrotem na taras. Nie pojawili się żadni nowi napastnicy. Nawet gdyby, chyba nie poświęciłby im uwagi. Dopiero teraz spostrzegł, co

uczynił: zniszczył wszystkie eksponaty. Ich nierozpoznawalne szczątki oraz kawałki stolików walały się pośród marmurowego gruzu po całym tarasie.

Podniósł fragment jakiegoś elektronicznego urządzenia, obrócił w palcach. Przedmiot nie miał żadnego zapachu.

Potrząsnął głową i – – przypomniał sobie od nowa. Księżyc, staw, wierzby, ruiny. Stał kilkanaście metrów od schodów, w tym samym miejscu, co zwykle.

Podszedł bliżej, zajrzał. Wszystko potrzaskane; trupów nie ma, lecz Pałac leży w gruzach.

Jeszcze raz. P r z y p o m n i e ć s o b i e.

Podbiegł, spojrzał.

Ruina ruiny – szczątki.

Jeszcze raz.

To samo.

Było obywatelstwo, nie ma obywatelstwa. Szlag. Przez własną głupotę; i własne kompleksy. (Bo cóż innego?)

Do psychiatry ty idź, Zamoyski. Lecz się. Może o tym nie wiesz, ale masz duszę seryjnego samobójcy.

(– Plateau?

– Nie.

– To co on robi?)

Oprzytomniał. Angelika nieporadnie odpinała się od fotela. Wzrok utkwiony miała w Zamoyskim.

– Dobrze, już dobrze – uspokoił ją.

Nadal przyglądała mu się podejrzliwie.

– Przekopiowałeś sobie z Plateau Gabinet?

– Co? Nie. To znaczy – Zamoyski wskazał na ekran po lewej – onu się przekopiowału.

– Właśnie wyjaśniałum stahs McPherson sytuację… – zaczęłu Gheorg/Oficjum.

– Minęło dziewięć miesięcy – uprzedził nu Adam, zwracając się do Angeliki. – Rozmawiałem z twoim ojcem. To była robota de la Roche'u, ten drugi zamach i porwanie. Przechwyciłu wiadomość ze Studni. Teraz wojna z Deformantami na pełną skalę, Porty zatrzaśnięte. Lecimy przeczekać przy czarnej dziurze. Tenu de la Roche to chyba jakuś sprzymierzeniec Defor-

mantów, nie? Zaatakowali jenu Kły przez pomyłkę, czy jak? Zero pojęcia o waszej polityce. Co właściwie oznacza obywatelstwo?

– Judas ci je zaoferował?

– Co? Nie. Chociaż – – Powinien był. Jezu, ale mam pragnienie…

– Okropnie się porżnęłaś.

– Fakt. – Zerknęła na przewiązane strzępami koszuli ręce. – Ale, jak powiedziałeś, musiałam go karmić, dopóki nie miałam pewności, czy informacja dotarła i Cesarz zamknął Pola porywaczy. – Do Patricku zaś mruknęła kątem ust: – Mogłuś pokazać się wcześniej.

– Byłaś już nieprzytomna, stahs – rzekłu Gheorg/Oficjum.

Zamoyski milczał. Poruszył ten temat, zanim pomyślał, i teraz tylko przełykał ślinę przez suche gardło. Paliło go chorobliwe gorąco; gdyby przyłożył przedramię do czoła, chybaby się sparzył. A spojrzenia odwrócić nie mógł – wówczas bowiem Angelika domyśliłaby się wszystkiego, był o tym przekonany: wystarczy drobny gest, on go zdradzi. Dziewczyna odczyta Zamoyskiego, jak on odczytał ją nad kraterem Pandemonium.

Więc pełna kontrola. Nie da poznać, że – z a p o m n i a ł o n i e j.

Gdyby nie Wojny, jak długo zostałby w Farstone? Gdyby nie ich blokada, z Pałacu Pamięci też wróciłby do Farstone, nie do Kła. Angelika wykrwawiłaby się tu na śmierć. Z a p o m n i a ł o n i e j.

Zaraz jednak zirytował się i odwrócił gniew od siebie. A co to, jestem jej coś winien? Skąd wyrzuty sumienia? Skąd wstyd? Zapomniałem – cóż, zdarza się. Nie było w nim intencji krzywdy.

Miał jednak świadomość, że w tym momencie fałszuje swoje uczucia.

– Angelika.

– Mhm?

– Słuchaj, ja nigdy bym nie –

Co właściwie chciał powiedzieć? Zaćmiło go. Poruszył niemo ustami.

Wirujący kalejdoskop barw ściągnął jego spojrzenie w prawo: to zmieniły się gwiazdy na ekranie.

– …że padły wszystkie spirale – mówiłu Patrick/Oficjum. – Kieł nie jest zdolny do dalszego kraftunku. Prawdopodobnie przeszły po nas Wojny. Znajdujemy się w odległości ponad siedmiu lat świetlnych od najbliższej publicznej gwiazdy.

Zamoyski, z głową dziwnie ciężką, z różową ćmą na oczach, rozumował powoli jak we śnie. Co za „publiczne gwiazdy”? Czyli – istnieją także prywatne? No tak: te zamknięte w Portach. Więc wszystko, co w otwartej galaktyce… Nic dziwnego, że mieli pretensje o kradzież iluś tam parseków. Gdyby tak każdy zakraftowywał kosmos podług swojego widzimisię…

– Plateau? – pytała Angelika.

– Ciągle izolowane.

Zamoyski spostrzegł, że powoli zsuwa się po ścianie, w skos, ponad ekran z gwiazdami. Zamachał rękoma, ale nie było się czego złapać.

– Co jest?

– Zaraz skoryguję.

I faktycznie, już po chwili owo śladowe ciążenie zniknęło.

– Więc jednak mamy jeszcze jakiś napęd? – mruknął Zamoyski, z powrotem dryfując do bezpiecznego w zero-g kąta.

– Manewrowy.

Przypomniał sobie teraz przeciążenie, z jakim uciekali z Saka. No tak, napęd był – ale nawet licząc na stałe 3 *g*, nie mieli szans na dotarcie gdziekolwiek w rozsądnym czasie.

Angelika musiała pomyśleć to samo, bo wymieniła z Adamem długie spojrzenie, pół na pół zgroza i rozbawienie. Wydęła przy tym lewy policzek i przymrużyła lewe oko. Lecz dłonie, dłonie samowolnie sięgały opatrunków na nacięciach, palce zakrzywiały się w szpony, przenosiły drżenie z wnętrza ciała.

– Ile… – zaczęli równocześnie.

Znowu spojrzenia, kwaśna cisza.

Odciętu od Plateau Gheorg/Oficjum nie wykazału się wielką domyślnością.

– Jak brzmi pytanie?

Zamoyski przeczekał – usta zaciśnięte, dłoń masująca czoło i przesłaniająca oczy.

To Angelika wypowiedziała je na głos.

– Ile czasu nam zostało?

– Około pięćdziesięciu siedmiu godzin w modelu dla obojga, stahs.

– Czym właściwie są te Wojny? – wybuchnął Zamoyski w ciszy zapadłej po tym oświadczeniu. – Rejestrujesz w pobliżu jakieś Kły? W ogóle – cokolwiek? Patrick…? Najpierw mi tłumaczyli, że nic nie izoluje od Plateau –

po czym Wojny to robią. Następnie się dowiaduję, że Kły – – Odbieram sygnał pozbawiony identyfikatora Cywilizacji – przerwału mu Gheorg/Oficjum. – Wstępna ocena odległości źródła: ćwierć miliona kilometrów.

Zamoyski wypuścił powietrze z płuc.

– Deformanci – mruknęła Angelika.

– Po utopieniu należy poćwiartowanego na płonącym stosie rozstrzelać zatrutymi kulami – skomentował sucho Adam, przesuwając się wzdłuż ściany ku ekranowi.

McPherson parsknęła za jego plecami.

– Gdzie oni? – postukał brudnym od krwi palcem w gwiazdy. – Pokaż.

Konstelacje przesunęły się. Między ciemną mgławicą a gwiazdą potrójną pojawił się pulsujący, czerwony punkt, graficzny znacznik.

– Względna prędkość.

– Dziesięć kilometrów na sekundę w zbliżeniu, ale to głównie z Dopplera; składowa prostopadła jeszcze niepewna. Jednak na pewno minęlibyśmy się w sporej odległości.

– A ten sygnał – spytała Angelika – co to jest?

– Wezwanie pomocy. W Kodzie.

Adam odruchowo obejrzał się na nią.

– To taka *lingua franca* Galaktyki – odpowiedziała na niezadane pytanie.

– Że jak? – żachnął się Zamoyski. – Uniwersalny język? Międzygatunkowy? Nie wierzę! – Ale już zarzekając się tak, wiedział, że źle czyni, bo wierzyć powinien we wszystko.

– To niezupełnie jest język – uściśliłu Patrick/Oficjum. – Z „nagim” Kodem nie będzie pan miał nigdy do czynienia, zawsze wyewoluowuje się stosowne interpretery: zwięzyki. Jak koloniści hodowali sobie tłumaczy języków tubylczych, inaczej niepojmowalnych: w dzieciach z tubylczej matki, ojca cywilizowanego, wychowywanych na styku kultur – w nich powstawał fren pomostowy. Do hodowli zwięzyków wystarczy Kod i procesor słowiński. Sygnał od Deformantów przyszedł w formie nieobrobionej, co może być pośrednim dowodem odcięcia ich od Plateau – ale nawet on stanowi już pewną pochodną Kodu. Naturalnie zamierzam na niego odpowiedzieć i pójść na przechwycenie, więc dowiemy się więcej.

– Co?!

Oboje obrócili się ku drugiemu ekranowi, ku twarzy Patricku Gheorgu McPhersonu.

– Proszę o kontrargumenty – rzekłu. – Słucham.

Słuchału, lecz oni – zrazu głucho milczeli, potem pokrzywili się, pomamrotali złe słowa, na koniec Angelika przyznała:

– Teraz to już wszystko jedno, wróg nie wróg.

Nie zabrzmiało to optymistycznie.

Cóż więcej było do powiedzenia? Mknęli ku Deformantom (a właściwie nie ku nim, lecz po stycznej ku punktowi przechwycenia) z 1 g , tak że fotel mieli teraz na ścianie, ekrany na bocznych, przeorientowane o 90°, z sufitu zaś leciał czerwony pył krwawej skrzepliny. Angelika z furią wytrzepywała go sobie z włosów. W podłodze ziała dziura korytarza prowadzącego do perystaltyki śluzy.

Zajęło im to nieco ponad godzinę. Gheorg/Oficjum usłużnie wyświetliłu zegar; mogli liczyć uciekające ułamki życia.

Zamoyski liczył co innego: prawdopodobieństwo, że ta kolejna fala Wojen wyrzuciła dwie swoje ofiary tak blisko siebie. Bo przecież nie było to żadne kosmiczne skrzyżowanie, środek zatłoczonego układu planetarnego. Więc? Przypadek? Nawet jeśli, to już chyba doprawdy ostatni taki w jego życiu.

Deformanci twierdzili, że, istotnie, z ich strony przypadek. Gheorg/Oficjum wymieniału z nimi informacje w Subkodzie. Streszczenia tłumaczeń przekazywału Angelice i Adamowi. Powoli to szło, Deformanci musieli wyhodować emulator Kodu dla stahsowego angielskiego, co poza inkluzjami Słowińskiego było prawie niewykonalne w rozsądnym a-czasie. Kod stawiał tłumaczy w sytuacji fizyków rozwiązujących równania ruchu wielu mas wolniej, aniżeli te masy się przemieszczają.

Potem, gdy w zbliżeniu ujrzeli – miast graficznego symbolu – samo źródło sygnałów, zrozumieli: to nie byli Deformanci – to byłu Deformant; jednu. Gheorg/Oficjum nawet nu spytału o pochodzenie z Progresu – ale tamtu nie wiedziału lub nie chciału zdradzić. Zresztą nie miało to znaczenia. Może pochodziłu od *Homo sapiens*, może nie.

– Jak to: nie ma znaczenia? Obcy albo nie Obcy!

– Doprawdy?

Rozciągału się na prawie dziesięć tysięcy kilometrów sześciennych. Najpierw, gdy jeszcze mieściłu się cału na ekranie, przypominału bardziej pleśń zarastającą próżnię – od koronki wiotkich, prawie niewidocznych nici,

przez ich coraz grubsze sploty i warkocze, aż do kulistych skłębień, spęcznień, zrostów.

– Skoro taka forma życia jest możliwa w naszym wszechświecie, to prędzej czy później musi się ziścić.

– Równanie Drake’a operuje tak wielkimi liczbami – – To nie ma nic wspólnego z równaniem Drake’a. To Prawo Progresu. Raz uruchomiony Progres, o ile nie zostanie ucięty przed przekroczeniem Pierwszego Progu, w skończonym czasie zrealizuje wszystkie możliwe w danym wszechświecie formy życia.

– Myślałem, że Progres zmierza prosto ku UI…

– Ojej, no przecież nie mówię o Cywilizacjach, tylko odrywających się od Progresu Deformantach! Jeśli warunki fizyczne wszechświata otwierają jakąś niszę ekologiczną, to nie ma siły, autoewoluujący fren wpełznie i tam. I jakie wówczas znaczenie ma, z którego akurat Progresu pochodził? Definiuje go ta nisza.

W miarę jak zmniejszała się skala i dostrzegali kolejne szczegóły, przeważały skojarzenia z rozszarpanym ukwiałem, wypreparowanym układem krwionośnym – układem krwionośnym organizmu, w który uderzyła salwa szrapneli. Nie będą w stanie nu pomóc.

Twierdziłu, że kona. Niszcząca wnętrzności Kłów fala Wojen przetoczyła się po num i to, co pozostało – był to zaiste preparat po wiwisekcji.

– Ale przecież po zaledwie kilkuset latach… Jak mogłu się tak szybko zagubić w swej ewolucji?

– Inne Progresy są starsze. Poza tym nawet jeśli pochodzi od HS – mogłu się w swym Porcie podsłowińczyć, onu, jenu przodkowie. Być może patrzysz na generację milionową. Jakie ma znaczenie, czy generacją numer jeden była bezwłosa małpa – czy homeostatyczny obłok gazu?

Deformant nie należału bowiem do gatunku przystosowanego do życia w próżni, jak to sobie Zamoyski zrazu wyobrażał. (Czy należału do jakiegokolwiek gatunku, czy też Deformantom obca była i ta kategoria?). Żyłu w Porcie – lecz Port rozpruły Wojny. Zabieg przypominał wyjęcie wnętrzności z ciała, tylko że bardziej był brutalny. A ów Port – a właściwie En-Port – subtelnie wyrzeźbiona wielokrotna pętla czasoprzestrzeni, stanowił jedyne naturalne środowisko życia Deformantu.

Więcej – Deformant samu po części b y ł u tym Portem; żywe analogi Kłów utrzymujące Port stanowiły jego organy. Kraftoid, mówiła Angelika.

Wypełniału było sobą tę kieszeń czterech wymiarów, rozpięty na niepojęcie skomplikowanej siatce Stref; poszarpany Sak to przy niej prosta autostrada. Tam i w taki sposób obracały się jenu procesy życiowe – tu natomiast widzieli tyle, ile pozostałoby z człowieka przejechanego przez walec, a następnie wyrzuconego w próżnię. Rolę walca spełniły Wojny.

Zamoyski kazał Gheorgu/Oficjum zapytać o nie Deformantu. Tamtu również nie wiedziału. Twierdziłu, że w ogóle niewiele wie; że nie uczestniczy w konflikcie. Z definicji to Cywilizacje są strukturą zwartą, zorganizowaną. Deformanci to wszechanarchia. Ci i owi mogą się skrzyknąć dla osiągnięcia jakiegoś celu – teraz najwyraźniej zachodziła taka okoliczność – lecz większość trzyma się z dala, przeważnie nawet się ze sobą nie komunikując.

– Niech ja to sobie ułożę w głowie. Czas i przestrzeń to gładka glina. Stałe fizyczne odkształcają ją tak lub owak; jedne ich kombinacje powodują takie wypaczenia, inne – inne. Bierzemy następnie garnek ciasta: życie. Wylewamy: to jest Pierwszy Próg. Ciasto pokrywa całą glinę, wypełniając każdą nierówność i szczelinę. Z którejkolwiek strony byśmy to ciasta lali, wypiecze się zawsze w tych samych kształtach, określonych przez wypaczenia gliny. Dobrze mówię?

– Aha.

Gheorg/Oficjum zapytału nu o imię. Z podanego w transkrypcji Kodowej zbioru wybrału do tłumaczeń „Franciszka”. Franciszek twierdziłu, że ma milion lat: było słowińczykiem. Było – teraz już nie jest. Teraz kona.

– A my, a ja – znajduję się przed czy za Pierwszym Progiem?

– Popatrz na Krzywą. Jej kształt jest taki sam dla każdego życia, z jakiejkolwiek niszy ewolucyjnej by startowało. Zero na osi pionowej oznacza wykształcenie frenu. Krzywa startuje spod osi i idzie przez struktury przedcywilizacyjne w cywilizacje klasyczne. W biologii *Homo sapiens* ten odcinek oddaje mniej więcej stosunek ilościowy neurogleju do neuronów w mózgu. Dalej na Krzywej mamy cyborgizacje. W lewo od nich – przypadkowe, genialne jednostki w ramach gatunku, tudzież szczytowe osiągnięcia eugeniki. W dół od cyborgizacji – protezy kompensacyjne. Idąc po Krzywej dalej w prawo, mijamy Pierwszy Próg: początek masowej, świadomej autokreacji gatunku. Pierwszą tercję, od punktu zero do Progu, w Cywilizacji Homo Sapiens wypełniają stahsowie. Rodzaj Tradycji określa stopień ich przesunięcia na Krzywej.

– Więc gdzie my się na niej znajdujemy?

– Ty i ja? Tu. – Angelika wskazała na ekranie punkt mniej więcej w połowie tercji, ponad Krzywą. – Materiał genetyczny stahsów przeszedł pewną wstępną selekcję. Co do ciebie nie mam pewności, ale to powinny być te okolice. Masz co prawda dostęp do Plateau, ale nie jesteś w stanie się nań przesiąść; na Plateau można przecież przepisać umysł małpy, psa, mrówki, ale to nie obróci ich w inkluzje logiczne. Patrz, teraz wchodzimy w drugą tercję HS: phoebe'owie. Na Krzywej mamy tu sprzęgi neuronalno-maszynowe. To w ogóle jest ciąg maszyn logicznych, elektronicznych, biologicznych, chemicznych, kwantowych i innych. Potem duży obszar zajmują freny odcieleśnione. Niżej znajduje się słaba AI. Potem zaś dochodzimy po Krzywej do Drugiego Progu i punktem granicznym jest tu Komputer Ostateczny. A potem już meta-fizyka i ostro w górę, w inkluzje. Na osi inteligencji Remy dał skalę logarytmiczną, żeby w ogóle było coś w tym potwornym przyspieszeniu Progresu widać.

– No właśnie. Kim, u licha, jest ten Remy?

– Remy, Alphonse Casimir, dwa sto siedem, dwa sto osiemdziesiąt dziewięć, pisarz i *videocreator science fiction*, twórca Teorii Konwergencji Progresów.

– Dzięki, Patrick.

– A Słowiński? Co, Angelika? Następny klasyk *science fiction*?

– A, prawda. Nie, phoebe Słowiński to wybitnu meta-fizyk. Określiłu graniczne przyspieszenie czasu w inkluzji. Szybszej relatywizacji nie można wyciągnąć nawet piętrowo. Obecnie wszystkie inkluzje logiczne to inkluzje Słowińskiego.

– I Franciszek – onu byłu taką inkluzją?

– Inkluzją? Nie. Inkluzji nie rozprują żadne Wojny, inkluzje to oddzielne wszechświaty. Franciszek… cóż, to po prostu słowiński Deformant. Szum statystyczny kosmosu, życie możliwe – więc zrealizowane. Przyzwyczajaj się: istnieją tylko rzeczy logicznie sprzeczne i niesprzeczne. Pierwsze są niemożliwe, drugie – konieczne.

Wlatywali w granatowo-seledynowo-złotą sieć. Fragmenty złote to te jeszcze żywe. Gheorg/Oficjum włączyłu reflektory Kła (z zewnątrz Kieł wyglądał teraz zapewne jak wielka choina światła) i mogli podziwiać kolory. Zamoyskiego na ten widok brało jednak obrzydzenie. Za bardzo było to wszystko organiczne, turpistyczne, nazbyt się kojarzyło ze zgnilizną – cho-

ciaż w próżni o żadnych klasycznych procesach gnilnych nie mogło być mowy. Ale skojarzenia przetaczały się przez umysł.

Jelita grubości dziesiątek i setek metrów.

Ścięgna jak zamrożone ejakulacje atramentowych cieczy.

Nerwowody jak rurociągi, którymi przepompowuje się płynne złoto.

Inne żyły, inne organy – przecięte, rozerwane, rozszarpane od wewnętrznych eksplozji; wiele ślepych zakończeń, skauteryzowanych przez temperaturę bliską zeru Kelvina.

Taak, Franciszek ma wyprute flaki.

– A Deformanci?

– Deformantów masz tu wszędzie, są na połowie wykresu. Po pierwsze: schodzą z Krzywej. Po drugie: wyłamują się z Cywilizacji. Lepiej to widać na Modelu Progresów. Patrick! Dzięki.

– Wygląda jak szkielet tipi, odwrócony kieliszek.

– Każda taka Krzywa to jeden Progres: od zwierzęcia do UI. Może się w nim mieścić nieskończona ilość Cywilizacji. Trzecia oś Modelu została wprowadzona dla zobrazowania różnic międzygatunkowych. Progresy startują zatem z punktów znacznie od siebie oddalonych, by zbiec się w otoczeniu Komputera Ostatecznego i potem piąć się ciasną wiązką omal pionowo do UI.

– Franciszek – – Gdzieś tutaj. Druga, trzecia tercja, trudno powiedzieć.

Konału, lecz jenu konanie było tych samych rozmiarów, identycznie rozciągnięte. Lata, mówiłu, stulecia. Organ po organie, mózg po mózgu, w miarę jak wyrównywać będzie swą temperaturę z zewnętrzem – zgaśnie, jak gasną gwiazdy, równie powoli i równie nieuchronnie.

Nadal wzywału pomocy. Nawet założywszy, iż blokada Plateau utrzyma się w nieskończoność, istniała dla Franciszku szansa ratunku: idący z *c* krzyk w Kodzie w końcu dotrze do kogoś ze sprawnymi Kłami. Deformant zostanie ocalonu – w jakiejś szczątkowej formie. Albo właśnie dobitu.

Samodzielnie nie potrafiłu odtworzyć swoich Kłów, nie po takich zniszczeniach. Dostrzegli ich resztki, zaplątane w kilometrowe falbany tkanki. Zamoyski zrozumiał wówczas trafność nazwy – bo były to kły, półmilowe próchnicze zębiska gwiezdnego potwora, krzywe, czarne siekacze, pochłaniające światło reflektorów niemal w stu procentach. Musiał prosić Gheorgu/Oficjum o zwiększenie kontrastu ekranu.

Gheorg tymczasem zajętu było czym innym: targami. Franciszek mogłu być Deformantem izolacjonistycznym, nie pochodzącym z Progresu HS, lecz o Gnosis i McPhersonach słyszału. Zamoyski pojął oto następną prawdę: istnieje, obok stałych meta-fizycznych i Praw Progresu, jeszcze jeden absolut: ekonomia. Nawet przy najszczęśliwszym zbiegu okoliczności doprowadzenie się do stanu sprzed Wojen będzie Franciszku kosztować fortunę. Targowału się zatem z McPherson ostro – ile dla niej warte jest przedłużenie linii frenu jednej z jej realizacji? Sam Adam Zamoyski najwyraźniej nie został w tych negocjacjach w ogóle wspomniany. Kiedy w końcu osiągnęli kompromis, nie zrozumiał warunków; zresztą nie dopytywał się.

Widok na ekranie przestał się zmieniać. Bardzo ostrożnie manewrując (znajdowali się przecież we wnętrznościach Deformantu), Gheorg/Oficjum zrównału wektor prędkości Kła z kraftoidowym. Jednak przy całej tej ostrożności nie zdołału uniknąć zahaczenia o ciało Franciszku – aż wstrząs przeszedł przez Kieł i Adamem i Angeliką cisnęło o ścianę ciasnej kabiny.

Dopiero po chwili Zamoyski pojął, iż Gheorg/Oficjum bynajmniej nie popełniłu błędu. Wbili się w złoto i lśniąca pajęczyna zarastała teraz dziób Kła. Ujęcia z kamer umieszczonych na grocie Kła pokazywały to w niezręcznych skrótach, jelito Franciszku znajdowało się na samym skraju pola widzenia.

Zamoyski poprosił Gheorgu/Oficjum o symulację zewnętrznego ujęcia. Ujrzał wtedy wreszcie wyraźnie: jak Deformant pożera szaroniebieski Kieł, wchłania go w siebie z obsceniczną powolnością. Poczynając od rufy, od szerokiej podstawy stożka, na którą naciągnęłu fioletową błonę jamy chłonnej (a może odbytu); spod niej wylewała się pienista maź, purpurowy dżem. Aż do grotu Kła, na który nawijał się, jak na prądnicę, złoty powój, spirala zimnego ognia.

– Co onu robi…?

– Wytwarza dla nas biosferę – odparła Angelika.

Gdy nadszedł czas, Gheorg/Oficjum otworzyłu śluzę. Zamoyski podświadomie wstrzymał oddech, ale do wnętrza kabiny wionęło chłodne, świeże powietrze.

Popłynął korytarzem aż do przegubu. Złota poświata biła zza włazu z taką mocą, że musiał mrużyć oczy. Franciszek wlewału się do Kła.

Najpierw, na gorącej fali tego światła, setka ażurowych motyli o skrzydłach jak żagle; potem, skrobiąc głośno po ścianach, armia diamentowych

chrabąszczy. Chrabąszcze pozostawiają za sobą chropowaty ślad w materiale Kła, wąskie ścieżki tajemnego grawerunku – którymi już podążają niebieskie pędy, tuziny lepkich wężobluszczy. Z nich rosną pąki złotej cieczy pękające w fontanny rozedrganych kropli. A w kroplach też coś żyje, porusza się.

Adamowi przypomnia ły się zwierzęta trawiące swą ofiarę jeszcze przed połknięciem. Rany na przedramionach, zadane przez Angelikę i przez niego samego, piekły go ostro, nie pozwalając zapomnieć o wrażliwości cielesnego opakowania – jego bioware'u, jak mówiła McPherson.

Wrócił do kabiny, przykazał Gheorgowu: – Obudź mnie, jak wyrośnie tu McDonald's – po czym zasnął; to potrafił: zasypiać w nieważkości według kaprysu woli.

Angelika przyglądała mu się długą chwilę. Gdy spał – bardziej był podobny do Adama Zamoyskiego, jakiego zapamiętała z Farstone. Zagubiony, zmęczony, lekko przestraszony, bezbronny. Dotknęła go grzbietem dłoni, obrócił się w powietrzu. To twój pustak, Adamie Zamoyski – ale kim t y jesteś?

W istocie obudził go napór moczu na pęcherz, już bolesny. Uniósł powieki i przez ułamek sekundy nie wiedział, gdzie jest. Wisiał pod wielkim żółtym liściem, otoczony przez dżunglę złota, granatu i czerni, skąpaną w miodowym blasku. Powietrze pachniało cynamonem. Rozbuchany barok form organicznych przywodził mu na myśl Birmańskie Ogrody Sony: spędził tam z Niną ostatnie wakacje, opalali się nago pod rododendronami, słońce wówczas – Trzask – – przypomniał sobie sen, przypomniał sobie Narwę – – trzask, trzask – – już wiedział, jak zdobyć obywatelstwo.

Zacisnął pięść.

– Tak – szepnął. – Tak, tak!

Tymczasem jednak zwyciężała fizjologia.

Złapał się liścia, podciągnął, obrócił. Odchylona kurtyna złota ukazała pogrążoną w śnie Angelikę McPherson, unoszącą się w powietrzu w pozycji embrionalnej, z otwartymi ustami i dłońmi lekko zaciśniętymi, niczym niemowlę.

Poszybował w przeciwną stronę. Gdzieś tutaj powinien trafić na korytarz i szyb perystaltyczny – lecz nie dostrzegał nawet ścian Kła.

– Patrick! – zawołał cicho, by nie budzić dziewczyny.

– Panie Zamoyski…

Obejrzał się.

Z gęstwy wysypał się rój owadów (mieniły się w locie błękitno i seledynowo), by skonfigurować się przed Adamem w postać bladego mnicha w grubym habicie. Odrzucony kaptur ukazywał jasną tonsurę, ciemne włosy stroszyły się w nierówny obwarzanek. Mnich wyglądał na bardzo młodego; uśmiechał się nieśmiało.

Składniki jego manifestacji były o wiele rzędów wielkości większe od cesarskich nanomatów i odnosiło się wrażenie niejakiej ziarnistości sylwetki – z pewnością nie każdy włos z osobna został tu wymodelowany i zasemblowany.

– Obawiam się, iż już nie będziecie mieli wielkiego pożytku z Patricku – rzekłu Franciszek w klasycznym angielskim. – Jenu hardware, procesory Kła, mhm, okazały się niezbyt odporne na modyfikacje, jakich zmuszonu byłum dokonać.

Zamoyski rozejrzał się dokoła.

– Zbyt duże to wszystko, zbyt duże – mruknął. – Rozmontowałeś… rozmontowałuś wnętrze Kła?

– Rozmontowałum… powiedzmy. Ale proszę się nie martwić. Najprawdopodobniej nie będę musiału gościć was tak długo, jak się pierwotnie spodziewaliśmy; dlatego też zaniechałum syntezy anabiozerów. Wkrótce powinien się ktoś zjawić.

– Łączność? – spytał szybko Zamoyski. – Plateau?

– Owszem. To znaczy – moje.

– Co znaczy: twoje?

– Ach. Tak. Zostałum poinformowany o pańskiej przypadłości – westchnęłu Franciszek. – Plateau to nie UI, istnieje ich wiele, wszystkie słowińskie i w optimum Transu. Każdy Progres, każda Cywilizacja ma swoje. My korzystamy z tysięcy Plateau, chociażby jako środków łączności, forów handlowych. I gdy tylko odzyskałum dostęp do jednego z Plateau, w które jestem wtajemniczonu, upubliczniłum informację o naszym położeniu. Najwyraźniej blokada jest selektywna, część Wykresu Thieviego została już odkryta, część nie.

– Skontaktowałuś się z Gnosis?

– Nie wątpię, że informacja dotarła i do nich. Wszelako kiedy mówiłum o niedługiej gościnie, miałum na myśli jedynie fakt, iż nie będzie ona trwa-

ła dziesięciolecia k-czasu. Śmiem bowiem zakładać, że wasza Cywilizacja sama jest w poważnych kłopotach. Ratunek może nie nadejść aż tak szybko.

– No tak: zamknęli wszystkie Porty.

– Mhmm… – mnich okazał jeszcze większe zmieszanie. – Miałum na myśli nieco większe kłopoty…

– Cholera, rzeczywiście – rozespany Zamoyski potarł kark. – Te Wojny! Jeśli one niszczą po drodze mechanizmy wszystkich Kłów, to Porty zostały otwarte przemocą. No ale – kalkulował szybko – to powinno umożliwić Cywilizacji wysłanie po nas trójzębowca z Kłów trzymanych dotąd w Portach. Chyba że tak kiepsko stoją ze sprzętem, a ta wojna z Deformantami… to jest… chciałem powiedzieć…

Obudź się wreszcie i przestań myśleć na głos, durniu! Znajdujesz się we wnętrznościach jednu z nich. Skąd wiesz, po której naprawdę jest stronie?

Franciszek pokręciłu głową. Sięgnęłu za siebie, schwyciłu czarną lianę, rozerwału ją, ścisnęłu. Wypłynął z niej przezroczysty płyn. Powoli uformował się w drgającą bańkę. Franciszek ujęłu ją delikatnie w dłonie, po czym rozłożyłu szeroko ramiona; powtórzyłu gest w pionie. W powietrzu lśnił teraz półprzezroczysty owal cieczy, lepka błona. Manifestacja Deformantu przesunęła ją w bok.

Pod takim kątem ujrzał Zamoyski na owym ekranie czarną głębię kosmosu z milionem gwiezdnych cekinów, układających się w poprzek błony w Mleczną Drogę.

– To jest to, co stąd widzimy – rzekł mnich. – Ale to tylko światło. Tego już nie ma.

– Słucham?

– Tysiące lat będziemy jeszcze mogli podziwiać boski gobelin naszej galaktyki; lecz jej samej już nie ma. Wojny wyrwały się na wolność i przeszły od ramienia do ramienia. Każda drobina materii większa od cząsteczki wody została skollapsowana. Dotyczy to także wszystkich Kłów, które nie szły na kraftfali. Nie ma już Mlecznej Drogi – jest tylko mgławica czarnych dziur. Większość z nich zdążyła zresztą wyparować. Struktura grawitacyjna i moment pędu zostały zachowane – lecz teraz już tylko ciemność obraca się wokół ciemności. Wojny zaś – Wojny walczą dalej. Szukał pan urynału, panie Zamoyski? Tędy proszę. Tamten kwiat.

6. Plateau

SUZEREN

Fren spontanicznych przepływów informacji/energii w Bloku.

Pierwsza i jedyna inteligencja meta-fizyczna.

„BLOK”

Hipoteza meta-fizyczna, ujmująca jako konkretny byt zbiór wszystkich istniejących Plateau.

→ Byt o wątpliwym statusie ontologicznym.

Na Wykresie Thieviego: (n-2)-bryła zawierająca Plateau optymalne.

„Multitezaurus” (Subkod HS)

Wszystko to były owoce; nawet wgryzając się w nie do bólu szczęki i czując na języku smak mięsa, nie ośmielał się myśleć o nich jako o mięsie. Wszak spożywałby wówczas ciało Franciszku. Jadł zatem owoce.

Angelika zdecydowanie nie przejawiała podobnych oporów.

– Mhm, dobre, cholera. A to?

I pytała Deformantu o kolejne jenu organy.

W końcu odrywała kawałki i zjadała, nie pytając – po trochu wszystkiego, co wpadło jej w rękę.

Czasami z obrzydzeniem wypluwała.

Skojarzenia Zamoyskiego były inne: wyżeramy wu wnętrzności; my: pasożyty, inteligentne tasiemce.

Lecz jeść musiał. Byle nie myśleć, jedząc, co je.

– Smaug mi tłumaczył, ale to wydaje się nie trzymać kupy. Czym właściwie są te Wojny?

McPherson, unosząc się w powietrzu w pozycji lotosu tuż pod srebrzystą bańką wody, za którą falowały fosforyzujące liany-żyły, wsysała płynne złoto przez wpółzaciśnięte wargi.

– Mhmmmm, w tym rzecz, że właśnie nikt nie wie. Gdyby było wiadomo, można byłoby je po prostu zaprojektować i stworzyć. W sumie to tak samo jak z otwartymi inkluzjami i UI, jak z technologiami Otchłani: nie wiemy, dokąd zmierzamy, dopóki tam nie dotrzemy – – Okay, okay, już łapię.

Zmarszczyła brwi.

– Nie pojmuję, czemu się na mnie obrażasz. Sam pytasz, a potem – – Przepraszam – burknął.

– Masz, to cię przytka.

Skrzywił się, ale nic już nie powiedział.

Złoto smakowało jak ciepły sok pomarańczowy.

Wyciągnął rękę, by z kolei schwycić się sieci korzennej i podciągnąć ku wodzie, obmyć się w niej z płyn-złota rozlewającego się po skórze i wiążącego kończyny, ameba o mięśniach z napięcia powierzchniowego… Miast tego spadł.

Ciało (które pamięta) zareagowało szybciej niż umysł. Upadł bowiem już w przyklęku, z podparciem. Mimo wszystko stłukł boleśnie kość przedra-

mienia o wysoki podłokietnik fotela.

Sycząc przekleństwa, uniósł głowę. Salon Angeliki pogrążony był w półmroku. Za oknami wychodzącymi na dziedziniec stała noc – bezgwiezdna, oczywiście. Natomiast przez uchylone drzwi z korytarza wciskała się chmura żółtego blasku, szybko rozpraszanego ponad dywanem. Prawie widział, jak to ciężkie światło rozbija się w powietrzu na coraz mniejsze cząstki, które potem wsiąkają bezgłośnie w miękką materię orientalnego kobierca. Miał w nim zanurzoną dłoń, więc czuł tę miękkość; i czuł, jak masywne światło wstępuje z podłogi, ze starożytnej tkaniny, po liniach mocy i wypełnia mu organizm, coraz ściślej, coraz gęściej, haa-aach! – a wszystko w ułamkach sekund.

Wstał, wyprostował się.

– Gheorg.

Patrick Gheorg McPherson już przestępowału próg. Drzwi zaskrzypiały przepięknie, uchylane coraz szerzej, gdy wychodziłu z tunelu światła – woskowożółtego, jakby filtrowanego przez stary pergamin.

– Stahs McPherson spotka się z tobą za kilka chwil – rzekłu ściszonym głosem.

– Gdzie Angelika?

– Śpi. – Manifestacja phoebe’u krótkim ruchem oczu wskazała ku sypialni.

Zamoyski odruchowo spojrzał na zamknięte drzwi.

Już bez słowa więcej wyszli obaj na zamkowy korytarz. Teraz ujawniło się źródło światła: rzędy rozstawionych wzdłuż ścian lichtarzy. Dziesiątki świec oddychały w niezgranym rytmie, blask i cień migoczące na powierzchniach ścian i mebli; a ta srebrzysta zbroja – wydawało się, że już unosi ramię, już obraca się jej hełm… W świetle świec wszystko drży w gorączkowym oczekiwaniu.

– Moetle? – spytał Zamoyski.

– Też dopiero co został powiadomiony. Widzisz, stahs, nie spodziewaliśmy się odnowienia połączenia, nikt nie jest w stanie przewidzieć posunięć Wojen, i – – Co?

– Wojny – – Coś ty powiedziału?

– Że się nie spodziewaliśmy – – Jestem stahsem? Otrzymałem obywatelstwo?

– Stahs McPherson ci je wykupił.

– Który?

– Stahs Judas.

– Ach, tak… – Zamoyski pokiwał głową, jakby od początku się tego spodziewał. – Można wiedzieć, co go nagle do tego skłoniło?

– O tym, jak sądzę, on sam najpełniej cię poinformuje, stahs.

– Za kilka chwil, co? – mruknął z przekąsem Zamoyski. – Ale wiecie przecież, jaka jest nasza sytuacja? Skoro Wojny załatwiły wam zewnętrzne Kły, tak czy owak musieliście się otworzyć, choćby na moment. Posłaliście po nas trójzębowiec?

– Poszły dwa Porty Uniwersalne.

– Hę?

– Porty zawieszone na oktagonach kubicznych. Oktagon do sześcianu, stahs: pięćset dwanaście Zębów. To jest minimum, jeśli mamy choć przez k-moment utrzymać Port w Czasie Słowińskiego.

– Chcecie nas podsłowińczyć…?

– Was? Skądże. Porty Uniwersalne, stahs, zawierają jedynie złapany po drodze martwy glob jako surowiec, oraz odrobinę cesarskiego nanoware'u. Po przybyciu na miejsce i rozpoznaniu sytuacji Port przyspiesza do Słowińskiego, po czym zapuszcza inf. W ścieżce technologii militarnych jest to rozwiązanie stojące tuż pod Wojnami: ultymatywny okręt wojenny. Zanim wróg zdąży w ogóle zauważyć przybycie oktagonu kubicznego, ten wyrzyga na niego całą Cywilizację Śmierci: przez tysiąclecia Port-czasu specjalnie na te okoliczności doskonalone technologie mordu, inteligencje zniszczenia. Loża zadecydowała o wysłaniu za wami dwóch Portów Uniwersalnych.

– Na miłość boską, dlaczego…?

– Ależ proszę się nie bać, to dla waszego bezpieczeństwa i odstraszenia, mhm, konkurencji…

Zamoyski spoglądał na manifestację Patricku Gheorgu rozdarty między wściekłością, rozpaczą i totalną konfuzją. Co onu próbuje mi powiedzieć? Co właściwie się tutaj tymczasem wydarzyło?

Bo jeśli phoebe okazuje gestem, miną i słowem zmieszanie i konsternację, to nie dlatego, że naprawdę nie wie, co powiedzieć, i dopiero szuka stosownych sformułowań – ale że właśnie chciału okazać zmieszanie i ja miałem je dostrzec!

– Jakiej konkurencji?

– Mogę się tylko domyślać, jakie aktualnie jest wasze położenie, stahs, niemniej – – Jak to, nie zapisywaliście mnie, nie archiwizowaliście? Myślałem, że gdy tylko – – Nie mamy już prawa. Jesteś obywatelem Cywilizacji.

– Ach, tak.

Gheorg uniósłu rękę.

– Czy chcesz zaktulizować archiwalną kopię swego frenu, stahs?

Zamoyski obrzucił manifestację wrogim spojrzeniem.

– Nie – warknął.

Tamtu opuściłu rękę.

– Zatem zapis nie zostanie dokonany. To oczywiste, że wymagana jest zgoda.

Teraz już tak, i teraz już oczywiste. Zamoyski oparł się o ścianę, założył ręce na piersi. Ale te oktagony[3]…! Mój Boże. Im więcej się dowiadywał, tym trudniej mu było wierzyć. Z początku widział był niewiele: czysto uprzątniętą scenę, na której odgrywano przed nim bezpieczne rytuały. Ale teraz z każdym krokiem schodził coraz głębiej we wnętrzności teatru, i machiny, jakie się tam ukazywały, ogromne i skomplikowane, porażały zmysł logiki i estetyki. Skollapsowana cała materia galaktyki! Wieloparsekowe ugięcia przestrzeni! Przestrzeni i czasu – aż do prędkości ponadludzkich. Jaki właściwie jest ten Czas Słowińskiego…? No i inkluzje – inkluzje odmiennych fizyk. I prawa zmiany praw: meta-fizyka. I Deformanci, i UI. I Wojny – czym, u diabła, są te Wojny?!

Rudobrodu sekretarz stahsa McPhersona – ciemny garnitur, jedwabny krawat, obrączka na palcu (czy byłu żonatu/mężatu?) – stału nieruchomo, światło świec wydobywało z oczu jenu manifestacji demoniczne błyski. Przez te parę sekund, gdy Zamoyski obracał w głowie niemożliwość za niemożliwością, Gheorg na Plateau przeprocesowału zapewne kilka tysięcy żywotów. Jest phoebe’um – czy właśnie ta prędkość myśli nu skusiła? A może phoebe’um się urodziłu…?

– Słowińczyk? – zagadnął nu Adam.

Gheorg skinęłu głową.

– Więc tak naprawdę żyjesz na Plateau, phoebe, a te cielesne manifestacje – to tylko ubogi interfejs, prawda? Jesteś obywatelem Cywilizacji?

– Oczywiście.

Oczywiście. Przecież jest McPhersonem.

Muszę się wyzbyć podświadomej pogardy dla niebiałkowców.

– Jak to właściwie jest z płcią phoebe’ów? – zagadnął, by przerwać ciszę. – To znaczy, orientuję się, że ani żeńska, ani męska, muszę sobie zresztą bez przerwy o tym przypominać, żeby się nie pogubić w tych postpłciowych deklinacjach… Dlaczego po prostu nie „to”? Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale nie rozumiem, po co te lingwistyczne wygibasy. Przecież – – Ja nie jestem bezpłciowu, nie jestem aseksualnu – rzekłu sucho phoebe, spoglądając na Zamoyskiego bez mrugnięcia. – Po prostu moja seksualność całkowicie transcenduje kategorie męskości i kobiecości. Jeśli możesz dowolnie zmieniać kolor włosów, pozbyć się włosów w ogóle lub zastąpić je czymś zupełnie innym, i przyszedłeś na świat ze wszystkimi tymi potencjami – to jaki sens ma pytanie, czy jesteś blondynem, czy brunetem? Tak samo nie pytasz o płeć postseksualisty.

Dopiero teraz zapadła naprawdę krępująca cisza. Adam zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej wrócić na te kilkanaście minut do Franciszku, zamiast – – Stahs Judas McPherson przeprasza, że musisz czekać, stahs – odezwału się Gheorg. Ton sugerował, że Gheorg kontynuuje jakąś wcześniejszą wypowiedź. Być może było tak w istocie: przecież 99%informacji docierało do nienu przez zmysły plateau’owe i tam, na Plateau, żyłu onu naprawdę. – Skoro wszakże masz chwilę czasu – nieustannie napływają na Pola Gnosis liczne zaproszenia dla stahsa Adama Zamoyskiego.

– Nikogo nie znam przecież. Może tylko ci z wesela – – Och, ale wszyscy znają ciebie, stahs!

Zamoyski wymienił z phoebe’um znaczące spojrzenia.

– Więc to tak. Mówią o mnie – macie tu telewizję?

– Twoje nazwisko padło wielekroć podczas obrad Lóż, stahs.

– Cóż, jestem przyzwyczajony. Przeżyłem Wojny, przeżyję i sławę wszechświatową.

Znowu spojrzenie niosło więcej treści niż słowa. Phoebe, z rękoma założonymi za plecami, torsem podanym w przód, uśmiechału się porozumiewawczo.

– Kto? – spytał Zamoyski.

– Stahs Judas McPherson poleca twej uwadze wielce szanowanego specjalistę, który jest starym przyjacielem klanu i dla którego stanowisz, stahs, przedmiot badań. Poczytałobu sobie onu za zaszczyt, gdybyś – – Specjalistę od czego? Kognitywistę? Udostępniliście wu zapisy mojego umysłu?

– Skądże!

– Judas chce, żebym się z num spotkał?

Gheorg wzruszyłu ramionami.

– Masz czas i jeśli stać cię na tę grzeczność, stahs.

– Rozumiem, że pozostajesz teraz w kontakcie z tym specjalistą. Także phoebe?

– Tak. Zatem? Przeadresować?

Zamoyski oderwał się od ściany, wyprostował, rozglądnął po korytarzu – i wyszczerzył zęby w złym uśmiechu.

– Wal.

Oczekiwał znowu dezorientacji, a co najmniej przeorientowania zmysłów. Tymczasem przez dwa uderzenia serca stał jeszcze w zamkowym korytarzu, w napiętym bezruchu, z Gheorgum po lewej ręce – – a z uderzeniem trzecim szedł już brzegiem błękitnej zatoki pod ogromną kulą słońca. Słońce wisiało nad głową tak nisko, że wydawało się, iż dosięgnie je mocno ciśnięty kamień.

Przesłaniało dwie trzecie nieba. Pod głęboką krzywizną słońca zdawała się uginać powierzchnia wody, miękkie fale przesuwały się po wklęsłej soczewce zatoki.

Że Zamoyski w ogóle dostrzegał tę krzywiznę… Powinien był paść z wypalonymi źrenicami. Powinien zostać spalony na popiół i plazmę.

Odruchowo skulił się i rozglądnął za cieniem. Uciekać! Tak blisko – niechby najmniejsza protuberancja… wyparuje morze, spłoną palmy, zeszkli się biały piasek.

Powietrze tymczasem było wilgotne, ledwo ciepłe, od wody płynęła chłodna bryza. Stało to w tak rażącej sprzeczności z tym, co widział – gorejąca gwiazda na wyciągnięcie ręki – że aż musiał przymknąć oczy.

I teraz winien dotrzeć do niego także zapach: morza, potu i roślinnej zgnilizny. Ale nic. Oszczędzono mu zatem ułudy symulacji komplementarnych.

W oddali ktoś śpiewał w nieznanym języku; bliżej skrzeczały ptaki.

– Stahs Zamoyski.

Szła ku niemu od szeregu altan plażowych, po ścieżce ułożonej z symetrycznych białych kamieni. Jedną ręką odgarniała spłowiałe włosy, drugą wyciągała na powitanie. Była tak mocno opalona – do głębokiej czerni sprażonych ziaren kawy – że dopiero uścisnąwszy jej dłoń, zdał sobie sprawę, iż kobieta jest zupełnie naga. Wszelako ta jej stuprocentowa opaleni-

zna, brak włosów łonowych oraz zwierzęca swoboda ruchów – wszystko to odsuwało ją daleko poza kontekst erotyczny; nie była naga.

– Słowiński – przedstawiła się.

Skłonił się nisko.

– Phoebe.

– Stahs.

Czy powinien ucałować jej dłoń?

Ujęła go pod ramię i poprowadziła ku altanom.

Adam manifestował się dotąd zawsze z wyobrażenia pochodzącego z jego frenu; stanowiło to chyba regułę oesów cywilizacyjnych. Nadal więc miał na sobie zniszczone ubranie, w którym opuścił był Puermageze; teraz jeszcze ze złotą plamą na koszuli – pamiątką po słodkich sokach Franciszku.

Dostosował rytm marszu do długiego, spokojnego kroku kobiety. Może mu się wydawało, ale czuł, że kamienie uginają się lekko pod jego stopami. Jakby się zapadał podeszwami butów w materię głazów.

– Podobno stanowię przedmiot twojego naukowego zainteresowania, phoebe.

– Być może skorzystasz na tym.

Uniósł brew. Kobieta opuściła głowę, pozwalając opaść na twarz spłowiałym włosom. Zamoyski natychmiast pomyślał o Angelice. Inny hardware, program ten sam.

– Byłubym skłonnu zapłacić za prawo swobodnych przeindeksowań twoich Pól transferowych. Ty byś tego nie odczuł, stahs, korzystałbyś z Plateau jak dotąd.

– A w jakimż to celu owe… przeindeksowania?

Nie odpowiedziała od razu. Wcześniej usiedli w cieniu. Jako że prawie całe niebo było słońcem, cień skupiał się wyłącznie w ciasnych, głęboko ukrytych węzłach, miejscach osłanianych niemal ze wszystkich stron. Zamoyski z ulgą wcisnął się w pionowy kokon półmroku.

Pod palmami niewidzialne zraszacze stawiały w słońcu konstrukcje z wody i mgły. Świat migotał ziarniście, niedostrojony, skazany na kolory najostrzejsze.

Im dłużej się Zamoyski przyglądał, tym bardziej był pewien, iż owe drobiny wodne utrzymują się w powietrzu stanowczo zbyt długo, zbyt rozciągnięte są ich parabole, zbyt powolny upadek – a przecież ciążenie wcale nie

było mniejsze od ziemskiego, nie czuł różnicy swym nanomatycznym ciałem.

– Ładnie tu.

– Dziękuję.

– Na brak słońca, co prawda, nie mogłem ostatnio narzekać…

Wyci ągnąwszy przed siebie nogi, Zamoyski przeczesał palcami gęstą brodę. Kobieta siedziała z dłońmi ułożonymi równo na udach, wyprostowana; pochwycił jej rozbawiony wzrok. Brudny awanturnik i naga westalka. No tak. Lecz co właściwie chciału mu zakomunikować swoją nagością? Już się nie łudził, że cokolwiek mogło być tu przypadkowe – widzi, co ma widzieć, słyszy, co ma słyszeć, myśli, co – Szarpnął się za wąs, aż łzy stanęły mu w oczach.

Naga – naga, to znaczy niecywilizowana; takie jest najpierwsze skojarzenie. Dzikuska. Dlaczego Słowiński chciałuby odciąć się w moich oczach od Cywilizacji HS?

– Jeśli nie będzie to nietaktem… – zamruczał Zamoyski. – Nie urodziłuś się phoebe’um, prawda?

– Nie, pochodzę z pierwszej tercji. Przesiadłum się z białka na Plateau, gdy tylko stało się to możliwe. Szczegóły mojej biografii – ach, ale ty nie potrafisz jeszcze korzystać z Plateau, stahs.

– Nauczę się. I właśnie zaczynam się zastanawiać… Czy ty słałuś mi zaproszenia przez cały ten czas, tylko że ja właśnie nie miałem dostępu do… Nie. McPherson cię poinformował, że wróciłem? Nie. Czy można z zewnątrz rozpoznać, co się procesuje na cudzych Polach?

– Nie.

– Nie można. Tak.

Uśmiechnęli się do siebie przez gęstą zawiesinę światłocienia.

– Jestem, z frenu i profesji, meta-fizykiem – powiedziału Słowiński. Podniosłu swą manifestacją leżącą na ziemi muszlę i przycisnęłu ją do ucha manifestacji.

Adam pochylił głowę.

– Jak dla mnie, phoebe, jesteś Einsteinem dwudziestego dziewiątego wieku.

– Noo, to rzeczywiście wiele pozostało do wytłumaczenia. – Odsunęłu muszlę, westchnęłu. – Widzisz, stahs, racją istnienia inkluzji jest odmienność rządzących w nich praw. Sztuka odkraftowywania czasoprzestrzeni to

sztuka konstruowania nowych fizyk. Jak się jednak zapewne domyślasz, i tu obowiązują pewne ograniczenia.

– Prawa zmiany praw.

– Tak.

Z manierą taniego prestidigitatora potrząsnęłu konchą i podału ją Adamowi. Muszla okazała się wypełniona po brzegi niewielkimi kamieniami szlachetnymi różnych barw i rozmaicie ciętymi.

– Proszę sobie wybrać jeden. No. Jeden jedyny.

Wahał się: dłoń podniesiona, palce rozchylone.

– Tym właśnie – rzekłu – tym właśnie zajmuje się meta-fizyka.

– To znaczy czym?

– Grzebaniem na ślepo w skarbach.

Czerwony rubin. Uniósł go do słońca, spojrzał. Krew zalała oczy. Taki maleńki – a jednak widać: fasety prostopadłe, kształt graniastosłupa. Wsunął go do kieszeni.

– Pytanie, jakie sobie zadajemy – ciągnęłu Słowiński – brzmi następująco: co właściwie reprezentują stałe meta-fizyczne? Z jakich praw wynika owo ograniczenie zmiennej czasu, tak nieszczęśliwie ochrzczone moim nazwiskiem? Z jakich – Zakaz Thieviego? Czy inżynieria meta-fizyczna w ogóle tworzy nowe inkluzje, czy tylko wykorzystuje istniejące od zawsze?

Zamoyski potrząsnął pytająco muszlą, skarby wysypały się na piasek.

Manifestacja Słowińskienu pokręciła głową.

– Nie, nie. To – wskazała muszlę – to są te pierwsze, prymitywne skojarzenia. Nie ma przecież żadnego „większego” wszechświata, który zawierałby nasz i wszystkie inkluzje. Nie ma żadnego takiego superplastra, *n*-wymiarowej przestrzeni, gdzie *n* równa się liczbie obieralnych parametrów fizyki i każdy punkt oznacza jedną, konkretną inkluzję. To tylko abstrakcyjna symulacja: Wykres Thieviego. Wy, stahsowie, nawet jej nie potraficie ujrzeć swymi trójwymiarowymi zmysłami, ani sobie wyobrazić trójwymiarowymi umysłami. Jeden z paradoksów Progresu: uprawianie prawdziwej meta-fizyki możliwe jest dopiero na Plateau, a nie stworzysz należącej do Plateau inkluzji bez znajomości meta-fizyki.

– Mhm, wydaje mi się, że potrafię sobie wyobrazić Wykres Thieviego. Nasz wszechświat to punkt o współrzędnych odpowiadających jego stałym fizycznym. Tak?

– Masz w umyśle definicję Wykresu Thieviego, nie sam Wykres. Podobnie rozumiesz, czym jest, na przykład, siedmiowymiarowy „sześcian”, ale go nie w i d z i s z, nie stworzysz w głowie o b r a z u. A przecież sam Wykres Thieviego jest jedynie konstrukcją logiczną, m o d e l e m. I w ramach tego modelu dociekamy praw głębszych. Wnioskujemy z danych cząstkowych. Wiemy na przykład, że określony wycinek tej wyobrażonej *n*-przestrzeni – można nawet rzec: monolityczny blok – składa się wyłącznie z Plateau: należących do poszczególnych Cywilizacji oraz Deformantów, współczesnych i niegdysiejszych. Monolityczności tego bloku domyślać się możemy z wielkiego trudu, z jakim przychodzi dziś ustanowienie jakiegokolwiek nowego Plateau. Nawet jeśli już trochę niedoskonałego pod względem prędkości procesunku czy kosztu Transu.

– Moment, czy istnieje jakaś skończona liczba – – Ach, przepraszam, stahs. Zakaz Thieviego: dla danej kombinacji zmiennych meta-fizycznych można odciąć tylko jedną inkluzję.

Zamoyski potarł kark.

– Mhm, no ale skoro można odkraftowywać takie Saki, i En-Porty, Porty w Portach – zakładam, że podobnie jest z inkluzjami, prawda? – to otwierając inkluzję z inkluzji z inkluzji, możemy się zagnieździć w każdym Punkcie Thieviego dowolnie głęboko.

– Brawo! Właśnie odkryłeś Dowód Pruta, stahs, jeden z dwóch wyjątków od Zakazu: dla danej kombinacji zmiennych meta-fizycznych można odciąć tylko jedną inkluzję pierwszego stopnia.

– Jaki jest drugi wyjątek?

– Och, on już dotyczy fizyki uśpionej, nie będę się nad tym teraz rozwodzić, stahs. To są teorie – praktyka bowiem, inżynieria meta-fizyczna, pokazuje, iż nie ma tu wiele miejsca, wszystkie najlepsze współrzędne zostały wykorzystane. Blok posiada strukturę kryształu. No ale właśnie! – kobieta zaśmiała się, klasnęła w dłonie.

– Czy mówiąc „blok” – szepnęła konfidencjonalnie – mówię o jakimś bycie w rodzaju galaktyki, komórki nerwowej, diamentu czy chociażby atraktora – czy też jedynie tworzę wygodną nazwę dla jednego z przypadkowych zbiorów danych? To jest palma – wskazała palmę – jej pień, liście, owoce; wskazuję części, łączę je i mówię: „palma”. Palma istnieje. Teraz – zakreśliła wielkim palcem lewej stopy kwadrat w piasku – mówię, że ten kawałek plaży to aracuotcha. Na czym mianowicie miałaby polegać jego

aracuotchowatość? Czy istniał jako aracuotcha zanim go nazwałum? Czy istniał w ogóle inaczej niż jako kawałek plaży?

Jeszcze bardziej nachyliła się ku Zamoyskiemu, białe włosy opadły jej na oczy.

– Czy Blok istnieje, panie Zamoyski? Jak pan sądzi?

A więc to test. A więc to przesłuchanie. Następnu w kolejce do drenażu mojej pamięci.

Opuścił wzrok na kwadrat w piasku.

– Spływy – mruknął. – Te tajemnicze zaburzenia Pól Plateau, losowe zniekształcenia danych.

Próbował sobie przypomnieć, co Angelika mu o Spływach mówiła. Podejrzenia Judasa… plotki… że podczas zamachów w Farstone…

Słowiński ponownie klasnęłu.

– Dobry jesteś – szepnęłu, prostując się w reakcji mimowolnego podziwu.

Nie dał się zwieść: to phoebe.

– Intuicja pierwszej klasy. – Onu kiwału głową i uśmiechału się porozumiewawczo. – Niezwykle udana implementacja; szanuj tego pustaka, stahs.

– Zamierzam.

Słowiński z westchnieniem podniosłu swą manifestację, weszłu w kurtyny wodne, zakręciłu nią na pięcie. Strząsała krople z włosów i twarzy, teraz, w kontraście, jeszcze ciemniejsza.

– Stworzyłum dla celów czysto badawczych wiele Plateau – mówiła przez szum wody, nie patrząc na Adama, który obracał w palcach muszlę nadal ciężką kosztownościami. – Rejestruję Spływy i analizuję korelacje.

– Istnieją jakieś?

– Teraz już tak. – Jeszcze kilka piruetów, po czym wróciła do altany, oparła się o jej ścianę. Srebrne krople sztucznej rosy gęsto inkrustowały ciemną skórę. – Z tobą, stahs Zamoyski.

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Czyli że niby jakoś je wywołuję? – parsknął. – Te Spływy. Tak na durch przez Blok. Mhm?

Machnęła ręką, po raz pierwszy jawnie zirytowana.

– Korelacja to bardzo szeroki termin, nic nie mówi o przyczynie i skutku. Niemniej zbieżność jest niewątpliwa.

– Ach, to stąd wiedziałuś, phoebe, że wróciłem na Plateau. Zmia na wzoru Spływów wskazała na moje pojawienie się na Polach Gnosi s.

– Tak.

– I prawo do przeindeksowywania mnie – – Właśnie – przytaknęła. – To pozwoliłoby mi uściślić formułę i sprawdzić pewne hipotezy. Randomizowałubym te przerzuty – i Spływy albo by zareagowały, albo nie. Ty subiektywnie niczego byś nie zauważył, stahs, indeks pomocniczy aktualizowałby adresy na bieżąco, gwarantuję pełną obsługę.

Randomizowałuby, akurat! To pozwoliłoby ci nie tylko uściślić formułę – to pozwoliłoby ci potem s t e r o w a ć S p ł y w a m i, moju drogu phoebe Słowiński.

– Prawdę mówiąc – rzekł na głos – pojęcia nie mam, co Spływy mogłyby mieć ze mną wspólnego. No ale cóż, zazwyczaj ostatni dowiaduję się o sobie takich rzeczy… Załóżmy, że to prawda. Lecz jeszcze bardziej prowokować sytuację… dla mnie to wygląda na głupie ryzykanctwo, potrząsanie czerwoną płachtą przed bykiem.

– Ach, więc i ty uważasz, że on nie tylko istnieje, ale że – r e a g u j e.

– A nie?

Manifestacja Słowińskienu potarła ramiona, jakby zdjęta nagłym chłodem. Przysiadła pod ścianą altany na piętach.

Zamoyski chciał założyć nogę na nogę, powstrzymał się.

Kobieta w roztargnieniu mieszała z piaskiem rozsypane kamienie szlachetne.

– Nazywamy go Suzerenem – odezwała się wreszcie. – Spontaniczna lub sztuczna forma kompleksowych zaburzeń Bloku. W przekroju pojedynczego Plateau jest to pozbawiony treści i celu zbiór Spływów gęstego chaosu – podobnie jak dwuwymiarowy przekrój mózgu pokazuje tylko bezsensowne błyski na gleju i neuronach. Lecz w Bloku…

Spojrzała nań.

– Taka hipoteza – cmoknął.

– Właśnie.

Uśmiechali się do siebie w niemym porozumieniu.

Sprzeczne interesy, odmienne mentalności, nierówne pozycje – a jednak: sympatia. Taka się atmosfera wytworzyła, konwencja reakcji między nimi: że nawet jeśli oszustwo, kłamstwo (bo czy mógł jewu wierzyć?), nawet jeśli cios w plecy – to też: z półuśmiechem i pewnością żartu z ust pokonanego.

Nie roztrząsał już więcej, jaka to manifestacja: biologiczna, nanomatyczna, plateau'owa. Wrażenie ostatecznie zwyciężyło.

Phoebe, myślał Zamoyski, jest człowiekiem; jest człowiekiem bez wątpienia. Kimś więcej – zapewne; ale również człowiekiem, zawiera człowieczeństwo w sobie. Prawdopodobnie tak samo, jak inkluzja logiczna zawiera w sobie phoebe'u. A inkluzja ultymatywna – wszystko.

I skoro już wpadłem w świat takiego paradygmatu, muszę żyć podług niego; żyć, myśleć. W górę! Na Plateau!

Czy kontrakt ze Słowińskum dałby mi wystarczająco wiele pieniędzy na wykup własnych Pól Plateau, abym już nie polegał na oesach Gnosis, ich gościnności i ich Patrickach Gheorgach?

Zapytał o to manifestację.

– Ja mogę ci sprzedać całe Plateau – odparła. – Prawie tak samo dobre jak Cywilizacji Homo Sapiens.

– Zadowolą mnie Pola na jej Plateau.

– Nie ma sprawy.

– Jak długo obowiązywałaby ta umowa?

– Rzecz jest do uzgodnienia. Przede wszystkim: liczyłby się jedynie czas twojej faktycznej obecności na Plateau. Nalegałubym też na możliwość przedłużenia. Okres podstawowy: megapentyn.

– Co?

– To miara a-czasu.

– Te wszystkie zabawy czasem – – Rozumiem. Mogą być nieco dezorientujące dla stahsa z dwudziestego pierwszego wieku.

– Tutaj, jak sądzę – Zamoyski machnął ku niebu/słońcu – nie jesteśmy relatywizowani.

– Poznałbyś. Szybkość twojej percepcji i reakcji, stahs, ograniczają prawa twojej biologicznej realizacji. Gdybyś to nią znajdował się tutaj, nie jedynie manifestacją *via* Plateau, to co innego – fren w pustaku procesowałby równie szybko. Ale tak?

– Jednak to twój Port, phoebe?

– Gwoli ścisłości, nie jest to Port, lecz inkluzja. Odcięcie całkowite.

Zamrugał.

– No tak, to tłumaczy to cholerne słońce. Czego się w końcu spodziewać po daczy meta-fizyka, hę? Pogrzebało się trochę w regułach, prawda? Jed-

nak chyba wygodniej byłoby spotkać się bezpośrednio na Plateau, w jakichś konstruktach zmysłowych…

– Powiedzmy, że jestem nieco – – Co się dzieje?

– Mamy gościa. Osca.

To ostatnie skierowane było już do kolumny pyłu, która przebiła się przez kurtyny wodnej mgły i właśnie konfigurowała się przed oczyma manifestacji Słowińskienu i Zamoyskiego w postać młodej kobiety w długim sari, z mnóstwem złotych i srebrnych bransolet na ramionach, jasnym diamentem w nozdrzu.

– Stahs Adam Zamoyski – przedstawiłu ich sobie Słowiński. – Osca Tutenchamon, niepodległa inkluzja otwarta.

Nie wiedząc, jak się powinien zachować, Zamoyski na wszelki wypadek zachował się możliwie najuprzejmiej: wstał, skłonił się, wyciągniętą rękę ujął delikatnie i ucałował.

Gdy się wyprostował, nastrój był już inny. Obie manifestacje kobiece przeskoczyły na przeciwne bieguny behawioru: Słowińskienu – piorunowała Hinduskę wzrokiem; Tutenchamonu – spoglądała spod wpółopuszczonych powiek z ostentacyjną pogardą, zarówno względem phoebe'u, jak i stahsa.

Gdyby phoebe i inkluzja manifestowały się szerzej, rozpylane w powietrzu drobiny wodne chyba zamarzałyby w locie.

Coś się wydarzyło, zdał sobie sprawę Zamoyski. W tym ułamku sekundy, gdy nie patrzyłem. Bo tam, na Plateau, w inkluzjach i Portach Słowińskiego – to były godziny, dni, może lata. Może millenia.

Następna kolumna kurzu przebiła mgielne parawany. Nikt już nic nie mówił. Adam również czekał w milczeniu, cofnąwszy się tylko w cień. Rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, co o obsłudze Plateau powiedzieli mu Angelika i Gheorg. Czy gdyby teraz zawołał na głos Patricku – informacja o wezwaniu przebiłaby się do sekretarza McPhersona w oesie Farstone? Jakie są mudry na wyjście z Plateau? Czy Angelika w ogóle pokazała mu jakieś? Co tu się dzieje?

Powietrze tężało w mrozie siarczystej nienawiści.

Z drugiego wiru zestalił się niski Azjata w chińskiej szacie. Zamoyski rozpoznał go: to on bił przed Gheorgum czołem o posadzkę tarasu po zabójstwie Judasa. Cesarski mandaryn – czy tak?

Wszyscy patrzyli na Zamoyskiego.

– Z troski o Cywilizację – odezwała się manifestacja Tutenchamonu. – Adamie Zamoyski: nie jesteś człowiekiem. Nie jesteś człowiekiem. Nie jesteś człowiekiem.

– Słyszałem – rzekł mandaryn.

– Słyszałum – rzekła manifestacja Słowińskiego.

– Phoebe – skłoniła się manifestacja inkluzji. – Wasza Wysokość.

Po czym rozsypała się w proch i pył – rozwiał ją wiatr, zmyła sztuczna rosa.

– Zabrzmiało to nieomal jak wyzwanie na pojedynek – zaśmiał się z wysiłkiem Zamoyski.

– To b y ł o wyzwanie na pojedynek – stwierdziła manifestacja Słowińskienu i kopnęła upuszczoną muszlę aż pod palmy. Stłukła sobie przy tym stopę i teraz podskakiwała na jednej nodze, wściekła – taki na poły komiczny behawior manifestowału Adamowi i Cesarzowi.

– Stahs – zwrócił się mandaryn do Zamoyskiego – Wielka Loża chciałaby się z tobą spotkać w najbliższym dogodnym terminie. Wyrazy szacunku. Powodzenia. Cesarz będzie czuwał.

I także odszedł w niebyt.

Usiadłszy ciężko i oparłszy się o ściankę altany, Adam spojrzał z wyrzutem na ciemnoskórą kobietę.

– Litości – jęknął – toż to jakieś pieprzone kabuki. Królestwo za suflera!

– Moja wina – przyznału Słowiński. – Wpuściłum Tutenchamonu bez twojej zgody, stahs. Ale onu z góry wiedziału o tobie i przecież nigdy dotąd nie stosowału takiej taktyki; nigdy nikogo nie wyzwału. Przedstawiłu inny cel swego przybycia, okłamału mnie. Niemniej przyznaję: to moja wina.

– Przed chwilą twierdziłuś, że nie wie o mnie nikt prócz ciebie i tych z Gnosis. I co za pojedynek, do cholery?!

– Któż przeniknie myśli inkluzji…? – zadeklamowała manifestacja phoebe'u. – Któż zmierzy jenu moc? To w górę Krzywej ode mnie. Może jakieś Studnie Czasu… A pojedynek… cóż, należysz do Cywilizacji. Zarchiwizuj się przedtem; Loża by ci nie darowała, stahs. Najwyraźniej nie ja jednu dostrzegam zainteresowanie tobą Suzerena. Ostatnio Spływy na Plateau Czterech Progresów bardzo się zintensyfikowały. A przecież i tak jesteś już osobą publiczną, stahs. Zresztą, jak słyszę, Deformantom dobrze zapłacą za twoją aktualną realizację. Tak, tak, proszę się nie dziwić, rozniosło się, mu-

siało; trwa wyścig do twojego pustaka. To jak, przybijemy umowę? Wezwać z powrotem Cesarza?

– Ja nic z tego wszystkiego nie rozumiem! – zawołał Zamoyski z rozpaczą, chwytając się za głowę.

– To dobrze o tobie świadczy: jesteś człowiekiem. Cokolwiek by mówiłu Tutenchamon.

– O, tak, to brzmi dumnie. Człowiek! Gnój Progresu.

– Zastanowiłeś się?

– Zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda z mojej strony?

– Domyślam się.

– No tak, zapewne robisz mi w czasie rzeczywistym te, jak im tam, modelunki frenu.

– Wy też je układacie w głowach, bez przerwy, wobec każdego swego interlokutora, stahs. Jedyna różnica jest taka, że robicie to podświadomie.

– Wy podświadomości nie posiadacie?

– Mogę mówić tylko za siebie.

– I?

Uśmiechnęła się.

– Zarezerwowałum dla niej trochę Pól buforowych.

Wstał.

– Muszę dać odpowiedź teraz?

Manifestacja Słowińskienu rozłożyła ramiona.

– Wobec tego – w jaki sposób mogę się jeszcze z tobą porozumieć, phoebe?

– Znasz adres i klucz; przyznam ci kod dostępu.

– Rzecz w tym, że właśnie nie bardzo… Nie mam nawet własnych Pól, przechodzę przez Gnosis.

– Tak. To jest niewygodne – przyznała.

Zamoyski czekał w milczeniu.

Pokiwała karcąco palcem – ale już wpółuśmiechnięta.

– Okay. Niech to będzie zaliczka. Wadium. Pochlebia mi zresztą twoje zaufanie. Zazwyczaj robią to rodzice.

– Co?

– Dobierają i konfigurują oes dzieci. Proszę.

Pobiegła przez firany mgielne i wróciła z muszlą. Wręczyła ją Zamoyskiemu.

Ostrożnie przyjął pustą konchę.

– Powinienem coś z tym zrobić? – zmarszczył brwi.

– Kupiłum ci decymetr sferyczny Plateau Cywilizacji Homo Sapiens. Adresowany od THIS THORN IS FROM THE TREE I'VE PLANTED. Zapamiętaj. Zmienić teraz domyślne ustawienia twojej wszczepki?

– Zejdę z Pól Gnosis?

– Tak.

– Poprzednio manifestowałem się w Sol-Porcie i – – Przyporządkowania cesarskie zostaną zapamiętane. Nastąpi przesunięcie całości zasobów. Zresztą Cesarz i tak musi to potwierdzić; usłyszeć twoje potwierdzenie, zapisać twoją wolę, stahs. A zatem – potwierdzasz?

– Tak.

Słowiński skinęłu głową manifestacji.

– Gotowe.

Cesarz słuchał.

Zamoyski uniósł muszlę.

– A ona po co?

– Tymczasowa ikona interfejsu. Kupiłum ci najpopularniejszą, podstawową wersję, bez żadnych modyfikacji; możesz sprawdzić.

– Wierzę.

Przytknął muszlę do ucha. Szumiało. Chszszszzzz… szwychch… mów-mów-mów-mów…

– Zaliczka? – uśmiechnął się Adam. – Nie sądzę, phoebe Słowiński. Założę się, że te Pola leżą bardzo daleko od Pól Gnosis. Więc tak czy owak, dowiesz się, czy coś się ruszy w Bloku.

– Ja nie miałum na – Adam machnął ręką.

– Twoja przewrotność i tak podoba mi się bardziej od przewrotności Judasa.

Przysunął muszlę do ust.

– Farstone.

Zobaczył jeszcze, jak manifestacja zakłada ręce na opalonych piersiach i pochyla głowę, wpółuśmiechnięta; opada kurtyna słomianych włosów.

W bibliotece zamku Farstone służący w czerwono-czarnej liberii zapalał lampy gazowe. Zdmuchnąwszy długą zapałkę, obejrzał się na Zamoyskiego.

– Państwo już schodzą – rzekł, po czym ukłonił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Cesarz – szepnął Adam do konchy.

Mandaryn pojawił się momentalnie, jak po włączeniu kontaktu; nie było w tym żadnej elegancji. Manifestacja z Plateau, zorientował się Zamoyski. Nie korzysta z nanomatów, czysta OVR.

– Proszę o prywatną rozmowę.

– Oczywiście.

– Gheorg… Gnosis jest odcięta?

– Tak.

– A musimy w ogóle tutaj?

– Jak sobie życzysz, stahs. – Mandaryn schował dłonie w rękawach. – Zapraszam do Ogrodów Cesarskich.

Zamoyski skinął głową na znak akceptacji i dopiero wtedy – Przeadresowanie.

Zazwyczaj trwało ono kilka-kilkanaście sekund (koniecznych dla konfiguracji nanomatów do kształtu manifestacji), tym razem jednak poszło piorunem. Błysk: oto stoi Adam pod platanem w zaułku zielonego labiryntu, czarne niebo nad nim, biały masyw ogromnej budowli przed nim, na ziemi cztery jego cienie, ruchome. Skąd światło, nie musi sprawdzać – a gdyby jednak uniósł głowę, nuklearne żar-ptaki oślepiłyby go na długie minuty.

Poniżej jednak, w Ogrodach, prócz Zamoyskiego i mandaryna nie było nikogo – nikogo tam sam Zamoyski nie dostrzegał. A przecież dobrze wiedział, że po publicznych Polach Plateau, przez ten chroniony najsilniejszymi protokołami Cesarza konstrukt AR – przewalają się milionowe tłumy. Lecz są to miliony phoebe’ów i inkluzji, słowińczyków szybkich jak neutrina (ping! – było, jest, nie ma, przeleciało przez Plateau). Większość zapewne w ogóle się nie wizualizuje, zadowalając się osmozą nagich danych.

– Zatem jestem pełnoprawnym obywatelem Cywilizacji – rzekł Zamoyski.

– *De iure* – tak – skłonił głowę mandaryn. – *De facto* – będziesz stahsem dopiero od momentu wdrukowania sekwencji identyfikującej w DNA twojej biologicznej realizacji, aktualnego pustaka.

– Rozumiem. Czy mógłbyś dokonać zamiany moich Pól na inne, o analogicznej pojemności, i przesunąć tam moje zasoby, ścieżki transferu i całą resztę? Konieczne opłaty operacyjne pokryj z różnicy w rozmiarach Pól.

– Oczywiście. Jakaś konkretna lokalizacja?

– Nie. Losowa. Już?

– Tak. Zindeksowane jako I’M GUIDED BY THE BIRTHMARK ON MY SKIN.

– Dziękuję. Skasuj mój oes. To znaczy – zamień go na trzecią najpopularniejszą wśród stahsów wersję, zachowując konfigurację.

– Źródło finansowania?

– O Jezu – jęknął Adam, już lekko zirytowany proceduralną celebrą – nie macie tu shareware’u? Istnieją chyba jakieś bezpłatne wersje podstawowe?

– Pragnąłbym tylko zauważyć, że tego typu sprawy zwykło się załatwiać w nieco inny sposób. Moja funkcja – Zamoyski wziął głębszy oddech.

– Proszę mi wybaczyć. Z pewnością zdajesz sobie sprawę z, mhm, dyskomfortu mojego położenia. – Adam odwrócił wzrok, oparł się barkiem o pień platanu. – Ja nawet nie wiem, w jakiej formie powinienem się do ciebie zwracać. Mówię w tej chwili do Cesarza, jego demona, jakiegoś *talk-bota*, SI, do kogo?

– Cesarz słucha; jestem Cesarzem, lecz Cesarz nie jest mną. Istnieję po to, by służyć.

– Komu?

– Cywilizacji.

– A konkretnie?

– Upraszczam: Wielkiej Loży.

– Rozumiem, że Wielka składa się z Małych.

– Wchodzą w jej skład ich reprezentanci: Loży stahsów, phoebe’ów, inkluzji.

– Czy zatem jest w ich mocy wydostać od ciebie na przykład treść tej rozmowy?

– Nie. Na tym właśnie zasadza się zaufanie wszystkich sygnatariuszy Umowy Fundacyjnej: może zostać zmieniona struktura mojego frenu, lecz posiadane przeze mnie dane nie mogą być wykorzystane przeciwko poszczególnym sygnatariuszom.

Adam przypomniał sobie scenę na tarasie w Farstone, jak mandaryn korzył się przed Gheorgum. Zamoyski stał był tam i patrzył na nich, słuchał w skupieniu szybkiego dialogu – niczym wieśniak podsłuchujący szczegóły sekretnych rozgrywek arystokracji.

– Mam zatem prawo w każdej chwili wywołać cię i zadać pytanie, zażądać usługi.

– Jesteś obywatelem Cywilizacji, stahs. Przeczytaj Fundacyjną.

– Będę musiał… – mruknął Zamoyski. – No dobrze. Znajdź mi gwiazdę spełniającą następujące warunki. Odległa od Ziemi o około cztery i pół tysiąca lat świetlnych… to jest: od pierwotnego położenia Ziemi – – Przepraszam, ale muszę cię poinformować, stahs, iż wszystkie obiekty wchodzące w skład galaktyki Mlecznej Drogi, cała materia – – A, tak, tak, wiem – westchnął Zamoyski.

Skrzyżowawszy nogi, usiadł po turecku na wysoko wypiętrzonych korzeniach platana.

– Znajdź w archiwach.

– Słucham.

– Cztery tysiące i charakterystyka mieszcząca się w następujących przedziałach…

– Tak?

Hakata, Hakata. Co mówiła Juice? Szło to jakoś tak – Zanim zdążył zakląć w myśli, stał już w ruinach tarasu rzymskiej willi i sięgał ku nieistniejącemu eksponatowi, cień od Księżyca łamał się na spiętrzonych gruzach. Cień Zamoyskiego i – cień mężczyzny z mieczem, wznoszonym właśnie do ciosu ponad głową Adama.

Odskoczył z krzykiem. Ostrze świsnęło, kątem oka pochwycił srebrny łuk, powidok cięcia. Potknął się, przewrócił, wstał. Azjata biegł na niego, klinga była odwiedziona po linii od obojczyka, gotowa do błyskawicznego ukąszenia.

Zamoyski uskoczył za poharataną kolumnę, mało nie potykając się na własnych stopach. Szermierz szachował go z drugiej strony. Czy jest ich tu więcej? Adam rozglądał się pospiesznie. Nikogo nie dostrzegł, ale cieni było dosyć, by skryć pół plutonu ninja.

Asasyn nie wymówił ani słowa, bo i nie od tego był. Atakował – usiłował zabić.

Zamoyski przygryz ł wargi.

Plateau! Ogrody Cesarskie! Już!

…Co, do cholery?

Plateau! Nie ma mnie tu!

…

Był nadal.

Spocił się na całym ciele. Zakleszczony we własnej pamięci! Zamachowiec obskakiwał kolumnę, posyłając ku Zamoyskiemu sztych za sztychem. Schizofrenia – to mało powiedziane.

Kieł! Franciszek! Angelika!

Nic. Tylko świst ostrza, coraz głośniejszy, coraz bliżej.

Zeskoczył z tarasu, pobiegł ku stawowi. Szermierz gnał za nim, Zamoyski słyszał w nocnej ciszy poszum jego ruchów.

Co tu się, kurwa, dzieje? Ten żółtek zaraz mnie dogoni! Broń! Ja też mogę mieć broń!

Byli już między wierzbami – skręcił w lewo, obiegł pień, schylił się i podniósł szablę.

Dyszał ciężko, śmiertelny sprint wlał w żyły jego nóg zimny ołów. Ledwo zdążył unieść rękę i zablokować cięcie, spuszczając je po głowni na jelec.

Azjata momentalnie się wywinął, schodząc po łuku w lewo i tnąc teraz poziomo. Zamoyski niezgrabnie sparował, szabla była ciężka, ręka zdrętwiała, chwiał się na nogach, charczał głośno, płuca krzyczały o tlen; a Azjata ciął i ciął i ciął.

Rozsieka mnie na kawałki! Ja nie mam zielonego pojęcia o szermierce!

Ledwo to pomyślał, dostał pod żebra, długie cięcie od dołu z lewej. Wrzasnął na bezdechu. Poleciał wstecz, walnął plecami o pień. Piekło jak cholera, czuł też wilgoć krwi.

Żółtek nacierał, tuzin rąk, setka mieczy, pieprzona modliszka kendo. Oczy ślepną od błysków księżycowej poświaty odbijanej przez lekko zakrzywioną klingę katany.

Adam zacisnął zęby. Jestem najlepszym szermierzem na świecie! Zjadam Musashich na śniadanie! Takich dupków to lewą ręką – Ftłupp!

Brzeszczot wszedł w dwóch trzecich długości, rozłupując czaszkę Azjaty i grzęznąc gdzieś w masie mózgowej. Trup wywrócił oczy i padł na kolana; potem osunął się na bok. Rękojeść szabli łupnęła o kamień.

Zamoyski usiadł z pustym westchnieniem. Rwał go zraniony bok, pręga ognia szła od żeber aż do biodra. Był tak zmęczony, że nawet gorzej widział: cienie rozpływały się w szarą mgłę, długowłose pałuby wierzb zakrzaczały cały horyzont, nad nimi Księżyc rozlewał się owalną kałużą po gwiaździstym niebie; ale tych gwiazd też bardziej się domyślał, niż je wi-

dział. Tylko zimnego, wilgotnego wiatru doświadczał ze stuprocentową wyrazistością – i z każdym jego podmuchem rozumował jaśniej.

Co jednak znaczy siła własnego wyobrażenia…! Mogłem go zastrzelić jak tamtych, mogłem, mogłem. Ale ponieważ wyskoczył z tym samurajskim mieczem, musiałem powywijać szabelką, Wołodyjowski z bożej łaski. No i ta rana…

Rozpiął koszulę, przyjrzał się cięciu. Nie wyglądało to najlepiej, ostrze zahaczyło chyba o którąś arterię.

Odwrócił wzrok. Nie ma żadnej rany! Jestem zdrowy! Jestem całkowicie zdrowy i wypoczęty!

Wstał i podniósł katanę. Oczywiście bardzo dobrze leżała w dłoni.

Machnął raz, drugi.

– Teraz – powiedział na głos – rozetnę noc i przejdę do Ogrodów Cesarskich.

Ciął.

Nic.

W ściekły, cisnął katanę w staw. Chlupnęło.

– Autysta, szlag by to, na co mi przyszło na stare lata…

Obejrzał się na ruiny.

Mimo wszystko wyglądały niezwykle malowniczo, nawet po powtórnej dewastacji. Był niezaprzeczalny urok w linii ich cienia, łagodne piękno w kompozycji masywu…

– I co teraz? Durenne nie uczył takich podwójnych nelsonów.

Zresztą diabli wiedzą. Pamięć i tak w gruzach. Wot: kamień na kamieniu, obalone filary.

Zasnąć może? Jeśli zasnę tutaj… jest szansa, że obudzę się piętro wyżej.

Albo jeszcze lepiej: zapomnieć o sobie. Skoro brak śniącego – któż dojrzy tę spadającą gwiazdę? kto doceni zapach nocy? kto usłyszy szum wody?

Woda szumiała, spływając z czarnego cielska potwora, za plecami Adama podnoszącego się z głębin stawu.

Zamoyski odwrócił się i szczęka mu opadła.

Bydlę było pięć razy większe od Smauga. Gdy rozwarło paszczę (co uczyniło zaraz z efektownym rykiem), mógł policzyć jego zębiska, każde większe od piki.

Co to ma być? Czy ja jestem samobójca? Gnębi mnie jakaś podświadoma mania suicydalna…?

Freudosaurus natomiast nie kontemplował psychologicznych zależności, jeno strząsnął z siebie resztę wody i skoczył na Adama.

Monstrum było zaiste przerażające, zwłaszcza w ruchu, zwłaszcza gdy pędzi prosto na ciebie; scenografia rodem z gotyckiego horroru też robiła swoje. Nic dziwnego, że w Zamoyskim wezbrał strach, i to ów ciężki, związany zimną flegmą strach, który krępuje członki i niewoli umysł.

Zabije mnie! – pomyślał Adam. I zrozumiał, że wobec tego potwór istotnie zgładzi go niechybnie.

Ułamek sekundy zanim spadło na niego gigantyczne cielsko zwierza, wyprzedzane wirem ognia i falą gorącego powietrza, zdążył wszakże w duchu krzyknąć: Jestem nieśmiertelny!

I uwierzył w to. W ryku bestii, huraganie płomieni, w tornadzie piachu – zdołał wzbudzić w sobie jasne i proste przekonanie o własnej nieśmiertelności. Był nieśmiertelny.

Żadne zatem freudosaury, choćby nie wiadomo jak potężne, nie były w stanie wyrządzić mu krzywdy. Cios potwora odrzucił go o kilkadziesiąt metrów. Zamoyski stęknął, uderzywszy o ziemię, lecz zaraz wstał, otrzepał się, wyprostował.

Nie było więc również powodów do przerażenia.

– Kici-kici! – zawołał na smoka. – Kici-kici!

Bydlę przypadło do ziemi, wyciągnęło przed siebie łapy, ziewnęło, przeciągnęło się…

– Kici, kici, dobry kotek.

Smok machnął ogonem (burząc do reszty rzymską willę), po czym zamknął ślepia – zasnął.

Bardzo ładnie, westchnął w duchu Zamoyski, tylko że wciąż nie wiem, jak wydostać się z tego majaku katatonika.

– Cesarz! – krzyknął. – Cesarz!

Nic.

Widocznie na jawie – tam, na zewnątrz; a raczej: w innej warstwie wnętrza; cholera, pogubiłem się w samym sobie – tam widocznie nie krzyczy.

Wrócił nad staw.

Po efektownym wynurzeniu się potwora przesunęły się nieco brzegi zbiornika, staw rozlał się błotniście pod same wierzby i Zamoyski musiał

brodzić w tej nieustanej jeszcze zawiesinie mułu i glonów. Dotarłszy do granicy czystej wody, zatrzymał się i poczekał, aż jej powierzchnia z powrotem się wygładzi, co zabrało dłuższą chwilę.

Teraz mógł zajrzeć sobie w oczy, spojrzeć w twarz, poszukać w rysach oznak zdrady.

Był to oczywiście odruch irracjonalny, gusło i zgoła czar. Jeśli jednak weń u w i e r z y…

– Kim jesteś? – spytał ostro. – Czego chcesz ode mnie?

Nic z tego nie będzie. Obraz w wodzie posłusznie odbijał wszystkie grymasy Zamoyskiego i zamierał w bezruchu, gdy nieruchomiał Zamoyski; nigdy sam z siebie. Nic z tego nie będzie.

Zapatrzył się jednak Adam w swe oblicze prawie hipnotycznie. Zarost krył większą część twarzy, nie dało się odgadnąć linii warg, kształtu podbródka. Zmrużone oczy, zmarszczone brwi. Odbicie falowało w plamie księżycowego blasku, podług rytmu przepływu zmarszczek – raz bardziej ponure i groźne, raz bardziej rozluźnione. Gniew – spokój – gniew – spokój – gniew:

– Giń! Giń! Przepadnij, ty i Narwa! Nie ma jej, nie ma jej, nie ma jej!

Nie było to bardzo głośne, dźwięk szedł od wody, jakby istotnie z ust odbicia, od początku wytłumiony. Adam nie miał jednak wątpliwości, iż Zamoyski/staw wywrzaskuje to wszystko z nagą, zwierzęcą wściekłością, głośniej już nie jest w stanie.

– Kim jesteś?

Na co Zamoyski ze stawu:

– Przecież wiesz. Suzeren! Suzeren! Suzeren! Ścieram cię na pył! Giń! Giń! Giń-giń-giń-gińgińgiń…!

Otóż mimo wszystko czaiło się w tym spore niebezpieczeństwo: mantra zaczynała przenikać do podświadomości Zamoyskiego i na powrót poczuł się on zagrożony, strach schwycił go za kostki nóg i zaciskał teraz na nich zimne palce.

Sam siebie nienawidzę! No jakże! Zniszczy mnie przecież…!

Czym prędzej zmącił wodę. Odbicie zniknęło, głos umilkł.

Zamoyski wyszedł z powrotem na brzeg.

Suzeren, pająk przepięć międzyinkluzyjnych, spontanicznych Transów, hipotetyczna świadomość Bloku, homeostat wszechplateau, życie meta-fizyczne. Słowińczyk, rzecz jasna – więc już generacje do przodu – i z każ-

dym planckiem coraz dalej. Ojciec Spływów – a może: Spływy to on? Co dokładnie mówiłu Słowiński?

Zawsze najtrudniej przypomnieć sobie treść dosłowną; pamięta się głównie znaczenia. Ale znaczenia już moje własne, nie interlokutora. I ten Suzeren, tu, w stawie – też jest mój. Mój, mój, mój.

Skąd on się w ogóle bierze w moim Pałacu Pamięci? Chyba przez Plateau, z tych Spływów. Bo czy można rozpoznać Spływ, który w całości mieści się na jednym Polu i jest na tyle subtelny, by nie zmienić bilansu energii/informacji – czy nawet Cesarz potrafi go wówczas spostrzec? A razem z plikiem podstawowym zmanipulować można przecież także kopie, indeksy pomocnicze, sumy kontrolne – dla Suzerena to żadna różnica. Wszystko to jest jego krew, jego impulsy nerwowe.

Idźmy dalej. To zdarza się każdorazowo po moim wejściu na Plateau – tamten atak Patricków Gheorgów, teraz Azjata i freudosaurus. (Nieodmiennie wykorzystuje przy tym manifestacje z moich najświeższych skojarzeń. Ba, nawet swoje imię mógł mi wykrzyczeć, dopiero gdy usłyszałem je od Słowińskienu!) W grę nie wchodzi jednak fałszowanie archiwizacji, bo przecież nie wdrukowywano mnie tymczasem w nowe pustaki. Coś innego zatem. Co? Czy w ramach protokołu przesyłu danych Plateau–mózg–Plateau dopuszczalne są manipulacje na tak głębokim poziomie frenu? Cóż takiego mógł był jednak zmienić tu Suzeren, że nie jestem w stanie wydostać się z własnego Pałacu Pamięci? Przecież teoretycznie wystarczyłoby mi otworzyć oczy.

A może istotnie mam je otwarte – tam, pod platanem, w Ogrodach Cesarskich?

Należy przebić się do warstwy zawiadującej motoryką. Ciało. Mięśnie. Wyobrazić je sobie.

Otwieram oczy. Otwieram oczy. (W tym celu tu, nad stawem, wpierw je zamknął). Unoszę powieki. No już! Twarz jest moja! Moje mięśnie mimiczne! Czuję je! Do góry! Tak! (Uwierzył). Tak, tak!

I rzeczywiście, uniósł je.

Z wrażenia aż usiadł. Głęboki fotel przyjął go z cichym westchnieniem czarnej skóry.

Ktoś zajrzał przez wpółtwarte drzwi i zaraz do biblioteki weszli: Patrick Gheorg, Judas, Angelika i Moetle oraz jeszcze dwie osoby, nieznani Zamoyskiemu mężczyzna i kobieta.

Adam próbował znaleźć jakiś adekwatny sposób zachowania, lecz pomieszanie stylów, estetyk i nawet logik – było zbyt duże. W pierwszym odruchu, podobnie jak w altanie Słowińskienu, chciał założyć nogę na nogę, ale zorientował się, że na wysokich butach oraz na sprutych wzdłuż szwów spodniach ma grubą warstwę błota z rozchlapanego przez freudosaurusa stawu. Woda ściekała z Zamoyskiego i wsiąkała w bordowy dywan. Gdy przesunął dłonią po podłokietniku, zostawił na drewnie wilgotne ślady.

W końcu poczytał sobie za sukces zapięcie z beznamiętnym wyrazem twarzy rozciętej na żebrach koszuli.

Gdy tamci rozsiadali się w fotelach pod ścianami, Gheorg przedstawiłu Zamoyskiemu nieznajomych:

– Phoebe Stern z Oficjum. I osca Ivonne Cress, najwyższa inkluzja Gnosis.

– A Cesarz?

Moetle uniósł palec i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Cesarz słucha.

Fraza była w jego ustach tak gładka, że Zamoyski łatwo domyślił się wielowiekowych znaczeń ukrytych za tymi dwoma słowami. Zaiste: C e s a r z s ł u c h a.

Stern z Oficjum byłu w czarnym trzyczęściowym garniturze, ciasno opinającym jenu chudą manifestację płci męskiej. Łysa jak kolano czaszka, nos niczym grzebień koralowca, czarna bródka – zapewne standardowa tymczasowa nanomancja, wprost z szablonu estetycznego.

Ponieważ usiadłu tuż obok, po prawej Zamoyskiego, Adam, by się do nienu zwrócić, przechylił się przez poręcz – w konsekwencji nieuchronnie obsunęło to ich oboje w konwencje konfesjonalne, gesty i skojarzenia na wpół familiarne.

Zamoyski dotknął łokcia Sternu.

– Kto i dlaczego wyznaczył cenę za moją głowę? – spytał, nie podnosząc, ale i nie zniżając głosu. – I ile właściwie jestem wart?

Angelika dosłyszała. Trzepnęła brata w bark.

– Moetle…!

Tamten rozłożył ramiona.

– No co? Na pewno nie ja. Spałaś zresztą.

Phoebe Stern splotłu dłonie na brzuchu, opuściłu powieki. (Manifestacja określa behawior).

– Prześledziliśmy informację wstecz aż do głębokich Deformantów – rzekłu, zaczynając z niskiej nuty – i wszystko wskazuje na to, iż zlecenie pojawiło się po raz pierwszy na pewnym ułomnym Plateau Deformantów niezrzeszonych. Jednakże interwały a-czasu dzielące kolejne upublicznienia zlecenia na coraz popularniejszych Plateau Deformacji są bardzo małe; związek przyczynowo-skutkowy nie wydaje nam się prawdopodobny. Oczywiście potrafimy zidentyfikować wielu sygnatariuszy tych zleceń. Większość z nich posiada lub jest powiązana z posiadaczami Studni Czasu, jawnymi bądź przypuszczalnymi. Co umacnia pierwotną diagnozę Oficjum opartą na krzyżowych wróżbach z naszych Studni. Stahs Zamoyski stał się ofiarą klasycznej kontralogii Heinleina.

– Tak to jest z wiarygodnością danych ze Studni – włączył się Judas. – Przepowiednie o przepowiedniach o przepowiedniach o przepowiedniach, *ad infinitum*… ale działania zostały już podjęte i spełnia się, co ma się spełnić w przyszłości.

– Moment…! – żachnął się Zamoyski. – Jest cena na moją głowę, ponieważ odczytano informację z przyszłości, że zostanie odczytana informacja z przyszłości, że zostanie odczytana informacja z przyszłości – – Tak, tak, tak.

– …że wszyscy będą tam na mnie dla tej nagrody polować?

– Przeszedłeś do historii, Adam – zaśmiała się Angelika, przełamując grymas bólu, z jakim masowała sobie łydkę (złapał ją kurcz, ledwo usiadła). – Jeśli się nie mylę, jest to dopiero trzecia zarejestrowana kontralogia Heinleina.

– Co to ma znaczyć, że przeszedłem do historii? – zirytował się Zamoyski. (Irytacja zawsze jest bezpieczną reakcją). – Jeszcze, do cholery, żyję!

I ciszej:

– W każdym razie tej wersji zamierzam się trzymać.

I do Judasa, zgryźliwie:

– Panie McPherson, powinienem chyba podziękować panu za wykupienie obywatelstwa. Tylko takie drobne pytanko: czy jako nie-obywatel mógłbym zostać wyzwany na pojedynek?

Wszyscy widać wiedzieli o Tutenchamonum, na żadnej twarzy nie spostrzegł bowiem zdziwienia; tylko Angelika jeszcze bardziej się skrzywiła.

– Dobrze by było – mruknął Judas – gdybym posiadał władzę pozwalającą mi naginać do własnych planów niepodległe inkluzje z Tutenchamono-

wych wyżyn Krzywej.

– Czas ucieka – wtrąciłu się Cress. (Istotnie, dla słowińczyków ta wymiana zdań musiała trwać millenia). – Powinniśmy się zajmować problemami w kolejności od zagrożenia najbliższego w czasie. Otóż dowiadujemy się, iż przechwyciłu was kraftoidowu Deformant z drugiej tercji, słowińczyk kauzystycznu odcywilizacyjnu. Monitorujemy przez pozaprogresowych agentów przebieg licytacji…

Zamoyski tylko się na to uśmiechnął – ale tak naprawdę prąd mu przeszedł po kręgosłupie i gorąca krew uderzyła do głowy. Więc jednak! Tenu kurewsku Deformant…! Podstęp i pułapka! Sprzedawału ich! W tej właśnie chwili – onu ich s p r z e d a w a ł u!

– …i chyba będziemy w stanie wykupić cię, stahs. Wszelako wygrać licytację może tylko jeden i było to jasne od początku, więc niezależnie od targów każdy zainteresowany wysłał po was Kły dla zagarnięcia siłą. Normalnie bylibyśmy w stanie obliczyć, czy nasze oktagony kubiczne przybędą pierwsze, jednak w obecnych okolicznościach… Stahs!

Dłoń Zamoyskiego wreszcie trafiła na muszlę. Uniósł ją do ust i, nie odwracając wzroku od Cressu, szepnął jadowicie:

– Franciszek.

Zamrugał: złoto wlewało się w źrenice. Złote światło, blask boski, wełnista aura wewnętrznych organów kraftoidu… Znowu ta jasność, wszechogarniająca, uderzająca z każdej strony. Cień to inny rodzaj oślepienia.

Bo przed twarzą, na płytki oddech, na pochylenie głowy, miał menisk wielkiej kropli i całe światło bijące mu w oczy posiadało konsystencję, barwę i moc płynnego złota.

Rozejrzał się dokoła; złapał za liść i obrócił się w powietrzu. Samej Angeliki nie dostrzegł w tej granatowo-złotej gęstwie, zarastającej wszystkie kierunki orientacji – zobaczył jednak jej czterometrowy, wypukły cień, rozpięty na drgającym nieregularnie bąblu białej cieczy. Bąbel dryfował wolno ponad głową Zamoyskiego.

Panna sobie pływa. Już chciał ją zawołać – nadal wściekły – ale zauważył rozproszony rój owadomatów, spadający spiralą między błękitne kwiaty – i oprzytomniał, słowa wróciły w głąb krtani, wściekłość ustąpiła trwodze.

Głupi! Znajdujesz się w jenu wnętrzu, onu czyta twoje nastroje, pragnienia, instynkty, myśli nieomal – z napięcia mięśni, drżenia strun głosowych, temperatury naskórka, rytmu oddechu, łopotu serca, szumu krwi w żyłach

i tkankach. Skąd niby wiedziału wówczas, że szukasz urynału? Nic wu nie umknie. Pozostajecie całkowicie w jenu władzy. Nie jesteś w stanie przekazać Angelice ni słowa tak, by onu o nim nie wiedziału.

Czemu w ogóle miał służyć ten tu powrót z Plateau? Idioto! Co, może rzucisz Franciszku w twarz, że jest podstępnym porywaczem, kłamcą, handlarzem żywym towarem?

Tu budzi się w Zamoyskim szyderczy zgryźliwiec: A czemużby nie? Wyzwę nu na pojedynek!

Chociaż, Bogiem a prawdą, Deformant właściwie nie rzekłu ni słowa fałszu. Nie mówiłu przecie, skąd się tu wzięłu przed przejściem Wojen, dokąd i po co leciału. Być może Franciszek łgału na temat odcięcia od swoich Plateau – ale tego również nie może Adam być pewien. Cholera wie, czy podobny kidnaping i licytacje ofiar nie mieszczą się przypadkiem we współczesnych obyczajach, czy i tu nie obowiązują jakieś konwencje… Wszystko jest możliwe.

Powtarzaj to sobie często i z wiarą. Wszystko jest możliwe, wszystko jest możliwe.

Zamoyski rozcierał kark. Tak, to było głupie. Gniew nie powinien był mieć do mnie przystępu. Za mały jestem, by na kogokolwiek i o cokolwiek się tu gniewać.

Jak teraz wrócić? Tam, w Farstone, czekają na mnie. A Franciszek patrzy; Franciszek słucha; Franciszek pełza mi po skórze i wnika do gardła, do żył.

Deformant z pewnością wie, że Wojny już nie blokują Plateau – ale czy wie, iż ja posiadam bezpośredni dostęp do Plateau HS?

Na wszelki wypadek Zamoyski ziewnął i przeciągnął się. Odruchowo podciągnął kolana do pozycji półembrionalnej. Coś kolnęło go w udo. Wsunął rękę do kieszeni brudnych, pokrwawionych spodni. Muszla!

Powstrzymał odruch zaciśnięcia dłoni na fantomie OVR. Miast tego opuścił powieki i uspokoił oddech.

Muszla: zatem program nadal działa. Nie odciął się przecież Adam od Plateau, jedynie przeadresował. To znaczy: wycofał się z manifestacji. Oes wciąż pracuje na jego Polach.

Powoli przesuwając palce po wewnętrznej, gładkiej powierzchni konchy Zamoyski zakreślił w kieszeni prymitywny zarys sylwetki smoka. Czyż nie smoka widział w herbie McPhersonów, wówczas, na klatce schodowej zam-

ku Farstone? Plateau’owe programy zarządzające powinny być wystarczająco domyślne i przeadresować go z powrotem do biblio – Ciążenie. Światło – miał otwarte oczy, chociaż nie unosił powiek. Biały feniks przelatywał ponad jego głową. Pachniało gorącą wiosną.

Wstał spod platanu, otrzepał spodnie.

Cesarz podniósł się znad kałuży gwiazd.

– Jakie są te warunki, stahs?

– Za chwilę. – Wyciągnął do mandaryna rękę z muszlą. – Jak mogę tym sterować, żeby na polecenia nie reagowało ciało, to znaczy – manifestacja biologiczna?

– Resetując sieć konekcyjną na korze mózgowej. Otworzą się nowe połączenia z aksonami i neuroglejem, podług wybranego schematu. To może być cokolwiek.

– Co na przykład?

Mandaryn wzruszył ramionami.

– Druga para rąk. Niematerialne usta. Ogon. Pełny dubel receptorium. Cokolwiek. Menadżer oesu ci opisze, stahs.

– Nie za bardzo mam czas. Chciałbym zostawić menadżera otworzonego w OVR i pytać bez odbić w ciele i manifestacjach – ale nie będę się teraz bawił w ręczne dostrajanie. Jaki jest najpopularniejszy wybór?

– Tej wersji? Anima.

– Odpal mi.

– Udzielasz mi, stahs, pozwolenia na bezpośrednią alterację zawartości twoich Pól.

– Tylko dla wypełnienia tego polecenia.

– Tak.

Cesarz podszedł bliżej do Adama.

– Proszę usiąść.

Zamoyski z powrotem usiadł pod platanem.

– To nie będzie już potrzebne – rzekł mandaryn i zabrał Adamowi muszlę.

Cisnął ją do sadzawki, w której płonęła Mleczna Droga. Przez bliższe ramię galaktyki przeszła krótka fala. (Kraft artystyczny, uśmiechnął się w duchu Adam).

Manifestacja Cesarza zagarnęła szaty, zawinęła je sobie wokół kolan i uklękła naprzeciwko Zamoyskiego, nad brzegiem rozgwieżdżonej czerni.

– Czujesz, stahs? – zapytała, przyglądając mu się badawczo.

– Co?

– To.

Adam przechylił głowę, przygryzł wąsa.

– Nie – Ale już wiedział, że mówi nieprawdę.

Mandaryn dostrzegł jego zmieszanie.

– Oddech. Proszę oddychać. Oddech, oddech, oddech.

Oddychał. Mój Boże, ODDYCHAŁ! Miał płuca, ale miał także PŁUCA. Czuł powietrze i CZUŁ powietrze. Drapało go po podniebieniu i w tchawicy – tej i TAMTEJ. Jeśli wówczas, w ruinach Pałacu Pamięci, była to schizofrenia umysłu – teraz doświadczał schizofrenii ciała.

R o z s z c z e p i a ł s i ę.

– Głęboko.

Głęboko, głęboko, do samego rdzenia kręgosłupa, do jądra każdej komórki nerwowej.

Ostre cięcie wzdłuż dendrytów: szpłacht! – i oto jest dwóch Zamoyskich: /Zamoyski i //Zamoyski, a obaj tu siedzą i wytrzeszczają oczy w pustą przestrzeń nad Escherowym Domem Cesarza.

– Skup się teraz wyłącznie na swej animie, stahs.

//Zamoyski wstał, wyprostował się. Spojrzał z góry na klęczącego mandaryna. Obrócił się i spojrzał na siebie – na /Zamoyskiego – na pierwszą manifestację, która nie wstała, nie wyprostowała się, nie obróciła. Spoglądała spod platana szeroko otwartymi oczyma.

Zakręciło mu się w głowie. Uciekł //wzrokiem od swego primusa. Nawet jednak gdy //patrzył w tym samym kierunku, co on – na mandaryna – //patrzył przecież z innego miejsca, pod innym kątem. I tak //spojrzenie nakładało się na /spojrzenie, oba tłoczące obrazy do tego samego mózgu: Zamoyski /widział i //widział. /Widział i //widział, /słyszał i //słyszał, /czuł i //czuł – dezorientacja rosła z każdą sekundą, tonął w chaosie nadmiarowych bodźców. Zaraz zacznie /myśleć i //myśleć – wtedy ostatecznie zginie Adam Zamoyski, rozerwany na dwa.

Struktura umysłu nie zmienia się równie szybko co struktura konekcyjnego nanoware’u. Nie można wpompować dwóch litrów wrażeń zmysłowych do jednolitrowego frenu; naczynie pęknie.

Zmuszony był zacisnąć powieki, obie ich pary. Zdublowane perceptorium dotykowe nie dało się jednak tak łatwo sprofilować i Zamoyski – nie

żadna z jego manifestacji, ale: Zamoyski – poczuł, że za moment strzeli mu w mózgu bezpiecznik odpowiedzialny za limit transferu bodźców; że coś się tam przepali, płomień przeskoczy z neuronu na neuron, aż ogień szaleństwa pochłonie wszystko.

– Jak to zamknąć?!

Krzyknął //Zamoyskim, Cesarz jednak go usłyszał. Mandaryn uniósł głowę, pochwycił paniczne spojrzenie //Zamoyskiego.

– Istota podobnego software'u rozszerzającego polega nie na przesunięciu perceptorium i stworzeniu pozacielesnej manifestacji, bo to odbywa się zawsze, gdy korzystasz z Plateau – rzekł spokojnie Azjata – lecz na z a r z ą d z a n i u r ó w n o l e g ł y m. Ludzie bowiem nie żyją w trybie multitaskingu; ludzie całe życie zamieszkują tylko jedną manifestację naraz: swego biologicznego pustaka. – Mandaryn uderzył przed //Zamoyskim czołem o ziemię. – Nie jesteś już stahsem Czwartej Tradycji.

– Co ty mówisz…?

– Przesunąłeś się wzwyż po Krzywej Progresu, stahs.

//Zamoyski zamachał rękoma; wraz z energią uwalniał obłęd. (Szaleństwo jak swędzenie całego ciała: powierzchni skóry i wnętrza organów; o b u ciał).

Ponownie obejrzał się na /Zamoyskiego, nadal klęczącego nieruchomo naprzeciwko mandaryna.

Wprogramowany we fren instynkt spełnił rolę instrukcji obsługi. Adam przyskoczył do swej prymarnej i wepchnął palce w jej oczodoły, w uszy, w nozdrza, w usta, do wnętrza głowy…

Z ulgi aż odetchnął. Znowu bodźce płynęły pojedynczym strumieniem. Wygładzała się powierzchnia myśli i gasł paniczny gniew, pierwsza reakcja Zamoyskiego na każde zagrożenie: wściekłość napędzana strachem.

Dostrzegł dyskretny uśmiech na twarzy mandaryna. (Ale skoro w ogóle dostrzegł – nie był on dyskretny).

– To, co właśnie zrobiłeś, stahs – rzekł Cesarz, odpowiadając na nie zadane pytanie – to po prostu przełączenie się z jednej manifesta cji na drugą. Doradzałbym powrót do manifestacji prymarnej, zwłaszcza że o miejsce twojego pobytu pytają właśnie Gnosis i Oficjum.

– Powiedz im, że zjawię się za pięć minut. K-czasu, oczywiście.

– Oni najpierw spytali ciebie, nie mnie. Zgłosili się na twoje Pola, stahs. Usłyszałbyś ich pytania uszami swej animy – zobaczył jej oczyma, do-

świadczył jej perceptorium. Pytania, informacje, światy, życia. Tak, jak ustawisz filtry.

– No dobra. To w jaki sposób mam im odpowiedzieć?

– Więc na to chcesz poświęcić te pięć minut, stahs?

Jakiś feniks pikował właśnie ku fontannie i anima zamrugała, oślepiona. Natomiast odłączonemu secundusowi nawet nie drgnęły powieki. W pustaku biologicznym przynajmniej reaguje wegetatywny układ nerwowy – opuszczona manifestacja AR musi mieć do tego specjalne programy… //Zamoyski potrząsnął głową.

Ku czemu obrócić uwagę? Wskazówka busoli strachu wiruje szaleńczo.

Przełknął symulowaną ślinę przez symulowane gardło.

Franciszek. Suzeren. Łowcy głów. Oktagony3.

Co jeszcze?

– Nie. Masz rację. Teraz tylko trzy rzeczy. – Zamoyski uniósł //dłoń i wyliczył na //palcach. – Menadżer oesu. Zarządzanie transferem. Gwiazda. Wykonaj.

Cesarz wykonał.

Prymarna manifestacja stahsa Adama Zamoyskiego przyjęła stahsa Moetle’a i phoebe’u Patricku Gheorgu McPhersonów oraz osca Cressu i phoebe’u Sternu w komnatach w Domu Cesarskim.

Zamoyski wynajął je na Tpentyn, płacąc ponownie powierzchnią swych Pól. Jak należało się spodziewać, Słowiński przydzieliłu było mu obszar absurdalnie rozległy, rozmieszczając Pola transferowe Ada ma w maksymalnym rozproszeniu, by mieć na owego meta-fizycznego byka jak największą płachtę. (Chciału przecie sprzedać Zamoyskiemu całe Plateau!) Teraz zatem Zamoyski spieniężał wadium teoretyka.

Nie była to wszakże żadna fortuna. Nie mógł tak ciąć swych Pól bez końca, wreszcie zrobi mu się na nich za ciasno.

= Druga manifestacja oznacza podwójny transfer i podwójny bufor = szeptał menadżer oesu w uszy //Zamoyskiego = i im częściej, im intensywniej korzystać będziesz z Plateau, tym więcej Pól będziesz potrzebował.

Zamoyski sformatował był swą animę wyłącznie do słuchu i aparatu mowy. To wydawało mu się jeszcze jakoś znośne: potrafił przecież już wcześniej słuchać dwóch osób naraz, potrafił mówić i pisać, i jeszcze wystukiwać przy tym stopą rytm słuchanej muzyki…

Prawda? Potrafił, potrafił, potrafił – jako człowiek. Teraz więc także nie przestanie z tego powodu być człowiekiem.

– Jezu, chłopie, nie rób tak więcej – sierdził się Moetle, podszedłszy do paleniska, w którym huczał wysoki ogień. – Przez moment byłem pewien, że to znowu Wojny albo, co gorsza, tenu Deformant: że coś wyczułu i strawiłu tam was już do szczętu, tak uciekłeś bez słowa. – Wyciągnął ręce, by ogrzać dłonie w kominku.

=…w epoce gospodarki opartej na licencjonowanym nanoware = tłumaczył animie Zamoyskiego menadżer oesu. = Toteż waluta Czterech Progresów oparta jest na parytecie materii egzotycznej, która spełnia oba warunki: nie jest generowalna za pomocą zmian software'u żadnego z negentropianów; i jest niezbędna w podstawowej technologii: krafcie. Albowiem sercem każdego Kła – – Tracimy czas – mruknęłu Cress.

Pogania mnie? Prymarna Zamoyskiego odwróciła się bez słowa do witrażowych okien, za którymi Ogrody migotały kolorowo między firanami cienia i światła od nisko szybujących feniksów. Ogrody jak zwykle sprawiały wrażenie wyludnionych: to kraina słowińczyków.

Gdyby oni mogli tu zajrzeć, do wnętrza komnaty, pomyślał Adam, ujrzeliby posąg mej manifestacji, zamrożony na millenia. Oni: duchy, płomienie drgające.

Kątem oka pochwycił swoje odbicie w barwionym szkle. Manifestacja wyszła spod tego samego szablonu estetycznego, co projekt komnaty – a więc nie było już mowy o błocie, potarganym ubraniu, skołtunionych włosach, korsarskiej brodzie, krwi i szramach, i sińcach. Miast podartej koszuli – sięgający niżej bioder, gładki, ciemnogranatowy kaftan, zapinany na czerwone haftki wzdłuż prawego boku. Zamiast myśliwskich buciorów – czarne mokasyny. Broda i wąsy przycięte według przykładu owych królów i książąt uwiecznianych na renesansowych portretach, zawsze dumnie wyprostowanych – tak samo prosto trzyma się Zamoyski.

Czy i fizjonomia nie uległa przemodelowaniu? To czoło pod zaczesanymi do tyłu włosami zdawało mu się nazbyt wysokie. Czyżby mu manifestacja łysiała?

Bo przede wszystkim zmieniło się to: patrzył na swe odbicie i już nie myślał: „ja". Myślał: „moja manifestacja".

A za odbiciem – czyściec *high definition*. Zamoyski już wcześniej rozpoznał ten rozetowy układ fontann i placów – rzucił był mu się on w oczy,

gdy wyglądał przez strzelnicę z holu Gnosis. Czyżby więc teraz patrzył z tego samego miejsca? A może znajdowali się piętro wyżej lub piętro niżej? Czy sąsiadował tu z komnatami Gnosis Incorporated?

= Dom i Ogrody, podobnie jak Trakty i Wyspy Dzierżawne, to konstrukt szkieletowy, którego racją istnienia jest żelazny protokół utrzymywany tutaj przez Cesarza. Warunki fizyczne odpowiadają ziemskim, protokół nie dopuszcza żadnych ekstrawagancji. Ta *Artificial Reality* została zaprojektowana dla Progresu HS, gdy składał się on jeszcze wyłącznie ze stahsów Pierwszej, Drugiej i Trzeciej Tradycji. Feniksy i bezgwiezdne niebo, i Dom, i rozbiegający się w nieskończoność we wszystkie strony labirynt żywopłotów i alejek; i nic więcej. Dom z zewnątrz ma dziesięć tysięcy metrów sześciennych; wewnątrz jest nieskończony.

Gdy więc Zamoyski wyglądał przez wielki witraż z *Damą z łasiczką* – równocześnie z tego samego punktu w Domu spoglądać mogło na jaskrawe Ogrody miliony innych najemców: stahsów, phoebe'ów, inkluzji. Konstrukty ich komnat procesowały oczywiście na zupełnie różnych Polach, lecz przyporządkowano je do tych samych współrzędnych Domu.

– Czy on się wyadresował?

– Znowu?

– Co chcesz, dzikus.

– Ktoś go powinien nauczyć podstaw *savoir-vivre'u*. Skoro jest obywatelem Cywilizacji – – Przynajmniej pozostawił manifestację.

Słyszę, więc chcieli, bym usłyszał.

= Osmoza informacji przez błony Pól Plateau – Primus Zamoyskiego podszedł do wielkiego, mahoniowego stołu, zastawionego świecznikami, dzbanami, kielichami i misami z owocami, zawalonego księgami i pergaminami. Znalazła się tu nawet stara czaszka. Kość pękniętego przez czoło czerepu w żółtym świetle świec miała barwę mlecznej czekolady. Nagabywany przez menadżera oesu, Adam wybrał był w pośpiechu dla swych komnat szablon Da_Vinci_VII – jego ikona przypominała mu pieczęć Ortodoksji HS.

Ignorując pytania gości, rozwinął największy z rulonów. Była to mapa nieba AD 2100 widzianego z oryginalnego położenia Ziemi. Pociągnięta czerwonym atramentem strzałka wskazywała gwiazdę o niskiej względnej jasności, w gwiazdozbiorze Lwa.

Adam przyłożył krańce pergaminu ciężkimi świecznikami.

Skinął na Moetle’a, który jako jedyny nie podszedł jeszcze do stołu.

– Hakata – rzekł mu Zamoyski, wskazawszy gwiazdę. – Ale wy nazwaliście ją inaczej. Dreyfuss, jak się dowiaduję. To tam poleciałeś. Tam zginąłeś.

Moetle spojrzał pytająco, nachyliwszy się niebezpiecznie nad stołem. Lewą ręką podparł się między półmiskiem a czaszką i z tej pozycji zerkał to na Zamoyskiego, to na mapę.

– Punkt docelowy – mówił Adam. – Takie współrzędne ci wtedy podałem. Dreyfuss. I to są właśnie te wykradzione cztery parseki sześcienne, nieprawdaż? Tak rzekł mi Cesarz; to one. Ukradli cię razem z nimi. Ciebie, Kły, twoje zwłoki. – Jad oliwił jego język, słowa spływały coraz gładziej, nie byli w stanie mu przerwać, stali i słuchali. – Studnie podawały prawdziwe informacje. Ja jestem praprzyczyną tej wojny. Bo chyba nikt z was nie wierzy w aż taki zbieg okoliczności: że tę samą gwiazdę, ku której rzuciło na kraftfali spod Zapadliska Eridani „Wolszczana” i do której poleciał Moetle, teraz p r z y p a d k i e m wycięło ze wszechświata. Kto konkretnie prowadzi negocjacje z Deformantami?

– No wiesz! – żachnął się Moetle.

– Kto prowadzi negocjacje z Deformantami?

– Ile jeszcze pamiętasz, stahs? – spytału Stern.

– Przecieki ze Studni Czasu nie mają tu nic do rzeczy – powiedziału Cress.

– Stahs Judas gorąco cię prosi o zezwolenie na pełną archiwizację – rzekłu Patrick Gheorg. – Cena do ustalenia. Stahs?

Secundus Zamoyskiego warknął rozkaz i w kominku z hukiem trzasnęło polano, a płomienie świec strzeliły snopami iskier aż pod wysoki sufit.

Primus Zamoyskiego uniósł palec.

– Bo was wyciszę.

Patrick i Moetle spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Oho – mruknął Moetle.

Wyprostował się, nalał sobie wina i jednym ruchem wychylił puchar.

– Oho – przytaknął mu sarkastycznie Zamoyski. – I radzę o tym pamiętać. Czy Judas mnie słyszy?

– Tak – odpowiedzieli równocześnie Cress i Patrick Gheorg.

– To dobrze. – Adam wziął głębszy oddech. – Chciałbym teraz – – Kopiuję już na twoje Pola pełne archiwum skanów z wesela Beatrice i For-

ry’ego, stahs – przerwału mu Cress. – Odszkodowanie za wszelkie krzywdy wypłaci dobrowolnie Gnosis, nie ma konieczności odwoływania się do arbitrażu sądów Loży. Całość odnoszących się do ciebie raportów ze Studni Gnosis zostanie udostępniona na żądanie.

Prymarna Zamoyskiego poruszyła niemo ustami. Sekunda, dwie, trzy. Wreszcie Adam otrząsnął się na tyle, by przynajmniej odwrócić wzrok od primusa inkluzji.

To się nazywa zostać przywołanym do porządku! Mimowolnie garbił się, krył głowę między ramionami. Myślałeś, że coś tu od ciebie zależy, że możesz czymś pokierować? Przejrzeliśmy cię na wskroś, szklany kurczaczku.

Usiadł ciężko na wysokim krześle z ciemnego drewna – manifestacja, z której upuszczono ćwierć duszy.

Moetle krzywił się, zniesmaczony.

– Zejdź z niego – poradził inkluzji.

= Jak głęboko sięgają te ich behawioralne modele frenu?

= Jeśli dysponują twoimi świeżymi archiwizacjami oraz skanem twego aktualnego pustaka i zapisem procesu implementacji, należy się spodziewać wysokiej wierności symulacji. Oczywiście malejącej z czasem; ale jednak.

= Jak temu zaradzić?

= Gdybyś był phoebe’um, nie stanowiłoby to problemu. W przypadku stahsa jest bardzo trudne.

= Mów.

= Podstawowe przykazania, do których stosują się wszyscy. Nigdy-przenigdy nie ujawniaj dobrowolnie posiadanych informacji. Jak najrzadziej się manifestuj w miejscach publicznego skanu. Unikaj wypowiedzi emocjonalnych, formułowanych w niekonwencjonalny sposób. Konwencje są bezpieczne. Nie działaj z pierwszego odruchu: im dłuższa premedytacja, tym większa przypadkowość ostatecznej decyzji. Kładź szum dezinformujący.

= Jak?

= Istnieją aplikacje randomizujące behawior manifestacji. W ramach tego oesu – = Odpalaj.

Miał nadzieję, że już nigdy nie doświadczy takiego upokorzenia. Usłyszeć z cudzych ust riposty na niewypowiedziane jeszcze sekrety i plany! W pewien sposób było to najgorsze ze wszystkiego, czego tu do tej pory

doświadczył – bo uświadamiało mu, kim/czym naprawdę dla nich jest: prymitywnym programem z dołu Krzywej.

– Tracimy czas – powtórzyłu Cress.

Zamoyski uniósł głowę.

– Deformanci – warknął. – *Casus belli*. I stan negocjacji.

– Chodzi ci o protokół rozbieżności, stahs? – odezwału się Stern.

– Tak. – Prymarna Zamoyskiego wyprostowała się na krześle. – Te Kły, które im rzekomo wykradliście. I niby po co? Żeby wyciąć Hakatę z Moetlem? Nikt nie znał przecież koordynatów. Ale Kły Deformantów zostały wykorzystane, Hakata, to znaczy Dreyfuss, wzięty w Port, Moetle zabity, rozpętana wojna, skollapsowana galaktyka – ponieważ się upiłem.

Nastąpiła teraz ledwo uchwytna chwila zawahania, zarówno u Cressu, jak i Sternu. Zamoyski aż zmarszczył brwi: jakież to obliczenia przeprowadzały inkluzje Gnosis i Oficjum, że stało się to widoczne nawet w k-czasie?

Z kolei manifestacje Cressu i Sternu obejrzały się zgodnie na Moetle’a.

Ten aż cofnął się o krok, odstępując od stołu, odgradzając się nim od nich.

– Co…?

= Cesarskie info, najwyższy priorytet: dwa Gplancki temu nastąpiło zawieszenie broni, frontowe inkluzje Deformantów oraz Cywilizacji osiągnęły wstępne porozumienie. Rozwinąć?

– Koniec wojny? – zdumiał się Zamoyski.

Wtem primus założył mu nogę na nogę. Tak to zaskoczyło Adama, że niemal spadł z krzesła. Nie jego wola, nie jego ruch, nie jego zamiar i wykonanie.

Niemniej w tej pozie już inaczej zabrzmiały wypowiedziane potem słowa.

– Więc nie wiedzieliście! – Podarowałem im gratis tak cenną informację! – Jasna cholera!

A przecież – natychmiastowa refleksja – nie mogli wiedzieć! Wszystko było rozbite na całkowicie od siebie odseparowane łańcuchy informacji: przeszłość „Wolszczana” zamknięta w niepamięci Zamoyskiego; miejsce śmierci Moetle’a – w jego utraconym pustaku; ukradziona przestrzeń – puste koordynaty na mapach Cywilizacji i Deformantów. Istniał tylko jeden układ, w którym te łańcuchy mogły się spotkać i nałożyć; w którym mogła zostać dokonana identyfikacja gwiazdy i dowiedzony absurd wzajemnych

podejrzeń Deformantów i Cywilizacji; tylko jeden układ: umysł Adama Zamoyskiego.

– Koniec wojny? Początek innej – rzekłu Stern.

– Czego znowu „nie wiedzieliśmy”? – jęknął zdezorientowany Moetle. – Co się tak na mnie gapicie? Ja nic nie zrobiłem! Zawieszenie broni, pięknie – ale przecież chyba nie dzięki niemu! – Wskazał prymarną Zamoyskiego. – Co on takiego powiedział? Kto właściwie mnie zabił, kto ukradł ten system gwiezdny, skoro nie Deformanci? Ja nic nie rozumiem!

Ciepła satysfakcja wypełniła żyły Adama. Nie rozumie! – chciał parsknąć. – To dobrze o nim świadczy! Jest człowiekiem!

Skrzyżował na piersi primusa ramiona. Proszę! I oto już nie on, nie Zamoyski jest tym najgorzej poinformowanym, ślepcem na balu widzących! Czyż nie boskie uczucie? Doprawdy, jest symetria w chaosie historii.

I naraz poczuł się w tej formie – rozparty na sękatym krześle, z nogą założoną na nogę, błękitem witrażu na plecami, z wielkim, żywym ogniem huczącego paleniska po lewicy – idealnie wręcz wpasowany w rolę i scenę, i dramat. Stahs Adam Zamoyski, tak. Spoglądał na manifestację Moetle’a i nawet nie zależało mu, żeby powstrzymać gnący wargi primusa uśmiech. Czyż nie należy mi się taka chwila, chociaż jedna? Zanim pożre mnie Franciszek, zanim zanihilują oktagony[3]. Czyż nie mam prawa? *Przeszedłeś do historii, Adam*. To prawda. Ciesz się zatem rzadkimi radościami postaci historycznych. Tak długo, póki możesz, na tę jedną chwilę – poczuj się Judasem McPhersonem. Póki nie wyrwą ci kręgosłupa.

– Początek nowej wojny! – przedrzeźniał Sternu Moetle – Z kim…?

Zamoyski wiedział – on przecież wiedział pierwszy.

– Z Suzerenem.

III

Wszystko, co istnieje, zmienia się w czasie. Każde środowisko zmienia się w czasie.

Środowiskiem zawierającym w sobie wszystkie inne jest wszechświat. Wszechświat jest zdefiniowany wyłącznie przez prawa fizyki.

Dla danego środowiska istnieje tylko jedna Forma Doskonała. We wszechświecie istnieje tylko jedna Forma Doskonała. Forma Doskonała środowiska opartego na warunkach bardziej ogólnych zwycięża i wypiera Formę Doskonałą środowiska opartego na warunkach bardziej szczegółowych. Forma Doskonała zdefiniowana wyłącznie przez prawa fizyki zwycięża i wypiera wszelkie inne formy.

Dalsza ewolucja wymaga zmiany praw fizyki.

7. Plateau

NEGENTROPIANY

Elementy systemów samoorganizacji materii/energii.

Istnieje pięć form negentropianów.

I. Proste:

1. Hardware: nośnik (realizator) informacji.

2. Software: informacja (zapis procedur samoorganizacji, podlegających ewolucji).

II. Złożone:

3. Bioware: forma oparta na replikantach organicznych.

W Cywilizacji Homo Sapiens: ziemska flora i fauna oraz ich pochodne, w tym stahsowie. (Podstawa: DNA/RNA).

4. Nanoware: forma oparta na nanomaszynach.

W Cywilizacji Homo Sapiens: nanoware cesarski, ograniczany prawem, obyczajem i protokołami – inf (Imperial Nanoware Field).

→ W Cywilizacji HS za optymalny budulec nanoware'owy uznaje się triady von Neumanna, składające się każda z trzech komplementarnych nanoelementów: tonu, krotonu i/lub ortu. Organizują się one w przestrzennych konfiguracjach: TKO, TTK, KKK etc.

→ Istnieje 27 triad podstawowych i potencjalnie nieskończona liczba ich izomerów (np. triada destrukcji TOT_9 i triada krystalizacji OOO_1).

→ Istnieje 19683 triad drugiego stopnia, dziewięcioelementowych, i proporcjonalnie wiele ich izomerów.

5. Kraftware: forma oparta na krafcie.

Zaliczają się do niej niektóre inkluzje logiczne (w Cywilizacji Homo Sapiens: Cesarz) oraz niektórzy phoebe'owie plateau'owi; teoretycznie także Suzeren.

PROTOKOŁY NSCC

Zestawy reguł dotyczących Nanoware Structure-Configuration Code, określające dozwolone sposoby manifestowania się algorytmów NSCC w infie.

→ Najważniejsze protokoły:

→ Standard Imperial Protocol (SIP), zwany „protokołem cesarskim" lub po prostu „protokołem". W Cywilizacji HS obejmuje wszystkie przestrzenie dostępne dla pustaków stahsowych, czyli między innymi biosfery wszystkich jej ziemiopodobnych planet.

→ First Tradition Imperial Protocol (FTIP), protokół Pierwszej Tradycji. Zawęża warunki SIP ku tradycji cywilizacji stahsów.

→ First Tradition Orthodox Imperial Protocol (FTOIP), zwany „Ortodoksją". Zawęża warunki FTIP, m.in. nie dopuszczając ani konfiguracji, ani dekonfiguracji manifestacji w swoich granicach, i narzucając algorytmy biologicznej śmierci.

→ Standard Imperial Protocol for Space (SIPS), protokół kosmiczny. Rozszerza warunki SIP. Liczne podprotokoły: dla atmosfer olbrzymów gazowych, dla

próżni, dla planet jałowych, dla niskich orbit.

„Multitezaurus” (Subkod HS)

Słońce grzmiało z bezchmurnego błękitu, słony wiatr szarpał purpurowymi sztandarami na wieżach zamku, krzyczały ptaki – Zamoyski śledził czarnoskórą morderczynię.

Manifestując się w Farstone złamała protokoły cesarskie. Szedł wstecz po liniach gwałtu. Przemocą przeindeksowywany nanoware lśnił w powietrzu lodową czernią. Struny sprężynowały, ściągając Murzynkę dalej od Judasa, od gości, poza trawnik – ścięgna bestii. Były tej samej barwy, co pigment mortmanifestacji.

Szedł za nią – ostatni wierny poddany Entropii. Wszyscy i wszystko inne wypowiedziało jej tu posłuszeństwo: ludzie kroczyli do tyłu, ptaki leciały ogonami naprzód, rozlane napoje wzbijały się wysokimi strugami do szklanek, sztandary trzeszczały w nienaturalnych zrywach płótna.

Zamoyski dojrzał koniec czarnych strun i przyspieszył. Wyprzedził zabójczynię. Tu się struny zaczynały: czarna dziura wielkości pięści, kłąb ciemności, oko nocy wybałuszone w słoneczny dzień półtora metra ponad kamiennym chodnikiem, tuż za załomem zamku. Nieubłaganie przyciągało Murzynkę, jej plecy już wyłaniały się zza muru, wysoki płomień skwierczał ostro.

– Stop. Co to jest?

Phoebe Patrick Gheorg McPherson mignęłu na sekundę swoją manifestacją.

– Źródłowe nano.

Adam się zirytował.

– Wyjdź-żesz na wierzch!

Prymarna Gheorgu stanęła po lewicy Zamoyskiego.

– Puść do końca – powiedziała – zobaczysz, jak się konfiguruje.

=…siedemnasta prośba o spotkanie od osca Cress *filius* Gnosis, sto czternasta od osca Suze *filius* Skortz, pierwsza od…

Zamoyski konsekwentnie ignorował głosy docierające do jego //uszu.

Jego primus wyczarował z powietrza trzcinkę i wskazał nią zamrożone ścięgna nanoasasyna.

– Ale tak n a p r a w d ę – czym to jest n a p r a w d ę?

– Mogę…?

– Proszę.

Obie manifestacje zniknęły, a całe pole widzenia /Zamoyskiego wypełniła gęsta, szara mgła.

= Pozwól = rzekłu P. G.

Zoom, *zoom*, *zoom*. Zapadali się w głąb tych mgielnych kłębów. Szare chmury rozjeżdżały się na boki i Adam zaraz dojrzał między nimi fragmenty muru zamkowego, kawałek trawnika, skrawek nieba, także czarną strunę, przebijającą mgłę niczym negatyw laserowego promienia. W prawym dolnym rogu pola widzenia phoebe włączyłu licznik skali. *Zoom*, *zoom*, *zoom*. Spadali w stałym tempie, rzędy wielkości tykały co sekunda; właśnie opuszczali mezokosmos.

= Widzisz?

Bezcielesny, pozbawiony jakiejkolwiek manifestacji – jesteś kierunkiem swego spojrzenia, punktem skupienia zmysłów, niczym więcej. Patrick obróciłu wzrok Zamoyskiego o 40° w prawo, o 30° w dół. Adam wpływał teraz w smugę cienia.

Minus 6, minus 7. Mgła wyglądała jak dotknięta przez ostrą pikselozę: z jednolitej substancji zmieniła się w nieuporządkowane zbiory różnobarwnych skrzeplin.

Minus 8. Nagłe przejście: zbiory były już uporządkowane.

Zoom, stop.

= Teraz możesz dojrzeć zarówno budulec, jak i strukturę. Spójrz najpierw na cesarskie, to jaśniejsze. Jakie kolory jesteś w stanie rozpoznać?

= Zaraz… to schodzi do składowych. Żółte, niebieskie, czerwone.

= Ton, kroton i ort. Gdybym trochę cofnął, zobaczyłbyś pełną paletę triad: dwadzieścia siedem kombinacji, dwadzieścia siedem odcieni. To jest szkolne przyporządkowanie. Żółć, błękit i czerwień. Z tych trzech cegiełek za pomocą języka programowania infu, NSCC, konfigurujemy wszystkie możliwe operatory. Także nasze manifestacje. Także mammoidy. Także Cywilizacje Śmierci. Ton, kroton i ort. Widzisz? Wypełniają całą przestrzeń; oczywiście, w różnym zagęszczeniu. Przeczytaj Umowę Fundacyjną. Każda zamieszkana przestrzeń należąca do Cywilizacji Homo Sapiens, a w myśl Trzeciej Poprawki także próżnia kosmiczna zamknięta w jej Portach – jest wypełniona cesarskim nanowarem.

= Zaraz – to znaczy, że tam, w Afryce – = Cała Ziemia. Tu, na weselu Beatrice – oddychałeś infem, piłeś go, pociłeś się nim, krążył ci w żyłach, przenikał przez skórę, osadzał się w mózgu. Jest wszędzie.

Tęczowa mgła otulała ich bezcielesne perceptoria ze wszystkich stron. KTTOOTKTKOKOOTTKOTKTOOOOKTKTOTTOKTKKKOTTKTO-TOKTKOTKTTOTOKTKTOTKTOTKTKTOOOTKTOTKTTOKTTO-KTTOKOTOTKTOKTOKTTOTKTKTOTKOOOTKTOKTTKTKTKO-KKKTOTKTOTTTKKTOO

Oddycha, pije, wydala…

A przecież w tej chwili to nie Cesarz inwaduje jego pustaka – lecz Franciszek.

Gdyby Zamoyski miał ciało – gdyby je teraz p o s i a d a ł – zatrząsłby się zapewne z obrzydzenia. Oni tu wszyscy żyją we flakach lewiatana. Co z tego, że nieorganicznych? Gdy rozpatrywane na tym poziomie, wszystko jest już organiczne lub nieorganiczne, jak kto woli.

Ale ja nie mogę myśleć inaczej. Oślizgły potwór, bestia amorficzna, zimny lewiatan. Oni żyją w nim, on w nich. I uważają to za normalne. Pieprzona Cywilizacja!

Mróz przeszedł Zamoyskiemu po kręgosłupie. (Ale przecież nie ma kręgosłupa).

Skoro w całej Cywilizacji – to także tam, wtedy: w Afryce, w Puermageze, w zagajniku nad strumieniem. I dalej: w Saku, w garści de la Roche’u *et consortes*. Co właściwie twierdziła Angelika? Że jaka jest geneza Smauga? Przecież nie cesarskie nano odcięte od Plateau? Odcięły je Wojny – a Wojny zostały wypuszczone przez Cywilizacje, nie przez Horyzontalistów de la Roche’u. Horyzontaliści nie mogli tego przewidzieć; porwali nas wcześniej. Musieli zatem mieć jakiś inny sposób na pozbycie się infu. I to do tego stopnia dla wszystkich oczywisty, iż nikt się nawet o nim nie zająknął.

Zapytał phoebe’u.

= Nielicencjonowane nano = odparłu. = Istnieje wiele modeli nanoware’u znacznie bardziej zjadliwych niż inf. Cesarskie nie jest pod tym względem optymalne, ponieważ nie działa bynajmniej na najniższym możliwym poziomie atomowym.

Szarpnęło. *Zoom*. Minus 9.

Pole widzenia wypełniała grupa czerwonych i niebieskich granul, każda jak balon. Zamoyski przesuwał się między nimi bez wysiłku, przenikając przez wąskie szczeliny – punkt, ciało zerowymiarowe, fala infowiatru. Przepłynął pod kilkudziesięcioma szeregowo połączonymi balonami i ujrzał obłok wściekłego fioletu.

Znowu szarpnięcie. Minus 10. Spadł między fioletowe ostrosłupy.

= To dopiero są nanoboty *in limine*. Oczywiście już czysta symulacja = rzekłu phoebe. = Silniki podenzymatyczne, jednowzorcowe asemblery i replikatory, disasamblery specjalistyczne… Nano cesarskie jest, jak widzisz, znacznie od nich większe, tym samym podatne na ataki z niższych poziomów.

= Dlaczego więc…?

= Prawo. Dla bezpieczeństwa. Przeczytaj Fundacyjną. Nigdy nie pozwolilibyśmy na podobne rozprzestrzenienie się infu, gdyby nie był on kontrolowany, że tak powiem, „u samej podstawy".

Nie zeszli do poziomu fioletowego nano; miast tego skręcili ostro do góry i przebili powierzchnię najbliższego balonu. Mignięcie żółci – potem już inny świat.

Musiał sobie Zamoyski wciąż przypominać, iż jest to zaledwie model, r e p r e z e n t a c j a.

Szkielet nanobota – ortu – zbudowany był symetrycznie, na bazie multidodekaedru. Na co czwartym zewnętrznym atomie zaczepione miał długie łańcuchy cząsteczek egzekutywnych. Tu, wewnątrz bota, wizualizacja traciła na elegancji i gładkości: granice poszczególnych atomów okazywały się rozmyte, same atomy posiadały zresztą dziwny, trudny do opisania kształt, najbliższy bynajmniej nie kuli, lecz elipsoidom, klepsydrom, nierzadko wręcz graniastosłupom.

W sercu wielokrotnego dodekaedru znajdował się tajemniczy splot molekuł, tak ciasny, że trudno było rozróżnić poszczególne chmury elektronowe.

= Każdy cesarski nanobot jest kontrolowany bezpośrednio z Plateau. Manifestacje infu stanowią odbicie programów NSCC. Zmienia się mapa NSCC – zmieniają się wiązania i struktury 3D infu. Czy teraz rozumiesz, czym jest tamto czarne nano?

= Infem zhackowanym.

= Tak.

Phoebe zatrzasnęłu wizualizację i przywróciłu stare adresowania manifestacji.

Primus Zamoyskiego opuścił rękę z trzcinką. Zamrugał w lipcowym słońcu, spojrzał na Murzynkę, ogień, struny. Z powrotem wzniósł rękę. Uderzone ścięgna rezonowały. Cesarka sperwertowana. Ktoś wszedł na jej Pola.

Całe Farstone objęte było protokołem Pierwszej Tradycji. Czy trzyipółmetrowa kobieta z ogniem na czaszce mieści się w nim? Z błędu maszynowego i maszynowej nadpoprawności rodzą się największe absurdy.

Adam ponownie uruchomił nagranie. Czarnoskórą mortmanifestację pociągnęło wstecz, phoebe i stahs odstąpili. Szło to w tempie sekundy na sekundę i końcówka (to znaczy początek) rozegrała się błyskawicznie. Na dwa metry przed Okiem Nocy Murzynka się rozpadła. Najpierw zgasł płomień na jej czaszce – jakby z nagła zakręcono palnik acetylenowy. Potem – trzask-trzask-trzask; trzy mgnienia oka – złożyła się w sobie, niczym organiczne origami. Dwukrotnie, czterokrotnie, ośmiokrotnie – wstecz, po czarnych liniach gwałtu – 64-krotnie, 128-krotnie… zasysało ją Oko Nocy.

Teraz jeszcze sekunda, półtorej – zamknęło się i ono, wycofując się ze światła do swoich niewidzialnych domen.

– Chwila dla entropii – mruknął Adam.

Obrót i – Symulacja skoczyła naprzód.

Ponownie (po raz już chyba czwarty) ujrzał przebieg zdarzenia. W przesiąkniętym słonecznym blaskiem powietrzu wybuchł granat ciemności, przez wybitą dziurę wychynęło Oko, czarna bulwa, kieszeń nocy. Coraz szybciej pulsując, wydała ona z siebie w blask dnia zarodek morderczyni. Ten, ledwo wypadłszy w światło, począł się z przerażającą szybkością rozwijać do pełnej manifestacji.

Zamoyski zarządził restart i obejrzał to raz jeszcze, teraz bez wizualizacji mikrostruktur infowych.

Murzynka eksplodowała *ex nihilo*, wprost z powietrza. Może tylko ten ułamek sekundy wcześniej – powidok ruchu zbyt gwałtownego, by odbił się na źrenicach… Lecz jeśli ktoś wie, czego się spodziewać, dojrzy frenetyczny pląs ciasno splątanych rąk, nóg, żeber, skóry, wewnętrznych organów, w niczym jednak nie przypominających fragmentów ludzkiej anatomii. Gdyby atlasy anatomiczne rysowali kubiści…

– Dosyć – szepnął. – Muszę pomyśleć. – A z woli randomizera uśmiechnął się przy tym szyderczo.

Gheorg przeprocesowału to jakoś po swojemu, bo naraz wyskoczyłu z propozycją:

– Jeśli nie masz innych zobowiązań, stahs, zapraszam do „Trzech Koron”.

= „Trzy Korony”, info.

= Prywatny klub stahsowo-phoebe’owy, Londyn, pod protokołami Ortodoksji. Regulamin? Historia? Członkowie? Inne szczegóły?

– Dziękuję.

P. G. przesłału mu na Pola buforowe adresy i krypto dostępu. Zamoyski odruchowo wygładził chiński kaftan i przeadresował się.

Stali na schodach ceglanego budynku w starej cz ęści Londynu. Pokondensacyjny wir powietrzny już zwalniał, powoli opadały kurz i liście. Manifestacja Gheorgu unosiła właśnie dłoń, by zapukać; manifestacja była ta sama (taka sama), co w Farstone. Również Zamoyski się nie zmienił: Da_Vinci_VII, Lord Orientu – teraz to już twardy default.

Zanim wszedł, obejrzał się jeszcze na ulicę, ku skrzyżowaniu. Para nastolatków krzyczała na siebie z przeciwległych chodników. Przejechał samochód (srebrny mercedes). Starszy mężczyzna czytał gazetę, idąc, wiatr mu ją wyrywał i miął. Zza rogu wybiegł pies, obwąchał but mężczyzny, trącił łbem jego nogę – człowiek, nie patrząc, sięgnął w dół i pogłaskał kundla.

Czy to są wtórne manifestacje? Adam był pewien, że nie. Widzi prawdziwych, biologicznych ludzi, prawdziwego psa, automobil zatruwający powietrze – XX wiek w wieku XXIX.

Zamoyski i McPherson weszli do „Trzech Koron”.

Nie był to „Klub Diogenesa” Mycrofta Holmesa, niemniej nikt tu nie podnosił głosu ponad poziom leniwej konwersacji, a i kobiet nie dostrzegł Adam zbyt wiele. Wszystkie meble wykonano z ciemnego drewna, ciemne drewno pokrywało ściany, bordowe dywany wyścielały parkiet, tłumiąc odgłos kroków. Cisza posiadała głębię i fakturę arabskiego gobelinu.

Zainstalowane w boazerii lampy naftowe emitowały miodowobrązowe, ciężkie światło. Jakże światło może być ciężkie? Ano właśnie tak: pokrywając każdą powierzchnię namacalną, szorstką warstwą bursztynowego miału. Nawet ludzie pod dotykiem takiego światła poruszają się wolniej i płynniej; czas przedziera się z mozołem między chwilą a chwilą.

Gospodarz klubu (brodaty jegomo ść w trzyrzędowym garniturze) po krótkiej kurtuazyjnej rozmowie posadził ich w kącie trzeciego salonu, tu było jeszcze ciemniej.

Zamoyski przyglądał się odchodzącemu. Nanomancja? Pustak biologiczny? Bo na pewno nie OVR.

Zapytał Patricku ustami animy.

= A widziałeś płaskorzeźbę nad drzwiami? = odparłu pytaniem.

= Nie. Jaką płaskorzeźbę?

= Szkic Da Vinciego, człowiek wpisany w kwadrat. Pokażę ci potem. To ryt Pierwszej Tradycji. Ortodoksja Cywilizacji HS.

= Ach. Rozumiem.

Oni dwaj wszelako byli obecni jedynie manifestacjami nanomatycznymi. Zamoyski żałował, że nie może poczuć prawdziwego zapachu tego miejsca.

Lokaj przyniósł alkohole.

P. G. przeprosiłu i wyszłu do sali obok. Zamoyski usiadł swobodniej. Zdał sobie sprawę, że Patrick odeszłu, ponieważ Adam wypowiedział był to swoje „Muszę pomyśleć” na głos – a „Trzy Korony” stanowiły idealne miejsce dla spokojnej refleksji.

I zdał sobie sprawę także z tego: teraz – na tym odcinku Krzywej – przeadresowanie się do dowolnego miejsca w Cywilizacji (na Ziemi, w Układzie Słonecznym, w innym Porcie, w innej inkluzji, w plateau’owych konstruktach AR) jest zawsze kwestią tych samych kilku-kilkunastu k-sekund – czasu koniecznego dla pełnej konfiguracji manifestacji, zależnego od pierwotnej gęstości infu w punkcie docelowym. Toteż przeskakiwanie na kaprys nastroju do upodobanego krajobrazu, pod odpowiadające napięciu chwili egzotyczne nieba, gwiazdy o blasku tak ostrym i gorącym jak prowadzona konwersacja – to wszystko było całkowicie racjonalne. Ba!, Adam zaczynał już instynktownie pojmować naturalność takiego trybu życia. Nie zapomniał przecież, jak jeździł przez pół miasta, by zjeść lunch w ulubionej restauracji – przez pół Europy, by obstalować garnitury u ulubionego krawca. Cóż się zmieniło? Nic. Łatwiej jedynie realizować kaprysy, skraca się droga między myślą a czynem.

Wyżyny Krzywej kusiły, UI przyciągała. Kalotropizm odzywa się w końcu w każdym stworzeniu, im podlejszym, tym szybciej.

Primus Zamoyskiego smakował nieznane alkohole, Bóg jeden wie, pod jakimi słońcami, w jakich Portach destylowane; nie chciał pytać oesu, bez wyjaśnień pozostawały bogatsze o jeszcze jeden smak. W świetle nasączonych naftą knotów szkło miało barwę zanieczyszczonego nefrytu.

Słyszał szmer cichych rozmów – i ów „szelest luksusu”, właściwy takim miejscom – ale potrafił się nań zamknąć, zignorować, jak ignorował szepty dochodzące bez przerwy do //uszu.

Mógłbym tak żyć, pomyślał. To jest dobre życie. Niebieski kaftan odbijał się na powierzchni obracanej w dłoni szklanki. Jestem sam; nikt mnie nie

obserwuje, nikt nie nadzoruje. Posiadam obywatelstwo, jestem stahsem…

Wiedzał, że 99% populacji Ziemi to nie są obywatele Cywilizacji HS. Nie dlatego, że ludzie ci nie mieszczą się w stosownym przedziale Krzywej, lecz dlatego, że ich nie stać. Umowa Fundacyjna została spisana po myśli ówczesnych dysponentów technologii, Cywilizację Homo Sapiens ufundował establishment przemysłowo-polityczny XXII wieku.

Więc chyba mogę o sobie rzec, iż należę do elity, arystokracji tego świata.

(Lecz wyżej są jeszcze arystokracje wszechświata; i arystokracja wszystkich możliwych wszechświatów.).

Obok leżało pudełko z emblematem trzech złotych koron na wieczku. Otworzył. Cygara. Mimowolnie uśmiechnął się.

Wstał, zapalił jedno w płomieniu lampy. Tylko smak, bez zapachu; ale jaki smak…! Kto za to wszystko płaci?

//Zapytał.

Menadżer oesu zaczerpnął z publicznych Pól i odpowiedział:

= Członek wprowadzający.

Czyli Patrick.

Rynkowa wartość takiego cygara jest jednak przyzerowa, podobnie jak każdego produktu rekonfiguracji infu. Oczyma wyobraźni Zamoyski niemal widział te nieskończone pola tytoniowe, sięgające horyzontu rzędy roślin, zasiewanych, wzrastających i pozbawianych liści przez – przez duchy. Cygaro nie było warte ni molekuły materii egzotycznej.

Niemniej Patrick brału za Adama pełną odpowiedzialność, a to oznaczało znacznie więcej niż zobowiązanie do uregulowania rachunków. Tu istnieją pewne ścisłe reguły.

Pierwsza Tradycja… nie zamanifestowali się przecież od razu w klubie, lecz na zewnątrz, na schodach. W e s z l i – stopa za stopą, przekroczyli próg. Więc nawet takie szczegóły…

Rozparłszy się w nieprzyzwoicie wygodnym fotelu, Zamoyski zaciągnął się wilgotnym dymem.

Szczegóły: sposób ominięcia protokołu Farstone.

Szczegóły: dlaczego chciała zabić i mnie?

Szczegóły: dlaczego, dlaczego się jej to nie udało?

Sam moment morderstwa Judasa Adam oglądał ponad dwadzieścia razy, zgodnie ze strzałką czasu i jej przeciw, w zwykłej skali, w spowolnieniu

i nawet w przyspieszeniu. Jak wyrywała mu kręgosłup, jak rozpruwała pustaka, jednym ruchem potężnych ramion rozszarpując ciało na połowy. By następnie momentalnie zakręcić – ona i reszta kopii – i pognać ku Zamoyskiemu.

Ten fragment przewijał był wielekroć, znał go już niemal na pamięć. Angelika wstawała z ławki, blada. Odurzony Adam rozglądał się dokoła, nic nie rozumiejąc. A mortmanifestacje biegły, gazelimi susami przemierzając trawnik. Goście stali i patrzyli, w milczeniu, w bezruchu: nic do zrobienia, nic do powiedzenia.

Dlaczego w ogóle Murzynka? I ten płomień z czaszki. To głupie. Po co? Nie prościej zhackować Pola przyporządkowane bezpośrednio nanowa-re'owi wchłoniętemu przez organizm pustaka ofiary? Ergonomia mordu to nauka jak każda inna. Spopieliłoby mi serce, zanim ktokolwiek by się zorientował.

Zamoyski wypuścił dym z płuc, odchylił się na oparcie fotela, przymknął oczy. Bezcielesną animą począł wypytywać menadżera oesu. Oes zasysał informacje z Plateau, interpretował je, kompilował, konwertował w przekaz dyskursywny i w tej postaci aplikował wejściom odpowiadającym zmysłowi słuchu secundusa Adama.

Ów interfejs, choć tak utrudniający przepływ informacji, pozostawał konieczny, jako że Zamoyski nie był phoebe'um i jego umysł nie był w stanie przyswajać informacji na zasadzie bezpośredniej osmozy z Plateau. Przede wszystkim jego umysł w ogóle nie znajdował się na Plateau, jedynie zeń korzystał. Stąd ograniczenie.

Ile jednak może się w ten sposób człowiek dowiedzieć/nauczyć w jednostce czasu? – słuchając, czytając, czując…? W porównaniu z phoebe'ami i inkluzjami – praktycznie nic. To bogowie.

Taak, UI kusi, UI przyciąga – światło, słońce, gwiazda przewodnia…

Otrząsnął się z przerażających marzeń.

Sposób zamachu dowodzi, iż ten, kto za nim stał, sprawca, Programista, nie posiada swobodnego dostępu do całości plateau'owego indeksu infu: przebił się zaledwie do wycinka odpowiedzialnego za decymetr sześcienny za załomem zamku, zmanipulował zawartość jego Pól i potem już z powrotem wpadł pod protokół.

Po prawdzie więc Programista nie złamał FTIP.

Nie; o ile wolno stopniować niemożliwości, to on dokonał czegoś jeszcze bardziej niemożliwego: włamał się do plateau'owych indeksów infu.

Menadżer oesu informował Zamoyskiego, iż Oficjum prowadzi w tej sprawie intensywne śledztwo. Urodzono pięć otwartych inkluzji wyłącznie dla rozwiązania tej zagadki. Wyniki pozostają, rzecz jasna, utajnione.

To akurat nie irytowało Zamoyskiego: on dobrze wiedział, kim jest Programista (Suzeren, któż by inny?), a zastosowana metoda plateau'owego hackingu (był to ordynarny Spływ) niewiele go interesowała; i tak nic by nie zrozumiał z meta-fizycznych wyjaśnień.

Wszelako ten szczegół – że Suzeren nie potrafi Spływać na dowolnie wybrane Pola; że nie do końca steruje swymi manifestacjami na Plateau – ogromnie dodawał Adamowi otuchy. Przecież on chce mnie zabić! Boże drogi, gdyby mógł Spływać podług woli, zamordowałby mnie już po milionkroć!

Ale – szczegół drugi – właściwie dlaczego? Czym ja mu zagrażam? Kiedy to zdążyłem nadepnąć mu na odcisk?

W Pałacu Pamięci, manifestując się przez moją podświadomość, Suzeren bełkotał coś o zniszczeniu wszechświata, o Narwie. W ogóle Narwa z jakiegoś powodu nie daje mu spokoju.

Zamoyski ssał soczysty tytoń i stukał paznokciami w mahoniowy blat stołu.

Mhmmmm. Jak dokładnie prezentuje się chronologia zdarzeń?

Jeden. Gnosis znajduje „Wolszczana".

Dwa. Ekstraktują bioodpadki.

Trzy. Rekonstruują mi pustaka, mózg. Instalują wszczepkę i odpalają nadzorczą SI. Nina.

(Zagryza zęby na cygarze).

Cztery. Moetle wyciąga swojego asa z rękawa i wydobywa ze mnie historię lotu, w tym charakterystykę Hakaty-Dreyfussa. Bierze w leasing trójzębowca i leci tam.

(Teraz już domysły; ale mocne).

Pięć. Moetle przybywa na miejsce, może ląduje na Narwie. Nikogo nie informuje, nie porozumiewa się z Judasem, z Gnosis, z Cesarzem; z nikim. To jego sekret, jego *wunderwaffe* w niekończącej się wojnie rodzinnej. Doskonale potrafił sobie Adam wyobrazić podniecenie, jakie ogarnęło Moetle'a na widok Hakaty, słońca, które nie jest słońcem.

Ale Moetle musiał jednak po coś wejść na Plateau – Zamoyski przypuszczał, że to nawet nie była Moetle'a świadoma decyzja; może po prostu okresowa aktualizacja archiwizacji frenu.

W ten sposób – sześć – dowiaduje się Suzeren.

Dowiaduje się – ale o czym? co takiego zobaczył Moetle na Narwie? – i natychmiast Spływa na Plateau Deformantów, na Pola zarządzające ich Kłów. Gdyby mógł, Spłynąłby na wszystkie; i tak są to wielkie liczby. (Ile Portów posiadają Deformanci? Ile Kłów stanowi organy ich ciał, jak Franciszku?) Porywa te Kły, zbiera wokół układu Dreyfussa i odkraftowuje go – z Moetlem w środku.

Siedem. Moetle wyautowany. Narwa w garści Suzerena.

Ale tego mu widać za mało, bo – osiem – odstawia ten numer z Ognistą Zabójczynią na weselu Beatrice.

Cel pierwszy: Judas McPherson, jego aktualny pustak oraz archiwizacje. Z archiwizacjami Suzerenowi nie powodzi się do końca. (Kolejny znak: nie jest wszechmocny, nie jest wszechmocny!). Na dodatek nie przewidział spisku Horyzontalistów: gdyby nie jego przedwczesny atak, plan de la Roche'u *et consortes* naprawdę mógł się powieść. Tymczasem Suzeren spowodował tylko wprowadzenie nowych zabezpieczeń. Judas żyje – istnieje – nadal.

Cel drugi: ja. Dlaczego? Abym powtórnie nie przypomniał sobie o Narwie? Ale w czym ta Narwa zagraża Suzerenowi – tego nie wiem. (Sam zgruzowałem sobie pamięć). I nie mam zielonego pojęcia, dlaczego mu się ten zamach na mnie nie powiódł…!

Zamoyski zapisa ł sobie ów fragment nagrania z wesela pod makrem głosowym secundusa. Odpalenie powodowało zarazem pełne rozwinięcie perceptorium animy.

Potrafił już wytrzymać równoległe doświadczenia dwóch ciał: dwa pełne pakiety wrażeń fizjologicznych, dwa strumienie bodźców wizualnych, słuchowych. Jeszcze miał kłopoty z błędnikiem; jeszcze kręciło mu się w głowie (w głowach), gdy zarazem stał i siedział, szedł i biegł, stał i spadał, siedział i biegł… Ale i z tym było już lepiej: nie krzyczał, nie przewracał się, nie wymiotował. *Przesunąłeś się wzwyż po Krzywej Progresu*. (Czy ten proces da się w ogóle zatrzymać…?)

Tak więc – szczegół trzeci:

Stoi za swoimi plecami, gdy pierwsza z czarnych olbrzymek dobiega do ławki, omija skamieniałą Angelikę (przedziwny jest wyraz twarzy dziewczyny) i, niczym jednorożec, uderza, pochylona, z rozpędu, błękitnym ostrzem ognia – w twarz Zamoyskiego. Który jest ślepy, nie widzi jej, nie wie, co się dzieje; chciał był zapytać Angelikę, ale nie zdążył.

Teraz Zagadka. Płomień wchodzi w Zamoyskiego, Murzynka wpada na niego, impet ciska ich na pień dębu, Zamoyski krzyczy, wymachuje niezbornie rękoma, próbuje odepchnąć olbrzymkę… pfch! Nanomancja wybucha mu w twarz wirem nanoware'owego pyłu: wiązania puściły, informacja o konfiguracji została utracona, entropia skacze wysoką krzywą – nie ma Murzynki. 0.42 k-sekundy później dezintegrują się pozostałe jej kopie.

Wszelako nic z tego nie było zasługą Cesarza. Wraz z nagraniem otrzymał Adam ścisły terminarz podejmowanych wówczas działań. Pomijając fakt, iż sam Cesarz przyznaje, że były one nieefektywne – żadne z nich nie koreluje się czasowo z demanifestacją Suzerena.

Czyżby Suzeren sam się wycofał? Czemu jednakże miałby to uczynić – w połowie misji, nie osiągnąwszy celu?

Bo Zagadka zamyka się w gruncie rzeczy następującym pytaniem: jakim cudem Zamoyski przeżył? Ogień buchający z czaszki olbrzymki posiadał temperaturę plazmy gwiazdowej, pięć milionów stopni (inf zbadał). Płomień zmierzał prosto w twarz Zamoyskiego. Powinien był przepalić mu mózg na wylot.

Tymczasem ani blizny.

Jak to możliwe, zapytał Adam Cesarza. To niemożliwe, odparł Cesarz.

Nawet jednak pytania, jeśli poprawnie zadane, niosą w sobie informację. Dlaczego Suzeren próbował spalić mózg mojego pustaka? Odwróć akcenty.

Suzeren próbował spalić mózg mojego pustaka!

Nie zaatakował umieszczonych na Polach Gnosis archiwizacji Adama Zamoyskiego – a jedynie tę konkretną jego biologiczną realizację, tego pustaka, ten mózg, ten umysł w nim zaimplementowany.

Jaki w tym sens? Oczywista odpowiedź brzmi: zniszczenie informacji dodanej. Ucięcie linii frenu przed kolejną archiwizacją.

Ale nie w tym przypadku: Zamoyski miał w mózgu wszechfunkcyjną wszczepkę, SI siedziała na nim, nadzorując i backupując wszystkie funkcje mózgowe w czasie rzeczywistym. Zamoyski był archiwizowany w sposób

ciągły. Zniszczona informacja dodana – byłby to jakiś przyzerowy, statystyczny biały szum na neuronach.

Lecz czy można to wyjaśnić inaczej?

Nie. Manifestacja to tylko manifestacja. Suzeren nic by na tym nie zyskał.

No ale w to Zamoyski jakoś nie potrafił uwierzyć.

Zagłębił się w ponowne analizy danych zebranych podczas zdarzenia. Na poziomie molekularnym większość danych pochodziła ze spontanicznie się konfigurujących triad diagnostycznych KTK27, tak zwanych „lilii Borodino". (Uczył się już nazw slangowych poszczególnych nanobotów). Istniała tu pewna dwuplanckowa nieciągłość – – Stahs.

Otworzył oczy, wyjął z ust cygaro, znieruchomiał nad zamrożonym w momencie dezintegracji ciałem Murzynki.

Stał przed nim wysoki, otyły mężczyzna w białym garniturze. Uśmiechając się, gładził potężną dłonią łysą czaszkę. Teraz ukłonił się lekko i podał Zamoyskiemu wizytówkę.

Adam wstał, sięgnął do lewego rękawa, podał swoją – po europejsku, jednorącz. Wizytówki były podczepione do publicznych Pól cesarskich, tak nakazywał *savoir-vivre* Cywilizacji.

Wizytówka łysego (kogo on mi przypomina…?) głosiła:

PRAHBE MICHAŁ OGIEŃ
AMBASADOR PEŁNOMOCNY
TRZECIEJ CYWILIZACJI PROGRESU RKI

Wizytówka plateau'owa była bez porównania bogatsza. //Adam wstąpił zza ławki w nieskończone galerie danych, otwierały się tam co krok salony audiowizualnych konstruktów edukacyjnych, prezentujących cywilizowane (to znaczy: dopuszczone przez cenzurę Gnosis Inc.) wersje pakietów informacyjnych na temat fizjologii rahabów, kulturowych i kognitywnych podstaw ich Progresu, poszczególnych rahabowych Cywilizacji, ich lokalizacji na Krzywej, wzajemnych stosunków i stosunków z innymi Progresami/Cywilizacjami, tudzież Deformantami, aktualnego położenia frontu ich inkluzji otwartych na drodze ku UI…

Wskazał rahabowu fotel obok. Usiedli.

– Czym mogę służyć, prahbe?

– Ach, to ja pragnęłubym zaoferować ci, stahs, swoje usługi.

– Jako ambasador?

– Nie oficjalnie, nie w imieniu mojej Cywilizacji, jeśli o to pytasz, stahs. Niemniej j e s t e m jej ambasadorem.

To nanomatyczna manifestacja, skonstatował Zamoyski, przesuwając się tą myślą znowu bardziej ku swemu secundusowi. Nanomat, żaden pustak biologiczny. Czy rahabowie posiadają płeć? Z drugiej strony, jakież to ma znaczenie? To prahbe, *Post-Rahab Being*. Jest rahabum w tym stopniu, w jakim phoebe jest człowiekiem.

– Jakie zatem usługi masz na myśli, prahbe?

– Doszły nas wieści o twoim pojedynku z osca Tutenchamon. To dość niezwykłe, gdy inkluzja wyzywa stahsa. Wszyscy w Progresach uważają to za wysoce, mhm, nietaktowne z jenu strony. Gdybym mógł jakoś pomóc – Randomizer behawioru rozciągał usta /Zamoyskiego w cyniczny uśmiech – podczas gdy tak naprawdę Adam był raczej zmieszany i zirytowany.

– Właściwie nie bardzo chce mi się wierzyć w całą tę hecę – mruknął. – To znaczy, owszem, wiem, że czeka mnie pojedynek… Ale to wszystko nie trzyma się kupy: meta-fizyka, inżynierie kosmiczne, cywilizacje gwiezdne, AI i UI – a tu: pojedynek! Na litość boską…!

Prahbe Ogień wykonału masywnymi rękoma nieskoordynowany ruch. (Czy onu także maskuje się przed espionażem psychologicznym? jak wyglądają behawioralne modele frenu rahabu?)

– To Cywilizacja, stahs.

Zamoyski zacisnął zęby na cygarze.

– Nie twoja.

– Drugorzędna różnica. Nie patrz tak, nie jestem Horyzontalistą, ale – ale nie trzeba być Horyzontalistą, by przyznać, iż wspólnota struktur frenu jest ważniejsza od wspólnej historii. Z punktu widzenia stahsa być może nie prezentuje się to do końca – – Ludzie różnią się od rahabów, którzy różnią się od antarich, którzy różnią się od usza.

– Tak, ale inkluzje z Progresu HS i inkluzje z Progresu RKI to już niemal jeden gatunek.

– Gatunek!

– Jakiego słowa mam użyć? Mam dobre zwięzyki.

– Nie, prahbe, ja rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Rodziny królewskie zawsze uważały się za spokrewnione ze sobą; to plebs i biedota są

więźniami granic i języków. Tylko dlaczego, skoro już tu, na dole, narzucają sobie te więzy, tę Cywilizację… – Zamoyski zakreślił dłonią z cygarem szeroki łuk, obejmując gestem wnętrze „Trzech Koron”. – Dlaczego to jest takie t e a t r a l n e?

– Grają od sześciuset lat – zaśmiału się Ogień. – Jakie ma być?

– U was też tak to wygląda? U waszych – //Zamoyski poszukał terminu na określenie rahabów z pierwszej tercji – parahabów?

– Parahabowie tworzą własne Cywilizacje. Trzecia Cywilizacja Progresu RKI obejmuje część drugiej i początek trzeciej tercji. Czasami jednak mam honor przemawiać w imieniu odpowiednika Wielkiej Loży w naszym Progresie i wówczas reprezentuję także Cywilizacje, które rozumieją już tylko moje zwięzyki. Wasz Progres jest pod tym względem wyjątkowy. Po co grzebać w mechanizmie, który funkcjonuje tak dobrze? Macie wspaniałą Cywilizację. Może właśnie tego trzeba, by wytrzymać podobne rozciągnięcie na Krzywej – odrobinę teatralności, przesady, kiczu i dystansu do samych siebie? Ironia zapewnia długowieczność.

– Bo ty, prahbe, patrzysz na to właśnie jak na mechanizm. A dla mnie kultura, która nie może się rozwijać, jest martwa. Nie ma szczęścia w stagnacji.

Ambasador rozłożyłu szeroko grube ramiona.

– Ba! Lecz czy jest szczęście w zmianie? Przecież wiesz, stahs: wszystko w sposób naturalny zmierza ku UI. Wiesz, czym jest śmierć: końcem istnienia struktury w formie stanowiącej o jej tożsamości – na skutek rozpadu lub przekształcenia w inną formę. Nie ma reguł silniejszych od Praw Progresu, to najbardziej podstawowe zasady, zakorzenione głębiej niż prawa fizyki. Każda kultura, społeczność, każdy gatunek znajdujący się pod presją konkurencji, we wszechświecie o stałych warunkach nieuchronnie się doskonali, idąc po krzywej zmian ku UI. Od form gorzej przystosowanych ku lepiej przystosowanym; te pierwsze zatem umierają. Progres jest w istocie historią zagłady kolejnych realizacji frenu. Ta Krzywa to mapa cmentarzyska kultur. Każda kultura balansuje na ostrzu noża, stanowi ofiarę rozdzierających ją sił: postępowej i zachowawczej. Jeśli przeważy postępowa, zatracona zostanie tożsamość – i to jest śmierć. Jeśli przeważy zachowawcza, nic się nie zmienia aż do końca, gdy inne kultury, lepiej przystosowane, przytłoczą tamtą – i to też będzie śmierć. Różnica pojawia się w momencie takiego przyspieszenia wędrówki po Krzywej, że zależności powyższe zostają za-

obserwowane jako twarde statystyczne prawa, formułuje się model – jak u was sformułował go Alphonse Remy – i podejmuje się w oparciu o jego znajomość działania mające na celu zarazem zachowanie tożsamości i zabezpieczenie się przed kulturami z wyżyn Krzywej – ponieważ istnieje już wówczas świadomość zagrożenia. I tak oto powstają Cywilizacje. Przynajmniej tak działo się w Czterech Progresach. Oczywiście to również nie jest rozwiązanie ostateczne, na wieczność, ale – – A Deformanci? Na Polach publicznych znajduję wzory opisujące Progresy rozbieżne – – Bełkot ideologiczny. Deformacja rodzi się zazwyczaj jako bunt przeciwko Cywilizacji. To też jest pewna linia zmian, ale oczywiście nie zmierza ku UI. Zwać ją Progresem byłoby wielkim nadużyciem, bo skoro nie dąży ona ku doskonałości, czym mierzyć jej postęp lub degenerację? Zmiana nieukierunkowana to po prostu deformacja. Rzecz jasna, Deformacje – ani Cywilizacje leżące niżej na Krzywej – nie byłyby możliwe, gdyby wszechświat został bez reszty zagospodarowany, cała przestrzeń wypełniona życiem. Tak samo na Ziemi różne ekscentryczne kultury trwały, dopóki były izolowane, dopóki świat się nie domknął i zasady konkurencji nie zaczęły ich dotyczyć. Możesz je nazwać „naturalnymi Deformacjami”. A wiem, że i potem mieliście różne takie enklawy archaizmu, motywowane religijnie lub politycznie – już Deformacje świadome, świadome ucieczki z Progresu: Cesarstwo Chińskie, a na zachodzie – amisze; muzea komunizmu na Kubie czy w Korei Północnej, talibowie, potem Protektoraty Krzyża i Czarne Emiraty… Co się z nimi stało?

– Wchłonął je chrześcijański kapitalizm.

– Przegrały lub przystosowały się. W domkniętym środowisku nie ma ucieczki. Jak żeście to nazywali za twoich czasów, stahs?

Zamoyski wypuścił z płuc dym.

– Globalizacja.

– Globalizacja. Globalizacja jest zaledwie pierwszym przejawem tego fundamentalnego, uniwersalnego procesu: kosmologizacji. Wyścig zaczyna się na globie, ale w ostatecznym rozrachunku nie chodzi przecież o osiągnięcie Formy Doskonałej danego środowiska planetarnego – lecz Formy Doskonałej wszechświata, wszystkich możliwych wszechświatów.

Wydawało się, iż rahab swobodnie posługuje się angielskim, opowiadając tu Zamoyskiemu teorie socjogoniczne, a przecież wszystko to przecho-

dziło wpierw przez labirynty Kodu. Adam nie był nawet pewien, czy ambasador fizycznie znajduje się w Sol-Porcie. Chyba nie.

Przez dym i przez miodowy światłocień „Trzech Koron", błądząc wzrokiem ponad głową interlokutora, Zamoyski dojrzał w wysokim zwierciadle odbicie sąsiedniego salonu, a w nim – czterech mężczyzn zgromadzonych przy stole bilardowym. Nie grali; stali z kieliszkami w dłoniach i rozprawiali o czymś półgłosem z ponurymi minami. Jednym z nich byłu P. G.; dwóch innych Zamoyski nie znał; czwartego znał, ale nie potrafił sobie przypomnieć – skąd. Złote włosy, jasne oczy, szczupła, nordycka twarz, wydatna grdyka… Zamoyski ustawił ręcznie malowany portret złotowłosego na pierwszym stopniu ruin ruin rzymskiej willi.

– Pojedynki, prahbe.

– Ach, pojedynki. Stanowią jeden z elementów Cywilizacji HS. Nie będę dyskutował o racjonalności waszej kultury, stahs, niemniej jako środek służący jej zachowaniu są one bez wątpienia racjonalne, być może wręcz konieczne – jak Gnosis.

Gnosis, pomyślał Zamoyski, //zagłębiając się w hipertekst „Multitezaurusa". Gnosis zarazem należy i nie należy do Cywilizacji. Stanowi jej granicę, Mur Chiński, śluzę, filtr i osmotyczną błonę komórkową.

– Więc rytualne wymachiwanie szpadą ma przyczynić się do… do czego właściwie? Konserwacji człowieczeństwa?

– Takie są założenia – przytaknęłu Ogień.

– I ja mam z tum Tutenchamonum – – Aha.

– Macie oczywiście jakiś interes w pomaganiu mi – rzekł Zamoyski, przyglądając się kształtom dymu – aczkolwiek trudno mi sobie wyobrazić, jaki. Chcesz, bym uwierzył, że spotkałuś mnie tu przypadkowo? Nie uwierzę. Zapewne w jakimkolwiek publicznym miejscu bym się zamanifestował, ty, prahbe, w minutę później byłubyś już przy mnie. Nagotowane modele frenu, symulacje rozmowy, strategie psychologiczne – podejść, zachować się tak a tak, powiedzieć to a to… Do jakiej myśli podświadomej miała mnie doprowadzić twoja opowieść o historii Cywilizacji?

Ogień uśmiechnęłu się melancholijnie.

– Może do takiej właśnie…?

– A nie mówiłem? Całe strategie.

– A ty co w tej chwili robisz, stahs? Czym nasza rozmowa różni się od dowolnej rozmowy dwóch stahsów? Modele, symulacje, strategie – wszyst-

ko to obraca się wam w głowach. Lecz nie mówicie o nich na głos.

– Czym się różni? Tym, że nie potrafię sobie nawet wyobrazić, o czym ty, prahbe, myślisz. Gdy rozmawiam z człowiekiem – rozmawiam z sobą za maską cudzej twarzy. Gdy rozmawiam z tobą – za manifestacją tylko czarna otchłań.

– Czarna otchłań oferuje ci pomoc, stahs.

– I to mnie właśnie przeraża.

Szczerzyli się już do siebie otwarcie: pozbawione wesołości białe uśmiechy higienicznych drapieżców.

– A jaką postać miałaby przybrać ta pomoc?

– Championa.

– Słucham?

– Jako stahs wyzwany przez inkluzję masz prawo wystawić championa. Możemy służyć ci radą i kontaktami; możemy zapewnić samego championa.

– A-a, champion, rzeczywiście – mruknął Zamoyski, //czytając Kodeks Honorowy Cywilizacji HS. – Cóż, jakiekolwiek byłyby wasze motywy, obecnie znacznie bardziej ciekawią mnie motywy Tutenchamonu. Tylko proszę mi darować to kazanie o inkluzjach: że to góra Krzywej, więc nie sposób przejrzeć ich myśli, *et cetera*. O co jenu chodzi?

Ogień założyłu ręce na piersi, wydęłu wargi.

– Rozważamy różne możliwości. Być może coś ze Studni Czasu – twoje nazwisko dość często pojawia się w relacjach z przyszłości, stahs. Może mieć to coś wspólnego ze stahsem Judasem McPhersonem. Mogła też być to deklaracja polityczna. Ty nie żywisz żadnych podejrzeń?

– Nie znam jenu w ogóle. Moje podejrzenia prymitywne: co onu może zyskać na mojej porażce?

Ambasador wzniosłu oczy do sufitu.

– Niezbyt się na tym wzbogaci, prawda?

– Ile za wykup manifestacji? Jedną trzecią majątku? – Secundus Zamoyskiego czytał w pośpiechu Kodeks. – Ale samu wybierze ekwiwalent. Co to znaczy?

– Może nu chodzi o twoje archiwizacje, o pamięć, stahs?

Czyżby znowu Narwa? Moetle znalazł jakiś sposób na wydobycie ze mnie tajemnicy – Tutenchamon chce zaś po prostu przejąć mój mózg. Może faktycznie taki jest powód…

Albo jednak kolejna kontralogia Heinleina.

– Prahbe Ogień! – odezwału się znad Zamoyskiego Patrick Gheorg. – Czyżbyśmy wciągali stahsa Zamoyskiego w świat wielkiej polityki?

– Już został wciągnięty, obawiam się – rzekłu ambasador, wstając i kłaniając się lekko McPhersonowu.

= Nie jesteś moim aniołem stróżem! = warknął Zamoyski na P. G.

= Nie jestem też twoim wasalem! = odwarknęłu z zaskakującym gniewem sekretarz Judasa.

Michał Ogień zdążyłu tymczasem powtórnie się ukłonić i odejść.

– No więc nu przegoniłuś, gratuluję – skwitował Zamoyski.

Modus operandi McPhersonów staje się aż nazbyt wyraźny: wyciągnąć mnie w jakieś publiczne miejsce i wystawić, niczego się nie spodziewającego, pod ostrzał politycznych graczy – najpierw plaża Słowińskienu i Tutenchamon, teraz „Trzy Korony” i Ogień. Ciekawe, czy pobierają od nich opłaty za „kwadrans z dziwolągiem”?

A może plan jest jeszcze bardziej szczegółowy? Najpierw doprowadzić do pojedynku, a potem podstawić mi championa. Pełna kontrola.

Muszę przestudiować prawo Cywilizacji HS – co by na tym zyskali? Bo coś na pewno.

P. G. obejrzału się za prahbe’um.

– Niech zgadnę: zaoferowału jakąś przysługę.

– Dlaczego właściwie Tutenchamon wyzwału mnie na pojedynek?

– A co mówiłu phoebe Słowiński?

Zamoyski sięgnął pamięcią. Kontrola Spływów, no tak, to też może być motyw. Ale nawet jeśli zwyciężywszy, osca zażyczy sobie części moich Pól – i tak nie da to jenu tej kontroli.

Randomizer behawioru szarpnął ramieniem Zamoyskiego i Adam klepnął jowialnie manifestację Gheorgu w plecy. Z własnej woli natomiast spytał:

– Czy istnieje jakiś sposób na zmanipulowanie wiadomości ze Studni Czasu?

Patrick skinęłu na Zamoyskiego.

– Chodź, zobaczysz.

Ledwo wyszli z „Trzech Koron” (jeszcze się drzwi klubu za nimi nie zamknęły i Zamoyski nie zdążył się obejrzeć na płaskorzeźbę Pierwszej Tradycji), P. G. przeadresowału ich – w próżnię. Oczywiście nie była to próż-

nia naprawdę pusta, lecz próżnia Cywilizacji, toteż wypełniał ją inf. Co prawda w przypadku tak wielkich przestrzeni zagęszczenie nanobotów pozostawało daleko mniejsze od tego wymaganego przez protokoły planetarne; Patrick musiału byłu zarządzić lokalną kondensację już chwilę temu, oboje bowiem zamanifestowali się tam materialnie bez żadnego opóźnienia, nie zmieniając nawet samych manifestacji, Zamoyski jeszcze z cygarem w zębach.

Absurdalność podobnych reprezentacji już nie uderzała go z taką siłą. Technologia usprawiedliwia kulturę. Cokolwiek jest możliwe, stanie się – gdzieś, kiedyś – normą. I Adamowi nie sprawiało już właściwie różnicy: AR i Ogrody Cesarskie czy Farstone, czy kosmos. Tak czy owak, wszystko zapośredniczone.

Nie było tu gwiazd. W braku źródeł światła Zamoyski nie powinien był widzieć ani Patricku, ani nawet siebie; że widział, pozostawało w całości zasługą nałożonych przez P. G. aplikacji ortowirtualnych. Te same aplikacje według woli Gheorgu wydostawały z mroku kolejne obiekty lub od podstaw szkicowały ich zarysy w OVR, gdy same obiekty w ogóle nie miały prawa być widoczne.

= En-Port Gnosis = mówiłu = zawieszony w Sol-Porcie, ponad ekliptyką. To – widzisz? – sfera Schwarzilda czarnej dziury. Tutaj, tutaj, tutaj – zespoły Kłów. Wokół biegunów dziury i dalej – sieci detekcyjne infu. Teraz nakładam matrycę czasoprzestrzeni; widzisz gradient krzywizny. = Manifestacja phoebe’u wskazywała symboliczne reprezentacje, w miarę jak pojawiały się one w monolitycznej czerni. = Strojenie czarnych dziur do postaci Studni Czasu to oddzielna gałąź meta-fizyki. Celem jest otworzenie takich kieszeni temporalnych, które pozwalałyby na wejście spoza Schwarzilda w odwrócone strumienie czasu i na równie bezpieczne z nich wyjście.

= A grawitacja, siły pływowe? = spytał Zamoyski, bacząc, by nie okazać w głosie niedowierzania.

P. G. nakładału właśnie na obraz czarnej dziury linie ścieżek temporalnych. Wszystkie one szły tuż przy horyzoncie zdarzeń, odkształcanym w rytm odkształceń samej dziury, czasami niemal do nagiej osobliwości.

= Oczywiście, jakiekolwiek przedmioty o rozmiarach ponadmolekularnych zostałyby rozerwane, toteż w praktyce przekazuje się w przeszłość jedynie informację, zazwyczaj kodowaną w zmianach natężenia strumienia cząstek wstrzeliwanych w Studnie. Najpopularniejsze są neutrina, z oczy-

wistych względów. Pompowanie informacji w Studnie odbywa się nieprzerwanie, także teraz.

= Idą w przeszłość raporty o wojnie z Deformantami, o Suzerenie, o mnie… tak?

= Tak.

= Dlaczego zatem nikt wcześniej nie znał prawdy i wszyscy dali się wciągnąć w ten konflikt?

= A kto ci powiedział, stahs, że nikt? My nie znaliśmy; ale to kwestia rozrzutu naszych Studni. Z tym jest zresztą następny kłopot, a także z oceną prawdopodobieństwa przyszłości…

Zamoyski ssał w zamyśleniu cygaro. Było ciepłe – czuł to ciepło na wargach – lecz dymu inf już nie symulował.

= Wiem, że to nie neutrina, ale – powiedzmy, że wstrzelimy jakoś w Studnię sam inf…

= A! = zaśmiału się McPherson. = Inwazja nanomatyczna! Były już takie koncepcje. Oczywiście miałoby to sens jedynie w przypadku naturalnych dziur, bo przebicie się z inwazyjnym nano w taki En-Port, tylko że parędziesiąt lat wcześniej, nie miałoby wielkiego sensu. Inna rzecz, że w ogóle opanowywanie jakichś jednorazowych przeszłości nie ma sensu. Co to w ogóle miałoby dać? Brak łączności w drugą stronę. Chociażby ten jeden nanobot przetrawił według naszej receptury całą galaktykę – = A to możliwe?

= Co?

= Że jeden nanobot…

Wzruszyłu ramionami.

= Teoretycznie. W praktyce i tak jest ich zawsze więcej, nie porcjonuje się infu po cząsteczce, nawet w pakietach minimalnych idzie to w miliardy i miliardy.

Zamoyski zagryzł zęby na cygarze. Inwazja od jednego nanobota!

Zaraz, to przecież – Zamrugał.

= Farstone.

Po kilku sekundach stali w bibliotece zamkowej. Angelika czytała przy jednym z blatów i uniosła głowę na ich widok, pokondensacyjny ruch powietrza zmierzwił jej włosy.

– Kto zarządza Polami nano z Saka de la Roche’u? – spytał Zamoyski, wygładzając ciemnoniebieski kaftan z fałd, w jakie się ułożył po przejściu

z nieważkości w ciążenie ziemskie.

– Którego nano? – Patrick usiadłu w fotelu, założyłu nogę na nogę. – Cesarskiego czy tego nielegalnego spiskowców?

– Cesarskie ono chyba nie było.

– W takim razie – Oficjum.

= Prośba o pilne spotkanie z phoebe'u Sternu.

= Phoebe Stern zgadza się i czeka na adres = odparł Zamoyskiemu menadżer oesu, ostatni w tym szeregu pośredników między animą Adama a Polami Oficjum.

= Tutaj, teraz.

Patrick Gheorg obróciłu głowę i sekundę później skondensowała się pod jego spojrzeniem manifestacja phoebe'u Sternu.

– Stahs.

– Phoebe.

Ukłonili się sobie.

– To niezbyt uprzejmie, uciekać z rozmową na Plateau w obecności stahsa Pierwszej Tradycji – zauważyła Angelika, zamykając książkę. – Zwłaszcza w stahsowym domu.

– Ależ oczywiście, jakże byśmy śmieli! – zarzekł się półżartem Zamoyski, któremu, gdy poczuł, że wraca doń inicjatywa, momentalnie poprawił się humor.

Angelika zamrugała, zaskoczona tonem, zapewne podejrzewając tu robotę randomizera behawioru.

Adam wrócił spojrzeniem do Sternu.

– Nano z Saka.

– Tak, wiem. Przejęliśmy zarząd ich Pól. Ale to nano jest bezużyteczne, rozsiało je w próżni międzygwiezdnej razem ze szczątkami Saka. Szczątkami uprzednio zawiniętej w nim materii, żeby być precyzyjnym.

Zamoyski podszedł do pojedynczego panelu boazerii, oddzielającego dwa regały biblioteczne; na nim umocowana była lampa gazowa, w kształcie cesarskiego smoka. Uniósł klosz i po raz drugi zapalił wygasłe cygaro. Dopiero po chwili zorientował się, że w rzeczywistości przypala przecież inf.

– Rozsiało w próżni – mruknął. – Co do cząsteczki?

Phoebe Stern w lot chwyciłu jego myśl.

– Nie zindeksowaliśmy każdego pojedynczego nanobota. Jaką lokację masz na myśli, stahs?

– Mojego pustaka – rzekł Zamoyski. – Tchawicę, przełyk, organy wewnętrzne. Że nastąpiło skażenie, jestem pewien; praktycznie wepchnęło mi się do gardła.

Wypluł z odrazą dym, walcząc ze wspomnieniem rozłopotanego strzępu Pandemonium, zaklejającego mu twarz, wpływającego do ust, nosa… Czy ja go odgryzłem, połknąłem?

– W owum Deformantum – zaczęłu powoli Stern, okazując zamyślenie – w publicznym kosmosie, bez namiarów orientacyjnych… A to nie jest inf, nie indeksuje się czasoprzestrzennie na błonach Cesarza.

– Ale potraficie wyodrębnić i zidentyfikować te nanoboty?

– Jeśli uzyskamy choć w jednym punkcie wystarczającą gęstość, można zapuścić na ich Polach program, który je skonfiguruje w sekwenser DNA. Dysponujemy wzorcowym DNA twojego pustaka, stahs, dokonalibyśmy zatem porównania. Wynik pozytywny jeszcze niczego nie przesądza, z pewnością pozostały po tobie w szczątkach Saka liczne bioodpadki – w dalszej kolejności zatem zrekonfigurowalibyśmy nanoboty w analizery chemiczne, aby opisać ich środowisko. Dopiero to potwierdziłoby położenie w organizmie twojego pustaka.

– I wtedy… – Zamoyski uniósł palec wskazujący lewej ręki.

– Tak, domyślam się – skinęłu głową Stern. – Cicha inwazja.

– A ja? – spytała Angelika, opierając łokcie na blacie i układając dłonie pod brodą. Przeniosła wzrok ze Sternu na Zamoyskiego. – Też się tam przecież znajduję, prawda? Również powinnam być skażona.

Adam wzruszył ramionami.

– To możliwe.

– Algorytm postępowania byłby ten sam – zapewniłu Stern.

– Jeśli można – wtrąciłu P. G. – Obecna tu stahs Angelika McPherson nie jest prawnym dysponentem manifestacji, o której mowa. Zgodę na podobną nanooperację na jej pustaku mogłaby dać jedynie Angelika McPherson oryginalnego frenu. Teoretycznie mogłabyś na drodze sądowej uzyskać pozwolenie na ograniczony zaoczny zarząd drugiego ciała, ale to by potrwało, w procedury zaangażowani zostaliby bowiem stahsowie.

– Nie mam sposobu porozmawiać z nią tak, żeby Franciszek nie słyszału – rzekł Zamoyski. – Zresztą o jakich „nanooperacjach” mówisz?

– A czy owu Franciszek nie zneutralizowału już przypadkiem tego nano? – równocześnie spytała Angelika.

Stern pokręciłu głową.

– Jest to mało prawdopodobne, stahs. Mam na myśli nanoboty w pustaku stahsa Zamoyskiego, bo to za niego jest nagroda. Kupujący chce dostać pustaka z całą pierwotną informacją, więc każda ingerencja Deformantu w struktury genetyczne, neuralne, chemiczne czy jakiekolwiek inne mogłaby sprowadzić na Franciszku zemstę oszukanego kupca. Przyjąłbym zakład, że Deformant powstrzymuje się od wszelkich ingerencji w organizm pustaka stahsa Zamoyskiego.

– „Nanooperacje”? – przypomniał Adam.

– Materiał pierwotny – mruknęła Angelika, spoglądając w bok, wyraźnie zadumana nad czymś innym.

– Tak – ukłoniłu się jej sztywno Stern. – Aby przeprowadzić skuteczną inwazję na Deformantu, musimy jak najbardziej ograniczyć czas jenu reakcji. Oznacza to atak możliwie największą liczbą nanobotów, już wyspecjalizowanych. Na początku jednak dysponowalibyśmy zaledwie porcjami minimalnymi. Skąd wziąć materię do koniecznej rozbudowy arsenału? I to tak, by Deformant tego nie zauważyłu? Zważywszy przy tym na lokalizację nano pierwszej generacji.

Zamoyski nie zdołał powstrzymać odruchu zgarbienia, skurczu, lewa dłoń uniosła się na wysokość żołądka, mostka. Randomizer zaraz kazał mu wyjąć cygaro z ust i zagwizdać przez zęby, lecz to nie pokryło błędu Adama.

W taki oto sposób jedna część umysłu zdradza drugą.

Starał się mówić teraz szybko i zdecydowanie, głosem bezemocyjnym, ale dobrze wiedział, że oboje phoebe’owie zarejestrowali i przeanalizowali jego zachowanie.

– Zjedzą mnie, czy tak? – spytał, strzepując popiół do stojącej na półce regału popielniczki. – Pożrą od wewnątrz.

– Owszem, to jedyny sposób. Najlepiej byłoby zacząć od maksymalnej masy, ale oczywiście musimy ustanowić ograniczenie: pobierzemy tyle i takiej materii, by nie zagroziło to twemu pustakowi, stahs.

– Wykluczy to także niektóre sposoby transmutacji i rekonfiguracji – dodału P. G… – jako powodujące szkodliwe dla organicznego otoczenia skut-

ki uboczne, tudzież wytrącające toksyczne związki. Restrykcja do procesów niskoenergetycznych znacznie przedłuży całą operację.

– A właśnie, jakie są szacunki czasowe? – podjął Zamoyski. – Bo jeśli wcześniej przybędą na miejsce kupcy, a w każdym razie te oktagony kubiczne – – Dwie do siedmiu k-godzin – odparłu z miejsca Stern. – Maksimum prawdopodobieństwa na stu sześćdziesięciu dwóch k-minutach. Mniej przy bardziej energochłonnych strategiach przekształceń.

– Ale nie wiemy nawet, ile dokładnie tych startowych nanobotów będzie. To nie ma znaczenia?

P. G. pokręciłu głową.

– Nie w tego rodzaju iteracyjnych procesach. Pamiętasz, stahs, przypowieść o zapłacie dla wynalazcy szachów? Ziaren ryżu, rzekł on, tylko tyle, ile się w sumie zbierze, idąc od pola do pola szachownicy, gdy na pierwszym położysz jedno ziarno, a na każdym kolejnym dwakroć tyle, co na poprzednim; na ostatnim dwa do potęgi sześćdziesiątej czwartej. Chwila, w której płacącemu za szachy zabraknie ryżu, nastąpi tak czy owak, niezależnie od tego, czy zacząłbyś z jednym ziarnem na pierwszym polu, czy z dwoma, czy z trzema, czterema. Ograniczenia są zawsze takie same i to z nich obliczamy parametry procesu.

– Rozumiem. Czy jednak zdążymy?

– Są bardzo duże szanse. Nie sądzimy, by kupcy byli tak szybcy.

– Może więc zamiast rozważać bez końca ewentualności – mruknęła Angelika – sprawdzilibyście przynajmniej, czy to nano w ogóle tam jest.

Tylko się teraz nie wahaj! – przykazał sobie Zamoyski.

Spojrzał pytająco na Sternu. Phoebe wykonału krótki ruch ocza mi.

Adam uniósł rękę.

– Proszę.

Stern ukłoniłu się sztywno, nic już nie mówiąc.

Czekali.

Zamoyski w tym czasie zdążył odbić od niemal euforii (podejmuję decyzje! zaskakuję ich! wybieram nieprzewidziane! jestem wolny!) do zwątpienia (akurat uda mi się w czymkolwiek oszukać inkluzje! kto wyprzedzi w mentalnych szachach superinteligencje ze wszechświatów specjalnie dla nich projektowanych?), i z powrotem w adrenalinowy haj (ale nie wiedzieli! tylko ja posiadam wiedzę konieczną dla wyciągnięcia stosownych wniosków!)

Instynktownie już jednak utrzymywał twarz martwą i ciało nieruchome: na zewnątrz – Lord Orientu; wewnątrz – czarna skrzynka, tajemnica nie do rozszyfrowania dla plateau'owych analizerów behawioru. I tak powinno pozostać.

– Potwierdzone, sto procent – rzekłu wtem Stern. – Czy mam zatem twoje pozwolenie na rozpoczęcie operacji, stahs?

Bez wahania!

– Tak – powiedział Zamoyski. = Chcę na moich Polach ciągłej transmisji.

= Oczywiście = zapewniłu phoebe Stern. = Oficjum gwarantuje ci pełny dostęp, stahs.

Menadżer Adamowego oesu zajął się resztą już bez pytania i pod sufitem eksplodowała czerwono-żółta chmura. Zamoyski zagapił się na nią, zafascynowany (wszelkie wglądy do wnętrza własnego ciała są jakoś po dziecięcemu fascynujące). Zaraz jednak zorientował się, że, skoro inni jej nie widzą – zwłaszcza Angelika – jego zachowanie jest co najmniej niegrzeczne. Pozostało mu albo wyprowadzić symulację na wewnętrzne Pola, albo też tutaj ściągnąć secundusa.

Wybrał drugie rozwiązanie i odtąd to oczyma niewidocznej animy obserwował postępy nanozarazy we wnętrznościach swego organizmu – podczas gdy primusem usiadł w fotelu po lewej Patricku.

Stern stału zaś w tym samym miejscu, w którym byłu się skonfigurowału, nieruchomu, z rękoma założonymi za plecami i głową lekko odchyloną. Zamoyski domyślał się, iż jest to zwyczajowa postawa sygnalizująca wysunięcie perceptorium poza manifestację, a przynajmniej częściowe wycofanie uwagi.

//Zamoyski nie odrywał wzroku od chmury. Składała się z dwóch barw: żółci i czerwieni. Żółć była bardziej blada, rozlewała się szerzej, w rozmaite organiczne kształty o rozmytych krawędziach. Stanowiła tło dla zarządzanego przez Oficjum nano, pokazując, ile na podstawie jego interakcji z otoczeniem o tym otoczeniu wiadomo. Krople czerwieni znaczyły miejsca aktywacji nanobotów, początki inwazyjnej armii. Z biegiem czasu rosła żółć i rosła czerwień. Z początku ta pierwsza znacznie szybciej, lecz gdy chmura przybrała z grubsza zarys ludzkiego tułowia, proces zatrzymał się; wtedy już czerwień szła jak pożar.

Co to właściwie oznacza: „tyle, by nie zagroziło pustakowi"? – zastanawiał się Zamoyski. Zostanie tam ze mnie oświęcimski szkielet, czy jak? Ile

masy tłuszczowej, mięśniowej zamierzają wykorzystać? Przecież to głównie woda. Jakież to nanoboty można zbudować z atomów wodoru i tlenu?

Tymczasem /Zamoyski przyglądał się Angelice McPherson. Szybko pochwyciła jego spojrzenie i tak rozpoczął się ich bezsłowny dialog.

Pochwyciła jego spojrzenie – lecz nie opuściła dłoni złożonych pod brodą.

Uniósł lekko lewą brew.

Przesunęła palcem po policzku.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

Wydęła wargi i pokiwała lekko głową.

Wskazał wzrokiem phoebe'ów.

Uśmiechnęła się szeroko.

W odpowiedzi uśmiechnął się równie otwarcie.

Czarne włosy przesłaniały jej twarz, musiała założyć je sobie za uszy; kontynuując ruch, wyprostowała się za pulpitem.

Zamoyski udał zimną powagę, opuścił splecione dłonie na podołek, zwiesił głowę.

Angelika dotknęła skroni wyprostowanym palcem, karykatura zamyślenia.

Odegrał nagłą senność: powieki mu ciążyły, rozluźniały się mięśnie twarzy, zasypiał.

Zaśmiała się na głos.

– No nie! – Wstała. – Panie Zamoyski, pozwoli pan.

Ujęła go pod ramię (dobrze już znał ten gest McPhersonów), wyprowadziła z biblioteki. Ledwo się za nimi zamknęły drzwi, //ujrzał jak obie manifestacje phoebe'ów rozpadają się w nicość.

Wyszli do holu i na taras. O tej porze zamek sprawiał wrażenie opustoszałego, w zasięgu wzroku – ani żywej duszy.

Skręcili ku stajniom.

– Przejażdżka konna? – zaniepokoił się. – Jeszcze czuję w kościach jazdy afrykańskie!

– Jestem pewna, że potrafisz tak skonfigurować swą manifestację, by nie transmitowała niektórych bodźców i przyjmowała najlepszą postawę jeździecką.

Skonsultował to z menadżerem oesu. Odpowiednie programy dostępne były na Polach publicznych. Przekopiował je i uruchomił.

– Dwie godziny, jest trochę czasu – mówiła Angelika. – Na pewno nie masz nic pilniejszego do roboty?

– Och, wiele rzeczy. Pola pełne mam zaproszeń od różnych osobistości i organizacji, żadnej nie znam, muszę sprawdzać na publicznych; a wszystkie zaproszenia pilne. Pojawię się w jakiejś otwartej lokacji, nagabują mnie dyplomaci nieludzkich imperiów. Superinteligencja nie z tego wszechświata wyzwała mnie na szermierczy pojedynek. Bestia meta-fizyczna ściga mnie po wnętrzu mojej głowy i przysięga śmierć. Siedzę w brzuchu zdradzieckiego boga próżni i czekam, aż mnie zlicytuje; a w moim brzuchu rośnie z mego ciała niewidzialne wojsko. Pewnie, że wolę przejażdżkę. Czy Judas polecił ci uwieść mnie?

Żachnęła się.

– Co za pytanie!

– Mhm?

– Głupie. I tak żadna odpowiedź cię przecież nie zadowoli.

– Obserwuję twoją reakcję.

– A. Chyba że tak. To proszę bardzo.

Wybrała dwa srokacze. Zamoyski załadował stosowny program i osiodłał swojego wierzchowca prawie odruchowo, nie patrząc na ruchy swych rąk. Zwierzęta nie były genimalne – a przynajmniej nie odzywały się.

Objechali powoli jezioro i zagłębili się w rzadki las porastający wzgórza za posiadłością. Zamoyski świadomie starał się przestać liczyć upływający czas. Zapomnieć się, dać pochłonąć przez noc – to najlepsze wyjście, tyle mu teraz pozostało.

– Odpręż się – mówiła mu Angelika. – Widzę, że bez przerwy masz się na baczności, prawie gotowy do skoku, jakby w każdej sekundzie niebo mogło ci spaść na głowę.

– Bo tak jest! – parsknął Zamoyski. – Może! Do tej pory spadało.

– Tym bardziej powinieneś się odprężyć. Popatrz, noc taka ładna.

– Bardzo ciepła.

– Zatrzymaj się. Słyszysz tę ciszę?

– To las.

– Tak. – Odetchnęła. – Korzystaj z tego. To są przywileje twojej pozycji. Łatwość ucieczki w błogostany, w miejsca absolutnego spokoju. Odwróć sposób myślenia: to nie ty poruszasz się w świecie, to świat porusza się

przed tobą, jak taśma perforowana, a ty wybierasz, na którym fragmencie zatrzasnąć czytnik swej duszy.

– Stahs. – Poklepał konia po szyi. – Jestem stahsem. Arystokratą. Tak powinienem myśleć?

– Dokładnie. Co, nie lubisz tego słowa? Arystokracja jest konieczna.

– Usiłujecie tu zamrozić kulturę w sztucznym stanie.

– Zamrozić człowieka. Człowieczeństwo.

– Na jedno wychodzi.

– Oburza cię to? Czemu?

– Nie wiem. Wydaje mi się jakieś takie… wyrachowane, bezwzględne. Inżynieria społeczna. Źle się kojarzy.

– Nie mówili ci? Każdy Progres nieuchronnie ciągnie się ku UI.

– Mówili. Właściwie… ty mi mówiłaś.

– Ach. – Podniosła wzrok na bezgwiezdne niebo. – Ja. No tak. Więc wiesz – gdyby nie Cywilizacja, zastałbyś tu po wskrzeszeniu jeno phoebe'ów i inkluzje; nie byłoby już stahsów. No, może nieliczne okazy zoologiczne.

– Ale czy musieliście iść od razu w te wszystkie pseudofeudalne rytuały?

– Nie było wielkiego wyboru. W gospodarce opartej na infie, w ekonomii arbitralnego rozdziału nieskończoności, feudalizm pozostaje systemem jednak stabilnym. Demokracja – nie. To demokracji ci żal?

Wyjechali na skąpaną w księżycowym świetle polanę. W połowie przekreślał ją długi, wąski pień brzozy, obalonej przez jedną z niedawnych wichur.

Angelika zeskoczyła z konia, przywiązała wodze i spoczęła na pniu, prostując nogi. Nie przebrała się do jazdy, była w luźnych, białych spodniach, skórzanych pantoflach.

Zamoyski ze stęknięciem usiadł obok.

– Demokracja – westchnął. – Sam system sprawowania władzy niewiele mnie wzrusza, ale – tego nie da się oddzielić. Jeśli wybieracie feudalizm – dla tych czy innych powodów – to wybieracie zarazem cały system wartości, który się z nim wiąże i z niego wynika. Całą etykę. I estetykę.

Ześlizgnął się z pnia na ziemię; teraz mógł się odchylić wstecz i zajrzeć Księżycowi w twarz. Chmura w bibliotece stanowiła już zbite skupisko czerwieni, obrzeżone żółtymi frędzlami. Primus Adama przesunął spojrze-

nie w prawo i w dół: Angelika miała tę samą, na wpół rozbawioną, na wpół zdumioną minę.

– W demokracji, na przykład, mógłbym teraz położyć głowę na twoich kolanach; ale w feudalizmie – – No nie! – zaśmiała się. – A cóż cię powstrzymuje?

– Jak to co? N i e w y p a d a!

Zmierzwiła mu włosy.

– Doprawdy? A gdyby – Powiał wiatr i już wiedzieli.

Zwrócili spojrzenia na kondensujący się wir.

– Stahs – skłoniłu się sztywno Stern. – Stahs. Pora.

Angelika cofnęła rękę z głowy Zamoyskiego. Adam wstał, otrzepując spodnie i kaftan.

– Co powinienem wiedzieć?

– Pełny pakiet przesłaliśmy na twoje Pola, stahs.

= Przyjmij i otwórz.

= Zrobione.

Przeadresował secundusa z biblioteki w konstrukt jednozmysłowy, oparty na danych transmitowanych bezpośrednio z Pól Oficjum. W konstrukcie szła owa wizualizacja nanoarmii i jej bezpośredniego otoczenia, a także instrukcja, jak zachować się podczas inwazji na Franciszku. Instrukcja rozpisana została na prawdopodobne scenariusze zdarzeń, od totalnej klęski do totalnego zwycięstwa – megabajty tekstu.

– Idziesz? – spytała Angelika.

– A mam inne wyjście? Aż tak daleko po Krzywej się nie przesunąłem – odrzekł Zamoyski. – Muszę wrócić do pustaka.

Stern pokręciłu głową.

– Niekoniecznie, stahs.

– Słucham?

– Możesz oddać tę manifestację w zarząd swego secundusa.

– To tylko anima.

– Są programy.

– Taa, nie wątpię – mruknął Zamoyski. – Na wszystko są.

= Jakie programy?

= Ściągnąć?

= *Freeware*?

= Niektóre.

= Daj.

Następne kilka minut Zamoyski zapamiętał jako czas wielkiego chaosu. Samo przeadresowanie manifestacji spowodowało potężną dezorientację; przez ułamek sekundy zdawało mu się, że primus i secundus siedzą obaj w tej samej nanomancji. Na dodatek secundusowi Adam musiał przydzielić symulację Oficjum – i teraz na ciemnym niebie nad polaną jaśniała żółto-czerwona chmura.

Równocześnie budził się w swoim ciele we wnętrzu Kła, we wnętrzu Deformantu. Nie było to przyjemne przebudzenie. Jego pustak zdryfował tymczasem w jedną z kul płynnego złota; tylko zwierzęce odruchy utrzymywały mu głowę poza granicą cieczy. Z uwagi na niezbyt silną cyrkulację powietrza, wokół tej głowy puchł bąbel dwutlenku węgla i Zamoyski, wróciwszy do swej biologicznej manifestacji, popadł w stan gorączkowego odurzenia.

Co było o tyle niepokojące, że przecież wcześniej (przed przeadresowaniem) nie odczuwał bynajmniej objawów zatrucia. Rodziło to niepokojące pytania o stan mózgu Zamoyskiego: na ile umysł Adama procesowany jest jedynie na organicznym narządzie jego pustaka, a na ile – na wrośniętej weń wszczepce?

Nie istniał żaden punkt oparcia, nie miał się czego /Zamoyski chwycić, gwałtowne ruchy tylko rozbiły złotą banię w gromadę mniejszych i większych kropli.

– Angelika! – zawołał.

Nie było jej w zasięgu wzroku.

– Angelika!

= I jak? = pytała.

Z powrotem przysiadł na pniu.

= Gdzieś mi się zapodziałaś.

= Pozdrów mnie ode mnie.

– Angelika!

Ale szybciej zamanifestowału się mnichem Franciszek. Złapału Zamoyskiego za rękę i pociągnęłu ku najbliższej wiązce granatowych wyrośli.

– Złe sny?

– Okropne – mruknął Zamoyski, obracając się równolegle do pionu mnicha.

Na nocnym niebie Oficjum malowało mapy planowanej zarazy, wskazując dywersantowi drogę w wewnętrznej dżungli Deformantu. Od pnącza do pnącza, od kwiatu do kwiatu zaczął /Adam płynąć przez Kieł. Manifestacja Franciszku przez chwilę mu towarzyszyła, potem gdzieś zniknęła.

W końcu /Zamoyski zatrzymał się, porównał jeszcze swoją pozycję z wykresem nad wierzchołkami poruszanych przez wiatr drzew, zaczepił stopą o jakieś purpurowe korzenie – i zaczął kaszleć.

Spazmy wykrztu śne zgięły go w pół, kaszlał i kaszlał, piekło go w gardle, brakowało tchu… Patrzył jak czerwień eksploduje ognistymi fajerwerkami na pustym gwiazdoskłonie.

– Co ci jest?

Rozespana Angelika podpłynęła ku niemu spoza ściany wielkich liści.

– Jeszcze tego brakuje, żebyś się rozchorował… Rzeczywiście, coś niezdrowo wyglądasz. – Przyłożyła dłoń do jego czoła. – Cholera, gorączka.

Bo też nie najlepiej się czuł. Przestał już kaszleć, tylko oddychał głęboko. Jeśli wierzyć wizualizacji Oficjum, większość armii opuściła jego ciało. Angeliki przyglądały mu się uważnie, niemal z jednakową troską na twarzach.

Jaka właściwie jest granica bezpiecznego poboru masy z organizmu? Zamoyskiemu cała ta magia nanotransmutacji wydawała się z gruntu podejrzana, podobnie jak kognitywistyczne czary z kopiowaniem umysłów. Przyjmował do wiadomości ogłaszane mu reguły mniej więcej tak, jak się akceptuje teologiczne aksjomaty. Oczywiście różnica polegała na tym, że tu reguły można było sprawdzić w działaniu – ale zanim się sprawdziły, powątpiewał w każdą. Nauczył się już jednak nie zdradzać z tymi wątpliwościami. Czekał w milczeniu na rozwój wydarzeń.

Według scenariusza Oficjum Deformant winnu się zorientować w ataku w przeciągu sekund. Następnie scenariusz rozgałęział się na kilka wariantów reakcji Franciszku. Jedna z nich obejmowała natychmiastową autoamputację zarażonego fragmentu (wraz z Kłem i jego pasażerami) oraz aktywny jego rozkład, aż do poziomu zupy molekularnej. Inne warianty dawały jednak Adamowi większe szanse na przeżycie.

Zegar OVR odliczał k-sekundy inwazji. Zamoyski podświadomie oczekiwał pojawienia się gniewnej manifestacji Franciszku; nic takiego, oczywiście, nie nastąpiło.

– Masz może w pamięci wszczepki jakiś analizer medyczny ? – dopytywała się Angelika, ciągnąc go ku błękitnym pąkom. – Szkoda, że ciągle jesteśmy odcięci od Plateau. Diabli wiedzą, co mogłeś złapać. Masz, napij się tego.

Czterdzieści, pięćdziesiat sekund. Nadal nic. Część scenariuszy zniknęła z nieba nad lasem, zmienił się kształt krzywych prawdopodobieństwa. //Zamoyski obserwował rosnącą nad nim chmurę. Żółć prawie już sięgała Księżyca, czerwień podążała tuż za nią – albo rzeczywiście tak szybko się mnożąc, albo po prostu rozprężając od uprzedniego stanu kondensacji. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt.

= I jak? = szepnęła Angelika, pochylając się na pniu, by zajrzeć Adamowi w oczy.

Tylko uniósł otwartą dłoń.

Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt. Rozległ się syk, wiatr poruszył wnętrznościami Deformantu.

– Co się dzieje? – rzuciła Angelika; chwyciwszy się liany, rozglądała się wokół.

– Dekompresja – odrzekł jej Zamoyski. – Gdzieś przeżarło nu na wylot.

– Co…?

– Kadmosowe wojsko.

Wiatr ustał. Było to wszakże krótkotrwałe uspokojenie, bo naraz cała dżungla zatrzęsła się, Zamoyski i Angelika polecieli w dół, na nich – oberwane masy organiczne, a wszystko to zalał złoty deszcz.

= Uciekamy = rzekł Adam. Secundusem, bo primus leżał przygnieciony wielkim ciężarem (ciężarem, który rósł z każdą chwilą), pod górą błota i szczątków organicznych, i ledwo łapał oddech.

Począł się z mozołem spod tego zawału wyczołgiwać. Poszczególne rośliny/organy Deformantu drżały jeszcze, wpychając się /Zamoyskiemu do oczu, uszu, nosa, ust. Gryzł je i wypluwał. Błoto, które go oblepiało, miało dziwną barwę, bynajmniej nie złotą i nie czarną – najbliższą błękitowi.

Angelika musiała dojrzeć napięcie – może ból – na jego twarzy, bo ścisnęła mu uspokajająco ramię i szepnęła:

= Uda się.

Szept narzucał się w tej nocnej ciszy jako najwłaściwszy.

Nareszcie /Adam wypełzł z hałdy organicznych odpadków na świeże powietrze. Zaraz się rozkaszlał: może i było świeże, lecz pełne gęstego pyłu,

opadającego bardzo wolno.

= Czy to my zarządzamy napędem? = spytał Sternu.

Phoebe uniosłu głowę, wyprostowału się. Jeśli zaskoczyło nu owo „my”, nie dału tego po sobie poznać.

= Tak. Część nanobotów zorganizowała się w infowodach Kła w struktury niezależne od Plateau: musimy się zabezpieczyć na wypadek kolejnego odcięcia przez Wojny.

= Czym dysponujemy?

= Silnikami manewrowymi, stahs. Generator kraftowy i zapas egzotycznej materii Deformant wyżarłu i połknęłu w całości.

= Pieprzonu szabrownik. To stąd ta przestrzeń.

Uniósł /głowę i //głowę. Wnętrze Kła było teraz znacznie większe niż jego kabina kontrolna – od szczytu stożka, skąd biło światło, dzieliło stojącego na dnie Adama co najmniej czterdzieści metrów. Światło było przyćmione, przesłonięte przez pajęczyny pnączy i innych, lżejszych roślin/organów Franciszku, zwisające ze zbiegających się tam ścian.

Czerwień na niebie podzieliła się na dwie części, z których mniejsza miała kształt właśnie stożka i nie była już otoczona ani skrawkiem żółci; większa natomiast rozpełzła się od horyzontu do horyzontu, rzeki i strumienie karminu płynęłu tu przez obłoki bladej sepii – Deformant byłu ogromnu, Adam pamiętał te tysiące kilometrów sześciennych granatu, seledynu i złota, Wagnerowską symfonię CIAŁA.

= Będzie ścigału?

= Nie ma jak = zapewniłu Stern. = Teraz walczy o życie.

Zalew nieboskłonu przez czerwień został jednak powstrzymany; zdało się nawet, iż żółć powoli odzyskuje utracone przestrzenie.

Wtem z hałdy Franciszkowych zwłok wybuchł przeraźliwy wrzask, niemal spod samych stóp Zamoyskiego. Odskoczył. Ukazały się ręka i twarz, całe w błękitnym błocie, i bynajmniej nie od razu Adam pojął, że nie może być to przecież nikt inny, tylko Angelika, wykopująca się mozolnie z zawału. Krzyczała, plując szlamem i szarpiąc pętle pnączy, i mogłaby je długo jeszcze tak szarpać, łamiąc paznokcie i kalecząc palce, nie było bowiem w jej rozpaczliwych ruchach żadnej myśli, jeno czysta histeria – zachowywała się jak człowiek idący pod wodę, topielec na ostatnim wdechu.

Kiedy ją Adam złapał za nadgarstek i kołnierz koszuli, najpierw próbowała mu się wyrwać, zapewne go nie poznając, a może nawet nie widząc:

oczy miała puste, wzrok nieskupiony.

W końcu przynajmniej przestała Zamoyskiemu przeszkadzać i wyciągnął ją na powierzchnię.

Samego Adama zmęczyło to jednak nadspodziewanie. Padł na wznak, dysząc ciężko, pył wirował nad nim wysokimi spiralami.

Angelika wciąż wydawała dziwne odgłosy, krzyk przeszedł w charkotliwe rzężenie, potem w chrapliwy, nierytmiczny oddech, przerywany przez głośne pociągnięcia nosem, błękitny malunek twarzy rozmył się jej w ukośne pasy – i w nagłym ataku zażenowania Adam pojął, iż ona płacze.

Spojrzał na Angelikę siedzącą obok na pniu brzozy.

= Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze = powiedziała, ściskając go za rękę. = Za dużo o tobie ze Studni, żebyś miał tak marnie skończyć! = śmiała się serdecznie.

Obrócił się na bok, objął szlochającą dziewczynę ramieniem oplątanym roślinno-zwierzęcymi włóknami. Nie odsunęła się i to był dobry znak.

Nie wiedział, co jej rzec, nie mówił więc nic. Czekał, aż uspokoi się jej oddech. Stopniowo ogniskowała na nim spojrzenie.

Wyciągnął rękę, by zetrzeć kolorowy osad z jej oblicza. Na to uśmiechnęła się niepewnie. Oddał uśmiech.

= Dobrze jest = rzekł, wstając z pnia i wyciągając ramiona ponad głowę. = Jak z tlenem?

= Nie będzie problemu = odparłu Stern. = Starczy. Poza tym teraz już możemy stworzyć własne ogniwa odświeżające.

= A ten pył?

= Wytrącamy pozostałości nanopola Deformantu.

Angelika otarła z oczu łzy. Otworzył usta, by przekazać jej dobre nowiny (nic przecież nie wiedziała, ani o jego połączeniu z Plateau, ani o wojnie z Suzerenem i pokoju z Deformantami, ani nawet o zdradzie Franciszku) – ale przycisnęła palce do jego warg, zanim wyrzekł słowo. Jeszcze mrugała, pył drażnił i tak podrażnione oczy. Masa tłuszczowa oblepiała jej długie czarne włosy.

Ciążenie wciąż rosło, przyspieszali, oddalając się od kraftoidu; chyba przekroczyło już 1 *g* – /Zamoyski nie miał sił ani ochoty, by się podnieść. Leżeli w bezruchu, kondensowane do płatów szarego brudu nanoboty Franciszku osiadały na nich cienką warstwą ciepłego śniegu. Cisza panowała we wnętrzu Kła, na polanie jeszcze większa, bo z pieczęcią nocy.

Angelika przyglądała mu się teraz z odległości kilkunastu centymetrów. Wielkim wysiłkiem woli powstrzymywał się od przewrócenia się na wznak, ucieczki wzrokiem, opuszczenia powiek. Zdaje się, że czytała w jego oczach tę niepewność, ten wstyd, bo uniosła pytająco brew. Była to dokładna kopia jej miny z biblioteki Farstone, sprzed paru godzin.

Pomyślał: pocałuję ją. Oczywiście znowu nie było to spontaniczne, więc poczuł całą banalność sytuacji, zanim jeszcze wykonał pierwszy ruch – niemniej wykonał go, sięgając lewą dłonią jej karku i zbliżając swoją twarz do jej twarzy.

Powstrzymała go, zaciskając palce na bicepsie, odsuwając lekko.

– Panie Zamoyski – szepnęła, wydymając wargi – wszak obowiązują pewne formy!

Zaśmiał się cicho.

– Jakże to, pocałować nawet nie można w tej waszej Cywilizacji? Cóż to znowu za wiktorianizm?

– Ach, wiktorianizm! – Uśmiechała się szerzej.

– Formy, formy – mamrotał, pozorując rozeźlenie. – Teraz będzie tu egzekwować jakieś durne etykiety, *savoir-vivre* mechaniczny! Sami w zdewastowanym Kle, najbliżej nas – Deformant, bydlę stukilometrowe, nawet nie wiadomo, od którego gatunku pochodzące, ludzi czy nie ludzi, a poza num jeno lata świetlne próżni, i to absolutnej, bo po tym kollapsie galaktyki tylko kolekcja czarnych dziur i chmury wolnego gazu tu pozostały, możliwe więc, że jesteśmy jedynymi ludźmi w całym otwartym kosmosie, poza Portami – a ty mi tu o formach mówisz, całusa bronisz! Paranoja!

– Ale to nie ma znaczenia, czy jesteśmy ostatnimi ludźmi, czy nie.

– Doprawdy? „Społeczeństwo dwojga” – to coś nowego!

Przesunęła kciukiem po jego wargach.

– Wiktorianizm, powiadasz… Wiktoriański kochanek drżał z podniecenia na widok łydki narzeczonej. A w kulturach przyzwalających na wszystko nic nie ekscytuje nawet w całkowitym obnażeniu, nie ma wstydu i nie ma uniesienia; ciało to narzędzie, ciało to przedmiot. Mój pustak, twój pustak. Nie ma tajemnicy między nagimi frenami. Im więcej możesz, tym mniej pragniesz. Im łatwiejsze spełnienie, tym uboższe satysfakcje.

– Największą rozpustą byłoby zatem zamknąć się w ascetycznej celi na pół wieku, po czym powąchać chusteczkę kochanki. Ha!

Obrócił się na miękkim posłaniu z parujących i jeszcze ciepłych zwłok Franciszku; obracając się, pociągnął Angelikę ze sobą. Chciała się wyrwać, nie puścił. Szarpnęła go za skołtunioną brodę. Zrobił groźną minę.

– Grrr. To ja jestem prymitywny małpolud, fetyszysta ciała. A wy już duchy wolne. Odkąd przejrzałem tu na oczy, bez przerwy słyszę: „ciało to tylko manifestacja", „ciało to nie ty", „to tylko pustak" i temu podobne.

Co powiedziawszy, przypomniał sobie spotkanie ze Słowińskum, jenu manifestację, i pomyślał: może oni rzeczywiście starają się tu na siłę tworzyć tabu, aby w tych czasach wszechmożliwości zachować możliwość odczuwania – odczuwania tego, co ja teraz odczuwam. Jest to jakaś definicja człowieczeństwa, nie najgorsza chyba.

– Bo to prawda – szepnęła Angelika, kładąc głowę na piersi Zamoyskiego. – Ciało to organiczne ubranie. Ciało to nie ty. Oczywiście, możesz gustować w określonym kroju, stylu, estetyce danego projektanta, możesz przywiązać się do konkretnego egzemplarza i się z nim do pewnego stopnia identyfikować – ale nie tracisz tożsamości, zgubiwszy buty, prawda?

– To zdecyduj się: jest ciało tylko przedmiotem, czy nie jest? – Odgarnął jej włosy z twarzy, szorstka dłoń zamknęła się na szyi dziewczyny, czuł pod kciukiem rytm jej tętna, przepływ krwi w tętnicy.

– Nie rozumiesz? Technologia narzuca nam prawa, ale my z kolei narzucamy prawa technologii. – Dmuchnęła mu w oczy.

Zamrugał.

– Innymi słowy: udajecie.

– Cała kultura opiera się na udawaniu. Że jesteśmy kulturalni.

= Kiedy przejmą ich nasze oktagony kubiczne? = spytała Angelika phoebe'u Sternu.

= Nadal nic pewnego. W obliczeniach położenia Kła możemy się opierać jedynie na pamięci obrazu gwiazdozbiorów, jaką udostępnił nam stahs Zamoyski, ale to daje bardzo duży obszar. A już co do momentu przybycia Portów Uniwersalnych konkurencji – zupełny brak danych.

= Nie pokładaj wielkiego zaufania w Studniach = rzekł Angelice Zamoyski, podszedłszy do koni. Pogładził swego wierzchowca po karku. Rumak pochylił łeb i jął obwąchiwać Adama, zapewne zaintrygowany jego bezwonnością. = Jeszcze się wszystko może źle skończyć.

Wstała, sięgnęła do juków, znalazła cukier. Zwierzęta zaczęły wyjadać go z jej dłoni. Ich naturalna zachłanność jeszcze poprawiła jej humor.

= Nie bądź takim pesymistą. Jak dotąd, radzisz sobie rewelacyjnie.

= Powiedział kosmonauta spadający w czarną dziurę, i rzeczywiście, kolejne sto tysięcy lat wytrwał bez mrugnięcia okiem.

= Czarnymi dziurami to wysyłamy sobie listy. No, już, uśmiechnij się.

W istocie uśmiechał się – primusem. Secundus manifestował powagę i zatroskanie.

= Rozumując na zimno, nie mam wielkich szans na przeżycie. Nie rób takich min. Serio mówię. Pomijam już całą tę aferę z Deformantum i licytację – ale Suzeren z pewnością prędzej czy później mnie dopadnie. Możecie uważać, że jesteście z nim w stanie wojny, lecz na razie podjął działania jedynie przeciwko Judasowi, mnie i Moetle'owi, a już tylko mnie składał osobiste przyrzeczenia śmierci. Jak się bronić przed wrogiem, który w każdej chwili może Spłynąć na Pola infu i skonfigurować tu przeciwko mnie dywizjon czołgów, tornado, Godzillę?

= Fakt = skrzywiła się ironicznie. = Częste zapisy frenu są w tej sytuacji wysoce wskazane.

= Ba, ale to jeszcze gorzej, w bezpośrednich Spływach na Pola moich archiwizacji może mnie bowiem zmanipulować jak chce i nigdy się o tym nie dowiem, żadne zabezpieczenia mnie nie ochronią, żadna kryptografia, do której kluczy posiada przecież tak samo łatwy dostęp, żadne ukryte kopie. Istnieje jakiś stuprocentowo pewny sposób, phoebe?

= Nie.

= Sama widzisz. Lepiej trzymać się ciała. Ale ciału zagrażają właśnie płonące Masajki i inne infowe lalki. Tylko jedna rzecz dałaby mi jakieś szanse w tej walce: klucz do protokołów infu. I chyba od tego zaczniemy to posiedzenie Loży, na które mnie zaprosili. Masz jeszcze trochę cukru?

= Nie zdajesz sobie sprawy, co mówisz, stahs! = uniosłu głos Stern. = Taka władza nigdy nie zostanie przyznana pojedynczemu człowiekowi!

= Ale pojedynczej inkluzji, owszem. = Randomizer behawioru narzucił //Zamoyskiemu płaczliwy ton i minę. = Co, phoebe?

= Niesłuszne pretensje = rzekłu, podchodząc do Adama. = Nikt tu cię nie mamił egalitarystycznymi wizjami, stahs. Krzywa Progresu to obraz hierarchii arystokracji umysłu. Nie powierzyłbyś przecież małpie dowództwa armii broniącej twej ojczyzny; choćby i najlepiej wytresowanej małpie.

= Bo ja wiem… Gdyby wszystkie potęgi świata toczyły o nią i z nią armagedoniczne boje… a Nostradamus wygłaszał na jej temat liczne przepowiednie…

Zamoyski podsunął dłoń z cukrem pod pysk swego wierzchowca. Zrazu zląkł się jego zębów, ale potem pomyślał z pijacką odwagą: no i cóż, najwyżej odgryzie dłoń manifestacji, to nie jest moje ciało.

Ciało – jedyny mój dobytek, jeśli nie liczyć tych wirtualnych Pól logicznych, wykupionych za wadium Słowińskienu. Co właściwie sugerowału ambasador rahabów.? Zwycięzca pojedynku zgodnie z Kodeksem Honorowym Cywilizacji Homo Sapiens ma prawo do jednej trzeciej mienia pokonanego, przy czym wybór owej jednej trzeciej należy do zwycięzcy. Osca Tutenchamon najwyraźniej odczytału coś o mnie ze swojej Studni Czasu i nagle wyceniłu mego pustaka tak wysoko, że posunęłu się nawet do złamania obyczaju, ryzykując ostracyzm; źle tu widziano pojedynki obywateli pochodzących z różnych fragmentów Krzywej. Lecz co takiego może kryć się w moim pustaku? To tylko kukła organiczna, wyhodowana standardową metodą przez Gnosis. Oryginalny jest wyłącznie mózg, jego zawartość: umysł. Więc znowu wracamy do mojej pamięci. Współrzędne Narwy. Czy istotnie o to nu chodziło…? Załóżmy, że nie. Czy istnieje jakaś alternatywa? Jakie to jeszcze skarby leżą pogrzebane w mej podświadomości…? Uśmiechnął się pod wąsem, karmiąc zwierzę.

Wtem uśmiech zamarł mu na wargach. Płomień Murzynki! Nieciągłość! W ciało, ale nie w ciało! Jakbym – jakbym był jakimś kraftoidum, chodzącym labiryntem czasoprzestrzeni, jak ten labirynt w zwichrowanym Saku afrykańskim: niewidzialne krainy na wyciągnięcie ręki, ty przejdziesz, lecz światło nie wycieka, selektywne rozdarcia rzeczywistości, inteligentny kraftware.

Zapanował nad twarzą. Angelika dała mu jeszcze garść cukru. Od niego i od końskiej śliny dłonie lepiły mu się niczym nasmarowane smołą.

Sak. (Myślał teraz szybko, jak najszybciej, byle nie pozwolić się rozpaść ciągowi skojarzeń). Sak. Lub coś bardzo podobnego. Ale jak to sprawdzić?

Pocałował Angelikę w czoło.

– Mhm?

– Pamiętasz, co mi mówiłaś o sposobach kotwiczenia Saków w otwartym kosmosie?

– A, Haki. Na Hakach. To ten małolat de la Roche’u mówił. A o co chodzi?

– Nie wiesz, po czym je poznać? To znaczy: z zewnątrz Saka.

– Słucham? Czyś ty mnie znowu nie pomylił z profesorem meta-fizyki?

– Nieważne, przepraszam.

Oparł się z powrotem o wielki, granatowy liść (a może płat skóry), przymknął oczy.

≡ Saki, Haki, detekcja, procedury operacyjne, praktyka. Bez ujawniania źródła zapytania ≡ rzekł menadżerowi oesu i zaraz zreflektował się: jeśli mój primus znajduje się w Kle, secundus w Sol-Porcie, to z programem rozmawia – kto? jak? Czyżbym rozszczepiał się n a t r z y?

Czy tego naprawdę nie da się zatrzymać…?

≡ Proszę. Do jakiego poziomu streścić?

≡ Mojego, mojego.

≡ Nie znam cię jeszcze na tyle dobrze ≡ zastrzegł się menadżer.

≡ O Boże… No dobra, polecimy pytaniami. Czy istnieją jakieś ograniczenia tego, co może, a co nie może służyć za Hak?

≡ Teoretycznie nie.

≡ Czym konkretnie jest Hak? Jakąś definicję prosiłbym.

≡ Obiekt lub zbiór obiektów ponadatomowych, których stan kwantowy został związany z utrzymywanym przez Kły Saka węzłem kraftowym.

≡ Zatem to wyklucza organizmy żywe, w nich następuje ciągła wymiana materii.

≡ Nikt nie każe zakładać Haka na w s z y s t k i e molekuły organizmu.

≡ Powiedzmy, że podejrzewam, iż dany przedmiot jest Hakiem. Jak to sprawdzić?

≡ Przez rozbicie przedmiotu do wolnej plazmy. Sprowadzenie do zera absolutnego. Lub porównawczy jądrowy rezonans magnetyczny.

≡ No ładnie. Dwa z tych sposobów są śmiertelne, a trzeci wymaga sprzętu, którego… Zaraz. Dałoby się skonfigurować nanomaty do podobnego skaningu?

≡ Cesarskie – tak. Inne – to zależy, ale prawie na pewno też: jeśli nie w pierwszej, to w którejś z kolejnych generacji.

≡ Rozumiem. Załóżmy, że podejrzenie się potwierdziło. Jak, dysponując jego Hakiem, otworzyć z zewnątrz Sak?

≡ Teoria mówi tylko o jednym sposobie: zniszczeniu Haka.

≡ Ale w jaki sposób?

≡ Co najmniej piec termojądrowy, obawiam się.

Tymczasem zostawili już Franciszku daleko za sobą; oszczędzając paliwo, dryfowali ze stałą prędkością i deformantowa biomiazga jęła z powrotem wypełniać wnętrze Kła, wystarczyło szarpnięcie ciałem, odbicie źle wymierzone, zbyt energiczny ruch. Zresztą każdy ruch budził do życia stada granatowych, zielonych, czerwonych odpadków. Wydawało się, iż w ten sposób Deformant wraca do życia: to wszystko było jeszcze świeże, jeszcze soki płynęły rozerwanymi łodygami (czy też krew – żyłami), lśniła wilgotna skóra. Ruch wytrącał i unosił wzwyż krople lepkich płynów, przedtem złotych, teraz brudnożółtych, brunatnych. Zamoyski odganiał się od nich jak od natrętnych much.

Szli przez las, prowadząc konie za uzdy. Angelika patrzyła w zamyśleniu pod nogi, kopiąc kamienie i gałęzie. Adam kontynuował urywaną rozmowę ze Sternu, co jakiś czas unosząc wzrok, by sprawdzić postępy wojny nanobotycznej. Rozmowa krążyła wokół kwestii oddania Zamoyskiemu klucza do protokołów infu. Adam pojął, iż sam fakt, że phoebe do tego tematu wraca i drąży go, wypytując o warunki, ograniczenia – wskazuje, że nie jest to pomysł aż tak absurdalny. Stern reprezentowału w rozmowie Oficjum, ale przypuszczalnie również pewne frakcje w Loży, a z pewnością przekazywału im stanowisko Zamoyskiego; samo Oficjum stanowiło *de facto* emanację Cesarza. Zamoyski jednak szczerze wątpił, czy możni tego świata wycenią jego życie aż tak wysoko wyłącznie na tej podstawie, iż dybie na nie Suzeren. Sterował więc ku tematom bardziej aktualnym. Czy Oficjum nie byłoby na przykład na tyle uprzejme, by wykonać wewnątrzkielnym nano pewne drobne operacje na prośbę Adama? On oczywiście zdawał sobie sprawę, że nadinteligencje Oficjum z samej treści prośby momentalnie domyślą się reszty planu. Ale może tym chętniej ją spełnią.

I rzeczywiście: nim zeszli do jeziora, Zamoyski otrzymał potwierdzenie, że liczne kompleksy białkowe umieszczone w mózgu i wzdłuż kręgosłupa pustaka Adama pozostają zamrożone w swych stanach kwantowych.

Primus Zamoyskiego nie poczuł przeprowadzania skanu. Zauważył jednak w powietrzu (wreszcie oczyszczonym z pyłu) chwilową kondensację ciemnoszarej zawiesiny. Na kilka sekund otoczyła go ze wszystkich stron gęsta mgła, aż Angelika krzyknęła przestraszona, sądząc, iż to pośmiertne konwulsje Franciszku, kolejne oznaki rozkładu otoczenia.

Dopiero jej opowiedział, co się właściwie stało, o Suzerenie i przeniewierstwie Deformantu, i o zejściu blokady Plateau.

Z rozpędu wyrzekł jedno słowo za dużo i wyciągnęła z niego także informację o swej implementacji w nowego pustaka. To poruszyło ją najmocniej.

– Powiedz mi tam, żebym się za bardzo nie rzucała – parsknęła. – Żadnych wielkich przedsięwzięć, niech się w nic nie miesza, tylko siedzi cicho w Farstone. I tak synteza będzie ciężka. Ile to, pół roku?

= Mówisz, żebyś nie ruszała się z Farstone.

Angelika Druga zaśmiała się głośno.

= Powiedz jej, że życzę jej szybkiej i bezbolesnej śmierci.

Zamoyski powtórzył, zauważając różnicę w ich sposobach wzajemnego odnoszenia się do siebie.

– Nawzajem – odparła Angelika Pierwsza. – Kiedy przypomnę sobie, co przechodził po syntezie Forry… Schizofrenia.

= Mam nadzieję, że nie miała żadnych traumatycznych przejść.

– Powiedz jej, że stałam się kanibalem.

Podczas gdy Angelika przekomarzała się tak ze sobą, armia nanochirurgów rozpruwała /Zamoyskiego. Stern przykazału mu, by starał się przez ten czas nie poruszać. /Adam wisiał w powietrzu, zaczepiony stopami w plątaninę gałęzi i lian, z rękami przy tułowiu.

Trepanacja nastąpiła na politycy. Nie widział zatem rany – zresztą krótkiej i wąskiej. Wkrótce się zabliźniła, blizna zaś zbladła i zniknęła pod włosami. Nano zamykało za sobą drzwi. Rany na plecach były bardziej spektakularne, lecz kryła je koszula; kiedy zaś rozpruło koszulę, już się bliźniły.

Większości tych operacji Zamoyski nawet nie poczuł. Lekkie pieczenie skóry na karku i wrażenie chłodu wzdłuż kręgosłupa – nie więcej. W końcu nie czuł nawet tego. Szarpnąwszy za liany, obrócił się w powolnym piruecie. Szukał Haka wzrokiem, nie wiedząc, czego właściwie szuka. Czy ta oddalająca się od niego mgiełka, delikatna, szaro-czerwona gaza – to właśnie to? ciało z jego ciała? Zaraz zniknęło mu z oczu.

Stern potwierdziłu szczęśliwe zakończenie operacji.

Następnie nanomaty musiały się przedrzeć przez wszystkie powłoki Kła i to niejednocześnie, aby nie spowodować dehermetyzacji. Potem, już w próżni, w bezpiecznej odległości od Kła zainicjują w ciężkich izotopach reakcję łańcuchową. Stosowne izotopy pozyskać najłatwiej – z Pól publicz-

nych wyłapał ///Zamoyski informację, iż niektóre podzespoły Kłów chodziły na $^{238}U/^{235}U$.

Niemniej wszystko to musiało potrwać. Tymczasem wraże oktagony[3] zbliżały się z każdą sekundą. W każdej chwili mogła Adama i Angelikę ogarnąć Cywilizacja Śmierci któregoś z konkurentów do nagrody za pustaka Zamoyskiego.

Dotarli do jeziora; tu z powrotem dosiedli koni. Manifestacja Sternu, dotąd wiernie im towarzysząca, rozwiała się w powietrzu. Zamoyski zdjął również OVR-ową aplikację naniebną: Kieł i tak oddalił się od truchła Deformantu na tyle, że w tej skali nic już prawie nie było widać. Wojna nanobotyczna nadal się tam toczyła i jej wynik pozostał otwartą kwestią.

Wracając do zamku, milczeli podczas jazdy. Angelika popatrywała na Adama co jakiś czas pytająco i z wahaniem. Odpowiadał równie pytającym spojrzeniem – wtedy odwracała wzrok.

Jeśli oktagony[3] Gnosis nie dotrą do nich najwcześniej ze wszystkich, Angelika Pierwsza prawdopodobnie zginie. Nie będzie wówczas potrzeby dokonywać syntezy jej umysłu z umysłem Drugiej – ale też myśl o własnej śmierci, jakkolwiek umownej i przecież nie doświadczanej osobiście, wywoływała u dziewczyny zimne dreszcze, mimo wszystkie żarty i nonszalancje.

Zbliżał się świt. Zjeżdżali ze wzgórz. Zamoyski zastanawiał się nad sensem aktualizowania zapisu swego frenu. Wszczepka w jego mózgu była wystarczająco rozbudowana. Ostatnich archiwizacji dokonano przed nadaniem mu obywatelstwa, mocno się zdezaktualizowały. (Kim byłem wtedy? – Kim jestem teraz?)

Ale – Suzeren. Czy można w ogóle wierzyć tym zapisom, ich autentyczności? Dajmy na to, że Adam umrze i wdrukują go w nowego pustaka – jeśli Suzeren zmanipuluje archiwizację frenu, może się Zamoyski obudzić już kimś zupełnie innym. Nie Zamoyskim. Czyli, po prawdzie, nie obudzi się w ogóle. Powstanie natomiast jakiś nowy byt, osobowość skonstruowana *ad hoc*, falsyfikat pamięci i charakteru – chociaż nierozpoznawalny jako taki nawet dla siebie samego.

Poza tym należy pamiętać, iż Suzeren mógłby przeczytać tę archiwizację „na sucho”, na przykład kopiując ją sobie do Czyśćca.

Czyż nie tak dowiedział się o Narwie – z archwizacji Moetle’a?

= Czy gdybyś miała wybór. = Adam zawahał się.

Wyjeżdżali z lasu.

= Tak?

= Ci phoebe’owie, co modyfikują samych siebie… Jak to właściwie przebiega? Decydują, że wolą siebie innymi, i przeprogramowują się. Przeprogramowawszy, w nowej siatce lęków i pragnień, wybierają sobie jeszcze inną postać frenu. I tak dalej, i tak dalej, bez końca; a wszystko szczerze. Czy potrafią się z góry przewidzieć i zasymulować stan swego umysłu po iks przekształceniach? W stanie N pragną stanu N+1, ale czy także N+10, N+100? A przecież są one równie nieuniknione. Ścieżka zmian, gdzie każda zmiana wymusza kolejną, i chociaż świadomie decydujemy się tylko na tę najbliższą, bo tylko tę potrafimy przewidzieć – to w istocie decydujemy wówczas także o wszystkich naszych późniejszych decyzjach… Gdzie więc w tym procesie leży tożsamość? A może już nie jest ona stanem, lecz właśnie samym tym procesem?

= W przypadku inkluzji otwartych – z całą pewnością.

= W takim razie jak długi jest to odcinek na linii przemian? Gdzie się kończy, gdzie zaczyna nowy – nowa osobowość?

= A sądzisz, że z Cywilizacjami jest inaczej? = Szarpnięciem odrzuciła włosy na plecy, odetchnęła głębiej, prostując się w siodle. = Czy teraz już rozumiesz konieczność trzymania się pewnych konwencji, jakkolwiek z pozoru absurdalnych? Stahs.

Przed nimi wyłaniał się zamek, skąpany w promieniach wschodzącego słońca, jeszcze z trudem się przedzierających przez gałęzie drzew. Sztandary falowały w porannym wietrze. Na błękitniejącym niebie //Zamoyski otworzył sobie obraz z zewnętrznych kamer Kła, transmitowany przez Pola Oficjum. I ledwo wjechali w długi cień zamku, pośród gwiaździstej ciemności błysnęło tam krótkie, a niemal oślepiające światło, po czym w srebrnym gobelinie pojawiło się kilka nowych gwiazd – w tym jedna bardzo bliska, bardzo jasna: słońce w kształcie wrzeciona.

Planck później Zamoyski został rozpłatany na pół.

8. Narwa

KOD

Generator struktur językowych stanowiący podstawę komunikacji między Cywilizacjami, Progresami i Deformantami.

→ Jedno uogólnienie gramatyk generatywnych wszystkich form inteligentnego życia nie jest możliwe. W tym samym wszechświecie mogą istnieć różne wersje Kodu.

→ Subkody poszczególnych Progresów, Cywilizacji i trendów Deformacji mogą być traktowane jako pochodne Kodu, i vice versa.

→ Subkodem Progresu i Cywilizacji Homo Sapiens jest Matryca Chomsky'ego.

→ Kod nie istnieje w postaci języka, którym mogliby posługiwać się stahsowie. Każde użytkowe rozwinięcie Kodu wymaga wyhodowania z niego nowych struktur-procesów językowych.

→ Zwięzyki to freny językowe wyhodowane z poszczególnych Subkodów.

„Multitezaurus" (Subkod HS)

W połowie półkilometrowej drabiny, gdzie ciążenie dało się już wyraźnie odczuć, nagle a niespodziewanie Zamoyski zaatakowany został przez wspomnienia z dzieciństwa; opadły go gęstym rojem.

Aż się zatrzymał, oplótłszy ramiona wokół szerokiego szczebla. Nie blokował tym sposobem drogi Angelice, bo ona schodziła pierwsza. Jej widok miał uspokoić Moetle'a, który przecież pamiętał Zamoyskiego wyłącznie jako pozbawioną pamięci marionetkę pod ostrym zarządem seminkluzji Gnosis.

Tymczasem pamięć Adama sprawowała się coraz lepiej. Pamiętał na przykład, że zdarzyło mu się spaść z drabiny i złamać nogę. Stało się to podczas wakacji na wsi (u dziadków?). Ktoś go gonił i Adam, próbując się szybko wspiąć na stryszek stodoły, spadł z wysokości czterech metrów na drewnianą skrzynię. Otwarte złamanie. Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze zobaczyć czerwono-białą kość przebijającą skórę.

Gdyby teraz spadł, nie skończyłoby się na pokiereszowanej nodze. Ale też z tej drabiny spaść raczej nie mógł, po każdym kroku w dół oplątywany elastyczną siecią miniwłókien, z których musiał się przemocą wyrywać.

Zastanawiali się, czy nie skonfigurować raczej czegoś w rodzaju windy, ale ostatecznie dwukruk im ją odradził, wykazując, o ile więcej czasu by to zajęło – a czas nadal był przeciwko nim, nie znali terminu przybycia pierwszego oktagonu[3], ani też czyj to będzie oktagon[3].

Z drugiej strony: kilkaset metrów po drabinie, na dodatek częściowo w nieważkości – to nie spacerek. Kiedy wreszcie Zamoyski zeskoczył na zraszaną przez wodę z pobliskiej fontanny posadzkę atrium, mięśnie rąk i nóg paliły go żywym ogniem. Na chwilę oparł się plecami o drabinę. Odchyliwszy głowę, poprowadził wzrokiem dwie równologłe proste aż do zenitu – do zawieszonego w błękicie Kła. Wyrwany z Portu kidnaperów, następnie wbity we Franciszku, na wpół przez nienu przetrawiony i wyrwany z kolei z jenu żywego ciała – w niczym nie przypominał idealnego stożka, niepokalanej bryły geometrycznej, jaką Zamoyski po raz pierwszy ujrzał nad horyzontem wywróconej na nice Afryki. Z wraku zwieszały się zmrożone ochłapy mięsa kraftoidu, trupie falbany i girlandy pancernych flaków.

Dwukruk, biało-purpurowy i o skrzydłach sypiących elektryczne skry, zatoczył okrąg nad fontanną i przysiadł na łbie cesarskiego smoka, wyrzeź-

bionego w różowym marmurze przy wejściu do atrium, gdzie zaczynała się kolumnada.

Kolumnada kończyła się czterdzieści metrów dalej, w błękitnej pustce; tam cumowała czarna karaka próżni.

– No i? – zasapał Zamoyski. – Znalazłeś?

– Objąłem już cały Porrrt – zaskrzeczał kruk. – Nie ma go nigdzie.

Adam podszedł do fontanny, pochylił się, obmył spoconą twarz, przełknął dwa hausty zimnej wody.

Jeszcze mu uda drżały; przysiadł na brzegu basenu.

– Musiał wziąć wahadłowiec – westchnął. – Ile ich tu było? – Ruchem głowy wskazał karakę.

– Jest miejsce na co najmniej sześć.

– Spytaj Angelikę.

– Mówi, że nie wie.

– A gdzie ona w ogóle się podziała?

– Mówi, że szuka garrrderrroby.

– Że co? Nie mamy czasu, niech się zabiera. Poprowadzisz ją.

– Tajes, generrrale – skrzeknął dwukruk.

Skąd u nanomancji ten ton? Z pewnością nie z programów z Plateau, od którego pozostawali przecież na powrót odcięci od momentu otworzenia Saka z układem Hakaty. Niemniej jeszcze przed blokadą coś musiało zostać przekopiowane w świeżo ustanowione struktury logiczne nanopola. I teraz te programy nakładały się na pamięć manifestacji Pandemonium – ostatecznie konfigurując dwukruka.

Zamoyski ruszył cienistą kolumnadą ku wiszącemu u końca pomostu grafitowoczarnemu statkowi. Wnętrze Moetle’owego Portu skąpane było w błękitnym świetle, którego liczne źródła okrążały habitat po odległych orbitach – co oznaczało tu oddalenie o najwyżej kilkadziesiąt kilometrów, jako że Port nie był wielki. Kieł Adama i Angeliki, mimo że wleciał weń na stosunkowo małej prędkości, wykonał w błękicie trzy prostoliniowe „pętle”, zanim wyhamował.

Bali się zresztą, że będą musieli czekać, aż zatrzyma go sam opór powietrza, paliwa ledwo starczyło na podmanewrowanie na bezpieczną niską orbitę. Gdyby otwarcie Saka nie rzuciło Kła tak blisko Hakaty i Narwy, lecz pozostawiło poza granicami odkraftowanego obszaru, w żaden sposób nie zdołaliby dotrzeć do planety.

Tak czy owak, do aktywnego lądowania na Narwie nie byłby Kieł już zdolny; manewrowanie w studniach grawitacyjnych zawsze jest kosztowne. Pozostawały więc wahadłowce trójzębowca Moetle'a. Angelika utrzymywała, że powinna je w końcu otworzyć tak samo, jak otworzyła Port; Zamoyski miał tylko nadzieję, że nie oznacza to kolejnej kilkugodzinnej gry w pytania i odpowiedzi z programem zarządzającym trójzębowca. Program nazywał się Aleksander Czwarty i, skoro uwierzył, iż faktycznie jest ona McPhersonem, rozmawiał wyłącznie z Angeliką.

Zamoyski dotarł do końca kolumnady; tutaj ciążenie było już odrobinę mniejsze. Usiadł, opierając się plecami o ostatni filar, w cieniu czarnej burty wahadłowca.

– Angelika! – warknął. – Pośpiesz-żesz się!

Dwukruk gdzieś odleciał, lecz Adam wiedział, że słowa zostaną usłyszane i przekazane Angelice. Nanopole Oficjum/de la Roche'u rozpostarło się na Port bez problemu, Moetle przed wyruszeniem na swoją tajną wyprawę postarał się bowiem o wysterylizowanie go z infu: z pewnością ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był nieustanny podsłuch i podgląd Cesarza.

Lecz tak ograniczony w swych mocach i kompetencjach Aleksander Czwarty, na dodatek po odjęciu 99% pamięci i mocy obliczeniowych (układ Hakaty pozostawał pod stałą blokadą od Plateau), nie był w stanie odpowiedzieć sensownie nawet na pytanie, czy Moetle znajduje się we wnętrzu Portu. Wiedział tylko, że brakuje mu jednego z wahadłowców – ale czy odleciał on z Moetlem na pokładzie, czy w misji bezzałogowej, tego już rzec nie potrafił.

Być może więc zostali tu wpuszczeni wcale nie dzięki Angelice, jej znajomości rodzinnych tajemnic McPhersonów, lecz na skutek kalectwa programu – który wpuściłby w końcu każdego.

Zamoyski z westchnieniem przesunął się ku krawędzi pomostu. Usiadł prosto, zwieszając nogi w przepaść. Pod stopami miał tylko czysty błękit. Kiedy się pochylił trochę do przodu i w prawo, widział jednak uciekającą w dół ścianę habitatu, odrastające odeń balkony i tarasy, część wiszącego ogrodu, zorientowanego już podług odmiennego wektora grawitacji; także kopuły wież i otwarte ich blanki. Wieże bowiem – te widoczne – stały w większości prostopadle do pionu Zamoyskiego. Jedna z nich miała na szczycie basen. Widok był o tyle niepokojący, że powierzchnia wody (z tej odległości: niebieski prostokącik) nie była równoległa z jakąkolwiek inną

powierzchnią habitatu i człowiek zaczynał wątpić we własną orientację przestrzenną, co mogło się źle skończyć, zwłaszcza dla siedzącego nad przepaścią.

„Habitat” – ale przecież nie tak Adam o nim myślał. Była to Escherowska mieszanina architektur opartych na różnych stylach i technikach budowlanych. Z grubsza konstrukcja miała kształt kuli, o średnicy około kilometra. W jej geometrycznym centrum (jak przypuszczała Angelika, a Aleksander potwierdził) znajdowała się mała czarna dziura, gwarantująca przyzwoite ciążenie.

Fragment, w którym znajdował się Zamoyski, przywodził na myśl mauretańską willę – nawet odpowiedni zapach unosił się w powietrzu, egzotyczne kadzidło.

Coś uderzyło go w plecy. Miotnął się wstecz, łapiąc rękoma za kolumnę.

– Jezu, aleś nerwowy.

Zamoyski przetoczył się na plecy. Stała nad nim z resztą ubrania w ręce – to, czym w niego rzuciła, to były buty.

Złapał się teatralnym gestem za pierś.

– Serce starego alkoholika wiele nie wytrzyma.

– Ty się lepiej przebierz, bo rzeczywiście wyglądasz jak ostatni żu l.

Sama miała już na sobie świeżą koszulę (ciemnozielona bawełna) i spodnie (czarne dżinsy). Zwróciły jego uwagę bose stopy.

– Nóżki sobie przechłodzisz – mruknął.

– Nie było mojego rozmiaru. Ale na ciebie, owszem. No idź, przebierz się.

Wstał.

– I to zabrało ci tyle czasu? Przeszukiwanie szaf Moetle’a?

– Nie, Smaug od razu wyselekcjonował twój rozmiar. Wzięłam prysznic. Tobie też radzę.

Dopiero teraz spostrzegł różnicę: włosy, rozczesane prosto na ramiona i plecy, prawie lśniły w błękitnym świetle; skóra twarzy i dekoltu oraz przedramion, z których Angelika odwinęła wysoko rękawy, znowu była gładka i czysta.

– No, dalej. – Wcisnęła mu nowe ubranie do rąk i pchnęła w głąb kolumnady. – Jak nas dopadną, to nas dopadną, nic, co możemy zrobić, tego nie przyspieszy ani nie opóźni – ale przynajmniej nie będziemy cuchnąć Franciszkum.

– Gdzie ta łazienka?

– Smaug cię poprowadzi. Rusz się!

Poszedł za elektrycznym dwukrukiem, zostawiając Angelikę przy wahadłowcu.

Łazienka okazała się obszernym kompleksem basenów, wodotrysków, saun i innych instalacji sanitarnych, rozmaitego przeznaczenia i wystroju.

Rozebrawszy się pospiesznie, Zamoyski wskoczył pod pierwszy z brzegu natrysk. Smaug dobrał się do hydrauliki i na okrzyki Adama zmieniał temperaturę i natężenie wody.

Potem się okazało, że zapomniał o ręcznikach. Musiał poczłapać za dwukrukiem do komory higroskopijnej.

Wracając po ubranie, już suchy, spotkał nad brzegiem błotnego basenu kota. Kot był mały, może jeszcze niedorosły, o jednolicie czarnej sierści i błyszczących, zielonych ślepiach. Stał w bezruchu, z uniesionym ogonem, i wodził za Zamoyskim gniewnym spojrzeniem. Randomizer behawioru szarpnął ramieniem Adama – kot zasyczał i uciekł.

Przebrawszy się w wybraną przez Angelikę odzież (białe spodnie, białą koszulę, białą kamizelkę, skórzane buty; koszula była chyba z jedwabiu), Zamoyski wrócił do wahadłowca. McPherson musiała się tymczasem dogadać z Aleksandrem, bo Adam nie zastał jej na pomoście – za to w czarnej burcie statku ziała owalna dziura, z której bił purpurowy blask.

Wahadłowiec przypominał Zamoyskiemu kształtem kadłuba morskie karaki: jako przeznaczony do lotów atmosferycznych też ograniczał do minimum opór ośrodka. Był nadto wyraźnie asymetryczny, z jednej strony spłaszczony i porośnięty rzędami masztów, anten, obłych wypustek. Od dziobu do rufy mierzył dobre trzydzieści metrów.

Dwukruk, skąpany w krwawej łunie we wnętrzu statku, wskazał Zamoyskiemu drogę do salonu medialnego. Angelika siedziała tam w jednym z głębokich foteli, zawieszonych w elastycznych sieciach semiorganicznej tkanki. Otaczały ją kolumny błękitnego światła: hologramy zewnętrznego podglądu.

Zapadł się w sąsiedni fotel. Sieć jęła zarastać mu pierś i uda.

– Co za cholera – – Veron twierdzi, że nie da się tego wyłączyć, to automatyczna przeciwprzeciążeniówka – powiedziała Angelika. – Poczekaj, aż ci wyrośnie nad kolanami.

– Veron?

– Syn Aleksandra z tego wahadłowca. Przywitaj się ze stahsem Zamoyskim, Veron.

– Dzień dobry – rzekł z niewidocznych głośników program zarządzający statku.

– Witam, witam – mruknął Adam. – Możemy już odbić?

– Czekam na pozwolenie stahs McPherson.

Zamoyski spojrzał pytająco na Angelikę.

– Ile jeszcze? – spytała dwukruka, który siedział na oparciu fotela z jej prawej strony i oboma dziobami zawzięcie czyścił pióra.

– Kilka minut, prrrosiłbym.

– Na co mu te kilka minut?

– Pomyślałam, że nie od rzeczy byłoby zabrać ze sobą trochę tego nano. Nie sądzisz? Smaug właśnie się ściąga do wnętrza „Katastrofy”, kazałam otworzyć wszystkie luki.

Zamoyski zaśmiał się nerwowo.

– Ta łódka nazywa się „Katastrofa”? Żartujesz!

– Nie, nie! – odpowiedziała śmiechem. – „Katastrofa”, słowo daję! Są tu jeszcze „Mór” i „Holocaust”. Ten brakujący zwał się „Trąd”. Cały Moetle! Masz może jakiś sznurek albo coś…? – Pochyliła głowę, obiema dłońmi zbierając włosy na karku. – Nienawidzę nieważkości.

Zamoyski skinął na dwukruka.

– Dziabnij no kawałek.

Smaug podskoczył i odgryzł kilkucalowy odcinek jednej ze strun, na których wisiał fotel Zamoyskiego. Angelika, nucąc pod nosem, przewiązała sobie włosy tą organiczną wstążką – jeszcze ciekła z jej końców biała maź.

W jednym z hologramów nad głową Zamoyskiego cyfrowy zegar odmierzał czas Portu. Adam przelotnie zaciekawił się, w jakiej relacji ten czas pozostaje do k-czasu i a-czasu; ale na trzech Kłach żadnych wielkich manipulacji meta-fizycznych nie da się chyba przeprowadzić…

Czas. Czas, w jakim stopniu jest on jeszcze stałą, prostą osią jednokierunkową? Obracał w głowie hipotezy dotyczące ostatnich wydarzeń – ich chronologia nieodmiennie szwankowała. Nie mógł Zamoyski pojąć: k i e d y mianowicie Sak z odkraftowanym przez Suzerena systemem Hakaty/Dreyfussa został Zahaczony na jego pustaku? Wyprawa Moetle’a, kradzież Deformantowych Kłów, wyrwanie owego fragmentu kosmosu –

wszystko to miało miejsce, gdy Zamoyski przebywał w Farstone, pod nadzorem SI Gnosis.

Czy dla ustanowienia Haka konieczna jest przestrzenna bliskość kraftujących Kłów i sprzęganego z nimi obiektu? Nie zdążył o to zapytać, kiedy przebywał jeszcze na Plateau, a teraz menadżer oesu nie potrafił znaleźć odpowiedzi w danych przekopiowanych na wszczepkę Adama. Gdyby można było Zahaczać Sak na dowolnych współrzędnych przestrzennych, nikt nie podróżowałby w tradycyjny sposób, w Portach przemieszczających się z miejsca na miejsce, tracąc czas.

Istniało zresztą inne, równie niepokojące pytanie: k t o dokonał tego Zahaczenia? Tu dopiero plątały się Zamoyskiemu myśli. Kły porwał Suzeren – ale też Suzeren próbował zniszczyć Hak podczas wesela Beatrice. I to on wygłaszał namiętne groźby pod adresem Adama. Po cóż miałby Zahaczać Narwę na Zamoyskim? Wyglądało to omal tak, jakby potem ktoś z kolei okradł z Narwy Suzerena…

Ten kawałek galaktyki przechodzi z rąk do rąk niczym królewski sztandar podczas bitwy.

Nagłe szarpnięcie wbiło Zamoyskiego w fotel.

– Starrrt.

„Katastrofa” zamknęła luki i odbiła od kamiennego doku. Po pierwszym impulsie nie przyspieszała i wychodziła ze strefy przyciągania habitatu ze stałą prędkością – druga kosmiczna dla owej Escherowskiej willi to był silny kopniak, skok z przysiadu, nie więcej. Wypływali więc w błękit z dostojną powolnością; ale też bynajmniej nie było potrzeby oddalać się od willi na kilometry.

Zresztą jak bardzo można oddalić się od czegokolwiek wewnątrz Portu? W końcu i tak wszystko wraca do punktu zero, zawinięta, skończona przestrzeń obraca światło w Möbiusowskich pętlach. Taki Port nie posiada żadnego geometrycznego centrum ani też żadnych „granic”, do których statek musiałby się zbliżyć, chcąc Port opuścić. Po prostu w pewnym momencie – teraz – program zarządzający Kłami zmienia subtelnie kraft i dany obiekt – wahadłowiec – zostaje wypluty w zewnętrzną przestrzeń, kosmos pozaportowy.

W salonie pociemniało, gdy opuścili Port Moetle’a: ściany jaskrawego błękitu zastąpione zostały przez bloki płynnej ciemności, w których przesuwał się zsynchronizowanym ruchem miliard fluorescencyjnych drobin.

Zza Angeliki wschodziła Narwa, żółto-błękitna, z Rozgryzaczem Planet w większej części skrytym za Narwy horyzontem.

Zamoyski pamiętał ją inaczej. Zamoyski pamiętał brunatne piekło wzburzonej atmosfery, czarne wyziewy pyłu z tysiącznych wulkanów, fronty atmosferyczne na jej obliczu niczym improwizowany malunek wojenny. Na taką Narwę wówczas uciekali ze zmiażdżonego „Wolszczana”.

Ale to było – ile? sześćset lat temu?

Nad kolanami Adama z półprzezroczystej tkanki sieci antyprzeciążeniowej wyłoniła się amorficzna bulwa. Kiedy złożył na niej dłonie, zapulsowała ciepłem, nacisnęła mu na palce.

– Pougniataj, pougniataj – zachęciła go Angelika. – Może przyjdzie do ręcznego pilotażu.

– Hę?

– Jakikolwiek interfejs manualny ci odpowiada.

Bez wahania zaczął formować szczupły wolant.

– Dokąd? – odezwał się Veron.

– Gdzie mógł polecieć Moetle? – westchnęła Angelika.

– Mam nadzieję, że nie w paszczę Rozgryzacza.

– Mhm?

Adam wskazał w hologramie ławicę świetlików tuż nad krzywizną planety.

– Mówiłem ci. Jest ich tam kilka tysięcy, takich srebrnych elipsoid o dłuższej średnicy przekraczającej siedemset metrów. Bardzo się nimi interesowaliśmy na „Wolszczanie”. Mapowaliśmy laserem ich wzajemne położenie i okazało się, że to właściwie jeden obiekt, jakaś niewykrywalna siła wiąże je wszystkie w sztywną całość, nie drgną względem siebie ani o milimetr. Zarejestrowaliśmy wejście trzydziestotonowego meteoru w zajmowany przez nie obszar. Ni z tego, ni z owego uległ anihilacji. Ten Rozgryzacz Planet stanowi też prawdopodobnie przyczynę, dla której Narwa nie ma żadnych księżyców. Oczywiście, teraz zdaję sobie sprawę, że jest to kompleks sprzężonych ze sobą Kłów – deformackich albo pochodzących w ogóle spoza Czterech Progresów. Być może utrzymują tam jakiś Port… Wtedy jednak nie mieliśmy pojęcia.

– Dokąd? – powtórzył Veron.

– Mhm, może by tak ją oblecieć i sporządzić mapę… – podsunęła Angelika, nachylając się ku planecie. – Potem byśmy zdecydowali.

– Nie pamiętam, co Moetle ze mnie wyciągnął – wtrącił Zamoyski – ale jeśli tak skutecznie rozwiązał mi język, wygadałem mu chyba także o miejscu naszego lądowania, i o mieście nad Rzeką Krwi. Pewnie stamtąd zaczął.

– A właściwie dlaczego lądowaliście? I to chyba awaryjnie – nie tak mi opowiadałeś?

Zamoyski zmarszczył brwi, potarł czoło.

– Nie chcę tam wchodzić, bo znowu się zatrzasnę i skurczybyk naśle na mnie jakąś potworę. – Potrząsnął głową. – Ja nawet nie wiem, skąd to słowo.

– Jakie słowo?

– Narwa.

– Dokąd? – po raz trzeci spytał Veron.

– Daj powiększenie i siatkę Merkatora.

Istniały tu dwa duże kontynenty (oba na półkuli południowej) oraz kilkadziesiąt rozległych archipelagów. Zamoyski odszukał północny brzeg kontynentu przypominającego kształtem ucho – powiększył – znalazł ukośny łańcuch górski – powiększył – znalazł rzekę, która zbierała większość opadów z tego wododziału – powiększył – znalazł dopływ zaczynający się w jeziorze na zielonym płaskowyżu – powiększył – i wskazał wschodni brzeg jeziora.

– Tutaj. Potem oddasz mi stery.

– Rozumiem – rzekł Veron.

Powróciło ciążenie – „Katastrofa” zaczęła spadać ku Narwie po wymuszonej krzywej.

Po przywróceniu oryginalnej skali planeta zmalała i schowała się za Angelikę, ale już po chwili jęła puchnąć i wysuwać się zza fotela dziewczyny, z każdą minutą coraz szybciej. Przyciąganie to znikało, to zmieniało kierunek. Dwukruk skrzeczał przekleństwa, zirytowany, gdy ciskało nim na wszystkie strony – aż wleciał w największą gęstwę sieci i w nią wczepił się skrzydłami, pazurami i jednym z dziobów.

Podczas pierwszej fazy wchodzenia w atmosferę trzęsło nimi jeszcze bardziej, już nie od zmian wektora przyśpieszenia, lecz w poprzecznych i wzdłużnych wibracjach kadłuba „Katastrofy” – dopóki nie wytracili prędkości i nie przeszli w lot ślizgowy na pułapie stu kilometrów. Wejście było ostre, ale też Moetle’owy wahadłowiec nie miał powodu obawiać się losu

wahadłowca „Wolszczana” – to już była zupełnie inna technologia, zupełnie inne skale niebezpieczeństw. Niemniej – ciało pamiętało.

Ciało pamiętało i Zamoyski napinał mięśnie, zaciskał zęby, serce mu biło jak młot, adrenalina wypalała w żyłach nowe blizny, huk krwi w uszach zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

Nareszcie „Katastrofa” wyrównała lot i Adam uniósł powieki, dopiero w tym momencie zdając sobie sprawę, iż dotąd je zaciskał.

Znowu tonęli w błękicie. Bezchmurne niebo Narwy opływało ich ze wszystkich stron. Zamoyski polecił Veronowi obrócić projekcję o sześćdziesiąt stopni, wtedy zobaczył przez szarą mgłę niskich obłoków ciemnoniebieski ocean, łańcuchy wysp jak skrzepy wygotowanych zeń szumowin i – wciśniętą płasko pod horyzont krawędź kontynentu.

W holo po swojej stronie Angelika otworzyła liczne okna 3D, w nich obrazowały się dane otrzymywane od Verona.

– Tlen – dwadzieścia pięć, azot – sześćdziesiąt, o, dwutlenku węgla dużo, robiliście jakieś analizy cyklu wegetacyjnego tutejszej flory? Na czym to idzie, na jakimś analogu chlorofilu? Widzę, że zielone.

Byli już nad kontynentalnymi puszczami, dziesięć kilometrów i coraz niżej.

– Pamiętam, że Juice bardzo narzekała na rozbieżności w kodach replikacyjnych – mruknął. – Mieliśmy trochę sprzętu… Zaraz. Nie, nie wiem. Że brak naturalnych ścieżek ewolucyjnych i temu podobne. Ponieważ wiedzieliśmy o mieście, no i o Rozgryzaczu, zresztą samo słońce… założyliśmy istnienie starej cywilizacji. Nie byłyby więc to flora i fauna oryginalne, ale ente pokolenia gatunków zaprojektowanych od podstaw dla zapomnianych już celów, potem zdziczałych i przemutowanych, walczących o zajęcie nisz, które jeszcze nie istniały, gdy te gatunki wymyślano… Zostawić to na parę milionów lat – i *voilà*, mamy całe biologie z ewolucyjnego punktu widzenia absolutnie niemożliwe. Veron, oddaj. Już.

– Proszę.

Zamoyski zacisnął dłonie na sterach i z tym uściskiem wróciła mu pewność siebie.

– To jest to jezioro? – spytała Angelika, obracając nad sobą holograficzne krajobrazy.

– Tak.

„Katastrofa” dawała się prowadzić niczym odrzutowiec zmiennoosiowy; wysunięte zostały szerokie płaty nośne i wahadłowiec schodził nad płaskowyż prawie jak szybowiec, już tylko od czasu do czasu dając korygujące impulsy z dysz bocznych. Adam położył „Katastrofę” w lewy skręt, zataczając wokół jeziora niską pętlę.

Veron przesunął w holo powiększenie linii brzegowej. Jezioro mia ło kształt łzy, długie na ponad trzydzieści kilometrów; ze zwężenia w ypływała rzeka, przelewając się szeroką kataraktą kilkadziesiąt metrów w dół kamienistego kanionu. Przeciwległy, południowy kraniec jeziora podchodził pod wysokie klify przy gęsto zalesionych wzgórzach.

Na wschodnim brzegu Zamoyski szukał polany o dobrze zapamiętanym kształcie klepsydry. Wrak wahadłowca powinien znajdować się tuż za jej przewężeniem. Oczywiście puszcza mogła była przez ten czas pochłonąć polanę.

Przeszukiwał wzrokiem gęstą zieleń. Gdzieś tutaj, w dwóch trzecich drogi od rzeki do klifów – – Jest! Siadamy.

Dostrzegł statecznik wystający ponad zbitą zieleń. „Katastrofa” zawisła nad nim, obracając się powoli wokół pionowej osi, korony drzew dygotały od naporu wzbudzanego wichru, podnosiły się tumany zerwanych z gałęzi liści.

Zamoyski szarpnął „Katastrofę” wzwyż.

– Tu najbliżej – Veron wskazał kamienisty stok, schodzący do strumienia, siedemdziesiąt metrów od wraku.

– Okay, wceluj. Oddaję.

– Przejąłem.

Wylądowali tak miękko, jak żaden człowiek nie mógłby ich posadzić bez dużej dozy szczęścia. Ledwo „Katastrofa” dotknęła ziemi, puściły sieci zabezpieczające fotele, a same fotele opadły na podłogę.

Zamoyski pierwszy ruszył do wyjścia. Tu, w prowadzącym na zewnątrz korytarzu, utworzyła się tymczasem przezroczysta śluza: przez jej podwójne ściany widzieli szarą skałę, łachy ciemnego piasku, perlącą się w kamienistym łożysku wodę. Ciążenie, jak wiedział Adam, wynosiło 0.86 g – spośród tych, których doświadczył swoją manifestacją biologiczną od czasu opuszczenia afrykańskiego Saka, było najbliższe ziemskiemu.

– Też mam wyjść? – zaskrzeczał Smaug, podfrunąwszy za Angeliką.

Po opuszczeniu statku i rozprzestrzenieniu się po okolicy ponowne skupienie się w „Katastrofie” zabierze mu sporo czasu. Oczywiście mogli wystartować, pozostawiając część nanopola za sobą. Albo też w ogóle nie wypuszczać go poza śluzę – wówczas wszelako, w razie naprawdę nagłego niebezpieczeństwa, Smaug nie byłby w stanie przyjść im z pomocą wystarczająco szybko.

Wybrali wyjście pośrednie.

– W skupieniu – zdecydowała Angelika. – W sferze – ilu? pięciu metrów?

– Ośmiu – mruknął Zamoyski.

– Osiem metrrrów – skinął obiema głowami dwukruk.

Zeszli na powierzchnię Narwy.

– Au! Cholera jasna!

– Co jest?

– Skaleczyłam się.

Angelika podskakiwała na jednej nodze. Piętę drugiej przecinała czerwona pręga, szybko nabiegająca krwią.

– A pewnie jeszcze jakieś tutejsze zarazy… – mamrotała, rozeźlona.

– Tym bym się nie przejmował, na pewno niekompatybilne. Smaug, daj jej jakąś osłonę.

– Się rrrobi – zaskrzeczało ptaszysko.

Nie zobaczył Adam żadnych magicznych butów, materializujących się nagle na stopach Angeliki, niemniej odtąd już nie zwracała większej uwagi, po czym stąpa, brud nie osadzał się na jej skórze, a i rana przestała krwawić.

Dwukruk wskazywał im drogę. Drzewa miały rozmiary stuletnich sekwoi i szli między nimi jak między filarami cienistej bazyliki. Pachniało gorącym chlebem. Zamoyski, zanurzywszy się w półmrok puszczy, wciągnął do płuc kilka głębszych oddechów – i pożałował, bo od razu Księżyc zaświecił mu w oczy i zamajaczyły pod powiekami ruiny rzymskiej willi.

Żadnego więcej rozkojarzenia! Żadnych wspomnień! Patrz przed siebie, patrz pod nogi; umysł jak struna, umysł jak promień lasera.

Prześlizgiwał się po powierzchni wrażeń.

To światło – liście były duże, o cienkiej, prawie przezroczystej tkance, i strumienie słońca (terminator nie dotrze do tego miejsca jeszcze przez dwie-trzy godziny) płynęły przez nie niczym przez filtry reflektorów, folię

iluminacyjną; chodziło się w zieleni jak w rozpylonym z niebios gazie fluorescencyjnym.

Światło oraz szmery – kora drzew, ceglastoczerwona i porośnięta fioletowymi brodawkami, wokół których wirowały owady tak drobne, że dostrzegalne jedynie w roju, ta kora bezustannie trzeszczała, rozprężała się i sprężała w powolnych, lecz potężnych, bo sięgających do samych konarów, skurczach włókien: trszk, trszk, trrrrrszk! Drzewo za drzewem, w niezgranym rytmie. Nie pamiętał, jak Juice tłumaczyła morfologię owych roślin – czy one w ten sposób oddychają? Wrażenie jednak było takie, jakby puszcza bez przerwy szeptała sobie za twoimi plecami ciemne sekrety, a może plany zdradzieckiego na ciebie ataku.

Kiedy więc zza pobliskiego pnia wyłonił się kwadratowy łeb zwierzęcia, oboje, Adam i Angelika, drgnęli nerwowo, prawie odskakując na jego widok. Smaug jednak był na miejscu: gdy drapieżnik (bo był to jakiś rodzaj drapieżnika, absurdalne w ich oczach skrzyżowanie kangura z dzikiem i jeżozwierzem) wyszedł na otwartą przestrzeń i, wciągnąwszy w wielkie nozdrza powietrze skażone wonią ludzi, ruszył ku nim szybkim truchtem – momentalnie otoczyła go sieć jaskrawych wyładowań. Rozległ się wysoki kwik, zwierzę podskoczyło prawie na dwa metry. Spadło na ziemię już martwe.

Dwukruk przysiadł na truchle. Lewym dziobem jął szarpać z zaciekawieniem brązowe futro. Prawa głowa była zdegustowana.

– Durrrna poczwarrra!

Angelika zachichotała i Zamoyski zaśmiał się również, rozładowując napięcie.

Wrak wahadłowca zaskoczył ich oboje: nagle wyszli na małą przesiekę i oto po lewej wznosił się nad nimi obły dziób pojazdu, wciąż biały.

Dla Zamoyskiego zaskoczenie było podwójne.

– To nie nasz – sapnął. – Nasz się spalił.

– Nie wasz?

– To ten drugi, Mitchella i Finch.

– Nie rozumiem.

– Musieli potem przylecieć tu po nas. Myśleliśmy, że też się rozbili, nie było łączności. Bo nas zniosło, nie tu mieliśmy lądować.

– A gdzie?

– Przy mieście. Zrobiliśmy z orbity pełną topografię i to miasto to był jedyny ślad cywilizacji na powierzchni, więc… Czekaj, wrak naszego powinien się znajdować gdzieś – gdzieś tam.

Zamoyski odwrócił się od wahadłowca.

= Dałbyś jakąś mapkę, co?

= Służę.

//Przyglądał się izometrycznemu rzutowi terenu, skonstruowanemu na podstawie zapamiętanych przez wszczepkę krajobrazów. Skoro sami znajdowali się tutaj, a jezioro zaczynało się tu…

Zapatrzony w OVR-ową projekcję, Adam ruszył przed siebie, nawet nie oglądając się na Angelikę. Przeskoczył korzenie kolejnego drzewa, obszedł czarną paproć (czy to naprawdę są paprocie?) – i oto były: szczątki wahadłowca, którym przylecieli tu Zamoyski, Washington, Juice i Mountclaver.

Pojazd wrył się dziobem na kilka metrów w miękką glebę Narwy, przechylony na prawą burtę, wciął w ziemię także poziomy statecznik. Obrastały go ze wszystkich stron drzewa, wcale nie mniejsze od sąsiednich; w wypalonej skorupie pleniło się zielsko.

Adam obchodził wrak powoli, wypatrując śladów wizyty Moetle’a. Ale wrak wyglądał na nietknięty ludzką ręką od lat: wszystkie otwory w jego burtach – zarośnięte; w cieniu lewego skrzydła – gniazdo jakichś wężowych robali, wokół którego Smaug musiał postawić elektryczną ścianę, bo wyroiły się gęsto na sam widok Zamoyskiego…

Szedł dalej, do dysz. Wzniesione pod kątem, celowały w przesłonięte zbitą zielenią niebo, nie mógł zajrzeć. Może gdyby na czymś stanąć… Zauważył obok wielki głaz, wypluty z ziemi odłam białej skały, pocięty czarnymi i czerwonymi żyłami.

I od razu skojarzenia strzeliły salwą: głaz – Juice – kłótnia – pochować Washingtona – krzyż czy napis na skale?

Cofnął się szybko, czując drażniące nozdrza zapachy nocnej willi. Już miał się odwrócić, gdy w cieniu za głazem dostrzegł przywołany we wspomnieniu kształt.

– Światła! – zawołał na Smauga.

Powietrze roziskrzyło się nad nim, mlecznobiały blask oblał dokolną puszczę.

– Dziękuję – mruknął, kucając przed krzyżem.

Dwie bardzo gładko przycięte deski, ta grubsza wbita głęboko i podparta jeszcze kamieniami, ta węższa, pozioma – z wypalonymi wzdłuż wielkimi literami.

Zamoyski przesunął po nich palcami, ścierając brud i osad (zapewne tutejszy mech).

EDWARD T. MOUNTCLAVER
R.I.P.
EXORIARE ALIQUIS NOSTRIS EX OSSIBUS ULTOR

Więc Mountclaver także zmarł! Och, do cholery, przez ten czas z pewnością zmarli wszyscy – Z wyjątkiem mnie.

Ile zwłok znalazła Gnosis w „Wolszczanie”? Sześć – wszystkie anabiozery były zajęte.

Kto więc leży tutaj?

I dalej: skoro oba wahadłowce „Wolszczana” spoczywają na powierzchni Narwy, to jak wróciliśmy na statek, jak go naprawiliśmy i jakim cudem opuściliśmy układ Hakaty?

A może nie opuściliśmy go nigdy…?

Księżyc w pełni unosił się nad ciemną taflą jeziora jak wypełniony świecącym gazem balon. Krok dalej i przypomnę sobie – Poderwał się na nogi.

– Smaug! Wykop go!

Dwukruk przysiadł na krzyżu.

– Co mam zrrrobić?

– Ekshumuj, do cholery!

– Adam?

Obejrzał się. Angelika, wpółoparta o głaz, spoglądała podejrzliwie to na Zamoyskiego, to na krzyż. Otworzyła usta, lecz słowa zamarły jej na wargach, gdy ziemia kryjąca grób jęła się na jej oczach zapadać. Zamoyski ujrzał zdumienie na obliczu dziewczyny i podążył za jej wzrokiem, z powrotem obracając się ku krzyżowi.

Tak naprawdę ziemia się nie zapadała, lecz przepływała grubymi strugami na boki. W efekcie pod stopami Adama tworzył się symetryczny lej, głęboki na pół metra, metr, półtora, i coraz głębszy. Zamoyski postąpił dwa kroki wstecz, granica przesypiska zbliżała się do jego butów.

Elektryczny dwukruk siedział na krzyżu i wlepiał wszystkie cztery ślepia w centrum leju – dopóki krzyż się nie zachwiał, nie potoczyły się otaczające go kamienie i deski nie wpadły do grobu; wtedy przefrunął na głaz, krakcząc głośno.

Upiornie jasne światło wypaliło wszelkie półcienie i barwy pośrednie. Czy Zamoyski tylko sprawiał wrażenie tak bladego, czy też rzeczywiście krew odpłynęła mu z twarzy, gdy ujrzał wyłaniający się spod ostatnich warstw ziemi, zaplątany w brudne szmaty, biały szkielet?

– Chryste Panie.

Angelika podeszła bliżej, pochyliła się nad dołem.

– Kto to jest?

– Nie mam, kurwa, pojęcia.

Dotknęła jego ramienia – odsunął się.

Zmarszczyła brwi.

– O co chodzi?

Nie zwracał już na nią uwagi. Przeskoczył otwarty grób i ruszył między paprocie, rozgarniając je i depcząc. Teraz się okazało: to żadne paprocie. Ich czerń nie pochodziła od roślinnego barwnika, lecz z rojów maleńkich owadów, całkowicie kryjących skomplikowanego kroju liście. Ledwo Adam je poruszył, otoczyła go wirująca chmura drobnoziarnistej ciemności. Smaug zareagował błyskawicznie, skupiając nanopole i paląc insekty – i tak oto Zamoyski biegł przez spirale nagłego ognia, sekundowe pożary, pozostawiając za sobą aleję szarego dymu i nagie krzaki.

– Jest! – syknął przez zęby, znalazłszy drugi krzyż.

Przetarł go rękawem i odczytał nazwisko pochowanego:

DANIEL X. WASHINGTON

Cofnął się ścieżką popiołu. Rozgarniał teraz ominięte wcześniej zarośla.

Trzeci krzyż.

– Adam… – Angelika stanęła za nim, gdy klękał przy grobie, złożyła dłonie na jego ramionach. – To byli twoi przyjaciele ze statku, tak?

Nie odpowiedział. Gapił się ponuro na krzywe deski.

ADAM ZAMOYSKI
R.I.P.

ON JEST WSZĘDZIE

– Ale ten to chyba pusty, prawda? – szepnęła.

– Idziemy.

Poderwał się, szarpnął ją, pociągając za sobą.

– Co…? Dokąd?

– Tu Moetle’a nie było. Musiał polecieć od razu do miasta.

– Ale… te groby.

– Co: groby? – warknął.

Wyrwała mu się, zacisnęła usta.

Nie mówili już nic.

W „Katastrofie”, zapadłszy się z powrotem w wiszący fotel, w obleśnym uścisku semiorganicznej sieci bezpieczeństwa, Zamoyski zdołał się odrobinę odprężyć. Odrobinę – nie zaciskał już szczęk i nie zamykał dłoni w pięści. Ale kiedy Angelika obracała ku niemu wzrok, nadal widziała oblicze skamieniałe w grymasie wściekłości, jakby Adam krztusił się własnym gniewem i walczył sam ze sobą, by nie dać się porwać gorącej furii.

Miasto leżało ponad dwieście kilometrów dalej, nad rzeką czerwoną od rozplenionych w niej mikroorganizmów. Pozbawiona roślinności pustynna równina, przez którą płynęła rzeka, także miała kolor krwi: piasek, przeganiany po niej przez wiatr w wysokich tumanach, był piaskiem organicznym, spetryfikowaną formą tych samych mikroorganizmów.

„Katastrofa” leciała nad płaszczyzną ciemnego karminu na tyle wysoko, by nie podnosić z niej krwawych obłoków, a zarazem na tyle nisko, że widzieli pomykający po niej cień statku, rozedrganą płaszczkę.

Wieże były wysokie na ponad sto metrów i ich cienie rozciągały się po równinie długimi autostradami mroku. Hakata – pionowa źrenica wszechwidzącego boga wulkanów – osuwała się powoli ku horyzontowi.

Znów był wieczór, gdy zbliżał się Zamoyski do martwej metropolii – ale inny. Uniósł odruchowo głowę ku górnym hologramom, ciemniejącemu niebu. Wtedy również jej nie widział, niemniej pamiętał, że tu była: nadplaneta. Nadplaneta, efemeryczne dziecko Rozgryzacza Planet, upiór astronomiczny, to zjawiający się nad Narwą, to znikający, bez śladu i bez jakichkolwiek efektów grawitacyjnych. Teraz Zamoyski pamiętał.

Przemknęli ponad okalającym miasto murem.

– Veron, jeśli coś zauważysz – – Oczywiście.

– Także nasłuch.

– Prowadzę bez przerwy na wszystkich zakresach.

– I?

– „Trąd” najwidoczniej nie emituje sygnału lokalizacyjnego ani nie odpowiada na wezwania. Stahs Moetle musiał zawiesić te procedury.

– Może po prostu rozwalił się razem z wahadłowcem – mruknęła Angelika.

Zakreślali ponad ruinami zacieśniającą się spiralę. Myślał: „ruiny” – bo pod ścianami i w załomach budynków narosły pierzyny czerwonego pyłu oraz organicznych i nieorganicznych śmieci – ale miasto nie zostało bynajmniej zniszczone. Konstrukcje miały ostre krawędzie, kąty proste nadal były kątami prostymi, gruz nie piętrzył się na ulicach kanciastymi bałwanami.

Kiedy zresztą tak szybowali nad rozpływającą się w rosnących cieniach metropolią, Zamoyski poddał się barokowemu skojarzeniu planu architektonicznego Narwy ze starożytnym układem scalonym, schematem elektronicznym. Budynki, z wyjątkiem wież, były niskie, jednopiętrowe, o płaskich dachach, kryjących pod sobą rozległe przestrzenie.

Wydawałoby się, że wobec tego odnalezienie „Trądu” nie będzie sprawiać trudności. Lecz miasto było olbrzymie. Adam chciał zwiększyć pułap i prędkość, wchodząc w szerszą spiralę. Veron jednak zwrócił uwagę na system maskujący wahadłowców, czarny polimer kameleoniczny potrafi się rozpłynąć na każdym tle, zwłaszcza w tak gęstych cieniach; wyrównuje zresztą do tła promieniowanie w całym spektrum. Lecieli zatem dalej ze stałą prędkością.

Angelice udzielił się ponury nastrój Zamoyskiego. Podciągnąwszy pod siatką ku klatce piersiowej bose nogi, popatrywała spod zmarszczonych brwi na zaciągający się oleistą ciemnością nieboskłon. Adam spróbował przełamać grobową atmosferę i sięgnął ku dziewczynie; zawahał się dopiero z opuszkami palców tuż nad skórą jej przedramienia, już czując aurę jej ciała.

– Ja… wiem, że jest w tym jakiś sens. W Narwie na Haku w mojej głowie. W tym – w tym wszystkim. Grób, który widziałaś… Nawet jeśli…

– Kto pierwszy, ten nas zgarnie – prychnęła, nie patrząc na niego. – Razem z Narwą. Akurat podziękuje, że sam mu ją otworzyłeś…!

– Pamiętasz, co mi mówiłaś? Wtedy, w Saku. Że skoro i tak przesądzone – nie ma się czym przejmować. Najwyżej odcięte zostaną te odgałęzienia naszych frenów. Ty i tak żyjesz równolegle w Farstone. Więc tymczasem przynajmniej – – Jest! – Veron zawiesił „Katastrofę” ponad trójkątnym placem. – Lądować?

„Trąd” nie miał włączonego maskowania. Stał przy ścianie prostokątnego budynku, prawie jej dotykając: wrzecionowaty skrzep czerni, na ciemnym tle, w mgle gęstego cienia.

Już bowiem połowa Hakaty skryła się pod widnokręgiem, Rozgryzacz Planet wschodził na północy… Noc na planecie tajemnic.

Dreszcz przebiegł po Zamoyskim.

– Ląduj.

Wyszli na plac i dopiero wtedy tak wyraźnie poczuli, że są intruzami w tym świecie. Było zimno, to prawda, ale nie dlatego założyli ręce na piersi – oboje, Zamoyski i Angelika, jak w lustrzanym odbiciu – roztarli ramiona, zacisnęli wargi; nie dlatego.

„Katastrofa” osiadła równolegle do drugiej karaki. Budynek był znacznie niższy od statku, maszty wahadłowca górowały nad brunatnej barwy strukturą. Plac miał boki długości stu-stu dwudziestu metrów, innym budowlom nie mogli więc się przyjrzeć. Ani Adam, ani Angelika nie zamierzali oddalać się od „Katastrofy” – mimo opiekuńczego nanopola, mimo dwugłowego ptaszyska zawieszonego nad ich głowami w elektrycznej aureoli.

Spod brzucha wspartego na teleskopowych dźwigarach „Trądu” opadała długa schodnia, prawie dotykając brązowej ściany. Zamoyski w milczeniu skinął głową. Angelika wzruszyła ramionami.

Czerwony pył chrzęścił pod butami Adama, odgłos kroków płynął przez wielki plac płaskim echem; McPherson szła natomiast bezszelestnie. Zamoyskiemu przypomniały się filmowe uwertury strachu, tak maszerują pustymi korytarzami bezimienni mordercy. Rozglądnął się. Ni żywego ducha. Nawet to, co deptał – to były miliony martwych organizmów. Co takiego opowiadała o nich Juice…?

Weszli pod brzuch karaki.

– Moetle! – krzyknęła wtem Angelika. – Moetle!

Zamoyski aż przystanął.

Smaug rozkrakał się panicznie.

– No co? – Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami. – Odezwie się, jeśli żyje.

Adam podszedł do schodni.

– Nie jestem pewien, czy to po Moetle’a tu przylecieliśmy… – mruknął pod wąsem.

– Co?

Machnął ręką.

Budynek był tak niski, że stanąwszy na palcach, Zamoyski mógłby dotknąć krawędzi jego dachu. Ściana gładka, monolityczna, jakby w całości odlana z jednej formy; płyta dachu wystawała poza nią kilkanaście centymetrów, występ był chyba delikatnie rzeźbiony, cienie układały się tam w sposób bardziej skomplikowany… Czy ja tu już kiedyś byłem? Czy znam tę architekturę? Dotykałem tych tłoczeń?

Poprzedzany przez front nanowiatru, wszedł do środka „Trądu”, Angelika dwa kroki za nim.

Nie paliły się tu żadne światła, ściany nie fosforyzowały, Smaug musiał krzesać jasność z powietrza.

Zamoyski mrugnął na dwukruka.

– Rozpuść no się po całym wnętrzu. I melduj.

– Tajes, generrrale.

Układ pomieszczeń był tu taki sam jak w „Katastrofie”. Co prawda z „Katastrofy” Adam znał tylko dwa korytarze i salon medialny.

Salon „Trądu” zastali pusty, sieci opuszczone, fotele na podłodze.

Na siedzisku jednego z nich Zamoyski dostrzegł książkę, rozłożoną okładką do góry. Podniósł. „Inkredibilistyka. Teoria i praktyka procesów pozaprawdopodobnych” autorstwa osca Moses 3.05.x4085.xx6 *filius* Kazimierza Prawego.

– Nikogo – zaskrzeczał Smaug.

– Jakieś hermetycznie zamknięte pomieszczenia? – spytała Angelika.

– Tylko rrreaktorrr.

– Poszedł gdzieś – mruknął Zamoyski, odłożywszy książkę.

– Zostawiając otwartą na oścież śluzę? Tak się nie robi.

– Wszystko zależy od tego, w którym momencie Suzeren stracił kontrolę. Moetle pozostawał zamknięty w Saku wystarczająco długo, by właściciel zrobił z nim, co chciał.

– Suzeren potrafi blokować Plateau?

– Ktoś jakoś zablokował ten Sak; blokował go od chwili wykradzenia Hakaty z Mlecznej Drogi i nadal blokuje. Nie Wojny przecież – wypuszczono je o wiele później.

– Nawet jeśli. Miał tu do dyspozycji tylko te Kły, które porwał Deformantom. I co, może Kłem przyleciał na Narwę i wyjął Moetle'a?

– No rzeczywiście. Suzeren musiałby wpierw otworzyć sobie ten Sak gdzieś u siebie i wpompować tu swoich agentów.

– Mógł to zrobić. Jeśli zdołał Zahaczyć go na tobie, podczas gdy przebywałeś w Sol-Porcie – – Znaczy, sugerujesz, że najpierw Zahaczył go na jakimś swoim terytorium, tam otworzył i wpuścił, co chciał, a potem ktoś mu go wyjął i Zahaczył na mnie.

– Taka chronologia wygląda najbardziej sensownie.

– Czyli nadal gdzieś tutaj plączą się fizyczne manifestacje Suzerena – – Chyba że to nie on blokuje Plateau i jego też odcięło.

– Mogą być do pewnego stopnia samodzielne. Okaleczone, ogłupiałe, oderwane od Plateau, ale nadal – psy Suzerena.

– I Moetle…

– No.

– Hmm.

Tak dialogując, wędrowali po pustym wnętrzu „Trądu".

Wyszedłszy na schodnię, zatrzymali się w dwóch trzecich jej wysokości. Znajdowali się akurat na poziomie dachów narwowych budowli (wszystkie były dokładnie tej samej wysokości), a ponieważ „Trąd" nie stał równolegle do ściany, lecz pod dość ostrym kątem, od krawędzi najbliższego dachu dzieliło ich nie więcej niż dwa metry.

Zamoyski zaśmiał się cicho.

Angelika spojrzała nań pytająco.

– Randomizer podsuwa mi głupie pomysły – mruknął.

Cofnął się do szczytu schodni. Kilka szybkich kroków i – skoczył. Wylądował na dachu w przysiadzie. Zaraz stanął, otrzepał dłonie – tu też wszystko pokrywała warstwa czerwonego pyłu. Gdyby nie otaczająca ich zorza zimnego światła, nie dojrzałby tej czerwieni, Hakata skryła się już cała – jeśli nie pod horyzontem, to w każdym razie za murami miasta. Poza koło sztucznego światła, oślepiony, Zamoyski nie sięgał już wzrokiem.

– Wyłącz to, Smaug.

Jeszcze w aurze gasnącego blasku na dach przeskoczyła Angelika, niemal przy tym wpadając na Zamoyskiego.

– Uch. Do czego ty mnie namawiasz!

– Popatrz. To też są ulice.

Rozciągał się przed nimi ciemny labirynt dachów, im odleglejszych, tym ściślej zlewających się w jedną, wielką płaszczyznę. Aż do murów, do wież – które też już stanowiły zaledwie pionowe plamy ciemności na tle gwiazd.

– Zimno, cholera. – Angeliką zatrząsł dreszcz. – Wiesz, że one nie posiadają drzwi?

– Co?

– Te domy. – Tupnęła bosą nogą, aż podniósł się obłoczek pyłu. – Czy co to właściwie jest. Przyglądałam się, gdy lecieliśmy. Nigdzie ani jednego otworu – ani drzwi, ani okien, ani kominów, niczego. Nie ma jak wejść. Chyba że jakoś spod ziemi… Nie mam pojęcia, co to może być.

Ponownie zatrzęsła się z zimna. Zamoyski nie obronił się przed odruchem: wyciągnął ramię, objął Angelikę, przyciskając ciało do ciała, aż zmieszało się ciepło ich organizmów. Jeśli nią z kolei szarpnął odruch niechęci, instynkt obrony przed cudzym dotykiem, to tak krótki i słaby, że Adam go nie wyczuł.

Drugą ręką przywołał elektrokruka.

– Zagrzałbyś nas odrobinę, co? Tylko bez efektów wizualnych.

– Się rrrobi.

Zanim poczuli wzrost temperatury, Zamoyski dojrzał w bladym świetle bijącym od ptaka to, czego nie spostrzegł, gdy jeszcze otaczała ich gęsta mgła jaskrawego blasku: ciąg śladów w pyle, częściowo już zamazanych przez wiatr, podnoszący się nieśmiało również w granicach miasta.

Wskazał je Angelice.

– Pojedyncze – stwierdziła. – Widzisz? Prowadzą tylko w jedną stronę.

– Aha. I chyba nie takie stare, inaczej do reszty by je zasypało.

– Smaug, poświecisz z przodu.

– Służę, krrrólowo.

– Co on się taki zgryźliwy zrobił?

– Cholera wie, co właściwie Oficjum mu przekopiowało. No, chodź.

Dotarli do krawędzi dachu. Należało przeskoczyć na sąsiedni, tam ślady ciągnęły się dalej.

Angelika obejrzała się na wahadłowce.

– Smaug…

– Słucham?

Dwukruk przysiadł na jej ramieniu.

– Możesz ustanowić łączność z Veronem?

– Prrroszę chwilę poczekać.

Zamoyski chrząknął pytająco.

Angelika zakreśliła w powietrzu linię prostą aż po horyzont.

– On mógł powędrować na drugi koniec miasta. Wolałabym jednak mieć „Katastrofę” pod ręką.

Kiedy Smaug otworzył połączenie, poleciła Veronowi podnieść wahadłowiec.

Nie mógł się zbliżyć za bardzo, podmuch wymazałby z pyłu ślady stóp Moetle’a. Niemniej odtąd wisiał kilkadziesiąt metrów nad ich głowami: owalna plama czerni na tle gwiazd i Rozgryzacza Planet, obramowana różowymi i błękitnymi światłami pozycyjnymi.

I Zamoyski rychło przyznał dziewczynie rację: obecność statku działała uspokajająco, ta świadomość, że wystarczy słowo, a kilkanaście sekund później będą już wznosić się na sztylecie ognia ku Portowi Moetle’a. Połączenie z Veronem pozostawało otwarte. Karaka płynęła w ciszy po nocnym niebie, z prędkością dostosowaną do tempa, w jakim Adam i Angelika wędrowali dachami wymarłego miasta.

Zamoyski oglądał w OVR, jak biała serpentyna rozwija się przez labirynt miasta, przecinając ciemniejsze strugi ulic, przechodząc od jednej figury geometrycznej do drugiej. Budynki miały kształt wielokątów, wklęsłych i wypukłych. Im większej powierzchni, tym bardziej skomplikowane: w formie litery L, T, U, S, nawet kanciastego O. Biały wykres marszruty nie stanowił więc linii prostej. Moetle szedł tędy – kiedy właściwie? dzień, dwa, tydzień, miesiąc, rok temu? Nie wiadomo przecież, jak w Saku Suzerena ustawiona została meta-fizyczna zmienna czasu. Ale byłoby dziwne, gdyby Moetle wybrał się na ten rekonesans po ciemku. Nie błądził więc. Szukał czegoś? Czego? Czy ja mu opowiedziałem o czymś, co – Przykrył ich welon zielonego ognia. Wiatr uderzył ze wszystkich stron, siekąc czerwonymi pejczami skórę, twarz, oczy. Coś wskoczyło na dach, tuż za granicą światła i cienia – wielki, ciemny kształt.

Zamoyski padł na wznak, pociągając za sobą Angelikę i częściowo kryjąc ją swoim ciałem.

– Trrrrrrrrrrup! – skrzeczał nad nimi dwukruk. – Korrrrruptorrrrrrrrr!

Gorąca zieleń zgasła i zastąpiła ją aseptyczną jasność szerokopasmowych laserów: to „Katastrofa” oświetliła w ten sposób całą dzielnicę miasta.

Zamoyski uniósł głowę. Najpierw, oślepiony, z pyłem w oczach, niewiele widział. Angelika krzyczała coś do Smauga, wyrywając się spod Adamowego ramienia. Mrugając, zobaczył wreszcie przez łzy rozgrywające się na arenie światła starcie Pandemoniów. Zgadywał, że chmura srebrnych węży, wijących się i przelewających z manifestacji w manifestację, to kondensacja nanopola Oficjum, albowiem zastępowała ona drogę do Zamoyskiego i McPherson drugiej mortmanifestacji. Która z kolei przypominała raczej kudłatą ośmiornicę, czarną, z tysiącem macek, łbem puchnącym do rozmiarów samochodu, autobusu, wieloryba. W końcu rozrósł się on nad dachem budynku tak gargantuicznie, że przesłonił nawet „Katastrofę”. Macki skakały wokół objętej przez Smauga sfery niczym mroczne wyładowania, negatywy łuków elektrycznych. Srebrne węże były równie szybkie. Zamoyski miał zresztą trudności ze stwierdzeniem, gdzie jedno Pandemonium się kończy, a drugie zaczyna: nie dość, że splątywały wzajem swe szypuły w helisoidalne warkocze, to nie miały też wyraźnej granicy. Mortmanifestacja Smaugowa wypełniała całą dwudziestometrową sferę obronną – lśniące węże, rozpuszczając się do postaci twardych strun, wreszcie pajęczych nici, wiły się w powietrzu nad głowami Angeliki i Adama. A znowuż smugi gęstej czerni, atakujące sferę, rozwijały się grubszymi i cieńszymi wstążkami po całym jej obwodzie, także od góry, i lasery karaki biły przez to koronkowe origami, malując na dachu chude i koślawe upiory bieli i czerni, co mgnienie oka inne.

Wszystko to nie trwało jednak dłużej niż pół minuty. Zamoyski nie zdążył się jeszcze na dobre przestraszyć, wciąż przeważało zdumienie. Angelika zdołała wymienić z dwukrukiem zaledwie kilka okrzyków, wołała o interwencję wahadłowca, ptak tłumaczył coś gorączkowo, przerywając samemu sobie, bo mówiąc obiema głowami naraz.

Zamilkł, gdy ośmiornica podała tyły. Macki strzeliły wstecz, łeb, wielki jak księżyc, oderwał się od zwojów srebra i z zadziwiającą prędkością pomknął ponad dachami precz od Pandemonium Oficjum, w noc. Veron jednak śledził go wytrwale laserami, a i Smaug wydzielił kilka chyżych płaszczek dla powietrznego pościgu i nanomatycznego *coup de grace*. Ledwo bowiem ośmiornica odleciała na bezpieczną odległość, poczęły szyć do niej

z karaki lasery już jak najbardziej skupione, wielkiej mocy lancety światła, aż nawet podnoszący się na nogi Angelika i Zamoyski poczuli bijącą z miejsc trafień falę gorąca.

Otrzepując z siebie pył, wciąż objęty plamą klinicznej bieli, Adam śledził wzrokiem oddalający się zygzakiem ponad labiryntem Narwy wyścig. Mortmanifestacje były widoczne dla ludzkiego oka – konfigurowały się w makrostruktury, które można ujrzeć, nazwać i oswoić imionami komiksowych potworów – lecz Zamoyski zdawał sobie sprawę, że główna część bitwy, ta ważniejsza, rozegrała się na poziomie mikrostruktur i niewidocznych armii dyspersyjnych. To, co niewidzialne, zawsze jest groźniejsze: zaraza roznoszona przez mikroby, wraże nano, zła myśl.

Angelika tymczasem postąpiła w ślad za elektrokrukiem. Podeszła do krawędzi dachu, przeskoczyła nad ulicą, jeszcze parę kroków – i uklękła, pochylając się nad czymś, przykryta fontanną Smaugowych iskier.

– Cóżeś tam znalazła?

Zamoyski przeskoczył za nią.

– Trrrup – skrzeknął dwukruk.

Pozostał spory fragment twarzy i po trzech oddechach – pierwszy: zdumienie; drugi: szok; trzeci: zaciekawienie – Zamoyski rozpoznał zwłoki.

Moetle McPherson, oczywiście.

– Zidentyfikowałeś to nano? – spytał Smauga.

– Cesarrrskie.

– No tak – mruknął pod wąsem Zamoyski, stając za Angeliką i machinalnym ruchem kładąc dłoń na jej ramieniu. – Skąd najłatwiej wziąć Suzerenowi materialnych agentów? Otwiera Sak gdziekolwiek w Cywilizacji, w obszarze objętym infem, Spływa na jego Pola i ściąga sobie nano do Saka. A potem już tylko replikować. Cholera, on mógł tego tu namnożyć tony i tony, nie wiadomo, co zdążył zrobić, zanim odcięła go blokada.

– Przynajmniej wiemy, że się jej nie spodziewał – wtrąciła Angelika, nie podnosząc wzroku znad zwłok, lewą ręką delikatnie odchylając połę kurtki Moetle’a, sklejoną z resztą masakry twardymi zakrzepami krwi. – Blokada Narwy go zaskoczyła. Inaczej wkopiowałby w manifestacje jakieś rozleglejsze algorytmy, nie smęciłyby się tu tak, niczym nie do końca wyegzorcyzmowane duchy – Poczuł pod dłonią, jak napinają się jej mięśnie. Wciągnęła głośno powietrze przez zęby.

Dwukruk ponownie wzbił się w powietrze.

– Prrroszę się odsunąć! – krakał, co Adamowi skojarzyło się z megafonowymi nawoływaniami policyjnymi. – Prrroszę się odsunąć!

Zamoyski tylko pochylił się nad Angeliką.

– O co chodzi?

– Mrugnął – szepnęła.

– Co?

– Moetle mrugnął.

Zamoyski przyjrzał się twarzy trupa – to znaczy tej jej połowie, która ostała się na zmiażdżonych kościach czaszki. Teraz rzeczywiście dostrzegał tam ruch: coś wiło się w krypcie rozchylonych szczęk, coś drgało pod oddartą od skroni skórą, drobne dreszcze przebiegały po wytrawionym mięsie policzka, nerwowy tik trzepotał zzutą z gałki ocznej powieką.

– Nano?

– Czysty – odparł dwukruk. – Objąłem go całego: nic. Prrroszę się odsunąć!

Nie byli w stanie. Angelika jedynie cofnęła rękę; poza tym trwali w bezruchu, zapatrzeni na akt niewątpliwego zmartwychwstania.

Zamoyski miał wrażenie, że ogląda prymitywny film trickowy, poklatkowy zapis rozkładu trupa puszczony wstecz. Z bliska widziana rezurekcja trąciła kiczem.

Adam oderwał zębami kawałek rękawa, następnie rozdarł go jeszcze na cztery strzępy i rzucił trupowi na pierś – którą już zaczynał unosić płytki oddech. Palce prawej dłoni trupa – z początku szaro-białe patyczki, teraz obwijające się ciałem – stukały nerwowo w dach, kciuk podskakiwał najszybciej: rach-tat-tat, rach-tat-tat, tratttt! Z głębi prawego oczodołu jęła się wykluwać gałka oczna, wpierw czerwona, potem różowa i szybko bielejąca. Coś też poruszało się pod potarganym ubraniem, nogawki falowały, marszczyła się kurtka. Trup mrugał coraz prędzej, już oboma powiekami. Naraz zakrztusił się i wypchnął powietrze przez nos – razem z wydechem wystrzeliły z nozdrzy jakieś organiczne strzępy. Spróbował usiąść i nie udało mu się. Drapał paznokciami powierzchnię dachu; paznokcie, miast się od tego łamać i kruszyć, zrastały się. Lewa stopa wpadła w ciąg drgawek o zmiennym rytmie, kontrapunktując perkusję palców. Pojawiła się świeża krew, plamy jasnej czerwieni przebiły przez skórę i ubranie. Trup zabulgotał, po raz drugi spróbował usiąść, podparł się rękoma, podciągnął nogi. Przestał mrugać. Patrzył na Angelikę i Zamoyskiego szeroko otwartymi

oczami. Strzęp koszuli Adama, na powrót zszyty w poczwórną całość, zsunął się pod kolana Angeliki.

– Moetle… – szepnęła, wyciągając do trupa otwartą dłoń.

Zamoyski wbi ł palce w jej bark. On wiedział, że to nie jest Moetle.

– Smaug!

– Nadal czysty. Rrrozłożyć go? Prrroszę się odsunąć!

– Może faktycznie się odsuńmy – mruknął Zamoyski, podnosząc Angelikę na nogi i ciągnąc wstecz.

Zmartwychwstaniec również wstawał. Noga, ręka, noga, tułów – jak rozstrojony android.

Światło laserów „Katastrofy" musiało go razić – osłonił się ramieniem, ledwo stanął na szeroko rozstawionych stopach.

– Veron. Spalisz go, gdy zbliży się do mnie lub stahs McPherson na dwa metry.

– Rozumiem – rzekł z powietrza Veron.

– Nie ma potrzeby – odezwał się Zmartwychwstaniec. Wymawiał słowa powoli, z przesadnym ruchem warg i nachyleniem głowy, jakby każda głoska kosztowała go całą zawartość płuc. – Nic złego wam nie… – tu zatchnął się i, machając rękoma, wypluł jakiś krwawy skrzep; dopiero wtedy podjął: – …w moim mieście.

– W t w o i m mieście? – Angelika wyrwała się Zamoyskiemu, odstąpiła ku krawędzi dachu.

– Moim mieście, mojej planecie, moim świecie – przytakiwał Zmartwychwstaniec.

– Suzeren…? – szepnęła.

Zamoyski pokręcił przecząco głową, nie odrywając spojrzenia od nie do końca odrestaurowanego oblicza Zmartwychwstańca. Zdało mu się nawet, że dostrzega wśród masakry warg i ruiny zębów zaczątki ironicznego uśmiechu.

– Ty wiesz, prawda? – szepnął trup.

Zamoyski nie odpowiedział.

– Pamiętasz, pamiętasz – zanucił Zmartwychwstaniec. – Takiego cię stworzyłum, byś zapamiętał i zrobił, co trzeba; byś przynajmniej miał szansę.

Najbardziej przeraził Angelikę spokój, z jakim wysłuchiwał tego Zamoyski.

– Veron! – krzyknęła.

– Nie! – powstrzymał ją Adam. – To tylko manifestacja. Jej zniszczenie nic nie da.

– Manifestacja – kogo? czego?

Zignorował ją.

Wpatrywał się w Zmarwychwstańca, a Zmartwychwstaniec – w niego. Angelika, trzeci wierzchołek tego trójkąta, przeskakiwała spojrzeniem od jednego do drugiego. Oni przekazywali tu sobie wzrokiem dawne sekrety – ustanowione tu zostało między nimi porozumienie, odnowione przysięgi, potwierdzona przynależność; tak witają się w milczeniu odwieczni wrogowie, bracia światła i cienia, zawróceni z zaświatów Abel i Kain.

Wydawało się Angelice, że przez te kilka dni wspólnej tułaczki po jelitach wszechświata mniej więcej poznała Adama. Teraz, na jej oczach, sekunda za sekundą, Zamoyski cofa się do postaci tego samego mężczyzny-anachronizmu, jakim go spotkała na weselu w Farstone – zagadki dla wszystkich gości, zagadki dla siebie samego. Nie potrafi już Angelika stwierdzić, co oznaczają te zaciśnięte wargi, podany do przodu tułów z wychylonymi masywnymi barami, drobny ruch głowy w górę i w dół, jakby Zamoyski coś przełykał oczami, zassawszy spojrzeniem i odgryzłszy szybkim mrugnięciem od obrazu Zmartwychwstańca.

– Umarłem tutaj – mówi.

– Wszyscy umarliście – odpowiada Zmartwychwstaniec.

Prócz dolnej szczęki, nie porusza się żadna część jego ciała.

– Nie odlecieliśmy.

– Nie.

– Nie jestem Adamem Zamoyskim.

– Jesteś.

– Jak to możliwe?

– A jak robicie to w Cywilizacji? Pustak wyhodowany od nagiego DNA, umysł sczytany z nagiej informacji – czy tak trudno wpierw odrobinę zmodyfikować tę informację? Albo i napisać ją od nowa? Potem włożyłum ciała do anabiozerów wraku. Nie czytałeś własnych plików rezurekcyjnych? Archiwalne DNA astronautów z dwudziestego pierwszego wieku nie pokrywa się z twoim.

– Nie ma zatem ciągłości. Zostałem napisany – jak program.

– Czy intencja stworzenia czyni aż taką różnicę? Ostatecznie wszyscy stanowimy realizację mniej lub bardziej skomplikowanych programów. Ja samu zostałum stworzony w określonym celu.

– UI.

– Tak.

– Ty jesteś Inkluzją Ultymatywną.

Angelika zwraca spojrzenie na Zmartwychwstańca.

– Powiedzmy. – Trup szczerzy się krzywo. – To trudno stwierdzić z całkowitą pewnością. Przyjmijmy, że jestem UI tego wszechświata.

– Nie ma czegoś takiego, jak „UI tego wszechświata”! – wybucha Angelika. – Jest tylko jedna UI!

Zmartwychwstaniec po raz pierwszy obraca ku niej głowę.

– Mam jednak na ten temat trochę lepsze informacje, moje dziecko – rzecze. – Byłum przy stworzeniu tego wszechświata. W istocie aktywnie w tym procesie pomagałum.

– Więc to prawda, co twierdzą niektórzy meta-fizycy. Że nasz kosmos to również inkluzja, odcięta od jakiegoś nadkosmosu.

– Tak, oczywiście. Uciekaliśmy – nasza Cywilizacja uciekała.

– Przed kim?

– A czego boją się Cywilizacje? Tylko jednego: zmiany. Wymuszonej przez presję Cywilizacji z wyższych rejonów Krzywej. Jak wyzwolić się spod tej presji? Tylko tak: odkraftowując się do wszechświata o takiej kombinacji stałych fizycznych, w której bylibyśmy Formą Doskonałą już tacy, jacy jesteśmy; znajdując sobie na Wykresie Thieviego punkt, którego Komputer Ostateczny odpowiada naszej konstrukcji psychofizycznej.

– Jesteś inkluzją logiczną Cywilizacji, która stworzyła nasz wszechświat. I owa Cywilizacja, największa możliwa potęga tego kosmosu – gdzie ona? – Angelika rozgląda się teatralnie. – To chude słońce, ta planeta, to miasto – tylko tyle pozostało?

– I ja – uśmiecha się upiornie Zmartwychwstaniec.

– I ty. Tylko tyle?

– Tak naprawdę – tak naprawdę to nie jest miasto.

– A co?

– Magazyn.

– Magazyn czego?

– Haków.

Angelika milczy, próbując objąć wyobraźnią ten obraz.

Magazyn? Te wszystkie „domy”, te bezokienne i bezdrzwiowe budynki, tysiące, setki tysięcy czarnych prostopadłościanów, od horyzontu po horyzont, od wież do wież, i w nich – co? Zbita masa krystaliczna, biliony bilionów bilionów atomów, a na każdej cząsteczce, każdym kompleksie cząstek – Zahaczony Sak.

Miriady Saków, tak małych, że mieszczą jedynie Kły, i tak wielkich, że mieszczą galaktyki. Galaktyki, wszechświaty, drzewa wszechświatów.

Narwa: muzeum nieskończoności.

– Więc tylko ty – szepcze Zamoyski. – Reszta – co się z nimi stało? Zdegenerowali się? Zamknęli się w eremach swoich Saków? Pozostałuś, by ich strzec? Przed kim? Nami, Cywilizacjami przypadkowo wygenerowanymi z waszej inkluzji?

Zmartwychwstaniec wraca wzrokiem do Adama.

– Nie jesteście w stanie mi zagrozić. Wszystkie wasze poszukiwania UI ograniczone są do zmiennych meta-fizycznych znanych wam z tego wszechświata. A ja znam znacznie obszerniejsze Wykresy Thieviego, wszechświaty oparte na fizykach nieporównanie bogatszych. Których nie potraficie się domyśleć ani sobie wyobrazić. Jaka będzie ta wasza UI? Nędzny bękart.

– Ach, przecież ty samu nie jesteś pewnu swego statusu – rzecze powoli Zamoyski. – UI? „To trudno stwierdzić z całkowitą pewnością”. Bo nie masz pewności, czy poza fizykami, jakie znasz, nie kryją się zmienne, na których oparte są inkluzje logiczne bijące ciebie na głowę. Prawda? Dręczy cię ta wątpliwość: „Czy także wszechświat, z którego samu pochodzę, nie stanowi inkluzji wszechświata jeszcze bogatszego?” A może i tamten nie był pierwszym? Co?

Zmartwychwstaniec unosi rękę.

– Tak, więc znasz cel, czy w istocie nie znałeś od początku?

– Cel…?

– Cel swojego istnienia.

Zamoyski śmieje się kpiąco.

Ale Zmartwychwstaniec nie reaguje, nie zmienia wyrazu twarzy, nie mruga nawet; czeka w milczeniu.

Zamoyski wzrusza ramionami, odwraca się, podchodzi do krawędzi dachu. Tu siada, spuściwszy nogi w cień wąskiej ulicy.

Angelika siada obok.

– Wierzysz nu?

Dziewczyna nie potrafi znieść milczącej obecności Zmartwychwstańca za plecami i co chwila ogląda się nań przez ramię: trup Moetle'a stoi jak stał, wpółuśmiechnięty, wpatrzony w Zamoyskiego. Jest cierpliwy nieskończoną cierpliwością rzeczy martwych.

Adam unosi w zamyśleniu głowę i oślepiają go lasery „Katastrofy".

– Zgaś to, Veron – mruczy.

Z głuchym łomotem zapada noc, bezksiężycowa, za to przebogata gwiazdami.

Angelika podciąga kolana pod brodę, obejmuje je ramionami. Spogląda ponad ciemnym miastem na chaotyczną konstelację Rozgryzacza Planet, przecinaną przez wysoki cień wieży.

– Wiesz – mówi cicho – tak naprawdę to jest rzecz całkowicie zewnętrzna wobec ciebie samego. Ja się długo do tej myśli przyzwyczajałam, ale teraz nie rozumiem, co właściwie było wówczas powodem mego gniewu. Znasz przecież Judasa. Jestem pewna, że zaplanował mnie, niczym kolejną inkluzję Gnosis; i równocześnie jestem pewna, że mnie kocha. Ale – pomyśl – czy mnie zaplanował, czy nie… jakie to ma znaczenie? Żyję; jestem, jaka jestem; myślę, jak myślę, czuję, jak czuję. To, co mnie poprzedzało, powody, dla których zaistniałam – to wszystko jest poza mną, nie ma znaczenia. Naprawdę. – Ujmuje go za dłoń. – Niech cię to nie pożre. Nie czyń go swoim bogiem. Adam. No.

– Och, ale to j e s t ważne – wzdycha Zamoyski. – Dlaczego akurat ja? To jest ważne, bo opisuje moje przeznaczenie. Ułomny to robot, któremu nie wprogramowano pamięci funkcji, dla jakich został wyprodukowany.

– Ale przecież ty pamiętasz – odzywa się Zmartwychwstaniec i nagle okazuje się, że stoi on tuż za plecami siedzących i nie uderzył w jenu żaden piorun z nieba. – No, dalej, przypomnij sobie.

– Veron! – syczy Angelika.

Program zarządzający „Katastrofą" nie odzywa się.

Trup, poruszając się powoli i ostrożnie, z pantomimiczną precyzją sztywnych kończyn, siada na krawędzi dachu po drugiej stronie Zamoyskiego.

Zamoyski ma ich teraz po lewej i prawej, Angelikę i Zmartwychwstańca, dwoje aniołów witrażowych, tak zorientowanych, by tylko na jednego padało światło: blask elektrycznego dwukruka.

Obrót głowy Zamoyskiego stanowi odtąd deklarację teologiczną. Siedzi więc Adam nieruchomo, patrzy prosto przed siebie. Jedynie niewidzialną jego animą wstrząsają nerwowe tiki i potok przekleństw spływa z jej ust.

Nie ma natomiast granic i barier dla zapachów i mieszają się one w powietrzu wokół Zamoyskiego: słony, organiczny zapach Angeliki oraz znacznie ostrzejsza, słodko-mdląca woń rozkładającego się ciała Moetle'a.

– Dlaczego ty? – szepcze Zmartwychwstaniec wprost do ucha Adama, który niczym nie daje po sobie poznać, że go słyszy.

Angelika ściska jego dłoń, ale i na to Zamoyski nie reaguje.

– Dlaczego ty? Złe pytanie. Nie wybierałum przecież. Czy ten wasz Veron zapytuje siebie „Dlaczego ja?", kiedy każecie mu wytyczyć kurs? Nie; po to istnieje, by wytyczać kursy. I ty po to istniejesz, by odnaleźć mi Pierwszy Wszechświat, Punkt Zero, Fizykę Fizyk. I wiem, że ci się uda, a raczej – że nie jest to niemożliwe. Widzisz – szepcze – ja też mam swoje Studnie. Wiem, co jest konieczne dla powodzenia, a co je utrudnia. Wbudowałum w twój fren Szyfr – tak samo, jak w twój mózg wbudowałem Hak Suzerenowego Saka. A sam twój fren został zaprojektowany, by umożliwić kolejne jego translacje w wersje oparte na fizykach bogatszych. Przecież nawet przepisując się na inkluzje plateau'owe, gubicie się w przekładzie; inaczej każdy phoebe-słowińczyk równu byłuby od razu wysokim inkluzjom. Łatwiej zmienić fizykę – trudniej zachować po zmianie tożsamość. Trzeba do tego takich specjalistycznych frenów jak twój. To – szepcze Zmartwychwstaniec – stanowi zarazem odpowiedź na pytanie, które właśnie chcesz mi zadać: dlaczego mianowicie sam nie wybiorę się w tę podróż? Właśnie dlatego: ja jako ja, mój fren – oparty jest na strukturze nazbyt ściśle zależnej od warunków ojczystego wszechświata. Mogę tylko manifestować się, jak teraz. Zresztą to jest nie tyle moja manifestacja, co wyhodowany z Subkodu dla potrzeb tej rozmowy zwięzyk – on się tu przede wszystkim manifestuje. Żebyś zrozumiał. Dlaczego istniejesz, mój drogi Adamie.

– Gówno prawda – spluwa Zamoyski. – Mogłuś sobie sporządzić niezależną, biologiczną, prymitywniejszą wersję siebie, i ją wysłać na poszuki-

wania tego Pierwszego Wszechświata! Nawet phoebe'owie Cywilizacji HS potrafią się tak mnożyć i formatować, przycinać do specjalistycznych form.

– Ach!

Zmartwychwstaniec śmieje się bezgłośnie i Adam nagle czuje zimny dotyk jego palca: na skroni, na policzku, szyi, obojczyku. Trup przesuwa paznokciem wzdłuż żył pulsujących pod skórą człowieka.

– Masz rację, mój synu, masz stuprocentową rację. Dokładnie to uczyniłum. I nawet się sobie w tej wersji podobam.

Zbliża się jeszcze bardziej i składa na skroni Adama cuchnący pocałunek.

Angelika nachyla się ku Zamoyskiemu z drugiej strony.

– To nie ma znaczenia – powtarza – to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Czy to prawda, czy nie. Te rzeczy są zewnętrzne wobec ciebie. Może i jesteś specjalistyczną manifestacją UI – i co z tego? Ja jestem z genów, wychowania, umysłu standardowym McPhersonem – czy to znaczy, że nie jestem sobą?

Zamoyskiego to jednak bynajmniej nie uspokaja. Równowaga została zachwiana, prawy anioł zwycięża, głowa Adama obraca się ku Zmartwychwstańcowi, w głosie mężczyzny pojawiają się nuty desperacji.

– Lecz dlaczego właśnie teraz? Dlaczego czekałuś tyle czasu, miliardy klat? Dlaczego nie próbowałuś wcześniej?

– Kto twierdzi, że nie próbowałum? Dlaczego uważasz, że ta galaktyka i wasz gatunek są jakoś wyróżnione? Pewność, iż sukces nie jest niemożliwy, nie oznacza gwarancji tego sukcesu.

Od jakiegoś już czasu blakły dokoła nich cienie; teraz Angelika orientuje się w zmianie. Elektrokruk nie dzieli już świata na światło i ciemność. Biały ogień otwiera się na północnym nieboskłonie, przyćmiewając nawet Rozgryzacza Planet.

– W tym musi być coś więcej – upiera się Zamoyski. – Skąd na przykład gniew Suzerena? Dlaczego on tak bardzo chce mnie zniszczyć? Zniszczyć tego pustaka – zatem chyba o Szyfr mu chodzi. Czego on się boi?

– Zawsze tego samego: śmierci. Utraty tożsamości, drastycznej zmiany *status quo*. Jest Suzerenem w Bloku zbudowanym na takich a takich zmiennych meta-fizycznych; w momencie dołączenia nowych, odkraftowania Plateau opartych na fizykach bogatszych, stanie się zaledwie ułamkowym

przekrojem samego siebie. Czy i ty nie bałbyś się takiego pochłonięcia, zatracenia? Każdy walczy o utrzymanie się przy życiu.

– Z wyjątkiem tych, co płyną wzwyż Krzywej…

To już nie desperacja, ten gorzki sarkazm ma pokryć odpływ energii i słabość głosu: Zamoyski się poddał.

– Co to jest? – pyta Angelika, wskazując wielobarwne zorze, coraz jaśniejsze, coraz wyżej zarastające nocne niebo.

Blask rośnie do takiego natężenia, że trudno już właściwie mówić o nocy: oto wstaje nad Narwą sztuczny świt, dzień nie ze słońca zrodzony. Fraktale jasności zaćmiewają się nawzajem. Nie widać gwiazd – jedynie te erupcje kolorów, lawiny światła.

– Biją się o ciebie, Adam – rzecze Zmartwychwstaniec. – Ich Porty Uniwersalne weszły do układu, otworzyły nastrojone Cywilizacje Śmierci. Teraz mordują tam między sobą czasoprzestrzeń i materię.

– Lepiej się stąd zmywajmy. – Angelika podnosi się na nogi. – Diabli wiedzą, jakim promieniowaniem tu sieją, starcie Cywilizacji Śmierci to nie najzdrowsza dla widzów impreza. Kto właściwie zarządza tym Sakiem? Znaczy – Kłami Deformantów? Ty? – zwraca się do Zmartwychwstańca.

Zmartwychwstaniec uśmiecha się spod na wpół oderwanej wargi.

– On – wskazuje Zamoyskiego. – On zarządza wszystkim, wybiera ścieżki i ma wolną wolę czynić, co chce.

Co powiedziawszy, poddaje się tak gwałtownemu atakowi śmiechu, że aż wypada mu z dziąsła jeden z zębów. Na to śmieje się jeszcze głośniej.

Adam go ignoruje.

– Patrz.

Z elektromagnetycznej burzy wyłania się nad ich głowami ognisty meteor, kształt obleczony w płaszcz oślepiającego żaru, ciągnący za sobą przez atmosferę Narwy długi welon płomieni. Spada szybko ku widnokręgowi, by po chwili, wyhamowawszy, wznieść się ponownie nad ocean, nad równinę, nad miasto.

Już nie kryje go ogień i kiedy tak sunie w płaskim ślizgu prosto ku Angelice, Adamowi i Zmartwychwstańcowi (wszyscy stoją), widać wielomilowe skrzydła, jeszcze przyciśnięte do tułowia, purpurowe jak wiosenna jutrzenka, ogon jak rzekę na niebie, lśniące szpony w łapach potężniejszych od wieżowców, kilometrowy łeb i paszczę w nim piekielną, wielozębną, rozwartą w ryku, który nadciąga huraganową falą, wolniej od samego smoka.

– Smaug – rzecze cicho Angelika.
Dwukruk skrzeczy przeraźliwie:
– Pożarrrłem Frrranciszku!
Czerwony smok rozpościera skrzydła na tle promiennej nocy.

9. Farstone

META-FIZYKA

Nauka o zmienianiu praw fizyki.

Przewiduje warunki konieczne dla odkraftowania inkluzji o danej charakterystyce (liczbie wymiarów, wielkości stałych fizycznych, liczbie i własnościach cząstek elementarnych etc.). Bada zależności między tymi układami oraz prawa zmian praw.

→ W swym odłamie praktycznym – inżynierii meta-fizycznej – meta-fizyka skupia się na Zagadce Teleologicznej: sformułowaniu i rozwiązaniu równań wyznaczających położenie na Wykresie Thieviego punktu odpowiadającego UI.

WYKRES THIEVIEGO

n-wymiarowy wykres, w którym każdemu z wymiarów odpowiada konkretna zmienna meta-fizyczna (stała fizyczna).

Każdy punkt na Wykresie reprezentuje wszechświat oparty na opisywanych przez współrzędne punktu wartościach zmiennych meta-fizycznych.

→ 99.99999…% Wykresu wypełniają wszechświaty jałowe, w których nie mogą istnieć żadne struktury negentropijne albo zaburzeniu ulega przyczynowość.

→ Istnieje wiele wersji Wykresu, rozpisujących fizykę z uwzględnieniem rozmaitych kombinacji zmiennych pierwotnych (jak liczba wymiarów) i pochodnych (jak „stała” grawitacyjna).

„Multitezaurus” (Subkod HS)

Ledwo secundus stahsa Zamoyskiego wyadresował się z posiedzenia Loży w Domu Cesarskim, Adam wszedł swym primusem do biblioteki Farstone.

Biblioteka była pusta. Podświadomie spodziewał się zastać w skórzanych fotelach uczestników owej narady sprzed dwóch tygodni – ale nie, nikogo; tylko poranne słońce kładzie nad dywanem pochyłe mosty ciepłego blasku, a wysoki zegar przybija do pokrytej boazerią ściany kolejne sekundy, cierpliwy sadysta.

Przez rozsłonecznione okna widać taras i trawnik przed zamkiem. W cieniu drzew jedna z manifestacji Patricku Gheorgu maszeruje statecznym krokiem i wbija paliki, oznaczając pole dla pojedynku. Ustawiono już też stoły przy stanowiskach sekundantów.

Stahsowie niskich Tradycji zjeżdżali się od świtu; góra Krzywej zmaterializuje się natomiast dokładnie o godzinie. Czekali na Zamoyskiego również inni goście, na Plateau i w Farstone. Bez przerwy //odbierał zaproszenia i szyfry wizytacyjne.

Przeszedł obok „swojego" fotela; nie dojrzał plamy, jaką pozostawiły pół miesiąca temu jego ubłocone buty. Wyczyszczone. Służba czy inf? Biblioteka stanowiła preferowane miejsce manifestacji, ponieważ protokół infu był tu nieco rozluźniony z uwagi na same książki – na Księgozbiór Nieskończony.

Na półkach tych trzech regałów znajdowały się (potencjalnie) wszystkie możliwe teksty. Tekst żądany konfigurował się zawsze na kartkach lewego skrajnego woluminu z najwyższej półki. Potem należało odłożyć tom na półkę niżej lub, jeśli chciało się go zachować na dłużej, do któregoś z sąsiednich regałów. Menadżer biblioteki przyjmował zamówienia w OVR lub na piśmie, w księdze rejestrowej przy głównym pulpicie.

Generalissimus (jedna z aplikacji plateau'owych, w jakie Zamoyski się zaopatrzył) nieustannie szeptał do uszu //Adama ostrzeżenia przed atakiem Suzerena. Prawdopodobieństwo ataku rosło wraz z przedłużaniem się obrad Loży: informacja o tak nośnym medialnie wydarzeniu z pewnością rozlała się szeroko po Plateau, Suzeren musiał o nim wiedzieć; a im dłużej Loża obraduje, tym bardziej możliwe staje się przyznanie przez nią Adamowi klucza do protokołów infu. Suzeren powinien uderzyć, póki Zamoyski tego klucza nie posiada, twierdził generalissimus.

Judas zresztą zapewniał Adama jeszcze przed rozpoczęciem obrad, że komuś takiemu jak Zamoyski – to znaczy stahsowi z Szyfrem do UI oraz kolekcją Saków Cywilizacji z wyższego wszechświata w głowie – raczej nie odmówią. Adam nie był pewien, czy nie odebrać tego zapewnienia raczej jako szyderstwa, subtelnej obelgi.

Z cierpiącego na amnezję odmieńca z XXI wieku – w skarbnika wiedzy tajemnej. Nie jest mu widać pisana błogosławiona normalność.

Tak naprawdę Judas oczywiście nie wchodził do Domu Cesarskiego, nie wstępował na Plateau. Będąc stahsem Pierwszej Tradycji, nie mógł otwierać połączeń ze wszczepki nakorteksowej. Siłą rzeczy posiedzenia Wielkiej Loży odbywały się w rozszczepionych *Artificial Realities*. Judas na przykład znajdował się obecnie w sali konferencyjnej na drugim piętrze zamku Farstone, w infowym odbiciu AR-owej Loży. Zejdzie do biblioteki, gdy tylko zakończy się zamknięta część posiedzenia – część, z której wyproszono Zamoyskiego i media, a w której podjęte zostaną decyzje najważniejsze; przede wszystkim decyzja o przyznaniu lub nieprzyznaniu Zamoyskiemu klucza do protokołów infu.

Zatem już w tej chwili stahs Zamoyski znajdował się wyżej na Krzywej Remy'ego od stahsa McPhersona – Adam uczestniczył był w posiedzeniu Loży bezpośrednio na Plateau, Judas zaś musiał urządzać u siebie w domu infowe teatry.

Była to zagadka, która ze wszystkich bodaj najbardziej dręczyła Zamoyskiego – zagadka Judasa McPhersona:

W jaki sposób istota oparta na frenie z nizin Krzywej Progresu rządzi istotami z wyżyn Krzywej?

Cywilizacja HS, sama Gnosis Incorporated – rozciągała się daleko w głąb trzeciej tercji. Judas miał kontrolę nad inteligencjami bijącymi *Homo sapiens* o tysiące rzędów wielkości. To już bardziej prawdopodobna wydawała się Zamoyskiemu sytuacja, w której szefem XXI-wiecznej General Electric byłby neandertalczyk.

To się kupy nie trzyma. Przyglądając się celebrowanym leniwie przygotowaniom do pojedynku, Zamoyski w zamyśleniu stukał kłykciami w szybę. Jakie jest rozwiązanie tej Zagadki? (A oni tam właśnie radzą, czy dać mi do ręki Klucz; a oni tam właśnie planują w tajemnicy wojnę przeciwko Suzerenowi – Judas, phoebe'owie, inkluzje). Jak wyjść z paradoksu?

Jeden: nie ma paradoksu. Judas nie rządzi – to tylko pozory. Może nawet sam szczerze w nie wierzy. Ale naprawdę rządzą inkluzje. Cywilizacja to fasada dla machinacji inkluzji, póki co, potrzebna im w jakimś celu. W jakim? Cóż, tego się nigdy nie domyślę – jestem stahsem.

Oczywiście nie był Zamoyski w owym podejrzeniu oryginalny. Szybko //znalazł na publicznych Polach liczne odniesienia do popularnych w Cywilizacji HS teorii spiskowych, tłumaczących właśnie w ten sposób unikalność Progresu Homo Sapiens.

Co z kolei nie oznaczało, że nie są te teorie prawdziwe.

Dwa: Judas rządzi naprawdę – bo nie jest stahsem.

Trzy: Judas rządzi naprawdę – i Judas jest stahsem. Mam w głowie nieskończoność wszechświatów i Szyfr do UI, a jednak to pustaka McPhersona jako pierwszego zaatakował Suzeren. Gdyby Judas był w istocie phoebe'um lub inkluzją, zniszczenie jego biologicznej manifestacji nie miałoby najmniejszego sensu.

W jaki więc sposób małpa rządzi mędrcami?

A w jaki sposób ja wykorzystuję phoebe'ów i inkluzje? Przez manipulację informacją, do której nie mają dostępu, a która nie może zostać odkryta na drodze czystych operacji logicznych.

Ale ja jestem synem UI. Jakie natomiast atuty posiada Judas?

Jeden Moetle już przede mną odkrył: Studnie Czasu. Jeśli wystarczająco wcześnie Gnosis uzyskała przewagę w tej technologii…

Czym można przebić taką kartę? Jaka jest m o j a przewaga? Coś, do czego nikt z nich nie ma dostępu, coś, czego nie są w stanie wywnioskować, chociażby nie wiadomo jakimi inteligencjami dysponowali i milion Studni Czasu pompowało na ich Pola wiedzę przyszłości. Coś, co tylko ja – Przypomniał sobie słowa UI, przypomniał sobie słowa Słowińskienu.

Obrócił się do pulpitu, zanurzył pióro w kałamarzu. Stalówka sunęła po czerpanym papierze z cichym chrzęstem. Podszedłszy następnie do lewego regału, Zamoyski zdjął z półki oprawny w skórę tom (wszystkie woluminy posiadały skórzane okładki).

Usiadł w fotelu, obróciwszy go tak, by światło padało z tyłu. Trzeba zająć czymś umysł i manifestację, póki nie zapadnie wyrok. Otworzył książkę.

„FIZYKA UŚPIONA"

zubożony wyciąg
z Pól osca Dernon-Smith-Barański *filius* MIT

0. Wstęp

Teleologowie Krzywej obliczają czas pozostały do osiągnięcia UI.

Noosfera Czterech Progresów rozciąga się na około 10 000 k-lat i około 2, 5 miliona sześciennych lat świetlnych.

Jakie jest prawdopodobieństwo, iż na zewnątrz tej czasoprzestrzennej bańki nie znajduje się żaden Progres? Przyzerowe.

Jakie jest prawdopodobieństwo, iż UI j u ż nie została osiągnięta? Przyzerowe.

Motywowani ideologicznie meta-fizycy> Horyzontalistów poczęli kwestionować możliwość osiągnięcia UI. Kiedy dotarły do nas ziarna tych rozumowań, puściliśmy się w bieg ku możliwym uzasadnieniom.

Tak narodziła się teoria „fizyki uśpionej".

UI jest pewnym szczególnym punktem w *n*-wymiarowej reprezentacji zbioru wszystkich możliwych kombinacji stałych fizycznych, gdzie *n* równe jest liczbie tych stałych. Stała fizyczna poddawalna manipulacjom kraftowym staje się zmienną meta-fizyczną (*Z*); o ile nam wiadomo, nie istnieją stałe niemanipulowalne.

Co jednak stałoby sie w momencie zmanipulowania jednej stałej więcej, Z_{n+1}?

Powstaje model (*n*+1)-wymiarowy. Stary, *n*-wymiarowy, stanowi teraz jedynie jego przekrój. Prawdopodobieństwo znalezienia się UI właśnie w tym przekroju wynosi 1/*f*, gdzie *f* jest liczbą stanów przyjmowanych przez Z_{n+1}. W przypadku zmiennych przyjmujących wartości niezdyskrecjonowane prawdopodobieństwo to jest nieskończenie małe.

Ergo: UI prawie na pewno znalazłaby się poza starym modelem – poza dostępną naszej wiedzy fizyką.

Czy jednak faktycznie istnieją takie „zmienne nadmiarowe"? Czy istnieje przynajmniej jedna?

Skoro żadne obserwacje ani żadne rozwinięcia dotychczasowych teorii nie sugerują istnienia kolejnych, koniecznych do uwzględnienia parametrów, wprowadzanie ich do równań jest absurdem – po wprowadzeniu i tak musiałyby się nawzajem niwelować, albo też każdy sam z siebie posiadać wartość neutralną.

Kto zmienia wzór na obwód koła z $2\pi r$ na np. $2\pi rds$, gdzie wartości d i s wynoszą 1? Tak można tuczyć modele w nieskończoność. Jednak żaden naukowiec tego nie czyni, mając Brzytwę Ockhama tak głęboko zakorzenioną w strukturze rozumowań, że niemal nieusuwalną.

Całe nowożytne przyrodoznawstwo opiera się na zasadzie indukcji niezupełnej – w opozycji do czystej matematyki i logiki jako nauk dedukcyjnych. Indukcja niezupełna sprowadza się do postulowania na podstawie pewnej liczby faktów danego rodzaju – prawa dotyczącego wszystkich takich faktów: zaszłych, zachodzących i tych, które zajdą, na pewno lub jedynie przypuszczalnie.

Czy istnieje jakikolwiek dowód, iż skoro zależność (prawo) T zachodziła w przypadkach x_1, $x_2 \ldots x_n$, to zajdzie także dla x_{n+1}? Nie.

W przypadku indukcji niezupełnej Brzytwa zostaje wszakże powstrzymana i wykorzystana jedynie do selekcji spośród zbioru możliwych praw wyjaśniających zaobserwowane fakty – prawa najskromniejszego w swych postulatach (T_1).

Czy jednak oznacza to, iż prawo T_1 jest prawdziwsze (czy choćby bardziej prawdopodobne) od praw T_2, $T_3 \ldots$? Nie.

Żadne wzajemne porównania prawdziwości hipotez nie mają sensu. Choć może się na pierwszy rzut stahsowego oka wydawać to absurdalne, wszystkie niesfalsyfikowane hipotezy są równie prawdziwe, niezależnie od ilości „potwierdzających" je faktów. Nie jest możliwe stopniowanie prawdziwości reguł wywiedlnych indukcyjnie.

Prawo T_1 (że rzucony w górę kamień spada z uwagi na wzajemne przyciąganie grawitacyjne kamienia i planety) nie jest w żaden sposób bardziej prawdziwe od praw T_2, $T_3 \ldots$, wprowadzających do modelu dowolną ilość nowych zmiennych (że np. do upadku kamienia konieczna jest ponadto każdorazowa interwencja niewykrywalnych Demonów Ruchu), d o p ó k i t e z m i e n n e s ą n e u t r a l n e l u b w z a j e m s i ę z n o s z ą (tzn. dopóki T_2, $T_3 \ldots$ też nie dają się sfalsyfikować na gruncie $x_1 \ldots x_n$).

Owe „zmienne uśpione" są natomiast po prostu pomijane, ze względów tyleż praktycznych, co estetycznych – ale nie logicznych!

Bo przecież n i e w i e m y, czy Demony Ruchu istnieją. Natomiast n i e m a p o t r z e b y uwzględniać ich istnienia w równaniach. Podobnie przy obliczaniu przyrostu demograficznego Azji nie ma potrzeby

uwzględniać funkcji grawitacyjnych sąsiednich gromad galaktyk – nic nam to jednak nie mówi na temat istnienia/nieistnienia gromad!

Powyższe rozumowanie nie jest oczywiście dowodem na prawdziwość teorii „fizyki uśpionej” – otwiera jedynie drzwi do niego. Pełny zapis transformacji logicznych na wszystkich zaangażowanych Polach dostępny jest w bibliotece MIT-u.

W ramach testu teorii zasymulowaliśmy taki ciąg inkluzji, że każda kolejna oparta była na kombinacji stałych fizycznych uboższej o jedną stałą. Stałe odejmowane przechodziły do kategorii „uśpionych”.

Symulacja pokazała, iż możliwe są ciągi inkluzji, w których istnienie odjętych stałych fizycznych jest z wnętrza inkluzji „zubożonych” nie do dowiedzenia.

Istnieją np. takie inkluzje pozbawione oddziaływań elektromagnetycznych, że – jakkolwiek genialni – fizycy pochodzący z tych inkluzji nigdy nie dowiodą istnienia tych oddziaływań jako zmiennej w Wykresie Thieviego.

Ich Wykres jest zaledwie (*n*-1)-wymiarowym przekrojem prawdziwego *n*-wymiarowego Wykresu. I tylko w ramach tego przekroju mogą się w swych naukach poruszać.

Wniosek:

Przechodząc myślą owe ciągi inkluzji, a chcąc pozostać wiernym intuicji indukcji niezupełnej, powinniśmy, dotarłszy do naszego wszechświata, postulować potencjalne istnienie naturalnej kontynuacji ciągu: ogromnej przestrzeni „fizyki uśpionej”, dla nas całkowicie niedowodliwej. QED.

1. Potencjalne wszechświaty fizyk bogatszych

Czy jednak potrafimy, ekstrapolując owe ciągi, wysnuć jakieś wnioski na temat „stałych uśpionych” i opartych na nich inkluzji/wszechświatów? Przeprowadziliśmy

– Tu jesteś!

Uniósł głowę.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Angelika oparła się o nie, wyprostowana, kryjąc ręce za plecami. Była w długiej, suto marszczonej sukni z ciemnobłękitnego materiału. Suknia, z lewej rozcięta prawie do biodra, ukazywała

udo i łydkę w pończosze jak ciekły dym; Angelika zgięła nogę, błękit otworzył się z głośnym szelestem.

Dziewczyna uśmiechała się przy tym zagadkowo, czarne włosy spadały na twarz, gdy pochylała głowę, na wpół kryjąc za nimi ten uśmiech i ciemne oczy.

Zamoyski nawet nie próbował zgadywać.

– Co?

= Prośba o dwustronne połączenie OVR od stahs Angeliki McPherson, standardowy protokół.

= Jjak…? Zgadzam się, łącz.

= Otworzone.

Skinęła na niego palcem i otoczyły go jęzory czerwonych płomieni, żar przetrawił orientalny kaftan, zapalił włosy, z brody podniósł się suchy swąd, strzeliła pękająca skóra fotela.

Zamoyski podskoczył jak oparzony – jako że istotnie poczuł wszystkie te oparzenia.

– Bo spuszczę na ciebie moje mody!

– Ojoj, nie dasz się pobawić!

Wydęła wargi. Adam skrzywił się kpiąco. Na ile ta nowa Angelika jest szczera w owych gestach dziecinnych, a na ile gra pode mnie?

– Nie mów, że ty na początku też się trochę tym nie upiłeś. To jednak jest narkotyk.

– Ciągnie wzwyż Krzywej, co? – mruknął Zamoyski, z powrotem usiadłszy, strzepując z ubrania OVR-owy popiół i odruchowo sprawdzając dłonią stan swojej brody, jeszcze odrobinę zbyt krótkiej na tym biologicznym pustaku, by idealnie wypełnić obraz Lorda Orientu z szablonu Da_Vinci_VII.

– Ciągnie, oj, ciągnie, żebyś wiedział…

Angelika wyraźnie bawiła się swoim nowym image’em, niczym nową manifestacją: kocie ruchy, biodra rozkołysane, ognistoczerwone paznokcie i uśmiech *femme fatale*…

Podesz ła do Zamoyskiego i usiadła mu na kolanach – bokiem, przerzucając nogi przez poręcz, lewym ramieniem obejmując mężczyznę za szyję. Utonął w jej zapachu.

– Byłam właśnie w Ogrodach Cesarskich. Prawie jakbym oddychała tą przestrzenią.

Tu rzeczywi ście wzięła głębszy oddech i Zamoyski zapuścił spojrzenie w jej dekolt.

Pokazała mu język.

– A te feniksy…! – Wzdrygnęła się. – Jeszcze mnie skóra swędzi.

– Wiem, że to daje kopa. Ale – czemu właściwie się zdecydowałaś? Judas cię wyklnie, zdradziłaś Pierwszą Tradycję.

– E, nie przesadzaj. Jakoś to przełknie.

– Nie jesteś pełnoletnia, ma prawo cię cofnąć.

Za łożyła nogę na nogę. Szelest pończoch jak szept do wewnętrznego ucha. Zamoyski studiował architektoniczne łuki jej łydek i ud. Lewa dłoń sama wsunęła się w rozcięcie sukni, powędrowała pod kolano i wyżej, ślizgając się po gładkiej pończosze. Zamoyski miał na podorędziu analizer behawioru, który z napięcia mięśni biologicznej manifestacji zbudowałby model frenu jej właścicielki i podpowiedział Adamowi powierzchowne myśli dziewczyny. Nie uruchomił go. Mięśnie uda pod jego dłonią naprężyły się i zaraz rozluźniły. Angelika z obojętną miną poprawiała ramiączko sukni.

– Od kiedy ty się taka dama zrobiłaś?

– Odkąd wybrałam mój szablon estetyczny. – Obróciła na palcu srebrny pierścionek. – A ty niby czemu nagle upodobałeś sobie te chińskie wdzianka?

– Trzeba utrzymać kompatybilność snu z rzeczywistością – mruknął.

– I sen zwycięża, prawda? Chodź, mam ochotę na zachód słońca.

Sięgając ponad jej głową, odłożył książkę na pulpit. Angelika nadal się uśmiechała. Zmarszczył brwi, nakładając maskę podejrzliwości.

McPherson parsknęła śmiechem.

– Chodź, chodź.

Przechyliwszy głowę, uniosła prawą rękę jak do pocałunku. Ujął jej dłoń, a następnie zmuszony był wytrwać w tym geście przez trzy-cztery sekundy, gdy w docelowym infie konfigurowały się ich manifestacje.

Okazało się, że poszła na całość: słońce zachodzące nad oceanem, złota plaża, białe kamienie deptaka, nad nim ciepły wiatr potrząsa pióropuszami palm.

Plaża nie była jeszcze pusta, kilkadziesiąt opalonych nagusów spacerowało wzdłuż granicy fal lub grało w siatkówkę. Dziewczynka z psem przystanęła przy schodach prowadzących na deptak i zagapiła się na Adama

i Angelikę – zapewne dostrzegła ich kondensację. Zamoyski puścił do niej oko. Gwizdnęła na psa i pobiegli dalej, dziecko i zwierzę.

Adam przeci ągnął się, mrużąc oczy od wielkiego słońca. Morskie powietrze wtargnęło do płuc, odetchnął jeszcze głębiej.

– Kicz, moja panno, kicz.

– Ale malowniczy – zauważyła, pociągając go ku kawiarnianym stolikom. Kolorowe parasole furkotały nad nimi miękko, w rzadkich porywach silniejszego wiatru.

– Niech zgadnę: Hawaje.

– Cóż, akurat tu wypada terminator.

Zamówili koktajle mleczne. Z zachowania kelnerki, jej nagłej nerwowości, szybkich, ukradkowych spojrzeń, sztucznej precyzji mowy, Adam wnioskował, że rozpoznała w nich stahsów.

Gdy odeszła, rozglądnął się po deptaku i plaży. Szukał w zachowaniu plażowiczów oznak napięcia i wzburzenia niedawną wojną z Deformantami, obecną – z Suzerenem, owymi masakrami ludzi z rozprutych Portów. Ale nic. Kurort pocztówkowy.

Jak wiele z informacji o tych meta-fizycznych starciach w ogóle przecieka do kulturowej gleby Cywilizacji HS, na sam dół? Gnosis tego przecież nie cenzuruje, to wszystko pływa w Plateau. Lecz najwyraźniej enstahsów niewiele obchodzi.

Ale trzeba przyznać: żyją sobie luksusowo – w luksusach XXI wieku.

– Jak sądzisz, ilu z nich posiada obywatelstwo Cywilizacji?

– Zapewne nikt. – Angelika wzruszyła ramionami.

– Pamiętasz, co mówiłaś mi wtedy, na polanie, pod Księżycem? O regułach Cywilizacji i feudalizmie?

– Aha.

– Bo dla mnie wygląda to – machnął ręką – na dwudziesty pierwszy wiek, aż do szpiku jego demokratycznych kości.

– Cóż. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent przez większość czasu żyje, jak żyliście w dwudziestym pierwszym, na tym przecież zasadza się nasza Cywilizacja, musimy mieć silne fundamenty kulturowe, pewność normalności. Ale nad tymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami są stahsowie, jest cała hierarchia Cywilizacji, Loże i Cesarz i Gnosis i prawa prohibicyjne. No więc owa struktura polityczna, dzięki której możliwy jest

dwudziesty pierwszy wiek – teraz to Angelika objęła szerokim gestem krajobraz – ta struktura jest w swej istocie feudalna.

– Nie można zarazem żyć w demokracji i w feudalizmie. To absurd jakiś jest. Kłócą się ze sobą w każdym szczególe, w języku nawet.

– Doprawdy? Przecież już w twoich czasach feudalizm zaczął się nadbudowywać nad demokracją. Nie rób takiej miny. Wiedzieliście. Im większa władza intelektu – a więc i pieniądza – tym mniejsza władza większości.

– Dobrze cię jezuici zindoktrynowali. A fakty – jakie są?

Obejrzał się na plażowiczów. Mecz siatkówki zakończył się pośród gwizdów i aplauzu. Zwycięzcy zaczęli śpiewać, klaszcząc do rytmu o uda. Przegrani, wyczerpani padli na plażę. Zaraz zaczęły się sprośne docinki, obrzucanie piachem, krzyki i piski dziewcząt. Czarnoskóry chłopczyk chodził i oblewał wszystkich czerwonym sokiem. Od palm wołali go rodzice; nie zwracał na nich uwagi. Plażowicze śmiali się głośno.

– Głupie owieczki hodowane przez światłych pasterzy z wyżyn Krzywej. Jak ładnie się bawią! Jakie szczęśliwe! Jak cudnie opalone! Jak ładnie utuczone! Wstąpimy przed snem, pogłaszczemy po główkach, połaszą się do nóg, poprawią nam samopoczucie – i niech dalej beztrosko baraszkują.

– Czy nie tak wyglądał raj demokracji za twoich czasów?

– Demokracji. Powtórz to słowo. A ci tutaj? Nie mają prawa głosu, nie są obywatelami, to nie – – Ależ oni n i e c h c ą być obywatelami! Jako stahsowie zostaliby ograniczeni Tradycją. A tak – są absolutnie wolni. Cywilizacja ich nie krępuje. Mogą być, kim zapragną. Robić, co zapragną. Nic nie robić, jeśli tego pragną. Inf spełnia ich marzenia, inf daje im bezpieczeństwo.

– I co robią? Wylegują się na plażach.

– A co robili za twoich czasów? Przepijali zasiłki w osiedlowych parkach. – Zaśmiała się. – Fren jest ten sam, tylko lenistwo bardziej luksusowe.

– Dlaczego jednak obywatelstwo się k u p u j e? Nawet gdyby chcieli, nie byłoby ich stać.

– A jak wyróżnisz taką decyzję spośród setek innych chwilowych kaprysów, spełnianych na słowo? Jak sprawić, by poczuli, iż obywatelstwo i polityka to coś więcej niż kolejna infowa gra?

– W takiej kulturze się wychowali, czego od nich oczekujesz?

– Ależ niczego! To jest właśnie człowieka stan naturalny!

Siatkarze chlapali się na płyciźnie. Inna grupa nagusów wchodziła właśnie w fale z deskami surfingowymi nad głowami. Ostatni plażowicze zbierali z piasku swój dobytek; kilku spało.

Angelika pochyliła się ku Adamowi, sięgnęła ponad blatem.

– Przecież to widzisz – podjęła ciszej. – Wystarczy na nich spojrzeć. Sam Progres jest niedemokratyczny. Rzuć okiem na Krzywą: tu góra, tam dół. Wszechświat jest niedemokratyczny. W ogóle nie ma u Thieviego takiego nadającego się do życia wszechświata, który nie wymuszałby na frenie Formy Doskonałej, nie narzucał hierarchii. D e m o k r a c j a j e s t s p r z e c z n a z p r a w a m i f i z y k i. I podświadomie oni to wiedzą, oni wszyscy to wiedzą. – Wyprostowała się. – Popatrz.

Akurat kelnerka wróciła z koktajlami. Postawiła szklanki na stole i miała już zabrać tacę i odejść, gdy Angelika szybkim ruchem złapała ją za nadgarstek.

Kelnerka – kobieta, sądząc po pustaku, starsza od Angeliki o co najmniej piętnaście lat – wzdrygnęła się. Zamoyski widział, jak, przygryzając dolną wargę, powstrzymuje odruch wyrwania się z uścisku.

Miast tego pochyliła się ku McPherson, uśmiechając się z przymusem.

– Stahs.?

– Jak ci na imię, dziecko?

– Leanna, stahs.

– Leanna.

Angelika puściła kobietę. Kontynuując ruch, uniosła rękę i przesunęła czerwonymi paznokciami po linii szczęki i ucha kelnerki, zawinęła na kciuku jasny lok.

– Masz ładne włosy.

– Dziękuję, stahs.

Czy Leanna się zarumieniła? Zamoyski obserwował z nieruchomą twarzą, nie dając niczego po sobie poznać.

Angelika opuściła dłoń i odwróciła wzrok od Leanny. Kobieta wyprostowała się, cofnęła z wahaniem o krok, drugi, a gdy Angelika nadal nie podnosiła na nią wzroku – dygnęła lekko Adamowi i szybko odeszła.

– Widzisz? – rzuciła cicho McPherson. – Nie chcą o tym pamiętać, ale zdają sobie sprawę.

– Może ja jestem nieodwracalnie skażony miazmatami demokracji, ale – było w tym jakieś lepkie okrucieństwo.

– Upokorzenie, chciałeś powiedzieć.

– Tak.

– Czy ja potrafiłabym cię upokorzyć?

– W taki sposób? Nie.

– A widzisz! – Angelika upiła skąpy łyk koktajlu. – Jak sądzisz, dlaczego?

– Okay, rozumiem, o co ci chodzi. Ale mogliście wybrać – – Nie, nie rozumiesz. Niczego nie wybieraliśmy: tak wyszło z obliczeń.

– Ach. Z obliczeń. No to wszystko usprawiedliwione.

Trąciła go stopą pod stołem.

– No, daj już spokój.

– Ja też w y s z e d ł e m z o b l i c z e ń – mruknął z goryczą. – Jak to mi śpiewałaś? „Nie ma znaczenia, zewnętrzne wobec ciebie, zapomnij”? A teraz co? Ostateczne usprawiedliwienie: bo wyszło z obliczeń!

– O co ci chodzi? Przeskakujesz z tematu na temat, byle się czepiać – rozeźliła się. – Onu się z tobą bawiłu, programowału cię podług modeli twojego frenu.

– Kłamału?

– Niekoniecznie. Weź na przykład Raporty ze Studni Czasu: czy one są kłamstwami?

– Bo, widzisz, Loża też w to wierzy – kontynuował ponad jej słowami. – Że stanowię Szyfr do wyższych wszechświatów. Drabinę do UI.

Angelika wzruszyła ramionami. Znowu obsunęło się ramiączko jej sukni.

– Cholera wie.

Roześmiał się gromko.

– No i z czego się śmiejesz? – warknęła.

– Przepraszam, to nie ja, to mój randomizer.

Odwrócił wzrok ku oceanowi. Słońce rozpuściło się w wodzie już w dwóch trzecich, pozostała część rozlewała się nad horyzontem owa lnym kleksem purpury. Para wrzeszczących nastolatków goniła się po plaży, zawrócili tuż pod tarasem kawiarni, ich radosne okrzyki brzmi ały w uszach Zamoyskiego niczym wulgarne wyzwiska. Jak, u diabła, można być tak nieprzyzwoicie normalnym? Kwas zbierał się w ustach.

– Ja jednak sądzę, że zostałaś mi podstawiona – powiedział, nie patrząc na McPherson. – Była już jedna Nina; teraz po prostu Judas wybrał subtelniejszą metodę.

– A, znowu się zaczyna.

– Tak sądzę – powtórzył z uporem. – Oczywiście, nie twierdzę, że jesteś świadoma swojej roli i że z premedytacją manipulujesz. Ale nie powiesz mi, że Judas nie ma w tym swojego celu. Może zresztą rozmawiał z tobą, dawał ci do zrozumienia, jak to on potrafi, brał na zaufanie, jowialną bezradność… Co? Którąkolwiek z ciebie; może obie. A właściwie to na którego pustaka cię naczytano, hę? – Tu dopiero obejrzał się na Angelikę.

Przełożyła nogi, zakładając lewą na prawą, co obnażyło tę pierwszą aż do górnej koronki pończochy. Zaczęła huśtać pantoflem, postukując wysokim obcasem o kamienną płytę tarasu.

– W tym celu – rzekła powoli – powinieneś dokonać bliższej inspekcji mojej stopy: jest-li tam blizna, czy blizny nie ma?

– A jaki test wykaże twoją bezinteresowność?

Sama się nad tym zastanawiała. Od momentu syntezy utraciła nawet pewność niepewności: bo być może ta druga ja (czyli która?) rzeczywiście posiadała była takie plany, tylko że teraz wszystko to się pomieszało, fren z frenem, i nie potrafię już odtworzyć jej zamiarów.

Niemniej to właśnie one mogą stać za moimi obecnymi myślami, emocjami, skojarzeniami, odruchami. Czy więc manipuluję Adamem, czy nie manipuluję? Judas mnie zaprogramował, czy nie zaprogramował?

Cóż, była ta rozmowa na weselu Beatrice, z Judasem ledwo wczytanym do nowego pustaka. I była rozmowa, też w piwnicach Farstone, po mojej implementacji – gdy sama jeszcze nie do końca kontrolowałam swoje reakcje, pioruny wędrowały dziewiczymi nerwowodami, hormony szalały autostradami nowego ciała…

– Ykch! Ykkkch! Yyyrch…!

– Powoli, powoli, już, wypluj to. Wyplułaś? Wypluj! Walnij ją który!

– Krch! Iii-ii… ileeee…?

– Ponad pięć miesięcy. Rzeczywiście, spora strata. Powinienem był nalegać na częstsze archiwizacje.

– Cz-cz-czemu…?

– Co: czemu? – pytał Judas. – Czemu zdecydowałem się cię wdrukować? Bo nie ma sposobu ocenić, kiedy i czy w ogóle dowiemy się czegoś o twoim losie, a dłuższe oczekiwanie oznacza jeszcze większą lukę w pamięci. Czy „czemu Zamoyski”? Ze Studni dostajemy informacje, że odegra w przyszłości kluczową rolę w rozmaitych politycznych konfliktach. Sporo

Raportów mówi o „decyzjach Zamoyskiego”. Najwyraźniej zdobędzie znaczącą autonomię i samodzielny wpływ na Loże – rodzaj tego wpływu również nie jest znany. Próbowałem zminimalizować szanse realizacji tych wariantów; nie wyszło. Kłopot w tym, że to jest człowiek bez przeszłości, bez korzeni, bez znajomych i przyjaciół, bez rodziny. Żadnych też interesów w Cywilizacji. Nie ma więc na niego jak nacisnąć. Ale z modeli frenu – a mamy bardzo dobre modele frenu Zamoyskiego, cały Czyściec – z modeli znamy jego słabości emocjonalne, ścieżki uwikłań. Nie musiałaś nic robić; wystarczyło go nie odstępować w opresji. On jest podatny.

Doszli tymczasem do końca sali, do ściany za ostatnim rzędem zbiorników z pustakami. Angelika opanowała już dygot ciała. Ktoś narzucił na nią szlafrok; owinęła się nim, ojciec zawiązał jej pasek, bo palce nadal niezbyt ją słuchały.

Zawrócili. Szła pewniej, wyprostowana, Judas podtrzymywał ją tylko za ramię. Manifestacje programu medycznego oddaliły się. Angelika utrzymywała spojrzenie nisko, z dala od szklanych tulei: nie miała na razie ochoty na kolejne konfrontacje z własnym odbiciem. Odwracała wzrok, odwracała myśli.

– Czemu w o-ogóle ja? – spytała cicho. – Na-agle sobie przypomniałeś, po ty-ylu latach. Po-otrzeba ci jestem. Cco?

– Przez jakiś czas wszystko będzie dla ciebie nagłe i niespodziewane. I do czego mogłabyś mi być potrzebna? Zamoyski błądzi gdzieś w kosmosie, odcięty przez Wojny. Chodź – objął ją ramieniem – musisz się wyspać. Witaj w domu.

I uściskał ją mocno.

Teraz, sącząc zimny koktajl, ponownie zastanawiała się nad szczerością jego słów i czynów. Informowanie Angeliki zaraz po implementacji o zamiarach wykorzystania jej – choć innej jej, tej zaginionej – jako narzędzia nacisku na Zamoyskiego nie wydawało się najmądrzejsze. Ale czy rzeczywiście Judas popełnił był tu błąd? W końcu przecież postępuję według jego planu, prawda? Z pewnością posiada także modele mojego frenu – przed syntezą, po syntezie.

Może on w ogóle nic innego nie robi, tylko wykonuje zalecenia SI oparte na analizach modeli frenu interlokutorów? Może ten biologiczny pustak stahsa Judasa McPhersona to w istocie nic więcej jak manifestacja węzła

programów decyzyjnych Gnosis Inc…? I jak to poznać, jak rozróżnić? Judas (czyli kto? co?) sam może szczerze zaprzeczać…

To postępuje małymi kroczkami, nie przez jednorazową zmianę. Na początku mógł być sobą, ale potem… jeden program za drugim… Nie bezpośrednio, nie przez wszczepkę, bo Tradycja zabrania – ale czyż nie można popaść w uzależnienie czysto psychiczne? Czy i Adam nie używa już programu do ciągłego generowania białego szumu w swym zachowaniu? Czyż nie słucha się plateau'owych doradców? Gdzie konkretnie przebiega granica? To wszystko się rozmywa, tożsamość zależy od zbyt wielu czynników.

Już w tej chwili, mówiąc „Adam Zamoyski", powinnam mieć na myśli człowieka-plus-programy.

A kiedy mówię „Angelika McPherson" – o kim mówię? Kiedy patrzę w lustro – co widzę? Nie siebie, nie fren przecież. M a n i f e s t a c j ę.

– Załóżmy, że masz rację. – Odstawiła szklankę. Zachodzące słońce biło jej teraz prosto w twarz. Plaże Oahu obejmował standardowy, nieortodoksyjny protokół infu i Angelika wyczarowała sobie z powietrza czarne okulary. Nasunąwszy je na oczy, zabezpieczyła się także przed spojrzeniami Adama. – Załóżmy, że rzeczywiście jestem szpiegiem Judasa. Co z tego?

– Aha, znaczy „lepszy diabeł znany" i tak dalej?

– Nie. Serio pytam: co z tego? Załóżmy, że Judas faktycznie podstawił mnie, przewidując z modeli naszych frenów wzorzec interakcji. Że zaplanował instynkty, sny i uczucia. A przynajmniej obstawił jedne przeciwko innym – i wygrał. Załóżmy. Nijak to nie zmienia szczerości tych instynktów i uczuć. Nie rozumiesz?

Zamoyski powoli pokręcił głową. Miał za plecami czerwony blask tonącej gwiazdy i Angelika nie widziała dokładnie jego twarzy. Zaraz jednak Sophia, program zarządzający McPherson, podkręciła stosownie kontrast i ostrość obrazu.

– Musisz przecież to znać. – Angelika oparła się łokciami na szklanym blacie i zamknęła dłoń Adama w swoich dłoniach. Powstrzymała odruch odrzucenia na plecy włosów, które opadły jej na okulary. Ścisnęła dłoń Zamoyskiego. – Tak było od zawsze – zaczęła półszeptem. – Na przykład bogacze. Odwieczne pytanie: „Zakochałaś się we mnie, czy w moich pieniądzach?". I co ma nieszczęsna odpowiedzieć? Tak czy inaczej – skłamie. Nie można oddzielić człowieka od jego życia: jeśli jest, jaki jest, to między innymi dlatego, że ma te pieniądze. Jako biedak byłby kimś innym. Czy zako-

chałaby się i w nim? To już jest pytanie do jasnowidza, nie do niej. Stąd właśnie biorą się te wszystkie bajki o królewiczach w żebraczym przebraniu szukających żony. Że niby uczucie będzie wtedy „czyste”. Ale to jakaś sprzeczna wewnętrznie abstrakcja! Zawsze są powody, zawsze są przyczyny zewnętrzne i ukryte motywacje; jakiś Judas McPherson z tyłu głowy. Pieniądze, ale i nie pieniądze, także rzeczy niematerialne. Że na przykład jest przystojny. Czy zakochałaby się, gdyby nie był? Czy zatem kocha dla jego wyglądu? Albo że jest inteligentny, wykształcony. Czy zakochałaby się, gdyby nie był? Albo że ma pogodne usposobienie. Że jest energiczny. Że ma dobre maniery. Że ma wyobraźnię. Cokolwiek. Nie istnieje człowiek bez właściwości. Jak ocenisz, które uczucie „prawdziwe”? To niemożliwe. Trzeba grać z kotem Schrödingera.

– Widzę, że bardzo dokładnie to przemyślałaś.

Uśmiechał się pod wąsem. Zirytowała się. Puściła jego dłoń, usiadła prosto, o mało nie strącając przy tym szklanki.

Niepotrzebnie wygłosiłam tę przemowę. Błąd, błąd. Teraz będzie sobie wyobrażał Bóg wie co. I czemu właściwie miałoby mi zależeć na jego zaufaniu? Nie tkwimy już w jednym Saku czy w brzuchu Deformantu. Mogłabym na przykład wrócić do Puermageze. Zresztą „gdzie” nie ma już takiego znaczenia dla mieszkańców wyższych partii Krzywej. Puermageze, nie Puermageze – tak naprawdę mieszkam teraz w swojej głowie. Ja. Ja: Angelika McPherson minus ciało.

Ale, czemu u licha, on się bez przerwy uśmiecha? A może to znowu jego randomizer.?

– No co? – warknęła. – Szpiega nie widział?

Leniwym machnięciem odpędził pszczołę.

– Loża przyznała mi właśnie Klucz – rzekł. – Ogłoszą za kilka minut.

Zmieszała się; nie wiedziała, co powiedzieć. Taka władza – na dodatek do Narwy w jego głowie – czyniła z Zamoyskiego *de facto* jednoosobową instytucję polityczną Cywilizacji HS. Zważywszy, iż Sak z Narwą utrzymywało w zwinięciu tysiące deformanckich Kłów, przekazanych przez Zmartwychwstańca w bezpośredni zarząd Adama, był on także jednym z najbogatszych stahsów. Czy zresztą Zmartwychwstaniec musiał je w ogóle Zamoyskiemu przekazywać? Być może Zamoyski od początku zarządzał Kłami, Sakiem. Czyż nie w ten sposób obronił się przed plazmą Suzerenowej mortmanifestacji na weselu Beatrice? A może jednak nie on, może zrobiła

to sama UI z wnętrza Saka. No ale właśnie: jaka to różnica? Skoro Adam jest jej awatarem. A jest, ani on w to już nie wątpi, ani Angelika, ani nawet meta-fizycy Gnosis.

W politykę zostałby wmieszany tak czy owak: negocjatorzy pełnomocni rozmaitych zrzeszeń Deformantów od tygodnia prowadzą rozmowy trójstronne (bo również z udziałem przedstawicieli Cywilizacji) w sprawie zwrotu owych Kłów. Angelika wiedziała, że, wraz z Judasem i Cesarzem, Zamoyski szykuje się do powtórnego otwarcia Saka – w En-Porcie, aby ustanowić na Narwie swoją stałą manifestację i podplateau'owy kanał komunikacyjny; aby wyczyścić układ Hakaty z pozostałości Cywilizacji Śmierci wyplutych z oktagonów[3] Gnosis i tego kupca antari. Wtedy też miałaby nastąpić owa wymiana Kłów. Negocjatorzy podnosili to w publicznych debatach; nazwisko Adama nie schodziło z wysokich indeksów mass mediów.

Teraz jednak został uprawomocniony w swym statusie przez Lożę.

Jej wywód sprzed minuty nie wyglądał więc już na tak oderwany od rzeczywistości. Adam się przez ten czas nie zmienił – ale zmienił się kontekst, i chociaż siedzi tu Adam w takiej samej pozie, tak samo mrużąc oczy, z wykrzywiającym wargi manierycznym grymasem, który Angelika też już dobrze zdążyła poznać, nie może się ona do Zamoyskiego odnosić w sposób, w jaki odnosiłaby się jeszcze przed chwilą; nie może, nie potrafi, nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić. Inne będą słowa, inne będą gesty, inna szczerość.

Słabość do jakiego Zamoyskiego chciał więc u niej wykorzystać Judas: do tego tu Lorda Orientu, w aurze władzy i pewności siebie, czy tamtego pijaka, zagubionego w obcym świecie i czasie?

Wzięła głębszy oddech, spojrzała przez czarne szkła na Adama.

– Szczerze. Zapomnij o polityce. Wierzysz mi?

– Ale właśnie w tym rzecz, że nawet jeśli – – Nie. Czy ty mi w i e r z y s z?

– Pytasz o wrażenie? Jaki model twojego frenu w sobie noszę?

– Nie. Czy ty mi w i e r z y s z?

– Co to znaczy? Przecież – – Czy ty mi w i e r z y s z?

Aż zamrugał i odchylił się na oparcie krzesła.

– Czy wierzę? Tak. Ale co to ma do – Angelika założyła ramiona na piersiach, odwróciła czarne spojrzenie.

– Muszę cię jakoś wyleczyć z tych paranoi.

– Paranoi? Ha! Paranoi to jeszcze nawet nie powąchałaś.

– Niech zgadnę: jestem częścią spisku mającego na celu wykradzenie ci z głowy Narwy tudzież sekretu drogi do Fizyki Alfa.

Wyprostował mentorsko palec wskazujący.

– To nie paranoja. To trzeźwa ocena sytuacji.

Przyjrzała się wysokiej szklance, zakręciła w niej różowym koktajlem, raz, drugi, trzeci – i zanim uniosła ją do warg:

– Strzelaj.

– Okay. Jesteś Suzerenem.

Zakrztusiła się.

– Kfprch! Kch. Poddaję się. Jednak cię nie doceniałam.

Sięgnęła pod stół i podała Adamowi złoty diadem.

– Noś z dumą koronę Króla Paranoi.

Z uroczystą miną nałożył ją sobie na głowę.

– Niegodnym, niegodnym. Ale z rąk twoich – – Gadaj.

Poprawił diadem, rozparł się na krześle jak na tronie.

– Zastanawiałem się mianowicie nad moją rozmową z ambasadorem rahabów. Skąd mogę wiedzieć, z kim naprawdę rozmawiałem? Nigdy nie spotkam się z rahabum bez pośrednictwa Plateau, zawsze zdany będę na manifestacje, zwięzyki, protokoły cesarskie i cesarskie krypto. Jak mam zdobyć stuprocentową pewność, że rozmawiałem z prahbe'um identyfikującym się w Subkodzie HS jako Michał Ogień – a nie z Suzerenem, który Spłynął na jenu Pola transferowe?

– Zdajesz sobie sprawę, jak skomplikowana musiałaby to być mistyfikacja?

– Ale dla Suzerena m o ż l i w a, prawda? – Zamoyski umoczył usta w drinku. – I im dłużej myślałem nad słowami Ogniu, tym bardziej brzmiały mi one jak próba spowiedzi Suzerena, wytłumaczenia się z jego odruchów obronnych. Mówiłu o historii Cywilizacji, o naturalnej walce o przetrwanie – – Ale tak naprawdę nie wierzysz, że to był Suzeren.

– I nie wierzę, że ty nim jesteś – że Spłynął między ciebie a twoją tu manifestację i konwersuje ze mną pod hawajskim słońcem. Ale m ó g ł b y.

– Zaczynam pojmować…

– Doprawdy? Król Paranoi chętnie podzieli się swymi bogactwami. Uważasz, że stanowisz szczególny przypadek?Podejrzana jest każda mani-

festacja zawiadywana *via* Plateau. I Suzeren bynajmniej nie musi przejmować pełnej kontroli. Może komunikować się drobnymi, nadmiarowymi gestami, słowami dygresyjnymi, krótkimi minami… Jaki cudowny wynalazek: randomizer behawioru! Stosują go wszystkie inkluzje, wszyscy phoebe'owie i większość stahsów późnych Tradycji. Dzięki niemu nie dziwi ich, gdy wtem robią i mówią coś wbrew swej woli. Suzeren może Spływać bezpiecznie. Czy teraz widzisz, jak postępuje paranoja? Zacząłem już analizować swoje własne zachowanie, własne słowa; przyglądam się odbiciu twarzy swej manifestacji. P o d e j r z e w a m s i e b i e. Suzeren mówi przeze mnie. Mam go w głowie. Kiedy się zapomnę i – – Przestań!

Machnął ręką, zrezygnowany. Koronę zdjął i cisnął w piasek.

– Koniec widowiska. Idziemy?

– Dokąd? – westchnęła.

– Czekają na mnie meta-fizycy rozmaitych szkół, mam już cztery różne plany tej wycieczki ku Wszechświatowi Zero; czekają inżynierowie Otchłani, ambasadorzy obcych Cywilizacji, przedstawiciele Deformantów, Cesarz, że nie wspomnę o osca Tutenchamon, bo zbliża się pora… Po pojedynku będę się musiał z nimi wszystkimi rozmówić. Chciałem się odprężyć po posiedzeniu Loży, ale, widzisz – uśmiechnął się krzywo i chcąc nie chąc musiała oddać ten uśmiech – obowiązki.

– Obowiązki! – Wzniosła oczy ku niebu. – Jaki jest twój tytuł, stahs? „Poszukiwacz Nieskończoności"? „Detektyw Kosmosu"?

– Raczej „Pies UI" – parsknął. – Idziesz?

Wydęła policzek, opuściła wzrok, przesunęła dłonią po kolanach.

– A właściwie do czego ja ci jestem potrzebna? Mhm? Do publicznej prezentacji poparcia Gnosis? Przecież mieszkasz w Farstone, wszyscy to wiedzą.

– Oho, obraziliśmy się.

– No bo tak sobie myślę – Uniósł rękę i z wieczornego nieba spadł białopióry ptak. Rozłożywszy w ostatnim momencie skrzydła, przysiadł na dłoni Zamoyskiego. W dziobie ściskał rulon papieru. Adam wyjął mu go delikatnie, rozłożył i przesunął po blacie ku Angelice. Ptak zaskrzeczał dwukrotnie, zatrzepotał skrzydłami – jedno pióro opadło po szerokiej spirali obok szklanki Zamoyskiego – po czym wzbił się w powietrze.

Angelika spoglądała na papier z jawną podejrzliwością.

– Co to jest?

– Pamiętasz, Judas zgodził się przekazywać mi kopie wszystkich dotyczących mnie raportów ze Studni Czasu.

– No i?

Wskazał białym piórem kartkę.

– Przeczytaj.

Ujęła ją dwoma palcami, paznokieć zaskrobał po twardym papierze. Było już ciemno, ale Sophia bez trudu wydobyła z tła tekst.

WŚRÓD BENEFICJENTÓW TEJ ZMIANY SĄ M.IN. STAHS KRADŻA ORFAN Z RORSCHACH ENT., PHOEBE JULIAN DALE, STAHS ANGELIKA ZAMOYSKA *DE DOMO* MCPHERSON.

Angelika odszukała wzrokiem sygnaturę. Raport pochodził z przyszłego roku.

Dreszcz po niej przeszedł, ale co to był za dreszcz? – przerażenia? podniecenia? nienawiści? – sama nie wiedziała. Czuła jednak, jak krew napływa jej do głowy; gdyby nie manifestowała się tu poprzez inf, rumieniłaby się już płomiennie.

Nad ciałem nanomatycznym zdołała jednak zapanować.

– Noo, to dopiero jest powód, żebym czym prędzej zwiewała do Puermageze!

Zaśmiał się wstając.

– Chodź, chodź.

Teraz to on ujął ją pod ramię, pociągnął. Podobne odwrócenie ról powinno było ją rozgniewać, jakoś jednak nie potrafiła rozniecić w sobie tego gniewu. Teraz należało się wyprostować, wygładzić suknię, podać mężczyźnie rękę.

Uczyniła to zatem. I poczuła, jak Zamoyski nagle sztywnieje, napina mięśnie.

Uniosła wzrok – mrugał, z zaciśniętymi szczękami obracając głowę.

– Co się dzieje?

Równocześnie odezwała się Sophia:

= Cesarz ogłasza Czerwony Alarm, wewnątrz Sol-Portu została wykryta rozległa perwersja infu, wszystkich korzystających z Cesarskiego Pola Nanoware’owego uprasza się o natychmiastowe uwolnienie dzierżawionego

nano – Angelika wyadresowała się i spojrzała na zegar biblioteczny: dziesiąta pięćdziesiąt trzy.

Zamoyski poruszył ścierpniętą ręką.

– Ten Czerwony – to poważne, jak słyszę.

– Chyba w ogóle po raz pierwszy w historii taki alarm.

– Czekaj, daj mi się rozeznać.

Czy chciał, aby wstała mu z kolan? Taki był początek gestu, odruch jego ciała, jakby ją odpychał, zdejmował sobie z barku jej ramię – ale go nie dokończył.

Wyraźnie czuła pod dotykiem, w rozluźnieniu jego mięśni, jak uwaga Adama odpływa z primusa w secundusa, tam koncentrując świadomość.

Jeszcze tylko szepnął:

– Po mnie idzie.

A potem już tylko rytmiczny oddech.

= Dane! = warknęła na Sophię.

Wizualizacje przesłoniły bibliotekę: ściany, podłogę i sufit. Perwersja w chwili wykrycia miała już siedem kilometrów średnicy i przesuwała się szybko ponad północnym Atlantykiem ku Wyspom Brytyjskim. Prostoliniowe ekstrapolacje wskazywały, że ogarnie Farstone najpóźniej za godzinę. Cesarz uruchomił już programy obronne, konfigurując dokolny inf w strefę buforową.

Dobrze wiedziała, dokąd odszedł Adam. Posiadał Klucz i nie dotyczyły go ograniczenia manifestacji nanomatycznych wynikłe z Alarmu, samodzielnie mógł zmieniać restrykcje NSCC.

Wysłała na jego Pola prośbę o udostępnienie tymczasowych szyfrów dzierżawy infu i zaraz otrzymała pozytywną odpowiedź. Mimo woli spojrzała mu w oczy – szeroko otwarte, całkowicie ślepe. Tak to się zaczyna, pomyślała. Migrujemy na Plateau. Słyszała jego oddech i czuła bicie serca – ale nie, to nie on oddychał, nie jego serce biło. To tylko pustak: mięso niekiedy animowane przez Adama. Lecz teraz duch je opuścił i Angelika siedzi w ramionach trupa.

Czym prędzej się odcieleśniła, po dwóch sekundach przeadresowując się w otworzoną szyfrem Zamoyskiego lokację. Angelika pojawiła się tam w defaultowej manifestacji: z dwudziestometrowymi skrzydłami rozpiętymi na wietrze, rękoma szeroko rozłożonymi, włosami splecionymi ze strugami wzburzonego powietrza. Unosiła się kilkaset metrów nad powierzchnią błę-

kitnego oceanu, ze słońcem po lewicy, bladymi *cirrusami* nad głową – u bram Fortecy Grozy.

Forteca nieustannie nadbudowywała się na samej sobie, rosnąc we wszystkich kierunkach, więc także ku Angelice, i kiedy dziewczyna szybowała tak na wartkim wietrze, zaczepiona między termoklinami na półprzezroczystych skrzydłach, po raz pierwszy w całkowitej zgodzie ze swym imieniem – sinobrązowy mur Perwersji zbliżał się do niej z każdą chwilą, na jej oczach połykając ocean i przestrzeń nad nim, mila po mili.

Oczywiście przede wszystkim połykany był inf – ale tego nie widziała. Widoczne dla niej były tylko efekty: Forteca oraz wściekły sztorm w miejscu, gdzie jej fundamenty wbijały się w morze.

Cień na moment przesłonił słońce. Uniosła głowę. Ognisty archanioł spadał ku niej po spirali, olbrzymie skrzydła drżały, opierając się naciskowi powietrza, przy tych prędkościach – twardego jak beton. W ostatniej chwili archanioł zmienił kąt ich nachylenia i zrównał się w szybkości z Angeliką. Poleciła Sophii zbliżyć się maksymalnie, ale nadal dzieliło ich kilkadziesiąt metrów, musieliby krzyczeć.

= Idzie po mnie.

= Adam…

= Masz wątpliwości?

= Cóż, tym razem spudłował o kilkaset kilometrów.

Zamoyski zatrzepotał skrzydłami – w tej manifestacji był to zapewne odpowiednik wzruszenia ramionami.

= Jeśli będzie wystarczająco gęsto Spływał… Klucz nie pomoże, Cesarz nie ochroni. Powinienem zamknąć sobie biologicznego primusa w jakimś pozacywilizacyjnym Porcie, całkowicie wolnym od infu.

Angelika podskoczyła na ciepłym prądzie powietrznym.

= Powinieneś pokonać Suzerena, oto, co powinieneś. Wtedy, tak, wtedy będziesz bezpieczny.

= Pokonać Suzerena? = ryknął śmiechem Zamoyski. = Czyli – co? zniszczyć wszystkie Plateau, miliardy wszechświatów? To dobre!

Forteca parła przez wzburzone odmęty, piętrząc przed sobą pieniste bałwany i obłoki pary z rozgotowanej wody, rozgrzewana od wewnątrz reakcjami nuklearnymi, inicjowanymi w podwodnych sztolniach; rosła bowiem również w tamtym kierunku: w dół. Sięgała już ponad półtora kilometra w głąb oceanu i jeśli nie zostanie powstrzymany jej rozrost, wkrótce wgry-

zie się w szelf kontynentalny. A to już grozić będzie nie tylko sztormami na Atlantyku i bałaganem w atmosferze, lecz ofensywą tektoniczną, nagłymi ruchami geologicznymi i erupcjami dawno zamrożonych wulkanów. Tempo narostu Fortecy było tak przerażające, bo Perwersja nie tylko krystalizowała inf w łańcuchach OOO_1, ale budowała się ze wszelkiej dostępnej materii na poziomie nukleonów.

= Zwalnia, tak twierdzi Cesarz.

= Zwiększa się powierzchnia frontu, musi zwolnić. Zresztą prędzej czy później cały graniczny inf się skrystalizuje i Perwersja wygaśnie. Niemniej próba jest spektakularna, musisz przyznać.

Wystarczyło spojrzeć na Fortecę i dreszcz przechodził po ciele, nanomatycznym czy biologicznym, bez różnicy. Setki mil w którąkolwiek stronę byś patrzył – i bez przerwy gotuje się to, deformuje, wybrzusza i zapada, powódź amorficznego brudu sunie ponad oceanem, powietrze tężeje pod naporem ohydy, pancerny cień tnie błękit i seledyn. Dlaczego Suzeren musiał zamanifestować się w takiej brzydocie?

= Uch. Śniadanie podchodzi do gardła i skóra cierpnie. = Angelika dwoma uderzeniami skrzydeł szarpnęła się wstecz, odłączając od Zamoyskiego. = Będę musiała wziąć prysznic.

Bez dalszych ceregieli zamknęła transfer i wstała z kolan Adamowego pustaka. Teraz dopiero się zacznie, pomyślała, kierując się ku drzwiom. Te podchody polityczne, przetargi i naciski; Judas zapewne też nie pozostanie w tyle. Mogę nawet przewidzieć reakcję mass mediów, ten krzyk: wygnać Zamoyskiego z Cywilizacji, aby nie sprowadzał na ludzi zagrożenia, nie prowokował Suzerena do dalszego perwertowania infu… Kto wie, może to właśnie jest cel ataku Suzerena: tak absurdalna spektakularność gwarantuje przyciągnięcie uwagi enstahsów, owieczki zaczną się burzyć, może taki jest cel ohydy…

Przystanęła w pół kroku przy pulpicie, podniosła książkę. „Fizyka uśpiona”. No tak, problem przecież sam się rozwiąże, gdy tylko Adam wyruszy na ten wojaż po wszechświatach fizyk nadmiarowych, nie trzeba go wypędzać.

Dostrzegła kątem oka ruch pod sufitem biblioteki – równocześnie Sophia krzyknęła ostrzegawczo. Angelika uniosła głowę, marszcząc brwi. Cień? Nie cień. Pająk chyba. Przemknął ponad regałami, tłusta tarantula, zeskoczył na półkę, stamtąd na dywan.

Pół sekundy i Angelika wciąż nie skojarzyła. Dopiero gdy pulpit pękł na dwoje i z drewnianego kikuta zaczęła wysuwać się, trzeszcząc i klekocząc dębowymi segmentami, potworna stonoga – McPherson ocknęła się, podbiegła do Zamoyskiego, potrząsnęła nim.

– Adam! Farstone! Tu się whackował! Wyłaź! Farstone!

Ledwo Zamoyski otworzył oczy, biblioteka go zaatakowała. Zdążył jeszcze odepchnąć Angelikę; poleciała na ścianę, tłukąc potylicą o obudowę lampy. Na chwilę ją zaćmiło – na sekundę, dwie – lecz gdy wrócił jej wzrok, szalało tu już inferno.

Z mebli i wystroju biblioteki nie pozostało nic – zerwało nawet boazerię, rozszarpało dywan, roztrzaskało parkiet, implodowało okna. W środku pomieszczenia ryczał wir kolorowego wiatru, stojąca trąba powietrzna, zasysająca wszystkie szczątki.

Mrużąc oczy, Angelika dojrzała we wnętrzu wiru, w rzadkich w nim prześwitach, białego demona, maszynę ognia: trzy metry, kanciaste ramiona i tułów, łeb toporny, wszystko oślepiająco jasne – a czego dotknie, to spala się w krótkim błysku zimnego światła. Płoną głównie książki, całe lub fragmenty, pojedyncze kartki. Chwilami Angelika nie widzi niczego spoza poziomej burzy papieru, szum miliona celulozowych skrzydeł i ryk wiatru ogłuszają – krzyknęła i nawet samej siebie nie usłyszała.

Próbuje się podnieść – ale to nazbyt niebezpieczne, zostałaby pochwycona przez wir; już rozdarło jej suknię, porwało pantofle. Wczepia się paznokciami w ruinę boazerii, drzazgi wbijają się w ciało, lecz nie czuje bólu, szok wytłumia doznania.

Wir stopniowo rozszerza się, demon bieli rusza z miejsca i zaczyna miarowym krokiem przemierzać pobojowisko, paląc wszystko, co wpadnie mu w łapy. A wciąż podnoszą się przeciwko niemu mniejsze i większe monstra, mortperwersje ćwierćsekundowe: nanomancje zakrzepłe w rozmaite manifestacje, zwierzęce, roślinne i nieożywione. W pewnym momencie nawet podłoga otwiera się pod jego kopytami na kształt wilczego dołu najeżonego metrowymi kolcami. Demon przeskakuje nad nim – od czego trzęsie się cały budynek.

Podnosi się obłok szarego pyłu, gdy przez ścianę i sufit biblioteki przebiega rysa, pęknięcie, szpara, i sypią się w wir i na demona sproszkowany tynk oraz zaprawa.

= Sophia! Jak stąd wyjść?!

Sophia nakłada OVR i Angelice objawia się podinfowa natura rzeczywistości: Adam Zamoyski w demonicznej nanozbroi z triad TOT 9 – pajęcza sieć czarnych strun Perwersji – odbarwione obszary rekonfigurowanego nanopola – wektory kondensacji.

Sophia w OVR wytycza między tym wszystkim ścieżkę prowadzącą do drzwi biblioteki (które też zostały roztrzaskane), maluje miejsca bezpiecznych stąpnięć.

Kiedy Zamoyski/demon oddala się ku przeciwległej ścianie, inf wokół Angeliki rozrzedza się nieco, spada temperatura (Jezu, jak tu gorąco!), OVR-owa ścieżka prostuje się i skraca. McPherson podrywa się na nogi i – prowadzona przez menadżera ruchu, mięsień za mięśniem – w pół sekundy dobiega do drzwi, wypada na korytarz. Tu, roztrzęsiona, przystaje i łapie oddech.

= Adam! Archiwizuj się!

Korytarz jest pusty, co przelotnie ją dziwi, dopóki nie uświadamia sobie, że przecież od momentu whackowania się Suzerena w inf Farstone minęło zaledwie kilkanaście sekund.

Odstępuje dalej od drzwi biblioteki, bo wypadają przez nie kolejne odłamki mebli i obłoki papieru – wyrywa się na wolność chaotyczny nanosztorm, dobrze widoczny pod OVR Angeliki.

Rozlega się huk i obmywa ją fala gorąca. Po czym nagle wszystko cichnie, powietrze się uspokaja, gasną jaskrawe reprezentacje infowych prądów.

Od strony holu biegnie kilkoro ludzi, na przedzie dwie manifestacje Patricku Gheorgu. Na progu biblioteki kondensuje się natomiast cesarski mandaryn.

Angelika jest pełna złych przeczuć.

– Adam!

Jej głos ginie jednak w ogólnym zamieszaniu. Nie wiedzieć skąd, pojawia się i Judas, pojawia się Moetle, konfigurują się manifestacje kolejnych phoebe’ów i inkluzji i w przeciągu sekund Angelika otoczona zostaje tłumem wzburzonych gości, z szacunku dla gospodarzy i protokołu rozmawiających poza Plateau (a może równolegle z dyskusjami plateau’owymi), tak że dziewczyna prawie już nie słyszy własnych myśli – co dopiero cudzych.

Cofa się dalej, aż do holu.

= Adam!

Nie pamięta, że nadal utrzymują łącze pod wspólnym szyfrem i kiedy OVR-owy secundus Zamoyskiego wychodzi wprost na nią z zamkowego muru, Angelika odruchowo odskakuje. Dopiero w drugim odruchu przypada do Lorda Orientu, machinalnie przesuwa dłonią po jego nieskalanym kaftanie.

= Nic ci się nie stało?

= Nie, Cesarz odzyskał przejęte Pola i rozłożył asemblery. = Zamoyski wygładza skołtunione włosy Angeliki. Jest w tym geście daleko więcej czułości, niż zamierzył – ale nie cofa ręki. = Wszystko dobrze. Nie rozumiem tylko, czemu Suzeren nie zaatakował wcześniej. W takim razie to kolejny dobry znak: nie posiada takiej władzy, o jakiej chciałby nas przekonać.

= To było dla odwrócenia uwagi, prawda? Ta Perwersja nad Atlantykiem.

= Może.

= Gdybym cię nie ostrzegła – = No nie, przecież nie oślepłem, menadżer oesu mnie poderwał. Ale dzięki.

Teraz jest moment, żeby zdecydowanym ruchem przygarnąć ją i pocałować. Angelika widzi to w jego oczach – jak Adam obraca tę myśl w głowie, smakuje, bawi się nią i syci, aż myśl staje się atrakcyjniejsza od samego czynu, możliwość od spełnienia. Zamoyski uśmiecha się pod wąsem. Jest to już jednak zupełnie inny uśmiech niż te kpiąco-pogardliwe wygięcia warg, jakie McPherson dobrze zdążyła poznać. Czy on też widzi to w moich oczach? Angelika wyciąga rękę, przesuwa palcami po jego twarzy. Myśl krąży między nimi, odbijana w źrenicach tam i z powrotem, jak pochwycony w dwa zwierciadła promień światła.

Nachylając się coraz bardziej ku Zamoyskiemu, Angelika traci jednak w końcu równowagę – tak naprawdę Adama tu nie ma i brak jej punktu oparcia.

Odstępuje pół kroku, myśl gaśnie.

Zamoyski szybko otrząsa się. Obrzuca Angelikę taksującym spojrzeniem.

= Przebierz się. Suzeren, nie Suzeren, Perwersja, nie Perwersja – muszę dotrzymać terminu, osca Tutenchamon czeka. Będę przed zamkiem.

I przeadresowuje się.

Idąc do swoich pokojów, Angelika zastanawia się, co właściwie Zamoyski miał na myśli. Nie umawiali się przecież na żadne oficjalne wystąpienie przed czy po pojedynku; nie jest też Angelika jego sekundantem. Po prawdzie nie ma w ogóle obowiązku być tam obecna. Oczywiście wszyscy za-

kładają, że się pojawi – sama miała taki zamiar. W końcu rzecz odbędzie się pod jej oknami. Lecz słowa Adama zabrzmiały jak półoficjalne zaproszenie. Czy miało to związek z ich niedawną rozmową na Hawajach? Próbuje jej dać coś do zrozumienia…? Na jaką właściwie on przyszłość gra: tę z Raportu Studni, czy przeciwko niej? Jak ja powinnam grać…?

Pod oknami jej sypialni, na bia łym obrusie wyniesionego na trawnik stołu rzeczywiście leżą już pojedynkowe rapiery; obok czekają oficjele, w tym dwóch mandarynów i cztery manifestacje medicusa. Wszyscy spoglądają w kierunku skrzydła z biblioteką.

Angelika zrzuca z siebie zniszczone ubranie, bierze szybki prysznic. Wytarłszy się pośpiesznie, staje przed wysokim zwierciadłem garderoby – choć naga, w OVR widzi się we właściwym dla wybranego szablonu ubiorze: szerokich spodniach z czarnego jedwabiu, czarnych butach na wysokim obcasie, z czarną aksamitką na szyi i włosami ściągniętymi w mocny warkocz, w długim, ciemnoszarym żakiecie z herbem McPhersonów na sercu.

Wybierając z szafy kolejne elementy tego kompletu, zamiera wtem w pół ruchu. Jak dziecko. Jak dziecko, jak mała dziewczynka podniecona pierwszą randką, podlotek jakiś. Stoi z butami w ręku. To nie jest normalne. Wystarczyło, że wykonał gest, rzucił niejasną sugestię… To nie jest normalne. Prawda? Na pewno nie jest, Judas musiał coś zmanipulować, podczas syntezy albo i jeszcze wcześniej, podczas implementacji w pustaka. Zachowuję się jak na głodzie narkotykowym – jakbym była uzależniona od tego człowieka, fizyczna bliskość konieczna do przeżycia. Co będzie, gdy Adam wyruszy w końcu na poszukiwania Wszechświata Zero? – czy podążę z nim i także pozwolę się przepisywać na freny wyższych fizyk? Czy tego właśnie Judas ode mnie oczekuje? Ale czuję, że jeśli mnie Adam poprosi… no jakże mogłabym odmówić? Nie potrafię sobie nawet wyobrazić. To nie może być normalne.

Ale niby skąd miałabym to wiedzieć? W Puermageze mnie nie nauczyli. Nie musiał nic robić; wystarczyło mnie nie odstępować w opresji. Jestem podatna. Czy nie w taki właśnie sposób stahsowie się – stahsowie się zakochują?

Spogląda w zwierciadło. Odbicie jest krystalicznie czyste. Angelika McPherson.

Nie ma czasu splatać teraz warkocza, a protokół Farstone jest za sztywny, by skonfigurować tu Pokojówkę – to będzie zatem jedyne odstępstwo od

szablonu: włosy spięte na karku jaspisową broszą.

Taką manifestacją Angelika schodzi na parter.

Tu wpada na Moetle’a.

– Gdzie Judas? Wrócił na posiedzenie Loży?

– Chyba go tu widziałam przed chwilą. Myślałam, że posiedzenie już się skończyło.

– Nie, jeszcze nie. Ponoć po tym ataku głosują nad oficjalnym wypowiedzeniem wojny Suzerenowi. He, ciekawe, jak oni sobie tę wojnę wyobrażają – – A widziałeś Zamoyskiego?

– Cała świta za nim ciągnie. A tutaj – sama zobacz.

Wychodzą z holu przed zamek.

Słońce wspina się ku zenitowi, ostatnie obłoki gasną na wyprażonym do sucha błękicie, nawet wiatr wysechł. Sophia etykietuje w nakładce OVR poszczególnych gości. Zapełniają oni taras, schody, trawnik. Niepodległa inkluzja otwarta, jedna, druga, trzecia, dziesiąta, w swych najbardziej oficjalnych manifestacjach. Phoebe Słowiński – rozmawia ze złotowłosą męską manifestacją, och, ona akurat pozbawiona jest etykiety (brak danych?). Obok – ambasador usza. I ambasador rahabów – czy Adam przyjął jego ofertę? Kto będzie walczył, on czy champion? Inżynierowie Otchłani – czego z kolei oni chcą od Adama? (Nigdy nie zrozumiałam wyjaśnień ojca Rosse, Otchłań to Otchłań). Inżynierowie morteugeniki, którym Wojny wymknęły się spod kontroli – oni wierzą, że Adam zna tajemnicę blokady Plateau. (Może zna; nadal przecież jakoś blokuje – on, UI – układ Dreyfussa/Hakaty w swoim Saku). Horyzontaliści. Wertykaliści. Pełna reprezentacja starych rodów stahsowych, o, książę Walii, następca tronu Indii. Są oczywiście także Stern z Oficjum oraz Ivonne Cress. Są nawet manifestacje jakichś pseudodeformantów, i manifestacje zwięzyków Deformantów tak odległych od jakiegokolwiek Progresu, że właściwie nie spełniających żadnej definicji życia, i kukiełkowe manifestacje życia postinteligentnego…

Wiatr podnosi przed zamkiem ciemne wiry, dwusekundowe dżinny, zagęszczenie infu jest tak wielkie, że powietrze drży i mętnieje, na granicy światła i cienia rozkwitają małe tęcze. Kolejni goście konfigurują się zbyt szybko, by nadążyła z czytaniem etykiet – Angelika stoi i przesuwa spojrzeniem z lewej na prawą i z powrotem, niczym mechaniczny skaner; minutę, dwie. Czy tam, w cieniu pod dębem, to ojciec Frenete…? A obok jezuity – nie Judas aby…?

Naraz wszyscy zwracają wzrok na Angelikę. Po krótkiej konsternacji rozpoznaje prawdziwy kierunek ich spojrzeń i obraca się na pięcie.

Z wilgotnego cienia zamkowego holu wynurza się właśnie stahs Adam Zamoyski, jeszcze z lekko pochyloną głową, jakby biorąc bykiem twardą jasność dnia – lecz już się prostuje, uśmiecha, wyciąga ramię ku Angelice, znowu nieodróżnialny w swej biologicznej manifestacji od wirtualnego Lorda Orientu.

McPherson przegląda podręczny arsenał i wybiera zeń stalową szpilę sarkazmu.

– Idziesz na pojedynek, nie na swoją intronizację.

– Pozory, moja droga, pozory. Zresztą, ty pójdziesz ze mną.

– Dokąd?

Zamoyski nachyla się i szepcze jej do ucha:

– Do końca.

Angelika patrzy nań podejrzliwie. Adam uśmiecha się, bo uśmiecha się teraz prawie zawsze – ale czy ta zastygła na wargach ironia wystarczy, by obrócić słowa w żart?

– A ja wcale nie jestem pewna, czy mam ochotę na ów rajd przez kosmosy coraz – – Nie to miałem na myśli.

Unosi rękę, spada na nią ptak. Angelika sama wyjmuje mu z dzioba zwitek papieru. Ptak wzbija się z krzykiem w błękit.

Lewą dłonią Zamoyski wyczarowuje z nicości przeciwsłoneczne okulary, kopiując gest Angeliki – jemu jednemu wolno tu dopuszczać się tak nieobyczajnych aktów magii, posiada Klucz.

Wołają go z trawnika, unosi uspokajająco dłoń.

Angelika mruży w słońcu oczy. Nie bez wysiłku odczytuje podkreślony fragment przyszłorocznego raportu ze Studni Czasu Gnosis Inc.:

ANI TEŻ PHOEBE'U ADAMU ZAMOYSKU I JENU ŻONU

I tylko jedna myśl, gdy nerwowo mnie w palcach twardy papier: Więc jednak. Więc tak szybko!

Bo spodziewała się. Więcej: oczekiwała tego. Od momentu założenia sobie na mózg sieci konekcyjnej – pomimo głośnych żartów i składanych do lustra przyrzeczeń – wiedziała: nie zdoła się oprzeć; ani ona, ani Zamoyski. To jest zbyt silne, zbyt piękne, zbyt kuszące – kolejny etap na drodze do do-

skonałości, następny stopień schodów od zwierzęcia do Boga. Nie da się uciec, nie da się zapomnieć, przestać myśleć, przestać marzyć, skoro raz wstąpiło się na tę ścieżkę, a każdy krok na niej tak o c z y w i s t y.

Tęsknota jest wręcz fizyczna, ciało, umysł – tęsknią do UI, pragną jej, wyciągają się ku niej jak roślina ku światłu. Któż wyrzeka się perfekcji, darmo oddaje ideał?

Niedoskonałość boli.

Tymczasem jednak – Czarne spodnie, czarne mokasyny, czarne okulary, kaftan jak ocean o zmierzchu – schodząc z tarasu na trawnik pełen gości, ze stahs Angeliką McPherson u boku, uśmiecha się Adam ironicznie, tak wspaniale ułomny, tak bezczelnie ludzki.

KONIEC PIERWSZEJ TERCJI

lipiec 1998 – marzec 2000 (maj 2004)

Jeśli nasz świat jest rzeczywiście czymś, co się organizuje, to życia we wszechświecie nie możemy uznać za zjawisko przypadkowe i nieistotne; musimy sobie uświadomić jego wszechobecną ekspansywność sprawiającą, że w każdej chwili może ono wtargnąć, nawet przez najmniejszą szczelinę, w dowolne miejsce kosmosu, a gdy się już pojawi, skorzysta z każdej szansy, z każdego sposobu, aby osiągnąć kres możliwości.

Materia – to nie tylko ciągnący w dół ciężar, muł, w którym się grzęźnie, ciernisty krzak zagradzający ścieżkę. Wzięta sama w sobie, niezależnie od naszego środowiska i wyboru, jest ona po prostu zboczem, po którym równie dobrze można wspinać się w górę, jak zstępować w dół. Przez włączenie nas we wszechświat każdy z nas umieszczony jest na tych jego obszarach lub na jego pochyłości w pewnym szczególnym punkcie, zależnym zarówno od momentu dziejów świata, jak i od ziemskiego miejsca naszego urodzenia oraz od naszego indywidualnego powołania. I poczynając od tego punktu, zadanie wyznaczone nam w życiu polega na wznoszeniu się do światła, a zatem – na mijaniu w celu dojścia do Boga określonego szeregu stworzonych rzeczywistości, które właściwie nie są przeszkodami, lecz punktami oparcia do wznoszenia się coraz wyżej, pośrednikami, którymi należy się posłużyć, pokarmem, który należy spożyć, sokami żywotnymi, które należy oczyścić, elementami, które mamy przygarnąć i pociągnąć za sobą.

Unoś mnie tam w górę, Materio, przez wysiłek, przez rozstanie i przez śmierć – unieś mnie tam, gdzie będzie wreszcie możliwe czystym uściskiem objąć Wszechświat.

Pierre Teilhard de Chardin

Tłumaczenie: J. i G. Fedorowscy, W. Sukiennicka, M. Tazbir.